

Antologia SF

Różni

Książka I z Wizje Alternatywne



calibre 0.9.43

Antologia opowiadań „SF” pisarzy
polskich

Wizje alternatywne

pod redakcją Wojtka Sedeńko

Słowo wstępu

Tytuł „*Wizje alternatywne*” nie jest tytułem przypadkowym. W 1967 roku w wydawnictwie „Doubleday and Company” ukazał się zbiór „*Dangerous Visions*” zredagowany przez **Harlana Ellisona**. Antologia z miejsca stała się tak zwanym wydarzeniem i dość powszechnie jest uważana za rewolucyjną w historii gatunku; przede wszystkim zapoczątkowała pewną

nobilitację SF, zerwała z dotychczasowymi konwencjami i utartymi schematami, których ojcami byli wydawcy, a wśród nich m.in. John W. Campbell.

„*Wizje alternatywne*” nie roszczą sobie prawa do dokonania podobnego przełomu w polskiej fantastyce, choć niewątpliwie jest to antologia poruszająca nowe tematy, a przede wszystkim jest bardzo świeża (pisarze zaczęli pisać opowiadania w maju 1990 r.). Szybkość jej powstania — zaledwie w pięć miesięcy — to nie tylko novum na naszym rynku, ale i możliwość pokazania aktualnych spraw w fantastycznym zwierciadle.

Z „*Niebezpiecznych wizji*” **Ellisona**

zapożyczyłem tylko pomysł, genialny w swej prostocie, zwrócenia się do wybranych autorów z prośbą o napisanie nowych opowiadań; miały być „inne”, prosiłem, aby autorzy nie kierowali się modą, czy ograniczali do któregoś z podgatunków SF, lecz wzięli na warsztat sprawy, o których polska fantastyka dotąd milczała, omijała lub wypowiadała się rzadko. Bardzo pomógł tu fakt rozwiązania cenzury, ale nie chodziło mi o to, aby otrzymać teksty obsceniczne, nie; szło o nowy kształt rodzimej SF, penetrację nowych pól tematycznych. I tu od razu nasuwał się wzór **Harlana Ellisona**.

Krytycy toczą na łamach prasy spory o przyszłość polskiej fantastyki,

najczęściej sprowadza się to jednak do podsumowania i rozliczania przeszłości, a zwłaszcza nurtu fantastyki socjologicznej. A ten przestał być właściwie aktualny. Otrzymywaliśmy wciąż teksty opisujące modele społeczeństw kojarzące się nam, mniej lub bardziej, z komunistyczną rzeczywistością, totalitarnym systemem władzy. Bohater lub grupka bohaterów walczyła o ideał wolności, odrobinę szczęścia, prawo do człowieczeństwa, prawdę, mając przeciwko sobie zorganizowane siły aparatu władzy, a także niemoc i brak wrażliwości reszty społeczeństwa.

Walka to była z reguły przegrana, ale czasami końcowe, małe zwycięstwo

pozostawiało nam iskierkę nadziei (bo czyż zaledwie dwa lata temu można było mieć nadzieję?). I właśnie nadzieja była chyba głównym przesłaniem polskiej specjalności w gatunku fantastyki socjologicznej.

Nikt nie próbował odpowiedzieć na pytanie, ba, nikt go nawet nie zadał, co będzie, gdy runą mury Paradyzji? W ten sposób powstała luka, którą trudno wypełnić fantasy, Ciągłem Dalszym Wolskiego czy kosmicznym kowbojem. Chociaż — gdybym otrzymał powieść opowiadającą o tym, jak to ludzkość przepędziła Obcych, uporządkowała wszystko w sposób idealny, zapanował dobrobyt powszechny, pięciogodzinny dzień pracy, wolne piątki, policja

zaczęła łapać bandziorów, a nie wcinać się w życie obywateli — umarłbym z nudów, a książkę postawił obok trylogii Borunia i Trepki, Obruczewa i innych socwieszczy, jako świadectwo epoki Ziutka Słoneczko.

Część autorów próbuje zastąpić polityczną SF występując przeciwko ZŁU w ogóle. Sporo pojawiło się w ostatnich miesiącach opowiadań z szatanem czy innym diabelskim pomiotem w roli głównej. Zaznacza się zainteresowanie ekologią, wycieczkami w przeszłość i rozważaniami typu, co by było gdyby lub jak to było naprawdę.

Jedno jest pewne — polskich pisarzy fantastów czeka poważny egzamin z wyobraźni — a czy go zdali,

ocień Czytelniku sam, na podstawie dwunastu, ciepłych jeszcze opowiadań, wchodzących w skład niniejszej antologii. Sądzę, że pokazuje ona, iż polska SF jest silna, mocno osadzona w naszych realiach, a jej siła tkwi właśnie w odrębności od fantastyki anglosaskiej.

W Polsce wychodzi obecnie tylko jedna antologia i na dodatek prezentuje tylko dorobek fantastyki anglosaskiej, a głównie amerykańskiej — chodzi mi o „*Don Wollheim proponuje*” (nawiasem mówiąc wybór to nie najlepszy, ale tak świetni redaktorzy, jak na przykład Terry Carr, niestety, już odeszli).

Próby stworzenia almanachu prezentującego dorobek i osiągnięcia polskiej SF datuje się od lat 60-tych.

Pierwszym redaktorem był **Zbigniew Przyrowski**, który w tomie „*Posłanie z piątej planety*” (Nasza Księgarnia, 1964) zebrał plon konkursu rozpisanego przez Naszą Księgarnię i redakcję „Młodego Technika”.

W 1973 roku, również **Przyrowski**, dokonał wyboru opowiadań najbardziej reprezentatywnych autorów w historii polskiej fantastyki i opublikował je w zbiorze „*Nowa cywilizacja*” (Nasza Księgarnia). Trzy lata później ukazał się plon drugiego konkursu „Młodego Technika”, opracowany także przez **Przyrowskiego**, który tym samym zasłużył sobie na miano polskiego Hugo Gernsbacka — „*Wołanie na mlecznej drodze*” (Nasza Księgarnia, 1976).

Druga połowa lat 70-tych to początek wielkiej popularności science fiction w naszym kraju; próby zaprezentowania dorobku rodzimej fantastyki podejmują **Bronisław Kledzik** w „*Wehikule wyobraźni*” (Wyd. Poznańskie, 1978) i **Lech Jęczmyk** w „*Gościu z głębin*” (Czytelnik, 1979). Oba zbiory dość dobrze dokumentują dokonania naszych autorów na polu SF.

W 1980 roku ukazała się ostatnia antologia firmowana przez **Zbigniewa Przyrowskiego** — „*Drugi próg życia*” (Nasza Księgarnia), prezentująca najlepsze opowiadania z 25-letniego dorobku rubryki SF w „*Młodym Techniku*”.

Początek poprzedniej dekady

przyniósł z kolei próbę stworzenia antologii, która miała prezentować i promować nową polską fantastykę. Mowa o „*Spotkaniach w przestworzach*” pod redakcją **Andrzeja Wójcika**. Niestety, pierwsze dwa tomy (łącznie ukazało się ich siedem), złożone w KAW-ie jeszcze w 1979 roku, ujrzały światło dzienne dopiero w trzy lata później. Następne miały coraz większe opóźnienie — doszło do tego, że prezentowały debiutanckie opowiadania autorów, którzy w tym czasie zdążyli już wydać debiut książkowy.

Odnotować trzeba jeszcze dwa tomy wydane przez Almapress przy współpracy Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki: „*Rok 1984*”

(1988) i „*Dira necessitas*” (1988) — oba w wyborze **Andrzeja Szatkowskiego** oraz plon konkursu miesięcznika „Fantastyka” — „*Trzecia brama*” (Wyd. Literackie, 1987) pod redakcją **Macieja Parowskiego**.

Wszystkie wymienione wyżej antologie zawierały albo plon konkursów, albo prezentowały opowiadania w większości znane już z prasy lub zbiorów autorskich. I to właśnie wyróżnia „*Wizje alternatywne*” — zawarte w nich teksty są publikowane po raz pierwszy.

Nowa sytuacja na rynku książkowym, nowe oficyny pojawiające się jak grzyby po deszczu spowodowały, że rok 1990 obrodził dobrymi tekstami.

Nie wiem, czy tłumaczyć to zjawisko nowymi realiami, rozwiązaniem cenzury czy koniecznością zarabiania na życie, dość, że autorzy poszukują nowych tematów i strategii, i proszę, w samej tylko „Fantastyce” — Inglot, Dukaj, najlepszy z dotychczasowych Sapkowski, ciekawy Grzędowicz, poprzeczkę podniósł wyraźnie Ziemkiewicz. W poprzednich latach było chudo, jeśli chodzi o dobre opowiadania SF.

Na wieść o przygotowywaniu niniejszego tomu w środowisku zawrzało. Już pierwsze nadesłane teksty utwierdziły mnie w przekonaniu, a trzeba powiedzieć, że były pisane w pośpiechu, w ciągu zaledwie dwóch

miesiący, że autorzy złapali wiatr w żagle — powiało nowymi pomysłami.

„*Wizje alternatywne*” są, moim zdaniem, sygnałem, że w polskiej fantastyce „coś drgnęło”, mam nadzieję, że ten wiatr w żagle zamieni się w wicher, początkując nowy boom na SF.

Jedno, co w tych opowiadaniach uderza, to aktualność poruszanych spraw. Dużo mówi się teraz o aborcji, religii, zanieczyszczaniu środowiska — i są to główne tematy poruszane przez autorów niniejszego zbioru. Udowadniają oni, że pisząc fantastykę wcale nie stoją na uboczu głównych problemów, z jakimi boryka się nasze społeczeństwo.

Ocenę pozostawmy jednak krytykom,

pozostaje mi tylko, Drogi Czytelniku,
życzyć ci przyjemnej lektury.

Wojtek Sedeńko
„Władziówka”, wrzesień 1990

JACEK INGLOT urodził się 5 czerwca 1962 roku w Trzebnicy. Na stałe osiedlił się we Wrocławiu, gdzie ukończył szkoły, łącznie z filologią polską na tamtejszym Uniwersytecie. Kiedyś, jeszcze jako małolat, sięgnął po książkę niejakiego Lema i tak zasmakował w fantastyce, że sam złapał za pióro. Debiutował opowiadaniem „*Dira necessitas*” w kwartalniku „Feniks”, to samo opowiadanie dało później tytuł antologii wydanej przez Almapress w 1988 roku. W tym samym roku ukazała się w „Fantastyce”

humoreska „*Science and Fiction, Inc.*” i od tej pory zadomowił się w miesięczniku, gdzie drukuje jako krytyk i nowelista. Jak sam mówi, skończy się to niechybnie schizofrenią, gdyż jako krytyk zwalcza Macieja Parowskiego, któremu z drugiej strony próbuje przypodobać się jako autor.

W chwili obecnej oczekuje na wydanie zbioru opowiadań „*Bohaterowie do wynajęcia*”, napisanego wspólnie z Andrzejem Drzewińskim. W 1989 roku otrzymał II nagrodę w konkursie na słuchowisko IV programu PR — nosiło tytuł „*Pożegnanie z Abre*”.

Jacek jest skromnym człowiekiem, jako krytyk zwalcza fantastykę debilną,

lubi towarzystwo Marka Oramusa i piwo.

Opowiadanie „*Quietus i chrześcijanie*”, w którym osobiście bardzo zagustowałem, planuje rozwinąć w powieść, noszącą roboczy tytuł „*Krucjata*”. Przyznam się, że cieszy mnie rozwój Jacka Inglota — autora, daje się u niego zauważyć „krzywą wznoszącą”, jak to określa Marek Oramus. „*Quietus i chrześcijanie*” rozpoczyna antologię i tematykę religii i narodzin chrześcijaństwa; pokazuje nam w innym świetle, choć akcja toczy się znacznie po pogromie chrześcijan, postać cesarza Flawiusa Claudiusa Iulianusa zwanego Odszczepieńcem.

Quietus i chrześcijanie

Po raz pierwszy zobaczył Nipuańczyków, przechodząc przez Forum Apostaty. Stali na szerokiej podstawie kolumny wielkiego cesarza, otoczeni przez hałaśliwy tłum żebraków. Na przedzie tkwił nieduży, pomarszczony mężczyzna, w chitonie

dziwaczego kroju, przepasanym pośrodku szerokim czarnym pasem, za którym miał zatknięty krótki miecz. Trzymał w ręku sakiewkę i rzucał w tłum żebraków płci obojga drobne monety. Gdzie upadły, tam od razu powstawał niesamowity harmider i wrzask, konkurencyjne bandy usiłowały kijami poprzepędzać się nawzajem z placu. Suchy mężczyzna obserwował to z nieruchomą twarzą, patrząc małymi, ciemnymi oczyma — dopiero teraz Quietus zauważył, że są lekko skośne, jak to kiedyś słyszał.

Za mężczyzną, nieco z tyłu i bliżej trzonu kolumny, stała kobieta, mała i delikatna niczym figurka z przejrzystego prawie alabastru, ubrana w osobliwe

peplos kroju nieco podobnego do chitonu mężczyzny — znacznie jednak dłuższe, sięgające poza kostki stóp, i przy tym nieskazitelnie białe. Głowę miała pochyloną i pokornie patrzyła w dół, tak że ledwo widział drobny, łagodny nos i zarys czerwonych ust. Za nią dostrzegł dwóch zamaskowanych mężczyzn, nieco wyższych od pierwszej pary, odzianych w czarne, obcisłe szaty podobne do tocharyjskich. Zza pasów sterczały im po dwa skrzyżowane długie miecze. Ci tkwili zupełnie nieruchomo, prawie że przyklejeni do kolumny, a spod zawojów na głowach bez przerwy błyskały białka oczu, pilnie przepatrujących kotłujący się dookoła tłum.

„A więc tak wyglądają” — pomyślał Quietus, który nigdy dotąd nie oglądał prawdziwych Nipuańczyków, tyle że o nich słyszał. Nie dotarli jeszcze do tej prowincji, jednej z najbardziej zapadłych w imperium. W ogóle ostatnio mniej obcokrajowców odwiedzało Calisję, co tylko potwierdzało tezę, że stają się coraz bardziej pograniczni i prowincjonalni. Tu kończyło się imperium, a zaczynały nieokiełznane ludy Wschodu i niezmierzone lody Północy. Przyśpieszył kroku. Na ostatnim skrawku Forum, kiedy już miał skręcić w uliczkę zwaną Zaułkiem Kotlarzy, odwrócił się i jeszcze raz zerknął na plac. Nipuańczyk rzucił właśnie ostatnią monetę i chował

sakiewkę za pasem; podniósł na moment wzrok i niespodziewanie popatrzył prosto na Quietusa, który drgnął uderzony jego zimnym wejrzeniem. Nipuańczyk zwrócił się do kobiety i ta również spojrzała na niego z zaciekawieniem. Quietus nie czekając na nic więcej, obrócił się na pięcie i spieszenie ruszył w głąb zaułka.

W gospodzie starego Ataoklesa, zwanego pospolicie Agamemnonem, jako że też pochodził z Argos, zgodnie z oczekiwaniami zastał Marcusa Corejmusa Tranquilla, królującego za największym stołem. Przed nim widniało kilka glinianych kufli, których zawartość, sądząc po stanie zachlapanej i tak zazwyczaj nie najczystszej togi,

została właśnie łapczywie pochłonięta. Marcus pracował jako lektor w bibliotece miejskiej, ale nad zawałone papirusami sale i zasuszonych skrybów stanowczo przedkładał lokal Agamemnona, gdzie w zamian za trunki udzielał publicznych wykładów neocynizmu, którego to kierunku filozoficznego — jego zdaniem, ostatniego sensownego — mienił się największym po Diogenesie przedstawicielem.

Na widok Quietusa filozof wyprostował się i z zadowoleniem podkręcił sumiastego wąsa, jedyny spadek po rzekomo sarmackich przodkach. Szparko pociągnął z najbliższego kufla i robiąc boleściwą

minę, splunął pivem na podłogę.

— No i co ty na to, mój zacny Quietusie?! — zawołał. — W tym przeklętym kraju nie potrafią już nawet robić piva! Wszystko schodzi na psy. To nie pivo, ale szczyny tego cholernego grubasa! — ryknął, zezując w stronę pękatego ciała Agamemnona, siedzącego przy ściennej półce z mocniejszymi napitkami. — Ta gruba świnia nie ma za grosz przyzwoitości. — Marcus złapał za kufel i chlusnął resztką w stronę karczmarza. Agamemnon pracowicie żuł kawałek ciasta, z krowią obojętnością gapiąc się przed siebie. Zdążył się już przyzwyczaić, podobne sceny spotykały go co wieczór.

Quietus wsadził rękę pod chiton i

wymacał w skrytej kieszonce złotą drachmę. Wydobył ją i rzucił na stół przed Agamemnonem, którego tępe spojrzenie od razu nabrało ostrości i blasku. Karczmarz chwycił monetę i ją próbować krawędź w zębach, po czym, uspokojony, wrzucił krążek do skórzanej sakwy na brzuchu. Spojrzał pytająco na Quietusa.

— Odszpuntuj dla nas, przyjacielu, małą beczułkę najlepszego saskiego, tylko ma być świeże! — powiedziawszy to, Quietus opadł na ławę obok Marcusa, który, cały rozjaśniony, zlewał resztki z kufli na obiadę Swarogowi, co można było wywnioskować z niewyraźnej mamrotaniny pod nosem.

— Jakże to — zauważył Quietus —

nie jesteś już materialistą i agnostykiem? Przedwczoraj udowadniałeś komu popadnie, że bogów nie ma, że to jeno czczy wymysł tudzież ludzka bojaźń i głupota. Czy nie tak było?

— Może tak, a może nie, któż to na dobrą sprawę na pewno wie? — odparł wymijająco filozof, niecierpliwie strząsając resztę kropel z opróżnianego naczynia. — Wczoraj za to przeczytałem sobie Platona i wiem, co spotkało oskarżonego o bezbożność Sokratesa. Moja wątroba mówi mi, że woli pivo od cykuty.

W tym momencie Agamemnon przytaszczył wreszcie całkiem zgrabną beczuleczkę. Marcus chciwie podstawił pod nią kufel i z upodobaniem patrzył na

tryskającą z niej pienistą, ciemnobursztynową strugę, a potem długo delectował się napitkiem. Na jego twarzy odbił się wyraz bezbrzeżnej rozkoszy.

— Tylko Sasi i Longobardowie potrafią robić je dobrze — skonstatował, pociągając kolejny łyk. — I pomyśleć, że był to swego czasu nasz plemienny, wenedyjski napitek. A bywało tu kiedyś pivo, bywało, znano tu ongiś sztukę warzenia tego boskiego nektaru i może do tej pory mielibyśmy się niezgorzej, gdyby nie ta południowa zgnilizna — ten grecki wieprz, który tam w kącie potrafi się najwyżej odlać do kadzi, a nie zrobić dobry odwar. Została tylko Magna Germania, ostatnia

twierdza prawdziwego piva.

— Chyba nie będzie tak źle. — Quietus upił łyk i dłuższą chwilę rozkoszował się chłodnym, lekko gorzkawym a zarazem cierpkim smakiem. — Słyszałem, że nasi pobratymcy z Bohemii warzą całkiem niezłe, w niczym pono nie ustępujące saskiemu.

— Być może. Tak czy owak nasza Sklawinia schodzi na psy, co najwyraźniej widać po pivie.

— Coś w tym jest, skoro przeszło połowa moich towarzyszy z gimnazjonu porozjeżdżała się po wszystkich prowincjach imperium, od Pergamonu i Galatii na wschodzie po brytyjskie ostępy na zachodzie. Chwilami myślę, że

najmniej Wenedów zostało tutaj, w Wenedii.

Marcus milczał czas jakiś, w końcu ponuro wejrzał na dno kufla i podstawił go pod beczułkę.

— Kiedyś byliśmy Rzymowi potrzebni — odezwał się. — Kiedy nasze wenedyjskie legie były buntowników pod Antiochią, zapewniając Apostacie nieśmiertelną chwałę, byliśmy na ustach całego cywilizowanego świata. Senat rzymski słał naszym książętom hojne dary i listy dziękczynne, zapewniając o wiecznej pamięci. No cóż, chyba słusznie powiadają, że nikt i nic na tym świecie nie ma krótszych nóg od wdzięczności. Teraz, kiedy nasze miecze przestały być

potrzebne, nie możemy się nawet napić przyzwoitego piva. Jesteśmy zapomnianym ludem w zapomnianym kraju. Pies z kulawą nogą nie jest ciekaw, co u nas słyhać.

— Nie tak zupełnie — wtrącił Quietus. — Na przykład dzisiaj, całkiem niedawno, widziałem Nipuańczyków. Rozdawali jałmużnę na Forum Apostaty.

— Nipuańczycy, tutaj?! — Marcus aż nastroszył brwi ze zdumienia. — Co oni, na Jowisza, mogą robić w takiej zapyziałej dziurze jak Calisja?

Quietus nie zdążył odpowiedzieć, zresztą nie bardzo wiedział, co by tu rzec na tak oczywiste *dictum*, gdy do karczmy wkroczył dostojnie centurion gwardii namiestnika. Oficer stał chwilę

w bezruchu na progu, przyzwyczajając oczy do panującego w izbie mroku. Kiedy ich dostrzegł, ruszył zdecydowanie do przodu, grzebieniem hełmu zamiatając pajęczynę z powały. Marcus patrzył na niego z obrzydzeniem; jako zdeklarowany cywil nie czuł ani śdźbła szacunku do wojskowych.

— A ten tu czego... — zaczął, ale żołnierz ignorując go całkowicie, zwrócił się wprost do Quietusa.

— Quietus Fabiusz Mercator? — zapytał formalnym tonem.

— Tak — potwierdził zapytany, zerkając bojaźliwie na Marcusa, który znowu zatopił wąsy w bursztynowym płynie.

— Masz się niezwłocznie stawić w

letniej rezydencji namiestnika — wyrecytował dobitnie gwardzista i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł, siejąc popłoch wśród ocalałych pajęczych resztek.

Quietus w zamyśleniu skubał wargę.

— Dziwne — powiedział. — Sewer Flawiusz od pół roku przebywa w Rzymie, a jego zastępca nie lubi mnie i unika korzystania z moich usług. Co to może znaczyć?

— Prawdopodobnie chce cię wreszcie wsadzić — zakpił Marcus i stuknął kuflem o beczułkę. — Ale na razie napijmy się piva.

Letni pałac Sewera Flawiusza, potomka rządzących ongi Wenedią

sklawińskich książąt, wybudowany jeszcze przez jego dziada, miał kształt obszernej willi w stylu noworzymskim. Usytuowano ją we wschodniej, zamieszkałej przez patrycjat części miasta, na niewielkim, płaskim wzgórzu, tuż obok akweduktu i biegnącej w tym miejscu pod nim Via Venedia, szerokiej, porządnej rzymskiej drogi, łączącej Mare Suebicum z Pannonią i dalej, z samą Italią i światowładnym Wiecznym Miastem.

Tuż przy wejściu czekał na niego czarny niewolnik. Weszli razem do środka; sługa poprowadził go przez przyozdobione niezgorszą kolekcją greckich rzeźb atrium do położonego w głębi perystylu, gdzie zwykle namiestnik

przyjmował swoich gości.

W pierwszej chwili nie dostrzegł nikogo, widok na połowę zalanego słońcem dziedzińca zasłaniała mu stojąca pośrodku fontanna z posągami nimfy Aretuzy. Tamci byli po drugiej stronie, siedząc na płaskim marmurowym podeście, postawionym w rogu obiegającej perystyl kolumnady i ocienionym rozpiętym nad nim płótnem. Quietus odruchowo drgnął, tak osobliwy ujrzał widok. Na rozłożonej na kamieniu pleciance siedziały trzy osoby: w oczy rzucał się przede wszystkim Kuno Lichtenus, rosły Szwab o ponurym wejrzeniu, dowódca gwardii namiestnika, pełniący pod nieobecność Sewera Flawiusza jego obowiązki, po

lewej ręce Kunona spoczywał na podkurczonych pod siebie nogach znany już Quietusowi z Forum Apostaty, pomarszczony Nipuańczyk, mający naprzeciw siebie tę samą filigranową kobietę, która, lekko pochylona, z gracją rozlewała do okrągłych czarek jakiś napój. Kuno na jego widok skrzywił się nieznacznie, ale zaraz ustroił twarz w oficjalny uśmiech, czyniąc ręką zapraszający gest.

— Oto i nasz oczekiwany przybysz, obywatel rzymski Quietus Fabiusz Mercator — powiedział. — Przedstawiam ci, szanowny Quietusie, pełnomocnego ambasadora cesarza dalekiego kraju Nipu, księcia Tsuomi...

Siedzący sztywno Nipuańczyk

skłonił się nieznacznie, na co Quietus odpowiedział jednym ze swoich najuniżeńszych ukłonów.

— ...oraz jego szanowną małżonkę, panią Taiko.

Kobieta wykonała głęboki dyg, cały czas trzymając skromnie opuszczone oczy; wyglądało na to, że nigdy ich nie podnosi. Mężczyzna uprzejmym gestem wskazał Quietusowi miejsce obok siebie, na wolnej połaci ozdobnej plecionki. Usiadł niezgrabnie, podciągając pod siebie nogi. Pani Taiko wdzięcznym, jakby ceremonialnym ruchem postawiła przed nim bladoniebieską czarę z jakimś parującym płynem. Pociągnął nosem: zapach był całkowicie obcy, ale

przyjemny.

— Wiele dobrego słyszałem o tobie od mego przyjaciela, senatora Flawiusza — odezwał się książę Tsuomi. Mówił gładką, poprawną łaciną, wypraną jednak z akcentu i metrum. Quietus ze zdziwieniem stwierdził, że kostyczny z wyglądu ambasador ma całkiem miły głos. — Sewer Flawiusz wspominał mi kiedyś o twych rozlicznych talentach...

— Jeśli chodzi o stręczenie młodych dziewcząt, to niewątpliwie miał rację — wtrącił Kuno, pamiętając dobrze, jak to swego czasu Quietus skutecznie pomógł Sewerowi w pewnej miłosnej historii; ta sama dziewczyna wpadła w oko i Kunonowi.

Nipuańczyk uśmiechnął się

uprzejmie, lecz Quietus dostrzegł w jego zimnych oczach błysk gniewu, od którego ścierpł mu grzbiet. „Ale śmierdziel z tego Kuna” — pomyślał.

— Chodziło mi o coś innego — senator wspominał o twych umiejętnościach, w odnajdywaniu rzeczy zgubionych lub skradzionych. Podobno potrzebną rzecz wynajdziesz choćby spod ziemi?

— Wielceś dla mnie łaskawy, panie — odparł Quietus. — Istotnie, udało mi się rozwikłać parę tutejszych zagadek i afer kryminalnych. Zostałem do tego niejako zmuszony, z racji niskiego poziomu sił policyjnych — dodał, rzucając jednocześnie serdeczne spojrzenie Kunonowi, któremu

podlegała Tajna Służba.

Gwardzista jakby nigdy nic siorbał napar, niezdarnie udając, że się nim delectuje. Quietus sam zamierzał już sięgnąć po swoją czarękę, kiedy księżę Tsuomi zapytał niespodziewanie:

— Co wiesz o chrześcijanach?

Quietus stropił się zaskoczony; chrząknął z zakłopotaniem, zerknął znowu na Kunona, ale tamten gapił się na panią Taiko, która w dziwny, ale i zarazem miły dla oka sposób przedstawiała naczynia. O co temu Nipuańczykowi chodziło?

— Niewiele, panie — powiedział wreszcie. — Tyle co wszyscy. To zakazana sekta, która kiedyś usiłowała przejąć władzę w państwie, czemu

skutecznie zapobiegł wielki cesarz Julian, zwany Apostatą. Ale to było trzysta lat temu!

— No właśnie. — Tsuomi uśmiechnął się życzliwie. — Jestem kimś w rodzaju badacza poglądów religijnych i jednocześnie koneserem, kolekcjonującym stare i rzadkie papirusy. Z natury rzeczy, przebywając w Rzymie i badając jego tak interesujące i zawikłane dzieje religijne, natknąłem się na wiadomości o owych chrześcijanach, niestety, bardzo skąpe, nie pozwalające wyrobić sobie zdania o ich doktrynie religijnej. Nie mogłem też przeczytać żadnych traktujących o tym pism, jako że wszystkie zostały zniszczone z woli cesarza Juliana.

Przepadły, rzecz jasna, pisma samych chrześcijan. Próbowałem szukać w Galii, gdzie były stosunkowo umiarkowane prześladowania. Niestety, i tam nic nie znalazłem, z wyjątkiem jednej małej wzmianki w dokumentach miejskich Parisii: mówi się tam w krótkiej notatce, że pewna grupa prześladowanych chrześcijan uciekła za Ren, ku północno—wschodnim granicom cesarstwa, zamierzając się osiedlić tak daleko od Rzymu, jak to tylko możliwe. Okoliczności te wskazują, że myśleli o Wenedii. Trochę to dziwne, zważywszy, co wenedyjscy żołnierze czynili z ich współwyznawcami w Syrii i Galatii...

„Tak, to prawda” — pomyślał

Quietus. „Moi przodkowie brodzili po kolana we krwi mieszkańców Antiochii i Tarsu, mieszkańców Lycji wytępiono do nogi, nie darowano nawet niemowlętom”.

To była rzeź tysiąclecia, niepodobna do niczego, co zdarzyło się przedtem i potem. Nie sporządzono oficjalnych statystyk, ale znający sprawę historycy ofiary liczyli w miliony. Kogo nie zabito, ten gnany strachem uciekał, gdzie oczy poniosą, padając łupem lotnych watah numidyjskiej jazdy. Zapomniano o litości i miłosierdziu. Quietus słyszał, że podobno do dzisiaj są w Małej Azji okolice, gdzie można wędrować i miesiąc, nie napotykając żywego ducha, jeno kruszejące ruiny kwitnących przed

wiekami miast i zamieszkałe przez wilki
widma ludnych niegdyś wiosek.
Mimowolnie wzdrygnął się na to
wspomnienie.

— To chyba niemożliwe —
powiedział po chwili ciszy. —
Sugerujesz, książę, że w Calisji działa
do tej pory jakaś chrześcijańska sekta?
Nie, to zbyt fantastyczne! A co na to
twoja tajna policja, szlachetny Kunonie?

— No tak... — Szwab przestał
gapić się na malutką Nipuankę i
nostalgicznie westchnął. — Drugi już
dzień tłumaczę księciu, że to jakieś
złudzenie. Może moi ludzie nie wiedzą o
wszystkim, ale tak grubej sprawy jak
chrześcijanie na pewno by nie
przegapili. Tracisz niepotrzebnie czas,

mój książę.

— Pozwolicie jednak, że zostanę przy swoim. Mnie się wydaje to prawdopodobne: szukać schronienia wśród swych katów. Wszak w tych czasach Wenedowie uchodzili za najwierniejszy lud cesarstwa, całkowicie odporny na wpływ sekty. Tutaj nikogo nie represjonowano.

„Może ma i rację” — przemknęło przez głowę Quietusowi. „Powiadają przecie, że pod latarnią najciemniej. Teoretycznie, jakaś niewielka grupa istotnie mogła się zakamuflować w Wenedii. Ale czy przetrwali do tej pory? I jakim sposobem nie zostali przez tak długi czas wykryci?”

— Nie o samą sektę mi chodzi —

kontynuował książkę. — Interesuje mnie tylko ich księga kultowa, złożona z czterech wersji opowieści o życiu i nauce ich proroka—boga, Żyda Chrystusa, uzupełnionych o garść listów i jakichś innych pism. Mogę z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, iż owi uchodzący przed prześladowaniami członkowie sekty przywieźli ze sobą przynajmniej jeden odpis. Wiem, że czwórksiąg ów zawsze przechowywany był przez chrześcijan z wielką pieczołowitością. Czy potrafisz go dla mnie odnaleźć?

— Trudno mi to teraz zmiarkować, panie — odparł zgodnie z prawdą Quietus. — Nie wiem nawet, czy takie zlecenie jest legalne z punktu widzenia

obowiązującego prawa. — Wiedział, że może je przyjąć, ale chciał, aby Kunon publicznie to potwierdził.

— Och, to drobiazg, mój dobry Quietusie. — Kuno uśmiechnął się, szczerząc radośnie pieńki zepsutych zębów; widocznie księżę hojnie go obdarował. — Wedle mnie niczego nie znajdziesz, ale oczywiście możemy przyjąć założenie, iż spełnisz życzenie naszego drogiego gościa. Nie widzę w tym żadnych przeszkód. Z chwilą znalezienia owa księga stanie się własnością księcia, ty występujesz tylko jako jego pełnomocnik, księżę zaś jest dyplomata opuszczającym właśnie imperium po wypełnieniu swojej misji i może posiadać takie przedmioty, jakie

mu się podoba, a nam nic do tego. No, chyba że w cesarstwie Nipu chrześcijaństwo też jest zakazane, ale to już jego zmartwienie — dodał, badając efekt żartu na pani Taiko.

Quietus złapał jej szybkie, przedziwnie przenikliwe spojrzenie, rzucone jednak jemu, a nie Kunonowi.

— Zatem sprawę możemy uznać za załatwioną. — Księżę Tsuomi sięgnął do leżącej obok szkatuły i wyciągnął z niej sakiewkę z bogato przetykanego srebrem jedwabiu. Podał ją Quietusowi, który pod cienką materią wyczuł ciężar krągłych i przyjemnie ciężkich aureusów. — To tylko zaliczka. Dostaniesz dziesięć razy tyle, jeśli odnajdziesz ową księgę.

Pani Taiko postawiła przed Quietusem nową czarę z naparem. Podziękował skinieniem głowy i łyknął ostrożnie. Gorący płyn miał lekko gorzki, ale wcale przyjemny smak. „To całkiem niezłe — skonstatował — chociaż nie dorównuje oczywiście pivu”.

— W Rzymie herbata jest już dość powszechnym napojem — zauważył książę. — A u was, widzę, to nowość.

— Jesteśmy prowincjuszami — powiedział Kunon, nieco nawet arogancko. — Nie mamy zbyt dużo czasu i sposobności na hołdowanie przyjemnościom i najnowszym modom. Zresztą tutejszy lud jest dość ciemny i nowinkom nieufny.

Quietus przestał słuchać i gorączkowo rozmyślał, jak się zabrać do roboty. Zlecenie na pierwszy rzut oka wyglądało na beznadziejne; sporo wiedział o tym, co dzieje się w mieście, ale nigdy nie natknął się na najmniejszy ślad owej sekty. Jeśli nawet są, to tak głęboko ukryci, że może ich szukać do końca swego żywota. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej zwrócić zaliczkę i zapomnieć o całej sprawie, ale wnet przypomniał sobie, ile to ostatnio przerznął w kości. Chyba nie mógł sobie pozwolić na lenistwo.

— Ile mam czasu? — spytał w końcu.

— Siedem dni — odparł Tsuomi. — Do Id sierpniowych, wedle waszej

miary.

Nie było to dużo. Chwilę jeszcze rozmawiał z księciem, potem, pod pretekstem, że chciałby natychmiast zacząć poszukiwania, podniósł się i po serii ceremonialnych ukłonów skierował ku wyjściu. Kiedy oddalił się już na parę kroków, usłyszał adresowany do swych pleców głos Kunona.

— Gdybyś jednak coś, a właściwie kogoś, znalazł — mówił tamten powoli, jakby od niechcienia — to pamiętaj, że nadal obowiązują juliańskie edykty dotyczące chrześcijan. Ci ludzie należą do Rzymu. Należą do mnie.

„Bodajbyś zdechł, przeklęty Szwabie” — pomyślał Quietus. Prędzej by sam został chrześcijaninem, niż

wydał temu draniowi choć ścierwo szczura. Zacisnął mocno usta i wyszedł.

— Ha, mówisz tedy, że chrześcijanie?! — Marcus ochoczo rąbnął kuflem w stół, ochlapując sobie pivem tokę. — Powiadają, że nie ma nic bardziej podniecającego niż rozpięta na krzyżu dorodna chrześcijanka. Sam nie widziałem — dodał skromnie — ale mój prapradziadek jeszcze zdążył i ponoć bardzo sobie chwalił.

— Czy może mówił też, jak się tropi chrześcijan? — Quietus leniwie obracał w palcach dopiero co otrzymanego aureusa, ale zupełnie się tym nie cieszył. Na monecie widniał profil cesarza Juliana. „Ten to by chyba wiedział” —

przyszło mu na myśl. „W końcu sam był przez czas jakiś jednym z nich”.

— Tropiciel chrześcijan to zawód, który zanikł ostatecznie przeszło dwieście lat temu, tutaj zresztą nigdy nie był specjalnie popularny. — Marcus dolał sobie niezgorszą miarkę piva; przepijali właśnie zaliczkę od księcia Tsuomi. — Widocznie nasi przodkowie doszli do wniosku, że i tak uczynili dosyć w dziele zwalczania sekty, wycinając połowę Małej Azji.

— Co w takim razie powinienem zrobić? Jak mam szukać czegoś, o czym nie mam najmniejszego pojęcia?

— Nie wiem. — Marcus pokręcił z rezygnacją głową. — Doprawdy nie mam pojęcia, jak ci pomóc. Na razie —

dodał po chwili.

Kiedy Quietus opuszczał gospodę Agamemnona, dostrzegł czającą się pod portykiem pobliskiej świątyni Hermesa niewyraźną postać. Udając, że nic nie widzi, spokojnie poszedł do domu. Już na swojej ulicy, wykorzystując zamieszanie spowodowane pijacką bójką, skręcił nagle do ciemnego wejścia czynszowej kamienicy; czekał niedługo. Po przeciwnej stronie ulicy skradał się Paolos, zaufany Grek w służbie Kunona Lichtenusa. Widocznie ostrożny Szwab postanowił na wszelki wypadek go przypilnować. Quietus uśmiechnął się pod nosem, nie miał nic przeciwko zabawie w kotka i myszkę z Kunonem. Wyszedł z ciemności i

uprzejmie pozdrawiając zaskoczzonego Paolosa, udał się prosto do domu.

Następne trzy dni spędził, intensywnie pracując, a polegało to głównie na stawianiu na nogi, a właściwie na głowę, swojej stałej siatki informatorów. Reakcje napotykał różne — jedni wzruszali ramionami i mówili wzgardliwie: „Kogo dzisiaj obchodzą chrześcijanie?!”, inni z błyskiem w oku obiecywali bez zwłoki wywiedzieć się co i jak. A ponieważ płacił bardzo szczerze, wkrótce cała Calisja na wyścigi biegała z donosami, najczęściej wyssanymi z palca. Gdyby im wierzyć, to co drugi Weneda był utajonym chrześcijaninem. Jeden z sutenerów,

mający się za szalenie sprytnego, usiłował sprzedać mu jako chrześcijan grupę przejezdnych Judejczyków — wykorzystał to o tyle, że pozwolił ich aresztować Paolosowi, który o sprawie wiedział jeszcze mniej od niego. Reszta informacji wyglądała równie bezsensownie: przedstawiano mu jako chrześcijan właściwie wszystkie ujawnione ostatnio sekty, nawet czcicieli jakiegoś dalekoazjatyckiego tłuściocha, zwanego Buddą, co się poniewczasie okazało. Część donosicieli wzięła go za kompletnego durnia i bezczelnie usiłowała mu wpychać jako rzekomych chrześcijan wyznawców małoazjatyckich kultów misteryjnych, ostatnio znowu bardzo

modnych. Na szczęście błyskawicznie zorientował się, że chodzi tu o wyznawców Mitry i Attysa, bogów z dawna uznanych i obecnych w Panteonie. O prawdziwych chrześcijanach nikt nie wiedział dokumentnie nic. Sprawa wyglądała na beznadziejną, zupełnie nie do ugryzienia.

Wieczorem trzeciego dnia, kompletnie już zrezygnowany, udał się do gospody Agamemnona. Marcus Corejmus czekał tam nad wymownie pustym kuflem. Quietus opadł ciężko na ławę.

— Nie daję rady — sapnął. — To idiotyczna sprawa. Przeryłem do dna miejskie kloaki i takem mądry jak na początku, nie znalazłem żadnego punktu

zaczepienia. Ci ukryci w Wenedii chrześcijanie to czysty wymysł! Powiadomię jutro księcia Tsuomi, że rezygnuję. Jeśli chce, niech zleci to komuś innemu.

Marcus milczał, patrzył tylko z zagadkową miną na dno kufla, jakby widział tam jakieś niezwykle fascynujące obrazy. Quietus zrozumiał przytyk i skinął na karczmarza.

— Kto źle szuka, ten zwykle nic nie znajduje — powiedział Marcus, zdmuchując nazbyt obfitą pianę. — Czegoś chciał się dowiedzieć o chrześcijanach pośród tutejszych sutenerów, oszustów, dziwek i złodziei? Za czasów największych wpływów sekty nie mieli oni z nią wiele

wspólnego. Tam nic nie znajdziesz.

— A gdzie? — spytał Quietus, delektując się znakomitym longobardzkim napitkiem. — Wśród patrycjuszy?

— Myślałem żdziebko nad twoim problemem, przeczytałem też to i owo. Co prawda Julian specjalnym edyktem nakazał zniszczenie wszelkich prac napomykających choćby o sekcie, oddał płomieniom nawet własny traktat *Przeciwko chrześcijanom*, ale w naszym skrytorium zachowało się kilka nie ocenzurowanych opracowań, widocznie je przegapiono w czasie niechlujnego przeglądu. Wyciągnąłem przy okazji lektury parę wniosków, które powinny dać ci do myślenia.

Przerwał i zaczerpnął nieco piva, aby zwilżyć gardło.

— W pierwszym rzędzie między bajki należy włożyć krążące do tej pory, graniczące z brednią poglądy, jakoby chrześcijanie oddawali cześć ośle głowie lub że w czasie wtajemniczenia zabijali dziecko pokryte mąką albo też podczas swoich misteriów uprawiali grupowe porubstwo. Gdyby tak było w istocie, nigdy sekta nie osiągnęłaby tak wielkich wpływów. Myślę, że działa się wręcz przeciwnie, a i znalazłem na to dowody w postaci paru wzmianek w *Historia Augusta* Marcusa Aureliusza, bardzo rzetelnego historyka. Chrześcijanie to byli ludzie skromni, powiedziałbym nawet, że przesadnie

cnotliwi. Sekta wylęła się w środowisku ludzi ubogich, żyjących z pracy własnych rąk — rolników, przekupniów, drobnych rzemieślników czy rybaków. Tam zdobyła największe wpływy, tam, tak dedukuję, utrzymały się one najdłużej.

Później sięgnąłem do kronik naszego miasta i tu znalazłem garść zastanawiających faktów: przede wszystkim tuż po galijskich pogromach przybyła do Calisji grupa kilku rodzin z Aquitanii, której pozwolił osiedlić się pod miastem rządzący naówczas Wenedią książę Dago. Jak pewnie pamiętasz, oskarżono go o sprzyjanie chrześcijanom, przez co później musiał złożyć książęcą mitrę. Była to jedna z

przyczyn upadku niezależnego wprzódki księstwa i obrócenia go w prowincję rzymską.

— To by się pokrywało z tym, co mówił książę Tsuomi — zauważył bystro Quietus.

— Właśnie — ciągnął Corejmus. — O samych Galach chyba jakoś w całym zamieszaniu zapomniano, dość że nie znalazłem potem o nich żadnej wzmianki.

— Ba, ale jak ich teraz znaleźć? Musieli dawno rozpuścić się w tutejszej, wenedyjskiej masie.

— Niekoniecznie. Czy słyszałeś kiedyś o miejscu zwanym Galijskim Wądołem?

„Na Cerbera, on ma rację!” —

pomyślał wstrząśnięty nagłym objawieniem Quietus. Powszechnie Galijskim Wądołem nazywano niewielką rybacką wioskę, położoną nad rzeką pięć mil za północnymi rogatkami miasta, zamieszkałą przez garstkę rybaków ciężko harujących na kawałek chleba. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mało o nich wie: mieszkańcy osady nie pokazywali się w Calisji nigdy, poza targiem rybnym. Stanowili ostatni obiekt poszukiwań, jaki by mu przyszedł do głowy.

Później przechodził przez Forum Paulusa, gdzie dobiegał końca kolejny nie najlepszy dzień targowy: główne i najbardziej intratne drogi handlowe przechodziły przez Pannonię i Bohemię,

Calisja żyła ze starego szlaku bursztynowego i niedawno zbudowanej Via Nova, którą dopiero zaczynały ciągnąć pierwsze scytyjskie karawany. Przez środek placu majestatycznie kroczył otoczony pochodniami orszak. Na przedzie, obok obszernej lektyki, jechał ubrany w strój gwardzisty Kuno Lichtenus, rozpierający się na koniu niczym udzielny książę. Spostrzegł Quietusa i podjechał ku niemu.

— No i jak, znalazłeś coś?! — zakrzyknął z kpina w głosie i nie czekając na odpowiedź, spiął konia i popędził dalej. Chwilę potem przeszła lektyka, zaiste ogromnych rozmiarów, prawie małżeńskie łożo. Zastłony rozchyliły się na moment i Quietusowi

zdało się, że dostrzega panią Taiko, spoglądającą nań przez szparę w materii. Nie był tego jednak pewien. Cały czas myślał o tym, co mu na koniec powiedział Marcus, gdy pytał, jak rozpozna wśród rybaków chrześcijan. Marcus umaczał koniec palca w piwie i na suchym kawałku stołu nakreślił pionowo linię, później na jednej trzeciej jej wysokości uczynił poziomą kreskę, krótszą i zarazem równo na pół przez pionową podzieloną. „Oto ich znak” — powiedział. „Znak krzyża”.

Przez cały następny ranek Quietus bawił się w chowanego z Paolosem i trzema jego ludźmi. Kiedy wyjechał konno z miasta, agenci Kunona podążyli

za nim, udając pielgrzymujących do Arcony czcicieli Światowita. Dziwne to było pielgrzymowanie, ponieważ polegało na deptaniu po piętach Quietusowi, który jako żywo na Rugię się nie wybierał. Czas jakiś bawili się wesoło, galopując Via Germania prosto na zachód, aż, znudzony, zgubił ich w labiryncie gęstych zagajników, przez które droga akurat przebiegała. Upewniwszy się, że agenci zostali w gęstwinie, pohukując na siebie głośno, zawrócił konia na północ i żwawym kłusem podążył do właściwego celu wyprawy.

Galijski Wądół była to złożona z kilkunastu chat osada rybacka, położona w zakolu rzeki, przecinającej w tym

miejscu na pół pasmo niewysokich wapiennych wzgórz. Chaty zostały rozrzucone półkręgiem u stóp jednego ze wzgórz, frontem do rzeki, która tworzyła na tym odcinku głęboką zatokę, coś na kształt naturalnego portu. Mieszkańcy wykorzystali to, budując dwa duże pomosty dla łodzi. Quietus widział, jak kołysały się przy nich cztery nędzne łupiny. Prawdopodobnie tubylcom nie wiodło się najlepiej, zapewne dusiła ich konkurencja solonej ryby z nie tak odległej Pomeranii. Pogonił konia i zaczął powoli zjeżdżać ku wiosce.

Z bliska osada przedstawiała się jeszcze mizerniej — niskie, zapadnięte w ziemię chaty pokryto trzcina, miejscami starganą i straszącą dziurami.

Nie widział prawie ludzi, poza paroma brudnymi dzieciakami, bawiącymi się beztrosko w błotnistej kałuży na środku otoczonego chałupami placyku. Na progu jednej z chat dostrzegł starca w długiej lnianej sukni, który na widok obcego natychmiast znikł we wnętrzu.

„Dla nich będziesz podróżnym z Galii, który przybył z posłaniem od ich ocalałych współwyznawców” — pouczał go Marcus. „Powinieneś mówić tamtejszym dialektem, co chyba przyjdzie ci bez trudu, jako że twoja matka pochodziła przecież z Belgiki”.

Pośrodku wioski znajdowało się coś w rodzaju zajazdu, to znaczy dach z tataraku, pod którym postawiono długi stół i kilka mniejszych ław do siedzenia;

do tej osobliwej werandy przylegała chata, obszerniejsza od innych i wyposażona w rodzaj poddasza. To było coś dla niego, zwłaszcza że z otworu w szczycie chałupy bił w górę jasny dym. Skręcił w tę stronę i podjechał bliżej — w nozdrzach poczuł smakowity zapach zupy rybnej. Przypomniał sobie, że od rana nic nie jadł.

Przywiązał konia do słupka podtrzymującego tatarakowy, baldachim i wszedł do środka. Usiadł przy stole, rozglądając się ciekawie. Nikt się nim nie zainteresował. Dostrzegł obok pusty kubek i głośno stuknął nim o blat stołu. Z wnętrza chaty wyjrzała młoda dziewczyna, szczupła i czarnowłosa. Przez chwilę patrzyła na niego w

milczeniu, najwyraźniej zaskoczona. Quietus uśmiechnął się przyjaźnie.

— Chciałbym dostać coś do jedzenia i picia — powiedział. — Jestem bardzo głodny. Dobrze zapłacę. — Pokazał srebrną drachmę.

Dziewczyna nadal w milczeniu taksowała go wzrokiem. Starał się na tę podróż ubrać możliwie skromnie, ale w tej nędznej wioszczynie każdy w miarę porządnie ubrany człowiek musiał wydać się patrycjuszem.

— Mamy tylko zupę rybną, kołacz i pivo — powiedziała wreszcie cicho. Miała całkiem przyjemny, ciepły i melodyjny głos.

— Moja pani, gdybym chciał frykasów, udałbym się do Rzymu —

zażartował.

Dziewczyna, kryjąc uśmiech, znikła we wnętrzu chałupy. Po chwili wróciła, niosąc połówkę wypieczonego kołacza i dzban piva, niezbyt dobrego, jak się zaraz przekonał, zbyt kwaśnego i wodnistego. Za to zupa rybna okazała się całkiem, całkiem, lepsza nawet od tej podawanej w tawernach w Calisji. Zjadł ją ze smakiem, przegryzając kołaczem. Wypił też do końca pivo, raczej przez uprzejmość niż z prawdziwej potrzeby. W czasie posiłku dyskretnie rozglądał się dookoła. Nadal nikogo właściwie nie widział, czasem tylko mignęła mu w opłotkach jakaś twarz dziecięca lub kobieca. Widocznie wszyscy zdolni do pracy mężczyźni

wypłynęli na połów.

Młoda gospodyni przyszła posprzątać naczynia. Dopiero teraz mógł się jej dobrze przyjrzeć. Pod starym, połatanym peplos odgadł zadziwiająco dobrze zbudowane ciało — gładką, smukłą szyję, bujne piersi o dziewczęcej jeszcze jędrności, ładnie sklepiony brzuch; z rozcięcia na boku co chwila wychylała się noga, opalona, o klasycznych proporcjach i zgrabnie toczonej kostce. Apetyczną całość dopełniała twarz, owalna, z pełnymi i naturalnie różowymi ustami, ozdobiona dwoma dyskretnymi pieprzykami, proporcjonalnym, nieco celtyckim nosem i parą ogromnych, ciemnych oczu. Cuda te otaczała istna burza długich,

wijących się włosów. Quietus patrzył na to zjawisko w niemym zachwyceniu. „Z takim ciałem mogłaby być jedną z pierwszych kurtyzan w Calisji, ba, nawet w samym Rzymie” — pomyślał odruchowo. Stare peplos ukrywało w środku prawdziwy skarb.

— Jak ci na imię? — zapytał spłonioną jego fachowymi oględzinami dziewczynę.

— Tess. A ty, panie, skąd przybywasz? Nie jesteś przecie Wenedą ani Rzymianinem...

— Przybywam z Galii — odparł i w tym momencie, w jakimś nagłym olśnieniu, postanowił wypróbować na niej pokazany mu przez Marcusa znak.

Na zaproszonym mąką kawałku

stołu, ze znaczącą powolnością nakreślił palcem prawej ręki nieco koślawy krzyż. Tess zamarła z otwartymi ustami — upiornie blada, zmartwiała, wytrzeszczonymi oczyma patrzyła na widniejący obok jego ręki znak. Prawie że słyszał głuchy łomot serca w jej piersi. Poruszył dłonią i zamazał rysunek.

— Jest zbyt późno, aby jechać dalej. Chciałbym się u was zatrzymać.

„Myślę, że będą chcieli cię zabić już pierwszej nocy” — mówiąc to, Marcus pracowicie wybijał korek w zaszpuntowanej beczułce. „Dlatego nie wolno ci spać, z tym że nie możesz spędzić czasu do rana na lekturze, dajmy

na to, Petroniuszowego Satyriconu, czy innego równie rozrywkowego dzieła. Musisz czuwać i być gotowym w każdej chwili do działania. Inaczej zarzną cię jak prosię”. Nie brzmiało to zbyt groźnie w wesołym gwarze karczmy Agamemnona. Teraz Quietus powtarzał to wszystko w myślach. Przypomniawszy sobie też inne równie cenne przestrogi i pouczenia. Usilnie walczył z sennością, chcąc jednocześnie wyglądać na pogrążonego w głębokim śnie. Było tuż po pierwszych kurach i zaczął wątpić, czy w ogóle dziś przyjdą. Może Tess nie pisnęła nikomu ani słowa, może fałszywie zinterpretował jej reakcję, dość że nie działało się zupełnie nic. Zamierzał już dać sobie spokój, wstać i

nie czekając pełnego świtu, odjechać, mając dosyć chrześcijan, księcia Tsuomi, a zwłaszcza Marcusa i jego arcymądrych rad, kiedy usłyszał na dole zastanawiający szmer.

Leżał na poddaszu gospody, usytuowanym nad małym zbożowym składem. Dostać się do niego można było jedynie z wnętrza domu, po dość chwiejnej drabinie. Szmer powtórzył się; coś trzasnęło, potem posłyszał ciężkie skrzypienie. Zabójca nie miał łatwego zadania w tej wypełnionej starymi gratami ruderze. Skrzypnęło po raz drugi — najwidoczniej wchodził już na górę po drabinie. Quietus odprężył się, starając sprawiać wrażenie zupełnie uspionego. Zachrząściła słoma; zabójca

dotarł na poddasze. Potem zapadła grobowa cisza. Quietus domyślił się, że tamten stoi nad nim, zastanawiając się, jak uderzyć. Uznał, że dłużej nie sposób czekać.

— W imię Chrystusa, bracie — powiedział półgłosem, ale wyraźnie. — Jeśli musisz, pchnij, ale przedtem daj mi pomówić z waszą starszyzną.

Po chwili napastnik pochylił się nad nim i Quietus uczuł na szyi chłodny dotyk ostrza, dokładnie na tętnicy. Modlił się żarliwie do bogów nad- i podziemnych, aby tamtemu starczyło cierpliwości.

— Kim jesteś? — usłyszał chrapliwy szept.

— Nazywam się Fulwiusz Agorax,

przybywam z Galii — starał się mówić tak przekonująco, jak tylko potrafił. — Moi i twoi współwyznawcy tamtejsi wysłali mnie do Wenedii, abym przekazał wam ich posłanie i braterskie pozdrowienia. Czego nie zrobię, jeśli poderżniesz mi gardło — dodał głośniejszym głosem.

Ręka z nożem cofnęła się. Znowu zaszeleściła słoma i skrzypnęła drabina. Z dołu dobiegły Quietusa gorączkowe szepty i po chwili na poddasze wgramoliło się dwóch brodatych rybaków o ponurym wejrzeniu, z zapalonymi łuczywami w rękach. Drugą dłoń opierali na zatkniętych za pasy szerokich nożach do oprawiania ryb. Quietus uniósł się nieco na sienniku i uśmiechnął do nich przyjaźnie. Nie

zareagowali, tak samo chmurni jak przedtem — widocznie na kogoś jeszcze czekano.

Wreszcie, po blisko kwadrze, ze strasliwym sapaniem wdrapał się na poddasze siwy jak gołąb starzec, którego Quietus chyba widział w czasie wjazdu do wioski. Starzec wyglądał pocziwie i zupełnie niegroźnie; usiadł w nogach posłania i patrzył na niego przenikliwymi, bladoniebieskimi oczyma.

— Wołają na mnie Gregorius — odezwał się. — Jestem przełożonym tutejszej gminy. Powiadasz zatem, że przybywasz z Galii?

— Tak, z Durocortorum. Tam też są chrześcijanie i oni mnie tu przysłali.

— To już wiem — odparł Gregorius. — A my wzięliśmy cię za łowcę nagród, łapacza, który jakimś niepojętym zrządzeniem losu dowiedział się o naszej gminie.

— Ależ to niedorzeczne! — Quietus aż podniósł się z posłania, takim płonął oburzeniem. — Gdybym był łapaczem, jak powiadacie, to z chwilą, gdy posługaczka w karczmie, zobaczywszy nakreślony przeze mnie krzyż, zdradziła się jako chrześcijanka, powinienem wsiąść na konia i wrócić tu wieczorem z gwardzistami. Do tej pory bylibyście już ukrzyżowani.

— Tak też i ja myślę. — Gregorius dał znak mężczyznom, a ci z wyraźną ulgą zdjęli ręce z rękojeści noży. —

Poza tym Tess mówiła...

— Ta dziewczyna z karczmy?

— Tak, Tess. Mówiła, że nie możesz być złym człowiekiem, bo masz dobre oczy, zupełnie jakbyś był jednym z nas. Mogę to tylko potwierdzić. Zatem witaj wśród braci. — Starzec pochylił się nad nim i ucałował go ceremonialnie i zarazem serdecznie. — Bardzom rad, że udało się nam oszczędzić popełnienia śmiertelnego grzechu, który musielibyśmy wziąć na swoje sumienie...

— ...wrzucając moje zwłoki do rzeki — uzupełnił z pozorną niefrasobliwością Quietus.

— Nie bądź zbyt pamiętliwy, bracie. Żyjemy przecie w ciągłym strachu,

musimy baczyć na każdego obcego. Powiedz lepiej, jak nas tu znalazłeś?

— Nie było to proste zadanie. Wiedzieliśmy z zachowanych zapisków, że jakiś mały odłam gminy galijskiej uszedł w te strony przed prześladowaniami — odrzekł zadowolony, że wszystko, jak na razie, rozgrywało się dokładnie wedle przewidywań Marcusa. Prawdę mówiąc, początkowo nie bardzo w tę jego intrygę wierzył. — Oczywiście nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie osiedliła się owa grupa, toteż dość długo szukałem w Calisji, potem w okolicy, bez skutku, aż usłyszałem od kogoś o waszym Galijskim Wądole. Pomyślałem sobie — galijski, Galowie...

Postanowiłem jeszcze raz spróbować, choć tak się już zmęczyłem mymi próżnymi wysiłkami, że zamyślałem jechać z powrotem.

— To dziwne — mruknął w zamyśleniu Gregorius. — Kiedy nasi pradziadowie opuszczali Galię, aby osiedlić się w tym barbarzyńskim kraju, sądzili, że pozostawiają za sobą jeno spalone domostwa, gruzy kościołów i kości pomordowanych braci. Wydawało im się, że są na zachodzie imperium ostatnimi żywymi chrześcijanami. Tak i my sądziliśmy dotąd.

— Można łatwo zabić ludzi, ale zniszczenie idei trwa o wiele dłużej. — Quietus często to słyszał od Marcusa. — Przetrwaliśmy pogromy, ale jest nas

niewielu i też żyjemy w ciągłym lęku. Edykty Apostaty są nadal w mocy.

— Cóż zatem słysząc u naszych braci w Galii? — zapytał Gregorius. — I jakież to przywozisz od nich posłanie?

Quietus niedostrzegalnie przełknął ślinę. Zbliżał się kulminacyjny moment rozgrywki.

— Szukam pewnej księgi, bardzo ważnej dla naszej religii. W czasie wszczętych przez Apostatę prześladowań istniejące odpisy wpadły w ręce pogan. — Takiej terminologii na określenie Rzymian kazał mu używać Marcus; w ogóle szło mu chyba coraz lepiej. — Nie ocalał bodaj jeden egzemplarz. Wierzymy w Jezusa Chrystusa, naszego Nauczyciela, ale

nauki Jego znamy jeno z ustnych przekazów, opowieści starców, bardzo mglistych, niedokładnych i czasem wręcz ze sobą sprzecznych. W końcu nasi bracia postanowili, że koniecznie trzeba uzyskać pisma zawierające zasady naszej wiary od innych gmin, a jedyną ocalałą gminą, o jakiej mieliśmy jakiegokolwiek wiadomości, była wasza.

— Tak — powiedział cicho Gregorius.

— Chodzi tu w szczególności o czwórksiąg opisujący żywot i dokonania Nauczyciela, choć i wszystkie inne pisma byłyby cenne... Stąd muszę was prosić, bracia, abyście, jeśli takowe posiadacie, wydali je nam na rok celem przestudiowania i sporządzenia

odpisów. Później księgi zostaną wam zwrócone.

Przerwał i spojrzał pytająco na Gregoriusa. Ten milczał zaszępiiony; wstający świt zaróżowił mu blade policzki. Starzec dotknął skroni i przetarł oczy.

— Zaiste, ciężkiej od nas wymagasz ofiary. Ale czyż z drugiej strony całe nasze życie nie jest jednym wielkim Bożym doświadczeniem? Pojąłem twoją prośbę, lecz w tej chwili, bracie, nie mogę ci nic odpowiedzieć.

Quietus poczuł, jak nagle cały w środku topnieje — a więc jednak mieli TO!

Leżał z Tess w wysokiej trawie na

szczycie płaskiego wapiennego wzgórza, przeciętego u podnóża rzeką. Po prawej, daleko w dole, widzieli wioskę, tuż pod nimi huczał burzliwy przełom. Quietus spoglądał na osadę, na małe figurki ludzi krzątających się wokół swoich spraw. Mieszkańcy wioski zyskiwali przy bliższym poznaniu. Rosły młodzieniec o imieniu Teodoros, ten, który w nocy usiłował go zaszlachtować, z pięć razy zdążył go za to przeprosić. Patrzył przy tym na niego z miłością i poważaniem — w ogóle cała gmina dostała jakby skrzydeł na wieść o tym, że poza nimi istnieją jeszcze jacyś chrześcijanie. Poczciwcy nosiliby go na rękach, gdyby im tylko na to pozwolił. Zgodził się za to uczestniczyć wieczorem w ucztę, którą

postanowili wyprawić na jego cześć.

„Nie chciałbym uczynić im krzywdy” — pomyślał leniwie, kiedy z westchnieniem przewrócił się na plecy. Włożył źdźbło trawy między zęby i wystawił twarz do słońca. Miał nadzieję, że oddadzą księgę bez żadnych ceregieli. Nie chciał się tu zjawiać ponownie z gwardzistami Kunona — nie, tego w żadnym razie nie robi. Już lepiej wynająć bandę oprychów, od których pękają tawerny Calisji, ale to też nie było najlepsze wyjście, istniało niebezpieczeństwo, że ci mogliby się zorientować, o co naprawdę chodzi (sam przecież narobił w mieście rabanu, wpytując o chrześcijan) i Kuno tak czy siak by się o wszystkim dowiedział.

Może raczej wynająć watahę Hunów, z tych, co się płaczą przy Via Nova, czekając na słabiej strzeżoną karawanę lub o dorżnięcie przez patrole graniczne? Ci z kolei w najlepszym wypadku okradliby ich bezlitośnie. Najlepiej, gdyby sami wydali mu księgę: wtedy jedynym problemem byłoby dostarczenie jej księciu Tsuomi tak, aby Kunon się o tym nie dowiedział. To akurat było do zrobienia.

Odetchnął głęboko; podmuch wiatru przyniósł od strony rzeki mokry i świeży zapach. Poczuł poruszenie przy swoim boku.

— Czy byłeś kiedyś w Rzymie? — spytała.

Otworzył oczy. Dziewczyna

pochylała się nad nim w ten sposób, że przez chwilę bał się o jej piersi, mogące rozerwać wątłą materię peplos. Kosmyk jej cudownie jedwabistych włosów opadł mu na policzek.

— Tak, kiedyś, dawno temu, gdy byłem jeszcze chłopcem.

— Opowiedz mi, jak tam jest. — Tess patrzyła teraz na niego dużymi, zachłannymi oczyma. Piersi nieco się uspokoiły, nadal jednak wyglądały bardzo kusząco.

— O tym można mówić przez dzień, miesiąc lub rok. O czym by tu powiedzieć na początek?... Może o wykładanych kararyjskim marmurem termach, gdzie zażywają odpoczynku najtęższe umysły imperium, o dziesięciu

gwarnych forach, na których spotykają się kupcy z całej *oikumene*, z całego poznanego świata? O podniebnych akweduktach, dostarczających krystaliczną wodę do białych fontann, o cyrkach i teatrach, co dnia dających inne przedstawienie? O pogańskich świątyniach, gdzie bałwochwalczy oddają cześć posągom, przedziwnie przy tym pięknym? O Palatynie, pałacu cesarza, będącym jednym z siedmiu cudów świata, o tonących w kwiatkach publicznych ogrodach, gdzie najwięksi filozofowie współczesności toczą spory o istotę bytu? O różnokolorowym i różnojęzycznym tłumie, który wypełnia kamienne ulice, przyciągnięty sławą Wiecznego Miasta, o lektykach

patrycjuszy, pływających pośród tłumu niczym okręty po wzburzonym morzu, o noszonych w ten sam sposób kurtyzanach, uśmiechających się do pospólstwa głośno komentującego ich urodę? O mostach, rzuconych przemyślną sztuką przez Tybr, o statkach odpływających z Ostii z rozkazami dla całego imperium? Nie, Tess, o tym nie da się opowiedzieć, to trzeba zobaczyć, nawet gdyby potem miało się nie oglądać już niczego więcej.

Pochyliła się jeszcze bardziej; jej oczy niemal go pochłaniały, ogromne i zafascynowane — tak, Rzym działał swoją nieodpartą magią równie mocno na calisyjskie kurtyzany, jak i wiejskie dziewczki, choćby i chrześcijanki. Uczuł

na wargach dotyk jej chłodnych ust. Smakowała i pachniała inaczej niż dziewczyny, które dotąd znał — dziewoje z karczmy zalatywały cały czas pivem i kapustą, wytrawne zaś służebnice publicznej miłości wstrętnym dla niego piżmem i zepsutymi olejkami. Tess pachniała wodą i nasłonecznioną trawą, a smakowała jak słodka gorycz dojrzałego jabłka. Całował ją długo i namiętnie. Wsunął rękę pod suknię, gładząc pełne i twardniejące pod jego dotykiem piersi — miała cudowne sutki, wspaniałe, kształtne i wrażliwe. Westchnęła głęboko i opadła na wznak, uległa i gotowa.

— Czy przyjdiesz do mnie dzisiejszej nocy?

— Czy zabierzesz mnie do Rzymu?

Uczta dobiegała końca; znużeni biesiadnicy pojedynczo lub parami rozchodzili się do chałup. Ostatni był Teodoros, który żegnając się wylewnie, wciąż patrzył przepraszająco na Quietusa. Zostali tylko we dwóch z Gregoriusem. Siedzieli czas jakiś w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w płomień dogasającego ogniska.

— Często myślałem, mój drogi Fulwiuszu — odezwał się Gregorius — o tym, w jak straszny sposób zakończyły się dzieje naszego Kościoła. I zastanawiałem się, ile było w tym naszej winy. I im częściej o tym ślę, tym widzę ją większą. Przecież wtedy, przed

krwawą łaźnią zgotowaną Kościołowi przez Apostatę, i nam zdarzało się popełniać uczynki zgoła straszliwe: niszczone pogańskie świątynie, kamienowano ich kapłanów, wbijano pogan na pale, niekiedy całe wsie. Przed pogaństwem postawiono wybór: przyjąć krzyż lub zginąć. Nic stąd dziwnego, że odpowiedziano w tak okrutny sposób. Tak naprawdę to Apostata odwrócił tylko żądanie chrześcijan; i on zażądał, aby uznać jego bogów lub zginąć. Tak tedy poległ Kościół, ponieważ stał on na zasadzie, że nie może być cudzych bogów przed tym Jedynym i Prawdziwym.

I powiem ci, Fulwiuszu, iż wydaje mi się, że tamtejszy Kościół popadł w

grzech pychy, którą daje poczucie ziemskiej siły i władztwa: oto zdało się naszym braciom, że nie ma po co nawracać słowem, skoro można to o wiele skuteczniej czynić mieczem; po co chrzcić wodą, skoro można krwią. Tak też i czynili, niepomi, że odchodzą od nauk naszego Nauczyciela, który przecież głosił miłość, nie nienawiść. Mówił o tym, by miłować nieprzyjacioły swoje. Bo przecież to właśnie miłość była tą najważniejszą rzeczą, którą On przyniósł ze sobą na nasz nieludzki, umęczony świat.

Tej miłości się zaparto; i popłynęła krew najpierw pogan, a potem chrześcijan. Mam przekonanie, nie, jestem pewien, iż była w tym ręka

Boskiej Opatrzności, która, zważywszy na szali dobre i złe uczynki, osądziła swój Kościół tak samo, jak przedtem, dawno temu, osądziła Sodomę i Gomorę. I spuściła swój karzący gniew w postaci Apostaty i dzikich wenedyjskich legionów. Dla Kościoła przyszedł czas zgonu i ciemności.

Nie dla wszystkich jednak: nas przecież ocalono i pozwolono przeżyć w tych zapomnianych wenedyjskich puszczech, pod boki naszych katów. Wiele razy pytałem się, a i czynili to moi przodkowie, po co właściwie? Po cóż ta mała gmina, to światełko wiary prawdziwej w morzu zwycięskiego pogaństwa? Czy mamy być ostatnimi przeznaczonymi na zatracenie, czy też

zarodkiem wtórego, odnowionego Kościoła? Bo też i taki mógł być Boży zamysł. Nie wiedziałem nic aż do dzisiaj. Od dawna czekałem na znak mający objaśnić mi tę tajemnicę. Nie na próżno. Tak, ty jesteś tym znakiem!

Nie głosiliśmy tutaj Słowa Bożego, zbyt strachliwi, cały czas drżący o życie. Uważaliśmy, że naszym zadaniem jest przechować je jak najdłużej, aż On sam zdecyduje, co czynić dalej. Otrzymasz zatem Słowa naszego Pana, skoro taka jest Jego wola. Wierzę, że przybyłeś tu, aby dać podwaliny pod budowę nowego Kościoła. Widocznie czas kary i pokuty dobiegł końca. Mogę umrzeć spokojnie, pewien, że w dalekich krajach znowu zabrzmie Słowo Jego mądrości i miłości.

Pamiętamy bowiem legendę, mówiącą o ostatnim z chrześcijańskich biskupów, Sylwaniu, który w czasie największych prześladowań miał sen. W śnie tym przyszedł do niego nasz Pan i Nauczyciel i rzekł mu: „Nie płacz, Sylwaniu, albowiem zapisane jest, że Słowo pierwaj zatoczy krąg, a potem na wieki wieków stanie się Ciałem”. Wygląda na to, Fulwiuszu, że ów czas się zbliża.

Księgi otrzymasz jutro, gdyż chcemy się jeszcze przy nich pomodlić po raz ostatni.

Quietus słuchał opowieści Gregoriusa wstrząśnięty do głębi; nie wiadomo skąd nabrał irracjonalnego przekonania, że starzec mówi prawdę,

że w istocie chodzi tu o nowy Kościół i Słowo ich boskiego Nauczyciela. „Brednie, stary bredzi jak najęty, to i mnie się udzieliło” — perswadował sobie w duchu, usiłując zagłuszyć płynący z wnętrza głos. W mowie starego chrześcijanina czuł tajemną moc, pewność absolutnej, boskiej racji. Wiedział, że nie powinien go słuchać, bo przecież w interesach nie ma sentymentów ani tym bardziej miłości. Ani wiary, ani nadziei, ani miłości. „Skąd mi to przyszło do głowy?” — zdziwił się. I nagle z całych swoich sił zapragnął powiedzieć tamtemu prawdę. Nim zdążył się zastanowić, już mówił:

— Ojczy Gregoriusie, ja...

— Wiem, co chcesz powiedzieć —

przerwał mu starzec, uśmiechając się tajemniczo. — I powiadam ci, odrzuć wątpliwości i czyń, co ci poruczono. Jesteś tylko narzędziem Opatrzności, jako i ja, pamiętaj o tym, nawet gdybyś nie zdołał pojąć istoty tego, co czynisz. Zwłaszcza wtedy.

Quietus zamarł, zdjęty paniką — czyżby Gregorius o wszystkim wiedział? Jakim sposobem? I ot tak sobie godził się z tym, dając się podejść jak dziecko?

Starzec wstał i przeciągnął się, potem wylał resztkę wody ze swojego kubka na dogasające ognisko.

— Późno już, idźmy spać. Do pierwszych kurów niedaleko.

Odszedł i Quietus został sam. Głowa huczała mu od sprzecznych myśli. O co

właściwie Gregoriusowi chodziło? Czyżby wiedział o sprawie więcej niż on? Czyim w takim razie stał się narzędziem? Chrześcijańskiej Opatrzności czy nipuańskiego księcia Tsuomi? A może znaczyło to to samo? „Nie, to nonsens” — szepnął do siebie i wzdrygnął się, ogarnięty nagłym chłodem. Zapadła głęboka noc. Podniósł się i poszedł na kwaterę, na to samo poddasze, co i wprzódy. Kiedy wdrapał się na górę, wyczuł, że jest tam ktoś jeszcze. Zamarł w bezruchu, oczekując najgorszego.

— Tutaj jestem — usłyszał dobiegający od posłania głos Tess.

Przed nim, na przedłużeniu

opadającej w dół Via Germania, widniała, szeroko rozłożona nad rzeką, zbudowana rękami rzymskich architektów Calisja, niegdyś drewniane grodziszcze jego sklawińskich przodków, od trzech wieków stolica prowincji Wenedia. Nigdy jeszcze nie czuł takiej nienawiści do tego miasta jak dzisiaj. Opanowało go nieprzeparte pragnienie, aby, omijając je szerokim łukiem, skierować konia na Via Nova i pognać szalonym galopem ku spieczonym stepom Wschodu, tak daleko jak to będzie możliwe. Nie uczynił tego jednak — ukryty w gromadzie zdążających na targ wieśniaków przekroczył miejskie rogatki.

U Agamemnona jak zwykle bawiono

się wesoło, karczmę zapełniał tłum żołnierzy, scytyjskich kupców i flisów pławiących drewno do Truso. Nie brakło też Marcusa Corejmusa — filozof zachłannie miętosił właśnie piersiastą karczemną dziewczkę. Ujrawszy wchodzącego Quietusa, który blady jak śmierć zbliżał się ku niemu, zamarł z otwartymi ustami. Odprawił dziewczkę, popatrzył na niego uważnie, potem bez słowa podsunął kufel. Quietus łąpczywie opróżnił go do końca, otarł usta wierzchem dłoni i chwycił za drugi, ale Marcus go powstrzymał.

— Co się stało, przyjacielu? — spytał. — Nie przyszedłeś chyba tutaj się upić?

— Jeszcze dziś w nocy wydadzą

księgę. Uwierzyli mi, dali się podejść jak jagnięta.

— O, to wspaniale. Tedy sprawy toczą się po naszej myśli. Idy sierpniowe wypadają jutro.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że to dla nich takie ważne... — powiedział Quietus, jakby do siebie. — O chrześcijanach nie mówiono nam nic, a jeśli już, to przedstawiano ich jako dzikie i fanatyczne zwierzęta, żądne krwi wszystkich odmawiających przyjęcia ich wiary...

— Tak też i było — wtrącił Marcus.

— Ale ja tej żądy krwi u nich nie widzę; to chyba najmiłosierniejsi ludzie w całym imperium. Głoszą miłość, nie wojnę. Jedyne, o czym marzą, to aby

zostawić ich w spokoju. I wydaje mi się, że zasługują na ten spokój jak nikt inny.

— Mój zacny Quietusie, czyżbyś miał jakieś opory? — zapytał Marcus z niepokojem w głosie. — To do ciebie niepodobne!

— Sam już nie wiem... Zastanawiam się tylko, jakie mam prawo decydować o losie tych ludzi. Czy moja chciwość może być tu wystarczającym uzasadnieniem?

— Uważaj, Quietusie! — rzucił drwiąco Marcus. — Oni to nazywali sumieniem; poza tym zapomniałeś, czegom cię tak długo uczył: celem filozofii jest zdobywanie i wykorzystywanie wiedzy, a nie praktykowanie wiary w bogi czy

demony, a z tego, co słyszę, tyś już prawie chrześcijanin!

„Zbyt mi pochlebiasz” — pomyślał Quietus, ale głośno nic nie odrzekł. Poruszył się niespokojnie, czując bliskie zagrożenie: wydawało mu się, że w ciżbie przy drzwiach dostrzega Paolosa.

Marcus w zamyśleniu bębnił palcami po stole.

— Po co tu przyjechałeś? Aby uzyskać ode mnie wsparcie na ścieżce cnoty, na którą najwidoczniej wstąpiłeś? — zakpił.

Ale Quietusa już nie było. Za to z tłumu przy wejściu wychyliła się ku niemu szpicłowata gęba Paolosa.

Do wioski wrócił późną nocą, dłużej

niż przedtem jadąc Via Germania — chciał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, czy nie został przypadkiem wytropiony przez ludzi Kunona. Ale nikt za nim nie jechał. To było dziwne i niepokojące.

Samą osadę zastał ciemną i jakby opuszczoną. Z trudem odnalazł gospodę; niebo zasnuły ciężkie chmury i z ledwością rozróżniał niewyraźne kształty przysadzistych chałup. Od ściany gospody oderwała się ciemna postać.

— Gdzie byłeś, Fulwiuszu? — zapytała z wyrzutem. Poznał głos Tess. — Bracia już czekają w baptysterium.

„Tak, muszę im powiedzieć” — myślał, kiedy prowadzony przez dziewczynę za rękę szedł za nią wąską,

nadbrzeżną ścieżką ku bielejącemu w oddali wapiennemu urwisku. Szum rzeki nasilał się, byli coraz bliżej przełomu, który wczoraj obserwował ze szczytu wzgórza. Weszli między skały. Po chwili Tess zatrzymała się i wyciągnęła dłoń, szukając czegoś przed sobą. Pociągnęła go dalej; po ogarniającym twarz chłodzie poznał, że weszli do jaskini. Długi, wyżłobiony w kamieniu korytarz opadał cały czas w dół. Tess szła pewnie, widocznie znała drogę na pamięć. Kroczył za nią ostrożnie, wolną ręką macając po ścianach. Wyglądało mu to na naturalne katakumby, powstałe w wyniku drążenia wapienia przez wody podziemne.

Daleko przed sobą dostrzegli

wreszcie odblask nikłego światła; przeszli jeszcze przez pięć czy sześć połączonych ze sobą komór, w końcu dotarli do obszernej, ozdobionej wspaniałymi stalaktytami pieczary, oświetlonej smolnymi łuczywami.

Byli tam wszyscy mieszkańcy osady, łącznie z dziećmi. Klęczeli ze złożonymi na piersi rękoma, zwróceniu ku ołtarzowi, który stanowił obrobiony kamienny blok przy jednej ze ścian, przykryty białym płótnem. Stała na nim gruba świeca, wyciosany z surowego drewna krzyż, poczerniały ze starości, i sporawa smołowana skrzynka, jakich jeszcze czasem używano do przechowywania papirusów. Quietus uczył nagle ukłucie w okolicy serca; a

więc tam było to, czego tak usilnie poszukiwał. Tuż przy ołtarzu, z dala od innych, klęczał Gregorius, także pogrążony w modlitwie.

Po prawej stronie ołtarza zobaczył coś jeszcze: niewprawny, kreślony na gładkim kawałku skalnej ściany grubymi kreskami wizerunek młodego, brodatego mężczyzny o pociągłej twarzy, o głowie otoczonej idealnie kolistym, promienistym kręgiem. Quietusa uderzył smutny i melancholijny wyraz jego oczu, zapatrzonych gdzieś przed siebie, zda się daleko, poza ludzkie horyzonty. Po obu stronach kręgu widniały dwa greckie znaki, Alfa i Omega. Początek i koniec? To On był zatem ich Nauczycielem, którego pamiętali i czcili

do tej pory? Quietus odczuł w sobie gwałtowną chęć poznania nauki o Początku i Końcu. Przedtem musiał jednak coś jeszcze załatwić.

W pierwszej chwili chciał po prostu wystąpić na środek pieczary i powiedzieć prawdę, kim w istocie jest i po co tu przyszedł. Niech zrobią z nim, co zechcą. Nie miał jednak serca przerywać im modlitwy. Pogrążona w ekstazie gromada szeptała niezrozumiałe dla niego słowa, zupełnie już nieobecna na tym świecie. Ktoś z tyłu pociągnął go delikatnie za tunikę. Obejrzał się, za nim stała Tess, z błagalnym wyrazem twarzy.

— Chodź ze mną, chcę ci coś powiedzieć — szepnęła.

Cofnęli się o paręnaście kroków,

dziewczyna wciągnęła go do głębokiej niszy, wyłobionej w ścianie korytarza. Przylgnęła do niego całym ciałem, ciepła i pachnąca.

— Weź mnie ze sobą — poprosiła.
— Nie chcę tu dłużej zostać. Chcę zobaczyć Rzym.

Już miał odpowiedzieć, a właściwie wyznać jej, kim naprawdę jest i co go tu sprowadziło, i że mimo to naprawdę ją kocha, kiedy usłyszał za sobą podejrzany szmer. Położył dziewczynie palec na wargach i ostrożnie wyjrzał z niszy. Chwilę nie widział nic, aż zmartwiało, nie wierząc własnym oczom — w głębi korytarza dostrzegł wpatrzone w poświatę płynącą z pieczary, iskrzące się złowrogo sępie ślepie Paolosa. Za

Grekiem błysnęło coś słabo, jakby poblask miecza czy hełmu. Quietus pojął, że wszystko jest skończone. Wrócił do niszy i przytulił do siebie Tess.

„Jak mogłaś to zrobić” — pomyślał, jednocześnie szukając za pasem drobnej monety. Tess poruszyła się, zaniepokojona.

— Co się dzieje? — spytała.

— Nic. Kocham cię — odpowiedział. Mając już monetę w dłoni, nachylił się i kiedy dziewczyna otworzyła usta do pocałunku, wsunął jej pieniążek pod język. Sapnęła, zaskoczona. Wolną ręką stłumił rodzący się krzyk. W drugiej trzymał sztylet, który wbił pewnie, tuż pod prawą

piersią, gdzie wyczuwał bijące serce. Dziewczyna drgnęła spazmatycznie, na co on pchnął jeszcze głębiej. Nie czuł nic, jedynie ciepłą krew ściekającą na palce.

— Nie powinnaś tego robić — szepnął. — Rzym nie był tego wart.

Tamci w pieczarze kończyli właśnie swoją robotę. Nie słyszał żadnych krzyków, nawet jęków czy choćby dziecięcego płaczu, tylko tępe odgłosy uderzających mieczy. Kiedy wreszcie sam wszedł do pieczary, było już po rzezi. Gwardziści ocierali skrwawione miecze o szaty chrześcijan, kilku rozpalało pochodnie. Mieszkańcy wioski leżeli tam, gdzie zastały ich ciosy, z podkurczonymi pod siebie

nogami. Nie próbowali się bronić. Niemal wszyscy mieli otwarte oczy, a w nich, zamiast grozy nagłej śmierci, jakąś niepojętą dla Quietusa ekstazę. Umarli bez lęku i z godnością; on zaś zrozumiał, że może im jedynie zazdrościć.

Postąpił niepewnie ku ołtarzowi. Stał tam Paolos, pochylony nad zwłokami Gregoriusa. Gdy Grek usłyszał za sobą kroki, odwrócił się i ujrawszy Quietusa puścił do niego kpiarskie oko, jak do współnika właśnie popełnionej krotochwili. Gdyby nie obecność gwardzistów, Quietus rozerwałby go na strzępy.

Odsunął Paolosa i zbliżył się do ołtarza. Krew Gregoriusa poplamiała biały obrus, ale sam ołtarz wyglądał na

nietknięty. Patrzył chwilę na pogodną, prawie radosną twarz starego kapłana, na zbroczone krwią siwe włosy i straszną ranę pod gardłem. Schylił się i zamknął mu oczy, potem sięgnął po smołowaną skrzynkę i otworzył ją. W środku znalazł cztery grube, ciasno zwinięte manuskrypty, a także parę pomniejszych zwojów. Zamknął wieko i uczynił gest, jakby chciał ją schować pod chiton, kiedy uczuł na ramieniu lekki dotyk.

— Mamy już Idy sierpniowe — usłyszał spokojny głos. Obrócił się: za nim stał książę Tsuomi i patrzył mu przenikliwie w oczy. — Zatem zdołałeś dotrzymać umowy. Umówioną zapłatę otrzymasz jutro.

Tuż za księciem sterczało nieruchomo dwóch zamaskowanych strażników, tych samych, których widział przedtem na Forum Apostaty. Książę Tsuomi wyciągnął rękę po skrzynkę, Quietus, zupełnie bezwolny, wręczył mu ją, a potem, czując nagłą słabość, oparł się o ołtarz. Z wnętrza jaskini, ubrany w zdobioną srebrem zbroję, zdążał Kuno Lichtenus, świecąc sobie pochodnią. Kręcił z podziwem głową.

— Znakomita robota, szanowny Quietusie! — wykrzyknął na jego widok. — Cała sekta, co do sztuki, i to przyłapana na gorącym uczynku! Zaiste, muszę przyznać, że cię chyba nie doceniałem.

Quietus obrócił głowę ku ścianie — nie chciał, aby widzieli jego łyzy.

Via Nova wiła się nieśpiesznie na płaskiej równinie, ginąc u horyzontu w widocznej w bladym przedświcie ciemnej ścianie lasu. Wapienne płyty błyszcząły matowo w świetle zachodzących gwiazd. Droga wiodła wprost ku przeprawom na Vistuli i dalej, ku ostatnim rzymskim posterunkom. Potem, już poza granicami imperium, przechodziła w stary, koczowniczy szlak południowy, ciągnący się przez stepy nad Borysthenezem do Pontus Euxinus i dalej, przez Armenię i Mare Caspium do greckich miast w Baktrii. Można było

też podążyc prosto na wschód i przez stepy nad Rha i Daix, później przez góry i pustynie Scythii oraz tocharyjskie bezdroża dotrzeć wprost do serca Azji, do tajemniczej Sery w cesarstwie żółtych ludzi, skąd od wieków płynął ku Rzymowi potok jedwabiu i drogich kamieni. Jeszcze dalej było Nipu, niezwykle wyspiarskie państwo księcia Tsuomi. Wieść głosiła, że i dalej, za wielkim morzem, żyły nie znane nikomu ludy o czerwonej skórze. Ale tam nie musiał jechać — mógłby z tocharyjskich stepów skręcić ku Gandarze, a stąd doliną Indusu, omijając Dach Świata, pogrążyć się w nie odkrytych jeszcze wnętrznościach Indyj, rządzonych przez jego dalekich krewnych, Ariów. Później

mógłby przez Taprobane popłynąć ku niezliczonym wyspom rozsianym po całym Oceanus Indicus, sterując wciąż na południe, ku nowym, nie znanym jeszcze lądom, aż do lodowych krańców świata. Gdzieś przecież musiała istnieć, na całej rozległej *oikumene*, albo i poza nią, kraina Lotofagów, kraj zapomnienia, gdzie szalejące w jego pamięci Erynie dałyby mu wreszcie spokój.

W tym miejscu, tuż za rogatekami, Via Nova była przecięta wysokim, największym w całym mieście akweduktem, ufundowanym przez ojca Sewera Flawiusza. U podstawy jednego z luków, na skutek pewnie nieszczelności biegnącej górą rury, utworzył się mały strumyk. Quietus

podprowadził do niego konia i dał mu się napić. Sam też schłodził sobie wodą rozpaloną głowę i spieczone usta. Potem spojrzął znowu na bielejącą w ciemnościach drogę.

Co go tu trzymało? Ziemia, język? Nikt już prawie nie mówił po sklawińsku, Wenedowie rozpierzchali się po całym świecie lub zaszywali w niedostępnych puszczańskich sadybach. W samej Calisji można było naliczyć więcej Germanów, Greków i Azjatów niż rodzonych Wenedów. Jego mowa i plemię umierały bez krzyku, od wieków rozpuszczani w trawiącym setki plemion i ludów żelaznym żołądku Imperium Romanum. Za sto lat o wenedyjskim pochodzeniu prowincji Wenedia będzie

świadczyć co najwyżej kilka miejscowych nazw, przechowanych przez skrupulatnych kronikarzy.

Cóż więcej? Bogowie? Ta śmieszna trójca, Swarozyc, Perun i Światowit, ustawiona w kącie rzymskiego Panteonu? Już jego ojciec wolał modlić się do Kybele, Wielkiej Matki, którą uważał za potężniejszą od całej zebranej tam ze wszystkich zakątków świata boskiej zgrai. Czyż nie są to zatem tylko kloce z drewna lub kamienia, które w głupocie swojej omaszczamy tłuszczem i okadzamy mirrą, aby im się przypodobać? Czyż sprawcza przyczyna wszechrzeczy nie jest jedna, jednakowo daleka i bliska dla wszystkich? Czy zatem chrześcijanie od początku nie

mieli racji?

Z ciemności od strony miasta wyłaniała się grupa ludzi — rozpoznał ozdobną lektykę, niesioną przez ośmiu niewolników i eskortowaną przez dwie znajome postacie w czerni. Puścił konia i patrzył ciekawie na pochód. Przeszli przez łuk akweduktu i po parunastu krokach postawili lektykę wprost na płytach drogi. Niewolnicy i eskorta, skłoniwszy się nisko, cofnęli się w mrok. Zastłony poruszyły się i między nimi błysnęła na moment biała ręka. Zaintrygowany, podszedł bliżej. Uchylił firanę i zajrzał do środka. W obszernym, oświetlonym mdłym kagankiem wewnątrz ujrzał panią Taiko. Kobieta uczyniła ręką zapraszający gest, więc na kolanach

wgramolił się do środka. Patrzyli na siebie w milczeniu. „Czego ona ode mnie chce?” — zastanawiał się. „Czy też myśli pogratulować udanych łowów? A może właśnie dlatego chce mi okazać pogardę?” Pani Taiko sięgnęła do głowy i wyciągnęła z włosów grzebień — w jednej chwili okryła się czarną, aksamitną falą. Na mgnienie przypomniała mu Tess; sięgnęła teraz do bioder i rozsupłała ściągający suknię pas. Wyciągnął rękę i dotknął jej gładkiej szyi, potem odsłonił krągłe i gładkie, jakby toczone z kości słoniowej ramiona. Pod prawą piersią, zadziwiająco pełną jak na tak drobną kobietę, wyczuł znamię o dziwnym i niepokojącym kształcie — dokładnie w

tym samym miejscu, gdzie pchnął Tess. Pani Taiko dmuchnęła na kaganek; siedzieli teraz w ciemności, dotykając się nawzajem.

— Jesteś taka mała — powiedział.

Tym razem w karczmie bawili sami, tylko we dwóch. Marcus pił pivo, ale było widać, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czyni to bez specjalnej przyjemności. Quietus trzymał w ręku kubek z kośćmi; potrząsał nim, patrząc jak sześcianiki układają się w coraz to nową konfigurację.

W gospodzie panował nienaturalny spokój — kto żyw, łącznie z samym Agamemnonem, poszedł oglądać

chrześcijan, których zwłoki wystawiono na widok publiczny na Forum Apostaty. Po południu miało nastąpić zarządzone przez Lichtenusa symboliczne ukrzyżowanie. Namiestnik uznał, że także i ludowi Calisji coś się należy od życia, toteż polecił naprędce zorganizować z tej okazji igrzyska. Planowano bawić się przez następne trzy dni.

— Coś taki ponury, mój Quietusie? — wymamrotał Marcus sponad jednego z opróżnianych kuflów. — To przecież twój wielki dzień. Całe miasto mówi tylko o tobie.

Quietus wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu i spojrział w kierunku drzwi. Marcus podążył za jego

wzrokiem.

— Czekasz na kogoś? — spytał dociekliwie. — Ach, prawda, zapłata od księcia Tsuomi, przecież oni, jeśli wierzyć pogłoskom, wyruszają dzisiaj wraz z wielką kupiecką karawaną Via Nova ku Bosporusowi. A tak a propos księcia, to nasunęły mi się w związku z jego osobą pewne myśli — kilka rzeczy jest co najmniej zastanawiających.

Quietus popatrzył na niego pytająco.

— Przede wszystkim — ciągnął Marcus — dlaczego w tak w końcu drobnej sprawie pełnomocny ambasador cesarza Nipu fatygował się osobiście do Wenedii, ryzykując przez to drogę powrotną przez sarmackie i scytyjskie bezdroża? Przecież z Ostii co miesiąc

odpływa do Cattigary kurierska galera parowa, co by mu skróciło drogę co najmniej o połowę. Z Cattigary jest tylko krok do Sinus Magnus, za którą leży jego wyspiarskie cesarstwo. Dlaczego przyjechał sam, zamiast posłać jakiegoś zaufanego człowieka? Czy uczynił tak jedynie z żądzy posiadania kolejnego manuskryptu w swojej kolekcji? Otóż nie sędzę — wydaje mi się, że był to właściwy, tajny cel jego poselskiej misji. Miał odnaleźć i przywieźć ze sobą czwórksiąg opisujący życie i naukę Jezusa Chrystusa, żydowskiego odszczepieńca, skazanego za czasów Tyberiusza na krzyż przez prokuratora Judei, Poncjusza.

Zapytasz tedy, Quietusie, po cóż im

tam w Nipu owa księga? I tu można chyba znaleźć uzasadnienie. Jeśli dobrze się wczytasz w historię walk Apostaty z chrześcijanami, dowiesz się, że wcale liczne grupy sekciarzy uszły pogromu, chroniąc się w królestwie Partów. Co prawda król Traxes, zmuszony przez Juliana, kazał ich prześladować, nie czyniono tego jednak zbyt gorliwie i wielu uciekło do Baktry. A ponieważ tamtejsi, sybaryjsko usposobieni Grecy raczej nie przyjęli ich nazbyt ochoczo, pomni na ciągnącą się za nimi fałszywą sławę nieprzyjaciół rozkoszy i radości życia, z pewnością musieli iść dalej na wschód. Zapewne część ruszyła przez Imanus Mons ku Żółtemu Cesarstwu, część wraz z biegiem Gangesu ku krainom południa

i najdalszego wschodu. Tu wszelki ślad po nich zaginął — w każdym razie penetrujące te okolice sto lat później rzymskie galery na żadnych chrześcijan się nie natknęły.

Ja myślę, więcej, jestem przekonany, że ci, co nie zginęli w indyjskich puszczech i na morzach południowych, dotarli w końcu do wyspiarskiego cesarstwa, Nipu. Zakrzykniesz, że przecież Nipuańczycy nie są chrześcijanami! Ba, zapytam tu, skąd wiesz o tym? Przecie o Nipu dowiadujemy się tylko to, na co oni sami nam zezwolą. Oczywiście, ich oficjalne wierzenie, sinto, niewiele ma wspólnego z chrześcijaństwem. Ale z drugiej strony, czyż nie jest to jeno

wygodna zasłona, kryjąca zmienione już, chrześcijańskie w istocie wyznanie? Czy nie przyszło ci do głowy, że nasza galijska intryga służy czemuś innemu niż się z pozoru wydaje? I księżę Tsuomi nie po rzadki manuskrypt dla swego księgozbioru tu przybył, ale po kanoniczny tekst czwórksięgu dla rosnącego w wyspiarskim cesarstwie Nowego Kościoła?

Quietus pomyślał nagle, że nareszcie wie, co mu przypominało dziwne znamię pod piersią pani Taiko. Dwie grube, skrzyżowane pod kątem prostym linie. Musiano jej to wypalić. Skojarzył zarazem coś jeszcze.

— To ty ich wydałeś — powiedział, nie patrząc na Marcusa. — Dlaczego?

Tamten spojrział na niego, z kuflem uniesionym w pół drogi do ust.

— Czekałem, kiedy wreszcie to powiesz. Dlaczego? Bo zaczęłaś pękać, mój zacny Quietusie. Byłaś na najlepszej drodze do zaprzepaszczenia całej misternie utkanej intrygi. Gdybyś, tak jak planowaliśmy, wziął księgę i oddał ją Tsuomi, ci ludzie żyliby do tej pory. No cóż, ale ty postanowiłaś paść im do nóg, wyznać swe przewiny i błagać o przebaczenie. Sam wydałaś na nich wyrok.

— Dlaczego? — powtórzył Quietus.
— Z nienawiści do Rzymu?

— A cóż dał nam Rzym? — Marcus z irytacją trzasnął kuflem w ławę, aż ten rozpękł się na kilka kawałków. — Co

dostaliśmy od Rzymu za lata wiernej służby, za okazane w krytycznej dla imperium chwili wsparcie? Ocaliliśmy Rzym przed chrześcijaństwem i w zamian za to uczyniono z nas najbardziej zapadłą prowincję. Niedługo Wenedowie przejdą do historii, i to jako banda głupców, która pomogła Apostacie, nie bardzo nawet wiedząc, o co chodzi, za co później wielkodusznie kopnięto ją w tyłek. Zaiste, wdzięczny jestem Rzymowi i powiadam ci, że nie mogę się doczekać dnia, gdy uderzą na niego zbrojne legie wschodniego, chrześcijańskiego cesarstwa, niosąc mu zagładę i zniszczenie, a śmierć tym, którzy odmówią krzyża. Po to przyjechał tu Tsuomi i, na piekielne moce Hadesu,

uczyniłem co w ludzkiej mocy, aby mu pomóc!

„Nie, to niemożliwe” — myślał zdjęty jakimś dziwnym odrętwieniem Quietus. „Znowu to samo, od początku? Znowu Kościół Miecza zamiast Kościoła Miłości? Nie, to nieprawda, Marcusie — nigdy nie wchodzimy dwa razy do tej samej rzeki. Tak się nie stanie — ja wierzę w miłość postawioną ponad wszystkie wartości świata. I że oni stamtąd, z położonych na antypodach wysp, po głoszące ją Słowo właśnie tu przybyli”.

Coś ciemnego zamajaczyło u wejścia — stał tam jeden ze strażników księcia Tsuomi, odziany na czarno, z zamaskowaną zawojem głową; została

tylko szpara dla oczu. Ich spojrzenia na moment się zetknęły. Quietus ze smutkiem pokręcił głową. Czekał na to od rana. Przed oczyma udręczonej pamięci stanęła mu Tess, ucieszył się, że ją jeszcze zobaczy i poprosi o wybaczenie, nim wspólnie napiją się w Lete wody zapomnienia. Ciemna postać zbliżała się, zasłaniając sobą całą przestrzeń.

— Nie masz racji, Marcusie. Tak się nie stanie, tak się stać nie może. Wierzę, że tak właśnie będzie — powiedział i zamknął oczy.

— Czego się gapicie? — warknął Marcus do dwóch posługaczy, którzy z otwartymi ustami patrzyli na czarnego

szermierza, odchodzącego lekko i zwinnie, bez szmeru, niczym sam Tanatos, bóg śmierci. — Nie widzieliście, jak się zabija człowieka?

Cięcie wyglądało na precyzyjne, prosto przez skroń. Miecz musiał być niesamowicie ostry, ponieważ na skórze została ledwo dostrzegalna kreska. Krwi też prawie nie było. Nie ulegało jednak wątpliwości, iż obywatel rzymski Quietus Fabiusz Mercator jest nieodwołalnie martwy. Marcus sięgnął do upuszczonego obok worka z grubego płótna; ważył solidnie. Wystarczy na podróż do Rzymu i dalej, do Cattigary i samych wysp. A także na wiele innych rzeczy. Westchnął i jął upychać worek za szerokim pasem, opinającym pod

togą jego pokaźny brzuch.

— Cały z tobą problem, mój dobry Quietusie — powiedział do trupa, postrzegając z niejakim zdziwieniem, iż ten jest nad wyraz rozpogodzony — że nigdy nie umiałeś w należyty sposób pogodzić się z pewnymi prawdami oczywistymi, głoszonymi z dawien dawna przez filozofów szkoły cyników. Gdybyś podobnie jak ja przyjął, że, dziś zwłaszcza, grzech jest cnotą, a cnota występkiem, ta historia skończyłaby się zupełnie inaczej.

— A wy na co czekacie? — zwrócił się nagle do wciąż zdębiałych posługaczy. — Weźcie zwłoki szanownego Quietusa i połóżcie obok ciał chrześcijan na Forum Apostaty. Tam

jest jego miejsce. Sam wyjaśnię wszystko pretorowi.

Wyszedł zaraz za nimi. Popatrzył za odchodzącą grupą i napotkał na przedłużeniu ich drogi kolumnę wielkiego cesarza, zwieńczoną jego ogromną figurą. Julian Apostata stał wyprostowany, w cesarskim diademie na skroniach, w jednej ręce trzymając wzniesiony do ciosu miecz, w drugiej odwrócony i przełamany krzyż, symbol zgniecionej chrześcijaństwa.

— Tak, chrześcijanie — powiedział w zamyśleniu Marcus. — Cholerni chrześcijanie.

EUGENIUSZ DĘBSKI urodził się 26 stycznia 1952 roku w Truskawcu (woj. lwowskie). Z wykształcenia jest rusycystą, mieszka we Wrocławiu. Debiutował w 1984 roku w miesięczniku „Fantastyka” opowiadaniem „*Najważniejszy dzień III 394 roku*”, które dało tytuł do jego debiutanckiego tomu opowiadań (Śląsk, 1985). Następne książki Dębskiego to zbiór „*Krach operacji Szept Tygrysa*” (Ałmapress, 1988) i powieści rozpoczynające cykl o bohaterskim Chandlero–Pirxie — Owenie Yeats:

„*Podwójna śmierć*” (właściwy tytuł „Ludzie z tamtej strony świata”, KAW, 1989) i „*Flash-back*” (CIA BOOKS, 1990). Stanowią one odpowiednio pierwszą i trzecią część cyklu, pozostałe, tzn. „*Ludzie z tamtej strony czasu*” (druga), „*Flash-back II: Okradziony świat*” (czwarta) i „*Krótką podróż do wspomnień*” (piąta) czekają na wydanie przez CIA BOOKS. Poza tym wrocławski KAW przetrzymuje od dłuższego czasu jego powieść w stylu fantasy „*Śmierć Magów z Yara*” oraz „*Najważniejszy człowiek Wszechświata*” i „*Bajki dla robotów*”.

Z Gienkiem Dębskim jest taki kłopot, że ciężko go zaszeregować, mimo że wielu zrobiło go już

Chmielewską SF. Jego wesoła natura i pracowitość (muszę to napisać, gdyż wrodzona, jakby sam to określił, skromność nie pozwalała mu się do tego przyznać) powoduje, że ostatnimi czasy taśmowo produkuje kopie, czy jak kto woli klony Owena Yeatsa. I wielu czytelników zaczęło już z pewnością sądzić, że to wszystko, na co stać autora. Mylą się jednak głęboko. Dębski „popęlnia” od czasu do czasu opowiadanie, które przeczy tej opinii. Sądzę, że dzieje się tak z prostej przyczyny. Pisanie rzeczy „poważnych” nie leży w naturze tego wesołka, kawalarza i gawędziarza, spala go wewnątrz na jakiś czas, Owen Yeats i jego nowe przygody ładują mu

akumulatory, i tak w koło Macieju.

Właśnie tę jakby mniej zauważaną częśćkę Dębskiego lubię i cenię. Opowiadanie „Manipulacja *Poncjusza Piłata*” to jeszcze jeden tekst w tym zbiorze, nawiązujący do początków chrześcijaństwa, ale jakże inny od Quietusa; jego tytuł roboczy brzmiał „O czym nie wiedział M.B.”. Podejrzewam, że opowiadanie to może zbulwersować czytelników i niejeden z nich zaatakuje autora przy najbliższej nadarzającej się okazji, posądzając go o herezje.

Opowiadanie następne, „*Prywatny statek z planety Ziemia*”, rozpoczynające się w typowy dla Dębskiego sposób, na wesoło, ma z kolei zaskakujące i smutne zakończenie.

Nie chciałbym żyć w opisanym tam świecie.

Manipulacja Poncjusza Piłata

Ćwierkot niezliczonej ilości kropeł wody, opadających ze specjalnie zbudowanego dachu pośrodku bocznego dziedzińca pałacu Heroda Wielkiego, zlewał się w gładką perlistą pieśń, której tak chętnie, zwłaszcza w miesiącu nisan przeklinanym niemal przez całe

swoje dotychczasowe życie, słuchał procurator Judei Poncjusz Piłat. Od roku, od chwili szczęśliwego dlań spotkania, na początku miesiąca dwie centurie na zmianę zajmowały się wyłącznie wnoszeniem kubłów z wodą na dach pałacu, skąd pochyłym kanałem spływała, ostrożnie wydzielana, na daszek, a stamtąd jedną ciągłą kropelkową kaskadą opadała na ziemię. Ściany z wody chroniły procuratora przed pyłkiem tesorii, który z kolei powodował torturę przeżywaną zawsze przez Poncjusza tuż przed, w trakcie i jeszcze kilkanaście dni po święcie paschy. Ściany z wody łagodziły upał normalny o tej porze roku, przywracały procuratorowi chęć do życia. Te same

ściany były przekleństwem dla legionistów zmuszonych do stałego noszenia wody na trasie wodociągu, a czasem nawet z sadzawki Siloe przez ogrody królewskie do Pałacu Heroda.

Olbrzym Langa podniósł się i nie tracąc kontaktu z panem, dotykając swoim lewym udem goleni procuratora, wbił spojrzenie w niemal nieprzenikliwą kurtynę z kropel wody. Poncjusz uniósł powieki i delikatnie dotknął dłonią nasady ogona psa. Kurtynę z wody przebiła najpierw głowa a potem ramiona i reszta ciała sekretarza. Przybyły pochylił głowę w ukłonie, kilkanaście kropel z pochylonej głowy opadło na posadzkę, bezgłośnie, dźwięk ich upadku zagłuszył plusk

tysięcy innych.

— Mów — powiedział cicho
procurator.

Dopiero drugi raz w swoim życiu mógł normalnie poruszać się w miesiącu nisan, nie przyzwyczał się jeszcze do braku piekielnego bólu towarzyszącego dotychczas każdemu ruchowi, spojrzeniu, niemal każdej myśli.

— Przybył Afraniusz, procuratorze — nieco tylko unosząc głowę powiedział sekretarz.

On również, jak i całe otoczenie Poncjusza nie przyzwyczał się jeszcze, że człowiek ten zdaje się normalnie żyć i nie zagraża życiu swych sług.

— Nie pamiętam, żebym chciał go widzieć — powiedział procurator i

uniósł się nieco, podświadomie oczekując uderzenia bólu.

— Przybył nie wzywany, procuratorze...

— Wezwij go więc — Poncjusz Piłat usiadł i sięgnął ręką do pucharu z winem, umieszczonego w olbrzymiej nieregularnej misie, której jedna część wbijała się w kurtynę z wody, dzięki czemu zawartość kielicha wciąż była przyjemnie chłodna. Cieniutka strużka wody splamiła strój procuratora. — Nie pozwól mu zamoczyć swych szat...

Sekretarz skłonił się i szybko zniknął za wodną zasłoną, a po chwili tuż pod okapem dachu wdarł się do schronienia Poncjusza łukowy daszek, pod którym przemknął suchą nogą zgięty w pół

Afraniusz. Zamarł w tej postawie. Daszek natychmiast zniknął kończąc krótki refren w innej niż dotychczasowa pieśni kropel wody.

— Usiądź, Afraniuszu — powiedział zaintrygowany Poncjusz.

— Witaj, procuratorze — powiedział mężczyzna i po chwili jakby ustawił nos na wprost na wysokości jego ust i wietrzył chwilę. — Zakłócam ci odpoczynek, ale... — oblizał suche wargi i szybkim spojrzeniem sprawdził reakcję procuratora. — Muszę ci powiedzieć o sprawach, które wymagają — moim zdaniem — natychmiastowego działania. Będzie cię prosił o posłuchanie przewodniczący Sanhedrynu... — powiedział nieco

innym tonem, nieco szybciej, jakby chciał nadać swym słowom specjalny sens.

— Tak?... — rzucił łagodnie Poncjusz.

— Jeruzalaim jest niespokojne — powiedział cicho Afraniusz. Drugi raz od czasu, gdy sucho przebył kurtynę procuratora, popatrzył na Poncjusza, na chwilę odsłonił swoje dziwne małe źrenice niemal zawsze ukryte pod opuszczonymi, dziwnie opuchniętymi powiekami. Odsłonięte wyglądały te oczy na wesołe, nawet jakby figlarne, dobroduszne, lecz czasem, wtedy gdy unosił kurtynę zmęczonych powiek, patrzyły badawczo i zostawiało po sobie to spojrzenie pewność, że coś dało

Afraniuszowi. — Arcykapłan judejski przyjdzie prosić cię, procuratorze, o pomoc... — zawiesił głos jakby chciał zaciekawić rozmówcę, ale natychmiast przypomniał sobie, kim jest i z kim rozmawia. — Chce krwawo stłumić niepokój miasta, liczy, że zezwolisz na użycie legii Fulminata...

— Nie po to ją tu sprowadziłem! — ostro rzucił Poncjusz i natychmiast uświadomił sobie, że kłamie. — Zresztą — nieważne... — wskazał ręką dzban z winem stojący w misie. — Obsłuż się sam, Afroniuszu. Wydaje mi się, że po każdym wejściu niewolnika przenika tu również trochę skwaru i smrodu...

Afraniusz wstał i nalał sobie wina do kielicha. Usiadł i spróbował trunku.

— Wyśmienity gatunek, procuratorze — powiedział z uznaniem. — Ale chyba to nie jest falern?

— Caecubum — uśmiechnął się Poncjusz. — Ma trzydzieści lat — dodał uprzejmie. — To samo wino piłeś tu u mnie rok temu. Wszak pamiętasz?

— Pamiętam, procuratorze — Afraniusz przyłożył dłoń do piersi i próbował się uklonić, ale ruch ten skończył się już na samym swym początku. — Langa drgnął i warknął krótko.

Poncjusz pochylił się i położył dłoń na karku giganta. Chwilę jego palce błądziły w gęstej sierści psa a spojrzenie utkwione było w ścianie wody.

— Pamiętasz... — powiedział cicho. — Ja też pamiętam...

Mdły zapach kwitnących tesorii wdarł się w świadomość procuratora tuż przed świtem. Wraz z pierwszym poruszeniem uśpiony, przyczajony w zakamarkach sypialni ból okrutnym błyskawicznym skokiem dopadł Poncjusza Piłata i zakotwiczył się w jego głowie, odbierając ochotę do działania, myślenia, do życia. Zatrzeszczały zaciśnięte zęby, gdy procurator Judei walczył, by nic okazać jękiem uległości wobec szczególnie upiornej fali bólu, wystraszony Afrykanin omal nie wypuścił z dłoni kielicha z winem wymieszanym pół na

pół z zimną źródlaną wodą. Poncjusz Piłat przeczekał, aż ból zejdzie do zwykłego poziomu i wyciągnął dłoń. Pod przymkniętymi powiekami zamajaczył widok innego kielicha wypełnionego ciemną, prawie czarną cieczą. „*Dałbyś mi trucizny, Afrykaninie* — pomyślał procurator. — *A może nawet darowałbym ci za to wolność...*” Wypił połowę pucharu i niemal oszalały po drugiej fali bólu, spowodowanej nieznacznym poruszeniem głowy, zacisnął palce na nóżce naczynia — wiedział, że hałas obudziłby ból właściwy, który niczym nożem rozwarłby jego wargi i wydusił z gardła zwierzęcy ryk. Po chwili najpotworniejszy ból przycupnął,

Poncjusz rozwarł zaciśnięte spocone palce.

— Lektyka...

Pod kolumnadą panował głęboki cień. Słaby zapach jadła gotowanego przez kucharzy w centuriach pierwszej kohorty dwunastego Piorunonośnego, ukochanego legionu procuratora, docierał tu zwiewną falą i mimo wszystko mieszał się ze znieawidzonym zapachem tesorii. O bogowie, za cóż ta kara?...

Sekretarz czekał zgięty w głębokim ukłonie. Jego dłoń zostawiła mokre ślady na zwitku pergaminu. Procurator poruszył palcem wskazującym prawej ręki.

— Mów... — wychrypiał obiecując

sobie, że zaraz po wysłuchaniu każe Markowi Jaszczurzej Śmierci udusić sekretarza.

— Podsądna z Maldeonu, procuratorze — wydusił z siebie świadomy myśli Poncjusza mężczyzna. — Skazana za wichrzycielstwo przez Sanhedryn, ale tetrarcha odmówił rozstrzygnięcia jej sprawy i wydany wyrok śmierci przesłał do twojej dyspozycji...

Policzek procuratora drgnął. Syknął:
— Wprowadźcie oskarżoną.

Spod przymkniętych powiek patrzył jak dwaj legioniści — chwiała Warn Bogowie, że zdjęli sandały — bezgłośnie wprowadzają pod kolumnę jakąś postać ubraną w starą, ale czystą,

kiedyś żółtą teraz niemal białą chaldeońską carrę. Na głowie miała nową cienką opaskę, spod której wysuwały się niemal jasne jak carra włosy, na których ślady kurzu i układanie się w strąki świadczyły o noclegu — i to niejednym — w lochach pod pałacem Kajfasza. Górna warga była spuchnięta, zarówno jak i łuk brwiowy nad prawym okiem, ale same oczy patrzyły na procuratora niemal bez lęku. Dominowała w spojrzeniu ciekawość.

— Namawiasz jersuzalaimski lud do bluźnierstwa — poruszając tylko wargami, niczym wykuty z granitu posąg z ruchomymi ustami, powiedział Po grecku Poncjusz.

Kobieta drgnęła i uniosła związane w przegubach dłonie.

— Synu człowieczy! Gdybym wiedziała...

Procurator, nadal nieruchomy, nieco szerzej otworzył usta i przerwał jej:

— Poczekaj! — i nie zmieniając tonu, tak samo martwym głosem rzucił w przestrzeń: — Centurion Marek Jaszczurza Śmierć do mnie... — a gdy bosy jak wszyscy, którzy stykali się w miesiącu choroby Poncjusza z nim samym, z okropnie zniekształconą twarzą Marek stanął przed nim, powiedział: — Poucz tę kobietę, jak należy zwracać się do procuratora Judei.

Zanim zamknął powieki, zobaczył jak olbrzym jednym ruchem,

przechodząc obok skazanej, nie zwalniając ani na jotę, zagarnia ją pod swoje lewe ramię. Wyraźnie wyobraził sobie jak Marek wpycha jej w usta kłęb szmat, by jęk nie zakłócił jego spokoju, po czym niedbałym ruchem, jakby tylko wysuwając korbacz z za pasa, uderza końcem rzemienia w plecy kobiety. Procurator miał pewność, popartą doświadczeniem, że uderzenie Marka Jaszczurzej Śmierci zwała z nóg bawołu, wiedział też, że ten akurat cios będzie wyskalowany tak, by nie zabić przestępczyni. Po chwili stała przed procuratorem, nie słyszał kroków wracającego Marka, ale poczuł to zupełnie jakby dotknął jej palcami. Otworzył oczy.

Bezbarwnym głosem zapytał:

— Imię?

— Czyje? Moje? — szybko powiedziała po grecku kobieta. — Procuratorze? — dodała szybko, widocznie wspomniawszy udzielone przez Marka instrukcje. I natychmiast zrozumiała, że sama doprowadza do złości Poncjusza. Zatrzęsa się i dodała: — Caneya, procuratorze. Nazywają mnie też Ba-Toba. To znaczy... — starała się jak najszybciej zatrzeć niedobre wrażenie, wywarte swoimi poprzednimi słowami.

— Wiem — procurator przeszedł na aramejski. — Dobra Dla Wszystkich.

Kobieta szybko skinęła głową, musiała być bardzo osłabiona, bo ten

ruch spowodował, że zakołysało się całe jej ciało i niemal runęła na bok. Procurator zmarszczył się, a Marek drgnął, ale nie widząc przyzwolenia nie dotknął kobiety.

— Tak więc... — ból zelżał nieco i procurator odrobinę szerzej otworzył oczy. Mówił teraz po łacinie. — Namawiałaś lud jersuzalaimski do powrotu na jakoby właściwe ziemie Gobry oraz wiary praojców. Chcesz, by wielbił bałwany Czterech Dwuokich?...

Caneya otworzyła szeroko oczy i uniosła skrępowane dłonie do ust.

— Czy... — powiedziała gwałtownie i natychmiast spazmatycznie wciągnęła powietrze świadoma, że niemal krzyknęła. — Czy powiedziała ci

to, procuratorze, kobieta, która spisywała moje słowa, chociaż prosiłam ją, by tego nie czyniła? Kiedyś zerknęłam do jej zapisków, ona wszystko przekręcała, ale nie mogłam jej zakazać pisania. Każdy czyni co chce... — posługiwała się łaciną równie swobodnie jak aramejskim i greckim.

— Czy nie sądzisz, że już te słowa zaprowadzą cię do miejsca, z którego się nie wraca? — zainteresował się procurator. — Czyżbyś sądziła, że rozkazy boskiego imperatora nie są jedyną wskazówką działania sług jego? — zerknął w bok i syknął: — Zostawcie nas! Słucham? — spojrział na Caney.

— A czy twoja choroba zależy od

twojego pana? — zapytała cicho Ba-Toba.

Procurator drgnął i natychmiast miriady rozpalonych ostrzy wbiły się w jego skronie. Zabijcie ją natychmiast! A potem zabiją was!...

— To częsta przypadłość kwiaciarzy dolejskich, procuratorze — usłyszał przez falę potwornego bólu. — Oni radzą sobie z tym w dość prosty sposób — owijają twarze cienką tkaniną, którą niemal bez przerwy zwilżają. Ty możesz tego uniknąć bardzo łatwo. — Ból niespodziewanie ustąpił całkowicie i szlochający w duchu z ulgi procurator zobaczył przez warstewkę łez sylwetkę kobiety. — Możesz kazać rozpiąć tu w cieniu namiot i kazać go polewać bez

przerwy wodą. Pyłek tesorii nie przedrze się przez tę kurtynę i będziesz mógł...

— Jesteś znachorką? — przerwał Poncjusz.

— Nie, hegemonie — powiedziała Caneya. — Jestem prostą córką ludzką...

— Tak-tak, wiem! — przerwał Poncjusz i nawet odważył się wykonać niecierpliwy gest dłonią. — Syn człowieczy... Córka... — uniósł nieco głowę. — A ta, która zapisuje twoje słowa? To też córka rodu ludzkiego?

— Tak...

Caneya znowu zapomniała przed kim stoi, jej ufność była rozbrajająca. Procurator rozchylił wargi w

nieśmiałym uśmiechu. Wyciągnął dłoń i strącił ze stolika puchar. Niemal natychmiast zza kolumny pojawił się siny ze strachu niewolnik.

— Każ rozbić tu cienki namiot — powiedział Poncjusz. — I niech Marek wyznaczy swoją centurię do noszenia wody. Namiot ma być stale wilgotny — ruchem dłoni odprawił raba i przyjrzał się Canei.

— Dzisiaj nie będzie ci już potrzebny... Procuratorze — uśmiechnęła się naiwnie. — Nadciąga burza, zmyje pyłek tesorii...

— No to powiedz mi teraz, o co cię oskarża tetrarcha?

Procurator sięgnął po dzbanek i gardząc etykietą, nie czekając aż ktoś

należy do kielicha, umoczył usta w winie.

Procurator sięgnął do kielicha i upił łyk wina. Zdjął rękę z szyi psa.

— Więc czego teraz chce tetrarcha?

— Będzie cię prosił, hegemonie, o powstrzymanie migracji ludu, o...

— Wybacz, procuratorze — głowa niewolnika do karku wsunęła się do wodnego pokoju hegemonia. — Przybył Arcykapłan Józef Kaifasz i usilnie nalega na rozmowę z tobą.

Poncjusz Piłat zmrużył oczy i popatrzył na Afraniusza. Zapytany wzrokiem uniósł lekko ramiona i wstał.

— Zostań — zdecydował procurator. — Czuję, że będziesz

potrzebny.

— Ale tetrarcha nie będzie chciał mówić przy świadkach...

— To nie — wzruszył ramionami Poncjusz. — To on ma prośbę... — w jego oczach zapłonął mętny ogień zemsty. Po krótkiej chwili opanował się i skinął na niewolnika. — Wprowadź arcykapłana, tylko tak, żeby nie przedostało się tu powietrze z zewnątrz.

Afraniusz szybko poderwał się i nie zwracając uwagi na warknięcie Langa podszedł do kurtyny po przeciwnej stronie i szybko wyszedł.

Natychmiast pojawił się z powrotem i wrócił na swoje miejsce ociekając wodą. Popatrzył na procuratora i uśmiechnął się.

— Wybacz, procuratorze. Niezwykłe silny jest dziś upał. Bałem się, że zemdleję. I zazdrościłem tetrarsze... A on, mokry, złościłby się...

Poncjusz przygryzł dolną wargę i przyjrzał się Afraniuszowi.

— Jesteś geniuszem, Afraniuszu. Ja daję się ponieść emocjom, rzadko, ale zdarza mi się to. Tobie — nie. Prawda?

— Jeśli nie mógłbym zapanować nad sobą, jakbym miał kierować innymi na twoją chwałę, procuratorze?

Poncjusz Piłat pokiwał głową i odwrócił się ku ścianie wody, przebijanej właśnie przez przewodniczącego Sanhedrynu, arcykapłana judejskiego Józefa Kaifasza. Wyprzedził ukłon

czarnobrewego krzepkiego starca lekkim skinieniem głowy i wskazał mu miejsce zwolnione przez Afraniusza.

— Witaj, hegemonie — powiedział Kaifasz i umyślnie obojętnie spojrział na Afraniusza zgiętego w ukłonie.

— Cóż cię sprowadza, arcykapłanie?

— Nie jest to kwestia, przy której obecność...

— Mam do Afraniusza całkowite zaufanie i bez niego nie będę rozmawiał! — uciął Poncjusz. — Mam przeczucie, że potrzebny nam będzie mądry doradca. Już rok temu... — pochylił się i spojrział ostro na Kaifasza — ...trzeba mi było zasięgnąć czyjejs światłej rady, a nie ulegać Sanhedrynowi...

— A więc Sanhedryn ma do wyboru ułaskawienie jednego z dwu rozbójników — Bar Rawana lub Caneyę? Bo rozumiem, że dwaj pozostali, którzy będą dzisiaj zabici — Dismos i Getas, wobec tego, że podburzali lud do buntu przeciwko Cezarowi, nie podlegają ułaskawieniu?

— Tak, procuratorze. Sanhedryn, zgodnie z prawem i obyczajem w związku z rozpoczynającym się świętem Paschy, prosi o ułaskawienie Bar Rawana.

— Zaskoczyłeś mnie, przyznaję — powiedział spokojnie procurator Judei. — Chyba się pomyliłeś? Przecież ta kobieta jest winna li tylko wygłaszania

głupich słów w Jeruzalaim, jest przy tym niewątpliwie niespełna rozumu. Natomiast Bar Rawan nie dość, że nawoływał do powstania, to zabił również żołnierza, gdy go ujmowano. Jest bez porównania bardziej niebezpieczny od tej szalonej Maldeojki! Proszę, byście, ty arcykapłanie i Sanhedryn, jeszcze raz rozpatrzyli tę sprawę i uwolnili mniej niebezpiecznego przestępcę. To znaczy Caneyę. Więc?...

Kaifasz monotonnym głosem wygłosił krótkie oświadczenie, z którego wynikało, że Sanhedryn wszechstronnie i dogłębnie rozpatrzył sprawę i jego zamiarem jest uwolnienie Bar Rawana.

— Tak więc nawet moje wstawiennictwo, moje — tego, którego ustami przemawia tu rzymska władza, nie zmieni waszej decyzji? Chcę to usłyszeć po raz trzeci!

— A więc po raz trzeci oświadczam, że uwalniamy Bar Rawana — cicho powiedział Kaifasz.

— Dobrze — wycedził Poncjusz. — Tak więc niech będzie... Ale strzeż się, arcykapłanie — uśmiechnął się nie odsłaniając zębów.

— Czyżbyś groził mi, procuratorze? Dotychczas zawsze ważyłeś słowa, zanim ulatywały z twych ust.

— Masz rację — dotychczas. Ale teraz ja, Piłat z Pontu, Jeździec Złotej Włóczni, powiadam ci — ani ty, ani lud

twój nie zaznacie spokoju!

— Wiem! I lud judejski również wie, że nienawidzisz go okrutnie, będziesz go dręczył, ale do zguby jego nie przywiedziesz! — Kaifasz wyciągnął rękę ku niebu, fanatycznie rozbliły mu oczy. — Bóg go obroni! Usłuszy nas i wysłucha Cezar. Osłoni przed Piłatem!

Procurator otworzył usta, ale nie wydał dźwięku. Przeczekał falę lekkiego bólu. Patrzył chwilę na rozgorączkowanego starca.

— Nasza rozmowa przeciągnęła się ponad miarę — powiedział po chwili. — Blisko południe. Rozstańmy się pamiętając dobrze, co tu dziś było powiedziane. Pamiętaj, że cię

nienawidzę — Poncjusz wycelował palec w pierś Kaifasza. — Wiedz też, jak mi luba jest Kadla, która spisywała słowa Canei, i poborca Mateusz i... I reszta. Wszystko zapadło mi w pamięć...

— Dość dobrze zapadło mi w pamięć, jak broniłeś Bar Rawana — powiedział Poncjusz upijając nieco z pucharu i nie częstując Kaifasza.

— Wiem, hegemonie. Nie żyje Kadla i Mateusz. I reszta...

— Chyba się nie zdziwiłeś?

— Nie. Ale nie czas na rozważanie starych spraw. Lud jersuzalaimski się burzy. Za nic ma władzę Cezara. Gremialnie opuszcza ziemię, udając się

na poszukiwanie legendarnej Gobry, nie chce być mężami i żonami, tylko synami i córkami... — Kaifasz wyrzucał z siebie słowa jak mało ostre kamyki z procy. Poncjusz zrozumiał, że to Sanhedryn bezradny wobec sytuacji wysłał Kaifasza, by złożył głowę, ubłagał procuratora i wyjednał sankcje wobec niepokornych, oszalałych jerszalaimitów.

— A czegoś się, arcykapłanie, spodziewał? Lud lubi ofiary lub poświęcenie, łaknie, by ktoś za niego umierał. Najczęściej na tym się kończy, ale historia uczy, że czasem tak właśnie powstają nowe państwa, nowe religie, wybuchają powstania. Nie wiedziałeś tego, starcze... — podobnie jak rok

temu Poncjusz niczym włócznie wystawił palec w kierunku przewodniczącego Sanhedrynu — ...i zlekceważyłeś moją radę. Ja bowiem wiem, jak ciężko legionom Cezara przyszło opanowanie z powrotem wyspy Lai, gdy po hulance centurii strażniczej zabity został wiejski przygłupek... Tak! Nagle ten, którego sami kopali i kąpali w plwocinie, stał im się drogi. Z jego imieniem na ustach rzucali się pod kwadrygi, a piersiami szalowali swoje mury! Tylko ty jesteś winien, że z niewinnej szalonej kobiety stała się Caneya prorokiem dla twego ludu i ja nie mam zamiaru pomagać ci w drugiej kaźni!

— Prokuratorze! Ona występowała

przeciwko władzy Cezara!

— Boski Cezar ma się obawiać szalonej kobiety? — wytrzeszczył oczy Poncjusz Piłat.

— Zgoda... — ponuro zgodził się Kaifasz. — Ale teraz ona naprawdę zagraża prowincji.

— Teraz? — ryknął Poncjusz. — Teraz to twoja sprawa! Cha—cha! — nalał sobie wina i wypił duszkiem pół kielicha. — To ty ją wydzwignąłeś! Ty utwierdziłeś swój lud w przekonaniu, że mówiła prawdę. Trzeba było ją przegnać albo ośmieszyć, lub porwać i zgładzić po cichu. Oto co trzeba było zrobić. A wyście dali jej do ręki wspaniałą oręż, wytyczyliście drogę, po której teraz rzeczywiście może

prowadzić ludzi do Gobry. A co gorsza — mogą ją znaleźć bez względu na to, czy w ogóle kiedykolwiek istniała!

W zaległej ciszy chór kropel podjął swoją, przerwana głośną rozmową, pieśń. Poncjusz dopił wino i poklepał po grzbiecie zdenerwowanego Langa. Afraniusz zamrugał oczami i odchrząknął cicho. Procurator Judei popatrzył na niego.

— Mów, Afraniuszu. Tobie i twym radom ufam.

— Masz rację, hegemonie. W każdym słowie, w każdym łyku powietrza wydychanego z płuc. Ale rację ma też Kaifasz — to, co się teraz dzieje w Jeruzalaim, jest groźne dla całej prowincji. Nie można zostawić

tego ruchu, by się rozwijał...

— Mam więc wyrznąć w pień całą Judeję? Mogłem i chciałem to zrobić rok temu. Poskromiłem swój gniew. Sam stłamsiłem siebie, a teraz mam ulec wobec głupoty tego starca? Dlatego, że on nie chciał opanować swego zaślepienia? Mam spokojnie skazać na śmierć niewinnych, opętanych głupią myślą ludzi? Skąpać miecze legii Fulminata we krwi?

— Tak! — powiedział głośno Kaifasz.

— Nie! — zagłuszył go Afraniusz. — Sam powiedziałaś, hegemonie — lud potrzebował przywódcy. Lud go sobie stworzył. Trzeba go ludowi zabrać — to wszystko.

Langa ułożył się z przeciągłym stęknieniem. Ziewnął głośno, uspokojony ściszonymi głosami ludzi.

— Masz jakiś pomysł?

— Naszła mnie pewna myśl... — wolno powiedział Afraniusz, starając się nie uśmiechnąć na widok nadziei, która pojawiła się w oczach Kaifasza. — Zabrać ludowi idola nie można. Ale można mu dać innego?... To niebezpieczne, zgoda. Za rok możemy znowu tu radzić, jak usunąć nową groźbę. Myślę, że trzeba połączyć kilka metod i wymazać z pamięci Caneyę, wtedy zniknie groźba migracji. Tylko... Jak tego dokonać! Cóż...

Afraniusz zawiesił głos, spod przymarszczonych brwi i

pofałdowanego czoła zerknął na okap, którego rok temu tu nie było, który uleczył prokuratora z dolegliwości wprawiającej w drżenie otoczenie. Popatrzył na Poncjusza.

— Nieobce jest ci, procuratorze, określenie „zwycięstwo Chalaka” — kontynuował. — Ale sporo trudu swego czasu kosztowało mnie dotarcie do źródła tego powiedzenia. Najczęściej przyjmuje się za fakt historyczny, że Chalak zwyciężył w decydującej bitwie pod Zatarł, dzięki czemu mógł zająć kilka bogatych prowincji i zbudować imperium dwa wieki panujące nad olbrzymim terytorium.

— A jak było naprawdę? — zainteresował się procurator. Kaifasz

siedział z ponurym spojrzeniem utkwionym gdzieś w okolicy stóp Poncjusza.

— Naprawdę Chalak poniósł w bitwie zatartańskiej sromotną klęskę i z resztkami swojej armii wycofał się tam, gdzie mógł — do prowincji Cutel. Ale tam wpadł na szczęśliwy pomysł, najlepszy pomysł swego życia, i zaczął zachowywać się jak zwycięzca — urządzał huczne święta, pokazywał kilku jeńców, zapowiadał rychłe nadejście głównych sił, podczas gdy rzeczywiście zwycięzca, metodyczny Doneis, przygotowywał się do trudnego wobec ogromu armii przejścia przez przełęcz Lachte. W końcu, gdy jego forpoczty weszły do Cutel, trafiły tam na

niespodziewany opór cutelczyków, którzy — czekając na nadciągające rzekomo główne siły Chalaka — sami zaczęli wojować z najeźdźcą. Czynili to tym chętniej, że wierzyli w słowa swojego nowego władcy — bowiem Chalak obiecał ich chronić i w zamian za to został władcą Cutel — a ten śmiał się mówiąc o Doneisie. Kilka niefortunnych pociągnięć tego ostatniego sprawiło, że cały lud stanął do walki i — nie wdając się w szczegóły — Chalak osiągnął to, czego żadną miarą nie osiągnąłby bez swojego szczęśliwego pomysłu. Tę przydługą opowieść przytoczyłem po to, by ukazać potęgę kłamstwa. Kłamstwa przemyślanego, dobrze zorganizowanego

i szczęśliwie zastosowanego. A co to ma wspólnego z naszym kłopotem? — mówiąc „naszym” zerknął na Józefa Kaifasza, intonacją głosu przecząc słowom. — Myślę, że gdyby zacząć rozpuszczać sprzeczne ze sobą pogłoski, wyłapawszy przedtem najgłośniejszych głosicieli prawd Canei, zamącić w głowach jej uczniom, poprzekręcać wszystko co się da... Jak myślisz, procuratorze?

— Poczekaj... Sądysz?...

— Tak... Wymieszać prawdę i fałsz, napuścić na siebie kilkudziesięciu naocznych świadków... Niech podziela ludzi, niech nawet powstaną małe grupki nowych naśladowców — tych zawsze można uciszyć.

— Ale do rzeczy! Jak?!

— Trzeba to będzie dokładnie przemyśleć — Afraniusz podniecony własnymi słowami kilkakrotnie zacisnął palce w pięści i wyprostował je. Napuchnięte powieki całkowicie niemal przesłoniły ciekawskie źrenice. — Niech jedni mówią, że to była kobieta, inni — że mężczyzna. Jedni widzieli, jak niewiasta umarła podczas tortury wodnej na Dziedzińcu Pogan, inni — jak mężowi ścięto głowę. Jedni widzieli, jak jej ciało rozsypało się w pył, inni, jak wziął głowę w ręce i odszedł z nią na pustynię. Jedni — że wraz z nią ścięto czterdziestu jej uczniów, inni — że umarł samotnie na grotach dzid legionistów. Niech nie ma zgody, kto go

chciał uratować — arcykapłan czy procurator, ile miała mężów, ile miał córek. Zasypać lud...

— Tak! — przerwał Poncjusz Piłat. — Już rozumiem. Nalej mi wina, Afraniu. I sobie nalej też... — oparł głowę na podgłówek i zamknął oczy. Chwilę trwał w milczeniu. Potem usiadł sztywno wyprostowany i popatrzył na Kaifasza.

— Tylko dlatego, że chcesz krwi, postąpię jak radzi Afraniu — powiedział cicho. Odwrócił się do Afraniu. — Jutro podasz mi szczegóły — kto, co, jak będzie rozpowiadał. I będziesz śledził wyniki tej gry...

— Chciałbym, żebyś śledził dla

mnie uczestników tej gry — powiedział procurator. Ciemne cienie wokół jego oczu, choć od dłuższego czasu nie cierpiał już na przerażający ból głowy, pogłębiły się. — Chcę wiedzieć, co będzie robił przewodniczący sanhedrynu, i przede wszystkim ta kobieta, która doniosła na Caneyę. Wiesz, o kim mówię?

— Tak, procuratorze. To Cuda. Dostała za to sześćdziesiąt tetradrachm.

— Aż tyle? — zapytał Poncjusz z dziwnym zacięciem w głosie. — Z tego, co wiem... Doniesiono mi dzisiaj rano... Któryś ze zwolenników Canei ma Cudę dziś w nocy udusić...

— Wybacz moją natrętność, procuratorze, ale od kogo pochodzą te

informacje?

— No—o... Tego nie mogę ci zdradzić, ufam, że nie obrazisz się na mnie. Tym bardziej, że wiadomości nie są sprawdzone, ale już wcześniej miałem takie... — procurator poruszył palcami w powietrzu, szukając odpowiedniego słowa — ...przeczcucia, a te mnie nigdy nie zawodzą, że kobieta ta nie będzie długo cieszyć się ze swych pieniędzy. Mają ją w nocy udusić a woreczek z pieniędzmi, owinięty strykiem, podrzucić arcykapłanowi...

Procurator przymknął powieki i lekko uśmiechnął się. Komendant tajnej służby uznał, że bezpieczniej będzie nie widzieć tego uśmiechu. Przymknął również powieki.

— Nie będzie to dla arcykapłana przyjemne, nieprawdaż, Afraniuszu?

Gość otworzył oczy, jak na siebie bardzo szeroko.

— To będzie ogromny skandal!

— Jestem tego samego zdania. I dlatego myślę, że musisz zająć się tą sprawą i uczynić wszystko, co w twojej mocy, by uchronić Cudę.

— Bez wątpienia rozkaz twój będzie spełniony, procuratorze.

— To dobrze — Poncjusz skinął głową i gestem dłoni okazał swoje zadowolenie. — Wiem, że uniemożliwiam zabójcom zemstę na Cudzie. Ale z drugiej strony — pokręcił z powątpiewaniem głową — nie zdarzyło się jeszcze, by zawiodło mnie

przeczucie. Ani razu! — dokończył nieco głośniej.

Gość podniósł się energicznie i poprawił szeroki pas.

— Bądź pozdrowiony!

— Będę czekał na raport o tej kobiecie jeszcze dziś w nocy. Słyszysz, Afraniuszu? Każ straży, by obudziła mnie, gdy tylko nadejdiesz. Czekam.

— Vale, procurator! — rzucił komendant tajnej straży i wyszedł.

Słońce wolno sadowiło się na ostrym zrębie pałacowego muru.

— Jeśli wolno, procuratorze... — Afraniusz sięgnął dłonią w zanadrze i zamarł, gdy Langa poderwał się na równe nogi i przysiadł, by skoczyć mu

do gardła. Cichy rozkaz Poncjusza uspokoił psa. — Mam tu już opowieść, którą należy — jeśli wyrazisz na to zgodę — rozpowszechnić. Jutro podałbym ci, ilu ludzi i którzy będą rozgłaszali swoje opowieści.

Poncjusz Piłat wziął do ręki zwój pergaminu i chwilę kołysał nim w palcach, jednocześnie przyglądając się Afraniuszowi. Potem rozwinął rulon i przeczytał głośno:

„W białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika, posuwistym krokiem kawalerzysty, wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan pod krytą kolumnadę łączącą oba skrzydła pałacu Heroda Wielkiego wszedł procurator Judei Poncjusz

Piłat”.

— Nigdy nie nosiłem płaszcza z podbiciem koloru krwawnika... — powiedział.

— Jutro setka ludzi przysięgnie, że widziała cię w tym płaszczu co najmniej kilka razy. Druga setka będzie twierdziła zupełnie co innego... — z napięciem w głosie powiedział Afraniusz.

Kaifasz przygryzł wargi i wbił spojrzenie w twarz Piłata z Pontu.

„Procurator ponad wszystko nienawidził zapachu olejku różanego, a dziś wszystko zapowiadało niedobry dzień, ponieważ woń róż prześladowała procuratora od samego rana...” — przeczytał Poncjusz i chwilę myślał. *„Miał wrażenie, że różany aromat*

sączy się z rosnących w ogrodzie palm i cyprysów...”

Wszystkie cytaty z: „Mistrz i Małgorzata” Michał Buthakow. Tłum. Irena Lewandowska i Wiktor Dąbrowski, Czytelnik, W-wa 1973

Prywatny statek z Planety Ziemia

Krótki — w skali kosmosu — żywot na Ziemi nie zwalnia nas z walki, nie. Trzeba, powinniśmy, musimy walczyć. Walczyć o... Sięgnąłem po puszkę i złożyłem krótki pocałunek na jej brzegu. Byłem zadowolony — udało mi się sformułować dzisiejszego popołudnia

kilka cennych własnych myśli. Jak chociażby tę o walce. Nie doszedłem jeszcze do celu walki, ale miałem poczucie możliwości sformułowania tej szczególnej myśli już za chwilę, gdy tylko znowu wyłączę się z otoczenia, wejdę w tor rozmyślań. Nieważne, że do takich przemyśleń mógł już dojść ktoś przede mną — ja wymyśliłem je sam i dlatego były cenne. Przynajmniej dla mnie.

Dzisiejsze popołudnie układało się dla mnie jak można najlepiej. Udało mi się przekonać Melbę, by wyłączyła telewizor — nie może baba zrozumieć, że każdy sprzęt musi kiedyś w końcu wysiąść i co wtedy? Na nowy nie bardzo nas stać, a pozbywać się

starego? Pozbywać się trzech punktów?! Dobrowolnie??! Musiałbym być głupi. A z kolei ukrywać awarii nie warto, bo jak się wpadnie... Stop! Żadnych nieprzyjemnych myśli! Odstawiłem puszkę, oceniając przy okazji, na ile mi jeszcze wystarczy, i zanurzyłem się w siebie. Och, jak dobrze mi było tu, w sobie. Ciepłutko, wygodnie. Żadnych zmartwień. Żadnej pogoni za... Stop, do diabła! Miało być przyjemnie... Więc musimy walczyć... O...

— Hubbie!

Drgnąłem i otworzyłem oczy. Nade mną wisiał Ocolo. Miałem ochotę go palnąć. No i czego ten żebrak się mnie przyczepił? Dlaczego wciąż kręci się koło mnie? Chollera, przecież dzieli nas

co najmniej trzydzieści punktów, mam telewizor, garnitur z popielatej wełny, komin i...

— Hubbie, cześć!

Wyszczrzył swoje sztuczne zęby, ciągle je pokazywał, żebyśmy nie zapomnieli o tym, że je ma. Nieszczęsne piętnaście punktów. Żałosna kreatura.

— Czego chcesz? Akurat się zdrzemnąłem! — warknąłem, dyskretnie oglądając się dookoła. Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś nas zobaczył razem. Znowu razem. I tak już cztery dni temu przypadkiem podsłuchiłem Jazoonę, kiedy mówił do Gaby, że niby my dwaj, ja i Ocolo, trzymamy razem, bo bida do bidy! Jaka bida? Komin, ubranie, zestaw wypoczynkowy i jeszcze

kupa punktów. Jasne, że nie jestem Colinsem za dwa tysiące — stocznia rzeczna, samochód itede. I kto to mówi! Jazoon, co to jakby się nie ożenił, wżenił w punkty Goschky, to by musiał...

— W mieście jest nowy!

Poczułem, jak serce wykonało zgrabny piruet i usadowiło się z powrotem na właściwym miejscu. Starannie poruszyłem brwiami: co mnie to obchodzi?

— No to co?

Wypadłem z roli, zamiast obojętnie czekać zapytałem:

— Ma coś?

Ocolo westchnął i pokiwał głową. Znienawidziłem go w tej chwili. Co

sobie, gnój, wyobraża? Że jedziemy na tym samym wózku? Że może czyham, aż znajdzie się ktoś, kto, prócz niego rzecz jasna, będzie miał mniej niż ja? Daleko wam, bąbelki, do mnie. Co nieco się posiada...

— Zatrzymał się w hotelu. Zapłacił za dwie doby z góry. Honda miał do niego pójść na zwiady, ale się rozmyślił. Mówi, że jak facet ma na dwie doby, to może mieć i na rok i wtedy wyjdzie na durnia.

— Na kogo by nie wyszedł i tak będzie lepiej niż jest.

Ocolo usłudzie zarechotał. Co prawda przedtem szybkim trzystusześćdziesięciostopniowym spojrzeniem obrzucił najbliższe

sąsiedztwo. A kto tu może przyjść, przedmieście...

Przeciągnąłem się i ziewnąłem.

— No to dobrze. Może zasili nasze miasto, każdy punkt na wagę złota. Może w przyszłym roku przesunęlibyśmy się w lidze miast — powiedziałem dając jednocześnie miną do zrozumienia, że sam nie wierzę w to, co mówię. Jeśli rdzenni mieszkańcy Atecar nie dają rady, to co może nam pomóc element napływowy? W przeciwieństwie do wielu, mam umysł wybitnie sceptyczny, nie dam się zmylić byle czym. I znam swoją wartość... Co tu dużo mówić — ludzie znają moją wartość, trzeba być szczerym wobec samego siebie... Nagle wystraszyłem się: pomyślałem, że to, co

teraz myślę, mogłem powiedzieć głośno. Zerknąłem na Ocolo. Nie—e... Ta wszą zezowała na moją puszkę z piwem. Ha! Chciałaby dusza... Niedbale sięgnąłem po obiekt jego pożądania i dopiłem dwoma łykami zawartość. Nagle chwyciła mnie złość i zmiąłem puszkę. Rzuciłem ją do tyłu i nie pocieszyło mnie nawet zrozpaczone spojrzenie Ocolo. Głupi osioł. Dałbym mu łyka, przysiągłem sobie, że dam mu przy najbliższej okazji. I tak będę musiał otworzyć drugą, dłużej nie mogę ryzykować popijania herbaty z pierwszej, nakryje mnie kto i będzie chryja. Zresztą i puszka się już wytarła gdzieś i Bon na pewno przypomni sobie, że kupiłem trzy piwa

dwa tygodnie temu, a ciągle wyleguję się w hamaku z jednym w łapie. Udałem, że mi się odbiło i z radością odebrałem zazdrość w oku Ocolo. Wstałem.

— Coś jeszcze mówił Honda? — nasz szeryf miał japońca na chodzie i dlatego od niepamiętnych czasów podlizywaliśmy się przypominając o tym przy pomocy na pozór poufałego przezwiska.

— Nic — Ocolo skrzywił się i jakby przy okazji odkrywając między zębami włókienko mięsa, cmoknął kilka razy.

— E—ech! — równie szczerze przeciągnąłem się, jak on wymłaskiwał mięso. — Nuda. Może pomęczyc się przed ekranem? — zapytałem kogoś w górze nad nami. Kątem oka zobaczyłem,

jak Ocolo oklapł. I dobrze. Za dużo sobie pozwala, nędza jedna.

— A—gh! Właściwie — chrzanię. Nic tam mądrego nie dają. Właściwie czasami zastanawiam się, po co ja go kupiłem — zastosowałem wyświechtany chwyt, ale Ocolo nie miał wyboru — musiał łapać wszystko, a ja znajdowałem przyjemność w jego dręczeniu.

— Jak to, po co? — jęknął żałośnie. — Każdy musi nabywać, jak inaczej nasza...

— Ta—ak? — zdziwiłem się obłudnie. — Co ty powiesz? Nie wiedziałem — pokiwałem głową z politowaniem. — E—ech... Wiadomo, że trzeba. Ale mogłem kupić coś innego,

nie? Zresztą... — machnął ręką. — Melbę tak cieszy ta zabawka, że niech będzie. Mogłem tylko wziąć większy ekran — zerknąłem na Ocolo, ale i to kupił. Bałwan.

Otworzyłem gębę, by oznajmić, że chyba wybiorę się do knajpy, ale zorientowałem się szybko — dzisiaj powlecze się za mną i nie da się ominąć lokalu Bona. Ziewnąłem wypełniając przerwę. Ocolo westchnął i powiedział z nadzieją:

— Pójdę już?

Mruknąłem aprobowająco, więc podrapał się jeszcze, jakby nie mógł tego zrobić na ulicy albo u siebie, i w końcu poczłapał w kierunku furtki. Śledziłem go spojrzeniem i tak nie

mając nic lepszego do roboty, a potem usiadłem i zacząłem myśleć. Zbliża się wieczór, wszyscy siedzą u Bona, połowa miesiąca — do przekazu daleko. Z drugiej strony — mam siedemdziesiąt cztery lata i — co jak co — ale to dobrze wiem — status trzeba pielęgnować! Możesz sobie mieć nie wiem co, ale wiedzieć o tym muszą wszyscy, inaczej psu na budę majątek. I odwrotnie.

Nie miałem wyboru. Szczególnie ja nie miałem wyboru. Zwłaszcza ja musiałem obnosić swoje konto, bo inaczej... Zerwałem się i pognałem do domu. Znalazłem bez trudu Biblię Garmounta i wyjąłem z niej dwa banknoty pięciodolarowe i trzy jedyńki.

Musi coś szeleścić w kieszeni, to nawet przyjemne. Starannie owinąłem jedyńki piątkami i włożyłem do kieszeni, potem wpadłem na lepszy pomysł — takie owijanie to stary numer, zrobiłem inaczej: piątka, dwie jedyńki, piątka i jeszcze jedna jedynka. W ten sposób, jak by się nie wyjęło zwitek, zawsze trzeba będzie „poszukać” drobnych. Specjalnie nie brałem bilonu. Skreśliłem do Melby kilka oszczędnych słów (i tak już pewnie wie o nowym) i dostojnie przemierzyłem ścieżkę do furtki. Wyszedłem na ulicę.

Nowiutki, ubiegłoroczny asfalt, prezent Rady Okręgowej za wyniki sprzed dwu lat, rozgrzał się i powietrze nad nim falowało i czyniło widok

podobnym do odbicia w wodzie. Zgodnie z oczekiwaniami nikogo na ulicy nie było, kobiety siedziały po domach, swoich i cudzych, mężczyźni ścigali powoli do Bona. Tak było prawie zawsze, a w takim dniu tym bardziej. Dopiero po pięciu czy sześciu minutach wolnego marszu spotkałem szczeniaka Lonelyheardtów. Grzecznie się uklonił, ale gdy po chwili coś mnie tknęło i obejrzałem się zobaczyłem, że dumnie wypiął chudą klatkę i założył ręce do tyłu i — nieświadomy, że to widzę — długim krokiem parł do przodu. Niewątpliwie tak wyglądałem w jego oczach. Stałem kilka sekund zastanawiając się, czy nie pomknąć za gówniarzem i nie zrobić mu małego

trzęsienia ziemi, ale machnąłem ręką i poszedłem dalej. Nieznacznym ruchem przetarłem oczy, cholera, tyle lat żyję i jeszcze się nie przyzwyczailem do pogardy i lekceważenia. A czasy takie, że o to najłatwiej. Wziąłem się w garść, przewietrzyłem oczy. Naprzód.

W knajpie było prawie pusto. Bon bełtał coś w shakerze, pewnie wodę z syropem klonowym, jak go znam. Skinąłem mu głową i poszedłem umyć ręce. Musiałem jakoś doczekać, aż przyjdą inni, nie było sensu pokazywać forsę dla dwóch osób. Szorowałem ręce kilka minut, jakbym miał za chwilę wejść na salę operacyjną, ale prawie wcale nie używałem mydła, niech sobie Bon nie myśli, że nie mam swojego.

Wszedłem do lokalu z długim westchnieniem na ustach. Było już kilka osób, więc statecznie podszedłem do baru i wdrapałem się na stołek.

— Znajdziesz puszczkę dla mnie, Bon?

— Ta — wypchnął z siebie.

— No to rzuć tu.

Odchyliłem się w lewo i sięgnąłem do prawej kieszeni. Kilka sekund szarpałem i skubałem zwitek nowych banknotów, aż zauważyłem, że wystarczająco pohłasowałem.

— Bockney, Hobbit, Mine, Goldfinger? — zapytał prowokująco Bon.

— E-e... — rzecz jasna miałem wziąć Hobbita, ale Bon rozchylił swoje

wąskie usteczka pederasty i przerwał mi:

— Hobbit, nie? Tylko dwanaście centów.

— No, właśnie mam ochotę na Goldfingera. Hobbita już dzisiaj zjadłem.

— Siedemdziesiąt drobnych, to wiesz?

Co za gnida. Palcami prawej ręki rozsunąłem zgrabnie swój pliczek i szurnałem w jego stronę jedynekę. Skwitował to leciutkim cynicznym uśmiechem z gatunku: „Wiem swoje”. Musiałem uchronić cały swój zapas cierpliwości, żeby nie wybuchnąć. Chyba już czas umierać, czy jak? Wziąłem swoje piwo i nie otwierając

puszki wbiłem szklane spojrzenie w ścianę. Kilka minut udawałem, że rozmyślam, puszka przyjemnie chłodziła moją spotniałą ze złości dłoń, czekałem, żeby nazbierało się więcej widzów, aż po czterech czy więcej minutach potrząsnąłem głową, jakbym się budził z zamyślenia, i przytomniejącym spojrzeniem rozejrzałem po lokalu. W trakcie mojego rozmyślania jeszcze kilka osób znalazło się przy stolikach i kontuarze. Przyszedł Clark (dom, umeblowany rzecz jasna, czteroletni wóz, siedem akcji NBI), Zuckerman (zakład fryzjerski z wyposażeniem, udział w garbarni, niewielki ale zawsze, pianino), Alexander (kombajn zbożowy, szesnaście hektarów chmielu) i kilku

drobniejszych. Cokolwiek by mówić, niemal kwiat Atecar. Colins tu nie zachodził, ani Barkney, ani Mademoiselle Skoura. Mając dwa i więcej tysięcy punktów też by tu moja noga nie powstała. Niechby ten żartowniś dowcipkował sobie z innymi. John Alexander przechwycił moje spojrzenie i skinął pokazując miejsce przy swoim stoliku. Zabrałem swoje piwo i wolno podreptałem w jego kierunku. Rozmawiał z Abim Floxem (polowa wyciągu krzeselkowego w Denver II) i Jykiem „Lalą” Bonawenturą. Dosiadłem się kiwnąwszy głową, bez słowa, bo Jyk właśnie gadał, a on nie lubi, jak mu ktoś przerywa, czasem tylko ścierpi, ale to musi być ktoś.

— ...podejrzane, mówię wam. Kto się w dzisiejszych czasach rozbija po kraju? Po diabła? Wszędzie to samo przecież. Żyje się tam gdzie można, każdy wie, co ma robić, wiadomo czego nam wszystkim trzeba — rozwoju przemysłu, intensyfikacji rolnictwa, wzrostu stopy życiowej i tak dalej. Powiedzcie, że nie?

— Wiadomo... — bąknął Abi.

— Ta—ak... Ta wojna nie była nam do szczęścia potrzebna — dodał Clark.

Nabrałem do płuc powietrza i wolno wypuszczając pokiwałem głową. Nie otworzyłem jeszcze puszk, chciałem odczekać, by nie strzeliło pianą — niby po co mam tracić kilka łyków? Teraz uznałem, że już czas. Pociągnąłem

kapsel, na co puszcza zareagowała przecudownym sykiem. Nie zmarnowałem ani kropli.

— Może szuka terenów na inwestycje? — bez wiary we własne słowa zapytał Abi Flox.

Pozostali dwaj roześmiali się głośno, dołączyłem do nich. Ale nie szarżowałem.

— Mało jest terenów? Stary, możesz prawie za bezcen wziąć pół Arcansasu! A Ohio? Tennessee?

— Ale tam nie ma siły roboczej! — zdenerwował się Abi.

— Nie gadaj bzdur, tu też... — Jyk nagle przerwał w pół słowa i wskazał Floxowi coś oczami.

Z góry schodził obcy. Nie widziałem

powodu, by odwracać od niego spojrzenie, wszyscy się gapili, niektórzy nawet zapomnieli zamknąć gęby, obejrzałem więc go sobie dokładnie. Postawny, tak to można określić, wysoki i dość masywny, mocny, zwarty. Sympatyczny. Wysokie czoło, które bez wątpienia niedługo zacznie proces przesuwania się ku górze i spointuje go łysiną. Gładko wygolona twarz, choć wydawało się, że niedawno zgolił wąsa — skóra między nosem i wargami była jakby nieco jaśniejsza. Ubrany w miękkie rzeczy, jakie większość z nas nosi w domu — czysta, nienowa flanelowa koszula, podwinięte ponad łokcie rękawy. Spodnie z uszlachetnionej juty —

najpopularniejsze w tej części kraju. W sumie — gdyby oceniać go po stroju, nie wzbudzał specjalnie zaufania. Ale nosił to wszystko elegancko, niedbale, nawet nonszalancko. Tak samo nikt nie powiedziałby o Colinsie, ubranym w takie łachy, że jest biedakiem. Ludzie majątni mają coś w oku, co pozwala im chodzić w cerowanych swetrach i wytartych jutach i nikt im nie podskoczy. Ten blondyn miał coś w oku. Nie zdziwiło go zainteresowanie klientów, nie spieszyło, zatrzymał się na trzecim przed końcem stopniu i równie beczelnie zlustrował towarzystwo.

Ludzie w naszym mieście są bezpośredni, czasy temu sprzyjają. Gwar w lokalu ścichł na kilkanaście sekund,

nikt specjalnie nie męczył się udawaniem. A potem blondyn posłał nam wszystkim leciutki uśmiech i zszedł z reszty schodów kierując się w stronę kontuaru. Zanim doszedł, szmer głosów przybrał na sile, pojedyncze szepty i półgłosem czynione komentarze rozmyły się, zatraciły się w sobie próby oceny, domysły i rokowania. Obcy oparł się pięściami o kontuar i powiedział do Bona:

— Mam piekielną ochotę na kropelkę drambuie albo śliwówki. Nie przesadzam w wymaganiach?

Bon uniósł brwi i pokiwał wolno głową z wargami wykrzywionymi w podkówkę.

— To dobry dowcip — powiedział

spokojnie.

Obcy roześmiał się beztrosko.

— Nie, to słaby dowcip, wiem o tym, ale czasem nie potrafię się powstrzymać. Zresztą, żyję nadzieją, że kiedyś gdzieś ktoś wyciągnie z sejfu butelkę tego płynnego cuda — mlasnął głośno. — Bourbon proszę.

Bon płynnym ruchem przechylił butelkę nad czystą szklaneczką i napełnioną przysunął blondynowi. Ten wziął ją do ręki, podniósł do ust i nagle odstawił. Cmoknął.

— Zapisze pan to na moje konto, bo zostawiłem pieniądze na górze...

Jednocześnie poklepał się po kieszeniach, ale — gdy Bon kiwnął głową i otworzył usta — szybko uniósł

rękę i zawołał:

— Nie—nie! Mam, mam coś w kieszeni!

Grzebał palcami odchylając ciało, aż wyjął zwitek banknotów o różnym nominale i podał jeden Bonowi. Dopiero wtedy, jakby uspokojony, że nie sprawi nikomu kłopotu, łyknął i rozejrzał się po stolikach. Leslie Whitepenny wyszczerzył się do niego i gestem zaprosił do swojego stolika sąsiadującego z naszym. Nieznajomy zbliżył się i, zanim usiadł, elegancko przedstawił się:

— Dave Morrison.

Odczekał nawet, aż Les podał swoje imię, a także Robina i Dicka, siedzącego przy jego stoliku, ale Les, gdy tylko

Morrison usiadł, uznał, że dość tej słownej obmacywanki i przeszedł do rzeczy:

— Jesteś tu w interesach?

Dave roześmiał się.

— Czekałem na to pytanie — powiedział do nieco zdziwionego Lesa. — Podczas swoich podróży poczyniłem obserwacje, których suma mogłaby być podstawą ciekawego studium psychologicznego — odniosłem wrażenie, że zdaje sobie sprawę z faktu używania przez siebie zwrotów niezbyt zrozumiałych dla Lesa, że nie ma wątpliwości co do jego poziomu intelektualnego i że chodzi mu o całość ludu zebranego w knajpie. — Kiedyś, jakie sto lat temu, byliśmy

społeczeństwem otwartym,
bezpośrednim, bezpretensjonalnym — w
miarę jak mówił na twarzy Lesa i Dicka
występowało coraz wyraźniej znamię
cierpienia i nudy. — Potem, w skrócie
rzecz ujmując, przeskoczyliśmy do etapu
alienacji, zamykania się w sobie,
egocentryzmu czy nawet solipsyzmu
przejawiającego się przede wszystkim
w braku zainteresowania innymi ludźmi.
Teraz wracamy do bezpośredniości,
szczerości, starych, dobrych
amerykańskich cech. Nie ulega
wątpliwości, że wzrost poziomu
spożycia wpływa negatywnie na
stosunki międzyludzkie. W tym systemie,
jeśli tak w ogóle można powiedzieć,
nasza atomocalipsa była rzeczą

pozytywną.

— Jesteś cynik — powiedział Robin przyglądając się Dave'owi przez zmrużone powieki.

— Trzeba się jakoś bronić przed koszmarami, jakie nas nawiedzają we wspomnieniach — powiedział poważnie Morrison.

Kilka sekund trwała przy jego stoliku cisza. Wszyscy przysłuchujący cofnęli się w czasie i równie szybko wyskoczyli z wagonu wiozącego ich na tę wycieczkę w przeszłość. Dave ze smakiem pociągnął ze swojej szklaneczki i odstawił ją.

— A wracając do twojego pytania...
— zwrócił się do Lesa — ...Nie jest łatwo na nie odpowiedzieć — nie

przyjechałem tu w interesach, ale też nie jest to wycieczka krajoznawcza. Po prostu osiągnąłem taki stan interesów, że mogę sobie pozwolić na pewną swobodę, robię więc rundę po kraju, czyniąc obserwacje socjologiczne, nie marnując, rzecz jasna, okazji do poprawienia własnych interesów. Hobby to hobby, ale pamiętam o naczelnym nakazie naszych czasów — mieć i dawać, nabywać i produkować, kupować i sprzedawać.

— To chyba zrozumiałe — powiedział z mocą Robin.

Chyba chciał sprowokować Morrisona, ale tamten zupełnie się nie przejął agresywnym tonem Robina.

— A co innego można zrobić?

Oczywiście, że trzeba rozwijać przemysł, handel, inicjatywę. Nie ma innej drogi.

Zrobił dwa małe łyczki. Sięgnąłem po swoją puszkę i pociągnąłem z niej. Przy okazji rozejrzałem się po sali znad puszek, zainteresowanie Dave'em zmalało. Kilka osób wróciło do swoich poprzednich rozmów, kilka jeszcze rzucało ciekawe spojrzenia w jego stronę, tylko paru najbliższej siedzących mężczyzn z jakim takim zaciekawieniem śledziło rozmowę przy jego stoliku.

Odwróciłem się do Johna i zapytałem:

— Co u Jane?

— W porządku — kiwnął głową. —

Ma już dwa wkłady na samochód, sądzę,

że w przyszłym roku może im się udać zrobić ostatnie dwa i przyjadą wozem na krótkie wakacje. Należą się im.

— Oczywiście — zgodziłem się.

— W dużym mieście, to wiesz, nie ma żartów. U nas masz ileś tam i siedzisz z tym całe lata, a tam — jesteś ciągle na widoku, praca, dom, sąsiedzi. Konkurencja...

Kiwnięcia obu głów, mojej i Jyka, skwitowały jego słowa. Obróciłem kilka razy puszkę palcami oglądając wzór rysowany na blacie stołu przez mokrą krawędź dna i otworzyłem usta, by powiedzieć coś mądrego, ale nie zdążyłem. Ktoś z hałasem kopnął drzwi i w barze pojawił się Honda. Zwalisty, ponury, łysy, mściwy drab będący

naszym szefem. Mrocznym spojrzeniem obrzucił obecnych i czterema krokami osiągnął kontuar. Bon raźnie podskoczył do beczki i utoczył pełny kufel miejscowego piwa, które nawet mnie, umiarkowanemu znawcy i średniemu amatorowi, smakowało jak kocie szczyny. Honda uważał jednak, że obowiązkiem, zasranym obowiązkiem, jak mawiał, każdego obywatela jest popieranie miejscowego przemysłu. Lokalny patriotyzm i chęć wybicia były najważniejszymi cechami charakteru Hondy. Jednym pociągnięciem wlał w siebie pół kufla piwa i potoczył spojrzeniem dookoła.

— Zawsze mówię... — oznajmił agresywnie — ...że nie ma to jak swoje

piwo. Przynajmniej wiem, kto i jak je robi. Nie ma w nim żadnego konserwantu, nie wpadnie tam kropla smaru z maszyny. Czuję w nim polne wiatry i goryczkę naszej ziemi.

Nie było chętnych do dyskusji z właścicielem jednej trzeciej udziału w browarze. Honda zauważył Morrisona, ale najpierw dopił swój kufel i wziął do ręki drugi, usłużnie podstawiony przez Bona, i dopiero wtedy skierował się w stronę naszych stolików. Chwilę wahał się, przy którym usiąść — i przy naszym, i tym drugim było po jednym miejscu — w końcu przysiadł się do Morrisona.

— Co cię do nas sprowadza?

Dave wzruszył ramionami, widać było, że nie ma ochoty powtarzać

swojego krótkiego oświadczenia sprzed kilku minut.

— Niemal wakacje. Przed wojną byłem socjologiem, teraz mam niewielką firmę, a gdy miewam trochę czasu, jeżdżę po kraju, łącząc przyjemnie z pożytecznym — obserwuję zmiany w stosunkach międzyludzkich i — gdy mam okazję — załatwiam swoje sprawy: surowce, patenty i tak dalej.

— Jajogłowy — stwierdził Honda.
— Już raz mieliśmy dużo takich. Utrzymywaliśmy ich i ichniejsze uniwersytety, a jak doszło co do czego, to okazało się, że nie było z nich żadnego pożytku. Dobrze, że teraz sprawa jest postawiona inaczej. Dość przelewania z pustego do pustego —

trzepnął otwartą dłońią w stół. — Zgadzasz się ze mną? — wolnym, przelewającym się ruchem przeniósł spojrzenie ze ściany, w którą cały czas wpatrywał się, na Morrisona.

— Niezupełnie, ale to chyba nie jest ważne.

Słyszałem, albo wydawało mi się, że słyszę, świst wciąganego przez kilkanaście osób powietrza.

— Są rzeczy, w których konieczna jest jednomyślność, które są obowiązkiem każdego obywatela, i jest margines, który wolno nam wypełniać dowolnie — ciągnął Dave. — To jest również pożyteczne, ponieważ przy okazji takiej działalności powstają rzeczy pożyteczne i potrzebne. Nie

możemy być ostoją demokracji i wzorem dla innych, jeśli...

— Bz—dura! — wycedził Honda. — Albo jesteś cały ze mną, albo wymykasz się gdzieś wieczorami. Dobrze mówię? — rozejrzał się po najbliższych twarzach. Tylko Jyk jakby skinął głową i jeszcze z daleka zatrzęsł się cały od serii kiwnięć Ocolo. — Po co mi kumpel, na którego nie mogę cały czas liczyć, nie?

— Ale kumpel może być w łóżku z żoną — powiedział Dave.

Odniosłem wrażenie, że jest zmęczony, w każdym razie w jego spojrzeniu, na krótką chwilę zmętniałym, zobaczyłem nieokreślony smutek i rezygnację.

— Nie ma tak, koleś! — Honda pochylił się w stronę Morrisona i pokiwał dużym czystym palcem. — Mówię — albo albo.

Uderzył palcami o oparcie krzesła i zaczął się kiwać na jego dwóch nogach. Chwilę obserwował Dave'a a potem wrócił do swojego piwa. Oblizał wargi i znowu potoczył spojrzeniem dookoła.

— Jutro jadę do okręgu, na konwent szeryfów. Otwieramy Miesiąc Pogoni, drzyjcie, uciekinierzy! Uaktualnienie danych, listy gończe i Karty Łowów, i Krąg Piwny! — oświadczył głośno. — Tam możesz zobaczyć, kole — go, ludzi, którzy nie mają czasu podzielonego na swój i społeczny.

— Widziałem takich — krótko, ostro

powiedział Morrison.

Honda nie odczuł dziwnego tonu Dave'a, za bardzo chciał pochwalić się swoim udziałem w konwencji, a może tylko ja odebrałem słowa Morrisona w zdeformowanej postaci.

— Bill Zasmuck, nadszeryf, zatwierdzi nasze karty i — jak zwykle — powie: Łowy rozpoczęte, panowie! — Honda beknął cicho i z hukiem odstawił swój kufel na stół. — No! Na mnie czas — podniósł się i na nikogo nie patrząc powiedział: — Do zobaczenia.

Moim zdaniem było to skierowane do Morrisona i co więcej — on chyba też tak to odebrał — pogodna twarz wyostrzyła się, pojawiło się w niej na

krótką chwilę coś ja błysk nienawiści, ciarki przeszły mi po plecach. Gdy Honda był już przy drzwiach, dokończyłem swoją puszkę i podniosłem się. Pożegnałem się ogólnym machnięciem dłoni i wyszedłem. Za drzwiami zaatakował mnie dość mocny, chłodny wiatr, ale nie zatrzymałem się wzorem starych filmów i marnych książek na ganku, by odetchnąć powietrzem. Podreptałem do siebie, popychany przez wiatr i przeczucie nieszczęścia. Nie wiem, dlaczego pomyślałem, że coś złego się wydarzy. Może dlatego, że widziałem zwitek banknotów Dave'a, a ponieważ miał je ułożone — piątka, dwie jedynki, piątka — nie można było wykluczyć, że nie

była to sprawa przypadku. W domu ponuro oddałem Melbie pieniądze i nie wdając się w tłumaczenia wdrapałem do sypialni i rzuciłem na łóżko. Całą noc męczyły mnie koszmary, obudziłem się dużo później niż zwykle, na dodatek zmęczony, jakbym całą noc kopał rów w piaszczystej wydmie. Powiniennem być zostać w łóżku, ale przemogłem się i powlokłem do ogrodu. Nie szła mi robota, drżały ręce i malaryczny pot nie nadążał wysychać na słabym wietrze. Gdzieś koło południa przypomniałem sobie, że miałem zanieść do Jyka nóż z młynka do kawy, wymontowałem go i powlokłem się, zmarznięty mimo najgorętszej pory dnia, do warsztatu Bonaventury. Dave'a Morrisona

spotkałem na trapezie placu przed hotelem i knajpą Bona. Wyglądał jakby przed sekundą wszedł na ganek i zastanawiał się, w którą stronę pójść. Zrównałem się z nim i wymieniwszy spojrzenia skinęliśmy sobie głowami, wyprzedził mnie jakiś dziesięcioletek uciekający przed drugim i nagle gruchnął jak długi na ziemię. Goniący zatrzymał się i triumfalnie klepnął kolegę w plecy, ale tamten już zdążył rozryczeć się potężnie, nie zareagował na dotknięcie kolegi. Dave kilkoma susami dopadł leżącego malucha i na ręku przeniósł na werandę lokalu. Gdy doszedłem do nich, mały przestał drzeć się rozpaczliwie i przeszedł na średnio głośny płacz. Miał otartą skórę na kolanie i wierzchu dłoni.

Chwilę Morrison go uspokajał, a potem powiedział:

— Wypłakałeś się i dość. Jesteś przecież mężczyzną. Poczekaj tu, dam ci coś.

Szybko poderwał się i zniknął za drzwiami hotelu. Po minucie mały chlpał już tylko i ocierał łzy, a właściwie rozsmarowywał brud po mokrej twarzy. Z nadzieją popatrzył na Dave'a, który przekroczył próg hotelu.

Dave trzymał w ręku kubek i kilka słomek do koktajli. Postawił kubek na podłodze i szybkimi ruchami zrobił z czubka słomki miotełkę.

— Uważaj! — powiedział wytrzeszczając tajemniczo oczy.

Zanurzył czubek słomki w kubku,

potem dmuchnął w nią i zręcznie odczepił z jej końca sporą mydlaną bańkę. Zrobił jeszcze kilka i podał małemu słomkę. Ofiara zajęła się bańkami, a Dave wykonał jeszcze jeden przyrząd i podał drugiemu chłopcu. Dzieciaki na wyścigi zaczęły puszczać w powietrze serie większych i mniejszych tęczowych kul.

— Najtańsza zabawka — powiedziałem, bo wydawało mi się, że trzeba coś powiedzieć, skoro tak już stoimy.

— Można jeszcze grać na źdźble trawy i strzelać z purchawek — nie zgodził się ze mną Morrison.

Obaj uśmiechnęliśmy się. Był ode mnie młodszy o jakieś trzydzieści lat,

ale w jakiś dziwny sposób go rozumiałem, choć powiedzieliśmy do siebie dopiero po kilka słów. Mgliście rozumiałem, co nas zbliża, i starannie pędziłem od siebie tę myśl, ale pulsowała, rozrastała się, precyzowała. Na razie udało mi się ją odpędzić.

— Moja większa! — krzyknął jeden z chłopców, ten goniący.

— A ja puszczam więcej z jednego zanurzenia! — skontrował uciekający — ofiara.

Popatrzyłem na Dave'a Morrisona.

— Długo pan tu będzie? W naszym mieście?

— Planowałem wyjazd jutro — powiedział, starając się włożyć w te słowa jakąś dodatkową treść, i

zrozumiałem go.

— I co? Zostanie pan dłużej, czy wyjedzie dzisiaj? — nie miałem wątpliwości, że rozumie o co pytam, na pewno przemyślał sobie pogróżki Hondy.

— Zostaję dłużej — powiedział obojętnie. — Muszę odpocząć, jestem strasznie zmęczony.

Znowu wstrząsnęły mną dreszcze, przetrarłem zimne czoło rękawem koszuli.

— Patrz, jaka duża! — wrzasnął ten starszy chłopak.

Olbrzymia mydlana bania, wirując i migocząc tęczwowymi blaskami, wolino wypływała spod dachu werandy i przyspieszając uniosła się w górę i

nagle pękła, powodując jakieś dziwne uczucie żalu i złości. Kilka małych kropeł spadło na ziemię. Starszy zacisnął zęby, młodszy nagle rzucił kubkiem o podłogę.

— Do niczego! Zupełnie głupie — ryknął wściekły. — Po co mi to? To jest nietrwale! Nietrwale!

Zmiał słomkę i cisnął nią pod własne nogi, wykorzystał je do podeptania. Starszy złamał swoją i też rzucił na ziemię.

— W szkole nam mówią, że tylko trwałe rzeczy są dobre. Rozumiesz? — wrzeszczał do Dave'a. — Trzeba mieć trwałe rzeczy, tylko takie! Masz takie?

Morrison otworzył usta, kaznodziejskim gestem rozłożył ręce, ale

nic nie powiedział.

— Sam sobie puszczaj bańki! —
ponuro wycedził starszy. — Chodź,
Sam.

Odeszli obaj. Odprowadziliśmy ich
spojrzeniem, a gdy zamierzałem po
wiedzieć Morrisonowi coś na temat
różnicy pokoleń zobaczyłem, że zza
drzwi lokalu przygląda się nam
ciekawie Ocolo. Oczy błyszczały mu
radością, a z przemieszczeń głowy,
lekkich ruchów na boki i w pionie
mogłem sądzić, że przestępuje z nogi na
nogę podniecony do najwyższych granic.
Przecucie nieszczęścia spadło na mnie
jak śnieżna poducha z dachu.
Zaryzykowałem.

— Więc jeśli pan chce dzisiaj

wyjechać, to autobus startuje do Tempie za niecałą godzinę. Później będzie pan miał dopiero o czwartej — powiedziałem.

— Co? — zdziwił się i natychmiast wyczuł czyjaś obecność za swoimi plecami, zaszczute zwierzę ma więcej zmysłów niż syte i bezpieczne. — Już za czterdzieści minut? — zmartwił się. Zrobił to bardzo przekonywająco. — Coś mi się pomyliło, dobrze, że mi pan powiedział. Dziękuję.

Teraz był ostrożny, ton jego słów nie odbiegał od treści ani na jotę, ale ja go rozumiałem. Kiwnąłem głową.

— No to do widzenia — powiedziałem i nie czekając na odpowiedź zszedłem po schodkach i

powłokłem się do Jyka. Byłem chory. Klatkę piersiową opasała mi ciasna obręcz, bulgot w krtani słyszalny był chyba na milę. Ledwo dowłokłem się do warsztatu Jyka, nie pamiętam, co mówił do mnie, ostrząc nóż. Nie wiem, jak znalazłem się w domu. Zapadłem w mogilny sen pełen majaków i koszmaru. Dobę później ocknąłem się, zobaczyłem i poznałem Melbę, wypilem pół kubka rosołu i zapadłem znowu w otchłań gorączki. Mniej więcej po następnych dwudziestu czterech godzinach odzyskałem przytomność, czułem się nawet całkiem dobrze, tylko straszliwie słabo. Długo, grzebałem się, zanim zdołałem przesunąć swoje ciało do wezglowia i unieść wyżej. Chwilę

odpoczywałem, aż odzyskałem normalny oddech, i krzyknąłem:

— Melba—a!...

Po krótkiej chwili zjawiała się w pokoju, moja staruszka, i uśmiechnęła radośnie.

— No—o... Już jesteś sobą, to widać. Chcesz pić?

— Tak... O rany, ale się źle czułem. Jak sobie... przypomnę... To zimno, dreszcze...

Napiłem się gorącej herbaty lipowej, chwilę odpoczywałem po wysiłku.

— Był tu dwa razy ten biedny Ocolo. Wczoraj i dzisiaj, przed chwilą.

— Nie mów o nim tak. Przecież wiesz, że to nie jego wina, był za stary,

żeby się dorobić. A my... Nie jesteśmy tak daleko od niego. Tak daleko... Jak chciałoby się...

— Wiem... Kiedy mówię tak o nim, mówię o nas również. O nas wszystkich, myślisz, że Linda nie chciałaby nam pomóc? Że nasza córka i jej wspaniały mąż cieszą się, widząc naszą nędzę? Nie, oni nie mogą marnować pieniędzy na nas, muszą się dorabiać, muszą myśleć o Pike'u, muszą mieć, mieć i mieć. Przecież to wiem — pociągnęła nosem.

— Nie przejmuj się. My już jesteśmy poza tym. Wystartowaliśmy swoim statkiem kosmicznym i kłopoty ziemskie nas nie obchodzą, wiesz? — postarałem się uśmiechnąć do niej.

Pokiwała głową, pociągnęła nosem. Zbliżyła się i poprawiła moją poduszkę.

— Ocolo coś chciał?

— Za pierwszym razem przyszedł zapytać, gdzie jesteś, bo nie widział ciebie ani w mieście, ani w ogrodzie, a chciał ci coś interesującego powiedzieć.

Poczułem falę lodowatego wichru przebiegającego pokój.

— Nie mówił, o co chodziło? — wychrypiałem.

— Wczoraj nie. Dzisiaj powiedział, że złapali jakiegoś biedaka i dzisiaj mają robić rewizję i oceniać go. Czekali na Roda — Melba była jedyną znaną mi istotą, która nie nazywała naszego szeryfa Hondą. — W południe mają przyjść z nim do hotelu z aresztu.

Szarpnąłem się i usiadłem. Kilka sekund walczyłem z zawrotem głowy i szumem w głowie.

— Która jest?

— Za dwadzieścia dwunasta.

— Daj ubranie!

— Hubbie, czy ty jesteś mądry?! —

Melba położyła ręce na moich ramionach i nacisnęła. Omal nie udało się jej przewrócić mnie na poduszkę. — Po dwóch dobach bez przytomności? Po co tam pójdziesz?

— Muszę — potrząsnąłem głową.

Daj ubranie, daj! — a gdy odsunęła się tylko o krok i załamała dłonie, dodałem: — Może uda mi się zabrać kogoś na pokład naszego statku. Szybko, ubranie!

Chwilę, zanim Melba przyniosła

moje łachy, spędziłem na ostrożnym spuszczeniu nóg na podłogę, poruszaniu stopami, kręceniu głową. Każdy ruch kończył się lekkim zawrotem głowy, ale stawały się coraz krótsze. Mocno zakręciło mi się w głowie dopiero gdy wstałem, ale to też minęło. Najgorsze były schody i ścieżka do furtki, odpocząłem przy niej i pomaszerowałem do miasta. Wychodząc na plac zobaczyłem tłum mężczyzn wsiąkający w drzwi lokalu Bona. Gdy dokuśtykałem do schodków, dawno już zniknęli we wnętrzu a ja straciłem jeszcze kilkadziesiąt sekund na zbieranie sił, by wejść po schodach. Uginały się pod mną nogi, ale wdrapałem się na werandę i pchnąłem drzwi.

Czterdziestopięcioosobowy tłum stał tyłem do drzwi, z uniesionymi głowami, patrząc na małą grupkę na schodach. Honda, Lyndon, jego zastępca, Dave Morrison. Honda trzymał w ręku małą walizkę i pokazywał ją tłumowi.

— To wszystko, co posiada szanowny Dave Morrison! — oznajmił głośno, niepotrzebnie głośno, jak na panującą w knajpie ciszę. — Sprawdzone — nie ma żadnego majątku, żadnej firmy. To zwykłe wędrujące mizerne zero! Proszę! — szarpnął zameczki walizki.

Na schody wysypała się zawartość: chyba dwie koszule, krótkie spodnie, małe pudełeczko z przyborami toaletowymi — twarda mydelniczka

zagrzechotała turlając się po stopniach — i cztery czy pięć książek.

— Karta Majątku! — Honda władczyim gestem wyciągnął rękę do Dave'a.

Ten potrząsnął głową nie podnosząc spojrzenia.

— Żebrak! — wrzasnął cienko Ocolo gdzieś z pierwszego rzędu.

Kilka osób odezwało się również, choć nie tak głośno. Złapałem się słupa.

— Czy dysponujesz jakimiś wartościami? Jeśli tak, to czy możesz to udowodnić? — oficjalnym tonem zapytał Honda.

Morrison znowu potrząsnął głową.

— Nie mam niczego, co uważacie za wartość. Czy krzesło to już jest wartość?

— powiedział i uniósł głowę. — Czy posiadanie roweru świadczy dobrze o człowieku? Czy posiadanie kilku akcji wymazuje wszystkie winy i czyni z mordercy przykładnego obywatela? Waszym zdaniem biedny lekarz jest gorszy od bogatego raka? Nie rozumiecie, że jeśli wszystko sprowadzicie tylko do posiadania, nadajecie temu najwyższą rangę, wymiar etalonu, to skazujecie się na bezsensowną pogoń, wyścig do mety, która wciąż się odsuwa od was i nie macie szans jej dopaść?

— Ty!!! — wrzasnął Honda. Chwilę milczał, wściekle wywracając oczami, nie wiedział, co powiedzieć. — Podważasz pryncypia narodowe! Nie ma

innej możliwości odbudowy gospodarki, jak produkcja. A produkcja musi być kupowana, inaczej nie może się rozwijać, no to co mają robić dobrzy obywatele, którzy kochają swój wielki kraj, którym leży na sercu dobro ogółu, którzy wiedzą, że znowu będziemy potęgą? Muszą kupować, dobrze mówię? — zapytał tłumu.

Kilkanaście najbardziej rozgrzanych głosów potaknęło szeryfowi. Pozostali co najmniej kiwali głowami do siebie, że niby dobrze mówi.

— Dzisiaj wystarcza wam sto punktów! — krzyknął Dave. — A jutro? Czy poprzeczka nie była już podnoszona? Może trzeba będzie mieć sto pięćdziesiąt? Albo sto

osiemdziesiąt? Potem dwieście, tysiąc! Będziecie cały czas doganiać, doganiać, walić się na pysk ze zmęczenia, podrywać się i gonić dalej.

— Właśnie tak będzie!!! — przerwał Honda. — Tak trzeba. Podpierać się nosem i orać. Tylko tak możemy wydźwignąć kraj ze zniszczenia i ruiny!

— Już co najmniej raz tak było! — wrzasnął Dave. Moim zdaniem czuł, że tłum jest wrogi i że za chwilę Honda zamknie mu usta, chciał wykrzyczeć przedtem wszystko. I krzyczał: — Właśnie tak było — mieć! Dom, telewizor, wóz, dwa telewizory, trzy wozy, większy ekran, nowszy model, większy pokój, japoński ogrodnik,

mocniejszy silnik, spuchnięte konto. I co? Już nie pamiętacie? Zaczyna brakować... Miejsca, ziemi, przestrzeni, surowców. A inni mają... No to co? No to idziemy na innych... Bo oni są gorsi, głupszy, są inni. Ale też wynaleźli rakiety i bomby i nie chcą się dzielić z nami. Przypo...

Honda odwinął się i trzasnął pięścią w usta Morrisona. Dave potknął się o stopień i upadł do tyłu. Lyndon szybko schylił się i jednym szarpnięciem postawił Morrisona na nogi. Kilka małych strumyczków krwi kończyło swój bieg na brodzie i tam rzucało się do krótkiego lotu z lądowaniem na piersi.

— Ty propagandziorze! — wrzasnął

Honda. — Precz z trwałymi wartościami, co? Inne — lepsze, jak twoje bańki mydlane. Nawet dzieci się na tobie poznały. Ludzie, o czym tu jeszcze mówić?

Ocolo, ty gnoju, ty parchu! Przytuliłem się do filaru, chrypiało mi w gardle tak, że nie słyszałem wrzasku tłumu, przez mgłę widziałem gniewnie zadarte ku górze twarze, poczerwieniałe karki, zaciśnięte pięści unoszące się do góry i wykonujące ruch, jakby wbijały jakieś niewidzialne gwoździe, Honda złapał za jedną rękę Dave'a, Lyndon za drugą, rozciągnęli je jakby chcieli ułatwić wbijanie tych gwoździ w nadgarstki. Zacząłem krzyczeć, znalazłem w sobie dość mocy, by

przekrzyczeć ryk tłumu, znalazłem argumenty, by go przekonać. Przytuliłem się twarzą do ciepłego drewnianego słupa i szeptałem zachłystując się łzami.

Lyndon i Honda puścili Dave'a, Lyndon pochylił się i zbierał rozrzucone po stopniach rzeczy. Honda złapał Morrisona za kark i ścisnął, najwyraźniej szykując się do poprowadzenia jak szczeniaka do aresztu.

I wtedy Dave szarpnął się, wyrwał z kleszczy Hondy i rzucił do poręczy, Lyndon chwycił go za nogę i szarpnięciem zawrócił na schody. Teraz wszystko ruszyło jak przyspieszona taśma filmowa. Dave, potykając się, runął ze schodów wymachując rękami i

przeskakując nieregularnie po dwa, trzy stopnie. Tłum zafalował, na chwilę przerzedziło się, zobaczyłem, jak Dave zderza się ze stojącym w pierwszym rzędzie Ocolo i jak ten pisańszy cienko, z obrzydzeniem, niczym człowiek oblepiony tysiącem oślizłych ropuch, nagle uderza czołem w twarz Dave'a a potem — i już z premedytacją — wali raz po raz czołem, masakrując twarz Morrisona. Zobaczyłem unoszące się w górę pięści, ale teraz nie wbijały gwoździ w powietrze nad głowami — uderzały w dół, w wieko trumny. Mignęło uniesione przez kogoś krzesło i opadło w dół, za kurtynę z pleców, której przebić wzrokiem nie mogłem, ale i tak widziałem wszystko. Honda ryczał

coś stojąc na drugim od dołu stopniu. Lyndon wyszczerzył zęby w trupim uśmiechu, a jego oczy...

Ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem z wysiłkiem głowę. Obok mnie stał Bon, pochylił się do mnie i szepnął:

— Idź tam, Hubbie. Na Boga, wsuń się w tłum i krzyknij coś!

Patrzyłem na niego ogłuchły od własnego bezgłośnego krzyku. Chciałem odwrócić głowę i tylko patrzeć na wylatujące ponad tłum okrwawione pięści, ale on szarpnął mnie za ramię i pchnął mocno w kierunku tłumy, skierował w lukę i wpadłem tam. Oparłem się o czyjeś plecy, w powstających i znikających szczelinach

z ludzkich ciał, niczym przez szybkostrzelną migawkę, widziałem ujęty w półsekundowe kadry krwawy strzęp, wstrząsaną kolejnymi uderzeniami butów i pięści miazgę. Ktoś złapał mnie za rękę i wsunął ją siłą w szparę między czyimiś plecami i bokiem. Poczułem na dłoni lepkie ciepło. Szarpnąłem się całym ciałem, ktoś odskoczył do tyłu uderzając we mnie i pomagając mi w ten sposób. Wycofałem się do tyłu, ale nie miałem siły wyjść. Dotarłem do swojego słupa i objąłem go. Gwar z tyłu cichł wyraźnie, zanikły wściekłe krzyki i wrzaski, coraz częściej słyszałem tupanie, jakie słyszy się przez drzwi, gdy dzwoni ktoś, kto szedł do ciebie przez błotnistą ścieżkę,

słyszałem szuranie nóg, czyszczenie podszew, odsuwanie krzeseł. Ktoś jeszcze chlipnął i dwa razy coś miękko chlapnęło. Zapomniałem o lepkiej dłoni i wytarłem sobie nią oczy. Ktoś chrząknął dwa razy przeczyszczając gardło. Tłum rozchodził się, słyszałem zbliżające się do mnie, do drzwi, kroki kilku osób.

— Bon! Piwa dla wszystkich! — ryknął Honda.

Odwróciłem się. Chciałem zobaczyć, kto będzie pił piwo plecami do Dave'a Morrisona. Przede mną stał Ocolo. Oczy mu błyszczały, wyglądał jakby w delirium. Obrzucił mnie chciwym spojrzeniem.

— Hubie—e—e?! — zapiał teatralnie

zaskoczony. — Byłeś z nami? No-no! Zmieniasz przyjaciół jak rękawiczki, przedwczoraj byłeś jego kumplem, dzisiaj już nie?

Podszedł do mnie bliźiutko. Czułem w jego oddechu krew, jakby gryzł, szarpał zębami ciało, a może i żywego Dave'a.

— Na mnie przechodzi majątek Morrisona — powiedział głośno. — Może to i niewiele, ale kilka punktów jest. I dziesięć za wskazanie. Policz sobie, ile będę miał! Nie będę już najbiedniejszym obywatelem Atecar, wiesz?

Za jego plecami pojawił się Honda, odsunął Ocolo jednym ruchem ręki i celując we mnie swoim czystym palcem

powiedział:

— Coś mi się wydaje, że nie jesteś zadowolony? Co? Może uważasz...

— Zostaw go, Rod! — powiedział spokojnie Bon.

Honda niecierpliwie, jak koń w uździenicy, szarpnął głowę.

— Poczekaj, muszę...

— Mówię ci, zostaw go. Zachował się jak prawdziwy Amerykanin. Popatrz na jego ręce.

Honda sapnął wściekle i otworzył gębę, ale zamilkł i spuścił spojrzenie. Wyciągnąłem przed siebie obie ręce — prawą, zakrwawioną, i czystą lewą. Potem prawą schowałem za siebie i zostawiłem mu przed nosem tylko lewą. Drżały mi palce, ale zdołałem jakoś

zamknąć służę. Nie miałem już powodu,
by wstrzymać odlot mojego
prywatnego statku z planety Ziemia.

RYSZARD GŁOWACKI urodził się 31 sierpnia 1937 roku w Dukli (woj. krośnieńskie). Ukończył studia na Akademii Górniczo–Hutniczej w Krakowie, pracuje jako geolog naftowy w Przemyśle. Debiutował opowiadaniem „Doping” zamieszczonym w „Młodym Techniku” w 1976 roku. W trzy lata później ukazuje się jego debiut książkowy — powieść „*Paroksyzm numer minus jeden*” (KAW, 1979). Następne książki to zbiory opowiadań „*Raport z rezerwatu*” (KAW, 1982), „*Powiew*

nieprawdopodobności” (Iskry, 1985) oraz powieści „*U nich, na Ziemi*” (KAW, 1985 w antologii „Spotkania w przestworzach — 3) i „*Algorytm pustki*” (Iskry, 1988).

LILIANNA WITKOWSKA-

WAWER ur. 28 sierpnia 1961, w Przemyślu, ukończyła UMCS w Lublinie i jest biologiem. Pracuje w Biurze Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej w Przemyślu w unikalnej specjalności: fitosocjologii,

„Wszystka trawa zielona” jest jej debiutem literackim. Poniższe opowiadanie, które napisał razem z Lilianną Witkowską-Wawer porusza problem ekologii i ochrony środowiska, a akcja dzieje się współcześnie na

Śląsku — sprawa jest więc bardzo aktualna i zmusza do refleksji. Sadzimy lasy wokół wielkich zakładów przemysłowych i uważamy, że w ten sposób mamy czyste sumienie; ale wyziewy z kominów zabijają nadal — po wolnie i nieuchronnie — naturalne mechanizmy obronne przyrody. Nasza wiedza o tych sprawach jest szczątkowa, a żyjemy przecież w najbardziej zanieczyszczonym zakątku Europy.

Wszystka trawa zielona

Blade zamglone słońce z uporem usiłowało przebić się przez zwały porannej mgły, zmieszanej z dymami okolicznych fabryk i hut. Gdzieś w oddali zazgrzytał tramwaj na zakręcie wybitych szyn, zapiszczały hamulce rozpędzonego auta i znowu cisza zaległa pośród pamiętających jeszcze

dziewiętnasty wiek ceglanych familoków, pomiędzy szykownymi niegdyś przedwojennymi kamienicami i peerelowskimi blokami z wielkiej płyty — wszystkimi pokrytymi grubą warstwą sadzy i zwykłego brudu.

Od czasu do czasu z głębi ziemi wydrążonej na podobieństwo szwajcarskiego sera przez górników eksploatujących węgiel i rudy cynku dochodził ni to jęk ni stęknienie jakiegoś olbrzyma, usiłującego wydostać się z potrzasku między skałami, i wtedy leciuteńko drżały ściany domów, liczne spękania zarysowywały się jeszcze bardziej siejąc drobnymi okruchami tynku i cegły.

Pełzająca plama słonecznego blasku

dotarta do okna i ponure do tej chwili mieszkanie nagle stało się przytulnym wesołym miejscem. Szczególnie dawały się cieszyć egzotyczne rośliny w domowym ogródku, bo światło maza dla nich życie. Śpiąca w dzieciennym łóżeczku dziewczynka otwarła oczy i cichutko zapytała:

— Mamusiu, czy mogę iść do ciebie?

Anna czekała na ten moment. W każdy świąteczny dzień, kiedy nie musiała iść do pracy, a córki odprowadzić do przedszkola, spędzały poranki na rozmowach, pieszczotach i przekomarzaniach, czytaniu bajek o kurce–złotopiórcie, co to samolotem fruwała, o lokomotywie ciągnącej z

mozołem, a nade wszystko o ulubionym Byczku Fernando. Nic to, że dziecko znało jego dzieje już na pamięć, matka również nie potrzebowała książki, dlatego też zaraz zaczęła: „Otóż moi kochani, dawno temu, w Hiszpanii, był sobie młody byczek...”

— Nie „był sobie”, tylko „żył sobie” — sprostowała mądrała.

— Dlaczego każesz mi opowiadać, skoro sama znasz lepiej?

— Bo jest tak fajnie pilnować, żebyś się nie pomyliła — w tym momencie mała pogładziła jej włosy takim samym ruchem, jak zwykł był czynić Krzysztof, zanim wyjechał na tę swoją ostatnią wyprawę w Himalaje — gdzie pozostał na zawsze. Mieli się pobrać, już nawet

wyznaczony był termin ślubu, gdy któryś z członków ekspedycji zachorował i zaproponowano jemu. Mając na uwadze wszystkie problemy związane ze zmianą stanu cywilnego gotów był nie skorzystać z nęcącej propozycji Klubu, lecz ona, znając jego umiłowanie gór, wręcz namówiła go do tego wyjazdu. To przez nią nigdy nie ujrział ich dziecka i leży gdzieś tam, zamarznięty, w szczelinie lodowca.

— O czym myślisz, mamusiu?

— Nieważne... Co to ja mówiłam?

Może lepiej wstańmy i chodźmy do wesołego miasteczka. Obiecałaś mi lody.

Po śniadaniu pojechały tramwajem do Chorzowa, gdzie Monika wyszalała

się jak nigdy na karuzeli, potem obydwie jeździły elektrycznym wózkiem, zderzając się co chwilę z innymi, poszły na lody i zjadły po dwie porcje. Widząc rozradowane oczy córki Anna pomyślała, że właśnie tak objawia się szczęście.

Aby odetchnąć po męczących hałasach lunaparku, postanowiły obejrzeć wystawę kwiatów, gdzie dziewczynka zaczęła przyglądać się z bliska kolorowym różom rozmaitych odmian.

— Mamusiu, one mają robaki! Takie małe, zielone i tak dużo.

Anna zbliżyła się do najbliższego krzewu — rzeczywiście, całe łodygi pokryte były ogromną ilością mszyc.

Częściowo zaatakowane były i kwiaty. Nie mogła zrozumieć, dlaczego służby odpowiedzialne za zielen w parku nic nie robią, aby je zlikwidować. Przecież zginie cała dotychczas tak wspaniała kolekcja róż.

— U babci w ogródku też są takie robaki na kwiatkach. Na marchewce i kapuście, i wszędzie. Babcia mówi, że one nie boją się żadnej trucizny.

Anna skojarzyła te fakty z przeczytanym kiedyś artykułem, mówiącym o rejonach skażonych przemysłowo, gdzie giną wrażliwe gatunki owadów — motyle, pasikoniki, a masowo rozwijają się mszyce, dobrze znoszące zaśmiecone chemikaliami środowisko. Zniechęcona widokiem

obumierających róż postanowiła wracać jak najszybciej do domu. Przesuwające się w oknach tramwaju złowieszcze obrazy uschniętych drzew, poczerniałych ogródków, również nie napawały optymizmem. Tutaj ludzie już się do tego przyzwyczaili, ale nie uodpornili. Bardzo wysoka jest na Śląsku umieralność na eti choroby układu oddechowego i nowotwory, zwłaszcza wśród dzieci. Sama jako biolog, była szczególnie uczulona na te zjawiska, gdyż znała mechanizmy ich działania i potrafiła przewidzieć skutki. I to ją przerażało jako matkę.

Z wielką czułością spojrzała na swoją pociechę, wzorem wszystkich dzieci siedzącą z nosem przyklepionym

do szyby, aby nic nie uronić z ciekawości świata. Chciałaby za wszelką cenę uchronić ją przed tym wszystkim, cóż jednak może zrobić? Zmienić miejsce zamieszkania nie jest tak łatwo, nie stać jej również na drogie wczasy czy kolonie w innych, w miarę czystych rejonach kraju. Częste nieżyty oskrzeli u córeczki były jednak niepokojącymi sygnałami.

Kiedy po południu pełne wrażeń wróciły do domu, Anna spojrzała na wielkie zdjęcie Krzysztofa w pełnym ekwipunku wspinaczkowym na tle jego ukochanej Alpamayo i chyba po raz pierwszy w życiu pomyślała, że gdyby nie te góry, mógłby być tutaj razem z nimi, dzielić ich smutki i radości,

doradzić coś, pomóc...

W poniedziałek rozpoczął się kolejny korowód dni beznadziejnie podobnych do siebie; znieawidzony terkot budzika o szóstej, codziennie ten sam rytuał porannych czynności, odprowadzanie Moniki do przedszkola, jazda zatłoczonym autobusem do Instytutu. Praca i wychowywanie córki były jedynymi jaśniejszymi punktami w przytłaczającej monotonią codzienności.

Dzisiaj od rana zaczęła przeglądać wyniki badań składu powietrza podobnego w Bobrku, jej własnej dzielnicy, a raczej tego, co kiedyś zasługiwało na nazwę powietrza. Zawartość tlenu w dalszym ciągu wykazywała tendencje spadkową i była

już poniżej osiemnastu procent, dwutlenek siarki trzymał się na stałym poziomie, także amoniak, siarkowodór i tlenki azotu. Ale, co to ma znaczyć — pokazał się nigdy jeszcze nie notowany tu formaldehyd, a także trzykrotnie podskoczyła ilość ozonu!

Czekała na nią również seria badań nad zastosowaniem Florigenu, którego recepturę starannie opracowywała przez ostatnie pięć lat. Był to środek przyśpieszający syntezę chlorofilu, a tym samym powodujący przyśpieszenie asymilacji dwutlenku węgla i produkcji tlenu, co nabierało szczególnego znaczenia w katastrofalnej sytuacji ekologicznej Śląska.

Ostatnie wyniki badań były coraz

mniej zgodne z oczekiwaniami zespołu. Może gdzieś w obliczeniach tkwił błąd, bo zamiast otrzymywać, jak na początku badań, zwiększoną ilość chlorofilu, jego zawartość w jednostce objętości masy roślinnej zaczęła spadać. Zaraz po wejściu do laboratorium Anna zauważyła, że w całej hodowli, mimo optymalnego oświetlenia, wystąpiły objawy chlorozy. Czyżby została porażona jakąś chorobą? To niemożliwe! Zostały zastosowane przecież wszystkie możliwe środki ostrożności, zapobiegające bakteryjnemu czy też wirusowemu zakażeniu...

Przyjrzała się bliżej doświadczalnej plantacji — to nie rozpad chlorofilu był przyczyną tego niepokojącego zjawiska,

lecz zahamowanie jego syntezy. Starsze liście miały normalne zabarwienie, natomiast młodsze były żółtozielone lub żółte, prawie półprzeźroczyste. Pozbawione zdolności fotosyntezy fragmenty roślin zaczną wkrótce obumierać — po wyczerpaniu się zapasów pokarmowych w starszych częściach.

Było to dla niej kompletnym zaskoczeniem i nie wiedziała, co sądzić o tym dziwnym zjawisku. Może w składzie Florigenu nastąpiła jakaś samoczynna zmiana? Postanowiła osobiście zająć się chorymi roślinami, a na podatek wstrzymać stosowanie testowanego środka.

Jeśli każdego dnia po wyjściu z

Instytutu natychmiast zapomniała o sprawach związanych z pracą, dzisiaj nie potrafiła skorzystać z tego zbawienego „przełącznika” w głowie. Zdawało jej się, że za oknami autobusu przez cały czas widzi ginącą hodowlę. Zamknięcie oczu nic nie pomagało — umierające rośliny egzystowały w jej mózgu! Pierwszy raz przytrafiła jej się taka historia i dlatego była nieco przestraszona. Dopiero rozkrzyczana zgraja brzdąców w przedszkolu odegnała od niej męczące myśli i pomogła wrócić w bezpieczne, znajome koleiny codzienności.

Późnym popołudniem jej umorusane dziecko wbiegło trzymając w ręce jakąś zieleninę i od progu zawołało:

— To dla ciebie, ale musisz powiedzieć, jak się nazywa. — Ślicznie dziękuję za tę lucernę. A teraz szybko do łazienki, bo swoim wyglądem wystraszysz wszystkie myszy i pająki.

Mała przez chwilę pokręciła łodyżkę w palcach, wreszcie położyła ją na biurku i w podskokach wybiegła z pokoju. Była dumna z matki, że zna nazwy wszystkich roślin.

Tymczasem Anna wzięła przyniesioną lucernę, aby ją włożyć do wody, i dopiero teraz zauważyła jej nienaturalną barwę pod warstwą ciemnobrunatnego nalotu — klasyczne objawy chlorozy, podobne do tych zaobserwowanych w Instytucie. A więc to nie Florigen! Wprawdzie tu, na

Śląsku, odbarwienie liści było zjawiskiem częstym, powodowanym przez duże stężenie w powietrzu dwutlenku siarki rozkładającego chlorofil, lecz objawy te różnie widoczne były na liściach starszych, dłużej narażonych na toksycznych substancji. Dlaczego jednak dzieje się tak równocześnie w warunkach laboratoryjnych?

Zaniepokojona wyszła przed dom, gdzie w miejscu udającym trawnik, pośród szarości spieczonej, pokrytej mazistym nalotem zeschnięj trawy, wyłaniała się zieleń walczących o życie roślinek. Wszystkie miały identyczne odbarwienie! Sprawa zaczynała wyglądać poważnie. Na dodatek po

powrocie do mieszkania z włączonego radiodbiornika jak na zamówienie rozległy się słowa komunikatu: „Ostatnio w okolicy Katowic stwierdzono niespotykaną dotychczas ilość mszyc atakujących uprawy. Stosowane substancje owadobójcze nie odnoszą skutków, gdyż nowa, nie znana do tej pory odmiana okazuje się trudna do zwalczenia. Używane w walce biologiczne biedronki niestety, nie mogą być wprowadzone na te tereny, gdyż są wrażliwe na skażenia przemysłowe i wyginęłyby w krótkim czasie. Trwają intensywne badania nad środkami mogącymi znaleźć zastosowanie w walce z mszycami. Podobne doniesienia otrzymaliśmy z Tarnobrzega i Puław. W

zawrotów tempie niszczone są tam uprawy rolne, gdyż z ekologicznego punktu widzenia są to twory sztuczne, mało stabilne i nieodporne na szkodliwe czynniki”.

Agata, najlepsza przyjaciółka jeszcze z czasów studenckich, po wielu latach trudnego leczenia dopiero teraz zaszła w ciążę. Było to chyba najważniejsze wydarzenie w jej życiu. Dotychczas zazdrościła po cichu Annie jej dziecka, a teraz sama dostąpi szczęścia macierzyństwa. Wbrew powszechni panującym przesądom miała już przygotowaną prawie całą wyprawkę, urządzone pokój dziecienny i kupiony wózek. Pozostały jeszcze cztery

dług miesiące oczekiwania...

Kiedyś spacerując w lipcowe popołudnie po sklepach, aby uzupełnić ewentualne braki w dobytku mającego się pojawić maleństwa, postanowiła odwiedzić Annę. Idąc starała się unikać głównych ulic, na których były spore trudności z oddychaniem, gdyż oprócz normalnej dawki dymu, pyłu i smrodu dochodził ołowiany obłok ze spalin samochodowych. Chociaż na ostatnim roku studiów wyszła za męża i nigdy nie rozpoczęła kariery zawodowej, mimo to zainteresowanie biologią pozostało i zawsze wypytywała się o wyniki jej pracy. Razem z nią przeżyła śmierć Krzysztofa, będąc wtajemniczona w ich sekrety i plany życiowe.

W pewnym momencie zauważyła dziwne zamieszanie — ludzie w zdenerwowaniu wymieniali jakieś informacje, po czym rozbiegali się w popłochu, sprzedawcy pośpiesznie zamykali sklepy, matki porywały dzieci na ręce i uciekały do bram. Pobliskie skrzyżowanie zablokował tramwaj porzucony przez motorniczego, a setki samochodów trąbiły bez przerwy, starając się przepchać obok zawałidrogi. Przypominało to mrowisko, do którego ktoś „dla kawału” wrzucił niedopałek papierosa.

— Co się stało? — zapytała jakiegoś przechodnia.

— Podobno nastąpiła awaria elektrowni atomowej w

Czechosłowacji. Grozi nam nowy Czarnobyl.

W pierwszym odruchu paniki Agata chwyciła się za brzuch. O Boże — pomyślała — dlaczego teraz? Co będzie z moim dzieckiem? Znała już skutki wybuchu sprzed kilku lat na Ukrainie. Ponieważ była zaledwie kilkadziesiąt metrów od domu swej przyjaciółki ze studiów, nie szukała miejsca w zatłoczonych bramach. Wbiegła zdyszana po schodach i nerwowo nacisnęła dzwonek.

— Aniu, szybko! Co my zrobimy? Gdzie Monika? Wiesz już... Co to będzie? Moje maleństwo...

— Uspokój się, to jeszcze nic pewnego, wiadomości nie zostały

potwierdzone, musimy jeszcze poczekać. Radio jest włączone, ale nie było żadnego specjalnego komunikatu.

Wieczorem policyjne samochody krążyły po ulicach, uspokajając mieszkańców, że nie zanotowano wzrostu radioaktywności, a powodem paniki były ćwiczenia wojskowe u naszych południowych sąsiadów. Parę niezbyt zręcznie zredagowanych ulotek przedostało się na teren Polski, ktoś nie doczytał lub nie potrafił przetłumaczyć do końca — i stąd niepotrzebna trwoga.

Mimo iż wyjaśnienia dotarły również do Agaty, w nocy chwyciły ją silne bóle. Nad ranem poroniła w szpitalu, jak tysiące innych kobiet w tej okolicy od wielu lat.

Anna zrobiła ostatni ekstrakt i spojrzała na zegarek. Za chwilę musi wyjść z Instytutu i pojechać do Łazisk po córkę. Na wakacje zawoziła Monikę do swojej matki, która tam miała nieduży drewniany domek z ogródkiem i kawałek sadu. Później, za rok, kiedy dziecko będzie już chodzić do szkoły, nastaną nowe obowiązki i problemy. Oby tylko nadal tak często nie chorowała!

Mimo wszystko pobyt u babci umożliwił córeczce choć przez parę dni pooddychanie w miarę czystym powietrzem, podziwianie pielęgnowanych z wielką pieczołowitością cherlawych kwiatów i drzewek. Tutaj, w dużym mieście,

szarość murów, ulic, nieba i wiecznie zeschniętej trawy przyprawić mogło dziecko o zanik zdolności rozróżniania barw. Teraz już cieszyła się na myśl, że ten trzpiot wróci do domu i spod jasnej grzywki będzie swoimi wielkimi brązowymi oczami patrzył na nią. Oczami Krzysztofa, bo przecież ten nigdy nie roztrzaskał się o skały gdzieś w dalekim Nepalu, lecz żyje w spojrzeniu małej istotki...

Kiedy w kilka dni później odbierała małą z przedszkola, wychowawczynie zwróciła jej uwagę na dziwne zachowanie córki — zwykle wesołe, rezolutne dziecko dzisiaj nie chciało brać udziału w żadnych zabawach, nie odpowiadało na pytania, prawie nic nie

zjadło, a cały dzień przesiedziało cichutko zaszyte w kącie z ulubionym pluszowym misiem w ramionach. W domu skarżyła się na bóle w klatce piersiowej i brzuszku. Nazajutrz Anna wzięła dzień urlopu i pozostało tylko przekonać Monikę, aby bez oporów zechciała z nią pójść do lekarza. W takich okolicznościach, jak zwykle przed wizytą, musiała wymyślić jakieś kłamstewko, bo dziecko na widok białego kitla i stetoskopu dostawało ataków hysterii. Dziewczynka krzyczała, krztusiła się z płaczu, wyrywała matce nie mogącej zrozumieć, skąd u niej taka reakcja. Ponoć dzieci wyczuwają dorosłych i orientują się dzięki jakimś niezbadanym sygnałom co do złych lub

dobrych zamiarów niektórych ludzi lub skutków spotkania z nimi. Jakieś dwa lata temu przyszedł posłaniec z telegramem zawiadamiającym o śmierci ojca Anny i ukochanego dziadka jej córki.] Jeszcze przed poznaniem tragicznej treści rozbawione dotychczas dziecko nagle zbladło, przerażone schowało się za matkę i zaczęło popłakiwać, chociaż doręczyciel uśmiechał się do niej i starał się pogłaskać ją po głowie. Podobnie zareagowała podczas pierwszej wizyty u lekarza, gdy zaczęły się jej problemy z oskrzelami.

Z tych powodów przy każdych kolejnych odwiedzinach w przychodni trzeba było stosować najprzeróżniejsze

forte, aby zaciągnąć Monikę do badania. Ponieważ były częstymi bywalczyniami gabinetu lekarskiego i Anna wiedziała, że za miesiąc czy też tydzień będzie musiała wrócić tutaj z dzieckiem, przed każdą wizytą musiała udawać, że poprzednio zostawiła tam jakiś drobiazg — a to parasolkę, a to rękawiczki czy szalik. Po którymś kolejnym razie po wyjściu z gabinetu Monika nagle zaczęła ciągnąć matkę w kierunku drzwi.

— Mamusiu, idź zobacz, co dzisiaj zapomniałaś u pana doktora, bo ja już nie chcę tu iść z tobą.

Teraz wymyśliła nowy powód do kolejnej wizyty.

— Skarbie, mamusia musi iść do

pana doktora, bo bardzo mamusię boli głowa. Dzisiaj pan doktor będzie badał mnie, a ty sobie posiedzisz. Będziesz się tylko przyglądała. Może kiedyś, jak urośniesz duża, też zostaniesz panią doktor.

— Nie, nie będę panią doktor.

— A kim byś chciała być?

Dziewczynka pomyślała przez chwilę i powiedziała bardzo poważnym głosem:

— Aniołkiem...

W poczekalni zaczęły się kłopoty, bo na widok matek oczekujących z dziećmi Monika oświadczyła:

— Mamusiu, idź sama do pana doktora, ja tu poczekam, pobawię się. Przecież już jestem duża i nie będę się

bała tu zostać bez ciebie.

— Moniś, skoro już jesteś duża, to musisz pójść ze mną, żeby przypilnować abym znowu nie zapomniała parasolki.

— To zostaw ją tutaj, ja ją potrzymam.

Annie zaczęło brakować argumentów.

— No to będziesz czuwać, żebym nie zapomniała butów; przecież nie zostawię ci ich tutaj.

A po co masz zdejmować buty, skoro boli cię głowa?

— Córkuś, ja tak tylko mówię, bo trochę się boję iść sama... Poskutkowało.

— Mamusiu, w takim razie potrzyмай mnie za rękę, ja cię

zaprowadzę.

Gdy przyszła ich kolej, dziewczynka dumnie wprowadziła matkę do gabinetu.

— Panie doktorze, mamę boli głowa. Niech pan ją zbada, ja poczekam.

Lekarz uśmiechnął się, a ponieważ znał sytuację, usadowił Annę na stolcu i przyłożył jej stetoskop do czoła.

— Ma pani taką kochającą córkę, tak się boi o panią. Jej małe serduszko bije tylko dla pani, prawda Moniko?

Mała przytaknęła ruchem głowy.

— Może zechce pani posłuchać, jak ono pracuje — nałożył matce słuchawki na uszy i zachęcił małą, aby się zbliżyła. Podeszła bez oporu i uniosła bluzeczkę.

— O, jak mocno stuka! Panie doktorze, niech pan posłucha, jak moja

córeczka kocha mamusię — jedno podejrzliwe spojrzenie piwnych oczu i konika bez oporu, a nawet z dumą dała się osłuchać.

Później lekarz bez słów wypisał receptę i mrugnął porozumiewawczo do natki:

— Zażyje pani te lekarstwa i głowa przestanie boleć.

Po wyjściu z gabinetu Anna zaczęła się rozglądać po poczekalni.

— Córeczko, zostań na chwilę tutaj, znowu zapomniałam parasolkę. Kiedy weszła do gabinetu, lekarz jeszcze uzupełniał wpis w kartotece.

— Panie doktorze...

— Tak, w sercu są szmery, wypisałem skierowanie na EKG oraz

rentgen, trzeba to jak najszybciej zrobić. Co do pozostałych dolegliwości, trudno mi jeszcze cokolwiek powiedzieć. Trzeba przeprowadzić dodatkowe badania — krew, mocz, ważna jest próba wątrobowa.

— Jak to?

— Nie jest to zbyt optymistyczne, co pani powiem, ale mam wiele podobnych przypadków. Tutaj, w naszym mieście, choroby czyhają na dzieci wszędzie — na podwórku, na ulicy, w pożywieniu. Nie należy niczego lekceważyć. Bez względu na wyniki badań konieczny jest wyjazd pani z dzieckiem na świeże powietrze, co najmniej na miesiąc w roku, jeżeli to możliwe, jak najprędzej — w Bieszczady, nad morze lub na

Mazury.

— Ale...

— To dla dobra pani dziecka; chyba je pani bardzo kocha, prawda?

To ostatnie pytanie wydało się Annie nie na miejscu, ale dobrze zrozumiała, o co chodzi. Postanowiła wykorzystać zaległy urlop i część z bieżąc go roku. Przecież Instytut nie zawali się bez niej. Gotowa była poświęcić wieloletnie badania, pracę, aby zachować ten bezcenny skarb, przy który wszystkie inne wartości bledną i nikną. Musi wypytać znajomych, potelefonować, wystarać się o jakiś niedrogi pokoik może gdzieś na Wybrzeżu lub w górach.

Monika była już bardzo

zniecierpliwiona dość długą nieobecnością mat i stojąc przy drzwiach skubała rękaw swej kurteczki.

— Córuś, musiałam szukać parasolki, bo spadła za szafę z lekarstwami.

— To po co chodzisz z parasolką, kiedy świeci słońce — powiedziała dziewczynka z wyrzutem w głosie. Widać przestało ją bawić to całe zamieszanie. Nadąsana szła przed matką, oglądając czubki swoich butów.

— Mamusia wymyśliła dla ciebie niespodziankę. Jesteś dużą i grzeczną dziewczynką, więc pojedziemy zimą w góry, na sanki albo na narty.

— Nie lubię gór.

Anna nie pytała nawet dlaczego.

Zrozumiała. Ona też nie przepadała za górami.

Pewnego wrześniowego dnia w Instytucie powstało wielkie zamieszanie, bowiem doświadczalna hodowla ogórków zaczęła chorować. Były w niej prowadzone badania nad uzyskaniem nowych odmian odpornych na gwałtownie rozprzestrzeniającą się wirusową mozaikę. Wydawało się, że został osiągnięty pomyślny rezultat, bo mimo infekowania roślin nie występowały objawy epidemii. Annie skojarzyła się ta sprawa z jej plantacją zniszczoną mimo zaprzestania podawania Florigenu. Po naradzie postanowili poddać chore rośliny szczegółowym oględzinom

mikrobiologicznym.

Pierwsze wyniki wykazały obecność gram-ujemnej pałeczki nieznanego gatunku. Zastanawiająca była wysoka jej odporność na środki dezynfekcyjne, bo mimo ich stosowania bakteria przełamwała wszelkie bariery i wniknęła do izolowanej plantacji. Prawdopodobnie mieli do czynienia z jakąś zmutowaną formą fitofaga i byli nieomal pewni, że w jakiś sposób wpływa ona na zahamowanie biosyntezy chlorofilu.

Następne dwa tygodnie zmudnych analiz i dociekań wykazały nagromadzenie w komórkach miękiszu asymilacyjnego dużych ilości produktu przedostatniej reakcji syntezy —

protoporfiryny IX, co sugerowało zablokowanie enzymu i niezdolność przyłączenia magnezu. Jeden z metabolitów tej bakterii blokował centrum aktywne, a końcowym efektem był zanik fotosyntezy. Wizja Ziemi pozbawionej roślin i tlenu rysowała się na niezbyt odległym horyzoncie. Woleli nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby zarazek o takich piekielnych właściwościach rozprzestrzenił się na większą skalę.

Niewesołe myśli kotłowały się w głowie Anny podczas powrotu do domu. Infekowanie kultur roślinnych będzie odbywać się tym szybciej, im więcej zostanie zaatakowanych przez mszyce. Miejsca uszkodzeń poszczególnych

organów roślinnych staną się drogą łatwego wtargnięcia do ich wnętrza, poza tym wiele fitofagów przenoszonych jest przez owady na sąsiednie tereny. Zaczynają już masowo ginąć rośliny od dwutlenku siarki, od silnie utleniającego ozonu powstającego przy współudziale spalin samochodowych a także wysokiej temperatury hut, od rozprzestrzeniających się szkodników i infekcji. Zawartość tlenu według ostatnich pomiarów spadła do siedemnastu procent, a stężenie dwutlenku węgla ponad pięciokrotnie przekroczyło dopuszczalne normy.

Toksyczne związki chemiczne są przyczyną wielu szkodliwych mutacji, tworzą się zdenaturalizowane organizmy

w tej ogromnej retorcie, do której beładnie nawrzucono różnych trucizn. Lecz pod kloszem z dymów i pyłów zostali zamknięci również ludzie. Miliony ludzi. Małych dzieci! Miała ochotę głośno krzyczeć...

A jeszcze jutro ma się zgłosić po ostatnią diagnozę swej coraz bardziej bladej, coraz słabszej córeczki.

Wszystko wali się na nią lawiną problemów każdego dnia, wstrząs za wstrząsem. Pojawił się też nie znany do tej pory wróg — strach. Przyszedł wraz z odebraniem wyników badań Moniki. Wykazały one jakieś zmiany w płucach, zaburzenia pracy serca, funkcjonowania wątroby i nerek, ołowicę. Poza tym

przerażająco niski poziom hemoglobiny.

Postanowiła od jutra wziąć urlop i natychmiast wyjechać z dzieckiem. Obojętnie dokąd, byle dalej od tego zięjącego truciznami i chorobami kotła. Jednak rano w Instytucie okazało się, że cała załoga postawiona została w stan pogotowia, ściągają nawet ludzi z urlopów komunikatami radiowymi. Nie pomogły prośby ani łzy — musiała wziąć się do roboty. Wszyscy pracownicy, okoliczne Stacje Ochrony Roślin oraz służby ochrony środowiska zaczęły prowadzić intensywne badania nad możliwością zahamowania inwazji mszyc atakujących większość upraw, inwazji nie spotykanej o tej porze roku, nie oszczędzającej nawet zieleni dziko

rosnącej. Były niezwykle żywotne i przenosiły wiele chorób, a wśród nich szatańską bakterię blokującą syntezę chlorofilu.

Anna starała się zrozumieć, w jaki sposób fatalny mikroorganizm dostał się do hodowli doświadczalnych. Widocznie nie tylko mszyce są jego przenieśnikami. Czyżby mógł zostać zawleczony przez któregoś z pracowników na skórze lub ubraniu? Jeżeli w krótkim czasie nie uda się opanować epidemii, skutki mogą być katastrofalne nie tylko dla całego zagłębia śląskiego, ale i dla przyległych terenów, gdzie zostały zniszczone przez człowieka naturalne mechanizmy obronne przyrody. Przecież gdy giną

rośliny — braknie tlenu. Muszą coś natychmiast robić, nieomal fizycznie czuła spoczywający na nich wielki problem odpowiedzialności. Jeszcze raz odtworzyła szybko w pamięci cały proces biosyntezy chlorofilu, aby dokładniej zrozumieć jej mechanizm, a tym samym sytuacje mogące doprowadzić do zaburzeń czy zablokowania.

I nagle uderzyły w nią strumieniem wiadomości nabyte podczas studiów rozszerzone w pracy zawodowej, wiedza, która zdawała się unosić nad głową, a teraz przerażająco bolesnym biczem smagała jej szare komórki: syntezy chlorofilu i hemoglobiny przebiegają IDENTYCZNIE do

momentu wytworzenia przedostatniego metabolitu — protoporfiryny IX. Dopiero tutaj występuje drobna różnica. Przy powstawaniu chlorofilu przyłączany jest magnez, przy syntezie hemoglobiny — żelazo. Przecież na tym etapie zatrzymał się ten proces u roślin. Reakcje katalizują podobne enzymy. Jeżeli zostanie zablokowane centrum aktywne enzymu przy syntezie hemoglobiny... Przed oczyma stanęła jej blada twarzyczka Moniki i równocześnie dotarło do niej, że przy zmianach chorobowych narządów niedokrwienie zdecydowanie pogarsza szansę. Więc te bakterie również...

Nie zdejmując fartucha wybiegła na ulicę, złapała taksówkę i jak burza

wpadła do budynku przychodni.

— Panie doktorze, pan nic nie wie. Musi pan coś zrobić! Macie obowiązek nam pomóc!

— Proszę się uspokoić. Wiem już o tym, poinformowali mnie przed chwilą, dosłownie pięć minut temu. Jednocześnie mieli panią powiadomić. Ale w jaki sposób zdołała pani tak szybko przebyć taki kawał drogi?

Anna osłupiała. Ciemne plamy zaczęły jej wirować przed oczami. O czym on mówi?

— Przywieźli ją na oddział dosłownie przed dwudziestoma minutami. Widocznie wychowawczynie nie mogła się wcześniej dodzwonić, zresztą wjechała z małą karetką do

szpitala.

Koszmarny film zaczyna nabierać coraz szybszego tempa. Omdlenie, potem nocne czuwanie przy szpitalnym łóżeczku, wsłuchiwanie się w urywany oddech dziecka, gasnący. I modlitwa połączona z bluźnierstwami: Tchnij Panie życie w tę niewinną istotę. Przecież powiedziałeś — „Jeżeli znajdzie się dziesięciu sprawiedliwych, nie zniszczę tego miasta”. Ileż w tym dziecku może być niesprawiedliwości? Nie ocaliłeś miasta, nie bronisz uczciwych. Nie wierzę, abyś nie wyszukał podobnie niewinnych dziewięciu istot. Niszczysz „owo miasto i wszystkich mieszkańców owych oraz roślinność ziemi” niszczysz „deszczem

siarki i ognia”. Nie, Ty nie unicestwiasz, Ty pozwałaś bezkarnie rujnować. Natchnąłeś ludzi myślą wielką, samobójczą, przeciwną naturze, myślą lotną w dymach kominów, rozległą jak obszary spustoszonej ziemi, wypalonej roślinności, gorącą jak rozżarzone góry hałd.

Lecz modlitwa nie została wysłuchana i teraz oczy Anny wpatrzone gdzieś w przestrzeń rejestrują przesuwający się ciemny orszak, na jego czele biała trumienka, krzyże cmentarne, wilgotna bryłka ziemi w ręku i nagła myśl: Może to i dobrze, że Agata nawet nie zdążyła zobaczyć swojego dziecka...

Dlaczego Bóg wszechmocny nie zapobiegł śmierci Moniki, przecież

rzekomo wiedział o tym od tysięcy lat? I refleksja: On, który włada Wszechświatem, miałby zajmować się losem maleńkiej dziewczynki... Ale przecież dla mnie, dla mnie była ona najważniejsza!!!

Nie chciała, żeby ktokolwiek towarzyszył jej podczas pierwszej nocy po odejściu Moniki. Świat się zawalił i nic nie pozostało. Pustka. Kompletna nicość. Wszystko buntowało się w niej — to niemożliwe, zły sen, zaraz się obudzi i znowu będzie jak dawniej. Trzęsącymi się rękami wyszukała igłę i wbiła ją sobie w palec — zabolalo i pokazała się krew. A więc to nie była nocna zmora.

Ze ściany patrzył na nią Krzysztof.

Złym wzrokiem, jakby z wyrzutem. Zdawało się jej, że słyszy jego słowa: „Nie potrafiłaś upilnować naszej córki!” Oparła łokcie na stole i zatkała uszy dłońmi, lecz głos w dalszym ciągu rozbrzmiewał. Ja chyba oszalałam — pomyślała — i chcąc się uwolnić od halucynacji sięgnęła po biblię. Otworzyła ją w miejscu, gdzie ostatnio skończyła czytanie:

„A spłonęła trzecia część ziemi
i spłonęła trzecia część drzew,
i spłonęła wszystka trawa zielona”

I spłonęła wszystka trawa zielona — powtórzyła ochryplym głosem, po czym podeszła do okna. W świetle zachodzącego słońca dymy wypływające

z kominów przybrały kształty potężnych
czarnych bestii, czyhających na
zmoknięte w listopadowym deszczu
bezlistne już drzewa i na ludzi
zamkniętych w szarych klatkach swoich
mieszkań.

ROMUALD PAWLAK urodził się 13 maja 1967 roku w Sosnowcu. Na wieść o przygotowywaniu niniejszej antologii napłynęło do mnie sporo opowiadań od osób dopiero próbujących swych sił w pisaniu. Ponieważ wybór miał za zadanie zaprezentować poszukiwania nowej drogi, nowych rozwiązań w polskiej fantastyce, postanowiłem wybrać chociaż jedno takie opowiadanie. Spośród wielu zdecydowałem się na dość klasyczny tekst — „*Koniec ery głodu*” Romualda Pawlaka, który mimo

bardzo młodego wieku nie jest aż takim debiutantem.

Od 1985 roku drukował w prasie, m.in. w „Młodym Techniku” i „Na przełaj”, a także w fanzinach („Collaps” i „Kwazar”).

Koniec ery głodu

Tirach! Gong!

— Nie! — warknął wściekle Jack Noex, trzydzieści trzy lata, nie karany urzędnik państwowy na rencie z powodu słabego zdrowia, kawaler. Podniósł się na nogi. Trrach! Zapomniał, że nad sobą ma parę rzędów klatek i akwariów. Pisk! Wrzask! Menażeria nie doceniła powagi chwili. Nic ją nie obchodziło, że Noex pracował ciężko nad

wzmocnieniem konstrukcji
podtrzymującej ich mieszkała.

— A niech was cholera! — syknął i pokazał im plecy, galopując do livingu. Teleekran był już włączony, utwierdzając go w słuszności podejrzeń, że włączał się zawsze wtedy, kiedy Noex był akurat zajęty. Jawna złośliwość. Czemu nigdy nie włączył się, gdy Noex drzemał w bujanym fotelu, albo rozparty na kanapie pod sztychem Ultramego, przedstawiającym stary kliper, czytał gazetę? O, nie. Noex musiał akurat podejmować gości, albo kroić coś w kuchni, albo... Teleekran jak mógł, obrzydzał mu życie. Nie pozwalał Noexowi być na bieżąco z tym, co działo się w kraju i na świecie.

Chyba nigdy nie włączył się równo z podawanym na cały kraj serwisem informacyjnym, zawsze o parę minut później, kiedy te najbardziej istotne wiadomości już zostały omówione. Noex dowiadywał się ich więc następnego dnia, najczęściej od zdziwionych sąsiadów. — „No jak to, pan nic nie wie?” — pytali z błyskiem niedowierzania i podejrzliwości, zastanawiając się, czy nie opłacałoby się donieść o tym, komu trzeba. Gdyby nie bająco wysoka grzywna, na zapłacenie której Noexa nie było stać, wykupiłby to szklane, ponure bydlę i pewnego pięknego dnia roztrzaskał w drobny mak.

Tym razem — kredą w kominie

zapisać, pomyślał, wycierając upaprane ręce w ręcznik — niczego ważnego nie stracił. Monitor wypełniała staroświecka, stylizowana na pulchne oblicze księżycy tarcza zegara, po której wędrowały cienkie wskazówki sekund i minut.

— Szanowni państwo! Wiemy wszyscy, w jak bardzo krytycznym położeniu znalazł się nasz ukochany kraj — większą część teleekranu zajął Mikę Resnick, ulubiony prezenter telewizyjny Noexa i milionów innych namiętnych oglądaczy. Zegar skurczył się i zepchnięty został w prawą dolną ćwiartkę ekranu. — Czeka nas ciężka próba — Resnick westchnął — i będzie to ciężka próba dla nas wszystkich, bez

względu na rasę, wiek, wyznanie i kolor
oczu. — Zmierzył fryzurę zmęczonym
gestem. — Myślę jednak, że wyjdziemy
z niej zwycięsko, prawda? nikomu z nas
nie zabraknie w tej decydującej chwili
odwagi i godności?

Noex skinął aprobuszko głową.
Będzie się starał. Otarł pot z czoła. —
O, cholera! — syknął. Mimo woli
dotknął świeżej rany na nadgarstku, w
miejscu, gdzie zaczynała się bliższa
palcem krawędź założonej wczoraj
bransolety identyfikacyjnej.

— Za kilkadziesiąt minut własnymi
rękoma ukręcimy łeb hydrze głodu i
przeludnienia, grozy towarzyszącej nam
nieprzerwanie od kilku dziesięcioleci.
Jeden ruch palcem — Resnick

zilustrował swą myśl głośnym strzałem z
palców — i świat, jaki znamy,
przestanie istnieć. Siedem procent
naszego społeczeństwa opuści nas w
łagodnym śnie — a towarzyszyć im
będzie zaszczytna świadomość, że to
właśnie dzięki nim, dzięki ich
niewiarygodnemu poświęceniu,
porównywalnemu jedynie z ofiarnością
Odkupiciela Win Naszych, obudzimy się
wszyscy w lepszym świecie, gdzie
będzie się nam żyło lepiej, dostatniej i
spokojniej...

— Oby tylko się udało... —
westchnął Noex.

Na ekran wypłynął teraz obraz
budynków rządowych, kamery wniknęły
w korytarze, dotarły do sali

prezydenckiej, gdzie Usher, jego ministrowie i przedstawiciele opozycji oraz kościoła zakładali kolejno na prawe nadgarstki indywidualne identyfikatory, całując stulę nuncjusza papieskiego, zaproszonego na tę uroczystość jako obserwator z ramienia Watykanu.

— Przypomnę może pokrótce zasady — obraz wrócił do studia, pokazując Resnicka, który bawił się metalowym długopisem w kształcie antenki. — Za kilkadziesiąt minut, w chwili oznaczonej przez Superkomputer, naciśniemy wszyscy przyciski w swych identyfikatorach. Superkomputer, z którym jesteśmy dwukierunkowo sprzężeni — Resnick uniósł w górę

prawą dłoń, operator kamery dał zbliżenie, koncentrując uwagę widzów na bransolecie, kadrując czerwony przycisk zabezpieczony niewielką prostokątną, plastikową szybką — określi, kto z nas spóźnił się lub przesadził z ostrożnością. Z tych dwóch grup wyłonionych zostanie siedem procent ogółu społeczeństwa, owe siedem procent, które, niestety, będzie musiało odejść, zapaść w łagodny sen wieczności po wstrzyknięciu do ich żył narkotyku. To bolesny moment w naszej tysiącletniej historii. Ale pamiętajmy, że po raz pierwszy w dziejach naszego państwa to my sami decydować będziemy o swoim losie. Cała ceremonia odbywa się na równych dla

wszystkich prawach, bez żadnych manipulacji i prób ocalenia kogoś kosztem innych. Wszyscy podlegamy dziś chłodnej, obiektywnej jurysdykcji Superkomputera, dla którego nie ma żadnej różnicy pomiędzy prezydentem Usherem a mieszkańcami podmiejskich slumsów — Resnick uśmiechnął się uspokajająco, błyskając złotą trójką. — A teraz, jeżeli państwo pozwolicie, chciałbym was pozostawić sam na sam z krótkim filmem ilustrującym przebieg przygotowań do tej epokowej...

— Sanctus! — wrzask Noexa zagłuszył dalsze słowa Resnicka. — Niech cię cholera weźmie! Czy ty nie umiesz usiedzieć na tyłku?!

Chomik patrzył, nie mogąc pojąć,

dlaczego człowiek krzyczy na niego. Całą swą postawą manifestował niewinność istoty ciekawej świata.

Noex posadził go sobie na kolanach. Teleekran pokazywał historyczny moment zakładania dzikim w dżungli Arrare bransolet identyfikacyjnych. Najpierw nie bardzo wiedzieli, po co to wszystko, próbowali je zdjąć, szarpali dłońmi i palcami. Wreszcie jednak, uświadomieni przez misjonarzy, zaczęli je obnosić z dumą, ukazując kamerze szerokie uśmiechy na swych płaskich, beznadziejnie brzydkich, prawie beznosych twarzach.

I wtedy Sanctus uznał, że do załatwienia pewnych potrzeb wcale nie są niezbędne trociny — wystarczą nowe

spodnie Noexa...

Tymczasem w głównej hali rozrządu Superkomputera trwał ożywiony ruch. Technicy i inżynierowie po raz ostatni z ostatnich sprawdzali aparaturę. W decydującej chwili nic nie miało prawa nawalić, zdublowane i potrojone bloki oprzyrządowania musiały spełnić swe powinności równie dokładnie i rzetelnie jak społeczeństwo, w imię dobra którego zostały zaprzężnięte do tej tytanicznej pracy.

— Te, Mahony, sukinsynu, nie pal!
— wrzasnął majster, dostrzegając nad głową jednego ze swoich ludzi, wędrującego po jednej z galerii obliczeniowych i przetwarzania danych,

charakterystyczny dymek.

— Nie palę przecież — odkrzyknął Mahony, dyskretnym ruchem zasłoniętej przed wzrokiem majstra dłoni wsuwając niedopałek w szczelinę między dwoma sąsiadującymi ze sobą panelami. Potem pokazał majstrowi puste ręce, zawisając na chwilę na ubezpieczającym go przed upadkiem w kilkunastometrową przepaść pasie.

— Dobra, dobra, pośpiesz się — krzyknął majster, spoglądając na zegarek. Rozliczy się ze szczeniakiem, jak ten znajdzie się na dole.

Żaden z nich nie dostrzegł, że wstrząs, kiedy technik zawisł nad przepaścią, spowodował wysunięcie się niedopałka ze szczeliny. Pomknął on w

dół, odbijając się od poszczególnych bloków elektronicznej korektury, wnikając głęboko, coraz głębiej w trzewia maszyny — aż wreszcie zatrzymał się...

— Tyle film — na ekranie znów pojawił się Resnick. Noex zdążył już zmienić spodnie i umieścić Sanctusa z powrotem w akwarium, gdzie chomik natychmiast podjął kolejną heroiczną próbę wyrwania się na zewnątrz.

— W naszym studiu rozdzwoniły się telefony — mówił Resnick. — Niektórzy z państwa nawet i teraz jeszcze wyrażają swe wątpliwości co do potrzeby dramatycznego kroku. Cóż, wątpię, więc jestem, powiedział ktoś,

trawestując przysłowie starego biednego Karterjusza. Przypomnę więc może kilka liczb i faktów — Resnick poprawił się w krześle (jeden z tych gestów, które zjednywały mu popularność, niwelując różnicę pomiędzy nim a widzami, umacniając ich w przekonaniu, że jest jednym z nich — mimo że swymi pieniędzmi mógłby wytapetować wszystkie ściany Muzeum Narodowego z sufitami włącznie — i wciąż jeszcze z pewnością coś by mu zostało). — Po pierwsze, wciąż nie możemy sobie poradzić z budownictwem mieszkaniowym. W tym roku bilans jest ujemny: więcej budynków się rozpadło, niż ich wznieśliśmy! Po drugie: niedobór żywności staje się coraz

bardziej odczuwalny, a po ostatnich zapowiedziach restrykcji Bloku Oceanicznego, wspierającego dotąd nasz przymierający głodem kraj, wydaje się, że klęska drastycznego niedoboru kalorii osiągnąć może nawet kilkunastu procent naszego społeczeństwa. Nie mamy również co liczyć na pomoc naszych sąsiadów — oni borykają się z identycznymi problemami, sytuacja u nich wygląda jeszcze gorzej niż u nas, bo do trudnej sytuacji ekonomicznej dodać należy poważne komplikacje narodowościowo-wyzwoleńcze. Tak więc... Przepraszam państwa — Resnick sięgnął po słuchawkę telefonu. Chwilę słuchał uważnie, raz przytaknął, po czym odłożył słuchawkę na widełki.

— Wracając do naszych niedoborów —
uśmiechnął się do kamery — obie te
bolączki, jak wyliczył nasz nieoceniony
Superkomputer, dosięgły na razie
średnio ok. 7% naszego społeczeństwa,
właśnie tych siedem procent, które
dziś... Czy mamy patrzeć, jak niemalże
jedna dziesiąta naszego narodu męczy
się, głoduje, mieszka w norach
niegodnych zwierzęcia, a cóż dopiero
człowieka, w dodatku obywatela Wolnej
Barbalandii?! Stanowczo nie. Nie i
jeszcze raz NIE! Demokratyczne
referendum udowodniło, że nie jest nam
jeszcze obca troska o siebie, o nasze
społeczeństwo, że pomimo trudnej
sytuacji nie stoczyła nas znieczulica. I to
jest chyba najlepsza odpowiedź, jakiej

mogę udzielić tym wszystkim, którzy podważają zasadność obranej przez nas drogi.

Noex przeniósł wzrok na sztych Ultramego. Czas kliprów przeminął — pomyślał. Wiedział, co się stanie, kiedy naciśnie ten feralny czerwony guzik. Nigdy nie miał szczęścia w życiu. Ale innym życzył jak najlepiej Rząd Ushera, choć świeży na politycznym rynku, starał się, w przeciwieństwie do poprzedników. Noex przystał więc na konieczność złożenia krajowi ofiary, choć nie bardzo rozumiał, dlaczego akurat ma nią być życie. Ale może było im to potrzebne?

— No, chłopcy — w drzwiach

pomieszczenia dozoru pojawili się dwaj Spece, trzymając w rękach swoje uniwersalne klucze, którymi odblokowali zamek. — Idźcie napić się soku pomarańczowego, dobra? Słyszałem, że dobrze się po mm pieprzy — to mówił ostrzyżony na jeża, wyższy, rozglądający się uważnym spojrzeniem po ciasnym pokoju, uginającym się od aparatury. — Chcielibyśmy trochę popracować — zatoczył ręką szeroki krąg. Niepotrzebnie, bo technicy bez słowa wstali i starając się nie otrzeć o kombinezony stojących przy drzwiach Speców, jak gdyby mogli złapać jakąś zarazę, wyszli w milczeniu z pokoju.

— No, zaczynaj — niższy z nich zablokował drzwi i wprowadził

specjalny kod strażniczy, którego sforsowanie nawet kluczem Speców zajmuje kilkanaście minut.

Jego towarzysz podszedł do zbiegu ścian, gdzie stykały się dwa półtorametrowe ściennie monitory. Wyjął z kieszeni inny klucz, przypominające nadajnik, i wystukał długi, skomplikowany kod. Skierował antenkę w stronę prawego monitora. Rozległo się chrobotanie od wewnątrz i monitor odsunął się z szelestem pocieranej gumy, odsłaniając koliste wejście do maleńkiego pomieszczenia.

— Żyjesz? Gott? — odezwał się ostrzyżony na jeża.

— Chyba nie — wyjęczał ze środka Gott. — Zmieniło się coś, Curtis?

Czemu nie dawaliście zwykłym kanałem?

— Tryb awaryjny, bratku — powiedział Curtis. — Mam cię zastąpić.

— Zastąpić? — zdumiał się Gott, gramoląc się ze skrytki. — No dobra, jak chcesz — zrobił miejsce Curtisowi, przeciągając się. — Jezu, jak tam ciasno.

— Trzymaj się, Curtis — ten od drzwi zamknął wejście do tajnego pomieszczenia Speców. Mimo woli stanął na linii spojrzenia Curtisa, zasłaniając jego twarz nic nie rozumiejącemu Gottowi. Może dobrze się stało. Spojrzenie Curtisa nie wróżyło bowiem temu ostatniemu zbyt długiego życia.

Dzwonek do drzwi rozległ się w chwili, kiedy Noex... No, mniejsza z tym, co robił, ważne, czego nie zdążył zrobić. A więc zapiął spodnie i klnąc poszedł otworzyć drzwi.

— Dzień dobry — za drzwiami stał Trapton, sąsiad z trzeciego, dzierżąc w dłoniach szklane, co najmniej pięćdziesięciolitrowe akwarium. — Można na chwilę? Nie przeszkadzam?

Noex skłął w myślach całą jego rodzinę do siódmego pokolenia wstecz.

— Proszę.

Trapton wszedł i postawił ciężar na podłodze. Teraz dopiero Noex dostrzegł, że na dnie akwarium oprócz jakiejś podejrzanie wyglądającej zieleniny znajduje się

kilkunastocentymetrowa warstwa piasku i kamieni.

— Wie pan, mam prośbę — zaczął niepewnie Trapton. — Dzieciaki chowały w domu żabę... A wie pan, przeczucie mówi mi, że... Krótko mówiąc, chciałbym, żeby zaopiekował się pan naszą Ruby. Wiem, że kocha pan zwierzęta, inaczej nie trzymałby pan ich tyle, więc jedno mniej czy więcej... Tu jest pokarm dla niej na najbliższych parę dni — wyjął z kieszeni niewielką paczkę i położył obok akwarium.

— Żabę?! — wyjąkał wstrząśnięty do głębi Noex. — Wie pan, chętnie bym przyjął, ale i ja mam...

— No, to bardzo dziękuję — sąsiad pośpiesznie otworzył drzwi. — Wie

pan, to doprawdy rozkoszne stworzenie, na pewno nie będzie pan żałował — zamknął za sobą drzwi, zanim Noex zdążył zaprotestować.

— I cóż ja mam z tobą zrobić? — powiedział, ustawiając akwarium obok swoich klatek. Właściwie powinien wypuścić wszystkie te stworzenia na wolność. Wiedział jednak, że żadne z nich nie przetrwałoby w naturalnych warunkach dłużej niż kilka godzin. Zbyt już przywykły do życia w niewoli, z żarciem pod sam pysk. Dobrze chociaż, że siostra się nimi zajmie, w ostateczności ktoś z rodziny odda je do ogrodu zoologicznego, wykonując jego ostatnią wolę...

Poszedł sobie ulżyć, przyrzekając, że

jeżeli znów mu ktoś przeszkodzi, potraktuje go dokładnie tak, jak ów intruz na to sobie zasłuży.

— Kurwa! — rzucił pod nosem technik, obsługujący jedną z konsol Superkomputera w hali operacyjnej. Spojrzał na zawieszoną ponad głową kamerę, i przekonawszy się, że utrwała ona ruchy jego rąk, zabrał się za poprawianie kodu operacyjnego. Któryś z jego kolegów, tworzących łańcuszek wzajemnie się pilnujących i uzupełniających programistów — popełnił gruby błąd, wpisując do pamięci jakieś cudo o niewiadomym przeznaczeniu. Trudno na razie określić, który z nich, czas na to znajdzie się

później, ale po to właśnie są kamery i rozgałęziona sieć zdublowanych stanowisk, żeby błąd lub świadoma działalność jednego człowieka nie mogły zaważyć na prawidłowym działaniu Superkomputera. Technik uśmiechnął się pod nosem. Pewnie kolejny program szpiegowski. I znów bez szans. Nikt, kto nie znał prawdy, nie miał szans wydobyć jej z Superkomputera. On na szczęście wiedział, był jedną z niewielu osób, które znały prawdziwe oblicze Programu. Ci, którzy łudzili się, że ich szansę stoją jak czternaście do jednego, nie znali bolesnej prawdy: że w rzeczywistości unicestwieniu ulec ma nie siedem, a siedemnaście procent

społeczeństwa. Siedemnaście — a więc ich szansę stały się sześć do jednego. Roześmiał się gorzko. On, na szczęście, to wiedział. Zawsze łatwiej umierać, znając prawdę.

— Cholerne bydlaki! — wrzeszczał Noex. — Sprzedam was wszystkie, sprzedam, niech mnie szlag!

Powodem jego wzburzenia były, jak zwykle, zwierzęta. W widoczny sposób nie docierała do nich powaga chwili, nie zamierzały Noexowi dać minuty spokoju. Gdy tylko nie widziały go przez chwilę, natychmiast zaczynał się koncert w ustalonym wcześniej repertuarze: najpierw odzywał się rezus, później ara, dołączały do nich wszystkie pozostałe

zwierzęta dysponujące najmniejszymi
choćby zdolnościami wokalnymi...
Obłąd. Rezus w dodatku dostał
biegunki!

Wyszedł zaczerpnąć świeżego
powietrza, kątem oka zerknął w
teleekran... i momentalnie zapomniał o
krnąbrnych zwierzętach. Do studia,
gdzie dwaj poważni ekonomiści toczyli
długą i owocną dyskusję o
przewidywanych wynikach i
długofalowych skutkach realizacji
Programu, wpadło dwóch
zamaskowanych mężczyzn. Obaj błyskali
bransoletami identyfikacyjnymi, co nie
przeszkadzało im jednak wymachiwać
ręczną bronią maszynową.
Błyskawicznie, wykorzystując

zaskoczenie, skierowali ją w Resnicka, dwóch rozmawiających ekonomistów oraz niewidocznych kamerzystów.

— Ludzie! — jeden z terrorystów wyszarpnął Resnickowi mikrofon z ręki, przez chwilę szamocząc się z niesfornym kablem. — Jesteśmy straszliwie okłamywani, jak nigdy jeszcze w dziejach naszego narodu. Dzisiejszego popołudnia, za niecałą godzinę, zginąć ma nie siedem, jak podają rządowe publikatory — szturchnął lufą stojącego biernie Resnicka — ale CZTERDZIEŚCI SIEDEM procent naszego społeczeństwa!!! Ludzie, nie pozwólmy się zamordować, nie dajmy się tym tyranom! Zerwijmy okowy z rąk — jakimś cudem udało mu się rozpiąć

bransoletę identyfikatora i rzuciwszy ją na podłogę, zaczął ją deptać — wyjdźmy na ulice, pokażmy, że nie pozwolimy się okłamywać! Pokażmy, kto tu jest dla kogo! — patetycznym ruchem ręki wskazał swego towarzysza, który rozwijał właśnie flagę z czerwonym napisem na białym tle: **WSZYSCY JESTEŚMY LUDŹMI!**

— Spójrzcie! — zaczął znów po chwili, przyciągając ku sobie Resnicka. Wyszarpnął zza koszuli jakiś obły przedmiot z długą szczecina anten. — Oto wasz ulubiony sprawozdawca telewizyjny, człowiek, którego tak kochacie! — wykonał kilka szybkich ruchów trzymanym w dłoni aparacikiem. — Patrzcie uważnie!

Noex skamieniał. Twarz Resnicka na moment przygasła, jak gdyby przestał ją rozświecić wewnętrzny ogień, ogarnęła ją fala szybkich skurczów... z których wyłoniła się jako wierna kopia twarzy stojącego obok terrorysty. Po sekundzie wróciła do normy, stając się znów twarzą Mike'a Resnicka.

— Oto, kim jest Resnick! — powiedział terrorysta. — Robotem! Oto, kogo słuchaliście, komu wierzyliście przez tyle lat! Uważacie, że kłamię, fantazjuję, że to jakaś mistyfikacja? No, to patrzcie dalej!

Noex nigdy nie miał się dowiedzieć, co terrorysta miał im pokazać. Nagle przez ekran przemknęła krzaczasta błyskawica i monitor ściemniał. Gdy

obraz powrócił po kilku chwilach, w studiu panował idealny porządek, poza jedną niewielką chmurką sinawego dymu w miejscu, gdzie stał przedtem przemawiający do ludzi zamachowiec. Jego współnik uśmiechał się radośnie, trzymając w rękach planszę MUSIMY BYĆ DZIELNI — PRZYSZŁOŚĆ W NASZYCH RĘKACH!

— Najmocniej państwa przepraszam za ten pożałowania godny incydent — w studiu pojawił się Breston, znany reporter i dziennikarz. — Ci oto osobnicy — zaczęła, pocierając dokładnie ogolony zarost — myśleli, że uciekną od odpowiedzialności. Otóż nie, zapewniam państwa, że nikomu z nas się to nie uda. Superkomputer ma

wkodowane polecenie bezpardonowej eksterminacji tych wszystkich, którzy z jakichś przyczyn nie wezmą udziału w naszym programie ocalenia narodowego. Tych, którzy po prostu nie zdecydują się na naciśnięcie guzika, uzna za grupę największego ryzyka. Tych, którzy jakimś cudem uwolnią się od swojego identyfikatora, ujawni — i społeczeństwo osądzi ich należycie w nowym dniu naszego świata. — Uśmiechnął się. — Ale, ale. Chcą państwo posłuchać komentarzy, jakimi zasypuje nas świat, pasjonujący się naszym Programem?

— Wszystko gra? — Usher patrzył na agenta jak na żabę. — Żadnych

nawalanek?

Agent szybko przytaknął:

— Żadnych, panie prezydencie.

Program wprowadzony, uruchomiony, teraz tylko Opatrzność może nam wejść w drogę — zaśmiał się nerwowo. —

Albo nasi wrogowie — dodał ciszej.

— Świetnie — powiedział prezydent, rozkoszując się tym słowem.

— Świetnie — powtórzył. —

Siedemnaście?

— Siedemnaście — potwierdził agent z szacunkiem. — Pierwszy raz rozmawiał z prezydentem. Pierwszy też raz w jego rękach znalazła się tak wielka tajemnica. — Superkomputera pilnuje podwójna obsada, kod został trzykrotnie sprawdzony i

zapięczętowany. Żadnych możliwości wymknięcia się nam sytuacji z rąk, panie prezydencie.

— Trzymam cię za słowo, chłopcze — uśmiechnął się Usher. — Jak się nazywasz?

— Treally, panie prezydencie — odparł szybko agent. — John Treally, trzynasty rok służby w siłach rządowych.

— Będę o tobie pamiętać, Treally — rzekł prezydent. — A teraz wracaj do swych obowiązków.

— Biedny głupiec — mruknął Lachter, kiedy uszczęśliwiony agent odszedł. — I pewnie nawet przez myśl mu nie przeszło, że coś może być nie tak — pokręcił głową. — Cudowne: żadnych wątpliwości...

Usher spojrział na niego gniewnie, jego oczy rzucały gromy.

— Zamknij się. Takich właśnie nam potrzeba. Wy, z opozycji, wciąż jeszcze myślicie, że można było inaczej. A jak? Czy któryś z was coś zaproponował? Łatwo mówić: nie.

Nikt się nie odezwał. Lachter i pozostała dwójka nie zgadzała się, oczywiście, z metodami Ushera ze względu na ich przerażający koszt społeczny — zresztą od tego byli, żeby się nie zgadzać — ale pod jednym względem Usher bezdyskusyjnie miał rację: nie istniało inne rozwiązanie.

Noex tymczasem w najwyższym napięciu śledził przebieg wydarzeń

rozgrywających się na Placu Centralnym stolicy. Bezpośrednia transmisja pozwoliła mu bowiem stanąć twarzą w twarz z demonstrantami, których oblicza emanowały nienawiścią i buntem. Ich ręce, uniesione w górę, pozbawione bransolet, podrygiwały w rytm skandowanych haseł o wolność i praworządność dla każdego. Noex wiedział, że demonstranci popełniają poważny błąd. Zgadzał się, że wszystko powinno odbyć się uczciwie, bez szachrajstw, to oczywiste. Ale pewien porządek obowiązuje. Gdyby jego zwierzęta zapragnęły naraz demokracji, przecież też by się nie zgodził. Jak by wyżyły na wolności! Któż miał nimi kierować, jeśli nie on?

Myśl o zwierzętach skierowała go we właściwym kierunku. Oto bowiem Sanctus znalazł szparę w klatce i wystawił łebek na zewnątrz, usiłując precyzyjnie resztę ciała przez wąski otwór. Mocnym pstryknięciem w głowinę Noex wstrzelił go z powrotem do klatki, przewracając przy okazji grupkę chomiczego towarzystwa Sanctusa, w milczeniu przyglądającego się jego wysiłkom. Byłby niezłym anarchystą — pomyślał i zastawił dziurę ciężką szklaną popielniczką dla gości, przyrzekając Sanctusowi przeprowadzkę do należnego mu szczelnego akwarium. Pośpiesznie wrócił do pokoju.

Na teleekranie narastał tymczasem dramatyzm sytuacji. Demonstranci

skończyli już ze skandowaniem hasełek i wymachiwaniem zaciśniętymi rękoma, przeszli do działań bardziej konkretnych, takich jak rwanie kamieni z bruku i obrzucanie pilnujących ich funkcjonariuszy sił porządkowych gradem drobnych przedmiotów. Naraz rozległ się narastający szmer gniewnych głosów: oto do akcji weszła specjalna brygada antyterrorystyczna Speców. Żołnierze rozwinęli się, wnikając swymi pomarańczowymi kombinezonami w tłum, po czym rzucili pojemniki z gazem obezwładniającym. Przez sekundę teleekran pokazywał jedynie chmurę żółtoburych, ciężkich oparów. Naraz przejaśniło się — i Noexowi wydarł się z piersi długi jęk zaskoczenia.

Demonstranci, funkcjonariusze sił porządkowych oraz wielu ciekawskich — leżeli pokotem, sparaliżowani. Na polu niedawnej walki pozostała jedynie nieliczna grupka postaci w pomarańczowych kombinezonach i czarnych, skrywających twarze kaskach. Przechadzali się niespiesznie, zakładając wszystkim specjalne identyfikatory, jak głosił napis, który pojawił się pod obrazem z Placu Centralnego.

— I taki właśnie jest koniec wszystkich wichrzycieli — skomentował wydarzenia siedzący w studiu Breston. Znów potarł policzki, jak gdyby nie mogąc się oprzeć ich swędzeniu. — Czyż nie jest szaleństwem

podważać szczerotę intencji naszego rządu, jego dobrych chęci i zdecydowanych działań, zmierzających prostą drogą ku poprawie sytuacji w naszym kraju? Ci oto niewdzięcznicy — machnął ręką w stronę monitora, na którym Spece zbierali demonstrantów — uważali, że rząd nie ma racji. Nie wymyślili tego sami. Niewątpliwie cała ta sprawa nosi cechy prowokacji, kto wie, czy nie maczał w tym palców Blok Oceaniczny. Dojdziemy do tego i ukarzymy wszystkich sprawców. Przyrzekam to państwu w imieniu całego rządu i swoim własnym.

— Kurwa! — zaklął Curtis, wiercąc się w pomieszczeniu tajnego dozoru

Superkomputera. Nie dość, że ciasno, śmierdząco, gorąco jak sto diabli, to jeszcze display wyświetlał jakieś bzdury! Szybko zgasił poronione szeregi liczb i nie bawiąc się w ich sprawdzanie — nie miał na to czasu ani tym bardziej ochoty — odesłał je do peryferyjnego banku danych, gdzie nie mogły zginąć (kiedyś będzie musiał je rozgryźć), a nie były w stanie zagrozić prawidłowemu działaniu Programu. Teraz spoczywała na nim zbyt wielka odpowiedzialność. Był jednym z kilkudziesięciu, którzy wiedzieli, jak wyglądać będzie prawdziwe działanie Programu. Nie siedem procent, jak powiedziano społeczeństwu. Nie siedemnaście, jak usłyszeli strażnicy,

większość Speców, Usher i opozycja. Czterdzieści jeden osób z najściślejszego dowództwa SpecGrupy znalazło tę straszliwą prawdę: ani siedem, ani siedemnaście procent niczego nie mogło zmienić. Ani nawet te czterdzieści siedem, pierwotny plan SpecGrupy, oszacowanie, do którego jakimś cudem dorwali się ci pomyleni terroryści. Potrzebna była ofiara siedemdziesięciu procent! Aż siedemdziesięciu, żeby powstrzymać chaos i dezintegrację, jakie trawiły ten biedny, nieszczęśliwy kraj. Ktoś musiał wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności. SpecGrupa zawsze była gotowa służyć krajowi ze wszystkich sił. Teraz mogła to

udowodnić. Program zostanie wykonany co do joty.

Bał się. Nigdy nie był specjalnie odważny, a teraz miał się wykazać tym abstrakcyjnym dla niego uczuciem, dając krajowi dowód swej wierności. Inaczej jego zachowanie poczytane zostanie jako działalność przestępcza, wymierzona w dobro narodu. A jak mógł się wykazać odwagą, jeżeli wiedział, że to ostatnie chwile jego życia — i nie wierzył w dodatku w żadne życie pozagrobowe! Miał oddać swe istnienie krajowi — i choć wiedział, że naród potrzebuje wyrzeczeń, nie rozumiał, dlaczego potrzebne jest akurat jego życie. Siedział blady i wpatrywał się w ekran, gryząc

aż do krwi wargi. Bał się jak diabli.

— Proszę państwa, Blok Oceaniczny zajął oficjalne stanowisko w sprawie zajść na Placu Centralnym — mówił Breston, uśmiechając się łagodnie, chociaż to, o czym mówił, wcale nie było wesołe ani przyjemne. — Oto treść oświadczenia złożonego na ręce naszej telewizji: „Rząd Zjednoczeniowy Bloku Oceanicznego pragnie zawiadomić, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie ingerował i nie zamierzał ingerować zarówno w wewnętrzną, jak i międzynarodową politykę jakiegokolwiek narodu. Tym samym nie ponosi żadnej odpowiedzialności za napięcia, jakie wystąpiły w Wolnej Barbalandii, solidaryzując się jednak z

opinią międzynarodową, według której wkroczyła ona właśnie w ślepy zaułek cywilizacyjnego rozwoju, Rząd Zjednoczeniowy po raz ostatni pragnie zaapelować do rządu i obywateli Wolnej „Barbalandii o rozsądek i opamiętanie”. Koniec oświadczenia — rzekł Breston i zmiąwszy w dłoniach kartkę, rzucił ją do kosza. — Tak więc znamy stanowisko Bloku Oceanicznego, potwierdzające wszystkie nasze podejrzenia co do ich odwiecznej „życzliwości”. To jednak kwestia, którą zajmiemy się później. Teraz spojrzął na zegarek — zostało już niezbyt dużo czasu, przeczytam więc państwu depezę, jaką dostaliśmy z Biura Politycznego prezydenta Ushera. —

Chrząknął i przybrał poważny wyraz twarzy. — „Rodacy! Nadeszła chwila decydujących przemian. Dla dobra narodu potrzebne są wasze wyrzeczenia — trudne dziś oznaczać będzie lepsze jutro. Dzisiejszego popołudnia wszystkim nam będzie ciężko. Ale chyba warto. Zdajemy sobie sprawę, że bez poświęceń nie doczekamy dobrobytu i ustabilizowanej gospodarki. Życzę wam w tych ciężkich chwilach umocnienia się w świadomości, że nasze ofiary staną się podwalinami jutra, w którym nasz naród decydował będzie o obliczu całego świata, wszystkich innych narodów. Jonathan Usher, z woli narodu prezydent Wolnej Barbalandii.”

Noex wzruszył ramionami.

Decydować będą ci, którzy pozostaną przy życiu — pomyślał.

Curtis nie wytrzymał i trzasnął pięścią w konsolę. I jeszcze raz.

— No co jest, do kurwy nędzy?! — warknął. — Przecież miało być siedemdziesiąt procent — przyjrzał się uważnie wyświetlaczowi. Ten jednak uparcie pokazywał swoje. — Siedemset procent społeczeństwa — Curtis wciągnął głośno powietrze i zaśmiał się nerwowo. — SIEDEMSET! Ciekawe, co za palant to wymyślił?! Jezu, tego, który to wprowadził... za jaja... jak Boga kocham, prze...

Wyświetlacz pozostawał obojętny na słowa i przekleństwa Curtisa, wciąż

pokazując siódemkę z dwoma zerami. Curtis przyśpieszył bieg palców po konsolecie. Naraz zbladł. Wyświetlacz pozostawał obojętny nie tylko na jego słowa. Program już szedł, żądając od procedury wykonawczej zlikwidowania siedmiuset procent społeczeństwa — a on nic na to nie mógł poradzić, dosłownie nic!

— Jezu! — odepchnął się od konsolety. Splótł palce, aż chrupnęło. Jego wzrok padł na bransoletę na prawym nadgarstku. Chwycił ją drugą ręką i obejrzał zapięcie. Najpierw powoli, później używając całej siły — usiłował ją rozpiąć. Na nic się to jednak zdało. Szlochając opadł z powrotem na fotel i zaczął walczyć z Programem,

usiłując go powstrzymać. Był dobry, ale Program był lepszy: wyświetlacz nie reagował.

— Proszę państwa, nadszedł nasz czas! — powiedział Breston. Na jego szyi wystąpiły żyły, na policzkach pojawiły się purpurowe plamy. Chwycił prawą ręką nadgarstek lewej, składając palce na bransolecie zapiętej obok elektronicznego zegarka. Zerwał plastikowe zabezpieczenie.

Naraz Breston przestał być w centrum uwagi wszystkich. Ekran podzielił się na kilkadziesiąt prostokątów, przedstawiających prezydenta z jego świtą, kamerzystów, aktorów i filmowców, pisarzy, zarząd

koła gospodyń wiejskich,
reprezentantów kleru, przedstawiciela
kartelu naftowego... Wszyscy tu mieli
swoich przedstawicieli, mających
świecić przykładem, dodawać otuchy.

— Superkomputer gotów. Liczba
działających identyfikatorów: czterysta
jeden milionów dwadzieścia siedem
tysięcy sto osiem. Sto procent
przewidzianych — rozległ się we
wszystkich domach przekazywany przez
radio i telewizję głęboki głos
Superkomputera.

— A więc, proszę państwa,
Superkomputer wypełnił swe zadanie co
do joty — Breston już się nie uśmiechał.
Oczy błyszczały mu jak w gorączce. —
Połączył nas wszystkich. Od tej chwili

za dziesięć sekund powinniśmy okazać naszemu ukochanemu krajowi swą wierność. Powodzenia. Mam nadzieję, że spotkamy się po tamtej stronie — dodał.

Noex wiedział, że nie spotkają się po tamtej stronie, a jeżeli nie wiedział, to przynajmniej przeczuwał to. Bezradnym spojrzeniem wpatrywał się w zegar, który znów zdominował teleekran, odliczając ostatnie sekundy. Nie mógł ruszyć palcami. Cała jego wola odeszła, pozostawiając puste, bezwładne ciało. Choćby chciał — a nie pragnął tego — nie potrafił ofiarować swego życia krajowi.

Przez głowę przemknęły mu obrazy z ostatnich lat jego życia, konflikt z Rayą,

słowa jednego z przyjaciół, który wszedłszy do miniaturowego zoo Noexa stwierdził, że nigdy i nigdzie nie czuł się bardziej człowiekiem... i zegar wskazał TERAZ.

— Zero! — Breston nacisnął guzik. Ten przeklęty czerwony guzik, którego nikt nigdy nie powinien był dotykać...

Nadgraniczne lotnisko aż po brzegi wypełnione było samolotami bojowymi, śmigłowcami i słoniowatymi transporterami powietrznymi. Właśnie zdjęto z nich siatki maskujące i podgrzano silniki. Było ciepłe, pachnące deszczem popołudnie.

Stud zapalił papierosa. Spojrzał w przedłużenie pasa startowego, wytyczającego kierunek lotu. Tam, za

drzewami okalającymi lotnisko, była granica i — kraj, który kiedyś nazwał siebie Wolnym Barbalandem. Jutro będzie się już nazywać inaczej.

Jakby na potwierdzenie tej myśli zobaczył biegnącego w jego stronę podporucznika Drapperssa.

— Panie pułkowniku! — krzyczał tamten. — Jest rozkaz!

Stud rzucił niedopałek na płytę i metodycznie go rozdeptał. Wsadził ręce w kieszenie kombinezonu i wolno wypuścił powietrze z płuc.

— Dziękuję, Drappers — powiedział i ruszył w kierunku swojej maszyny.

Wystartowali natychmiast, jak tylko wieża dała pozwolenie. Najpierw

eskadra Studa jako prowadzącego, za nią następne, aż do kompletnego oczyszczenia lotniska. Nie pozostała na nim nawet jedna zdolna do lotu maszyna. Wszystko, co było w stanie wzbić się w powietrze i nie przepaść, zmierzało teraz z całego pasa przygranicznych lotnisk w kierunku Wolnego Barbalandu.

— Ciekawe, panie pułkowniku, czy będą stawiali duży opór — usłyszał Stud w słuchawkach hełmofonu głos Bonmeta, radiotelegrafisty. Ten jak zwykle bawi się we wrózu. — Wolałbym, żebyśmy się nie natknęli na ich główne siły...

— I nie natkniesz się, Ralph. Daliśmy im odpowiedni margines czasu, żeby zrobili to, co sobie zaplanowali. Nasi agenci są niezawodni —

powiedział Stud, rozkoszując się tą chwilą. To właśnie ona najbardziej pociągała go zawsze w całej akcji. Byli już w ruchu, zmierzali w kierunku wroga — ale jeszcze nie doszło do walki, jeszcze pozostawały minuty wyczekiwania. Potem nie będzie już czasu na myślenie, na nic, tylko na proste, wyuczone odruchy i szczęście. Ale teraz mógł się rozkoszować narastającą w nim wolą walki i chłodną koncentracją.

— A jeżeli zostało ich jednak więcej niż te trzydzieści procent? — włączył się do rozmowy Plascott, lewy strzelec, dobry w swojej wieżyczce, ale jeszcze nie za bardzo zgrany z resztą załogi.

— Nie zostało — z przekonaniem w głosie orzekł Stud. — A trzydzieści procent ich armii będzie sobie mogło tylko wsadzić palec do dupy, zanim ich skasujemy.

W słuchawkach rozległy się śmiechy.

— To zawsze był naród pieprzonych mesjaszy — mówił dalej Stud, wiedząc, że go słuchają. — Ostatnie bastiony starej cywilizacji. Prometeusze. I zawsze, gdy nie mieli bata nad sobą, szło im jak po grudzie. W gruncie rzeczy, chłopcy — roześmiał się — lecimy ich wybawić przed samymi sobą.

Przekroczyli granicę. Cisza. Widoczne jak na dłoni baterie pelotu nie prowadziły ognia, udawały, że ich tam

nie ma. W dole widać było kolumny czołgów z emblematami Bloku na burtach. Szerokimi strugami rozlewały się po równinie, poszerzając przyczółek.

— Pułkowniku, meldunek ze zwiadu satelitarnego — powiedział Bonnet. — Żadnych ruchów wojsk. W ogóle nic. Jakby ich diabli wzięli.

— A jeżeli to pułapka? — powiedział wolno Plascott.

Stud wzruszył ramionami, czego oczywiście większa część załogi nie mogła zobaczyć, schowana w swoich wieżyczkach i przedziałach „Thunderboldta”.

— Pieprzysz, Plascott — warknął. — Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się boisz. Zdradzę wam, chłopcy,

tajemnicę. Niewielu jeszcze o tym wie, ale to jeden z naszych ludzi podsunął Barbalandczykowi ten „genialny” pomysł. Rozumiecie? I jak może się nam teraz nie udać?!

Rozległy się śmiechy i gwizdy podziwu. A potem zapadło milczenie. Byli już przecież na terenie wroga.

— No to ich pobiliśmy, panie pułkowniku — powiedział Bonnet pięćdziesiąt kilometrów dalej. — Miał pan całkowitą rację. Tak się tylko zastanawiam, czy to ten naród jest taki, taki... czy też to miejsce... — urwał, jakby się przestraszył własnej myśli.

— Daj spokój — uciął krótko Stud. Ale i jemu nagły dreszcz przebiegł po plecach. W domu pozostawił Juth i

dwóch synów...

Wgryzali się coraz głębiej w pusty i oczekujący ich kraj. Teraz już nie było wątpliwości: operacja „Pandora” w pełni się powiodła.

ANDRZEJ SAPKOWSKI urodził się w 1948 roku, ukończył Handel Zagraniczny na Uniwersytecie Łódzkim, pracuje w swoim zawodzie. Fantastykę, a szczególnie fantasy, czyta od lat. Do napisania pierwszego opowiadania nakłonił go syn, informując jednocześnie o rozpisany przez miesięcznik „Fantastyka” konkursie literackim. O p o w i a d a n i e „*Wiedźmin*” wydrukowane w 1986 roku przyniosło autorowi III nagrodę w konkursie i wielkie uznanie czytelników, którzy wybrali je najlepszym opowiadaniem

polskim roku.

Na sukces Andrzeja Sapkowskiego złożył się nie tylko dobry warsztat literacki, trafienie w koniunkturę na fantasy, ale także sięgnięcie po elementy rodzimej demonologii. Pisząc czystą fantasy, bez elementów techniki, nie próbując czerpać z wzorców zachodnich, a zwłaszcza z tak chętnie naśladowanego Howarda, idealnie trafił w gusta czytelników.

Choć sam nie uważa się za pisarza, to w jego następnych opowiadaniach: „*Droga, z której się nie wraca*” (1988), „*Ziarno prawdy*” (1989) i „*Mniejsze zło*” (1990) — wszystkie ukazały się w „Fantastyce” — daje się zauważyć ciągły rozwój jego możliwości

literackich. Zwłaszcza ostatnie opowiadanie, w którym „uczłowiecza”, przybliży nam postać swego bohatera, czyniąc z niego, jak sam to określił, Pirxa fantasy, potwierdza, że stworzył nową formułę tego gatunku.

„*Muzykanci*” to Sapkowski, jakiego jeszcze nie znamy. To trzeba przeczytać! Ludzie! Nie znęcajcie się nad zwierzętami!

Muzykanci

Doły

Tam, gdzie praktycznie kończyło się miasto, za pętlą tramwaju, za skrytym w wykopie torem kolejowym i pstrym kwadratem ogródków działkowych, rozciągało się nierówne, pagórkowate pole, zaśmiecone i zryte, szczyrzące się złomami betonu i kłami drutu zbrojeniowego, gęsto porośnięte ostem, perzem, mietlicą, mleczem i szarłatem.

Był to pas ziemi niczyjej, frontowa

strefa pomiędzy kamienną ścianą bloków mieszkalnych a odległym, ciemnozielonym lasem, zasinionym mgłą smogu.

Teren ten ludzie nazywali Dołami. Nie była to prawdziwa nazwa tego miejsca.

Okolica ta zawsze była pusta, z rzadka penetrowana nawet przez wszędobylskie dzieci, które, na wzór rodziców, preferowały do zabaw miejsca ukryte w bezpiecznych i przytulnych żelbetowych kanionach. Czasem tylko, i to na samym skraju, zasiadali tu pijaczkowie, atawistycznie ciągnący ku zieleni. Poza tym na Doły nie zapuszczał się nikt.

 Nie licząc kotów.

Kotów było pełno na całym osiedlu, ale Doły były ich królestwem, niekwestionowaną domeną i azylem. Osiedlowe psy, regularnie szczute na koty przez swoich właścicieli, zatrzymywały się na pograniczu pustkowie, wracały, kuląc ogony i skamląc. Z pokorą przyjmowały okrutne ciągi, spuszczone im przez panów „za tchórzostwo” — Doły budziły w nich większy strach niż razy.

Ludzie również czuli się na Dołach nieswojo. W dzień. Bo w nocy na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

W ciągu dnia przyczajone i ostrożne, nocą koty krążyły po Dołach miękkim, ostrzegawczym krokiem, dokonywały

niezbędnych korekt liczebności miejscowych szczurów i myszy, budziły mieszkańców pogranicznych bloków przeraźliwym wrzaskiem, oznajmiającym miłość lub krwawy bój. W nocy koty czuły się na Dołach bezpiecznie. W dzień nie.

Mieszkańcy osiedla nie lubili kotów. Zważywszy, że stworzenia, które lubili i które trzymali w swoich kamiennych gniazdach, zwykli byli od czasu do czasu bestialsko męczyć, określenie „nie lubili” w stosunku do kotów nabierało właściwego, ponurego wyrazu. Bywało, że koty zastanawiały się, gdzie leży przyczyna tego stanu. Poglądy były różne — większość kotów uważała, że winę ponoszą owe drobne, pozornie nic nie

znaczące drobiazgi, które powoli, acz skutecznie, zabijały ludzi i wiodły ich do obłądu — ostre, mordercze igielki azbestu, które nosili w płucach, zabójcze promieniowanie, płynące z płyt będących ścianami ich siedzib, kwaśne, życiogubne powietrze, bezustannie wiszące nad miastem. Cóż dziwnego, mówiły koty, że ktoś balansujący na krawędzi zagłady, truty, trawiony przez jady i choroby, nienawidzi witalności, zwinności i siły? Że ktoś roztrzęsiony, nie znający spokoju, wściekłością i szałem reaguje na ciepły, puszysty i rozmruczany spokój innych? Nie, nie było w tym niczego, czemu należało się dziwić. Należało natomiast być czujnym — należało uciekać co sił w nogach, co

długości w wyciągniętym skoku, gdy dostrzegło się na horyzoncie duże lub małe dwunogie sylwetki. Należało strzec się kopniaka, kija, kamienia, zębów szczonego psa, kół samochodu. Należało umieć rozpoznać okrucieństwo, kryjące się za cedzonym zza zaciśniętych zębów: „Kici, kici”. I tyle.

Były jednak wśród kotów i takie, które uważały, że przyczyna nienawiści leży gdzie indziej. Że ukryta jest w Dawnych Czasach.

Dawne Czasy. Koty wiedziały o Dawnych Czasach. Obrazy z Dawnych Czasów widywało się nocami na Dołach.

Bo Doły nie były zwykłym

miejscem. Podczas rozświerszczonych, księżycowych nocy koty widziały obrazy dostępne wyłącznie ich kocim źrenicom. Zamglone, rozmigotane obrazy. Korowody długowłosych panien dookoła dziwacznych budowli z kamienia, obłąkańcze wycia i podskoki wokół okaleczonych ciał zwisających z drewnianych rusztowań, szeregi zakapturzonych ludzi z pochodniami w rękach, płonące domy z wieżami zakończonymi znakiem krzyża, takie same krzyże, ale odwrócone, zatknięte w czarną, pulsującą ziemię. Stosy, pale i szubienice. I czarnego człowieka, wykrzykującego słowa. Słowa będące, jak wiedziały koty, prawdziwą nazwą miejsca nazywanego Dołami.

Locus terribilis.

W takie noce koty bały się. Koty czuły, jak drga Zasłona. Przypadały wówczas płasko do ziemi, wpijały pazury w grunt, bezgłośnie otwierały wąsate pyszczki. Czekwały.

I wówczas rozbrzmiewała muzyka. Muzyka, zagłuszająca niepokój, kojąca strach, niosąca błogość, zwiastująca bezpieczeństwo.

Bo oprócz kotów, na Dołach mieszkali Muzykanci.

Veehal

Dzień zaczął się tak samo, jak wszystkie inne dni — chłodny ranek rozgrzał się i rozleniwił ciepłym, jesiennym przedpołudniem, rozświecił się smużkami babiego lata w swym zenicie, rozchmurzył i zamglił pod wieczór, zaczął gasnąć.

To stało się zupełnie niespodziewanie, nagle, bez ostrzeżenia.

Veehal rozdarł powietrze, przeleciał

po chwastach jak wichler, zwielokrotnił się echem odbitym od kamiennej ściany bloków. Potworny strach zjeżył pręgowane i łaciate futerka, położył uszy, wyszczerzył kielki.

Veehal!

Męczarnia i śmierć!

Mord!

Veehal!

Zasłona! Zasłona pęka!

I muzyka.

Uspokojenie.

Syreny karetek spłynęły na ogródki działkowe dopiero później.

Dopiero później zaczęła się oszalała krzątania ludzi w białych i niebieskich ubraniach. Koty patrzyły na to z ukrycia, spokojne i obojętne. To już ich nie

dotyczyło.

Ludzie biegali, krzyczeli, klęli. Ludzie wynosili spomiędzy altanek ciała, zmasakrowane, zniekształcone, sączące krew przez białe prześcieradła. Ludzie w niebieskich ubraniach odpychali od drucianej siatki innych, tych, którzy nadbiegali od strony osiedla. Koty patrzyły.

Jeden z ludzi w niebieskich ubraniach, wytoczywszy się na otwartą przestrzeń, wymiotował, krztusił się. Ktoś krzyczał, krzyczał okropnie.

Wściekle roztrzaskały się drzwi samochodów, potem znowu wyły syreny.

Koty mruczały cicho. Koty słuchały muzyki. Tamto już ich nie dotyczyło.

Krostowaty

Pogrążony w sieci tonów, wiążących i klejących przedartą Zasłonę delikatną przędzą muzyki, Krostowaty cofnął się, siejąc wokół kropelkami krwi ściekającej z pazurów i kłów. Cofnął się, zniknął, odgradzany od przejścia kleistym spoiwem, po raz ostatni, już zza Zasłony, tchnął ku Muzykantom nienawiścią, złością i groźbą.

Zasłona zrosła się, zatarł się ostatni

śląd pęknięcia.

Muzykanci

Muzykanci siedzieli w cieniu pogiętego, okopconego, zarytego w ziemię pieca.

— Udało się — powiedział Kersten.
— Udało się tym razem.

— Tak — potwierdził Itka. — Ale następnym razem... Nie wiem.

— Będzie następny raz — zaszeptał Pasiburduk — Itka? Będzie następny raz?

— Ponad wszelką wątpliwość —
rzekł Itka. — Nie znasz ich? Nie wiesz,
o czym teraz myślą?

— Nie — powiedział Pasiburduk.
— Nie wiem.

— A ja wiem — mruknął Kersten.
— Dobrze wiem, bo ich znam. Myślą o
zemście. Dlatego musimy ją odnaleźć.

— Musimy — powiedział Itka. —
Musimy ją wreszcie odnaleźć. Tylko ona
może ich powstrzymać. Ona ma z nimi
kontakt. A gdy już będzie z nami,
odejdziemy stąd. Do Bremy. Do innych.
Tak, jak każe Prawo. Musimy iść do
Bremy.

Błękitny pokój

Błękitny pokój żył własnym życiem. Oddychał zapachem ozonu i rozgrzanego plastiku, metalu, eteru. Tętnił, jak krwią, elektrycznością bzyczącą w izolowanych kablach, oleisto lśniących wyłącznikach, klawiszach i wtyczkach. Migotał szklistą poświatą ekranów, mnóstwem złych, czerwonych oczek czujników. Pysznił się majestatem chromu i niklu, powagą czerni, dostojeństwem bieli. Żył.

Wzbudzał respekt. Dominował.

Debbe poruszyła się w uścisku rzemieni, rozpinających ją na płask na pokrytym prześcieradłem i ceratą stole. Nie czuła bólu — igły, wbite w czaszkę, i zębate blaszki, przypięte do uszu, nie bolały już, ciążyły tylko splątane koroną przewodów, szpeciły, hańbiąco krępowały, ale przestały zadawać cierpienie. Nieruchomym, bezbarwnym wzrokiem Debbe patrzyła na pelargonię stojącą na parapecie. Pelargonia była w tym pokoju jedyną rzeczą, żyjącą własnym, niezależnym życiem.

Nie licząc Izy.

Iza, zgarbiona nad stołem, pisała szybko, drobnym maczkiem pokrywając strony zeszytu, od czasu do czasu

postukując palcami po klawiaturze komputera. Debbe wsłuchiwała się w tętno Pokoju.

— No, maleńka — powiedziała Iza, odwracając się. — Zaczynamy.

Spokojnie.

Szczęknął wyłącznik, zabręczały silniki, drgnęły ogromne szpule, łypnęły krwawe czerwone światełka. Przez okrągłe, kratkowane okna ekranów popędziły w podskokach świetliste myszki. Rysiki zadygotały, rozkołysały się jak cienkie, pajęczne nogi, popęzły na bębnach grzebieniaste linie.

Debbe.

Iza gryzła długopis, wpatrując się w rzędy cyfr, przerażająco równo wyskakujących na ekranie monitora, na

linie, na pudełkowate wykresy.

Mruczała pod nosem, długo pisała w zeszycie. Paliła. Przeglądała wydruki. Wreszcie szczęknął wyłącznik.

Widziała pelargonię. Czuła suchość w nosie, chłodniejące gorąco, spływające od czoła ku oczom. Drętwienie, drętwienie całego ciała.

Iza przeglądała wydruki. Niektóre z nich mięła i ciskała do przepełnionego kosza, inne, oznaczone szybkimi pociągnięciami długopisu, spinała i odkładała na równy stos.

Pokój żył.

— Jeszcze raz — powiedziała Iza.

— Jeszcze raz, mała.

Debbe.

Niebieski ekran wyczarowywał

zygzaki i linie, regularnymi warstwami piętrzył kolumny cyferek. Rysik, płynnie i spokojnie falując, kreślił na bębnie fantastyczny horyzont.

TO MY. MUSISZ,

zdziwiła się, słysząc ten głos. Nigdy przedtem nie słyszała tego głosu, głosu silniejszego niż głos Pokoju, silniejszego niż piekące gorąco, bulgocące w jej mózgu. Igły, od których jeżyła się jej głowa, zawibrowały.

Muzyka! Muzyka! Muzyka!

Czerwona linia na ekranie skoczyła w górę, rysik targnął się i narysował w rozedrganej kresce trzy lub cztery potężne szczyby.

MUSISZ Z NAMI DO BREMY.

— Co jest, cholera — szepnęła Iza,

wpatrzone w ekran. Zapominając o tłącym się na popielniczce papierosie, zapaliła drugiego. Wciskała włączniki jeden po drugim, próbując opanować szalejące ekrany.

— Nic nie rozumiem. Co się dzieje, mała?

Wreszcie zrobiła to, co należało. Wyłączyła prąd.

— Niece — powiedziała przeciągle Debbe. — Nie chcę, jasnowłosa. Nie chceęęę!

Iza wstała, pogłaskała ją po głowie i grzbiecie. Wszystkie linie na ekranie popędziły ku górze, a rysik zaszamotał się dziko. Iza tego nie widziała.

— Biedny kotek — powiedziała, głaszcząc jedwabiste futerko Debbe. —

Biedna kicia. Żebyś wiedziała, jak mi cię żal. Ale przysłużysz się nauce, koteczku. Przysłużysz się wiedzy.

Za plecami Izy kursor komputera podreptał w prawo, rzędami małych, kanciastych literek wypisał:

INCORRECT STATEMENT

i zgasł. Zupełnie.

Rysik zatrzymał się na bębnie.

Świetlista myszka na okrągłym, kratkowanym ekranie pisnęła raz jeszcze i zamarła.

Iza, czując nagle mroczącą oczy słabość, opadła ciężko na biały, trójnogi stółek.

Muzyka, pomyślała, skąd ta...

Debbe mruczała z przejęciem, z łatwością i lekko, płynnie i naturalnie

dopasowując się do harmonii
biegnących zewsząd tonów.

Odnajdywała w nich siebie, swoje
miejsce, swoje przeznaczenie. Czuła, że
bez niej ta muzyka jest niepełna, kaleka.
Głosy, punktujące akordy, potwierdzały
to. To ty, mówiły, to ty. Uwierz w
siebie. To właśnie ty.

Uwierz.

Debbe wierzyła.

My, mówiły głosy, to ty. Słuchaj.
Słuchaj nas. Słuchaj naszej muzyki.

Twojej muzyki. Czy słyszysz?

Debbe słyszała.

Czekamy na ciebie, mówiły głosy.
Wskazemy ci drogę do nas. A gdy już
będziesz z nami, wyruszymy razem do
Bremy. Do innych Muzykantów. Ale

najpierw musisz dać im szansę. Tylko ty możesz to zrobić. Możesz dać im szansę. Posłuchaj. Powiemy ci, co się stało. Powiemy ci, co zrobić, aby ich powstrzymać. Słuchaj.

Debbe słuchała.

Czy zrobisz to?

Tak, powiedziała Debbe. Zrobię.

Muzyka odpowiedziała kaskadą dźwięków.

Iza martwym wzrokiem patrzyła na pelargonię.

Spójrz na mnie, jasnowłosa, powiedziała Debbe. Czarna litera „M” na czole kotki, znamię wybranki, znak Pajaka Pogońca, błysnęła, zalśniła metalicznym pawim połyskiem.

Spójrz mi w oczy.

Nejman

— Dwóch — powiedziała pielęgniarka. — Jest ich dwóch. Siedzą w pokoju ordynatora. Recka zrobiła im kawy. Ale mówili, że im się spieszy.

— Czego może chcieć ode mnie milicja? — Iza zdusiła niedopałek papierosa w blaszanym, chwiejnym talerzu korytarzowej popielniczki. — Nie mówili?

— Nic nie mówili — pielęgniarka

wykrzywiła pucułowatą buzię. — Wie pani, pani doktor. Oni nigdy niczego nie mówią.

— Skąd mam wiedzieć?

— Niech pani idzie. Mówili, że im się spieszy.

— Idę.

Było ich rzeczywiście dwóch. Przystojny blondyn, kawał chłopca w denimowej kurtce i brunecik w ciemnym swetrze.

Na widok wchodzącej Izy wstali obaj. Zdziwiła się — gest był niecodzienny nawet u zwykłych mężczyzn, a zupełnie nieprawdopodobny u milicjantów. Policjantów, poprawiła się w myśli i równocześnie zawstydziła się — zawstydziła stereotypu, któremu

bezwiednie się poddała.

— Pani doktor Przemęcka —
stwierdził fakt blondyn.

— Tak.

— Izabella Przemęcka?

— Tak. Niech panowie usiądą,
proszę. Słucham panów.

— A nie — uśmiechnął się blondyn.
— To ja słucham.

— Nie bardzo pana rozumiem,
panie...

— Komisarzu. To odpowiednik
dawniejszego porucznika.

— Chodziło mi o nazwisko, nie o
szarżę.

— Nejman. Andrzej Nejman. A to
jest aspirant Zdyb. Przepraszam panią,
pani doktor. Uznałem prezentację za

zbędną, bo pani mnie przecież zna. Pani telefonowała do mnie. Wymieniając moje nazwisko. I szarżę, jak się pani dowcipnie wyraziła.

— Ja? — zdziwiła się szczerze Iza.
— Ja do pana telefonowałam? Proszę pana, ja od początku przypuszczałam, że to jakaś pomyłka. A teraz jestem pewna, że tak jest. Nigdy nie dzwoniłam na milicję. Nigdy. Pomylił mnie pan z kimś innym.

— Pani Izo — powiedział poważnie Nejman. — Bardzo proszę, niech pani nie utrudnia mi zadania. Pracuję nad sprawą morderstwa popełnionego na ogródkach działkowych imienia Róży Luksemburg, obecnie generała Andersa. Pewnie pani słyszała: trzech

nastolatków zaszlachtowanych przy użyciu sierpa, kosy, bosaka lub podobnego narzędzia. Słyszała pani? To niedaleko stąd, na przedmieściu.

— Słyszałam. Ale co ja mam z tym wspólnego?

— Nie wie pani? Zajmuje się pani jedną z ofiar tego wypadku. Pośrednią ofiarą, tak to nazwijmy. Elżbieta Gruber, lat dziewięć. Ta mała dziewczynka, która widziała cały przebieg zdarzenia, przebieg zbrodni. Leży w tym szpitalu. Słyszałem, że pani się nią zajmuje.

— Ach, ta dziewczynka w komatozie... Nie, panowie, to nie jest moja pacjentka. Doktor Abramik...

— Doktor Abramik, z którym już rozmawiałem, twierdzi, że pani bardzo

interesuje się tym przypadkiem. Ta Gruber to pani krewna?

— Skądże znowu... Żadna krewna, nie znam jej. Nie znałam nawet jej nazwiska...

— Pani Izo. Niech pani przestanie. Tolek, pozwól.

Brunecik sięgnął do aktówki, wyjął mały, płaski magnetofon, National Panasonic.

— U nas — powiedział Nejman — nagrywa się rozmowy. Pani rozmowa ze mną też została nagrana. Niestety, nie od początku...

Wbrew woli komisarz zaczerwienił się. Początek rozmowy nie nagrał się z prozaicznych powodów — w kieszeni magnetofonu tkwiła wówczas kaseeta z

„But Seriously” Phila Collinsa, przegrana z płyty kompaktowej. Brunecik wcisnął klawisz.

— ...przerywaj, Nejman — powiedział głos Izy. — Co cię to obchodzi, kto mówi? Ważniejsze jest, co mówi. A mówi to: nie wolno ci zrobić tego, co zamierzasz. Rozumiesz? Nie wolno. Co chcesz osiągnąć? Chcesz wiedzieć, kto zabił chłopców na ogródkach działkowych? Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

— Tak — powiedział głos komisarza. — Chcę. Proszę mi powiedzieć, kto to zrobił.

— Zrobił to ten, który przeszedł przez przedartą Zasłonę. Gdy rozbrzmiał veehal, Zasłona pękła, a on przeszedł.

Kiedy Zasłona pęka, ci, którzy znajdują się w pobliżu, są zgubieni.

— Nie rozumiem.

— I nie musisz — powiedział ostro głos Izy. — Wcale nie musisz rozumieć. Masz po prostu przyjąć do wiadomości, że ja wiem, co zamierzasz uczynić. Wiem też, że tego zrobić nie wolno. I po prostu dzielę się z tobą tą wiedzą. Jeśli mnie nie posłuchasz, skutki będą straszne.

— Chwileczkę — odezwał się głos Nejmana. — Miała mi pani powiedzieć, kto...

— Już powiedziałam — przerwał głos Izy.

— Niech więc pani powtórzy, proszę.

— Po co ci to? Myślisz, że możesz coś zrobić temu zza Zasłony? Jesteś w głębokim błędzie. On jest poza twoim zasięgiem. Ale ty... Ty jesteś w jego zasięgu. Strzeż się.

— Pani mi grozi. — To było stwierdzenie, nie pytanie.

— Tak — powiedział beznamiętnie głos Izy. — Grozę. Ale to nie ja ci zagrażam. Nie ja. Nie potrafię wytłumaczyć ci wielu rzeczy, wielu faktów, nie mogę znaleźć właściwych słów. Ale jedno mogę... mogę cię ostrzec. Czy nie za dużo już było ofiar? Ci chłopcy, Elżbieta Gruber. Nie rób tego, co zaplanowałaś, Nejman. Nie rób tego.

— Proszę posłuchać...

— Dosyć. Zapamiętaj. Nie wolno ci.
Trzasnęła słuchawka.

— Pan mi pewnie nie uwierzy... —
zaczęła Iza.

— Już nie jesteśmy na ty? —
przerwał Nejman. — Szkoda. To było
miłe i bezpośrednie. W co nie uwierzę?
Że to nie była pani? Faktycznie, trudno
by mi było. A teraz, proszę bardzo,
słucham. Co ja zaplanowałem?
Dlaczego nie wolno mi tego zrobić?

— Nie wiem. To nie ja... To nie był
mój głos.

— Kim jest dla pani mała Gruber?

— Nie wiem... Nikim... Ja...

— Kto zamordował dzieciaki na
działkach? — Nejman mówił cicho, nie
krzyczał, ale mięśnie na szczękach

drgały mu wyraźnie i miarowo. — Kto to był? Dlaczego jest poza moim zasięgiem? Dlatego, że jest nienormalny, prawda? Jeżeli go złapię, nie pójdzie do pudła, ale do szpitala, takiego jak ten? A może właśnie do tego? A może już tu był? Co? Pani doktor?

— Nie wiem! — Iza uniosła pięści w mimowolnym geście. — Nie wiem, mówię panu! To nie ja dzwoniłam! Nie ja!

Nejman i aspirant Zdyb milczeli.

— Ja wiem, co pan myśli — powiedziała wolno Iza.

— Wątpię.

— Pan myśli... Że jak w tym dowcipie... że my tym się różnimy od pacjentów, że chodzimy na noc do domu.

— Brawo — powiedział Nejman bez uśmiechu. — A teraz słucham.

— Ja... niczego nie wiem. Ja nie telefonowałam...

— Pani doktor — powiedział Nejman spokojnie i przymilnie, jak do dziecka. — W porządku, ja wiem, że taśma magnetofonowa to wątlutki dowód. Że może pani zaprzeczyć. Może pani, na ogólnie przyjętej fali, oskarżyć nas nawet o manipulację, o fabrykowanie dowodów, o co pani chce. Ale jeżeli faktycznie chodzi pani na noc do domu zasłużenie, a nie tylko dzięki czyjemuś błędowi w diagnozie, to orientuje się pani, jakie będą skutki, gdy sprawa się wyda. A sprawa wyda się prześlicznie. Musi się wydać, bo tak się

składa, że zamordowani chłopcy mają ważnych rodziców i żadna siła nie wstrzyma śledztwa, wręcz przeciwnie. Wie pani, co się wówczas stanie.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— To ja pani powiem. Pani myśli, że jeżeli maniak z ogródków jest pani krewnym lub kimś bliskim, to nie będzie pani odpowiadać karnie za krycie go. Może. Ale oprócz odpowiedzialności karnej jest jeszcze inna odpowiedzialność. Jeżeli okaże się, że kryła pani homicydalnego maniaka, to w tym szpitalu, a i w innych szpitalach tej branży na całym świecie, będzie pani skończona. Uratować może panią jedynie zdrowy rozsądek. Czekam, aż go pani przejawia.

— Pan... Powtarzam, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi — opuściła głowę Iza. — To nie był mój głos, słyszy pan? Podobny, ale nie mój. To nie był mój sposób wyrażania się. Ja tak nie mówię. Może pan spytać, kogo pan chce!

— Pytałem — powiedział Nejman. — Mnóstwo osób panią rozpoznało. Wiem też, z jakiego aparatu dzwoniło. Niech się pani poważnie zastanowi, pani Izo. Proszę przestać kierować się emocjami. Mamy do czynienia z morderstwem, z bestialskim mordem popełnionym na ludziach. Na ludziach, rozumie pani? Pojmuje pani, że tego nie można usprawiedliwić niczym, a już na pewno nie troską o dobro zwierzątek. Ta

zbrodnia to typowy przejaw reakcji paranoika, maniaka. Pomścił kota, zabił dzieci, które go męczyły.

A jutro zamorduje kogoś, kto bije psa. Pojutrze zakatrupi panią, gdy rozdepcze pani szczypawkę na chodniku.

— O co panu chodzi?

— Twierdzę, że świetnie pani wie, o co mi chodzi. Bo pani wie, kto to zrobił i dlaczego to zrobił. Bo pani go leczyła, albo nadal leczy, i wie, na czym polega, przepraszam, zajob pani pacjenta. To jest ktoś, przepraszam, szurnięty na punkcie dobroci dla zwierząt.

— Panie Nejman — powiedziała Iza, dygocąc, nie panując nad drżeniem rąk i uciskiem w mostku. — To pan jest

szurnięty. Przepraszam. Niech mnie pan aresztuje. Albo niech mnie pan zostawi w spokoju.

Nejman wstał, aspirant Zdyb wstał również.

— Szkoda — powiedział komisarz.
— Szkoda, pani Izo. Gdyby pani się jednak zdecydowała, proszę do mnie zatelefonować.

— Nie mam na co się decydować — powiedziała Iza. — I nie znam pana numeru.

— Ach tak — Nejman pokręcił głową, patrząc jej w oczy. — Rozumiem.

Szkoda. Do widzenia, pani Izo.

Chęclewski

— Panie Chęclewski — powiedział komisarz policji Nejman. — Myślałem, że mam do czynienia z poważnym człowiekiem...

— Ej! — adwokat uniósł rękę w ostrzegawczym geście. — Uważaj pan. Nie jesteśmy w komisariacie. O co panu chodzi, do cholery?

— Widzi pan — powiedział aspirant Zdyb, nie kryjąc złości. — Tyle było

dowcipów o milicjantach, a tak mało o mecenasach. A wygląda, że niesłusznie.

— Jeszcze słowo, a wyrzucę was obu za drzwi — powiedział wolno Chęclewski. — Co to za gadka? Na co wy sobie pozwalacie, panowie milicjanci?

— Policjanci, jeśli łaska.

— Policjanci od siedmiu boleści. Zabójca mojego syna chodzi sobie na swobodzie, a wy tutaj przychodzicie wygadywać brednie. No, jazda, kawę na ławę. Mój czas to są pieniądze, panowie.

— Pan za dużo gada — rzekł Nejman. — Jak się pan zapamięta, to nie może przerwać. Gada pan do nas, a co gorsza, także do innych. I przez to rypla

się cała sprawa, panie mecenasie.

— Co się ryło? Jaśniej, panowie.

— Nazwisko Przemęcka mówi panu coś? Doktor Przemęcka, z wariatkowa.

— Nie mam znajomości u czubków. Co to za jedna?

— Ta jedna wie o wszystkim, cośmy zaplanowali. Nie od nas. Wychodzi na to, że wie od pana. A jeśli tak jest, to nie ona jedyna.

— Bzdura, czyli bullshit — wyprostował się Chęclewski. — O planie wiem wyłącznie ja i wy obaj. Ja nie mówiłem o tym nikomu. To wy jęczeliście i stękaliście, że nie możecie niczego zrobić bez wiedzy przełożonych. A więc poinformowaliście przełożonych, a przełożeni zapewne

poinformowali pół miasta, w tym i doktor Przesmęką, czy jak jej tam. Quod erat demonstrandum, czyli co było do okazania. Szkoda, panowie. I pan się pomylił, panie Zdyb. W dowcipach o milicjantach jest jednak sporo prawdy.

— Nie mówiliśmy o niczym nikomu — poczerwieniał aspirant. — Nikomu, słyszysz pan? Ani przełożonym, ani żonom. Nikomu.

— Dobra, dobra. Cudów nie ma. Chyba, że... Ta doktor z wariatkowa, jak mówicie, mogła was po prostu podpuścić. Blefować. Co wam powiedziała? Kiedy? Przy jakiej okazji?

— Niech pan sam posłucha. Daj magnetofon, Andrzej.

Siedzieli, paląc papierosa za

papierosem. Nejman obserwował, jak w domu naprzeciwko łysy facet z pomocą kilku koleżków montuje na balkonie wielką miche, wyglądającą, wypisz wymaluj, jak antena satelitarna. Z sąsiedniego balkonu, na którym stał jaskrawo pomalowany koń na biegunach, przepelzła do monterów łaciata świnka morska. Łysy, nie puszczając michy, kopnął ją. Świnka spadła z balkonu. Nejman nie wstał, by zobaczyć, co się z nią stało. To było ósme piętro.

— Taaak — powiedział adwokat, wysłuchawszy nagrania do końca. — Czy ona ma aby wszystkich w domu, ta lekarka? Znacie ten dowcip...

— Znamy — powiedział aspirant

Zdyb.

— Zastłona. Jaka zastłona? I ten... wehal, czy jak... Bełkot jakiś. Ta doktorka... Przesmycka?

— Przemęcka.

— Znacie ją? Sprawdzaliście, co to za jedna?

— Sprawdzaliśmy. Młoda, bez dużej praktyki klinicznej, mało kontaktów z pacjentami. Zajmuje się jakimiś badaniami. To skomplikowane, cholera, chodzi o fale mózgowo, neurony, zapomniałem.

— Szalona pani doktor Frankenstein — wykrzywił się adwokat. — Wiecie co? Ja bym się całą sprawą nie przejmował.

— A ja odwrotnie — powiedział

Nejman. — Więcej powiem, już się zacząłem przejmować. Panie Chęclewski, u nas się jeszcze nie skończyło, czystka trwa. Komuś może cholernie zależeć, żeby mnie udupić. Lekko pieprznięta lekarka to taki sam instrument prowokacji, jak każdy inny, ani lepszy, ani gorszy. Ja to mam przerobione.

— Pan jesteś egocentryk, panie Andrzeju — rzekł Chęclewski. — Pańska osoba w tej sprawie jest, wybaczy pan, mało ważna.

— Oby — uśmiechnął się komisarz. — Wcale bym się nie zmartwił. Ale i pan, drogi panie Chęclewski, chyba się mylił. Po telefonie od pani doktor głowę bym sobie dał urwać, że pańskiego syna

zabił przypadkowy szaleniec. To nie była żadna zemsta. Niezależnie kogo i dlaczego bronił pan w stanie wojennym i ilu sekretarzom zrobił pan koło pióra po. Piasecki to pan nie jest. Wybacz pan.

— Konkluzja? — adwokat poczerwieniał lekko.

— Prosta jak drut. Jeżeli to jest szaleniec, to z punktu widzenia prawa jest to człowiek chory. Chory, rozumie pan, mecenasie?

— Jak słyszę coś takiego — wybuchnął Chęclewski — to mi zęby trzeszczą! Chory, skurwysyn! On mojego Maćka... Chory!

— Ja pana rozumiem. Mnie też trzęsie. Ale nic nie da się zrobić i to

wyraźnie powiedziała ta lekarka. Założmy, że blefowała, że nie wie nic o naszym planie. Ale mogła się domyślić, więc ostrzegła mnie. Wyraźnie mnie ostrzegła.

— Pan się w jej bełkocie doszukał ostrzeżenia? Przed czym?

— Niech się pan nie zgrywa. Ostrzegła mnie, żebym nie próbował ująć tego wariata w charakterze zimnego mięsa. Mogę go aresztować używając łagodnej perswazji, związać w kaftan i oddać specjalistom. Na kurację.

— Strach pana obleciał, panie Andrzeju, i dlatego nieprawidłowo pan rozumuje — adwokat splótł dłonie. — Ja też słuchałem tego nagrania. I zupełnie co innego miało w nim

kardynalne znaczenie. Niech pan posłucha.

Zabawimy się. Ja będę panem, a pan pańskim pułkownikiem czy tam inspektorem policji, tak to się teraz nazywa, jeśli się nie mylę. Słuchaj pan, panie inspektorze policji. Przeanalizowałem dziwną rozmowę z panią doktor Iks. Uderzyło mnie, że kilkakrotnie używała słów, z których wynikało, że podejrzany furiat jest straszliwie niebezpieczny. Utkwiło to w mojej podświadomości tak głęboko, że kiedy doszło do konfrontacji, nerwy mi puściły. Widząc, że atakuje mnie z niebezpiecznym narzędziem, użyłem broni służbowej, nie przekraczając granic obrony koniecznej. Co? Dobrze

było, panie inspektorze. Dobre tłumaczenie?

— W dupę niech pan sobie wsadzi takie tłumaczenie — powiedział spokojnie Nejman. — Tak powiedziała by, oczywiście, mój inspektor do mnie.

Panie mecenasie, pan dobrze wie, co oznacza obrona konieczna w przypadku uzbrojonego policjanta, który w dodatku wie, że ma do czynienia z kimś o ograniczonej poczytalności. To nie jest Ameryka. Nie mam zamiaru trafić do kryminału.

Adwokat zamyślił się, milczał przez dłuższą chwilę.

— No, dobrze — powiedział wreszcie. — Może faktycznie ma pan

rację, panie Nejman. Co więc robimy?

— Rozwiązujemy umowę.

— No, tu idzie już pan nieco za daleko, nie uważa pan? Rozumiem, strzelanie nie wchodzi w grę ani żaden inny poważny wypadek. Ale facet może stawiać opór. Uciekać. Może się potknąć i zdrowo potłuc. Słyszałem o takich wypadkach, nasłuchiwałem się o nich od moich klientów. A propos, wiecie, panowie, że kilku moich klientów jest obecnie w Warszawie?

— I co z tego?

— Bardzo wiele z tego. Moja propozycja jest taka: utrzymujemy umowę w mocy. Proponuję korzystne warunki. Za umożliwienie mi osobistego udziału w akcji, za satysfakcję

dotknięcia ręką i nogą mordercy mojego syna daję wam poparcie z bardzo wysoka na wypadek dalszych czystek w policji, względnie jakichś nieprzewidzianych komplikacji w naszym planie. Moi przyjaciele z Warszawy, jeśli będzie trzeba, uciszą też panią Przemęcką od czubków, nie bójcie się. No, a do tego, jak się umówiliśmy, dochodzi konkretna gratyfikacja finansowa dla was dwóch.

— Trzech — powiedział aspirant Zdyb.

— Jak to, do diabła? — zdenerwował się Chęclewski. — Trzech? Trzech to wielka gromada ludzi, imię ich jest legion, kurwa. Po co trzeci?

— Dla uwiarygodnienia raportu. Tak

się u nas zawsze robi. Trójka murarska. Panie mecenasie, pan jest od koncepcji, my od techniki. Znamy się na tym.

— Pewny chociaż ten trzeci?

— Sto procent, czyli hundred per cent.

— Niech więc będzie — skrzywił się adwokat. — No? Panie Nejman, mam nadzieję, że jest pan przekonany.

— Nie do końca — powiedział komisarz. — Tolek? Wydaje ci się...

— Powinno być dobrze — rzekł aspirant. — Jedna rzecz mnie trochę niepokoi. Czy nie za szybko zakładamy, że to jest chory psychicznie. To może być taki zielony, greenpeace, rozumiecie? Miłośnik zwierząt.

Zobaczył, że dzieciaki męczą kota, i

odbiło mu. Czytałem o podobnym przypadku, w „Przekroju” chyba. Facetowi oślepiłi psa czy kota, już nie pamiętam. Jak o tym czytałem, to czułem, że w pisaniu o tym facet wyładował swoją wściekłość, żal, chęć zemsty. Inny mógłby wyładować się inaczej. Wziąłby nóż, siekierę, sztchetę i zemścił się za swojego psa.

— To na jedno wychodzi — powiedział Chęclewski. — Kto tak reaguje, ten jest stuknięty. Quod erat demonstrandum.

— To wcale nie na jedno wychodzi — podchwycił myśl Nejman. — Szajba na punkcie zwierzaków może się nie zakwalifikować u psychiatrów. Z ich punktu widzenia facet będzie całkowicie

normalny i będą go słuchać, gdy opowie, w jaki sposób go capnęliśmy i cośmy mu wtedy zrobili.

— Widziałem w swojej karierze wielu opowiadających, co wydarzyło im się na milicji — powiedział adwokat, uśmiechając się krzywo. — Ale nie przypominam sobie żadnego, któremu by formalnie dano wiarę. A jeżeli nawet opowie, w jaki sposób go ujęliście, to co? Myślicie, że ktoś się przejmie głupim kotem?

— Może i nie — powiedział Zdyb. — A co się stanie, jeśli tego kota usłyszy ktoś całkiem ni pri czom? I przyleci zobaczyć, co się dzieje?

— Żartujesz, Tolek — Nejman wzruszył ramionami. — Tym to bym się

akurat nie przejmował. Kogo może obchodzić kot?

— A propos kota — powiedział Chęclewski. — Trzeba jakiegoś zorganizować.

— Z tym nie powinno być kłopotu — rzekł Nejman. — Kotów jest pełno.

Dzieciaki mojej sąsiadki, na ten przykład, mają kota. Powinien się nadać.

Iza

Iza leżała spokojnie, jak gdyby bała się, że najłżejsze poruszenie może spłoszyć ten oddalający się, nieuchwytny sygnał, bałamutną i kłamliwą zapowiedź nieczyszczalnego orgazmu. Przytulony do niej mężczyzna oddychał równo, miarowo, najwyraźniej zapadł już w drzemkę. Buczał autoalarm, daleko i cicho.

— Heniu — odezwała się.

Mężczyzna drgnął, wyrwany z półsnu, zbliżył twarz do jej nagiego ramienia.

— Co, Izunia?

— Niedobrze jest ze mną, Heniu.

— Znowu? — przestraszył się mężczyzna. — Cholera, powinnaś jakoś podregulować ten twój cykl, Iza.

— To nie to.

Mężczyzna odczekał chwilę. Iza nie kontynuowała.

— Więc co? — spytał wreszcie.

— Heniu... Objawem czego są okresy niepamięci?

— Dlaczego pytasz? Masz takowe?

— Ostatnio często. Dość długie. Poza tym halucynacje. Urojenia słuchowe. Omamy.

Mężczyzna spojrział dyskretnie na zegarek.

— Heniu.

— Słyszałem — mruknął, lekko zniecierpliwiony. — I co? Jesteś specjalistką. Jaka jest twoja diagnoza? Anaemia cerebri? Początki schizofrenii? Astrocytoma na płacie czołowym? Inne gównie uciskające śródmózgowie? Iza, każdy psychiatra odnajduje u siebie różne podobne objawy, to po prostu skrzywienie zawodowe. Muszę ci mówić, jak niewiele wiemy o mózgu, o zachodzących tam procesach? Moim zdaniem, jesteś po prostu przepracowana. Nie powinnaś spędzać tylu godzin z twoimi kotami, przy tej aparaturze. Wiesz przecież, jak

szkodliwa jest wysoka częstotliwość, pola, promieniowanie ekranów. Zostaw to wszystko na jakiś czas, weź urlop. Odpocznij.

Iza uniosła się na łokciu. Mężczyzna, leżąc na wznak, głaskał jej piersi, automatycznym, wyuczonym ruchem, którego nie lubiła.

— Heniu.

— He?

— Chciałabym, abyś mnie zbadał.

Na EEG albo izotopem.

— Mogę, czemu nie. Ale...

— Proszę cię.

— Dobrze.

Milczeli.

— Heniu.

— Tak?

— Elżbieta Gruber. Leczysz ją. Co z nią naprawdę jest?

— Interesuje cię to? Prawda, słyszałem. To dość dziwny przypadek,

Iza. Przywieźli ją w szoku, z objawami typowymi dla wylewu. Prawie natychmiast przeszła w stan komatyczny, który nie łagodnieje i nie ustępuje. Skłaniam się ku pogładowi, że na szok nałożył się u niej stan zapalny w dnie komory trzeciej lub w wodociągu Sylwiusza.

— Encephalitis lethargica?

— Aha. Dlaczego pytasz?

Iza odwróciła głowę. Zza okna, mieszając się z następnym rozpaczliwym buczeniem autoalarmu, rozbrzmiał skowyt psa, urywany, coraz głośniejszy.

— Nogi bym takiemu powyrywał —
odezwał się mężczyzna, patrząc w stronę
okna. — Ma problemy w pracy albo w
domu, a wyładowuje się na zwierzęciu,
bydlak.

— Veehal rozdziera Zasłonę —
powiedziała wolno Iza.

— Co?

— Veehal. Głos katowanego
zwierzęcia. Głos rozpacz, strachu,
ból, odbierający zmysły.

— Iza?

— Krzyk, który nie jest krzykiem —
Iza mówiła coraz głośniejsz — Veehal.
Veehal rozdziera Zasłonę. Tak
mówiła... Ela Gruber. Ona to widziała.

— Podobno... — zająknął się
mężczyzna. — Iza! Ona nie mogła...

Dziewczynka jest w śpiączce! O czym ty mówisz?

— Ona mówi do mnie. Mówi i każe mi robić różne rzeczy.

— Iza, naprawdę powinnaś wziąć urlop — mężczyzna spojrzał na nią, westchnął. — Ale przedtem przyjdź do mnie, zbadam cię. To ten cholerny stres, ta parszywa robota, wszystko w tym kraju. Nie można się tak tym przejmować, Iza.

— Heniu — Iza usiadła na łóżku. — Czy nie rozumiesz, o czym mówię? Ela Gruber mówi do mnie. Słyszę ją. Ona widziała...

— Wiem, co ona widziała. To zapewne było przyczyną szoku i wylewu. Była świadkiem morderstwa na

działkach.

— Nie.

— Jak to?

— To było później. Ona tego już nie widziała. Widziała... deskę położoną na głowie kota, zakopanego po szyję w ziemi. Nogi depczące po tej desce. Oczy... Dwie kuleczki...

— Jezus Maria! Iza? Skąd ty o tym... Od kogo?

— Powie... dzieli mi...

— Kto?

— Muzy... kanci...

— Kto?

Iza, opuściwszy głowę na podkurczone kolana, zatrzęsła się od płaczu.

Mężczyzna milczał. Myślał o tym,

jak nieodporne są kobiety, do jakiego stopnia ich babskie emocje rządzą nimi, przeszkadzają pracować, przeszkadzają cieszyć się życiem. O tym, że ogromnym nieszczęściem jest feminizacja pewnych zawodów, absolutnie nieodpowiednich dla kobiet. Z Izą, myślał, naprawdę jest niedobrze. Niepokoił się. Przez chwilę. A po chwili górę wzięła poważniejszy niepokój — co powiedzieć żonie, gdy wróci od Izy do domu. W tym miesiącu wykorzystał już wszystkie dobre tłumaczenia.

Pomyślał, że koniecznie musi zbadać Izę, zrobić jej EEG, przeprowadzić testy. Mógłby to zrobić nawet we wtorek, ale obiecał koledze, że we wtorek wpadnie do niego na działkę, by

pomóc truć krety. Cholera, pomyślał, zapomniałem dzisiaj wziąć strychninę ze szpitala.

— Weź urlop, Iza — powiedział.

Błękitny pokój

— Marylko! — zawołała Iza, patrząc na pusty, pokryty białym prześcieradłem i ceratą stół, na porozrzućane przewody, igły, czujniki, skórzane paski i sprzączki.

— Marylko!

— Jestem, pani doktor.

— Gdzie jest moja kotka?

— Kotka? — zdziwiła się

laborantka.

— Kotka — powtórzyła Iza. — Ta pręgowana. Ta, której ostatnio używałam. Co się z nią stało?

— Jak to? Przecież pani sama...

— Co, ja?

— Pani kazała mi ją przenieść... O, tu stoi klateczka. Potem kazała mi pani przynieść mleka. Jak przyniosłam, pani nakarmiła tego kota...

— Ja?

— Tak, pani doktor. A potem otworzyła pani okno. Nie pamięta pani?

Kot wskoczył na parapet. Nawet powiedziałam wtedy, że on pani ucieknie. I kot uciekł. A pani...

— Co, ja? — Iza słyszała muzykę. Potarła twarz dłonią.

— Pani zaczęła się śmiać...

— Muszę, pomyślała Iza, muszę iść do Eli Gruber.

— Dlaczego? Po co?

— Muszę iść do Eli Gruber.

— Dlaczego?

— Ela Gruber mnie wzywa.

Debbe

Debbe biegła, to szybciotko drobiąc łapkami, to wyprężając się w długich susach. Wiedziała, dokąd biec. Daleka muzyka, odległy zew cichej melodii nieomylnie wskazywały jej drogę.

Dobiegła do skraju krzewów, za którymi, niczym powierzchnia zatrutej rzeki, połyskiwał asfalt. Po nim, dudniąc i sycząc jak smok, przemknął, kołysząc się, wielki, ociężały autobus.

Muszę się z nią pożegnać, pomyślała Debbe. Zanim odejdę, muszę jeszcze się z nią pożegnać. I ostrzec. Po raz ostatni. Ciekawe, gdzie też może być Brema?

Skoczyła.

Nadjeżdżający samochód omiótł ją światłami. Na sekundę dostrzegła czerwoną, tłustą gębę człowieka, dodającego gazu i raptownie skręcającego kierownicę. Samochód runął w jej kierunku, czuła, jak maszyna drga wściekłością, zdecydowaniem i żądzą mordy. Uskoczyła w ostatniej chwili, podmuch musnął jej futerko.

Pobiegła wzdłuż żywopłotu, mały, pręgowany cień.

Locus terribilis

Koty były wszędzie dookoła — nieruchome, z uniesionymi głowami, patrzyły, nasłuchiwały. Odwracały głowy za przechodzącą Debbe, witały ją miauknięciami, pełnymi szacunku zmrużeniami oczu. Żaden nie poruszył się, nie podszedł. Znak Pajaka Pogońca na czole kotki płonął w mroku widmowym światłem.

Czuła, że to miejsce jest dziwne,

niebezpieczne. Wyczuwała opuszkami
łapek pulsowanie ziemi, słyszała
nierealne szepczące głosy. Przez chwilę,
za zasłoną z rozdygotanej mgły,
widziała... ogień i krzyże, odwrócone,
zatknięte...

Debbe zamruczała w takt melodii.
Obrazy znikły.

Z daleka zobaczyła czarny kształt —
resztki pieca zarytego w ziemi niczym
wypalony wrak czołgu na polu bitwy.
Obok pieca, ciemne na tle nieba, trzy
niewielkie sylwetki. Podeszła bliżej.

Czarny pies z krzywą, zgiętą łapą.

Szary szczur z długim wąsatym
pyszczkiem.

I mały rudawy chomik.

Muzykanci.

Żółty pokój

— ...uciekł rozbójnik, co sił w nogach — czytała monotennie babcia — i zdał sprawę hersztowi. To na nic, straciliśmy naszą siedzibę, powiedział. W domu siedzi straszliwa czarownica, która naparskała na mnie i podrapała mi twarz pazurami. Przy drzwiach czai się człowiek uzbrojony w nóż. Na podwórzu ma legowisko czarny potwór, ten uderzył mnie pałką. A na dachu

siedział sędzia, który krzyknął: „Dajcie łotra tu!”

Chłopiec zaśmiał się srebrnym głosem. Venerdina, leżąca na łóżku, zwinęła się w kłębek, zastrzygła uchem.

— I co dalej? Czytaj, babciu!

— I to koniec bajki. Rozbójnicy uciekli i nigdy nie wrócili, a pies, kot, osioł i kogut zamieszkali w leśnym domku i żyli długo i szczęśliwie.

— I nie poszli tam... no, tam, dokąd się wybierali?

— Do Bremy? Nie. Chyba nie. Zostali w domku i tam sobie żyli.

— Aha — chłopiec zamyślił się, gryząc palec. — Szkoda. Przecież tam właśnie powinni iść. To pies wymyślił, kiedy go wygnali, bo już był stary.

To bardzo brzydko. Ja nigdy nie pozwolę wygnać naszej Mruczki, choćby była nie wiem jak stara.

Venerdina uniosła głowę i popatrzyła na malca żółtym, nieodgadnionym spojrzeniem.

— Śpij, Mariuszku. Już późno.

— Tak — rzekł sennie chłopczyk. — Nawet gdy będzie bardzo stara. U nas i tak nie ma myszy. A oni powinni pójść do tej Bremy. Oni wszyscy byli... Nie zabieraj Mruczki, babciu. Niech śpi ze mną.

— Nie powinno się spać z kotem...

— A ja chcę.

Ela Gruber

Iza poderwała głowę, budząc się, przeciągnęła ręką po prześcieradle. Za oknem była ciemność. Siedziała na łóżku, a dotyk prześcieradła poraził ją obcością, brutalnie szczerą pewnością, że...

Nie powinna być tutaj.

— Słyszysz mnie? — powiedziała dziewczynka leżąca na łóżku.

Iza kiwnęła głową, potwierdzając to,

co było niemożliwe. Oczy dziewczynki były szkliste i puste, po brodzie ciekła jej wążutka, lśniąca strużka śliny.

— Słyszysz? — powtórzyła dziewczynka, sepleniąc z lekka, niezgrabnie poruszając skrzywionymi wargami zlepionymi białawym nalotem.

— Tak — powiedziała Iza.

— To dobrze. Chciałam się z tobą pożegnać.

— Tak — szepnęła Iza. — Ale to przecież...

— Niemożliwe? To chciałaś powiedzieć? Nie szkodzi. Nie udało nam się, dużo nam się nie udało, jasnowłosa. Chcę się z tobą pożegnać. Może cię to zdziwi, ale... polubiłam dotyk twojej dłoni. Posłuchaj mnie

uważnie. Jeżeli dzisiejszej nocy zabrzmi
veehal, Zasłona pęknie. Nie wiem, czy
uda nam się powstrzymać... tamtych.
Dlatego musisz uciekać. Co masz zrobić,
powtórz.

— Nie wiem — jęknęła Iza.

— Masz uciekać! — krzyknęła Ela
Gruber, szarpiąc nagle głowę po
poduszce. — Uciekać, jak najdalej od
Zasłony! Nie staraj się niczego
zrozumieć i wierz w to, co widzisz!
Wyda ci się, że majaczysz, że to sen,
koszmar, a to będzie rzeczywistość!
Pojmujesz?

— Nie... Nie pojmuję. Ja...
zwariowałam, tak?

Dziewczynka milczała, wpatrzona w
sufit maleńkimi jak ukłucia szpilki

punkcikami źrenic.

— Tak — powiedziała. —
Wszyscyście zwariowali. Już dawno temu. Jeszcze jedno szaleństwo, maleńkie ziarenko na szczycie ogromnej góry szaleństw. Ten ostatni veehal, którego nie miało być. Kto wie, może to dzisiaj? Słuchasz mnie?

— Słucham — powiedziała Iza, zupełnie spokojnie. — Ale ja jestem psychiatrą. Doskonale wiem, że ty nie możesz do mnie mówić. Jesteś w śpiączce, w komatozie. To nie ty. Głos, który słyszę, emituje mój chory mózg. To halucynacja.

— Halucynacja — powtórzyła dziewczynka, uśmiechając się. To przykurcz mięśni twarzy, wyłącznie

przykurcz powylewowy, pomyślała Iza, w tym nie ma niczego upiornego. Niczego upiornego, pomyślała, czując, jak jeżą się jej włosy na karku.

— Halucynacja, mówisz — ciągnęła Ela Gruber. — Czyli coś, czego w istocie nie ma. Fałszywy obraz. Czy tak?

— Tak.

— Można to słyszeć. Można to widzieć. Ale tego nie ma. Czy tak?

— Tak.

— Jak my bardzo się różnimy, ty i ja. Podobno mój mózg jest mniej rozwinięty od twojego, ale ja, dla przykładu, wiem, że to, co widzę i co słyszę, jest. Istnieje. Gdyby nie istniało, jak można by to zobaczyć? A jeżeli istnieje i ma szpony, kły, żądło, to trzeba

przed tym uciekać, bo może cię okaleczyć, zmiażdżyć, rozszarpać. Dlatego właśnie musisz uciekać, jasnowłosa. Przez przedartą Zasłonę przejdą halucynacje. To dobre określenie na coś, co nie ma własnej postaci, ale zyskuje ją w mózgu tego, kto na to patrzy. O ile ten mózg wytrzyma taką próbę. A mało który wytrzyma. Ostatni raz mówię: żegnaj, jasnowłosa.

Głowa Eli Gruber obróciła się bezwładnie w bok, spoglądając na Izę martwym, szklanym okiem.

Kot

— Dobra, już. Teraz — szepnął Chęclewski.

Nejman spojrział na zegarek. Była dziewięta dwadzieścia trzy. Gdy patrzył, ostatnia cyferka zatańczyła jak kościotrup w animowanym filmie, stając się czwórką. Po torach, za ogródkiem, w głębokim, obrośniętym jarzębiną wykopie łoskotał i dudnił pociąg.

— Na co czekamy, cholera? —

denerwował się adwokat.

Nejman wyciągnął z plastikowego worka gruby tłumok okręcony kilkoma ręcznikami i jutowym sznurkiem. Z zawiniątka wystawał biało—czarny koci łeb, z drugiej strony — ogon i tylne łapki zwierzątka.

Nejman wydobył z kieszeni kurtki kombinerki izolowane pomarańczowym plastikiem.

Dalej, za altankami, Zdyb, przyczajony obok Wendy, ciężko bulgocącego przez zakatarzony nos, wzdrygnął się na odgłos, który dobiegł go od strony ogródków.

— Jezu — smarknął Wenda. — Ale to go musi boleć...

Na Dołach koty przypadły do ziemi,

szczerząc białe kły, płasko kładąc uszy.

Muzykanci, cała czwórka, byli gotowi.

Zdyb

Dudnienie pociągu ścichło, echem toczyło się jeszcze po betonowych ścianach bloków. I wtedy potworny wrzask od strony ogródków powtórzył się, eksplodował jak granat, wzbił się nieprawdopodobnie wysoko, falujący, rozedrgany, straszny.

— Matko Boska! — krzyknął Wenda. — Tolek! To nie kot!

Zdyb zerwał się, rozpinając kurtkę,

wyszarpnął pistolet z kabury. Ryk — bo to był już ryk, nie wrzask, urwał się, pękł, wibrując jak przecięty nożycami stalowy drut. Zdyb biegł. Przeskoczył żywopłot, przedarł się przez krzaki agrestu. W tym momencie noc rozszarpał drugi wrzask, jeszcze potworniejszy od poprzedniego, krótki, urwany.

— Andrzejeeej!!! — ryknął aspirant.

Rwąc przez pomidorowe tyczki, zderzył się z pełną wody beczką, odbił się od niej jak od muru, potknął się, upadł, zerwał się, poślizgnął, upadł ponownie, podpierając się odruchowo, wtłoczył lufę P-83 w mokrą ziemię. Za sobą słyszał przekleństwa Wendy, który utknął na elastycznej przegrodzie

drucianej siatki.

— Andrzejeeej!!!

Potknął się znowu. Zobaczył, o co. I wtedy zaczął krzyczeć.

Nejman nie miał głowy.

Coś uderzyło go w pierś. Zdyb, klęcząc, zadławił się i wrzasnął, wrzasnął do bólu, tak że własny wrzask zakołatał mu w uszach. Gwałtownym, nie skoordynowanym ruchem odtrącił od siebie rękę w skrwawionym, popelinowym rękawie, z którego sterczała oślizgła, gładka, biała nawet w mroku kość.

Na trawniku, na tle wyraźnej, rzadkiej palisady słoneczników coś siedziało. Coś, co było wielkie. Wielkie jak ciężarówka. Granatowe niebo,

podczerwienione dalekim neonem, rozświetlało się lekko za plecami siedzącego na trawie ogromu — wyglądało tak, jak gdyby to ogromne coś przedarło się przez niebo i noc, zostawiając za sobą dziurę i choinkę pęknięć.

Kolejny pociąg, wpadając na przejazd kolejowy, smagnał zarośla jaskrawym batem światła. Zdyb otworzył usta i zachrypiał.

Przykucnięty na trawniku garbaty stwór o ogromnym, pokrytym naroślami brzuszysku, olbrzymich uszach i wydłużonym, najeżonym zębami pysku, uniósł ciało Chęclewskiego w sękatych łapach. Reflektory pociągu zakotłowały ogródki tysiącem ruchliwych cieni. Zdyb

chrypiał.

Stwór otworzył paszczkę i z chrzęstem, jednym kłapnięciem, odgryzł Chęclewskiemu głowę, daleko, z rozmachem, odrzucając korpus. Zdyb usłyszał, jak ciało huknęło o konstrukcję z falistej blachy. Mocz ciepłą falą spływał mu po udzie. Nie widział już nic, ale wiedział, czuł, że potwór, miarowo przestawiając krótkie, wielkostope łapy, idzie ku niemu.

Zdyb chrypiał. Bardzo chciał coś zrobić. Cokolwiek.

Ale nie mógł.

Krople

Muzyka klejąca Zastonę rwała się, pękała, rozpadała na elastyczne strzępy. Pęknięcie powiększało się, z tamtej strony pełzły kłębiaste, cuchnące opary, wielkie, postrzępione cirrusy, mgła brzemienna ciężką jak plwocina wilgocią, mieszając się z kwaśnym smogiem miasta. Na dachy, na asfalt, na szyby, na samochody padły pierwsze, rzadkie krople.

Padły krople żółtawe, syczące w zetknięciu z metalem, wciskające się w szpary i szczeliny, gdzie paliły izolację kabli i gryzły miedź przewodów.

Padły krople brunatne, wielkie i lepkie, a tam, gdzie padły, bledła trawa, liście zwijały się w trąbki, czerniały łodygi i gałązki.

Padły krople atramentowosine, a tam, gdzie padły, parował i topił się beton, gotowała cegła, a tynk płynął po murze jak łzy.

I padły krople przejrzyste, które wcale nie były kroplami.

Renata

Renata Wodo miała niegroźną obsesję, dziwaczny zwyczaj — niezmiennie, kładąc się do łóżka, sprawdzała, czy pokrywa sedesu jest opuszczona, a drzwi do łazienki zamknięte. Sedes, otwarty na tajemniczy i złowrogi labirynt kanałów i rur, był zagrożeniem — nie mógł pozostać otwarty, nie zabezpieczony — wszakże „coś” mogło z niego wyjść i zaskoczyć

Renatę podczas snu.

Tej nocy Renata jak zwykle opuściła pokrywę. Przebudziwszy się, zaniepokojona, złana zimnym potem, targając się w pólśnie jak ryba na lince, starała się przypomnieć sobie, czy zamknęła drzwi. Drzwi do łazienki.

Zamknęłam, pomyślała usypiając. Na pewno zamknęłam.

Myliła się. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

Pokrywa sedesu uniosła się powoli.

Barbara

Barbara Mazanek panicznie bała się wszelkich owadów i robaków, ale prawdziwy, tryskający adrenaliną strach i miotający całym ciałem wstręt budziły w niej skorki — płasko—obłe, ruchliwe, brązowe monstra, zbrojne w cęgowate kleszcze na końcu odwłoka. Barbara głęboko wierzyła, że ta szybko biegająca, wciskająca się w każdą szparę obrzydliwość czyha tylko na

okazję, by wypełznąć jej do ucha i od środka wyżreć cały mózg. Spędzając wakacje pod namiotem, każdej nocy pieczołowicie wpychała do uszu korki ukręcone z waty.

Tej nocy, budząc się zaniepokojona, odruchowo przycisnęła lewe ucho do poduszki, a prawe przykryła ramieniem.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Przez nieszczelne drzwi balkonowe, niczym brudna, oleista fala, zaczęły sączyć się i rozlewać po pokoju miliardy ruchliwych owadów. Oczka świeciły im czerwono, a kleszcze na końcach odwłoków były ostre jak brzytwy.

Muzykanci

— Koniec — powiedział Kersten. Debbe milczała, siedząc nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, leciutko poruszając czarnym końcem ogonka.

— Koniec — powtórzył pies. — Itka, nie możemy niczego zrobić. Niczego. Słyszycie? Pasiburduk, przestań, to nie ma sensu.

Chomik przestał grać, znieruchomiał, uniósł ku górze czarne guziczki ślepi.

Taki już jest, pomyślał Kersten, nie zmieni się. Wszystko mu trzeba powtarzać dwa razy. Cóż, to tylko chomik.

Debbe milczała. Kersten położył się, opuścił pysk na łapy.

— Nie udało się i nie ma co dłużej próbować — powiedział. — Zasłona pękła ostatecznie i nie załatamy jej tym razem. Przeszli. Tamci. Oczywiście, Zasłona wkrótce zrośnie się sama, ale nie muszę wam mówić...

— Nie musisz — Itka wyszczerzył zęby. — Nie musisz, Kersten.

— Pewne szanse jeszcze to miasto ma. Dopóki Krostowaty nie przeszedł na tę stronę, miasto ma szanse.

— A inne miasta? — odezwał się

niespodziewanie Pasiburduk. Kersten nie odpowiedział.

— A my? — zapytał szczur. — Zostajemy?

— Po co?

Itka usiadł, opuszczając szpiczasty pyszczek.

— A zatem... Zgodnie z planem?

— Widzisz inne rozwiązanie?

Z oddali, od strony osiedla dobiegł ich dźwięk. Fala dźwięku.

Kersten zjeżył się, a Pasiburduk skulił w rudą kulkę.

— Masz rację, Kersten — powiedział Itka. — To koniec. Odchodzimy do Bremy. Tam czekają inni.

Szczur obrócił się w stronę Debbe,

wciąż siedzącej nieruchomo jak puszysty, pręgowany posążek.

— Debbe... Co ci jest? Nie słyszałaś? Koniec!

— Zostaw ją, Itka — zawarczał Kersten.

— Wyglądasz — syknął szczur do kotki — jakby ci było ich żal. Co, Debbe? Żal ci ich?

— Co ty możesz wiedzieć, Itka — miauknęła cicho, złowrogo kotka.

— Żal? Może i tak, żal mi ich. Żal mi dotyku ich rąk. Żal mi szmeru ich oddechów, gdy śpią. Żal mi ciepła ich kolan. Żal mi naszej muzyki, którą, ledwo poznana, tracę. Bo to jest nikomu niepotrzebna muzyka i nigdy nikogo już nią nie uratujemy. Dlatego, że w każdej

minucie, w każdej sekundzie, w tysięcznych punktach tej planety rozbrzmiewa veehal i będzie rozbrzmiewał coraz częściej. Aż do końca. Was też mi żal. Ciebie, Itka, i Kerstena, i Pasiburduka. Żal mi was, przegranych, zmuszonych do ucieczki. I siebie też mi żal, bo przecież i tak pójdę z wami, jako jedna z was. Chociaż to nie ma żadnego sensu.

— Mylisz się, Debbe — rzekł spokojnie Kersten. — My nie uciekamy. Tym razem nam się nie udało. Ale w Bremie... w Bremie czekają inni. Od niepamiętnych czasów Muzykanci schodzą się do Bremy. A gdy będzie nas więcej, silniejsza będzie i nasza muzyka, i kiedyś zamkniemy Zastłonę ostatecznie

i na zawsze, uczynimy z niej nieprzenikalny mur. Dlatego mylisz się, sądząc, że nasza muzyka jest niepotrzebna. I że ją utraciłaś. To nieprawda. I ty o tym wiesz.

— Uczucia biorą u ciebie górę nad rozumem, Debbe — dodał Itka. — Co z tego, że to miasto trochę się wyludni? W końcu zasłużyli na to. A ty... myślisz o ratowaniu jednostek. Pojedynczych ludzi, tych, których lubisz? To nieracjonalne. Myśl o gatunku. Jednostki nie mają znaczenia.

Kotka wstała raptownie, przeciągnęła się, mierząc szczura zielonym, złym spojrzeniem, w którym przez sekundę zagrała i zabłysła krwawa nienawiść gatunków. Itka nie drgnął

nawet. Był Muzykantem i Debbe była Muzykantką. Patrzył, jak odchodzi na bok, pomiędzy osty i baldachimy traw, wyniosła, dumna i niepokonana. Do końca.

— Sentymentalna idiotka — mruknął, gdy był pewien, że kotka go już nie usłyszy.

— Zostaw ją — warknął Kersten. — Nie możesz jej zrozumieć.

— Mogę — wyszczerzył zęby szczur. — Ale nie chcę. Tłumaczyć dlaczego, też nie chcę. Najważniejsze, że jest z nami. To dobra Muzykantka. Kersten, może byśmy tak sobie wreszcie poszli?

— Poszli? — uśmiechnął się pies. — Dlaczego mamy iść, jeżeli możemy

pojechać?

Dieter Wipfler

Dieter Wipfler przetarł oczy wierzchem dłoni, usiłując opanować dreszcze, mdłości i zawrót głowy. Wytarł spocone ręce o spodnie, chwycił kierownicę, ruszył, gdy zapaliło się zielone światło. Nie wiedział, gdzie jest. Z całą pewnością nie była to droga na Świecko, na której powinien się znajdować.

Ulice były puste, wyludnione, jak ze

złego snu. Dieter Wipfler przymknął oczy, mocno je zacisnął, otworzył. Co ja tu robię, myślał, mijając krańcówkę tramwaju, gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Co się ze mną dzieje, verfluchte Scheisse, ich muss krank sein. Jestem chory. Zjadłem coś trującego. Muszę się zatrzymać. Nie wolno mi jechać w takim stanie.

Zatrzymać się. To, co leżało na krawężniku, to nie mógł być trup. Muszę się zatrzymać!

Dieter Wipfler nie zatrzymał się. Minął krańcówkę tramwaju i ogródki działkowe, jechał dalej żuźlową drogą, skrajem okropnego pustkowia, prosto w dziki księżycowy pejzaż. Jechał, chociaż nie chciał jechać. Nie wiedział, co się z

nim dzieje. Nie mógł wiedzieć.

Za rozżęczowionej, drżącej zasłony
Dieter Wipfler widział kończystą,
smukłą wieżę kościoła buchającą
jęzorami ognia. Widział drewniane
rusztowania i zwisające z nich
okaleczone ciała.

Das ist unmöglich!

Widział małego, czarnego
człowieka, wymachującego krucyfiksem,
krzyczącego...

Das ist unmöglich! Ich träume!

Locus terribilis!

Ogromna ciężarówka jechała wolno,
miażdżąc kołami żużel, wygniatając w
połaciach gliny zębate ślady
protektorów. Na niebieskim boku
potężnej przyczepy widniał napis,

złożony z wielkich, trupiobiałych liter:

KÜHN TEXTILTRANSPORTE

GMBH

A poniżej była nazwa miasta:

BREMEN

Żółty pokój

Chłopiec spał niespokojnie, rzucał się. Venerdina postawiła uszy, wyteżyła słuch.

To coś, co powoli pełzło po murze, nie miało stałego kształtu — to była czarna plama, kłębek ciemności, pulsujący, rozdymający się, penetrujący mrok długimi mackami. Sierść na grzbiecie Venerdiny zjeżyła się jak szczotka.

Stwór, już na parapecie uchylonego okna, nadał się, zaczął twardnieć, unosić się na pokręconych odnóżach. Najeżył się kolcami, wzniósł w górę żądlasty ogon.

Kotka zmieniła pozycję. Przeciągnęła się lekko, wyciągnąwszy obie łapki, wystawiła pazury. Wpatrzona w stwora szeroko otwartymi oczami, położyła uszy, skurczyła pyszczek, obnażając kły.

Stwór zawahał się.

Tylko spróbuj, powiedziała Venerdina. Spróbuj tylko. Przyszedłeś mordować śpiących, spróbuj stawić czoła tej, która czuwa. Lubisz zadawać ból i śmierć? Ja również. No, wejdz, jeśli się ośmielisz!

Stwór nie poruszył się.

Precz, powiedziała kotka z pogardą.

Przyczajony na parapecie kłębek mroku, czarny jak nicość, skurczył się, oklapł. I znikł.

Chłopiec jęknął przez sen, obrócił się na drugi bok. Oddychał równo.

Venerdina lubiła słuchać, jak oddycha.

Iza

Ela Gruber nie żyła. Miała oczy otwarte, ale Iza była pewna, że nie żyje. Nie bardzo wiedziała, co zrobić. W tym momencie otworzyły się drzwi.

Weszła pielęgniarka.

— Obawiam się... — zaczęła Iza i urwała.

Pucołowata twarz pielęgniarki, jeszcze nie tak dawno temu sympatycznie naiwna, zmieniła się.

Teraz była to twarz idiotki, kretyńsko uśmiechniętej hebefreniczki.

Pielęgniarka, nie zauważając Izy, podeszła do łóżka Eli Gruber, bezmyślnym, automatycznym ruchem poprawiła poduszkę. Ze stolika, stojącego obok, wzięła szklankę. Zapatrzona w okno, zgmiotła ją w pięści.

Z jej dłoni spłynęła strużka krwi. Pielęgniarka nie zwróciła na to uwagi, jej twarz nie drgnęła nawet. Podwinąwszy lewy rękaw, odłamkiem szkła rozcięła sobie wewnętrzną stronę przedramienia, ostrym, gwałtownym pociągnięciem — od zgięcia łokcia aż po wnętrze dłoni — raz, potem drugi raz. Krew bryznęła na biały fartuch, na połyskliwy blat stolika, na pościel,

siknęła ostro na linoleum. Pielęgniarka zatrzęsała się we wstrzymywanym śmiechu, uniosła rękę, lubując się tętniącymi falami buchającej krwi.

— Na pomoooooc! — wrzasnęła Iza, przełamując dławiającą jej gardło zgrozę. — Ludzie! Na pomoc! Niech ktoś pomoże!

— ...dzieeeee! — zawtórował histeryczny krzyk z korytarza.

— Ludzieeeee!

Do krzyku dołączyły inne, głośnie, nienaturalne. Iza zorientowała się, że nakłada się na nie wycie syreny karetki. Pod pielęgniarką ugięły się nogi, dziewczyna ciężko klapnęła na linoleum, schyliła głowę, zaczęła łkać.

Iza, cofając się, nie mogąc oderwać

wzroku od pielęgniarki, wymacała za plecami klamkę, wybiegła na korytarz.

Przy kaloryferze, opierając czoło o ścianę, klęczał młody lekarz, którego nie znała, rękawem wycierał ciekące po twarzy łzy. Spojrzał na Izę błędnym, przestraszonym wzrokiem.

— To wojna, proszę pani — wybełkotał. — To pewnie bomby z gazem psychotropowym. Pewnie użyto broni bakteriologicznej. Wszyscy powariowali... Wszyscy... To wojna! Trzeba zejść do schronów!

Iza cofnęła się, przerażona. Obok, z oddziału, słyhać było brzęk i odgłosy walki. Coś ciężkiego huknęło o zamknięte drzwi.

— Gdzie tu jest schron? — krzyknął

lekarz przy kaloryferze. — Ja nie chcę umierać.

— Miliicjaaaa! — wył ktoś piętro wyżej. — Jezuuuuu! Ratunkuuu!

Drzwi otworzyły się, oparte o nie ciało, zbryzgane czerwienią, wysunęło się na korytarz. Ogromny, półnagi, nie ogolony mężczyzna, uzbrojony w żelazny pręt, powoli, ostrożnie przestąpił nad trupem. Lekarz przy kaloryferze wrzasnął, wtulając twarz w żeliwne żeberka. Półnagi zakrakał dzikim śmiechem i uniósł pręt.

Iza obróciła się i popędziła przez korytarz, ścigana krzykiem i tępyimi odgłosami razów.

Wybiegła przed szpital, przed samym wejściem poślizgnęła się na

zwiędłych liściach, z trudem utrzymała równowagę. Przed szpitalem stała karetka pogotowia, migocząca prawym kierunkowskazem. Boczne drzwi były otwarte, kierowca leżał na siedzeniach, jego ręka, fioletowosina w świetle jarzeniówek, zwisała bezwładnie na zewnątrz. Z głębi szpitala dobiegało obłąkańcze wycie, wrzask, brzęk tłuczonych szyb i szklanych naczyń.

Ulicą przemknął samochód z rozbitym przodem, z przygarbioną, pociętą pokrywą silnika. Nad miastem, od strony ogródków działkowych, unosiła się powoli łuna, chmura dymu i krzyki, z oddali przypominające brzęczenie chrabąszczy.

Iza spojrzała na niebo, które zdążyło

już nabrać koloru purpury przetykanej cienkimi, złotymi nitkami. Krople upadły jej na twarz. Starła je i pobięła.

W domu po przeciwnej stronie ulicy z brzękiem wyleciała okienna szyba, a za nią dziecko. Trzykrotnie obróciło się w powietrzu, zanim plasnęło o beton. Iza biegła. Krople — a może łzy — spływały jej po policzkach.

Obok jej fiata leżał mężczyzna w pasiastej piżamie, wpięty o mur przy bramie. Oddychał, rżąc, przy każdym wydechu u nozdrzy rosły mu krwawe, pękające bańki.

Nie mogła odszukać kluczyków w torebce. Drżącymi rękoma wytrząsnęła na chodnik całą zawartość. Podniosła tylko kluczyki i portmonetkę.

Coś zgrzytnęło tuż obok niej, aż drgnęła, upuszczając kluczyki.

Żeliwna pokrywa kanału ściekowego podskoczyła, upadła na chodnik, a z kanału, z głuchym młaśnięciem, trysnęła krew, zmieszana z nieczystościami, szeroko rozlewając się po asfalcie, wlewając się jej do butów obrzydliwym ciepłem. Iza wrzasnęła, cofnęła się od samochodu, potknęła się o ciało mężczyzny w piżamie, przyłgnęła plecami do muru. W czarnej, lśniącej otchłani kanału coś poruszało się, pluszcząc i bulgocąc.

Zza rogu ulicy, wyjąc, wybiegł człowiek, za nim drugi, obaj w szaleńczym tempie minęli Izę, pobiegli dalej. Iza zamarła, uniosła głowę.

Wiatr, ciepły wiatr, który zerwał się nagle, uderzył w nią przerażającym smrodem.

Zza rogu ulicy...

Iza знаła to uczucie. Pamiętała je z dzieciństwa — sen, który tylekroć sprawiał, że budziła się z krzykiem. Sen, w którym sparaliżowana, bezwolna, patrzyła na drzwi, zamknięte od wewnątrz na zasuwę, wiedząc, że za chwilę, pomimo zasuw, te drzwi jednak otworzą się. Otworzą się, a za nimi stanie coś, przed czym nie ma ratunku ani ucieczki. Coś, co nie zostawia nadziei.

Nie wiedząc o tym, krzyczała cienkim, nieustającym falsetem, wizgiem katowanego zwierzęcia. Nagle stała się

zwierzęciem, tu, na tej ciemnej, zalanej krwią i gównem ulicy, wśród asfaltu, betonu, szkła, samochodów i elektryczności, wśród tysięcy wytworów cywilizacji, z których żaden nie miał w tej chwili najmniejszego znaczenia. Nagle była bobrem dławionym elastycznym drutem sideł, lisem, którego łapę miażdżą stalowe szczęki pułapki, foką tłuczoną drągiem po głowie, sarną postrzeloną z obrzyna, tarzającym się w konwulsjach otrutym szczurem. Była tymi, z którymi dzieliła strach i ból, i pewność, że za chwilę będzie niczym — bo niczym jest zimny, zboczony, cuchnący ochłap.

To coś, co za rogiem ulicy zgrzytało i chrobotowało, akcentując swoje kroki

ciężkim, chrapliwym dyszeniem, wyszło i spojrzało na nią złocisto—karminową poświatą ogromnych oczu.

Wrzask zgasł w gardle Izy w zduszonym rżeniu. Jej świadomość, rozum, inteligencja i wola eksplodowały i pękły, jak ciśnięta o bruk żarówka.

Krostowaty przeszedł przez przedartą Zasłonę.

ANDRZEJ ZIMNIAK urodził się w 1946 roku, mieszka w stolicy. Chemik z wykształcenia, jest pracownikiem naukowym Politechniki Warszawskiej. Debiutował w 1980 roku opowiadaniem „*Pojedynek*” zamieszczonym w „Politechniku”.

Opublikował około trzydziestu opowiadań w czasopismach, m.in. w „Fantastyce” i „Problemach”. Debiut książkowy to zbiór „*Szlaki istnienia*” (Nasza Księgarnia, 1984). Następnie wydał zbiory opowiadań „*Homo determinatus*” (Wyd. Poznańskie,

1986), „*Opus na trzy pociski*” (Iskry, 1988), „*Spotkanie z wiecznością*” (Nasza Księgarnia, 1989) i powieść „*Marcjanna i aniołowie*” (Wyd. Poznańskie, 1989).

Pisze prozę refleksyjną, choć nie jest przeciwnikiem mocnych scen, o czym świadczy poniższe opowiadanie „*Kochanek Chimery*”. Jest to wizja odbiegająca nieco od dotychczasowej twórczości autora, a głównymi bohaterami są na równi bezwzględna współczesna cywilizacja i neurotyczny, zgnieciony przez nią umysł.

Kochanek Chimery

Zaparkował niedbale, rozjeżdżając kilka włośchatych liści, które wypełzły na beton z niecki trawnika. Trochę za mocno zatrzaskał drzwi i spojrzał w najeżoną krzewami ciemność ogrodu. Po zgaszeniu reflektorów czerń stała się gęsta, ciasno wypełniona nieruchomymi

kształtami. Na tle brudnopurpurowego nieba pomykały światła samolotów.

— Wszystko musi mieć swoje miejsce — mruknął do siebie, jednak wystarczająco głośno, żeby słowa dotarły do gęstwiny roślin.

Ze skrzynki wydobył plik korespondencji. Drzwi zamknął na obydwie zamki, po drodze zapalił wszystkie lampy. Przez kuchnię przeszedł chyłkiem, jakby nie chciał przeszkadzać Nancy, która powinna przecież już przyjść.

Gabinet urządzone surowo: ciemne zwaliste biurko, krzesło z wysokim oparciem, popielaty dywan. Fotel i telewizor. Małżeńskie łóżko, wciśnięte w kąt, mogłoby stwarzać dysonans dla

każdego obcego. Gdyby przyszedł.

Telewizor był sterowany otwarciem drzwi wejściowych. Paul wzmocnił dźwięk, obserwując szeroką, tępawą twarz spikera. Oczy tego człowieka sprawiały wrażenie pożyczonych od kogo innego: żywe, rozbiegane, wyzierał z nich spryt.

Paul sięgnął do podręcznej lodówki, wyjął to, co stało najbliżej. Zmienił kanał: wiadomości zwykle go nużyły.

Lazur morza, podwodne skały. Wędrówka w pyle księżycowym. Szampan, podawany kochankom do łóżka. Cios, krew na uszmińkowanych ustach. Gwałt na staruszce. Skoki narciarskie. Piąta odmiana wirusa AIDS. Szklanka musującego piwa,

podawana na tacy młodej dziewczynie.

Pozostawił ten obraz. Lubił reklamy, bo wszystko było tam takie ładne, wymuskane. Piękne kobiety, świetnie zbudowani mężczyźni. I dobrze się kończyły: ona wkładała brylantowy diadem lub używała dezodorantu, on zaś obejmował ją czule lub zażywał lek wzmacniający każdego w każdych okolicznościach.

Dla Paula nie filmy były szatkowane reklamami, lecz odwrotnie: reklamy przerywane nudą, sentymentalną fikcją.

Mleko miało metaliczny posmak. Parówki kruszyły się, rozpadały. Jak Nancy przyjdzie, zrobi zupę. Ach prawda, dziś ma zebranie. Wróci późno.

Palenie szkodzi, ale jeśli już

decydujesz się, żądaj czegoś...
najlepsze narty? To od nas!... Bryza
znad morza, perfumy marki... mocne
wrażenia to kanał 33!

Palce na guziku jak na spuście,
najazd kamery, skóra słoniowacieje,
olbrzymieje rozpadlinami i
wyschniętymi wzgórzami, paznokiec jest
kwarcową skalną płytą. Ten twór
wgniata czarny bunkier wielkości
kamienicy i wtedy za kwarcową ścianą
zapala się liczba 33, monstrum puszcza i
wgniata, puszcza i wgniata, a 33 rozpala
się za każdym razem seledynowym
blaskiem. Potem odwrót kamery, starcza
już miejsca na ekran, na którym tasują
się niesamowite obrazy, nic pozornie nie
znaczące, ale układające się w

niepokojący i drażniący ciąg. A potem znów musujące piwo, podawane na srebrnej tacy za uśmiech tak świeży i spontaniczny, że aż zbyt komercyjny.

Paul przemieścił się na łóżko, skąd z rosnącym znużeniem obserwował migający ekran. Musnął przełącznik: światło i telewizor zgasły równocześnie, jakby zabrakło prądu.

Ciemność natychmiast nabrała życia i choć wszystko trwało w bezruchu, nie był to bezruch stabilny, lecz coś na kształt zatrzymanego filmowego kadru, na którym wałą się domy. Sięgnął w bok i dotknął poduszki, gdzie spoczywała głowa Nancy. Lecz Nancy nie było, chociaż poduszka pachniała jej włosami, musiała wyjść na chwilę do łazienki.

Szkoda, że Nancy ma teraz tyle pracy, właściwie przychodzi do domu tylko nocować.

Dlaczego 33? Ponakładane obrazy coś jednak przedstawiały, jeśli przywołało się na pomoc wyobraźnię. Człowiek, skaczący w głąb rozpalonego krateru, czy może pieca hutniczego. Wypadek samochodowy, tak, makabryczny widok, chciałoby się odwrócić głowę, ale coś trzyma ją jak w imadle. Czyjaś twarz nierealnie blada, zrobiona z waty, pod jej powierzchnią niebieszczeją splątane nitki. Twarz znajoma, dobrze znana... Wargi tak jasne, że mają karnację skóry. Gdzie jest Nancy?!

Śpi obok, oddycha tak cicho, że

niedosłyszalnie. Nie, nie będzie jej budził, miała ciężki dzień.

Odrzucił kołdrę i po omacku dotarł do kuchni. Nie lubił tego miejsca, gdzie po niklowanych blachach chodziły błyszczące, brązowe karaluchy. Wziął z apteczki proszek i popił go wodą z kranu.

Na progu gabinetu zatrzymał się, niezdecydowany. Nie był w stanie przekroczyć bariery ciemności; mrok parł stamtąd, szczelnie wypełniony trudnymi do określenia kształtami, gęsty i namacalny, wywierający wyczuwalne ciśnienie. Nagłym ruchem włączył światło.

Nancy nie było, choć pościel sprawiała wrażenie wygniecionej. Poza

tym wszystko wyglądało normalnie.

Telewizor łyaskał kolorami, smucił, bawił, wygłupiał się, wychodził na kretyna. Paul nastawił kanał 33. Szedł cikliwy romans: zbyt obficie uszminowane wargi kleiły się, glikolowe łyzy na trwałe przyłgnęły się rzęs. Cóż w tym szczególnego?

Nagle zaświtała mu myśl, a właściwie sam jej początek, przebłysk intuicji. Położył kciuk na wyłączniku i nachylił się, z bliska obserwując zażółcony paznokieć i nierówności skóry. Nacisnął i zwolnił. Nic szczególnego się nie stało, więc powtórzył czynność jeszcze dwukrotnie. Jak ten gość z reklamy.

Ekran zgasł, a potem rozpałił się na

nim jaskrawożółty napis:

„Oglądasz audycję specjalną, przeznaczoną tylko dla ciebie. Jeśli nie jesteś sam, wróć do nas kiedy indziej. Zawsze będziemy do twojej dyspozycji”.

Paul spojrział na szerokie, dwuosobowe łóżce. Było puste.

Ten człowiek rzeczywiście zamierzał skakać do niecki z lawą, na której powierzchni pęcherze gazu pękały z donośnym trzaskiem. On sam, towarzysząca mu żona z dwiema córeczkami i członkowie ekipy telewizyjnej nosili połyskujące srebrem żaroodporne kombinezony. Pożegnanie z rodziną było krótkie: kamienna twarz żony z oczami ukrytymi w cieniu i

policzkami wymalowanymi ognistym blaskiem, rozmiękczone płaczem buzia starszej córki, bezrozumne spojrzenie młodszej. Ekipa telewizyjna uniosła rękawice w geście „trzymaj się”, co nie przeszkodziło w nagrywaniu kolejnej sceny. Tylko stojący na uboczu wysoki mężczyzna nie poruszył się; jego twarz stale okrywał ochronny filtr.

Gdy bohater widowiska brał rozpęd, Paul zasłonił oczy dłonią. Było mu niedobrze, ledwie powstrzymał torsje. Sięgnął do wyłącznika, ale w tej samej chwili rozległ się głos komentatora.

— Zgadzam się, to była mocna scena dla mocnych ludzi. A teraz parę słów wyjaśnienia. Otóż, szanowni widzowie, pojedynki zdarzają się do dziś. Ten

odbył się w drodze losowania i właśnie pan Thompson, a nie jego adwersarz, wyciągnął czarną kulę. Oznaczało to, że albo straci honor, albo popełni samobójstwo w ciągu roku od dnia losowania. Lecz pan Thompson drogo postanowił sprzedać swoje życie! Spójrzcie, spójrzcie na ekran!

Pani Thompson machnęła czekiem przed obiektywem kamery, po czym schowała go do srebrzystej torebki, wzięła dzieci za ręce i zaczęła schodzić kamienistą ścieżką. Obuta była w białe botki na wysokim obcasie. Za nią ruszyła ekipa ze sprzętem, a pochód zamykał ponury mężczyzna ze stale osłoniętą twarzą.

— Niestety, pan Thompson w

swojej cielesnej powłóce nie może już towarzyszyć żonie — szerokie, tępawe oblicze spikera było nieporuszone, tylko małe oczka błyszcząły szczególnym rodzajem ekscytacji — bo oprócz honoru i duszy pozostało po nim niewiele...

Szybkie zbliżenie ukazało wzdętą powierzchnię stopionej skały, a na niej garść niknącego żużla.

Paul ledwie zdążył dopaść do umywalki. Opłukał twarz i oddychał głęboko, ustami. Przenikały go niesmak i obrzydzenie, ale pomyślał, że dawno nie doświadczył podobnie silnych wrażeń. Kto by przypuścił, że takie rzeczy dzieją się na świecie, i to niemalże w majestacie prawa?

— A teraz coś nowego; miłość wielka, romantyczna, lecz niezbyt szczęśliwa, bo jednostronna, spełniona w niecodziennych okolicznościach i w niezwykły sposób! Radzę nie wyłączać odbiornika, jest na co popatrzeć.

Paulowi podłoga drgnęła pod stopami. Uchwycił się brzegu stołu, wczepił się weń pobielającymi palcami. Zawrót głowy mijał powoli, pozostawiając w polu widzenia rzadniejący deszcz iskier. Dowłókł się do fotela i opadł na poduszki, wlepiając wzrok w telewizor.

Schody. Drewniane schody do piwnicy, poczerniałe i spękane, niemiłosiernie skrzypiące przy każdym kroku. I włosy, strugi i fale włosów,

zalewające najniższy stopień, tam gdzie zaraz zaczyna się wiecznie wilgotny beton.

Nie. To niemożliwe. Skąd oni... — chciał krzyknąć, rozwalić tę cholerną maszynę, gdzieś zatelefonować, zaprotestować. Lecz nie uczynił nic, nawet nie poruszył ręką, wpatrując się w hipnotyzujące oko ekranu.

Na górze trwa przyjęcie. Wyświeżone i wypięknione kobiety dają z siebie co mają najlepszego, uśmiechają się zalotnie, stąpają lekko i z gracją. Mężczyźni przepijają do siebie, starają się być rubaszni w granicach dobrego smaku i uwodzicielscy wobec dam. Przez gwar rozmów i brzęk sztuców sączy się dudniąca muzyka.

Hałas i bieganina, jak zwykle.

Paul — a jakże, on też jest wśród gości, tylko jakby o kilka lat młodszy — adoruje Nancy, żonę gospodarza. Jej mąż patrzy na te zabiegi z wyrozumieniem, albowiem Nancy nie daje zalotnikowi żadnych szans. Ów liberalizm bierze się zapewne również stąd, że nic nie wie o romansie łączącym nigdyś tych dwoje. Był to niewinny flirt, zakończony przez nią po kilku wieczornych spacerach, niewielu więcej pocałunkach i szeptanych, nieprawdziwych zwierzeniach. Ją zaspokoilo to całkowicie: stanowiło cichą zemstę na mężu za obściskiwanie ich piastunki do dzieci, a niejako mimochodem okazało się łatwym i

miłym podbojem i jeszcze miłszym odtrąceniem. On zakochał się bez pamięci, chorobliwie. Z tej przypadłości mogła wyleczyć go tylko nowa miłość, lecz ta nie nadchodziła, nie była bowiem ani chciana, ani, co za tym idzie, poszukiwana.

— Pozwolisz, że poprawię ci poduszkę, Nan.

— Lepiej popraw sobie nos, Paulątko. Jest odrobinę krzywy — parska śmiechem, plując sałatką. Wygląda na dobrze wstawioną.

— Chodź, przejdziemy się po ogrodzie, jest tak ładnie — prosi, obmacując spojrzeniem jej kształtny biust. Dlaczego nigdy nie pozwoliła mu się dotknąć, chociaż tyle mówiła o

miłości?

— Na dworze jest zimno i gryzą komary. A tu są takie fajne chłopcy — przechyla się i całuje w policzek swego sąsiada, sztywnego nauczyciela licealnego.

— Nie pij więcej, Nancy — to już nie prośba, raczej skamlanie. — Przejdźmy do sypialni, odpoczniesz.

— Nie!! — wrzeszczy, a jej twarz tężeje w grymasie złości. — Przestań wreszcie jęczeć nade mną i idź do diabła!

— Nancy...

— No dobrze, już dobrze — mówi nieprzyjaźnie — możesz nie iść do diabła. Przynajmniej dzisiaj. Ale idź do piwnicy po wino; wiesz, które lubię.

Zobacz — unosi brwi dziecinnym grymasem, który tak kocha — mam pusty kieliszek.

Posłusznie wstaje. Zatacza się lekko, też nie żałował sobie wina. Zapala światło i ostrożnie przekracza próg, sprawdzając stopą stabilność pierwszego stopnia schodów. Porusza się powoli, naprzemiennie opierając dłonie o ceglany mur. Rozeschnięte dechy skrzypią, jęczą i uginają się pod każdym krokiem.

Sterna ilustrowanych czasopism, zniszczony tapczan (uch, ciągle freudowskie skojarzenia), rowery, przy drzwiach do garażu skrzynie z narzędziami. Jest! Stojak z butelkami wygląda jak nastroszony jeź. Do ataku!

— Przecież wiesz, że nie znoszę tego gatunku! — piszczy Nancy gdzieś spod powały. Stukot obcasów, jakiś nierytmiczny, urwany.

Dlaczego ten głupi nauczyciel nie zatrzymał jej uśmiechem, toastem czy nawet wsadzając łapy pod spódnicę? Dlaczego nikt nie zapytał jej o nic po drodze? Dlaczego nie była ostrożniejsza? Dlaczego w jednej chwili jesteśmy szczęśliwi, podekscytowani i pełni chęci życia, a już w następnej nic nie obchodzą nas doczesne sprawy?

Jej ciało wiruje w piruecie z krzywego zwierciadła, trwa to tak długo, że przeczy logice. Ona płynie, zadając kłam sile ciężenia! Nie krzyczy, bo po co ma krzyczeć? Wzdycha głębokim,

zdławionym głosem. Układa się u stóp schodów miękko jak szmaciana lalka, tylko raz czymś stuknęła o wiecznie wilgotny beton. Łokciem albo obcasem, tym felernym obcasem, którym przedtem zawadziła o próg. Nie, jej głowa jest bezpieczna, spoczywa tuż przy pierwszym stopniu, hojnie drapując go ciężkimi zwojami włosów.

Zamknięte powieki drżą ledwie dostrzegalnie, blade usta układają się do uśmiechu. Wąska talia, mocno zaznaczone biodra, płaski brzuch, rozrzucone nogi... Szczupłe uda i kształtne łydki, o dotknięciu których zawsze marzył.

Podbiega, chce ją podnieść, ale zamiast tego zrazu nieśmiało, potem

coraz mocniej całuje pobladłe wargi. Są ciepłe, bardzo ciepłe i miękkie.

Zawsze mnie chciałaś, kochanie, tylko robiłaś na przekór sobie, w zarodku niszczyłaś własne szczęście. Może to niosło masochistyczną przyjemność, ale teraz nie możesz odmówić, bp śpisz. Twoje prawdziwe ja nareszcie dojdzie do głosu.

Paul wbiega po schodach, zatrzymując się, zgięty w pół nasłuchuje. Nikogo nie ma w pobliżu, z salonu dobiega gwar pijackich głosów i muzyka. Ostrożnie przekłada klucz na swoją stronę, zamyka drzwi. I już jest przy niej, swojej umiłowanej kochance, której ciało nareszcie mówi mu „tak”.

Odczuwa coraz silniejsze

podniecenie. Drżącymi palcami pięści przez cienki materiał sukienki jej piersi i podbrzusze. Odsłania uda i brzuch dziewczyny — okazuje się że nie ma na sobie bielizny. Czy zawsze tak chodzi, czy może spodziewała się czegoś dzisiaj? Kto wie, czy nie myślała o nim?

Bierze ją szybko, miękko i bezwładną. Jej wargi nie są już tak gorące jak przed chwilą, powieki przestały drżeć. Szkoda, że śpi i nie może szczytować razem z nim. Zawsze chciał dawać kobietom więcej niż sam brał. Niestety, nigdy się to nie udawało.

Wstaje, doprowadza się do porządku, rozgląda się jak złodziej. Obciąga jej sukienkę, odsuwa przygarnięte do tułowia ramię. Wbiega

po piekielnie skrzypiących schodach, nasłuchuje, odblokowuje drzwi i przekłada klucz. Nie ryzykując wyjście tędy; zbiega z powrotem do piwnicy i opuszcza ją przez garaż. Z rękami w kieszeniach, pogwizdując, po dywanie.

— Gdzie Nancy? — pyta jej męża, myszkuje spojrzeniem po dywanie.

— Nie była z tobą na spacerze? — tamten unosi brwi w dobrze udanym zdumieniu. — Może w sypialni? Chciałbyś sprawdzić? — szczyrzy końskie zęby.

— Ktoś... powinien. Może...

— Jeśli tam poszła, chce być sama, a przynajmniej nie chce tam nas. Ja szanuję jej wolę, przyjacielu — małżonek Nancy klepie go jowialnie po

plecach i ma zamiar wyjść na dwór.

— Aa... — jąka się Paul — ...
zabrakło wina.

— To skocz po flaszkę do piwnicy.
Tylko uważaj, nie zabij się. Tam jest
stromo, a po paru szklankach bardzo
stromo!

Nancy, jeszcze chwileczkę,
kochanie. Zaraz będę mógł wszczać
alarm i przyjedzie lekarz. Wiem, że cię
boli, ale wytrzymaj jeszcze kwadrans.
Wszystko jedno, co było i będzie: i tak
jesteś na zawsze moja.

Paul nie wiedział, kiedy automat
wyłączył telewizor i światło. Wpółleżał
w fotelu w zatłoczonej zjawami
ciemności i po raz dziesiąty czy setny
przeżywał to samo.

Tylko idioci mogą twierdzić, że Nancy nie żyje. Przecież co noc śpi obok niego, spowijając poduszkę we włosy; każdego dnia dotyka jej bladych policzków, mówiąc: już świta, kochanie, kawa gotowa. Ale świat roi się od idiotów i wiele milionów spośród nich twierdzi dzisiaj: on to zrobił. Wskazują na niego palcami: on!

Sędzia też do nich należy, chociaż występuje w tozde i reprezentuje prawo. Prawo to przecież tylko narzędzie, a narzędzia można użyć zarówno do naprawy, jak i do niszczenia. Sędzia będzie ferował wyrok: winny zaniechania pomocy, winny dewiacyjnych ataków seksualnych na poszkodowanej. Przedstawiciel prawa

piastuje wysoki urząd i też niczego nie wie, jak to możliwe?

Skąd się dowiedzieli? Jakie systemy inwigilacyjne muszą być założone w tamtym domu, w innych domach, tutaj, u niego?

Poderwał się z fotela, lecz wokół tłoczyła się tylko ciemność. Rzucił się na łóżko, szukając wyciągniętą ręką. Nancy jeszcze nie przyszła.

Wstał, zapalił wszystkie światła. Przygładził włosy, obciągnął ubranie. Wziął dokumenty i kluczyki od samochodu. Przy drzwiach zawahał się jeszcze, lecz potem z determinacją przekroczył próg i wyszedł w duszną noc.

Ogród jeżył się kępami trawy,

pąkami krokusów, witkami krzewów. Na niskim niebie zawisł śmigłowiec, napełniając mrok nocy szczekliwym jazgotem.

Paul jechał powoli, nie mogąc opanować tików mięśni twarzy. Palce kleiły się do kierownicy, stopa z trudem wciskała oporny pedał gazu. Jezdnia przechylała się jak pokład statku, zmieniała kształt, żyła.

Co im powie? Wszystko! Wszystko, tak jak było naprawdę. Przecież ten sędzia nic nie wie, oni wszyscy nie mają pojęcia, tłumem rządzi odmienna psychologia, powietrze drga żądzą mordy. Karać, karać, likwidować wszystko co inne, zdławić uczucia i namiętności, tak aby została szarość,

przeciętność, prokreacyjny płodozmian. Czyli po prostu to, co reprezentuje ów tłum bez twarzy, sięgający pokraccznymi rękoma, zazdrosny o wszystko, odbiegające od miernoty. Tak! To im powie, rzuci parę słów prawdy, która roznie sie ich sąd jak tajfun.

Na bury asfalt wpełzły plamy blasku, przemknęły po nim jak grzbiety świecących płaszczynek i uciekły w bok, pomiędzy szeregi parterowych domów. Łoskot nisko lecącego śmigłowca wgniół głowę między ramiona, przetoczył się między drzewami i przepadł w ciemności nastroszonych krzewami ogrodów.

Pewnie nie dadzą się przekonać. Wszystko zinterpretują po swojemu,

zawsze tak robią. Widzą rzeczy takimi, jakie chcą, żeby były. Projekcja wyobrażeń na rzeczywistość, jak to się ładnie mówi. Wtedy go wsadzą. I tak go wsadzą, wiedzą przecież wszystko. Wszystko i jeszcze więcej, czyli to, co sobie dośpiwiają. Tylko... dobrowolne zgłoszenie łagodzi wymiar kary. Czyż nie tak ustanowiono we wszystkich kodeksach świata?

Budynek policji otaczał rój samochodów. Niektóre miały włączone światła alarmowe i wyglądały jak kolorowe, niebezpieczne zabawki. Na płaskim dachu z grzotem silników siadał helikopter. Tak, rój maszyn, podobny do roju podrażnionych os.

Ktoś pomógł mu wysiąść. Inni

chwycili pod ramiona i pomagali iść. Mechanizm zaskoczył i zaczął działać: systematycznie, konsekwentnie, nieodwracalnie.

— Pan w jakiej sprawie? Napad, pobicie, wypadek samochodowy?

— Nie, ja... w sprawie Nancy. To znaczy, ja nie jestem... — jąkał się Paul.

— Audycja? — dyżurny łysnął oczami spod nasuniętego na czoło daszka. — Od razu do szefa.

Znów pomogły mu krzepkie ramiona. Biel, złamana dodatkiem błękitu, błyszczące drzwi i ściany, pachnie farbą. Gabinet, jakiś inny niż na filmach, a na wprost drzwi siedzi w fotelu drobny mężczyzna o ruchliwych palcach

i rozbieganych oczach. Nie za biurkiem, tylko po prostu w fotelu, jak na przyjęciu u znajomych. Skinął głową i czyjeś dłonie rozpoczęły wędrówkę po zakamarkach jego ubrania.

— Imię i nazwisko? Taak... Numer? Dobrze, teraz odciski palców, tutaj, na tej białej płytce. Dziękuję.

Końcówka komputera podjechała na białym wysięgniku, bardziej podobna do aparatury ambulatoryjnej niż do policyjnego sprzętu wspomagającego. Dane zniknęły w jej wnętrzu.

— Chciał pan złożyć zeznanie. Słucham.

— Nancy... ona przecież nie umarła. Wszyscy...

— Jaka Nancy? Nazwisko, adres.

Kiedy to było?

Urzędnik przyciągnął komputer i znów zaczął dziobać palcami w klawiaturę.

— Ach tak — skinął wreszcie głową. — Chce się pan przyznać do zabójstwa?

— Nie! — Paul zerwał się z krzesła, na którym zaraz z uprzejmą stanowczością usadzono go z powrotem.

— Więc?

— Ona spadła... Potknęła się i spadła. Chciałem ją podnieść...

— Tak właśnie mam w raporcie. Przyczyna zgonu: pęknięcie podstawy czaszki w wyniku uderzenia o betonową podłogę. Zawartość alkoholu we krwi...

— To było nie tak! Znajdowałem się

akurat w piwnicy. Chciałem ją podnieść, ona przecież nie umarła, była taka ciepła... Zacząłem ją całować. Czy pan wie, że ona mnie kochała i kocha do dziś?! — prawie krzyczał. Na skroniach czuł nieznaczny ucisk.

Przez twarz oficera przemknął skurcz, potem jego usta wykrzywiły się, wreszcie wybuchnął skrzekliwym śmiechem. Wydawać by się mogło, że udławił się ością i ze wszelką cenę usiłuje złapać oddech. Bił się przy tym po chudych udach i rzucał na boki głową. Urwał nagle, jakby ktoś go wyłączył.

— Dosyć — wycedził, pochylając się do przodu i wysuwając drobną, ostro zarysowaną szczękę. — Niech pan

zabiera się stąd i zjeżdża do diabła!
Albo jeszcze lepiej do dobrej kliniki,
jeśli masz pan trochę forsy na zbyciu, he,
he! Nie po to — jego głos stał się
twardy, sylaby dźwięczały metalicznie
— układaliśmy program akcji,
zastawialiśmy sieci, aby wpadły w nie
nędzne płotki. Pan i pańskie skłonności
nekrofilne — pochylił się jeszcze
bardziej, tak że omal nie wypadł z fotela
— interesują mnie znacznie mniej niż
poranne pierdnięcie naszego dyżurnego.
Rozumiesz pan?! Nie obchodzi mnie, na
ile zaszkożysz temu czy innemu
umrzykowi! Interesują mnie żywi, bo im
można bardziej zaszkożdzić —
wyładowywał złość. — Zajmuję się
tymi, którzy niszczą tkankę społeczną,

burzą ład, bo chcą unicestwić nas, to znaczy sprawiedliwość. Jasne? A teraz wiej stąd! I dużo frajdy!

Wyprowadzono go, wepchnięto do wozu. Jego własnego wozu. I kazano odjechać.

Z trudem trafił do domu ruchomymi, cętkowanymi ulicami, przedzierając się przez zaprawiony różem mrok nocy. Grzmot śmigłowców nie robił już na nim wrażenia, mimo że wydawało się, iż tuż obok przemieszczają się góry.

Trwał w letargu, spowodowanym przez zbyt silne napięcie nerwowe, lecz chwilami jego myśl była jasna i logiczna. Skąd wiedzieli? Niczego nie wiedzieli! Ten glina miał w kartotece tylko oficjalną wersję wypadku. Czytnik

został umieszczony w elektronicznej aparaturze odbiornika telewizyjnego. Indywidualny czytnik pamięci, inwigilator sterowany molekularnym zapisem emocji! Najpierw puszczają jeden czy dwa kawałki takie same dla wszystkich, a potem dobierają się do ciebie! Chyba że... coś podejrzewali i nagrali hipotetyczną wersję. Dla każdego osobno, bo przecież każdy przekrobał coś innego. Bzdura. Tym sposobem nie można niczego udowodnić, ale można wypłoszyć zwierzynę z kryjówek.

Tak, już wiedział. To jest właściwa droga. Nauczy się elektroniki i matematyki, a jak będzie trzeba, to i psychologii. Wszystko dla ludzi, należy

tylko naprawdę chcieć. Będzie konstruował i instalował aparaturę śledzącą, różnego rodzaju inwigilatory zbiorowe i osobiste, a z czasem może i urządzenia stymulujące jednostki i grupy do konkretnych zachowań. Obiekt zamieni się w obserwatora. Zwierzyna w myśliwego. Tak, to jest wyjście z koszmaru.

Tylko... czy konstruktor sam nie będzie inwigilowany i manipulowany? Kto pociąga za nitki?

Nieważne, przynajmniej w tej chwili. Należy coś zacząć robić, odbić się od dna.

Zajechał przed ciemną bryłę domu. Dziwne, że Nancy jeszcze nie ma. Może śpi, przecież jest noc.

Ogród zastawił się ostrzami gałązek, brzeszczotami traw i kolcami krokusowych pąków. Ciemność naparła na Paula, usiłując wepchnąć go z powrotem do samochodu. Szarpnął się, potknął i przewrócił. Potoczył się kilka metrów po trawniku; jego głowa minęła o dłoń krawędź betonowego podjazdu do garażu.

Krokusy nie złamały się pod ciężarem ciała. Pilotowi śmigłowca, śledzącemu z góry tę scenę, wydawało się, że monitor ukazał wierzchołki ich pąków w kolorze ciemnoczerwonym.

JAROSŁAW „JEREMIASZ”

GRZĘDOWICZ urodził się w 1965 roku, studiuje psychologię na Uniwersytecie Warszawskim. Założyciel w 1982 roku, razem z Robertem Azembskim, Jackiem Piekara i Rafałem A. Ziemkiewiczem głośnej grupy autorskiej TRUST. W tym samym roku debiutował w łódzkich „Odgłosach” opowiadaniem „*Azyl dla starych pilotów*”. W tymże tygodniu, w rubryce „W kręgu fantastyki” opublikował jeszcze opowiadania „*Kuifia*” i „*Twierdza Trzech Studni*”. To ostatnie,

uważane za pierwszy opublikowany polski tekst fantasy, ukazało się również w antologii „Rok 1984” (Almapress, 1988). Po okresie milczenia, przypomniał się czytelnikom opowiadaniem „*Rozkaz kochać!*” („Fantastyka” 4–5/90). Obecnie szefuje działowi prozy polskiej miesięcznika „Fenix”.

Akcja opowiadania „*Śmierć szczurołapa*”, które można uznać w szerszym kontekście za ekologiczne, dzieje się w niedalekiej przyszłości, w nowej sytuacji geopolitycznej — kolos wschodni rozpadł się, Azja w ogniu walk narodowościowych i religijnych, w Polsce obozy dla uchodźców. Tymczasem Zachód — samozadowolony

z dobrobytu i komfortu bezpieczeństwa — nie zauważa groźby płynącej z nierealnego, mrocznego świata kanałów ściekowych i wentylacyjnych, tak przecież ułatwiających nam życie, że na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z ich istnienia.

Śmierć Szczurołapa

Na kwarcowych zegarach lotniska Amager zapłonęła godzina czwarta piętnaście, kiedy Kirospan stanął w pasażu handlowym u wyjścia z dworca. Miał na sobie podarte tureckie dzinsy, brudną bawełnianą bluzę, znoszone trampki i lepił się od potu. Z ramienia

zwisiała mu nowiutka torba Europejskiego Czerwonego Krzyża, w której miał komplet jednorazowej bielizny, jednorazowy ręcznik, jednorazową maszynkę do golenia, jednorazową szczoteczkę do zębów i jednorazowy paszport uciekiniera. Poza sześćdziesięcioma dolarami zarobionymi nielegalnie w gdańskim obozie uchodźców, zgniecioną paczką Cooperów, małą reklamową zapalniczką i tą torbą nie miał nic.

Za nim zostały pachnące napalmem skaliste stepy, pomalowane na piaskowo, płaskie czołgi oblepione wyjącmi Rycerzami Islamu, płonące ruiny Erewańskiego Uniwersytetu, zgliszcza młodej Republiki Armeńskiej,

patrole Specnazu w sraczkowatych mundurach, stalowych hełmach i workowatych kamizelkach przeciwołamkowych. Zostawiał za sobą krew, dym, śmierć i trzy miesiące tułaczki.

Przed nim rozpościerała się rozświetlona neonami, pachnąca wodą kolońską, syta Zjednoczona Europa. Bułat Achmatycz Kirosjan w wieku dwudziestu trzech lat zaczynał nowe życie. Nie odczuwał niczego szczególnego, poza piekielnym zmęczeniem. Stał w pasażu handlowym kopenhaskiego lotniska i nie wiedział, od czego zacząć. Wiedział, że w Kopenhadze dostanie pracę — w malutkiej, dodatkowej kieszeni dzinsów

miął złożoną na czworo karteczkę z adresem i nazwiskiem, wypisanym na komputerowej drukarce przez Torańskiego, jednego z pracowników obozu uchodźców. Przyjaźnili się i Torański postanowił mu pomóc. „Tam na pewno dostaniesz robotę i będziesz mógł się zaczepić” — powiedział. — „Ten Gultensen jest szefem jakiegoś departamentu Urzędu Miejskiego w Kopenhadze i ile razy tam jestem, to mi jęczy, że potrzebuje ludzi, to musi być straszna robota, skoro nikt jej nie chce, ale twierdzi, że płaci dobrze. Znasz angielski, więc nie będzie problemu.”

Problemów było mnóstwo. Po pierwsze, trzeba się było wydostać z lotniska i dojechać do Kopenhagi, a nie

wiadomo, ile kosztują taksówki. Po drugie, nie wiadomo dokąd konkretnie pojechać w samej Kopenhadze i co ze sobą zrobić. Trzeba było wymienić gdzieś pieniądze, wszyscy używają kart kredytowych, a on ma gotówkę. Problem stanowiły kursy walut, skomputeryzowane telefony, komputerowa informacja turystyczna i automatyczne supermarkety. Problem stanowiły ustępy, gdzie nigdy nie było normalnej, ludzkiej spłuczki, tylko wszędzie jakieś cuda. W każdym co innego.

Dla zmęczonego, zagubionego człowieka, na obcym lotnisku, w obcym kraju wszystko jest problemem. Gdyby został w kampingowym obozie na

gdańskim Orłowie, wszystko byłoby prostsze. Ktoś zdecydowałby i załatwił za niego, tylko że Kirosjan miał już tego dosyć. Chciał decydować sam — proszę bardzo. Radź sobie teraz.

Znalazł konsolę informacji i zaczął z nią walczyć. Przypominało to dziecięcą zabawę: zgadnij właściwą komendę, to ci odpowiem. Po pięciu minutach był już pewien, że komputer się z nim droczy: nie chciał podawać cen. Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach i koniec. Stracił nadzieję, potem zdobył się na odrobinę cierpliwości i zaczął od początku. Metodycznie. Napisy pojawiały się i znikaly, aż nagle coś piknęło i Kirosjan odniósł walne zwycięstwo. Ceny

pojawiły się. Podane w europejskich kredytach. Wydrukował adres najtańszego o dziwacznej nazwie Capsule Hotel, a potem wyświetlił kursy walut. Doba w tym hotelu kosztowała osiemnaście dolarów i trzydzieści centów. Tanio. Najtaniej w mieście. Stać go było na trzy noclegi. A jedzenie?

Wymiana pieniędzy okazała się dziecinnie prosta i Kirosjan wymienił wszystko, co posiadał, otrzymując sto trzydzieści europejskich kredytów w sztywnych, niebieskawych banknotach wielkości wizytówki. Schował je, zabrał torbę i wyszedł wzdłuż pomarańczowych strzałek z napisem „EXIT”.

Pierwszy widok Ziemi Obiecanej

stanowił precyzyjnie wystrzyżony trawnik, dziwnie jaskrawy w świetle lamp, szpaler rosochatych sosen i maszty z flagami: europejską, z wianuszkiem żółtych gwiazd na granatowym tle, i duńską z krzyżem. Znalazł rząd płaskich, żółtych taksówek i wsiadł. Kierowcy nie było. Zamiast tego rozległ się przyjemny baryton, który wyszwargotał coś po duńsku, a potem odezwał się po angielsku:

— Witamy w taksówce przedsiębiorstwa Eurocab i życzymy przyjemnej podróży. Prosimy wypisać adres na ekranie. — Przed oczami Kirosjana rozjarzył się bladą zielenią ekran z pulsującym kursorem. Wydobył kartkę z adresem hotelu i starannie,

litera po literze wystukał skomplikowane duńskie słowa. Postanowił się nie dziwić. Miał dość. Był zmęczony. Rozległ się szum uruchomionego silnika i taksówka płynnie potoczyła się betonową drogą obstawioną ruchomymi planszami reklamowymi. Sama. Bez kierowcy. No i dobrze. Kirosjan zapalił papierosa, żeby odpędzić senność. Silnik mruczał sennie, niemal na granicy słyszalności. Wodorowy. Podobno cała Europa jeździ teraz na wodorze. Walczył z sennością, patrząc niewidzącymi oczyma na miasto, które ogarnęło go nocnymi światłami.

Hotel zaskoczył go. Kirosjan spodziewał się odrapanej czynszowej budy, cuchnącej środkami odkażającymi

i moczem. Capsule Internasjonal był wielościennym budynkiem, wciśniętym między inne o równie niesamowitej, kosmicznej architekturze. Błękitne tafle rozsunęły się bezszelestnie i Kirosjan wszedł do przestronnego, błękitnego westybulu. Za ladą recepcji siedział chudy blondyn z długimi włosami.

— Dobry wieczór — odezwał się Kirosjan. — Chciałbym pokój na jedną dobę.

— Proszę bardzo — wymamrotał sennie blondyn. Mówił z twardym akcentem — Pańskie nazwisko?

— Bułat Achmatycz Kirosjan — powiedział Kirosjan.

Recepcjonista zdębiał. Podsunął mu blankiet.

— Mógłby pan wypełnić? — zapytał nieśmiało. Kirosjan wziął długopis i wypełnił rubryki z poczuciem intelektualnej wyższości. Recepcjonista spojrział na napis z niedowierzaniem na twarzy i podał sztywną plastikową kartę.

— Pański klucz — powiedział. — Trzecie piętro.

Na korytarzu trzeciego piętra przeżył kolejny szok. Były tam drzwi i nawet z właściwymi numerami, tylko że miały najwyżej metr wysokości i umieszczono je w dwóch rzędach — jeden nad drugim. Obok tych niższych znajdowały się grube szczelbelki z granatowego plastyku, więc nie były to schowki ani hotelowe sejfy, tylko pokoje. Znalazł

swój numer i wsunął kartę w szczelinę zamka. Pokój przypominał elegancką, białoniebieską kryptę albo wnętrze namiotu i był sześciokątny jak komórka w plastrze miodu. Kirosjan wspiął się do wnętrza, usiadł na miękkim materacu i oparł o ścianę. Najtańszy hotel w mieście... Mogło być gorzej. Pokój pachniał czystością, w zasięgu ręki miał telewizor, telefon, małą szafkę, nawet składany blat, a że półtora metra wysokości? Trudno. Czy wszędzie trzeba stać? Na siedząco zdjął ubranie i wyciągnął się na wznak. Usiłował sobie przypomnieć wszystkie miejsca, w których spał przez ostatnie trzy miesiące, ale zasnął.

Irena Halsen leżała w okrągłej wannie, wśród pływających leniwie gór białej piany i wpatrując się ponuro w otwór odpływowy między opartymi o krawędzie stopami myślała o mężczyznach.

Hakin był właściwie nudny ze swoimi książkami, niechęcią do marihuany i pasją do nurkowania. Nie rozumiał jej malarstwa i nie lubił znajomych. Na pewno był przystojny — z tymi granatowoczarnymi włosami, szczupłym umięśnionym ciałem i złotą skórą pół-Malaja. Na pewno coś w nim było. I na pewno nie było go już w życiu Ireny Halsen. Gdyby mógł zrozumieć, że dla artystki miłość fizyczna jest tylko jednym ze sposobów przeniknięcia do

opanowanego przez samców świata wystaw i galerii. Gdyby nie był tak przywiązany do staroświeckiej monogamii. Gdyby zrozumiał jak bardzo ona chciała mieć tę wystawę... Gdyby wiedział... za to mieszkanie płacili oboje. Nieważne — będzie miała wystawę i tylko to się liczy.

Było pusto i cicho jak nigdy. Dziwne. Hakin był wyjątkowo dyskretny, ale czuło się jego obecność. Westchnęła ciężko i oparła głowę na krawędzi wanny. Długie, jasne włosy rozsypały się na pokrytych glazurą schodkach. Irena leżała rozluźniona i myślała o mężczyznach, słuchając trzasku tysięcy mydlanych pęcherzyków. Nie była już wściekła. Była już tylko

rozgoryczona i samotna. Słuchała ciszy.

Najpierw rozległo się stłumione szuranie i skrobanie. Dochodziło gdzieś spod wanny i odzywało z głuchym pogłosem. Irena otworzyła oczy i spojrzała w otwór odpływowy między swoimi wąskimi, opalonymi na brązowo stopami. W ciemności za plastikową kratką poruszyło się coś żywego. W otworze pojawił się wąski, czarny pysk zakończony drgającym, różowym nosem. Błysnęły siekacze i rozległ się trzask. Trzask pękającej plastikowej listwy. Irena otworzyła szerzej oczy, sparaliżowana wśród pachnącej cedrem piany. Węszący pyszczyk pojawił się znowu i znowu rozległ się chrzęst przecinanej kratki. Plastikowy krążek

chlapanął cicho w pianę, a w otworze pojawił się wąski łeb pokryty czarną szczecina. Błysnęły wybałuszone z wysiłku paciorkowate oczy, pojawiły się różowe uszy. Zwierzę przeciskało się przez otwór odpływu szarpiąc nerwowo tułowiem, aż plusnęło głośno w zieloną wodę. Nagi, różowy ogon prześlizgnął się przez dziurę, w której zadrgał następny pyszczek.

Irena ocknęła się dopiero, kiedy cuchnące stworzonko popłynęło zwawo między jej szczupłymi, lśniącymi łydkami. Szarpnęła się histerycznie i ślizgając piętami po gładkim dnie wanny chwyciła dłońmi za brzeg. Spazmatycznie łapiąc powietrze dźwignęła ociekające wodą ciało,

podkurczając nogi jak najdalej od kłębiących się grzbietów, ohydnych ogonów i błyskających siekaczy. Ściśnięte gardło złapało oddech i ciszę mieszkania rozdarł przeraźliwy wibrujący wrzask. Śliskie od wody i płynu do kąpieli dłonie straciły oparcie na gładkim brzegu wanny i Irena wyrznawszy nerkami chlupnęła w cedrową pianę. Zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze, młóćąc wściekle nogami. Na miodowobrazowe kafelki chlusnęła piana woda. Krzyk Ireny zabrzmiał gardłowo i przeszedł w skowyt. Pachnąca cedrem woda zabarwiła się szkarłatem, ręce zaczęły bić gwałtownie o krawędzie wanny i zgrzytać lakierowanymi paznokciami o glazurę.

Szczupłe ciało malarki oblepione różową pianą wykręcało się rozpaczliwie wśród szczeciniastych czarnych grzbietów, wijących się nagich ogonów i głębokich cięć wygiętych, białych siekaczy.

Potem zapanował spokój. Po wyciągniętej poza wannę szczupłej, brązowej ręce przebiegł ogromny czarny sznur i ociekając wodą skoczył ciężko na podłogę. Stał słupka i uniósł różowy nosek z drgającymi spazmatycznie wąsami. Rozglądał się. W prawie pustej okrągłej wannie wypełnionej purpurową wodą, wśród gór zabarwionej na różowo piany o zapachu cedru, pływały czarne szczury. Bardzo wiele szczurów.

Ingmar Gultensen był szczupłym, wymuskany blondynem w średnim wieku. Przyjął Kirosjana w okazałym, lśniącym gabinecie, wśród białych ścian, czarnych mebli i tropikalnych roślin. Było cicho, luksusowo i przyjemnie.

— Zatem jest pan gotów u nas pracować — powiedział. Mówił starannym, oxfordzkim angielskim, bez dostrzegalnego akcentu.

— Oczywiście wie pan, czym się zajmujemy i jest to świadoma, przemyślana decyzja?

— Nie wiem, czym się zajmujecie, ale jest to świadoma i przemyślana decyzja.

— Rozumiem. Jest pan bez środków do życia. Niemniej to jest ciężka i niebezpieczna praca. Łatwo w niej o kalectwo i śmierć. Jeżeli pan się zdecyduje, to na własną odpowiedzialność. Czy pan mnie dobrze zrozumiał?

— Tak. I nadal jestem zdecydowany.

— Zajmujemy się deratyzacją. Tępieniem szcurów w miejskich kanałach, składach i magazynach. To nowy, bardzo niebezpieczny gatunek szcurów. Mimo środków ochrony, co tydzień ginie kilku naszych pracowników. Niech pan to dobrze przemyśli, zanim podpisze pan kontrakt. Pan jest młodym człowiekiem, Kirosjan.

— Niech pan posłucha. Jestem

Ormianinem. Mój kraj nie istnieje. Nikt z mojej rodziny nie ocalał. Dotarłem tu przez całą środkową Azję, ogarniętą chaosem, wojnami i anarchią. Obawiam się, że nie jest pan w stanie wyobrazić sobie tego, co ja widziałem.

— Przykro mi. Wie pan, większość moich ludzi to desperaci. Naprawdę, zbyt wielu z nich ginie. Wprowadzimy pana we wszystko; ma pan dzień czasu na podjęcie decyzji.

— Jeszcze jedno: ile pan płaci?

— Tysiąc dwieście sześćdziesiąt kredytów tygodniowo. Około sześciuset dolarów. Plus premia.

— Nieźle.

— Ryzyko jest wysokie. Przy okazji: znakomicie mówi pan po angielsku.

— Dziękuję. — Powiedział
Kirosjan — Jestem... byłem filologiem
angielskim. Na uniwersytecie w
Erewaniu.

Dansk Ekologik Department
KOBENHAVN UNITED EUROPE
GOVERNMENT Kungsgattan 45
Glostrupp TFX 345 2635757 D E D
Comp 20900432

JA NIŻEJ PODPISANY
ZOSTAŁEM POINFORMOWANY O
NIEBEZPIECZEŃSTWACH
WYNIKAJĄCYCH Z PRACY NA
STANOWISKU DERATYZATORA W
MIEJSKIM ZARZĄDZIE
EKOLOGICZNYM I OŚWIADCZAM,
ŻE KONTRAKT PODPISUJĘ
DOBROWOLNIE I BEZ

JAKICHKOLWIEK NACISKÓW,
ORAZ ŻE JESTEM W PEŁNI
ŚWIADOMY ZAGROŻENIA UTRATĄ
ZDROWIA LUB ŻYCIA I ŻE JEST MI
ZNANA TABELA ODSZKODOWAŃ

Bułat Achmatycz Kirosjan

— To ty jesteś ten Kirosjan? —
Kirosjan uniósł głowę. Siedział w barze
stanowiącym kantinę deratyzatorów i
czekał. Czekał na kogoś, kto miał się
nim zająć. Obok stolika stał wysoki,
szczupły facet, ubrany w wytartą dżin
sową koszulę. Usiadł przy stoliku i
wyciągnął rękę.

— Nazywam się Quay. Kanadyjczyk.
Mamy razem pracować. — Kirosjan
uścisnął mu rękę i przedstawił się.

Obyło się bez głupich min. Quay za mówił piwo i wziął puszkę. Kirospan uniósł swoją.

— Najpierw kilka pytań — rzekł Quay upiwszy łyk. — Miałeś kiedy do czynienia ze szcurami? — Kirospan pokręcił głową.

— Świetnie — wycedził Quay — Oni, człowieku, myślą, że moja grupa to coś w rodzaju szkoły. W zeszłym tygodniu straciłem dwóch ludzi. I co oni robią? Przysyłają mi faceta, który w życiu nie widział szcúra na oczy.

Jeszcze jeden samobójca. Świetnie. Miałeś kiedy broń w ręku? Mam na myśli prawdziwą broń, a nie wiatrówkę.

— Miałem — powiedział Kirospan — Kałasznikowa. Broniąc Uniwersytetu

w Erewaniu, kiedy weszli Muslimy... to znaczy Arabowie. Jestem Ormianinem. Tam jest wojna, przyjacielu. Strzelają do ludzi.

— Trochę lepiej — wycedził ponuro Quay — dostałeś w kość. Może przeżyjesz. Widziałem w telewizji, człowieku. Tylko że tu też jest wojna. Chłopaki giną, mimo że nikt do nich nie strzela. Zobacz tamtą ścianę. — Kirośjan spojrział posłusznie. Jedną ścianę baru pokrywały prawie całkowicie fotografie. Holograficzne fotografie wyglądające jak kasetki z głowami krasnoludków. Wisiało ich tam około setki.

— To są faceci, którzy odeszli. Kiedy się przekręcisz, powiesimy tu

twoją fotkę.

— Zagryzły ich szczury? — zapytał Kirośjan z niedowierzaniem.

— To nie są zwykłe szczury — wycedził cierpliwie Quay — Wędrowne, śniade czy kanałowe pieszczoszki, które spieprzają, kiedy tupniesz nogą i które możesz załatwić kopniakiem. To są superszczury — wściekłe bestie z piekła rodem. Atakują kupą. Jak piranie. Naprawdę. Widziałem kiedyś jak obrobiły konia. Dużego, zdrowego konia, który deptał je, wierzgał i co tylko chcesz. Wlazły na ściany, na sufit i zaczęły spadać z góry na grzbiet, głowę. Zaczął się tarzać i wtedy oblaży go całego, tylko nogi sterczały jak jakieś cholerne maszty. —

Napił się piwa i spojrzął na Kirosjana ponurym, zmęczonym wzrokiem — Czterdzieści sześć sekund, człowieku. Z zegarkiem w rękę. Po minucie nie było nawet ochłapów, nawet kości, nic. Tylko kałuża krwi i te cholerne szczury. Minuta, bracie. Z człowiekiem to idzie jeszcze szybciej — skinął głową w kierunku ściany wytapetowanej zdjęciami. — Żaden z nich nie ma grobu. Nie było czego grzebać.

— Nie można ich normalnie wytruć?
— zapytał Kiroljan.

Quay pokręcił głową.

— Nie można. One się uodparniają. Jak podrzucisz trutkę, to typują jednego, który to zjada i potem wszystkie go wżerają. Przyjmują truciznę w małych

dawkach, jak szczepionkę. To samo jest z chorobami. A mnożą się szybciej niż byłbyś je w stanie truć. Włazą po pionowych ścianach, gryzą blachę, żrą wszystko, nawet siebie nawzajem. Nie ma innych podobnych zwierząt, człowieku. Jeżeli to są zwierzęta.

— A co? — zapytał Kirosjan. Nie lubił, kiedy go nabierano.

— Nie wiem — powiedział poważnie i trochę bezradnie Quay. — Dopij piwo i idziemy.

— Dokąd? — Kirosjan uniósł puszkę.

— Pokażę ci parę rzeczy. To element szkolenia.

Stali w dużym, białym pokoju, wyglądającym jak luksusowe

laboratorium. W przezroczystym, kulistym pojemniku stworzenie porośnięte czarną sierścią miało się wściekle jak szczeciniasta błyskawica.

— Proszę bardzo — powiedział Quay — Rattus Niger we własnej osobie. Klatka jest kulista, żeby nie było oparcia dla zębów. Zobacz — Quay wyciągnął rękę z kawałkiem blachy. Kirosjan przyjął ją i obejrzał. W rogu znajdował się duży szarpany otwór.

— Przegryziona — oświadczył Quay z taką satysfakcją, jakby sam tego dokonał. — Nacisk siekaczy na gryzioną powierzchnię wynosi półtorej tony. Zmieniają się przy gryzieniu i taką czteromilimetrową blachę załatwiają w dziesięć minut.

— Nieźle — zauważył Kirosjan. Zaczęło mu się robić odrobinę niewyraźnie. Co tam, to w końcu zwierzęta. Nie mordują dla Allacha, do obozu też nie wsadzą, nie były w szkole Specnazu — damy sobie radę. W końcu z kijem tam nie pójdzie. Zresztą, zawsze można zrezygnować. Tylko co potem?

— Chodźmy — powiedział Quay. — Obejrzysz film. Jeden facet nakręcił na wideo, jak razem z kumplami służąją łódki w Furerod. Tylko że jak zamknięto służę, to dorwały ich szczury. Na jezioro wypłynęły puste łódki, ale facet kręcił do końca, trzeba przyznać. Potem zobaczysz jeszcze atak w stacji metro w Kopenhadze. Ja już nie muszę tego widzieć. Zaliczyłem lepsze rzeczy na

żywo.

Quay włączył magnetowid i wyszedł. Obie relacje były krótkie, ale wydawało się, że trwają o wiele za długo. Dużo w nich było szamotaniny, krwi tryskającej na białe, lśniące pokłady, krzyku i śmierci. Dużo szczurów. Całe ruchome kłębowiska plugawiące kadłuby bajecznych jachtów i marmurowy przepych stacji. Pełzające robaki ogonów i chrom żeglarskich okuć. Opalone ciała dziewcząt rozdierane na strzępy i obrzydzenie szarpiące jakieś zabobonne, pierwotne struny podświadomości. Kiedy film się skończył, Quay wrócił.

— Trzymaj — powiedział i rzucił mu szczura. Czarnego, żywego szczura,

który kwiknął przeraźliwie, kiedy Kirospan go złapał i wstrząsany obrzydzeniem upuścił na ziemię. Jednak nie zaczął krzyczeć ani nie dostał hysterii. Przyszło mu do głowy, że Quay przyniósł go w rękach, więc... pochylił się i przyjrzał się stworzeniu uważnie. Przerażony szczur rozpląszczył się na podłodze, mrugając głupkowato oczami, i uniósłszy nos z drgającymi wąsami ostrożnie powąchał Kirospana. Quay podszedł i podniósł szczura za ogon.

— Laboratoryjny — stwierdził — przykro mi, człowieku, musiałem to zrobić. Niezłe się kontrolujesz, no i nie masz fobii. Sam rozumiesz, takie rzeczy trzeba sprawdzać. Gdybyś dostał małpy w kanale, to wielu ludzi mogłoby zginąć.

— Szczur dyndał bezwolnie jak futrzane wahadło.

— Jeden gość — ciągnął Quay — podniósł tak superszczura, bo myślał, że nie żyje, a on był tylko ogłuszony wybuchem granatu. Chciał, idiota, mieć trofeum.

— I co? — spytał Kirosjan.

— A nic. Zrobili mu bardzo elegancką protezę kciuka. Elektroniczną. Wiesz, z tych, co to się je podłącza do nerwów. Nawet byś nic nie zauważył. Po dwóch miesiącach wrócił do roboty.

— I co się z nim dzieje?

— To był kompletny dureń. Kowboj. Taki pieprzony macho — nie lubił ochraniaczy, no i chciał się mścić za ten swój palec. Zapędził się gdzieś...

Durnie w kanałach żyją krótko. — Quay podniósł zwierzątko wyżej i spojrzał mu w paciorkowate oczy — no, kiciuś, wracamy do klatki. A my strzelimy sobie po piwku i na strzelnicę.

— Ile to wszystko waży? — zapytał Kirośjan dopinając kolczugę.

— Kombinezon niedużo — odparł Quay. Ściany pomieszczenia obwieszane były strojami ochronnymi przypominającymi zbroje, na długich, masywnych stołach zalegały kolekcje wymyślnego sprzętu. — Ogniówka kombinezonu są z kevlaru, panczerzyk i hełm z silaru, wzmocnione tytanowymi płytkami; to wszystko jest leciutkie. Włókna krzemowe, węglowe, diabli wiedzą co jeszcze. Broń i amunicja

trochę waży, aparat oddechowy, plecak... razem z piętnaście kilo, może dwadzieścia. Przyzwyczaisz się. Znalazłem ochraniacze na twój rozmiar. Zakładaj. — Pomógł Kirosjanowi dociągnąć rzepy przytrzymujące skorupy pancerza i cofnął się o krok. Ormianin wykonał kilka niepewnych ruchów i zaczął podskakiwać w miejscu. Miał na sobie nowiutki dres, kolczy kombinezon, ciężkie buty z nagołennikami, ochraniacze na udach i ramionach, pancerz i rękawice. Czuł się trochę niezdarny i ciężki, ale oporządzenie było dopasowane.

— Teraz garnek — Quay podniósł hełm, przypominający skrzyżowanie używanych przez pilotów helikopterów z

tymi, jakie nosili policjanci do tłu
mienia zamieszek. — To jest
najważniejsza część sprzętu.
Wewnętrzna przyłbica jest z mylaru,
zewnątrzna z krzemowych prętów i
tytanowej siatki. Masz tu wbudowaną
radiostację, reflektor, termograf i bierny
noktowizor. Wszędzie elektronika. Taki
sprzęt kosztuje kupę forsy. Dolicz do
tego cenę automatu z granatnikiem,
resztę sprzętu, miotacze, napalm,
amunicję, nasze pensje, to może sobie
uświadomisz, że to wojna. Acha. W
kanałach trochę trudno się rozpoznać,
więc na hełmie i aparacie oddechowym
są wymalowane te pomarańczowe
prostokąty — świecą w ciemnościach i
dają ładny odblask w podczerwieni. W

tamtej szufladzie znajdziesz takie zabawne literki do nalepiania. Naklej na przykład „KIR” — Kirośjan to trochę za dużo. Okay? — Okay — powiedział niewyraźnie Kirośjan przymierzając hełm.

— Będę cię tak nazywał — oświadczył Quay — wybacz, ale twojego nazwiska i tak nikt nie zapamięta.

— Niech będzie — zgodził się Kirośjan. — Kiedy dostanę broń?

— Zaraz. Musisz się wstrzelać. To coś lepszego niż twój kałasznikow.

— Kałasznikow jest bardzo dobry — zauważył Kirośjan stanowczo.

— Poczekaj, aż zobaczysz Ingrama — Quay położył na stole ciężką,

brezentową torbę, w której coś zabrzęczało. Rozpiął suwak i wydobył ze środka kilka skomplikowanych części, które połączył zdecydowanymi ruchami przy wtórze metalicznych trzasków. Odsunął torbę i pokazał karabin automatyczny o wymyślnym kształcie.

— Proszę — powiedział z dumą — Ingram M-96. Dwieście czterdzieści igłowych naboji w magazynku, amunicja bezłuskowa, granatnik, komputerowy system celowania — cacko. Idziemy na strzelnicę. Na początek wywalisz z pięćset pestek i zobaczymy, jak ci idzie. — Kirośjan rozpiął sprzączki pancerza.

— Nie zdejmuj — zaproponował Quay, opierając kolbę karabinka o

biodro i zdejmując torbę ze stołu. — Im prędzej się do tego przyzwyczaisz, tym lepiej.

— Będiesz strzelcem — mówił Quay, kiedy szli korytarzem — taktyka wygląda tak: pracujemy w pięciu. Najpierw idzie trzech, facet z miotaczem ognia i dwóch strzelców. Facet wypala korytarz z napalmem, strzelcy odpalają granaty i rozwalają szczury, które przedostają się przez ogień. Pozostali dwaj osłaniają tył. Proste, nie?

— Pomyśleli o wszystkim — zauważył Kirosjan. — Sprzęt, taktyka...

— Nie przewidzieli tylko szczurów — zauważył Quay z przekąsem — cała reszta jest bez pudła.

— Poznasz chłopaków —

powiedział tego wieczora Quay, kiedy siedzieli znowu w barze deratyzatorów. Kirospan przebrał się w swoje stare dzinsy i wystrzępioną, bawełnianą bluzę z obciętymi rękawami. Był głodny i miał obolały bark, potłuczony odrzutami broni. Nie miał pojęcia, gdzie będzie spał i był daleko od domu.

— Kiedy będzie wypłata? — zapytał.

— W piątek. Jesteś bez grosza?

— Tak jakby. Muszę też znaleźć jakieś spanie.

— Idź jutro do Gultensena. Firma ma jakieś mieszkania w Glostrup. Podobno tanio wynajmują. Dzisiaj możesz przekimać u mnie. Mam duże mieszkanie. Teraz już puste... — dodał

Quay jakimś dziwnym głosem i wypił łyk piwa. — Pożyczę ci setkę do wypłaty — powiedział innym tonem, jakby chcąc zmienić temat.

— Skąd wiesz, że dożyję, żeby ci oddać? — zapytał Kirosjan.

— Nieźle strzelasz. Może dożyjesz. Opowiem ci o chłopakach, pewnie zaraz tu przyjdą. Oprócz nas dwóch jeszcze jest Fenrisson — opanowany gość, świetny fachowiec, były komandos, Norweg. Błatnyj... nie znam go za dobrze, pracuje od miesiąca. Straszny pistolet, narwaniec. W gruncie rzeczy szczeniak. Zresztą, on jest chyba gdzieś z twoich stron — z Ukrainy. Też uchodźca... to jest blisko?

— Jak stąd do Szwajcarii mniej

więcej — powiedział Kirosjan z niesmakiem. Boże! Ukrainiec. Tego jeszcze brakowało. Zresztą, nie ma się co uprzedzać. Ludzie są różni. — To jego nazwisko? — zapytał.

— Chyba tak. Dlaczego? To coś znaczy?

— Mniej więcej to samo co zawodowy złodziej, albo raczej mafioso... — Quay parsknął i otworzył następną puszkę.

— To do niego podobne. Nosi tatuaże... mafioso, psiakrew. — Napił się piwa i zapalił cygaro. — Jest jeszcze Prorok. O, to jest lepszy numer. Nawiedzony. Tutejszy, znaczy Duńczyk. Chciał być pastorem, ale go wykopsali. Pracuje dla idei. Dla niego szczury są

pomiotami szatana, owocami grzechu i czymś tam jeszcze. Zresztą, może i ma rację. Obsługuje miotacz płomieni i dobrze, bo to najgorsza robota. Lubi to. Twierdzi, że ogień oczyszcza. Ja go nie lubię. Moim zdaniem to psychopata, ale co poradysz. To nie są źli ludzie, ale sam rozumiesz. Ta robota jest dziwna.

Niektórzy wariują od tego. W kanałach dzieją się dziwne rzeczy, niezupełnie wytłumaczalne... zresztą nie będę ci bajerował. — Quay przerwał i zamilkł pykając cygaro i pociągając co jakiś czas długi łyk piwa. Kirospan czekał.

— Powiedz — powiedział w końcu.

— Daj spokój — odparł Quay — pomyślisz, że mnie też odbiło. To sam

musisz zobaczyć.

Siedzieli. Pub zaczął się wypełniać ludźmi — głównie mężczyznami. Zajęto stołki barowe, ktoś podkręcił muzykę, ktoś włączył wideo. Zachowywali się hałaśliwie i przypominali żołnierzy na przepustce. Biła od nich ta sama buta i rubaszność podszyte strachem.

— Twoja kolej postawić kolejkę — powiedział Quay — trzymaj forszę i kup mi Radebergera, jeśli można prosić. — Podał Kirośjanowi banknoty i zatopił się w ponurych myślach.

Kiedy Kirośjan wrócił od baru z naręczem puszek i paczką Prince'ów, przy stoliku siedziało jeszcze trzech mężczyzn. Podali sobie ręce. Błatnyj miał lisią, nieprzyjemną twarz, wąskie

oczy i był ostrzyżony na jeża. Spod rozchylonej hawajskiej koszuli wyglądały mu prymitywne tatuaże i aluminiowy krzyżyk. Rozmawiali po angielsku, który Blatnyj niemiłosiernie kaleczył.

Prorok miał nijaką, okrągłą twarz i był bardzo głęboko ogolony.

Fenrisson był bardzo jasnym blondynem, z długimi włosami ściągniętymi rzemykiem i dużymi zębami. Chętnie się uśmiechał i od razu przypadł Kirosjanowi do gustu.

— To jest Kir — mówił Quay — będzie pracował na miejsce Van Decka. Gość jest w porządku. — Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę z drukarki komputera i odsunawszy puszki rozłożył

ją na stole.

— Który sektor? — zapytał Fenrisson.

— Niestety, znowu port — wszyscy jęknęli z głębokim niesmakiem. Plan przedstawiał labirynt kanałów, przy czym część z nich została zaznaczona na czerwono. Strzałkami zaznaczono marszrutę. Kirospan przyjrzał się uważniej i zobaczył oznaczenia przypominające plany sztabowe. Kierunki natarcia, drogi odwrotu, punkty zaopatrzenia, centra dowodzenia, zaznaczono nawet coś, co wyglądało na linię frontu. Wojna.

— Zadanie jest proste — mówił Quay. — Wejść, oczyścić sektor i wyjść pozostając przy życiu.

— Żaden problem — Błatnyj wydał pogardliwie usta — dajcie mi tylko sprzęt...

— To jest port, głupi pajacu.

— Powinniście się cieszyć — napomniął surowo Prorok. — W porcie diabeł jest najsilniejszy. Tam jest siedlisko grzechu. Zostaliśmy wybrani. Powinniście się oczyścić i z radością oddać życie...

— Prorok, stul pysk i patrz na plan! — Fenrisson i Quay spojrzeli na siebie z rezygnacją. — To będzie ze sześć godzin — powiedział Fenrisson z zafrasowaniem.

Quay pokiwał głową.

— Będzie karetka? — zapytał Norweg.

Quay westchnął.

— Nie wiem. W wozie dowodzenia będzie punkt sanitarny. To na pewno.

— Co jest złego z tym portem? — zapytał Kirosjan.

— To jest po prostu ciężki teren — powiedział szybko Fenrisson, widząc, że Prorok otwiera usta. — Port. Dużo kanałów, rozmaitych instalacji, wąskich przejść, poza tym elewatory, magazyny i szczury mają tam znakomite warunki rozwoju. Rozpleniły się tak, że w biały dzień atakują robotników. No i wielu z naszych tam ginie.

— Nieprawda! — krzyknął Prorok — Port to przeklęte miejsce! Tam są szczury dusz i szczur z Hameln!

— Goddehelve, Prorok, zamknij tę

swoją zafajdaną jadaczkę! — warknął Fenrisson strasznym głosem. — Rzygać mi się chce, kiedy zaczynasz tak pierdzielić!

— Możesz sobie nie wierzyć, ale też pójdziesz, kiedy ci zaśpiewa! —

— Pierwszy pójdziesz, psychopato! Zastrane głupoty!

— O co chodzi? — wmieszał się Kirosjan.

— E tam, bzdzenie w bambus — wyjaśnił Quay z pogardą. — Jakieś srajdky wymyśliły sobie szczura, który hipnotyzuje ludzi śpiewem. Teraz, jak który schrzani z kanału, to ma wytłumaczenie. A ten dureń jeszcze łązi i opowiada, że go widział!

— Bo widziałem! — uniósł się

Prorok.

— To czegoś za nim nie polazł?

— Bo ja jestem wybrany!

— Masz nasrane w głowie.

Drzwi do kantyny otworzyły się i weszło pięciu mężczyzn w ochraniaczach, obwieszonych sprzętem, ładownicami i bronią. Maski tlenowe kołysały się na karbowanych przewodach. Natychmiast powiało ciężkim smrodem mułu i siarkowodorem.

— Zafajdani kanalarze!! — rozległy się wrzaski. — To jest kantyna! Jazda pod prysznic! Nie smrodzić tu! Cholerne świnię!

Przybyli stali nieruchomo, głusi na protesty i obelgi. Jeden z nich uniósł

dłonie, zdjął hełm i upuścił go na podłogę. Twarz miał białą jak papier.

— Spalle... — powiedział głuchym głosem — odszedł... Silda — Jack zaginął. — Zapadła martwa cisza. Przybyli zdjęli hełmy. Od któregoś stolika zerwała się dziewczyna, jedna z nielicznych na sali, i przebiegła przez kantinę, dławiąc się gwałtownym szlochem w ciężkiej ciszy. Trzasnęła drzwiami. Pierwszy z przybyłych podszedł do baru. Barman otworzył jakąś szufladę i podał mu dwa zdjęcia, a potem nalał pięć szklanek wódki. Zahurgotały krzesła i wszyscy wstali. Mężczyzna wziął zdjęcia, odkleił coś z tyłu i umieścił je na ścianie, wśród innych. Wrócił do baru i wszyscy

podnieśli szklanki. Odlali trochę na lakierowaną podłogę i wypili resztę duszkiem, wśród ciszy. Zabrali hełmy z szynkwasu i ruszyli do wyjścia. Ludzie zaczęli siadać.

— Gdzieście byli? — zawołał ktoś. Jeden z mężczyzn odwrócił się od drzwi.

— W porcie — powiedział. Zamknęli za sobą drzwi. Ludzie zaczęli rozmawiać, powrócił gwar, ktoś znowu włączył muzykę, tylko ciszej.

Quay zmęczonym ruchem rozmasował skronie.

— Kup butelkę Smirnoffa, Fenr. — powiedział cicho. — Jutro my tam idziemy. — Prorok zaczął się modlić.

Żółto–czarny mikrobus GMC sunął ulicami Kopenhagi, cicho mruczając wodorowym silnikiem. Była dziewiąta rano w pochmurny, duński dzień. Siedzieli na fotelach wzdłuż ścian, wybitych żółtą tapicerką. Magnetofon ryczał wściekle ostrą muzyką.

Kirosjan palił Prince'a i patrzył ponuro przed siebie. Czuł ciężar oporządzenia, ciężar nocy przespanej w nowym miejscu, a nade wszystko ciężar jajek na bekonie, którymi poczęstował go rano Quay. Posiłek żył własnym życiem i wiercił się gdzieś na wysokości splotu słonecznego. Czuł strach i to było normalne. Jednak pod spodem znajdowało się jakieś inne uczucie. Coś w rodzaju radosnego

podniecenia, a tego się u siebie nie spodziewał. Adrenalina... W końcu ludzie polują dla przyjemności, za darmo. Spojrzał na pozostałych. Quay siedział z nogami wyciągniętymi w poprzek mikrobusu, na głowie miał hełm z rozpiętymi paskami i ćmił cygaro z dziwnym uśmieszkiem na ustach.

Fenrisson siedział żując, z cheesburgerem w jednym ręku i puszką coli w drugim.

Blatnyj ogryzał nerwowo paznokcie i udawał, że słucha muzyki.

Prorok siedział z głową opartą o ścianę, w porządnie zapiętym hełmie, i z zamkniętymi oczami poruszał wargami. Na pancerzu miał mosiężny krzyż, a spod kolczugi wystawała mu pastorska

wsadzka.

Quay wysunął z oparcia popielniczkę, zgasił cygaro i wetknął je pod elastyczną opaskę na hełmie. Następnie splótł ręce na karku i przeciągnął się, aż mu zatrzeszczało w stawach.

— No, ludzie — do roboty! Sprawdzić sprzęt. — Zaklekotał metal i ceramit, szczęknęły zamki, trzasnęły sucho iglice. Kirospan podniósł ingrama i powtórzył wszystkie czynności kontrolne, które wczoraj wbijał sobie do głowy. Następnie włożył magazynek, potem magazynek granatnika i zabezpieczył broń.

— Teraz aparaty. — Kirospan sięgnął po maskę dyndającą na końcu

rury, przyłożył ją do twarzy i przycisnął. Szczęknięto i zaciski zaskoczyły. Zaczepnął powietrza. Pachniało gorącym plastykiem, ale automat podawał je w rytm oddechu.

— Próba radiostacji —
zatrzeszczało w słuchawkach.

— Fenri?

— Jestem. Wszystko klar.

— Prorok?

— Słyszę.

— Błatnyj?

— Okay.

— Kir?

— Słyszę.

— W porządku. Wszyscy się słyszą nawzajem? — Skinęli głowami. Mikrobus zakręcił ostro i stanął. Quay

odsunął boczne drzwi i wszyscy wysiedli zakładając hełmy. Kirospan poczuł na twarzy wiatr pachnący morzem. Nad głowami krążyły mewy, wypełniając uliczkę między magazynami tęsknym wołaniem. Tuż za samochodem, na środku betonowej nawierzchni, znajdowała się stalowa klapa z otworami, zasłaniająca wejście do kanału. Quay i Fenrisson pochyłili się nad nią z krótkimi łomami w rękach. Klapa uniesiona łomami zgrzytnęła i z jazgotem pojechała po betonie. Między chmurami wyjrzało słońce i na wąskiej portowej uliczce wyrosły blade cienie. Quay spuścił nogi w głąb kanału i poprawił pasy uprząży.

— Za mną schodzi Prorok, potem

Kir, za nim Blat i Fenri. Popatrzcie sobie na słoneczko. Może to ostatni raz? — Zarepetował karabinek, opuścił obie przyłbice i zeskoczył w głąb kanału.

Kirosjan podchodził do studzienki, czując w gardle uderzenia serca, i patrzył, jak przypominający szarozielony grzyb hełm z czarnym napisem PROROK znika w ciemnościach. Zeskoczył w smrodliwą ciemność i wylądował na ugiętych nogach. Wnętrze kanału stanowił owalny betonowy tunel z rowkiem, na którego dnie płynęła szlamowata, czarna ciecz. Cuchnęło mułem i zgniłymi jajami.

Quay i Prorok stali zgarbieni, patrząc w głąb tunelu z bronią w rękach. Z tyłu dochodziło zgrzytanie i tupot

ciężkich podeszew. Na ściekach kanału kołysały się ruchliwe cienie.

— Wszyscy są? — zapytał Quay.

— Wszyscy — odezwał się z tyłu Fenrisson.

— Idziemy. — Ruszyli zbici w ciasną gromadkę, buty zgrzytały na cementowym dnie kanału. Milczeli. Pstryknęło i od strony Quaya zaczęło dochodzić rytmiczne popiskiwanie. Kirosjan trzymał karabinek w obu rękach. Zaczęło go swędzieć pod ochraniaczami, ręce miał mokre od potu. Widział pół kroku przed sobą pokraczną sylwetkę Proroka, a z boku Quaya, który szedł przyczajony i uniósłszy przyłbicę zerkał co chwilę na jakieś urządzenie przymocowane do jego karabinka.

Elektroniczne piknięcia dochodziły właśnie stamtąd.

— Co to jest? — zapytał Kirosjan.

— Wykrywacz masy. — Quay nagle stanął.

— Są — powiedział cicho. — Za rogiem po lewej. Przygotować się i nie strzelać bez rozkazu.

Rozległ się syk i na końcu lufy miotacza ognia trzymanego przez Proroka wykwitł chybotliwy, pomarańczowy płomień. Z tyłu ktoś trzasnął suwadłem, zgrzytały buty. Śmierdziało. Korytarz rozgałęział się i w skrzyżowaniu zobaczyli szczury. Siedziały zbite w gromadkę i nagle rozbiegły się na wszystkie strony. Były ogromne i szybkie jak błyskawice.

Kirosjan przerzucił kciukiem skrzydełko bezpiecznika i poderwał broń. Ciężka rękawica Quaya spadła nagle na osłonę lufy, zbijając ją w dół.

— Czekaj! — syknął Quay. I wtedy się zaczęło. Setki olbrzymich superszczurów pojawiły się nie wiadomo skąd, wylaząc z wody, mknąc po ścianach i suficie. Biegając w ich kierunku, spadając z góry.

— Ognia! — ryknął Quay i odrzucając najbliższego potężnym kopniakiem posłał długą serią wzdłuż korytarza. Rozległ się przeciągły syk i strumień płynnego ognia bluznął przed nich, zatapiając wszystko w oślepiającym blasku. Kirosjan zaczął strzelać. Nie widział celów, więc walił

na oślepe przed siebie krótkimi, ogłuszającymi seriami, które wstrząsały kanałem. Karabin kopał go w biodro błyskawicznymi odrzutami. Przycisnął kolbę łokciem i strzelał, smagając pociskami ściany i sufit. Spojrzał na Quaya, kiedy karabin tamtego szarpnął się i z lufy granatnika błysnął pomarańczowy płomień. Z głębi kanału rozległ się gwałtowny, ogłuszający trzask, i ciasny tunel natychmiast wypełnił się dymem.

— Maski! — usłyszał w słuchawkach i krztusząc się namacał dyndający gdzieś w gryzących ciemnościach koniec przewodu. Trzasnęły zaciski i Kirosjan znowu zaczął oddychać.

— Stop! Stop! Stop! — krzyczał Quay. Zapadła cisza. Huczący strumień napalmu skoczył gdzieś do przodu i ucichł. Ściany korytarza płonęły spokojnym płomieniem, to tu, to tam, paliła się jaśniej zwęglona kupka szczątków.

— Cofnęły się — powiedział spokojnie Quay. — Idziemy dalej.

Dalej były znowu szczury, ogłuszający trzask karabinków, szczęknięcia wystrzeliwanych granatów i echo dudniące wzdłuż kanału.

A potem ogromny, płonący szczur przebiegł po suficie i skoczył Kirosjanowi na twarz. W pierwszej chwili poczuł tylko silne uderzenie w hełm i zrobiło się ciemno. Szczur zawisł

na prętach maski i zaczął przecinać tytanowe druty, a Kirosjan uderzył go odruchowo karabinem. Zwierzę spadło ciężko na ziemię i odrzucone kopnięciem rozprysnęło się, trafione pociskiem.

— Kanapkę? — zapytał Quay, wyciągając rękę z zawiniątkiem. Kirosjan zaprzeczył ruchem głowy. Siedzieli na cementowej podłodze, z głowami opartymi o okopcone ściany. Ciężki smród kanału stał się jakby mniej dotkliwy. Prorok wykręcał z miotacza pusty pojemnik, Kirosjan i Fenrisson palili papierosy, Blatnyj trzaskał zamkiem karabinu, klnąc pod nosem po ukraińsku, rosyjsku i duńsku. Fenrisson

nagle znieruchomiał z uniesioną ręką i zaczął nasłuchiwać. Jasne, prawie niewidoczne brwi uniosły mu się aż pod okap hełmu i twarz przybrała wyraz zdumienia. Quay poderwał się chwytając karabin.

— Szczury?! — Fenrisson zaprzeczył ruchem głowy.

— Ktoś idzie... człowiek. — Blatnyj pokiwał głową.

— Szedł za nami od samego rana. Słyszałem — powiedział.

— To czegoś nic nie mówił?!

— Żeby mówili, że wariat?

— Cicho! — Quay skierował światło czołowej lampy w głąb kanału. Te raz słyszeli już wszyscy. Ciężkie, miarowe kroki opancerzonych butów.

— Co za cholerny, pieprzony głupek! — warknął Quay. W strumieniu światła pojawił się mężczyzna ubrany w szarozielone ochraniacze i hełm z opuszczonymi przyłbicami. Na pomarańczowym, świecącym prostokącie umieszczonym na hełmie czerniał napis VAN DECK.

— Chryste Panie! — wymamrotał Quay — Van Deck?! Przecież on... Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił się do nich plecami, a potem ruszył w głąb tunelu kurczowymi, niepewnymi krokami.

— Van Deck! — wrzasnął Fenrisson. Rzucili się za nim opętańczym galopem, wpadając na siebie i grzechocząc sprzętem. Van Deck

skręcił w boczny korytarz i zniknął im z oczu.

Za zakrętem siedziały szczury. Setki czarnych szurów, między którymi szedł Van Deck. Zwierzęta rozstępowały się, a on szedł między nimi coraz dalej. W głębi korytarza, na środku, siedział olbrzymi szur, czarny jak smoła. Van Deck zatrzymał się przed nim, a potem oparł o ścianę i usiadł z opuszczoną głową. Szczury przebiegały po nim gnając w ich kierunku, nawet nie próbując atakować.

— Są za nami! — wrzasnął Fenrisson i otworzył ogień. Zaczęli strzelać wszyscy z wyjątkiem Proroka. Zwierzęta rozpryskiwały się na ścianach, spadały z sufitu, ale parły

niepowstrzymanie do przodu, rozszarpując po drodze ranne sztuki.

— Miotacz! Strzelaj skurwysynu! — wrzeszczał Quay, wystrzeliwując jeden granat za drugim, ale Prorok stał jak zaklęty. Granaty pomogły i po chwili wściekłej strzelaniny szczury cofnęły się, znikając w otworach i szczelinach. Korytarz był ślepy.

Van Deck siedział nieruchomo pod ścianą, jakimś cudem nietknięty. Kule zostawiły mleczne przebarwienia na skorupach pancerza, ale nie przebiły go, tylko ich impet wrzucił Van Decka w kąt. Siedział zaklinowany w rogu ścian i nie poruszał się. Fenrisson uniósł mu obie przyłbice, ukazując przegniłą maskę śmierci. Ten człowiek nie żył od

wielu dni. Szczęki zmarłego poruszyły się i spomiędzy nich wyjrzał wąski szczurzy pysk, poruszając wąsami. Ludzie cofnęli się, w panice wpadając na siebie, a z Van Decka wychodziły szczury. Jeden po drugim. Kirosjan poderwał karabin, drżącymi palcami namacał spust granatnika i strzelił. Mały pocisk, wypełniony cyklotonem, nie produkujący odłamków, rozerwał się w ciasnej przestrzeni z przeraźliwym hukiem, zwalając ich na ziemię.

Uciekli stamtąd. Zatrzymali się w głównym korytarzu, dysząc i drżąc. Stali nie patrząc na siebie i milczeli. Błatnyj poderwał gwałtownie obie przyłbice i zwymiotował na cementową posadzkę. Prorok zaczął zawodzić. Upuścił

miotacz i zwinął się w kłębek. Quay podszedł do niego długimi krokami, chwycił za krawędź napierśnika, szarpnięciem postawił na nogi i grzotnął na odlew w twarz. Prorok runął jak łachman i umilkł.

— Dlaczego nie strzelałeś?! — syknął wściekle Quay i kopnął go w żołądek. Prorok mrugał łzawiącymi oczami i ocierał krew broczącą z nosa.

— Widziałeś... — wyjęczał — to był szczur duszy... — Quay zaklął i przydepnął mu klatkę piersiową. Poderwał karabinek, trzasnął suwadłem i skierował lufę na środek twarzy Proroka. Tamten leżał poruszając ustami jak ryba i okrągłymi oczami wpatrywał się w otwór wylotowy. Zapadła cisza.

Quay z trzaskiem zwolnił sprężynę zamka i podniósł broń. Prorok drgnął.

— Jeżeli ktoś przez ciebie zginie, zabiję cię — powiedział Quay spokojnie. Ruszyli dalej, trzymając się wyznaczonego planem kierunku.

— Co to jest „szczur duszy”? — zapytał Kirosjan.

Quay zaklął. — Jeszcze jeden zasrany zabobon. To są te wielkie, czarniejsze od innych. One przewodzą pozostałym, po prostu przewodniki stada. Te cholerne gnoje twierdzą, że pobudza je podświadomość ludzi, że to jest uosobienie najczarniejszej strony duszy. Że jak zabijesz takiego szczura, to na górze, w mieście umiera człowiek.

— Bo to prawda! — krzyknął

Prorok. — Każdy ma swojego szczura, ty też, Quay.

— Zamknij się!

— Jesteście ślepi! Myślicie, że te diabły spadły z księżyca czy co?! Ślepcy! Wasze własne zło zabija w tych kanałach!

— Prorok, stul pysk! Mówię ci ostatni raz!

Potem znowu był atak i przestali, się kłócić. Parli naprzód pałac napalmem i strzelając, strzelając, strzelając.

A potem znowu zobaczyli szczury duszy. Od razu kilka. Stały tam, gdzie kłębiła się największa ciżba, jak kulki smoły pośród żywego brunatnego kłębowiska. Jeden z nich przemknął przez korytarz, nurkując pod

strumieniem napalmu, i wskoczył do grubej, półmetrowej rury, stanowiącej boczną odnogę kanału. Wyjrzał stamtąd i stanął słupka. Seria pocisków wystrzelonych przez Quaya skrzesała grube pęki iskier na brzegu odnogi, ale szczur ani drgnął. Stał sobie słupka i poruszał wąsami, Kirosjan wystrzelił granat, który zrykoszetował nad rurą i eksplodował w głębi tunelu. Pozostałe gryzonie cofnęły się. Strzelanina ucichła i Prorok wyszedł do przodu, opuszczając miotacz. Szczur nadal siedział na brzegu rury. Kirosjan usłyszał jakieś mamrotanie w słuchawkach i nagle zrozumiał, że to Prorok.

— To szczur z Hameln... —

powiedział Prorok strasznym, mechanicznym głosem i ruszył naprzód.

— Prorok!! — Rzucili się za nim panicznym sprintem.

— Muszę iść... — zabrzmiało w słuchawkach — mój Pan mnie wzywa... Nie zdążyli. Prorok zrzucił hełm, upuścił miotacz i na czworakach wpęłzył w odnogę kanału. Ogromna wściekła fala zwierząt runęła na nich i musieli się cofnąć.

Kirosjan przestał strzelać. Poczł na twarzy promienie letniego słońca i ruszył w dół, stąpając po kamieniach, wdychając ciężki, miodowy zapach wysokogórskiej łąki, schodził w dół do strumienia, prosto w ramiona kąpiących się dziewcząt.

— Kir!! — Leżał na cuchnącym cemencie, w klaustrofobicznej ciasnocie kanału, a Fenrisson bił go po twarzy. Gdzieś blisko rozległ się ogłuszający trzask ingrama. Kirośjan zaczął wstawać.

Quay i Błatnij stali przed rurą, w której znikł Prorok, i pakowali w nią strumienie pocisków.

— Już po nim — powiedział Fenrisson. — Rozszarpały go natychmiast. Mam nadzieję, że chłopcy go trafili. Strasznie krzyczał. Jak się czujesz?

— Co to było? — spytał Kirośjan. Był roztrzęsiony.

— Twój reduktor. Dostałeś za dużo tlenu. Byłbyś wlaźł za nim, to się zdarza.

Wychodzili z kanału po kolei, chwytni troskliwie pod pachy, mrugali oczami w dziennym świetle, otępiali od strzałów. Ludzie klepali ich po plecach, wciskali puszki piwa i papierosy.

Wiedzieli już.

— Nie macie ciała?

— Nie.

W karetkę wciąż byli otępiali.

— Quay? — Kanadyjczyk podniósł głowę. — Kiedy Prorok odszedł... Ja też coś czułem, coś dziwnego.

— Nawalił ci aparat.

— To nie to. — Quay chwycił go za ramiona.

— Słuchaj — mówił bardzo wyraźnie, jak do głuchego — Nawalił ci reduktor. Ja też nie wiem, co tu się

dzieje, ale jeżeli zaczniesz w to wierzyć, to zwariujesz jak on. A to śmierć. Jeżeli chcesz żyć, to musisz się trzy mać tego świata.

Tego wieczora w kantine przybyło następne zdjęcie.

— Posiedzisz? — zapytał Fenrisson.

— Nie — odparł Kirośjan — firma wynajęła mi mieszkanie. Nigdy nie miałem swojego domu. Chcę odpocząć. Idę.

— Do zobaczenia w poniedziałek.

Kirośjan siedział na werandzie kafejki i patrzył na morze. Pił piwo, jadł kielbaski i czuł się bogatym człowiekiem. Miał pieniądze, mieszkanie, w którym w Erywaniu

mieszkałaby sześćoosobowa rodzina, czuł się dobrze w nowym ubraniu i pachniał dobrą wodą kolońską. Było to zupełnie nowe uczucie, które pozwalało mu zapomnieć o koszmarach czających się tuż pod ziemią. To było tak, jakby tuż obok egzystował jakiś obcy, nieznaną świat, rządzący się nieznanymi prawami, i wyciągał rurami kanalizacyjnymi i rurami wodociągów straszne, niebezpiecznie bliskie maski. Po niego, po ciebie, po mnie.

Zszedł na plażę. Fale lizały piasek i łamały się, z grzmotem wyrzucając kawałki morskich. Krzyczały mewy, a chwilami wychodziło słońce i wtedy wszystko stawało się bezpieczne, codzienne i bliskie.

— Uwaga!! — krzyczała dziewczyna, stojąca na trójkątnej desce i zjeżdżająca na niej prosto z nieba. Kirospan uskoczył w ostatniej chwili, poczuł podmuch powietrza i smagnięcie długich jedwabistych włosów. Przekoziółkował miękko po piasku i wstał. Dziewczyna stojąc na desce wykonała ostry wiraż i wylądowała.

— Nic ci się nie stało? — zapytała zeskakując z deski. Miała ciemne, bardzo długie włosy i szczupłą, drobną twarz. Ubrana była w obcisłe džinsy i włochaty, niebieski sweter.

— Nic — powiedział Kirospan plując piaskiem. — Co to jest, u diabła? — Przepraszam — powiedziała dziewczyna. — Dopiero zaczynam.

Czemu tak patrzysz, nie widziałeś deski do skysurfingu?

— Nie widziałem — przyznał Kirosjan — to służy do napadania ludzi?

— Przykro mi, mówiłam, że jestem początkująca. To nie takie proste, jakby się wydawało. Zawrzemy pokój?

— Pod warunkiem, że pójdziemy się czegoś napić — powiedział Kirosjan. Była bardzo ładna i miła, a on był samotny.

Spędzili bardzo miły wieczór. Dziewczyna nazywała się Yvette i była Francuzką. Mieszkała z koleżanką i studiowała oceanografię w Kopenhadze. Uwielbiała morze, tańce i skysurfing. Wydawała się chodzącą kondensacją energii i radości życia i Kirosjan

stwierdził, że dawno nie czuł się tak dobrze w czyimś towarzystwie. Oglądali zachód słońca trzymając się za ręce, a potem siedzieli w nocnym pubie i tańczyli. Kirosjan zaadaptował na potrzeby dyskoteki kilka Ormiańskich tańców ludowych i zachwycił ją. Rozstali się nad ranem a następnego dnia spotkali znowu.

— Opowiedz mi o Armenii. —
Leżała przytulona do jego klatki piersiowej i bawiła się jego włosami.

— Nie. Tam nie ma nic miłego, co warto by wspominać. Przede wszystkim nie ma już Armenii. Gdybym miał ci opowiedzieć, jak tam się żyło jeszcze za Rosjan, kiedy był Związek Sowiecki, albo teraz pod Arabami, nie

zrozumiałabyś. To są inne światy, a mnie zabrakłoby angielskich słów. — Pomyślał, że jest szczęśliwy, a potem przypomniał sobie o nadchodzącym poniedziałku. Zaczął ją całować i znalazł w ciemnościach gorącą wilgocią plamę jej ust. Kochali się długo, a potem była spokojna, przytulna ciemność.

Obudził się przerażony, mając pod powiekami ciasnotę kanału i żywy dywan szarżujących szczurów. Poczł obok siebie smukłe, gładkie ciało Yvette i uspokoił się. Chciał ją obudzić i opowiedzieć o szczurach duszy i śpiewie szczura z Hameln. O zapachu napalmu i krwi płynącej ściekiem pod spokojną kopenhaską ulicą. Pomyślał, że tego nie wolno jej mówić, że te światy

nie mogą się stykać, bo nastąpi katastrofa, i nagle zrozumiał, że ją kocha. Uczucie było tak czyste i silne, że aż bolesne.

Rano zjedli śniadanie i rozstali się. Przytuliła policzek do jego dłoni.

— Będę myślała o tobie — powiedziała. — W szlafroku wyglądała prześlicznie — zadzwoń dziś wieczór.

— Zadzwonię. Na pewno.

— Będę czekała. — Pocałowała go i ten pocałunek czuł na wargach, do póki nie przesłonił ich maską tlenową i zszedł do kanału.

Szli we czterech. Blatnyj obsługiwał miotacz ognia i radził sobie nieźle. Deptali płonące szczątki i smagali szczury strumieniami pocisków,

zostawiając na ścianach kanału krwawe plamy. Kirosjan bał się bardziej niż za pierwszym razem. Zejście do kanału przypominało zanurzenie się w senny nierealny koszmar bez przebudzenia.

Tego dnia po raz pierwszy zwierzęta ogarnęły ich. Najpierw były to pojedyncze, płonące sztuki, które wydostawały się zza zapory napalmu i uniknęły pocisków. Odrzucali je kopniakami, nie przerywając ognia. Potem zrobiło się ich za dużo. Skakały na ochraniacze i czepiając się pazurami usiłowały przegryźć przytrzymujące je pasy. Wgryzały się w zgięcia kolczugi pod kolanami i pachami, sięgały pod hełmy. Kirosjan walczył zaciekle, ogarnięty szałem wściekłości

graniczącym z histerią. W końcu, pomagając sobie wzajemnie, postrącali zwierzęta i zdołali je wystrzelać. Szczury cofnęły się.

Zawsze zaczynaj strzelać w chwilę po mnie — dyszał Quay — żeby nie było tak, że obaj naraz zmieniamy magazynki.

Szczur duszy, czarny i wielki jak nutria, siedział beczelnie na środku kanału, patrząc na nich paciorkowatymi oczami.

— Czekaj! — syknął Quay — ten skurwysyn coś knuje. Stójcie i rozejrzyjmy się dobrze. Kiedyś w grupie Deckarda wlaź do rury, rąbnęli za nim granatem, a za ścianą był zbiornik z gazoliną. Po prostu stójcie i rozejrzycie

się dobrze. Niech sobie siedzi.

Yvette stała uśmiechając się, a wiatr rozwiewał jej przezroczystą sukienkę. Wyciągnęła ręce do Kirosjana i była piękna.

Opanował się po kilku krokach i oparł o ścianę kanału. Po omacku znalazł na czołowej części hełmu suwak i pociągnął go w dół.

Ekran termografu wysunął się spod osłony i przesłonił mu widok.

Nie było już miraży tylko graficzny obraz temperatur. Szczur był żółtopomarańczowy i siedział na środku niebieskawego kanału. Kirosjan poderwał karabin i nacisnął spust. Pomarańczowe rozjarzone ochłapy bryznęły na wszystkie strony i czar

prysnął.

— Co się stało?! — Quay chwycił go za ramię.

— Znowu wysiadł mi reduktor — powiedział spokojnie Kirosjan — dostałem za dużo tlenu.

Po południu telefon Yvette nie odpowiadał. Dzwonił co pół godziny, ale bez skutku. Musiał się z nią dzisiaj zobaczyć. Miał jej coś ważnego do powiedzenia. O siódmej wieczorem słuchawkę podniosła współlokatorka dziewczyny. Mówiła po angielsku i miała stężały głos nabrzmiały płaczem.

— Kto mówi?

— Kirosjan. Przyjaciel. Byliśmy umówieni...

— Yvette nie żyje — dziewczyna rozplakała się — zabiła się dziś w południe. Na desce... miała wypadek. — Nie uwierzył. To była absolutna bzdura. W życiu tak nie bywa. Niemożliwe.

Tej nocy płakał w pustym mieszkaniu nad utraconą Yvette, nad utraconym światem i nad sobą. Wiedział z całą okrutną pewnością, że Prorok miał rację.

Następnego dnia szedł kanałem i był znieczulony jak drewno. Ścisnął w dłoniach ingrama i wypisywał swoją nienawiść i krzywdę strumieniami pocisków. Teraz była to już prywatna wojna.

Strzelali na wszystkie strony i walczyli w obleżeniu otoczeni dymem, pustymi magazynkami, gilzami granatów i pustymi butelkami po napalmie. Szczury padały dziesiątkami, a po nich szły następne, byle naprzód. Bez końca.

Rozległ się krzyk. Kirosjan obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Fenrisson, który samotnie bronił tyłu, jest cały pokryty szczurami. Kilka ochraniaczy spadło z niego i wisiało na pojedynczych paskach, a Norweg tłukł karabinem, zdierał zwierzęta dłońmi i turlał się po ścianie. Błatnyj wrzasnął i odruchowo smagnął go płomieniem miotacza. Fenrisson zamienił się w pochodnię. Usiłował zbić płomienie, tłukąc dłońmi, aż runął na podłogę i

atakujące gryzonie pochłoneły go.

Błatnyj rzucił miotacz i skoczył mu na ratunek. Quay ryknął coś i próbował go chwycić, ale nie zdążył. Trwało to tylko chwilę. Kirosjan zobaczył krew tryskającą na ścianę i pancerz Błatnego podrzucany przez szczury i podrygujący jak pusty krab w mrowisku, a potem zamienił się w zwierzę. Quay zarzucił mu karabin na szyję i odciągnął go. Kirosjan kopał i wyrywał się, aż w końcu osłabł.

— Zostaw! — wrzeszczał Quay — Oni odeszli! Słyszysz?! — Przeciągnął Kirosjana do bocznego korytarza. Obaj dyszeli i dygotali. Szczury nadchodziły. Quay wyciągnął z udowej kieszeni wojskowy granat.

— Zjeżdżaj stąd — warknął Quay — do następnego korytarza, potem prosto, najwyżej dwadzieścia metrów i masz włącz!

— Zostanę.

— Po cholere. Walcz o swoją Armenię! To moja wojna! — Quay dygotał tak, że prawie nie mógł utrzymać granatu. — To co zrobiłem, jest dla mojej byłej żony!

Kirosjan skinął głową i rąbnął go kolbą karabinu, ale nie zdążył, Quay uchylił się i wyszarpnął zawleczkę. Granat zaczął syczeć. Kirosjan dobiegł do głównego kanału i wtedy granat eksplodował. Ormianin zatrzymał się i spojrzał na kłęby dymu wydobywające się z bocznej odnogi. Był bardzo

spokojny. Słyszał tupot drobnych pazurków wewnątrz rury. Spojrzał na licznik karabinka. W magazynku zostało pięć kul. Musiał być pewny, że trafi. Z kanału zaczęły wyskakiwać pierwsze sztuki i pędzić w jego kierunku, ale Kirosjan nie strzelał. Ukląkł i podniósł broń. Czekał. Pierwsze zwierzęta zaczęły na niego włązić, ale nie reagował.

Kiedy pojawił się czarny jak smoła szczur, Kirosjan delikatnie położył palec na spuście.

Tego dnia, na górze w mieście, nie umarł nikt.

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

urodził się 18 października 1958 roku, mieszka w Słupsku. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Inżynieryjnej w Koszalinie, pracuje jako informatyk.

Debiutował w 1979 roku opowiadaniem „*Me oszukasz czasu*” w tygodniku „Na przełaj”. Jego teksty drukowała „Fantastyka”: „*Sekret czwartej planety*” (2/83), „*Zabójca czarownic*” (11/84), „*Kabała*” (10/85), inne publikował „Młody Technik”, „Problemy” i „Fenbc”.

W 1986 roku ukazał się debiutancki

zbiór opowiadań „*Zabójca czarownic*” (Almapress).

Opowiadanie „*Wewnątrz*” to następny w tym zbiorze tekst o zanieczyszczeniu środowiska i grożących w związku z tym konsekwencjach. Przyroda może się wreszcie zbuntować i nie wysłuchawszy naszego chóralnego „Przebacz!” rozpocznie wielką lekcję pokory.

Wewnątrz

Mężczyzna, który wstawiał półciężarówkę do garażu, nazywał się Melorowicz i od pewnego czasu był ogrodnikiem. Wcześniej był właścicielem warsztatu samochodowego, ale należało to do przeszłości, której nikt nie wróżył powrotu.

Melorowicz przekręcił kluczyk w

stacyjce i silnik zgasł. Było bardzo cicho; półciężarówka zdawała się odpoczywać po męczącej jeździe. Zdaniem Melorowicza miała do tego prawo, ostatecznie była jedynym sprawnym samochodem w dzielnicy, a może i w całym mieście.

Rozładowywał puste skrzynki po warzywach i stawiał je w kącie garażu, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Najpierw pomyślał, że to zabrudzona piłeczka do tenisa ziemnego, ale gdy wziął ją do ręki, to coś rozpląszczyło się jak kawałek plasteliny.

Już w tym momencie Melorowicz powinien był skojarzyć, czym może być to coś, ale był tak podniecony swoją pierwszą udaną jazdą, że jego

rozkojarzony umysł nie powiązał faktów.

Oglądał z zaciekawieniem czarną, plastyczną masę, gdy nagle poczuł, że drga mu ona w ręku, jakby była żywym stworzeniem. I wtedy odpowiednia klatka w mózgu Melorowicza wskoczyła na swoje miejsce:

— Jezuuu...!

Odrzucony czarny kształt pacnął o ścianę garażu i spadł na betonową posadzkę, przewracając pusty kanister po benzynie.

Była to chyba najczystsza ulica miasta. Uprzątnięty gruz, żadnych papierów, posmołownicowego pyłu czy innych nieczystości, których nigdzie nie

brakuje. Nawet w tak ciemny wieczór Fold Nowat czuł tę schludność i dziwny spokój, zdający się emanować z powietrza.

Szedł wzdłuż wyszczerbionego krawężnika i zastanawiał się, czy jest jeszcze gdzieś w mieście podobna ulica, i im dłużej o tym myślał, tym większej nabierał pewności, że nie. Tutaj rządziły kobiety. Gruba Reny potrafiła zagonić swoje dziewczyny do roboty. Nawet w dzień.

Basowy śmiech Folda rozbrzmiał w ciemnościach. Nawet w dzień! Dobrze!

Zatrzymał się przed okutymi stalową taśmą drzwiami. Odruchowo spojrzął w górę. Niegdyś był to wysoki budynek, sądząc po górze betonu, jaka po nim

została. Doskonale miejsce. Gdy taki kolos zawali się, wszystko, co jakimś cudem pod nim ocalało, musi być bezpieczne.

Chwycił za kołatkę (kołatka! Gruba Reny to ma pomysły) i zastukał umówionym sygnałem. Po krótkiej wymianie zdań z wykidajłą drzwi otworzyły się i do uszu Folda dotarły odgłosy muzyki. Poczował, jak ogarnia go nastrój zadowolenia. To jest to, czego potrzeba człowiekowi, by nie zdechnąć jak pies! Fakt, że niegdyś pomógł Grubej Reny, był jedną z lepszych rzeczy, jakich dokonał w życiu.

Przygładził włosy, otrzepał zabrudzone ubranie, któremu i tak niewiele mogło to pomóc, i zszedł po

schodach w dół. Korytarz był długi, oświetlony jedną tylko denaturową lampką, ale Fold doskonale znał rozkład. Wiedział, które drzwi należy otworzyć, by wdepnąć do raju.

Jak zwykle nie było tłoku, kilku mężczyzn i trzy dziewczyny Grubej Reny. Stojący za kontuarem barman widząc Folda skinął zachęcająco dłonią, co i tak nie było potrzebne, bo po to przecież Fold pojawił się w tym miejscu: usiąść przy barze i wypić szklaneczkę, albo więcej. Dziewczyny Grubej Reny niespecjalnie go interesowały, uległ im dwa czy trzy razy, ale po śmierci żony (Boże! To już pół roku!) sprawy seksu jakoś mu zobojętniały, a nawet budziły dziwny

rodzaj lęku. Ale nie przeszkadzało mu to odwiedzać przybytku Grubej Reny.

— Dawno cię nie było — powiedział barman, nalewając do szklanki porto.

— Tydzień...? — zapytał raczej niż stwierdził Fold.

— No... Chyba ze dwa.

— Możliwe. Wędrowałem trochę po mieście, a wtedy czas szybko leci.

— Ciągłe wędrujesz, jeszcze kiedyś napytasz sobie biedy... Dobra, przepraszam, nie mój interes... — barman uniósł rozpostarte dłonie. — Właściwie to chciałem o czymś innym.

— Tak?

— Akurat dzisiaj Reny rozmawiała ze mną o tobie i prosiła, żebyś zechciał

zajść do niej, jak się pojawisz.

— W porządku. Mogę od razu.

— Poczekaj, zapytam — barman napełnił ponownie szklanę Folda, odwrócił się i zniknął za kotarą. Wrócił z otyłą kobietą dobrze po czterdziestce.

— Tęsknisz za mną, Reny — rzekł Fold.

— Pewnie — kobieta uśmiechając się podała na przywitanie swą pulchną dłoń. — Ale tym razem ktoś jeszcze za tobą zatęsknił.

— Major Hanes — wyjaśniła.

— Interesujące — zdziwił się Fold.

— Ciekawe, czego może chcieć ode mnie major Hanes?

— Coś tam mi tłumaczył, ale nie bardzo słuchałam. Znasz Hanesa, łebski

gość, ale cholernie poważny...

Fold wzruszył ramionami. — Wcale go nie znam, to twój znajomy, nie mój.

— Nie czepiaj się — powiedziała Reny. — Klient jak inni. Prosił tylko o kontakt z tobą... To jak będzie?

— Kiedy?

— Może być zaraz. Popija z dwoma pod trójką.

— Tutejsi?

— A kto teraz nie jest tutejszy? Tylko taki facet jak ty może ganiać po mieście nie wiadomo za czym. Pewnie, że tutejsi. Jaketinski i Melorowicz.

— Melorowicz w takim towarzystwie? — Fold pokręcił głową.

— Dobra! Dołączę do nich — odchodząc zabrał ze sobą butelkę porto.

Byli tam, tak jak powiedziała Reny. Trzech facetów pod trójką. Zabawne. Fold był czwarty i zachwiał tą zgodnością.

— Coś takiego?! Fold Nowat! — Hanes wstał z krzesła. Był starzejącym się mężczyzną około sześćdziesiątki. Miał na sobie wojskowy mundur polowy, wytarty nieco, z dystynkcjami majora. — Na Reny można jednak polegać.

— Przypadek — stwierdził Fold. — Po prostu akurat wróciłem z wycieczki... Cześć, Melorowicz! — pozdrowił otyłego mężczyznę przy stoliku. Jaketinskiemu skinął tylko głową; niezbyt dokładnie orientował się, jakie stosunki łączyły Jaketinskiego i

Hanesa, w każdym razie często widywano ich razem.

Usiedli.

— O co chodzi? — zapytał bez wstępów Fold.

— Jest pewne zadanie do wykonania — powiedział major Hanes. — Spokojnie... — zaprotestował, widząc przeczący ruch głowy Folda. — Zadanie to może wykonać Jaketinski, z twojej strony oczekuję tylko pomocy.

— Nie wiem.. Obawiam się, że będziesz musiał poszukać kogoś innego.

— Ty jesteś najbardziej odpowiedni, chodzi o dotarcie do pewnego obiektu w mieście.

Fold wlał do szklanki porto.

— Będę szczery — powiedział. —

Nie chcę dla ciebie pracować, bo nie lubię takich gości, jak ty. Chcesz rządzić w tej okolicy, a mnie to nie odpowiada. Te czasy skończyły się. Teraz nie ma żadnej władzy i nie kiwnę palcem w bucie, żeby to zmienić.

— Jesteś w błędzie, Nowat — oświadczył ze spokojem Hanes. — Władza jest koniecznością i nie uciekniesz przed nią. Pojawi się wśród nas wcześniej czy później, ani się spostrzeżesz, a ja tylko wolę być nią niż jej podmiotem.

— Tylko że tym razem chodzi o coś zupełnie innego — wtrącił się Jaketinski. — Opowiedz, Melorowicz.

Melorowicz chrząknął, niczym uczeń przyzwany do tablicy.

— Mam w garażu smołownicę —
rzekł krótko.

Fold zaniemówił. Sięgnął po szklanę i wypił duży łyk wina.

— Ma ktoś papierosy? Chcę zapalić — powiedział wreszcie.

Poczęstował go Hanes. Ogniem również.

— Od kiedy? — zapytał Fold Melorowicza.

— Zauważyłem przedwczoraj. Od tego czasu powiększyła się przynajmniej dziesięciokrotnie...

— To znaczy?

— Ma prawie pół metra średnicy. Dokładnie trudno określić, wiesz przecież...

— O rany! — skomentował Fold.

— Przyszedłem do Melorowicza zamówić trochę warzyw — powiedział Jaketinski. — Czekałem, bo parkowałem samochód w garażu, kiedy nagle usłyszałem krzyk.

— Wystraszyłem się — wyjaśnił Melorowicz. — Zobaczyłem w kącie coś czarnego, małą piłeczkę, wziąłem ją do ręki, była zdumiewająco ciężka, chyba z pięć kilogramów, i nagle poruszyła się. Wtedy właśnie wrzasnąłem i wyrzuciłem ją, bo zorientowałem się, że to może być smołownica. Nadbiegł Jaketinski i stwierdził to samo.

— I Jaketinski powiedział o tym Hanesowi — dokończył Fold.

— Zgadza się — potwierdził major.

— Przyszli do mnie obaj, chociaż nie przeczę, że to zasługa Jaketńskiego. I bardzo dobrze zrobili.

Fold Nowat westchnął znacząco.

— Rzeczywiście, bardzo mnie nie lubisz, Nowat...

— Nigdy nie lubiłem wojskowych. Jak można poważnie traktować dorosłych facetów, bawiących się bronią za wielkie pieniądze...

Major nie pozwolił mu skończyć: — Nie lubisz mnie, Nowat, ale postaraj się choć na chwilę o tym zapomnieć. A co ty byś zrobił na miejscu Melorowicza?

— Nie wiem... Pewnie bym zapakował do skrzyni to cholerstwo i wywiózł gdzieś daleko, zakopał, utopił, porąbał na kawałki.

— Właśnie o to mi chodzi. Tylko co dalej? Słyszałeś: Melorowicz był świadkiem, że w ciągu dwóch dni smołownica dziesięciokrotnie zwiększyła swoją objętość. Ty byś ją wywiózł i zapomniał, ale może ona pewnego dnia sama przypomniאלaby o sobie. Już raz tak było!

Ręka Folda opadła na popielniczkę a palce zdusiły niedopałek papierosa. Rzadko palił i teraz czuł w ustach niesmak.

— Jeden zero dla ciebie, Hanes — rzekł trzeźwo. — Dobra, możemy pogadać. Wciąż nie wiem, dlaczego ściągnąłeś mnie tutaj.

— Zaraz do tego dojdziemy. Rzecz w tym, że Jaketinski całkiem niedawno

również spotkał się ze smołownica.

— To prawda — przytaknął Jaketinski. — Wiesz, że jestem u was dopiero od dwóch miesięcy, wcześniej mieszkałem w dzielnicy Potos. Niewielu nas było, raptem dwanaście osób, wszyscy w jednym budynku. Teraz widzę, jak słabo byliśmy zorganizowani, na przykład nie było nikogo takiego jak Melorowicz, kto by uprawiał warzywa... Czy nawet Gruba Reny, przecież człowiek nie jest tylko przewodem pokarmowym, ma inne potrzeby...

— Twoja przeszłość, Jaketinski, nie jest niczym szczególnym — ponaglił Hanes.

...Z dwoma kumplami, w

poszukiwaniu żywności, trafiliśmy kiedyś do zapieczętowanego sztabami magazynu. W środku nie znaleźliśmy niczego ciekawego, aż dotarliśmy do wielkiej hali. Tam ona była. Tak wielka, że w półmroku nie zauważyliśmy jej nawet — jak pomalowana na czarno ściana. Dopiero Rapow, jeden z moich kumpli, oparł się o nią. Rany, jak zyskaliśmy! Rapow przez całą drogę stękał, że odpadnie mu ręka, ta, którą się oparł o smołownicę, ale nic się nie stało, przynajmniej przy mnie, bo dwa dni później odszedłem stamtąd. Inni też odchodzili. Szli do tamtego magazynu, zobaczyli, że mówimy prawdę i zwijali manatki...

Jaketinski przerwał. Zauważył, że

Melorowicz lewą ręką trzyma kiść własnej prawej dłoni i wpatruje się w nią z uwagą.

— Daj spokój, Melorowicz, przecież mówię, że Rapowowi nic się nie stało, a to w twoim garażu jest oseskiem w porównaniu do tamtej smołownicy.

— Jasne! — Melorowicz opuścił ręce i uśmiechnął się niepewnie. — Nalej, Fold, co tak sam pociągasz to porto?!

— No to wiesz prawie wszystko — oznajmił major Hanes, patrząc na Folda, który wcale nie był tego zdania. — A teraz, jeśli pozwolisz, ja chcę się czegoś dowiedzieć od ciebie. Po pierwsze, czy wiesz, gdzie znajduje się Potos?

Fold zastanowił się.

— Nie mam pojęcia — rzekł. —
Gdzieś słyszałem tę nazwę, ale... —
wymownie rozłożył ręce. — No, ale
Jaketinski wie.

— Nie wiem — powiedział
Jaketinski. — Po odejściu z Potos przez
trzy tygodnie wałęsałem się po mieście,
byle dalej, zanim trafiłem na waszą
dzielnice. Nawet w przybliżeniu nie
potrafię określić kierunku.

— Hanes! — prawie krzyknął Fold.
— Ty chcesz, żebym ja poszedł do
Potos!

— Byłoby najlepiej — potwierdził
Hanes. — Ty i Jacketinski. Ale nie jest to
warunek konieczny. Być może
wystarczy, jeśli pożyczysz nam swoje

mapy.

— Jakie mapy? — szczerze zdumiał się Fold.

— Plany miasta. Te, których używasz podczas swoich eskapad.

— Nie używam żadnych planów.

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy na twarzy majora Hanesa pojawiło się zniecierpliwienie.

— Chcesz powiedzieć, że tygodniami wędrujesz po mieście, nie używając map, i nie błędzisz? Chyba stroisz sobie żarty!?

— Czasem trochę błędzę, ale jakoś zawsze trafiam. Najważniejszy jest kierunek. Ja nie mam kłopotu z orientacją.

— Nabierasz nas, Fold — oznajmił

Jaketinski. — Przecież łąziłem po tych ruinach: ulice w prawo, lewo, ukośnie, niektóre zupełnie zasypane, człowiek gubi się po pół godzinie, a co dopiero przemierzając dziesiątki kilometrów.

— Guzik mnie obchodzi, co o tym sądzicie! — Fold zdenerwował się. — Nie używam map!

— Miałem kiedyś psa — powiedział Melorowicz. — Można go było wywieźć w dowolne miejsce, a zawsze potrafił odnaleźć drogę do domu.

Fold popatrzył na niego. — Wiesz co, Melorowicz... — zaczął.

— I co dalej? — Jacketinski spoglądał wyczekująco na Hanesa. — Zdaje się, że utknęliśmy.

— Niezupełnie — odparł major. —

Dzielnica to nie igła w stogu siana, na pewno da się ją znaleźć. Pomożesz nam, Nowat?

— Po co? — zapytał Fold. — Po jaką cholere chcesz, żebym tam poszedł?

— Trzeba sprawdzić, co stało się z tamtą smołownicą. Czy jest tam dalej, czy rozrosła się, czy też może trafił ją szlag. Gdy Jaketinski kiedyś opowiadał mi o niej, doszliśmy do wniosku, że to pozostałość, która zniknie wcześniej czy później, ale teraz mam wątpliwości. Smołownicą w garażu Melorowicza na pewno pozostałością nie jest, jeśli powstała w jednym miejscu, może powstać i w innym. Musimy wiedzieć, czy będzie znowu się rozrastać, może da się coś zrobić, zanim zaleje nas

powtórnie.

— Kiedyś nie tacy jak my próbowali z nią walczyć — rzekł Fold.

— Nie wiem. Może mieli mało czasu, może nie docenili niebezpieczeństwa, nie wiem... Ale przecież nie możemy tak czekać!

Garaż zamykany był na stalową zasuwę spiętą kłódką. Melorowicz otworzył kłódkę, szarpnął i sztaba opadła z hukiem. Cofnął się.

— Kto ciekawy, niech wchodzi — powiedział.

Pierwszy ruszył Hanes; rozwarł szeroko drzwi, żeby oświetlić wnętrze, i wszedł.

— Gdzie ona? — usłyszeli jego

głos.

Weszli wszyscy.

— Jest! — powiedział Hanes. Stał w przeciwległym kącie garażu, przesłonięty nieco półciągarówką. Uniósł wyżej prawą rękę i zobaczyli, że trzyma w niej pistolet.

— I co? — zapytał Fold, przerywając przedłużającą się ciszę.

— Zobaczcie sami...

Jaketinski podszedł do Hanesa, Fold za nim, tylko Melorowicz pozostał przy drzwiach.

Smołownica leżała przy pustym kanistrze po benzynie, częściowo przykrywając go swoją masą. Przypominała wielki kawał smoły, który zastygł, kiedy wylano go z beczki. Tyle

że nie błyszczała. I od czasu do czasu, co kilkadziesiąt sekund, drgała ledwie zauważalnie.

— Jakby nie urosła — powiedział Hanes.

Jaketinski pokręcił głową. — Moim zdaniem, tak.

— Odsuńcie się — Hanes wykonał krok w tył. — Strzelę do niej...

Schowali się za samochód, wychylając tylko głowy. Nawet Melorowicz dołączył do nich.

Huk wystrzału.

Nic się nie stało. Czterech mężczyzn zastygło w bezruchu, oczekując czegoś niewiadomego, groźnego, ale nic takiego się nie wydarzyło. Smołownica spoczywała dokładnie w tym miejscu,

co przedtem, i kiedy wreszcie ośmielili się zbliżyć, dostrzegli w czarnej bryle okrągły otwór, wyraźny ślad wyryty przez pocisk.

Fold przysunął się do ściany, wypatrując miejsca wylotu kuli, ale nie znalazł go.

— Kula jest w środku — oznajmił.

Smołownica drgnęła i tym razem był to ruch wyraźny. Czarną powierzchnię sfałdowała bruzda, biegnąc niczym fala po wodzie.

— Patrzcie! — zawołał Jaketinski, chociaż każdy właśnie to robił.

Coś cicho stuknęło o beton i powierzchnia smołownicy wygładziła się. Na posadzce leżał spłaszczony kawałek ołowiu.

— Nie smakował jej — rozładował napięcie major Hanes.

— No i co na to powiesz, Nowat? — podjął. — Smołownica. Dokładnie taka, jaka zniszczyła nasz świat, ale jak widać nie do końca jej się to udało. To jak? Jesteś ze mną, czy pozwolisz jej naprawić fuszerkę? A może mam wrzucić pod nią jakieś żywe stworzenie i zademonstrować za parę dni jego szkielet?

Dwa tygodnie. Minęły równe dwa tygodnie, gdy Jaketinski wreszcie powiedział: „Wiem, gdzie jesteście”.

Stali na jezdni pokrytej bruzdami splekanego asfaltu. Fold Nowat poprawił sprzączki plecaka, który schudł znacznie

od czasu, kiedy wyruszyli w drogę.

— Którędy teraz?

— Cały czas tą ulicą. Proponuję przenocować w budynku, w którym mieszkałem, może jest tam jeszcze ktoś z naszych...

— Daleko?

— Niecała godzina drogi, jeśli się nie mylę.

— W takim razie chodźmy, nim złapie nas wieczór.

Ulica była szeroka, sześciopasmowa, wygodnie się nią szło, gdyż gruz nie zdołał w całości jej przysypać. Ale Fold nie lubił takich ulic; świadomość, że jest widoczny z daleka, wywoływała niepokój. Co prawda było pusto i cicho, w ciągu tych dwóch

tygodni tylko raz natknęli się na obcych ludzi, lecz podczas wcześniejszych wędrówek kilkakrotnie doświadczył niezbyt przyjemnych spotkań. Raz ledwie uszedł z życiem.

Ale teraz widział tylko gruz i ciemne wnętrza po oknach w ocalałych domach. To było charakterystyczne: brak nie tylko szyb, ale i okiennych ram; i tak wszędzie. Jeśli zdarzało się inaczej, jeśli tylko gdzieś w oknie błysnęła szyba lub choćby dykta, był to nieomylny znak, że mieszkają tam ludzie. Na tej ulicy takiego wyjątku nie było do chwili, gdy Jaketinski pokazał: — To tam!

Fold Nowat wyjął z kieszeni pistolet. Obaj otrzymali takie od Hanesa wraz z amunicją. Wyglądało na to, że

Hanes miał mały arsenał.

— Co robisz? — zapytał zdumiony Jaketinski.

— Diabli wiedzą, kto tam teraz mieszka. Radzę ci zrobić to samo.

Jaketinski wzruszył ramionami i ruszył do wejścia na klatkę schodową. Widać było po nim, że jest bardzo podekscytowany.

— Mieszkaliśmy na drugim i trzecim piętrze — powiedział, pnąc się po schodach.

Skręcili w korytarz i Fold nie miał już wątpliwości, że ktoś jednak wciąż tu mieszka. Pomijając szybę w oknie, która mogła pozostać z czasów Jaketinskiego, w oczy rzuciła się czysta posadzka. I kwiat w doniczce. Kwiat! Takiego

czegoś nie widział nawet u Grubej Reny. Jakby na świecie nic się nie stało.

A może rzeczywiście nie stało się nic poważnego, skoro ludzie wciąż hodoją kwiaty?

— Tutaj mieszkałem — Jacketinski otworzył jedne z szeregu drzwi.

Fold czujnie ścisnął w dłoni pistolet. Weszli. Przedpokój; rzut oka na kuchnię; pierwszy pokój, drugi...

W drugim pokoju na tapczanie leżał przykryty kołdrą mężczyzna. Spał.

— Rapow! — wykrzyknął Jacketinski. — Niech mnie cholera, Rapow! Zostałeś.

Mężczyzna poruszył się, odwrócił głowę i sennie spojrział na przybyszów. W jednej chwili otrzeźwiał i usiadł na

tapczanie.

— O rany! Jaketinski! — nagle zmieszał się, widząc poważniejące twarze mężczyzn. Odruchowo schował lewą rękę za siebie, choć i tak było za późno — zobaczyli, co zobaczyć mogli.

Lewa ręka Rapowa była szara, prawie czarna. Przypominała wyglądem kawałek wyschniętej, otoczonej korą gałęzi. Rachityczne palce pozbawione były paznokci.

— Ręce do góry! — dobiegł okrzyk zza pleców przybyszów.

Fold stał nieco bokiem i kątem oka dostrzegł przy drzwiach mężczyznę z wielką myśliwską strzelbą. Uświadomił sobie, że z pistoletem wygląda prowokująco, przezornie więc —

podnosząc ręce — rozluźnił uchwyt i broń upadła na podłogę.

— Nieporozumienie, Owski — odezwał się Rapow. — To przyjaciele. Jeden z nich mieszkał tu kiedyś.

— Ja — powiedział Jaketinski.

— Co: ty? — mężczyzna nazwany Owskim opuścił strzelbę, ale wyraz nieufności nie zniknął z jego twarzy.

— Ja jestem tym, który kiedyś tu mieszkał. To moje mieszkanie.

— Wprowadziłem się do niego, bo jest lepsze od tego, które zajmowałem — powiedział Rapow. — Chyba nie masz pretensji?

— Skąd!?! — zaprzeczył Jaketinski.

— I opuście, do cholery, te ręce. Owski, powiedz im.

— W porządku — mężczyzna rozejrzał się niezdecydowanie. — Maria zauważyła ich przez okno. Wyglądali podejrzanie, szczególnie ten z pistoletem. Zanim wyciągnąłem strzelbę, już byli u ciebie... Myślałem, że coś się stało.

— Jakby co, jesteśmy z Marią u siebie — powiedział wychodząc.

— Teraz mieszka tu ze mną tylko to małżeństwo — rzekł Rapow po chwili milczenia. — Wiele im zawdzięczam... Wszyscy wynieśli się wtedy... pamiętasz...

Jaketinski skinął głową: — Jak znaleźliśmy smołownicę.

— To pamiątka po niej — Rapow powoli odsłonił rękę. — Mało nie

wykorkowałbym, gdyby nie żona Owskiego... Maria była kiedyś lekarzem, chociaż diabli wiedzą, czy w tym przypadku ma to jakieś znaczenie... Teraz mi lepiej, ale wciąż mam gorączkę, dlatego leżę.

— Pamiętam, że gdy się rozstaliśmy, wszystko było w porządku — powiedział Jaketinski.

— Zgadza się. Ja również stąd odszedłem. To się zaczęło jakiś tydzień później. Dlatego wróciłem... chociaż trochę przez przypadek...

— Może byśmy usiedli — zgłosił swoją obecność Fold. — Prawdę mówiąc, jestem głodny.

— Wygląda na to, że zniknęła —

powiedział Fold.

On i Jacketinski stali w wielkiej magazynowej hali. Przez okienne otwory sączyło się światło dnia, wąskimi strugami wpadały słoneczne promienie, wśród których wirowały drobinki pyłu. Smołownicy nie było.

— Ten pył to wszystko, co po niej zostało — rzekł Jacketinski. Czuł ulgę. Zarysował butem po posadzce, wzbijając tuman kurzu.

— Na to wygląda — powtórzył Fold. — O ile nie pomyliłeś miejsca.

— Nie żartuj — nagle Jacketinski podskoczył i spod jego stóp ponownie prysnęła kurzowa zawiesina.

Nieoczekiwanie Fold powtórzył jego ruch, niczym spóźnione lustrzane

odbicie. I jeszcze raz. Podskakiwali jak dwaj chłopcy przy podwórkowej zabawie. Przewracali kartony po jakiś chemicznych preparatach, które niegdyś przechowywano w tym magazynie, aż zabrakło im tchu, a w gardłach zapiekło od kurzu. Pokaszłując wytoczyli się na korytarz, a stamtąd na zewnątrz, na ulicę, gdzie wreszcie uspokoili się — na powrót przybierając wygląd mężczyzn.

— Zapalimy? — zaproponował Jaketinski. — Ostatnia paczka — dodał, częstując Folda. — Jak wrócimy, trzeba będzie uśmiechnąć się do Grubej Reny.

Usiedli na kamiennym murku.

— Hanes będzie zadowolony — rzekł Fold Nowat.

— Na pewno. Nawet nie wiesz, jak

bardzo mu zależy na pomyślnych wieściach od nas.

— To dziwny facet... Często zastanawiam się, o co mu właściwie chodzi?

— Najpierw też myślałem, że ma ochotę rządzić. Ale to niezupełnie prawda — Jaketinski spoglądał uważnie na Folda. — Powiem ci coś: Hanes wcale nie jest majorem, w ogóle nie jest wojskowym.

— Nabierasz mnie...

— Ani trochę. Opowiadał mi kiedyś, jak przeżył smołownicę. Uciekał z falą uchodźców i jak wszyscy nie doceniał niebezpieczeństwa. Pamiętasz, jak to było: wszędzie tłumy, samochody, korki uliczne i gdzieś tam postępująca

nieubłaganie smołownica. Hanes był w ogonie uciekających. Nie wiem dlaczego, nie wyjaśnił mi tego, ale najpierw w ogóle nie chciał uciekać... — wyobrażasz sobie, co znaczy taka masa ludzi — betonowa ściana. Hanes starał się pomóc jakiejś kobiecie z dzieckiem, ale nie dał rady, przewrócono go i niczego więcej nie pamięta, nie wie nawet, czy to dziecko się uratowało. Ocknął się w zupełnie innym miejscu: leżał na trawniku, oblepiony plastrami, z lewą ręką w gipsie. Wokół biegali żołnierze, to oni go opatrzyli — wojsko stanowiło ostatnią linię między smołownicą a światem żywych.

Smołownica dotarła przed

wieczorem. Majestatyczna, czarna fala poruszająca się powoli jak we śnie, w tempie przyrostu własnej masy. Znasz to, Fold, nadciągała w nieustającym huku przygniatanych budynków, w kurzu i pyle. Żołnierze biegali jak w gorączce, sami zaskoczeni tak szybkim atakiem. Rannych pakowali na ciężarówki. Potem zabrakło ciężarówek. Jakiś sanitariusz poinformował Hanesa, że nogi ma zdrowe i musi radzić sobie sam, i pobiegł dalej, jakby wstydził się spojrzeć mu w oczy.

Hanes, owszem, nogi miał zdrowe, ale całe ciało w sińcach i głowę niemal pękającą z bólu — już po kilkudziesięciu metrach dość miał wszystkiego. I wtedy napotkał młodego

żołnierza, chłopaka mającego nie więcej niż dziewiętnaście lat, który pilnował wojskowego magazynu. Biedak nie otrzymał rozkazu opuszczenia posterunku i nie wiedział, co robić.

— Zawsze twierdziłem, że wojsko ogłupia — skomentował Fold.

— Hanes wziął od niego klucze i kazał uciekać, co tamten przyjął z wdzięcznością, nie zwracając uwagi, że rozmawia z cywilem. Magazyn okazał się piwnicznym bunkrem, ze stalowymi, grubymi na trzy cale drzwiami. Hanes nie zastanawiał się długo — wlaź do środka i zatrzaskał drzwi, podbudowany dodatkowo widokiem kilkunastu transporterów z wodą mineralną. Na szukanie żywności nie było czasu.

— Rozumiem. I siedział tam całe dziesięć dni — powiedział Fold.

— Hanes nie wie dokładnie ile, stracił rachubę czasu. Wyszedł, gdy nie miał już czym oddychać, i zobaczył nasz piękny, zagruzowany świat. Potem przebrał się w czyste ubranie — polowy mundur z dystynkcjami majora, zabrał pełen plecak różnych rzeczy, między innymi broń i amunicję, i wyruszył na poszukiwanie ludzi. Gdy trafił do was, od razu obdarzyliście pana majora zaufaniem, gdyż większość spotkała się z pomocą wojska w ostatnich chwilach przed zagładą. Nie sprostował pomyłki i tak już zostało.

— Zyskał autorytet na kredyt — zauważył Fold.

— I tak by go miał. Ten człowiek ma w sobie coś, co przyciąga do niego innych. Może to, że o coś mu chodzi, na czymś zależy. Nawet ty zaraziłeś się jego pomysłami.

— Widocznie czułem, że jest cywilem — wybrnął żartem Fold.

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć — oznajmił Jaketinski. — To, co słyszałeś przed chwilą, nie jest zdradą żadnej tajemnicy. Hanes kazał ci o tym powiedzieć, jeśli wszystko pójdzie dobrze, to znaczy, jeśli w Potos nie będzie smołownicy.

— Ciekawe, po co?

— Przypuszczam, że ma wobec ciebie jakieś inne plany.

— Jestem wolnym człowiekiem.

Nikt nie będzie mną rządził —
oświadczył Fold.

Skończyli palenie i zgasili
niedopałki.

— A jak ty przeżyłeś? — zapytał
Jaketinski.

— Mieszkałem w domku,
budowanym w okresie zimnej wojny, z
porządnym schronem przeciwatomowym
pod piwnicą. Moja żona była w ciąży,
akurat zaczęły się bóle i ucieczka stała
się niemożliwa... Właśnie wtedy
poznałem Grubą Reny; schron był
zaniedbany, żywność przeterminowana,
zrobiłem zapasy i w jednym z
opuszczonych budynków znalazłem ją.
Leżała prawie nieprzytomna, z
czterdziestostopniową gorączką. W

zasadzie śmieszna sprawa, zwykła angina... Zabrałem ją do schronu. Wiesz — podjął Fold z nagłym ożywieniem — ja w zasadzie nie widziałem smółownicy. Przesiedziałem wygodnie w schronie, miałem nawet magnetofon na baterie.

— A co z twoją żoną? — zapytał Jaketinski.

— Umarła podczas porodu — rzekł Fold drewnianym głosem. — Dziecko również. Była w tym moja wina, nie bardzo wiedziałem, co należy robić... Teraz bym potrafił. Wiem o tym. Wszyscy dziwią się, dlaczego wciąż wędruję po mieście, powiem ci, Jaketinski, dlaczego. Szukam kobiety, której potrzebna będzie pomoc przy

porodzie. Na razie nie miałem jeszcze okazji się sprawdzić, ale znam dwa miejsca, gdzie dziewczyny są w ciąży. Nauczyłem ich mężczyzn, czego mogłem, i postaram się tam być, gdy przyjdzie pora.

Fold umilkł a Jaketinski nie podejmował już rozmowy. Milcząc wrócili do bloku.

Dwa dni później opuścili Potos, zabierając ze sobą wracającego do zdrowia Rapowa i małżeństwo Owskich.

— Prowadź, Fold — powiedział Jaketinski. — Mam nadzieję, że nie przesadziłeś z autoreklamą.

— Słyszałeś, co mówił Melorowicz — odparł Fold Nowat. — Zamieniam

się w psa i pędzę do domu.

Siedzieli u Grubej Reny w pokoju numer trzy. Nowat, Jaketinski, Hanes. Cyfry zgodne. Zabawne.

Ale atmosfera rozmowy wcale zabawna nie była. Fold Nowat nazwał właśnie Hanesa szpiegiem i w gniewie aż zaciskał pięści.

Hanes zniósł to z właściwym sobie spokojem.

— Jestem naukowcem — oświadczył. — To wasz kraj nie chciał podporządkować się międzynarodowym ustawom, a to, że zostali w nim tacy ludzie jak ja, świadczy tylko o dobrej woli z naszej strony.

Fold nie chciał słuchać. —

Jaketinski, wiedziałeś o tym?! — zapytał.

— Dowiedziałem się teraz, tak jak ty. Ale przestań krzyczeć, Fold, wysłuchajmy Hanesa do końca. Ostatecznie nie musiał nam o tym mówić.

— Oczywiście, że nie musiałem — powiedział Hanes. — Nie gorączkuj się, Nowat, bo szkoda twoich nerwów. Nazywanie mnie szpiegiem jest śmieszne, nie działałem na niczyją szkodę. Byłem obserwatorem, jednym z wielu, którzy mieli oceniać sytuację ekologiczną w strefie Bariery. Tacy jak ja nie byli dla was wrogami, lecz nadzieją na zniesienie totalnego embarga...

— Coś takiego! — krzyknął z ironią Fold.

Hanes umilkł. Wciąż wydawał się spokojny, takim widział go Fold, ale Jaketinski, który znał go lepiej, wiedział, że teraz jest to tylko opanowanie.

— Tak nie będziemy rozmawiać! — powiedział. — Co cię napadło, Fold? Nawet jeśli uznasz Hanesa za szpiega, to przecież i tak dotyczyło to innego świata i teraz jest bez znaczenia...

— Jesteś z Hanesem? — przerwał mu Fold.

— Nie wyciągaj ode mnie żadnych deklaracji. Hanes zaproponował rozmowę i usiłuje wyjaśnić sytuację. Sądzę, że to uczciwe postawienie

sprawy.

— W porządku — ochłonął nieco Fold. — Ja patrzę na fakty, a one są oczywiste: to oni postawili Bariereę.

— Bariereę Ekologiczną postawił przeciwko wam cały świat — uściślił Hanes. — Chyba nie zapomnieliście, jak to się odbyło? Wszystkie kraje uznały Międzynarodowe Prawo Ekologiczne i konsekwentnie je realizowały, mimo że wszędzie wiązało się to z recesją gospodarczą i obniżeniem standardu życia. A wasz rząd usiłował się targować. To co jeszcze można było zrobić? Dalej zaciągać pasa i patrzeć, jak nasze wysiłki idą na marne z powodu czyjegoś braku wyobraźni? Poza tym nikt nie działał przez

zaskoczenie. Wystarczająco wcześnie uprzedzono, że tak się stanie, jeśli jakieś państwo nie podporządkuje się ustawie. Był przykład wyspiarskiego kraju z zachodniej półkuli, który od początku odrzucił MPE — co było do przewidzenia, zawsze łamał niemal wszystkie międzynarodowe prawa — i który odcięto od świata Ekologiczną Barierą.

— Zaczynij myśleć, Nowat! Smołownica jest efektem skażenia biosfery, można powiedzieć, że na długo przed jej pojawieniem się już żyliście wewnątrz niej. Uważam, że Barierę Ekologiczną postawiono w samą porę, właściwie w ostatniej chwili. Narodziny smołownicy właśnie w odciętej strefie,

uznanej za największe zagrożenie, jest dla mnie dostatecznym tego dowodem.

— Skąd wiesz, że tylko u nas? — zapytał Fold.

Wyglądało tak, jakby to pytanie otworzyło krewną puszkę Pandory. Puskę obaw, lęków i myśli, które odrzuca się jak najdalej. Wszystkich trzech, łącznie z Fałdem, dotknęło poczucie pustki, która — być może — ciągnęła się stąd aż do krańca świata. Zdawali sobie z tego sprawę już wcześniej, ale tylko Hanes rozważał temat od strony praktycznej:

— W tej właśnie kwestii liczyłem na ciebie, Nowat — powiedział. — Mam sześćdziesiąt trzy lata. Jestem za stary, ale ty mógłbyś poprowadzić wyprawę

do Bariery. Może udałoby się czegoś dowiedzieć?

Fold milczał.

— Nie wiemy nawet czy Bariera dalej stoi — kontynuował Hanes. — Może smołownica zdołała ją złamać? Nie wierzę w to, ale niczego nie można wykluczyć...

— Cztery miesiące temu stała na pewno — odezwał się niespodziewanie Fold. — Spotkałem faceta, który tam był. Szkielety. Tysiące szkieletów ludzi, którzy pukali do drzwi prosząc o ratunek i którym nie otworzono. Tak wygląda twoja dbająca o przyszłość świata reszta ludzkości. Wiesz co ci powiem, Hanes? Odpieprz się ode mnie! Rób co chcesz, ale ode mnie się odpieprz!

Garaż był otwarty, ale Melorowicza w środku nie było. Nie było również samochodu.

— Ale tu czysto — zdziwił się Jaketinski.

— Zobacz! — Fold wskazał stojący w kącie podwórka wrak samochodu. Spalona półciężarówka Melorowicza.

— Rzeczywiście — zawołał Jaketinski. — Hanes coś wspomniał, że gdy smołownica zniknęła, Melorowicz własnoręcznie podpalił samochód. Podobno płakał przy tym z żalu, ale do końca patrzył w płomień, taki był zawzięty.

Wzmianka o Hanesie wywołała niekontrolowany grymas na twarzy

Folda. Jaketinski zauważył to:

— Uważam, że zbyt ostro go potraktowałeś — powiedział. — To porządny facet, a ty załatwiłeś go nie sprawdzoną informacją od przypadkowego włóczęgi... A jeśli nawet, to i tak nie znasz prawdy, Hanes przynajmniej chce ją poznać.

— Gdzie Melorowicz? — Fold rozejrzał się ostentacyjnie.

Jaketinski westchnął. — Pewnie w ogrodzie — powiedział. — Chodźmy do niego.

Melorowicz zauważył ich z daleka i odrzucił narzędzie, którym właśnie grzebał w ziemi. I wtedy — obaj równocześnie — zobaczyli, że jego prawa ręka jest czarna aż do łokcia.

— Cholera! — szepnął Fold.

To dziwne, ale żaden z nich wcześniej o tym nie pomyślał, chociaż widzieli przypadek Rapowa.

Podchodzili coraz wolniej, starając się nie patrzeć w miejsce, które odruchowo przyciągało wzrok.

— Cześć, podróżnicy — zawołał Melorowicz, wyciągając prawą rękę. — O przepraszam! — cofnął ją nieco. — Cholerne tu błoto, cały się usmarowałem.

Pierwszy wybuchnął śmiechem Jaketinski. Fold po chwili zawtórował mu, a Melorowicz spoglądał na nich ze zdumieniem. W końcu opanowali się i bez wahania uścisnęli zabłoconą rękę.

— Nie przejmuj się — mówił

Jaketinski. — Jest czysta. Naprawdę.
Słowo honoru.

A potem Fold Nowat odwrócił się
bez słowa i odszedł.

— Stój, Fold! Dokąd? — krzyknął
za nim Jacketinski.

Fold nie odpowiedział, ale już nie
musiał. Jacketinski domyślił się.

I poszedł za nim.

MAREK HEMERLING jest autorem zaliczanym przez Macieja Parowskiego do IV generacji polskich pisarzy fantastów. Mieszka w Koszalinie, w 1984 roku został zwycięzcą pierwszego konkursu literackiego ogłoszonego przez miesięcznik „Fantastyka”. Laury przyniosło mu opowiadanie *Deneb III* ‘, w tym samym konkursie wyróżniono jeszcze inne jego opowiadanie, zatytułowane „*Droga*”. Oba ukazały się w antologii „*Trzecia, brama*” (Wyd. Literackie, 1987), będącej

plonem wyżej wymienionego konkursu.

W 1989 roku ukazał się jego debiut książkowy — powieść „*Diabelska maskarada*”. (Glob).

Opowiadanie „Wyrzutek” jest fragmentem minipowieści pod tytułem „*Biały jest tylko śnieg*”. Kontrowersyjny to tekst; pokazuje nam chory świat, rządony przez przemoc i niczym nie usprawiedliwioną agresję. To, co inne, brzydkie lub nieprzystosowane musi być zabite, zniszczone. Główny bohater też nie jest niewiniątkiem — wyrzutek społeczny, próbujący się odnaleźć w zagubionym świecie, wychowany przez ulicę i twarde prawo dżungli — na agresję odpowiada tym samym. Jest jak

zaszczute zwierzę, ale nie skamle o
litość, tylko zionie nienawiścią.

Wyrzutek

I

Ryk forsowanego silnika walczył o prymat z bełkotem dobijanych amortyzatorów. Crawler dawno już przekroczył barierę obciążeń optymalnych — wskaźniki nie schodziły z alarmowych zakresów, a ostrzegawczy jęk syreny Pogłębiał tylko panujący w kabinie chaos dźwięków. Pieńło akustyczne miało swoje dopełnienie za wypukłą taflą noktochromowej szyby, gdzie widać było rozmazane w szalonym

pędzie pasma krajobrazu. Oślepiająca raziała wzrok, wyciskając spod powiek zupełnie niepotrzebne łzy. Kurewskie filtry — że też zawsze coś musi się spieprzyć!

Na dostrzeżoną w ostatniej chwili przeszkodę dłonie zareagowały bezwiednym skrętem. Trzask zerwanych sprzęgników na moment przebił skarp, katowanej maszynerii. Crawler zamieniony w niesterowną skorupę wpalcował się prawym śladem w magmowy wrzód, sekundę balansował na lewej płozie i gdy ledwie milimetry dzieliły środek ciężkości od przekroczenia krytycznego punktu, drugi wstrząs ustawił horyzont we względnym poziomie.

Skoro już tu jesteś, skoro już musisz tu być...

Właściwie dlaczego?

Paranoja.

— Strzelec Shatley, wystąp!

Apman piętnastego baonu patrzył z obrzydzeniem na sterczącego przed frontem sekcji mężczyznę w łaciatym uniformie Błękitnego Korpusu. Twarz wywołanego, okryta maską regulaminowej obojętności, była tylko kamuflażem; nieudany zresztą. Zdradzały to oczy — z dziką determinacją świdrujące przestrzeń nad kanciastą czapką apmana.

— Dlaczego nie wykonałeś rozkazu?

Cisza — gęsta jak syrop od kaszlu.
Dobry syrop.

— Prawdopodobnie zwariował —
pyszczek wymuskanego adiutanta prosił
się o cegłę.

— Całkiem możliwe, Bossie — pan
i władca umundurowanych istnień
podszedł wolnym krokiem do
winowajcy i zbliżając swą porowatą
gębę ni odległość cuchnącego oddechu
zakonkludował: — Trzeba być
kompletnym wariatem, żeby przedłożyć
życie defektantów nad swoje własne.

Odstąpił krok do tyłu i z wprawą
świadczącą o długoletnim treningu
wyrznął podkomendnego w twarz.

— Dlaczego nie wykonałeś rozkazu?

— Bo nie.

Apman Errington zarechotał
skrzekliwym altem. W niecałą sekundę

później rozległ się dziarski śmiech adiutanta, który, ośmielony klarowną sytuacją, postanowił wykazać inicjatywę.

— Zabierzcie tego idiotę! — gestem wyznaczył dwóch ludzi z nieruchomego szyku sekcji i zniżywszy głos dodał: — Rozmawiałem ze sztabem Rohleder bardzo się ucieszył. Jego łapacze są już w drodze.

— Szybko się uczysz, Bossie. Będą z ciebie ludzie.

Adiutant przyjął pochwałę z wdzięcznością; gdyby mógł, wlałby apmanowi między pośladki i zastąpił gąbkę. Tworzyli tak zgrany duet, że na samo wspomnienie nadnercza zwiększały produkcję adrenaliny.

O mend! — roztrzaskać te nadęte ryje, skopać bebechy, ciąć milimetr po milimetrze drgające mięso i co pół godziny polewać dobrze posolony wrzątkiem. Marzenie!

W kabinie czuć było smród sfajczonej izolacji. Syrena zachłysnęła się i umilkła, zduszona własnym wyciem. Chwilowe rozkojarzenie niespodziewana ciszą, a potem... potem zadziały odruchy warunkowe. Gwałtowne depnięcie dźwigni stopującej — lepszy niekontrolowany poślizg niż zderzenie z grupą płonących skał, które wskoczyły na oś kursografu, gdy crawler pokonał grzbiet olejnego wzgórza. Hamulce nawet się nie zająknęły, za to monitor sprzężenia

mrugnął planszą gotowości. Jedną ręką przysłoniła obiektyw kamery podglądu, drugą zaczęła luzować oporniki pasów. Na ekranie pojawiła się tępą mordą buldoga — lidman Rohleder we własnej osobie. Źrenice tłuściocha, ledwie widoczne w oprawie nabrzmiąłych powiek, migotały iskierkami triumfu. Szef łapaczy miał powody do radości — szansę uciekiniera malały z każdą sekundą, a teraz właśnie...

— Teraz właśnie przechwyciliśmy twojego crawlera, Shatley — zaśliniona cygaretką przewędrowała z lewego narożnika obwisłych warg w prawy, a cała kombinacja rozlała się w grymasie mającym udawać uśmiech. — Za kwadrans wydłubiemy cię z niego jak

rodzynę z ciasta. Dużą, tłustą i smaczną rodzynę... — dalszy ciąg utonął na chwilę w roju zakłóceń i nagle spotężniałym rezonansie kabiny.

Pasy były już odpięte. Wolna ręka — jedną wciąż zasłaniał obiektyw kamery — zwolniła blokadę wjazdu.

— Shatley, Shatley, słyszysz mnie? — charczał głośnik. — Dla ciebie wyznaczono już datę Sądu Ostatecznego, a ja postaram się dobrze wypaść w roli Najwyższego. Możesz być spokojny.

— Jestem spokojny, grubasie — warknął uciekinier. — Tak spokojny, że aż sam się sobie dziwię. Gdybyś był na moim miejscu, kabina cuchnęłaby jak miejski szalet w godzinach szczytu.

Crawler pędził ze stałą prędkością

wprost na grupę płonących skał. Tak na oko średni kaliber. Szczęście w nieszczęściu — zanim się zorientują, minie trochę czasu. Przynajmniej dla tych, którzy jeszcze będą mogli sprawdzić godzinę.

Taniec na linie. Bez asekuracji. Komu to potrzebne?

Strach.

Pokrywa tylnego wjazdu wybijała synkopowany rytm nadziei. Shatley sięgnął za oparcie fotela i wydobyłym stamtąd kaskiem strzaskał obiektyw, a potem wsunął głowę w miękki otwór kryzy. Na ekranie cygaretką w wargach lidmana znieruchomiła. Myślał.

— Ale będą mieli zawiedzione pyski — uciekinier pozwolił sobie na

ironiczny grymas. — Wiele bym dał, żeby to zobaczyć.

Ze skrytki pod pulpitem wyjął samopowtarzalną „plujkę” i sprawdził magazynek. Komplet „pestek” z rżniętymi w krzyż główkami napawał optymizmem. Zawsze to lepiej porywając się na słońce mieć ze sobą motykę niż gołe łapy.

Kolizjomierz wskazywał pół minuty do zderzenia. Shatley okręcił fotel o sto osiemdziesiąt stopni i kopniakiem wypchnął klapę tylnego wjazdu na zewnątrz. Spod płóz crawlera uciekała zryta upływem czasu maska kamiennej pustyni. Wymarzone miejsce do przećwiczenia różnych akrobacji, a zwłaszcza wysiadania z pędzącej z

wariacką prędkością skorupy.

Młodości, dodaj mi skrzydła...
Ciekawe, gdzie można otrzymać patent
Supermena ze specjalizacją na
niesterowne crawlery?

Dosyć. Szkoda czasu. Dłonie w
klamry, stopy na zewnątrz... Dlaczego to
pułdo tak się trzęsie?! Szybciej, durniu.
To nic trudnego. Musisz się tylko dobrze
odbić. Łomot serca, świst dartej
przestrzeni, wata w nogach. Dobrze się
odbić. Tylko...

Skok — uderzenie powietrza —
kolana pod brodę, głowa wtulona w
barki, kurczowo zaciśnięte powieki i
zęby. Kawrasz jego niedonoszona..
Trzask, ból, koziołkowanie — o mend,
czy to się nigdy nie skończy?!!

Grzmotnęło jak wszyscy diabli. Nareszcie. Shatley poruszył ostrożnie rękami, nogami i głową. Ruina, jakimś cudem trzymająca się jeszcze kupy Kask był pęknięty, mundur w strzępach, samopoczucie w normie. Usiadł Żebra próbowały protestować, ale nie zwracał na to uwagi. Z wyrazem zafascynowania na pobladłym obliczu wpatrywał się w opływową sylwetkę crawlera, docierającego właśnie do mety straceńczego rajdu. Pulsujące wszystkimi odcieniami czerwieni skały rozblęły pomarańczową łuną, przy której dotychczasowy blask wydawał się być szarym przedświtem w obliczu upalnego południa. Gwałtowny podmuch rzucił Shatley'owi w twarz drobiny

piachu i falę dusznego powietrza. Pojazd wszedł w przeszkodę jak w masło, a skala zamknęła się za nim, przybierając niemal natychmiast swój pierwotny kształt. Głucha eksplozja wraz z chmurą tęczowych wyładowań powiadomiła świat o aktualnym miejscu pobytu dezentera. Świat przyjął tę informację z dużym zainteresowaniem i popędził we wskazanym kierunku, by spełnić swą powinność. Na jego czele posapywał lidman Rohleder.

— Baw się dobrze, gruba świnió — mruknął Shatley i przebiegł krajobraz niepewnym spojrzeniem. — Co dalej?

Totalna improwizacja.

Uwięziony pojazd powinien zaabsorbować uwagę łapaczy na co

najmniej pół godziny. Dodać do tego kwadrans przewagi... Teraz już niecały kwadrans.

Ruszył przed siebie, starając się zachować pierwotny kierunek ucieczki. Ominął grupę płonących skał, w których crawler znalazł tymczasową przystań, i krzywiąc się z bólu forsował stok kolejnego wzgórza. Zanim dotarł na szczyt, musiał kilkakrotnie przystanąć dla złapania oddechu i ulżenia lewej nodze; puchła w kostce z zastraszającą prędkością. Klął, groził, błagał, gryzł wargi i szedł. Całe szczęście, że grunt był gładki i skalisty — jakoś tam się włókł i przynajmniej nie zostawiał widocznych śladów. W rejonie płonących skał wążacze traciły swoje

zdolności. Dlatego tutaj się znalazł
Między innymi dlatego.

Pamiętaj, przez cały czas na północ
— mówiła zamaskowana postać, dw
mijali pogrążonych w somnabulicznym
transie strażników. — To twoja jedyna
szansa. Pośpiesz się.

Krótki korytarz: ściany z surowego
betonu, stalowe prostokąty drzwi,
dyndająca na gołym drucie żarówka.
Dalej — schody prowadzące na
powierzchnię, skrawek nieba...

Przystanęli przed wyjściem z
więziennego bunkra. Przewodnik jakby
nasłuchiwał. Shatley, zaskoczony zmianą
sytuacji, ścierał z oczu resztki
niespokojnego snu.

— Gotowy? — zakryta maską twarz

zwróciła się w jego stronę. Poczłł dyskretny zapach perfum. Ciekawość, a może zbyt długo tłumione instynkty sprawiły, że przycisnął kobietę — bo to była kobieta! — do ściany i wolną ręką sięgnął do tkaniny, w której otworach lśniły lodowate bryłki oczu.

— Zabierz łapy — miała niski, nosowy głos, w dodatku zniekształcony przez maskę; pewnie dlatego dał się nabrać na jej męskie przebranie.

— Powiedz to mojej cioci — szarpnął materiał i w tej samej sekundzie poczuł, że nie ma ręki.

— Zawsze jesteś taki narwany?

— Zależy — ręka była. Zwisła mu wzdłuż tułowia bezwładna i pozbawiona sensu. Przyglądał się jej przez chwilę,

zdziwiony, że jest taka ciężka. — Człowiek nie wie, ile dźwiga — mruknął.

— To minie — kobieta podała mu połyskującą tulejkę, w której rozpoznał dekoder crawlera. — Trzeci od pawilonów. Pełny bak, ale brak amunicji. Nic na to nie poradzę, wczoraj rozładowali komory.

— Trzeba było załadować.

— Przecież masz uciekać, a nie strzelać.

— A ty skąd to możesz wiedzieć? — zaczęła go drażnić. Była zbyt pewna siebie. W dodatku ramię mrowiło, jakby chciało mu zrobić na złość. — Stawiałaś kabałę?

— Czy ty nie masz większych

zmartwień?

— Mam zmartwień do oporu — mruknął. — Mógłbym je sprzedawać na metry, ale rynek jest ostatnio tak przeładowany...

— Tracisz czas — przerwała mu bezceremonialnie. — Strażnicy zaraz się obudzą. Pamiętaj: trzeci crawler od pawilonów. I cały czas na północ, aż zobaczysz mgłę — zrobiła krok w stronę wyjścia. — Jeszcze to — wcisnęła mu do ręki małe zawiniątko. — Na wszelki wypadek...

Przez szmatę wyczuł jakiś kanciasty przedmiot. Chyba broń — to znaczy: chyba na pewno. Śmierdząca sprawa. Zaczynało mu się to coraz mniej podobać.

Skąd mam wiedzieć, że mnie nie wpuszczasz w kanał? Drzwi do celi są ciągle otwarte — rzuciła przez ramię. — Życzę panu dobrej nocy, panie Shatley.

Rozrywkowa dziewczucha — myślał. — Albo sama jest defektantką, albo z nimi trzyma. Diabli wiedzą, co lepsze. Już dawno się w tym wszystkim pogubiłem. Co ja tutaj właściwie robię?

Stał na szczycie wzgórza, mając za plecami pofałdowaną równinę, rozjaśnioną plamami płonących skał, a przed sobą tarasowaty stok, schodzący coraz niżej i niżej. W dole, jakieś czterysta metrów w linii prostej, rosło kilka anemicznych badyli, w których nawet urznięty w sztok kameleon nie

próbowałyby szukać schronienia przed bandą wykwalifikowanych łapaczy Konsorcjum. Shatley jednak nie miał wyboru.

— Idziemy, moja słodka — mruknął spoglądając z nienawiścią na opuchniętą nogę. — I nie mów mi, że jesteś zmęczona. Rohleder nie wygląda na faceta, którego mogłoby to przekonać. Zresztą oni wszyscy jacyś tacy... — zamyślił się, szukając właściwego słowa, aż w końcu splunął siarczyście i pokuśtykał w dół stoku.

Krok, drugi, dziesiąty... Fatalnie. Z równym powodzeniem można by wędrować w przeciwnym kierunku, albo w ogóle położyć się na plecach. A może na brzuchu? Nie, na plecach będzie

wygodniej. Kupa wariatów!

Co go właściwie pokusiło, żeby słuchać tej zamaskowanej dziwki? Każdy gnojek, który narazi się prawu, wyrywa na północ, jakby z mapy wymazano pozostałe strony świata. Może tutaj jest z górki?

To był błąd. Shatley dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Łapacze mieli ułatwione zadanie, a on jak ostatni kretyn dał się zasugerować. Mając do dyspozycji crawlera można było zagrać na nosie ludziom Rohledera i wiać na zachód. Paliwa na pewno by starczyło na pierwszy skok, a pancierz pojazdu jest wystarczający na wchłonięcie promieniowania Martwych Piasków. Dalej już tylko dżungla, w której

podobno można spotkać wszystko z wyjątkiem cywilizowanych istot. Istny raj na ziemi. A fakt, że nikt stamtąd nie wraca, da się wytłumaczyć na wiele sposobów — niekoniecznie odstrasżających.

— Pomyłka, bracie, błąd w sztuce — mamrotał pod nosem. — Panika cię zżarła, ot co. Myślałeś może, że czeka tu na ciebie komitet powitalny z orkiestrą i małą dziewczynką w ludowym mundurku? Aż zobaczysz mgłę — omal nie parsknął śmiechem. — Bezsensowny koniec bezsensownego życia obywatela wolnego miasta Hergolar, Arpa Shatleya. Żeby chociaż rąbnęli od razu. To nawet jakoś brzmi: zastrzelony podczas próby ucieczki. Jest w tym bunt,

wyzwanie... cokolwiek. Ale nie, szkoda gadać. Ta beka sadła, ten galareciak Rohleder uwielbia pokazówki. Może nawet mu przyfarci i dostanie awans. Wysoka czujność, sprawnie przeprowadzona akcja i tym podobne dyrdymały. Konsorcjum lubi takie rzeczy. Tylko dlaczego akurat ja? O mend, dlaczego?!

Z uporem maniaka, na przekór samemu sobie zmuszał nieposłuszne ciało do kalekiego marszu. Już nie chodziło mu o to, żeby uciec przed pościgiem — po kilkudziesięciu metrach właściwie zapomniał, skąd się tu wziął i o co w tym wszystkim chodzi. Był tylko ból. Tępy, pulsujący, promieniujący na całą nogę ból. Urojony przeciwnik w

urojonych zapasach, których jedynym celem jest pozbawione owacji zwycięstwo.

— Jeszcze kawałek i zaraz sobie odsapniesz — oszukiwał sam siebie. — Do tamtej skałki... Nie do tej, do następnej. No właśnie, przecież mówiłem... potknął się i zatoczył. Kontuzjowana noga dała mu do wiwatu. Pokraczny sus pogorszył jeszcze sytuację — padając grzmotnął kolanem o jakiś kamień i leżał teraz rozciągnięty jak zdechły kot na poboczu drogi. Chciało mu się wyć, ale nawet na to nie miał siły.

Piski, szmery, chrobotanie — jakby gdzieś w pobliżu przegalopowało stado szczurów. Tylko że na tym pustkowiu

ciężko o debilną mrówę! Więc co? Rohleder i jego pupile? Kawrasz, szybko się uwinęli. Zgasić choć jednego, może zatłuką na miejscu. Albo dwóch — to ich powinno rozjuszyć. A potem? Chwała zwyciężonym!

— Chyba się nie udało, Świr — mruknął pod nosem. — Przepraszam. Wiem, że to głupio brzmi, ale nic nie poradzę. Sam widzisz...

Drobny odprysk żalu pod powieką — nie, to tylko ziarnko piasku.

Prawa ręka wolniutko przesunęła się w kierunku pasa, dłoń namacała sakwę z „plujką”, palce rozsunęły magnetyczny zatrask, paznokieć przestawił dzyndzel bezpiecznika. Żegnajcie, wszystkie niedorznięte dziwki, niedopite flaszki,

niedokończone porachunki,
niedonoszone marzenia. Było różnie,
może nie byłoby gorzej, ale czy to ma
jakikolwiek znaczenie? Tylko trochę
głupio, że taki idiotyczny zbieg
okoliczności...

— Na świecie ciągle coś się dzieje
— wyszeptał ktoś prosto do ucha
Shatleya. — Marsze pogrzebowe.

— Że jak? — nawet nie zdążył się
zdziwić, kiedy jego usta drgnęły i
usłyszał swój własny głos, podający
drugą część hasła: — Wicher postępu
dziarsko wieje, kiedyś urwie głowę.

— W porządku — szept docierał do
obu uszu i to go zastanawiało
najbardziej. Otworzył oczy. W dole,
pomiędzy anemicznymi badylami

robiącymi bez przekonania za las, sączył się opar seledynowej mgły. Wypływała ze szczelin w spękanej skale, a jej czoło rozpoczęło powolną wędrówkę w górę stoku, w stronę uciekiniera.

— Udało się — pomyślał Shatley.
— Udało się! — wrzasnął bijąc pięściami w pęknięty kask. — Udało...

— Leż spokojnie — upomniał go niewidzialny szeptacz. — Pole ma niewielki zasięg, mógłbyś sobie zrobić krzywdę. Gdzie jest Vandy?

— Kto to jest Vandy? — zastanowił się Shatley. — Nigdy nie znałem nikogo o takim imieniu.

— Uważaj.

Klin światła przeciął półmrok, liznął mimochodem sylwetkę uciekiniera i

ugrzązł w seledynowej mgle. Opływowa skorupa pościgowego crawlera niemal otarła się o Shatleya — wyraźnie poczuł zapach spalin, kilka kamiaków wyrwanych nagłym skrętem płóz uderzyło go w bok.

— Tu nikogo nie ma — głos brzmiał, jakby mówiący siedział przy długim końcu długiej, metalowej rury.

— Wracamy?

— Za szybko. Musimy się jeszcze trochę poszwendać. Patrol to patrol. Śmiech.

— Chyba zaparkujemy w jakimś ustronnym miejscu. Pora na rytualnego ćmika.

— Ta mgła mi parszywie wygląda.

— Nikt ci nie każe jej całować.

Trzymaj.

Głosy cichły w miarę jak pojazd oddalał się wzdłuż linii wyznaczonej zasięgiem seledynowego oparu. Shatley leżał ciągle na brzuchu, przeżuważając w myślach coś, co przypominało starą podeszwę.

— O w mordę... — to było wszystko, na co mógł się w tej chwili zdobyć W sumie niewiele.

Znowu coś zachrobotąło, lawina pisków wypełniła głowę uciekiniera — zupełnie jakby stado zwariowanych gryzoni urządzało tam sobie orgiastyczne party. Nieznośny hałas trwał może pół minuty, a potem odpłynął gdzieś w tło, zaś na pierwszym planie pojawiło się ni stąd ni zowąd: — Hej, bohaterze, jesteś

tam jeszcze?

— Jestem — mruknął Shatley.

— To dobrze. Posłuchaj uważnie. Mamy cholernie mało czasu... — szmery na moment wróciły, a szept, jaki dotarł do uciekiniera po krótkiej chwili irytujących popiskiwań, był jakby cichszy i trochę rozmazany. — Coś nam się wpieprza w system i w ogóle straszny tu burdel, więc bądź tak dobry i powiedz: gdzie jest Vandy?

— Nie wiem — odparł Shatley zgodnie z prawdą.

— To dość kiepski dowcip, a ja w dodatku mam zaniżony współczynnik humoru. Gdzie jest Vandy?

— Nie mam pojęcia. Ja...

— Gnojku — syczący szept nie

pozwolił mu skończyć. — Łapacze Rohle—dera kręcą się po okolicy jak psy w okresie rui, a ty jesteś tą suką, o której wydymaniu marzą od paru godzin. Jeśli zdejmę osłonę...

— Ja nawet nie wiem, kto to jest, ten Vandy — zaczął Shatley zrezygnowanym głosem. — Nie wiem i nie chcę wiedzieć — uniósł się na łokciach. — Możecie mnie wszyscy cmoknąć w pompę. Gibam waszą porypaną osłonę, gibam Vandy'ego i Rohledera! — wrzeszczał teraz jak najęty, niemal wstawał. — Słyszycie, defektanckie wypierdki?! Gibam was wszystkich!! — zawył z bólu i na moment zapomniał o całym świecie; poturbowana noga aż nazbyt dosadnie przypomniwała o swojej

obecności. Miał ochotę ją urznąć.

— Jejku — szeptało coś wokół jego głowy. — On chyba naprawdę nie...

— Zamknij się, Sierściuch, i pilnuj tonacji, bo gubimy kontakt.

— On nie wie, że Vandy to...

— Stul pysk.

— Przecież podał hasło i...

— Powiedziałem: stul pysk.

Zrozumiano?

Ból zelżał na tyle, że można było zebrać do kupy rozwrzeszczane myśli. Shatley stał na jednej nodze i nie zwracając uwagi na niezrozumiałą sprzeczkę rozglądał się po okolicy. W dole gęsty opar seledynowej mgły zastopował w pół drogi i falował leniwie, jakby niepewny, czy należy

kontynuować rozpoczętą wspinaczkę, czy też wolno mu będzie spłynąć z powrotem. Z góry obserwowały te manewry dwa pościgowe cawlery z błękitnym godłem Konsorcjum na burtach. Trzeci pędził na złamanie karku gdzieś w bok — tego opływowy korpus odcinał się wyraźnie na tle brudnosinego nieba. Łuna bijąca z niewidocznych z tego miejsca płonących skał sprawiała, że wszystko spowite było purpurową poświatą — jakby cały ten zafajdany świat pochlastał sobie żyły i spokojnie czekał, aż jakiś frajer zadzwoni po karetkę.

— Nie jestem zainteresowany — pomyślał Shatley. — Poza tym nie mam drobnych i w ogóle bardzo mi się

śpieszy.

Odprowadził wzrokiem sylwetkę pędzącego crawlera, potem spojrzął na dwa pozostałe, ciągle sterczące w tym samym miejscu. Ich szperacze macały teren rozszerzonymi wiązkami światła: metodycznie, kawałek po kawałku — jak na pokazowych ćwiczeniach. Nie widzieli go, mimo że stał wyprostowany, ściskając w spoconej ręce broń, która była może śmieszna, ale była.

— Spokojnie, bohaterze — zaszepotało powietrze. — Co chcesz teraz zrobić?

— Wezmę kąpiel, a później zamówię obiad z kelnerką.

— Nie jesteś zbyt oryginalny, ale

niech ci będzie. Do najbliższej łazienki dojdiesz przez skalne rumowisko, dwadzieścia metrów za twoimi plecami.

— Czyżby Vandy przysłał wyjaśniający telegram? — zadrwił Shatley odwracając się twarzą do mgły. Była o wiele bliżej niż poprzednio. Rumowisko też było: spora kupa nieregularnych kamieni, których wcześniej raczej w tym miejscu nie zauważył. — Macie tam chociaż gorącą wodę?

— W co ty grasz, bohaterze? Jak ci się nie podoba, wracaj na górę. Oni tam ciągle czekają i na pewno przyjmą cię z otwartymi rękami.

— Tak jak wy — skrzywił się Shatley.

— Twój wybór. Kupa śmiechu!

Skoro już tu jesteś, skoro już musisz tu być... — O mend! — żeby was wszystkich szlag najjaśniejszy trafił razem z waszym wyborem i tak zwaną wolną wolą!

— Nikt cię do niczego nie zmusza, mój drogi — kurator z trudem stłumił ziewnięcie, sprawdził godzinę i z miną męczennika przeniósł wzrok na Shatleya. — Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli, Arp. To leży w twoim interesie. Pół roku temu skończyłeś osiemnaście lat. Właściwie nie podlegasz już pod „młodzieżówkę”, ale znam cię tak długo...

— Jasne — padło z drugiej strony biurka, gdzie siedział szczupły chłopak o

smagłej cerze i czarnej, kędzierzawej czuprynie. Ubrany był w za dużą o kilka numerów marynarkę z wytarganego, niegdyś czerwonego sztruksu, i obcisłe, wełniane spodnie koloru sałatki jarzynowej z majonezem. Fioletowy siniec otaczający imponującą obwódką lewe oko nie przeszkodził mu w przesłaniu kuratorowi porozumiewawczego mrugnięcia. — Znamy się jak łyse konie. Nawijaj dalej, dziobaku.

Człowiek nazwany dziobakiem zatrzasnął pękaty skoroszyt i spróbował napić się kawy z filizanki, którą opróżnił przed kwadransem.

— Powinieneś uświadomić sobie swoje położenie, Arp — powiedział,

żeby coś powiedzieć.

— Nie jest to zbyt trudne — stwierdził Shatley, bujając się na skrzypiącym niemiłosiernie krześle. — Siedzę przy południowym skraju urzędowego biurka i kontempluję pańską szlachetną twarz.

— Dość tego, smyku — filizanka trzasnęła o spodek, a kurator wygrzebał papierosa z leżącej na blacie wymiętoszonej paczki miętusów i zapalił. Po dwóch nerwowych pociągnięciach zarządził jak konający gruźlik.

— Kach—kachu i do piachu — skomentował krótko Shatley, częstując się bez skrępowania. — Dlaczego kupujesz takie siano? — spytał z nutką

przygany. — Przecież wiesz, że palę tylko emersony?

— W ten sposób nic nie zyskasz — powiedział kurator zmęczonym głosem.

— Pański sposób natomiast zupełnie mnie nie interesuje.

— Jak to...

— Nie ma dziwne, taki rok. Mało pada, pić się chce.

— Czy mam przez to rozumieć, że wolisz odpękać siódemkę w pierdłu, zamiast odsłużyć dwa lata w Błękitnym Korpusie? — kurator wyglądał tak, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

— Umiem rachować, mój ty aniele. Dostanę najwyżej czwórkę, a i to nie jest pewne.

— Żartowniś z ciebie, smyku —

furknęły przewracane kartki, pękaty skoroszyt otworzył się gdzieś w środku. — Włóczęgostwo, kradzieże, napady, mimo kilkukrotnego pobytu w zakładach dla nieletnich brak jakichkolwiek zmian na lepsze. Nie pracuje, nie uczy się. To nie są żarty, Arp. To jest ewidentna recydywa. Odgrzebią wszystko, a w obecnej sytuacji, gdy cały czas trwa ta dziwna wojna...

— Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek jej nie było.

— Ten twój ostatni wyskok przesądza sprawę.

— To był wyjątkowy pech.

— Nieważne. Liczą się fakty. Stawianie oporu władzy, utrudnianie śledztwa, pobicie funkcjonariusza...

— Właściwie to on mnie pobił — mruknął Shatley, dotykając fioletowego sińca. — Miał chłop krzepę.

...podpalenie wozu patrolowego. Mam kontynuować tę wyliczankę? Prokurator aż się ślini. Tak oczywista sprawa to dla niego nie lada gratka. Siódemka najmarniej.

— Czwórka. A dobry adwokat może to zbić do dwóch. Dwa na dwa. Dokładnie na styku. Wypinam się na Konsorcjum i ich Błękitny Korpus. I proszę mi nie przysyłać paczek na święta. — Shatley wstał i zdusiwszy niedopałek w popielniczce cofnął się o dwa kroki od biurka. — To by było chyba wszystko. Teraz trzeba zadzwonić po strażnika. Mam nadzieję, że jeszcze

nie dawali kolacji. Ten klajstrowaty chlebuś, dziobaku... mniamku — zmrużył oczy i zamlaskał. — Nie masz pojęcia, jak smakuje taki chlebuś.

— Jeszcze ci bokiem wyjdzie — kurator zatrzasnął akta. — Ale co mnie to obchodzi? Twój wybór.

— Jasne — Shatley wsadził ręce w kieszenie marynarki. — Kowalem swego szczęścia każdy bywa sam, powiedział facet, któremu trabus upierdzielił obie nóżki.

— Twoje dywagacje zupełnie mnie nie interesują. Już nie.

— A powinny. Zastanów się. Czy to moja wina, że nie mam gdzie mieszkać, że nie mam co zjeść, że nie mam kogo prosić o pomoc? Czy to moja wina, że

nie przygięliście mi w porę karku, nie założyliście klap na oczy i nie nauczyliście kombinować po swojemu? Może wtedy żyłbym jak każdy z was: grzecznie, spokojnie, cicho... Gdzie was diabli nosili, kiedy można to było jeszcze zrobić? Gdzie się podziewałeś, dziobaku, ze swoją szlachetną duszą, otwartym sercem i dobrymi radami? Coś tak zaniemówił? Nie wiesz? Oświecę cię. Klepałeś swoją tłustą żonę i główkowałeś jak spać, żeby nie skrzywić sobie kręgosłupa, jak iść, żeby nie skrzywić nogi w kostce, jak usiąść, żeby ci drzazga w dupę nie weszła. Od czasu do czasu błagałeś Opatrzność, czy w co ty tam wierzysz, by dziecko, które z takim trudem spłodziłeś, nie było

defektantem, a jeśli już, niech wyjdzie to jak najprędzej na jaw, zanim zdążysz się przyzwyczać. I tak sobie żyjesz: z dnia na dzień, z dnia na dzień... Najbliższa zmiana to emerytura, jeśli przypadkiem ślepy los nie wyznaczy cię na ofiarę w tej pomiganej wojnie. Ja jestem inny i dlatego nie stać mnie na dobrego adwokata. Wszystko na ten temat. Bisów nie przewidziano, recenzje zbyteczne — wyszarpnął z kieszeni złożony we czworo arkusz papieru. — Masz tu swój kwit z Błękitną Gwiazdą. Tam na dole jest mój podpis. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: ile ci płacą za każdego „ochotnika”? Bo przecież nie robisz tego w czynie społecznym.

— Gównu cię to obchodzi,

szczeniaku — warknął kurator, chowając do podniszczonej dyplomatki dokument, który uprzednio starannie sprawdził.

— Aniele prawa, strózu mój, ty zawsze przy mnie stój — Shatley złożył ręce jak do modlitwy. — Rano, wieczór, we dnie, w nocy... Chociaż nie, noce możemy sobie darować. Nie jestem zboczeńcem.

Kurator wdusił przycisk wzywający strażnika.

— Powinienem jakoś wyrazić swoją wdzięczność, dziobaku. Skierowałeś mnie wreszcie na właściwą drogę. Twój trud nie poszedł na marne. Społeczeństwo i w ogóle, a te kilka dodatkowych banknotów na pewno się

przyda. Zawsze to łatwiej związać koniec z końcem. Umundurowany blondas trzepnął obcasami.

— Wyprowadzić. Tak po prostu?

Kawrasz, przecież w końcu nie stało się nic wielkiego. Trzeba tylko zebrać do kupy to, co jeszcze można zebrać, tym bardziej, że najzwyczajniej w świecie nie ma innego wyjścia.

Kolejny krok.

— Jesteś, bohaterze — tym razem nie był to szept. Shatley otworzył oczy i w migotliwym blasku rozsiewanym przez zwisające ze sklepienia galaretowate sople zobaczył pokrzywionego, chudego jak tyka mężczyznę o przenikliwym spojrzeniu. Jego prawy policzek szpeciła

nieregularna, pulsująca narośl. — Idź za mną i uważaj na głowę. Pełno tu tego świństwa — odwrócił się, a wtedy zagrały wszystkie blaszki, druty, kółka i sprężyny, które miał poprzyczepiane do bluzy. Wędrujący skład złomu.

Ruszyli w ciemność. Światło jak gdyby wędrowało wraz z nimi, wyłuskując z mroku girlandy korzeni, pnączy, jakichś kwiatów o przezroczystych płatkach; gdzieś mignął fragment misternie utkanej pajęczyny. Było piekielnie duszno, cuchnęło moczem i gnijącymi szczątkami roślin. Istne uzdrowisko. Brakowało tylko bramkarza kasującego wraz z wejściówką opłatę klimatyczną.

Shatley nie zwracał uwagi na

otoczenie. Miał w nosie dokładnie wszystko z wyjątkiem własnej nogi. Ból absorbował go na tyle skutecznie, że nawet nie zauważył, jak znaleźli się w idealnie okrągłej grocie, wolnej od pnączy i wszelkiego paskudztwa. Na samym środku, na kanciastym głazie przypominającym kształtem oszlifowany z grubsza szlachetny kamień, siedziała nie dotykając nogami ziemi kupa łachmanów. Metaliczny szczęk obwieszczający przybycie przewodnika z Shatleyem pobudził ją do życia.

— Ja naprawdę nic nie rozumiem — spomiędzy szmacianych frędzli wyjrzała pomarszczona twarz pokryta rzadkimi kępkami zarostu. — Szykuje się wielka chryja, Dacavas. Już go wyciągnęli.

— To było do przewidzenia — wędrujący skład złomu podszedł do kanciastego głazu. — Pokaż.

— A on? — kupa łachmanów zeskoczyła na ziemię i popędziła w kierunku Shatleya, który stał przy wejściu oparty o ścianę groty i obojętnym spojrzeniem mierzył sięgającego mu do pasa karakana. — Co z nim zrobimy?

— Chciałeś raczej zapytać, co zrobimy z niego — Dacavas zgiął swoją chudą sylwetkę jakby chciał zajrzeć w głąb kamienia, a potem wyjął z kieszeni pobrzękującej bluzy starannie opakowaną kanapkę i zaczął szeleścić papierem. — A raczej — kontynuował z flegmą — co z niego zrobi Le-Broud.

Prawdopodobnie straciliśmy naszą najlepszą wtyczkę. — Ugryzł spory kawałek i żuł namiętnie, ukazując przy tym rażące braki uzębienia. Narośl na jego policzku wydymała się i kurczyła w takt miarowych ruchów szczęki.

— Sam zresz — karakan był oburzony. — Ani gościa nie poczęstujesz, ani nie zagadasz... — przełknął głośno ślinę.

— Macie coś do palenia? — Shatley oderwał plecy od ściany i pokuśtykał w stronę kamienia. — Wszystko jedno co, byle było trochę dymu.

— Daj mu, Sierściuch — Dacavas skończył kanapkę, starannie złożył papier i brzęknął kieszeniami.

— Sam mu daj — zaperzył się

karakan.

— Zgubiłem — chudzielec zaczął metodycznie dłubać w resztkach zębów kawałkiem drutu.

— Macie czy nie? — spytał Shatley znużonym głosem. Dotarł już do kamienia i oparł się o niego rękami. Poczul w palcach delikatne mrowienie. Oderwał dłonie i dopiero teraz zwrócił uwagę na oszlifowany gładz. Wieńcząca kanciastą bryłę sześciokątna płyta była, w odróżnieniu od pozostałych, przejrzysta, a zagładając przez nią w głąb zobaczył fragment pustyni ze znajomą grupą płonących skał. Miniaturowe sylwetki crawlerów i jeszcze mniejsze ludzi otaczały szerokim wachlarzem świeżo wydobyty wrak.

— Zapowiada się niezłe przedstawienie — Dacavas również zajrzał do środka. — Chodź tu, Sierściuch, i wyreguluj obraz. Daj zbliżenie.

— Sierściuch to, Sierściuch tamto, a jak przyjdzie co do czego, to dostaję najgorsze wyro i jeszcze mam udawać, że jestem zadowolony.

— Nie pyskuj, tylko rób swoje. Też mi się trafił stroiciel.

— Cholerę w bok... — bunt karakana został najwyraźniej stłumiony. Podszedł pokornie do kamienia, usiadł na piętach i wyciągnąwszy przed siebie ramiona oparł końce palców na kantach głazu. Shatley dopiero teraz zobaczył jego ręce: wyjątkowo niezgrabne,

pokryte żółtą, łuszczącą się skórą i brunatnymi strupami.

— O takich dłoniach marzą młode dziewczynki w bezsenną noc — pomyślał i z uwagą obserwował obraz zmieniający się w rytm obłądnego tańca kołkowatych palców. Zbliżenie było perfekcyjne. Tłusta gęba lidmana Rohledera cieszyła oko trzema podbródkami i kroplami ciężkiego, żołnierskiego potu, spływającego z utrudzonego czoła. Nieco z tyłu — wedle starszeństwa — stał apman Errington z nieodłącznym Bossiem, który właśnie podawał swemu panu i władcy uperfumowaną chusteczkę. Shatley poczuł, jak bezpiecznik „plujki” sam przeskakuje na pozycję roboczą.

— Nie możecie ich czymś pomacać?
— spytał. — O mend, stoją jak na patelni. Aż się prosi, żeby im sprzedać solidnego kopa.

Dacavas obdarzył go beznamiętnym spojrzeniem i wzruszywszy ramionami dalej drążył wzrokiem kamień, jakby leciał tam właśnie kolejny odcinek supernudnego serialu. Właśnie dwóch dzielnych zuchów, ubranych w żaroodporne skafandry, wynosiło z wnętrza osmalonego crawlera nosze, na których leżało jakieś ciało,

— Skąd oni to... — uciekinier szarpnął Dacavasa za rękę. — Przecież tam nikogo prócz mnie nie było!

— Ale teraz jest — trzymane przez Shatleya ramię było kanciaste i zimne,

podobnie jak spojrzenie jego właściciela. — Naprawdę nic sobie nie przypominasz?

— W co wy mnie chcecie zrobić?
— dłoń kurczowo zaciśnięta na prowadnicy broni.

— Spokojnie, bohaterze. Przyjrzyj się uważnie.

Sierściuch podstroił swoją aparaturę i dał kolejne zbliżenie. Shatley zapomniał o bolącej nodze, papierosach, nawet o Bossiem i jego wypomadowanej gębie. Na noszach leżała córka Rohledera — rodzona i jedyna — i była już tak sina, że tylko kompletny kretyn mógłby dać hasło rozpoczęcia akcji reanimacyjnej.

II

Bieg. Mięśnie na granicy ostatecznego wysiłku, płuca rozdarte łkającą prośbą o kolejną porcję powietrza, łomoczący w piersiach ochłap mięsa pompującego ołowianą krew. Czy można biec jeszcze szybciej? Skąd tyle siły, Arp? Zakręt, drugi, trzeci, skrót przez parking, płot... O mend — za późno, za późno! Rozpaczliwe zawodzenie jest tuż—tuż, działa jak

rozpalona ostroga, wbita z rozmachem w okryty pianą koński bok, i szybciej — czy to możliwe? — coraz szybciej, choć beznadziejny jest ten wyścig z czasem, chociaż przeczuwasz, wiesz niemalże... Więc po co? Nie, nie myśleć! Nie teraz, najlepiej nigdy... Ostatni załom, brama, betonowa studnia podwórka, wypełniona aż po nawis brudnoszarego nieba skowytliwą skargą, i bezradne, wpatrzone w ciebie ślepia — jakby rozumiały beznadziejność sytuacji, dziękowały za ten szaleńczy choć zbędny trud i błagały: zlituj się, dobij!

Skoro już tu jesteś, skoro już musisz tu być...

Nie! Nie! Po stokroć nie! Nigdy się na to nie zgodzę!

Nie bądź śmieszny. Zresztą — to już przeszłość. To wszystko już się zdarzyło. To i wiele innych rzeczy. Przecież doskonale pamiętasz... Kolorowy plakat dyskotransu i zaraz za nim wylot wąskiej uliczki — tak wąskiej, że dwóch ludzi z ledwością mogło się w niej wyminąć. Musiałeś wtedy przejść, po prostu musiałeś, choć wcale nie miałeś na to ochoty. Trzeba było znaleźć Onuca, trzeba było spylić gorący towar, trzeba było iść — możliwie jak najszybciej, bo dzielnica nie należała do tych spokojnych, a słońko zaczynało już powoli chować swój rumiany pysk za dachami pokrytych liszajami kamienic. Więc szedłeś, tuląc do piersi torbę trefnych landrynek i

popatrując uważnie na boki; wieczorny spacer z pieskiem na smyczy i gaciami pełnymi strachu. Nie gwardzistów się obawiałeś, na pewno nie. Ci dżentelmeni nie bywali w tych rejonach częstymi gośćmi. Pensje mierne, a zbytnia ciekawość często prowadzi do nieporozumień, które niejednego nadgorliwca wysłały na rentę inwalidzką. Już lepiej przymknąć oczy — bezpieczniej. Można przecież odwalić rutynowy patrol w spokojniejszym rejonie i spisać kilku zapóźnionych, przestraszonych samym widokiem munduru obywateli. Nie ma krzywdy — najważniejsze, żeby był ruch w interesie.

— Przerąbane, Świr — powiedział

Shatley do kudłatego psa, który zatrzymał się na moment i spojrział na chłopaka roześmianymi, orzechowymi ślepiami, a potem merdając kikutem ogona pobiegł w głąb ulicy.

Ciemne oczodoły opuszczonych kamienic, w których z rzadka znaleźć można było resztki potrzaskanych szyb, ze zdziwieniem patrzyły na małego zuchwalca w powyciąganym swetrze i skórzanych bermudach. Też się wybrał — co za tupet! Który to już raz przebiega wąską uliczkę? W ostatnim miesiącu prawie codziennie. Niesłychane!

Chłopak przyspieszył kroku. Gdzieś w górze, na najwyższym piętrze toczyła się pijacka impreza. Słyszać było brzęk

tłuczonego szkła, gwar bełkotliwych rozmów. Nagle nad tym wszystkim rozległ się ochryply, wielogłosowy śpiew:

*Gdy ci kot przebiegnie drogę,
nie mów, że to pech.*

*Kopnij w dupę, wyrwij nogę,
niech lata na trzech!*

Trzasnęły drzwi, rozległ się łomot podkutych butów na spróchniałych schodach. Fatalnie!

— ...na trzeeeezech!! — kończył jakiś zapóźniony chórzysta. Na górze zagrzmiały oklaski, wrzaski, przekleństwa. Impreza nabierała rumieńców.

— Te, fumfel! — rozległo się za

plecami Shatleya. — Przystopuj na moment!

Nawet się nie obejrzał. Wydarł do przodu, aż zajęczały maltretowane zelówki. Świr nie kazał na siebie czekać.

Krótki gwizd i dwóch wyrośniętych lumpersów zagrodziło im drogę ucieczki. Można było zwolnić tempo.

Stali jak wrośnięci w ziemię — w tych swoich długich prochowcach, podkutych buciorach, z pałami w kieszeniach, z mordami wymalowanymi jak wielkanocne jaja. Ten z tyłu zbliżał się spacerowym krokiem. Wysoki, barczysty, o wściekle rudych włosach. W lewym uchu dyndał mu złoty wisiorek z małą kulką na końcu.

— Czekaliśmy tu na ciebie — powiedział. — Onuc wysypał wasz układ. W tej chwili siedzi na górze i zabawia się w najlepsze. Ciebie nie zaproszę, bo wyglądasz na małolata, a poza tym nie jesteś stąd.

Shatley milczał. Jedną ręką przytrzymał psa, drugą przyciskał do piersi torbę. Był wściekły — na siebie, na tego skurwiela Onuca, na tych napuszonych cwaniaków w prochowcach — na wszystkich.

— Pomarańcz! Ej, Pomarańcz! — rozległo się z góry, gdzie w dalszym ciągu trwała wesola impreza. — Dawaj tu!

Rudzielec machnął uspokajająco ręką.

— Sam widzisz, ani chwili spokoju — powiedział do Shatleya. — Wóda się grzeje, dziewczyny stygną... — postąpił krok do przodu. — Zostaw torbę i znikaj stąd, dobrze ci radzę.

Świr wyszczerzył zęby i warknął. Dwaj lumpersi ryknęli śmiechem. Pomarańcz tylko pokiwał z politowaniem głową.

— Ładną sobie dobrałeś obstawę, fumfel — stwierdził i splunął z taką siłą, jakby chciał wybić dziurę w chodniku. — No dobra, dosyć żartów. Daj sobie na spocznij i pożegnaj się z torebką.

— Spierdalaj! — krzyknął Shatley. Dygotał cały ze strachu. Może właśnie dlatego podniósł głos. Niepotrzebnie się stawiał. Był przegrany. Wiedział o tym.

I guzik go to obchodziło. Naprawdę.

— Dam mu po ryju — zaproponował jeden z lumpersów. Na jego palcach błysnął kastet. Stare, wypróbowane metody.

— Macie! — wrzasnął Shatley z rozpaczą. — Udławcie się!

Z rozdartej torby wyprysnęły kolorowe landrynki. Leciały na wszystkie strony, podskakiwały na chodniku, toczyły się oblepione coraz grubszą warstwą szarego pyłu. Sny w pigułkach. Półgodzinne porcyjki rajy dla ubogich. Dla tych bardziej otumanionych ledwie kwadrans, może nawet mniej. Dla Shatleya miesiąc głodówki, kombinowania, nadziei na trochę kasy...

Nawet nie zdążył się pomodlić —

zresztą tak bardzo mu na tym nie zależało. Pomarańcz już był przy nim, już uderzył... Ciemno, kawrasz jak ciemno. Nie można złapać oddechu... Czyjś ostrzegawczy krzyk — jak przez mgłę widać rudzielca trzymającego wysoko w górze okrwawioną rękę. Świr — ten mały, śmieszny kundel — szarpie długi prochowiec, robi błyskawiczne uniki rozmijając się o milimetry z wirującym łańcuchem, atakuje. Tamtych dwóch całkiem zdumiało, lecz gdy Shatley spróbował wstać, natychmiast oprzytomnieli. Nie dali mu cienia szansy. Trafiony w głowę podkutym butem opadł z powrotem na ziemię i leżał tam, kuląc się pod lawiną precyzyjnie wymierzanych ciosów,

słyszając przekleństwa, ciężkie oddechy, skowyt psa, plując krwią, która wypełniała mu usta. Tracił przytomność — wiele, wiele razy. Nienawidził siebie za to, że jest taki mały, słaby i bezbronny. Gdyby w cokolwiek wierzył, może by prosił o zmiłowanie. Był jednak w gorszej sytuacji — mógł tylko cierpieć. Nie wiedział o tym, że krzyczy, że staje na nogi, że biegnie zostawiając na chodniku plamy lepkiej czerwieni... To było jak sen — okropny, nierealny sen, w którym stopy grzęzną w lepkim podłożu, ciało odmawia posłuszeństwa, a umysł ostatnim zrywem pokonuje barierę dzielącą jawę od koszmarnych wspomnień.

— Obudź się, normaku. Już czas.

Przeszłość pryska jak mydlana bańka, tknięta nagłym podmuchem wiatru. Jeszcze gdzieś mignął obraz dwóch orzechowych kulek pełnych niewypowiedzianego cierpienia, jeszcze kołacze pod czaszką fragment debilnej piosenki, intonowanej przez sprute do nieprzytomności stado lumpersów, jeszcze...

— Nawet nie próbuj udawać. Przecież wiem, że mnie słyszysz.

Zawsze ktoś wie lepiej, więcej rozumie i w ogóle byłoby nietaktem przypominać, że ci głupszy i mniej zorientowani też coś tam kojarzą i czują. Serce jeszcze łomocze szalonym rytmem urojonego biegu, a powieki są takie ciężkie...

— Co z nim? — stłumiony głos, jakby gdzieś z góry.

— Powoli wraca do stanu używalności — skrzypienie rozlega się tuż przy uchu Shatleya, ktoś potrząsa jego ramieniem. — Hej ty, jak ci tam... Arp! Starczy już, co?

— Każ się wykrobać — mamrocze uciekinier, zatykając rękami uszy.

— Masz gości, normaku. Paru wdzięcznych defektantów, paru znajomych z pierwszej linii i parę szyszek. Dopytują się o ciebie już drugi dzień.

— Co?! — powieki same odskoczyły do góry, jakby je ktoś targnął za rzęsy. — Drugi dzień? To ja...

— Wszystko w porządku, normaku.

Kolarta wie, co robi — pomarszczona twarz otoczona kępkami białej sierści; łysinę pokrywały rdzawe nacieki. Niżej skórzana kurtka dopięta na ostatni guzik.

— Jak noga?

— Ekstra — mruknął Shatley, zginając i prostując kontuzjowaną kończynę. — Zaczynam wątpić, czy to na pewno ta.

— Spróbuj drugą — zarechotał Kolarta. — A teraz wstań.

Stopy dotknęły ciepłej, pokrytej zielonkawym mchem podłogi. Uciekinier dopiero teraz oderwał wzrok od twarzy defektanta i rozejrzał się po otoczeniu. Pomieszczenie miało kształt sześcianu, z tym że wszystkie kanty były wyokrąglone. Zielonkawy mech porastał

porowate ściany mniej więcej do połowy wysokości — wyżej była biel i właśnie to skojarzyło się Shatleyowi z lazaretem, dzięki czemu Kolarta awansował na odpowiednik meda.

— To ty mnie poskładałeś? — spytał, szukając potwierdzenia swoich domysłów.

— Trochę ja, trochę inni — kępki sierści drgnęły, a zmarszczki ułożyły się w kreskówkę, mającą oznaczać kompletny brak zainteresowania tematem. — Kazali, więc...

— Kto kazał?

— A kto mógł kazać — wzruszenie ramion, jakby ożył nagle wieszak, na którym wisiała kurtka. — Oni — kościsty paluch wskazał sufit. — Kazali

i już. Twoje szczęście, normaku. Takich jak ty częściej zdarzało nam się demontować. Ale kto wie, może i ty jeszcze tu wrócisz, a Oni będą mieli inne polecenia. Nic straconego.

— Jasne — Shatley wyszczerzył w uśmiechu zęby. — To miłe, że tak o mnie zadbaliście. — Wstał i kilka ostrożnych kroków upewniło go, że Defektancki Czerwony Krzyż zgromadził dobrych fachowców. — Masz może papierocha?

Kolarta nie odpowiedział. Sterczał pod ścianą, miał zamknięte oczy, splecione na piersi ręce i w ogóle to wyglądał tak, jakby zapomniał oddychać. A może w ogóle nie musiał? Czort z nim. Gdzieś tu powinno być

jakieś wyjście. To znaczy w każdym normalnym pomieszczeniu jest szansa trafić na taką dziurę, przez którą można wleźć i wyleźć. Tutaj natomiast...

— Defektanckie maniery — pomyślał Shatley. — Miałem pomysł, niech mnie licho. Zwiąłem prokuratorowi z widelca, a trafiłem prosto pod nóż zdegenerowanych wypierdków. Ten sztywniak mówił coś o gościach. Ciekawe, jak mnie tu odwiedzą?

Swoją bluzę i buty znalazł pod drewnianą ławą, która wcześniej służyła mu za poślanie i była w tym przybytku jedynym meblem — nie licząc znieruchomiałego Kolarty. Założył uniform Błękitnego Korpusu bez

entuzjazmu — po prostu zrobiło się chłodno. Grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu czegoś do palenia wywalił na podłogę całą ich zawartość. Nieskazitelną zieloność mchu zeszpeciły strzępy zapomnianych notatek, pusta łuska po „oślepiaczu”, indywidualny pakiet dozymetryczny z miniaturowym geigerem, parę garści kurzu wymieszanego z okruchami chleba, abonament do garnizonowego burdelu, jakiś optogram...

Zgłupiał. Czegoś takiego nigdy w życiu nie nosił. Po co, skoro w majakliwych snach wystarczająco często powracała chwila, której nie mógł i nie chciał zapomnieć? Żaden optogram nie był w stanie bardziej spotęgować

wściekłości, wzmocnić nienawiści i pobudzić do działania mającego przynieść wyrównanie rachunku. A całą resztę czasu przeszłego niech diabli wezmą — może się udławią.

Wyciągnął już wszystko z kieszeni, nawet podszewki wyrócił na lewą stronę. Oczywiście nie znalazł tam nic, co mogłoby oszukać płuca. Wsadził w usta zapalną, która zaplątała się w szpargałach, i przysiadł na ławce podciągając kolana pod brodę. Posąg Kolarty przez cały ten czas nawet nie drgnął.

— Oryginalny sposób spędzania wolnego czasu — pomyślał Shatley. — Może mu baterijki wysiadły. A swoją drogą, kawał drągala. Tylko chudy

jakiś... — z braku lepszego zajęcia przyglądał się defektantowi, wyszukując tłuste plamy na skórzanej kurtce i niżej, gdzie okręcone szmacianymi pasami nogi sięgały drewnianych sabotów, na które zaczynał już włązić zielony mech.

Zapałka skończyła się nie wiadomo kiedy, niezauważalnie zbladło światło promieniujące z chropowatego sklepienia, a Shatleya od siedzenia zaczął boleć tyłek. Wstał i rozmasował świętość, potem raz jeszcze przejrzał leżące na podłodze szpargały. Piramidka optogramu przyciągała uwagę. Ktoś ją podrzucił — to nie ulegało wątpliwości. Defektanci musieli dokładnie przeczesać wszystko, co miał przy sobie — to również nie ulegało; taka „plujka”, na

przykład, z pewnością przyzwyczajają się już do nowego właściciela. Skoro więc zostawiono mu ten czworościenny bzdecik... Cóż zresztą szkodzi sprawdzić? Zawsze to lepsze niż wpatrywanie się w pomarszczoną facjatę tego tam, pod ścianą.

Shatley usiadł na podłodze — mechate kosmyki naprawdę były przyjemne, i ciepłe. Poglaskał zielony dywan, a potem sięgnął po szarą piramidkę czyjejś pamięci. Palce same odnalazły rubinowy punkt...

— Kopę lat, Arp! Jak ci leci?

Poznał ten głos — głos zamaskowanej przewodniczki, która wyciągnęła go z więziennego bunkra. Tylko że teraz nie miała na twarzy tej

kretyńskiej szmaty z otworami na oczy. I nazywała się Amy Rohleder.

— Regularnie — mruknął w odpowiedzi. — Co dwadzieścia osiem.

Z boku dobiegł skrzypiący śmiech Kolarzy. Defektant stał w nie zmienionej pozycji, nawet nie raczył otworzyć oczu. Śmiech wydobywał się spomiędzy rozchylonych brzegów blizny, która robiła w tej karykaturze za usta. I nic więcej — tylko ten rechot.

Córka lidmana przesłała Shatleyowi błysk wypiełgnowanego uśmiechu. Zagrał jej na nosie i zastanawiał się, jak uciszyć tego strupa pod ścianą. Wyraźnie działał mu na nerwy.

— Kopę lat... — pętla programu wróciła do punktu wyjścia i

holograficzny portret Amy Rohleder znowu wyszczerzył zęby w ironicznym grymasie, jakby mówiła: „Widzisz, idioto, nic nie rozumiesz i o to właśnie chodzi”. A Shatley wpatrywał się w jej zadowoloną japę i czuł, jak fale gorąca oblewają mu twarz, kark, plecy... Zacisnął powieki, w kurczowo zwartych pięściach zostały fragmenty zielonego mchu.

— Kopę lat!...

— Ty wredna suko — jęknął. Głos z trudem przecisnął się przez wysuszoną krtani i zamarł, ledwie opuściwszy spieczone wargi. O mend, co za gorąco! Dość... Cholerne słońce, przeklęty żar... Kawrasz, dajcie choć kroplę wody!

— Rekrut Shatley, powstań! —
apman piętnastego baonu darł się tak
głośno, jakby wysokość jego premii
uzależniona była od ilości
produkowanych decybeli. — To jest
Rozkaz!!

Magiczne słowo. Mięśnie otrzymują
polecenia z pominięciem ośrodka
decyzyjnego. Nie myśleć — wykonać.
Choćby ci kazano lufę przyłożyć do
własnej skroni i wypalić salwę
honorową na cześć debilnej
zwierzchności. Tak było zawsze, tak jest
i będzie, i biada tym, którzy tego w porę
nie zrozumieli.

— Naprzód!

Ten znienawidzony wrzask, długa
kolumna identycznych, sponiewieranych

postaci i zadowolony pysk Bossiego za szybą terenowej „ropuchy”. I on — rekrut Shatley. Kiedy to było? Pierwszy poligon...

— Kopę lat, Arp!

Pojawiła się nie wiadomo kiedy — trójkołowa maszyna z błyszczącą niklem bryłą silnika o sześciu garach ustawionych w literę V. Królowa Viktoria, z łaski ślepego losu córuś lidmana. Uroda przeciętna — w tłumie pewnie by jej nie dojrzał — tylko te wyszczerzone w ironicznym grymasie zęby jak u drapieżnika. I jak drapieżnik dopadła najśłabszą sztukę w stadzie; kolumna oddziału oddaliła się już o kilkadziesiąt metrów. Shatley został sam — z gorącym piachem pustyni,

zawieszonym w zenicie słońcem i z nią. Zeskoczyła z siodełka, przykucnęła nad półżywym strzępem ludzkiego ciała i wetknęła w dłoń odkorkowaną manierkę. Bez chwili wahania pociągnął długi łyk i omal się nie udławił, lecz słysząc jej szyderczy śmiech nie oderwał szyjki od ust — choć oczy wyłaziły z orbit, choć skurczona krtań stawiała kategoryczne weto, choć skręcały się trzewia palone żywym, dziewięćdziesięcioprocentowym ogniem.

— Wstawaj, gnoju! Dlaczego znów odłączyłeś od oddziału?!

Co za idiotyczne pytanie. Shatley mętным wzrokiem spojrział w obrzmiące gniewem i upałem oblicze apmana

Erringtona.

— Baczność, ty oporny skurwielu!
Bo ci mordę skopię!

Dźwignął się z trudem. Jej zdziwione spojrzenie jakby dodało mu sił. Pierś do przodu, pięty razem, prawa rękawica stuka o okap hełmu.

— Jeszcze jeden taki numer i rozszarpię jak... jak... — oficer aż zachłysnął się własną wszechmocą. — Jesteś zerem, słyszysz?! Zerem!!

— Ku chwale Ojczyzny — wybełkotał Shatley i z całą satysfakcją obrzygał mundur jego wysokości apmana.

— Kopę lat, Arp!

Jeszcze się spoufala, mędoza!

Rubinowy punkt pod palcami —

trzask — poszła won!

— Brawo — przypomniał o swojej obecności Kolarta. — Wyłączyć i po bólu. Tylko że nie wszędzie znajdziesz taki sprytny pstryczek. — Stał ciągle pod ścianą i miał zamknięte oczy, ale wyglądał tak, jakby z uwagą obserwował swego niedawnego pacjenta.

— Nie bajeruj, stary — Shatley zatrzymał się pół metra przed przewyższającym go o głowę defektantem. Poczł wyraźny zapach zjełczałego tłuszczu i potu. — Co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć?

— I vice versa — powiedział ktoś za jego plecami. Regulaminowe „w-tył-zwrot”. Jak na paradzie.

Metr nad podłogą „siedziała” cudaczna istota, w której przy odrobinie dobrej woli można było dopatrzeć się podobieństw do klasycznej wersji homo sapiens. Skrzyżowane w pozycji lotosu nogi w fioletowych rajstopach, pękaty korpus i zdeformowana twarz bez śladu brwi i rzęs, za to z wielkim, rozplaszczonym glutem zamiast nosa. Jedna para rąk spoczywała swobodnie na kolanach, druga — miniaturowa kopia tej pierwszej — plątała się gdzieś w okolicy pępka, podszarpując poły misternie wyszywanego kubraczka. Każdy gwałtowniejszy ruch odsłaniał fragment torsu, do złudzenia przypominającego pierś emerytowanego szympansa — wyliniałą i zapadniętą.

— Dzień dobry — powiedział Shatley, przyglądając się z uwagą lewitującemu zjawisku. — Naucz mnie tej sztuczki.

— Jakiej? — spod bezzęsyh powiek łypnęły zdeorientowane ślepia świątecznego karpia, a miniaturowe rasie na moment znieruchomiały.

— Siedzenia po turecku z tyłkiem w powietrzu. O mend, chciałbym to umieć! Pojęcia nie masz, ile czasu i energii traci się codziennie, żeby dogodzić własnym pośladowkom. A co za ulga dla kręgosłupa! W dobie masowego kalectwa ta metoda zrobiłaby furorę, możesz mi wierzyć. Zebrałbyś kupę szmalu, a ja, jako twój impresario, też bym się nieźle obłowił. To jak, umowa

stoi?

— Chyba odbiegliśmy od tematu.

— Możliwe, ale to i tak bez znaczenia.

— Jak dla kogo — karłowate rączki zaczęły gwałtownie podrygiwać, a na koniuszkach palców zatańczyły wiązki mikroskopijnych błyskawic.

— Coś w rodzaju tiku nerwowego — pomyślał Shatley. — Może lepiej go nie drażnić? Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Zjeży się i narobi kaszany... Nie pieniaj — zaczął pojednawczym tonem. — W końcu pieniądze to drobiazg. Możesz zrezygnować ze swojej działki, jeśli ci na tym zależy. Nie mam nic w poprzek.

— Łaskawca! — dziwadło omal nie

spadło na podłogę. — Zawsze twierdziłem, że normaki to banda pomyleńców. Niepotrzebnie się z wami cackamy. Ta śmieszna wojna...

— Chyba mnie nie lubisz — Shatley wzruszył ramionami i przysiadłszy na ławie obserwował szamotaninę rachitycznych rączek. — Kim ty właściwie jesteś, że tak mnie tu ustawiasz?

— Le-Broud, protagor Ossean — powietrze aż zadygotało z dumy.

— Aha — aprobujące kiwnięcie głową. — Dacavas z Sierściuchem mówili, że zrobisz ze mnie sieczkę. Czy to prawda?

— Prawda.

— Od czego zaczniesz?

— Od prostego pytania: gdzie jest Vandy?

Shatley parsknął śmiechem.

— Pozwolisz, że zadam ci równie proste pytanie — powiedział, kiedy udało mu się uspokoić. — Kto to jest Vandy?

Le-Broud zrobił taką minę, jakby mu ktoś podstawiał pod nos jego własny nekrolog.

— Powinienem cię ukarać — syknął.

— Nie rób tego — ton pokornej prośby ledwie maskował z trudem hamowany wybuch wesołości. — Mam chore serce. Mogłaby mi pompka stanąć, a wtedy... Sam rozumiesz, ciężko się dogadać z nieboszczykami. Są

wyjątkowo leniwi.

— Dość — miniaturowe rasie zaprzestały bezładnej szamotaniny i skierowały się w stronę Shatleya. Pomiędzy jego stopami wylądowała niepozorna kulka ognia, pozostawiając po sobie swąd spalenizny i plamę zwęglonego mchu. Podmuchał gorąca czuć było nawet przez solidną skórę ciężkich żołnierskich butów.

— Gdzie jest...

— Tak, tak, słyszałem to już sto razy! — Shatley zerwał się z ławy i z zaciśniętymi pięściami skoczył w stronę Le-Brouda; w karpiowatych ślepiach mignął cień przestachu. — Nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć! Rozumiesz, ty zapyziały fruwaku?! Nie

interesuje mnie ten motyw! Wypad!

Chciał jeszcze coś dosypać, wywrzeszczyć się po prostu, ale w tej właśnie chwili mocarne cęgi zmiażdżyły mu ramiona i szarpnęły do tyłu. Gwizdnął zadem w drewniane siedzisko, aż chrupnęło w krzyżu — przez zaciśnięte zęby wywlekło się zduszone przekleństwo i klapnęło na podłogę. Wykręcając z wysiłkiem głowę, dostrzegł za sobą sylwetkę Kolarty. Defektant ciągle jeszcze miał zamknięte oczy — śpioszek, kawrasz jego nosicielka! — i tak debilny wyraz twarzy, jakby właśnie zakończył lekturę stutomowej encyklopedii.

— I jak ci się to podoba, szpiclu? — jakiś uparty pędrak drażył mózg

uciekiniera w poszukiwaniu sobie tylko wiadomego celu. — Powinno się ciebie od razu wypatroszyć i odesłać z powrotem. Robisz to dla idei czy dla pieniędzy?

— Dla draki — warknął Shatley, próbując bezskutecznie uwolnić barki. — Gdybym kiedyś potrzebował imadła, dam ci znać — obiecał Kolarcie. — Kto to jest Vandy? — parsknął ostatkiem sił w stronę Le-Brouda.

Odgłos, jaki wypełnił teraz pomieszczenie, przypominał do złudzenia charkot konającego suchotnika, któremu ktoś przez pomyłkę albo z nadmiaru życzliwości opowiedział znakomity dowcip.

— Cholernie zabawne — jęknął

Shatley. — Taki dobry, rasowy żart.
Można zdechnąć ze śmiechu.

— Na razie wystarczy —
zdecydował Le-Broud. — Spróbujemy
inaczej.

Podłoga okazała się, niestety,
twarda, ale to i tak było lepsze od
pieszczotliwego dotyku Kolarty. Poleżeć
choć chwilę spokojnie — co za
rozkosz. Można się sfajdać ze szczęścia.

— Miałeś ten drobiazg przy sobie
— przed nosem Shatleya wylądowała
piramidka optogramu. — Znasz tę
dziewczynę? Chyba nie zaprzeczysz, że
odezwała się do ciebie po imieniu?

— Wpakowała mi ją do kieszeni,
kiedy spałem w celi — domyślił się
Shatley. — Mało śmieszny dowcip,

słowo dają...

— No? — popędził go Le-Broud.

— To jest Amy, córka lidmana Rohledera. Zna ją cały garnizon, podobnie jak szanownego tatusia.

— W naszym rejestrze figuruje pod innym imieniem.

Błyskawiczna skojarza, moment niedowierzania i nagle wszystko nabrało sensu.

— O mend! — Shatley palnął się otwartą dłonią w czoło. — Ze też od razu nie skumałem... co za krety — usiadł ostrożnie na podłodze, popatrując od czasu do czasu w stronę Kolaraty; na wszelki wypadek wolał go mieć na oku.

— Więc? — nadliczbowe rączki protagora ćwiczyły właśnie niezwykle

skomplikowaną akrobację pod tytułem: „Idzie kominiarz po drabinie”. — Gdzie ona jest, Arp?

— Czy wam rozum wyżarło z tych parchatych łbów? Przecież Błękitni wyciągnęli jej zwłoki z mojego crawlera.

— To nie były zwłoki — westchnął Le-Broud. — To był podłożony przez Dacavasa duplikat.

— Duplikat? — zdziwił się Shatley. — To znaczy, że musieli mieć jej matrycę — kombinował naprędce — a to z kolei oznacza, że pracowała dla nich od dawna, z czego wnioskuję, że wdepnąłem w nieliche bagno.

— Prawdziwa Vandy albo, jak wolisz, Amy Rohleder, jest zupełnie

gdzie indziej, a my nie wiemy gdzie i to nas bardzo niepokoi — kontynuował znużonym głosem Le-Broud. — Powinna być tutaj, siedzieć grzecznie na twoim miejscu i opowiadać, dlaczego wywaliła w eter sygnał rozkręcający akcję sfingowanej śmierci. Jej śmierci. Martwimy się, czekamy, a tu zamiast naszej kochanej Vandy przybiega niejaki Arp, strzelec piętnastego baonu Helgolar, podaje prawidłowe hasło, które było jej indywidualnym sodem rozpoznawczym i udaje że nic nie wie. Paskudna sprawa, mój drogi normaku. Cuchnie na kilometr. Czujesz ten smród?

— Koniowi na ucho... — mruknął do siebie Shatley.

— Że co?!

— ...możesz to powtórzyć — dokończył już zwyczajnym głosem. — Zrozumie tyle, co ja. A może, jeżeli to będzie koń-mutant, weźmie się skupi i odnajdzie Vandy siłą skoncentrowanej, końskiej woli. Dobry pomysł, nie? Poślij po jakiegoś ogiera. Pogadamy sobie, spróbuję go przekonać. Tylko żeby nie miał skrzydeł. Tu jest mało miejsca, wystarczy jedno fruwadło.

Przez chwilę było cicho. Tak cicho, że Shatley przestraszył się, czy mu aby nie padło na uszy. Le-Broud rozwiał jego obawy.

— Pewnie uważasz, że jesteś strasznie dowcipny — powiedział z krzywym uśmiechem. — Pewnie myślisz, że trafiłeś na bandę

półgłówków, którym można nawrzucać ile wlezie, a oni jeszcze będą tupać ze szczęścia.

— Ja nie myślę — Shatley wzruszył ramionami. — To już dawno przestało się opłacać. Teraz obowiązują inne zasady. Jeśli cię biją — spieprzaj, jeżeli dają — bierz i też spieprzaj, bo mogą zmienić zdanie. Proste zależności oparte na podstawowych reakcjach. Już nieraz miałem okazję przekonać się, że na myśleniu daleko nie zajadę. Za dużo nawrzucono szlamu do głów, żeby mogły one jeszcze sprawnie funkcjonować. Nie obchodzi mnie, kto ma rację: chudzi czy grubi. Wisi mi, kto tym razem wygra: rudzielcy czy lysole. Dla mnie wszystko i tak pozostanie szare, bezkształtne i

pozbawione sensu. Le-Broud obserwował go z uwagą.

— Wyznanie wiary? — spytał.

— Raczej niewiary — sprostował Shatley, wycierając nos w rękaw bluzy.

— Po co mi to mówisz, normaku?

— Żebyś przestał się mnie czepiać.

Gdybym wiedział cokolwiek o tej dziwce, już dawno bym wam powiedział. Nie jestem masochistą ani urodzonym męczennikiem. Nie mam żadnego interesu w kryciu kogokolwiek, więc tego nie robię. Jeżeli to zrozumiesz, dasz mi wreszcie spokój i skołujesz coś do palenia, a na niczym innym bardziej mi nie zależy.

— I ja mam w to uwierzyć?

— O mend, co za tuman...

— Znowu zaczynasz — w karpinowatych ślepiach pojawiły się gniewne błyski. — Dlaczego więc, skoro taki z siebie zwisowiec, pomogłeś defektantom w ucieczce z obozu?

Shatley uśmiechnął się pod nosem.

— Tak cię to bawi?! — ryknął Le-Broud. — Taki jesteś pewny swego?! Poczekaj! Zobaczymy zaraz, ile jesteś w stanie wytrzymać!!

Miniaturowe dłonie eksplodowały rojem złocistych smug, z których każda odnalazła węzłowy punkt układu nerwowego. Przez ciało przebiegały odmierzone z katowską precyzją porcje energii — tak dobrane, by sprawić jak najwięcej cierpienia. Shatley zwinął się w ciasny, rozdygotany kłębek wrzasku.

Momentalnie utracił poczucie czasu i miejsca; jego głowa była ogromnym metalowym baniakiem, w którym stado wyjących potępieńców odprawiało szalone misterium. Możliwe, że gdzieś w dali albo gdzieś w głębi toczyła się zaciekle walka o przetrwanie, ale tu i teraz nie było nic prócz bólu, panicznego strachu i bezsilności.

— Czym zasłużyłem na łaskę cierpienia, Panie?

— Niczym. Po prostu jesteś.

— Nie rozumiem.

— Nie musisz.

— A zatem dzięki Ci, Panie.

Twarzą ku ziemi — i jeszcze niżej.
Może zdołasz sięgnąć dna...

Ktoś zgasił światło — niech Nieba

dadzą mu długie i spokojne konanie! Shatley zachłysnął się powietrzem i nagle odzyskaną świadomością własnego istnienia. Nawet nie miał siły zakląć.

Dookoła coś się działo. Coś dziwnego. Słysząc było ostry syk sprężonego powietrza, jakieś gulgoty, szybkie kroki przebiegające bez ładu i składu w różnych kierunkach. Ktoś zawodził ponurym basem, ktoś inny mechanicznie powtarzał kilka obco brzmiących zdań, klepiąc je w kółko jak zadany na pamięć wiersz. Nagle na pierwszy plan wypłynęło przerażone chrząkanie, zaraz potem seria soczystych wybuchów zakończona głuchym stęknieniem, by wreszcie komuś po

tygodniowym zatwardzeniu udało się postawić klocka.

— „Wydmuszki”! — ledwie miał czas skojarzyć Shatley, bo w tej samej chwili sufit zassał śladową porcję energii i na moment rozjaśnił wnętrze pomieszczenia. Kolarta i Le-Broud mogliby śmiało konkurować z eksponatami w Galerii Figur Woskowych, gdyby ona jeszcze istniała. Albo założyć własną.

Ciemno. Na wyczucie — tam, gdzie wzrok zapamiętał ciężki, solidny kształt drewnianej ławy. Nie była przymocowana do podłogi — chwała ci, patronie wszystkich degeneratów i straceńców! Tylko krzepko chwycić w dłonie jeden z końców i dalej w

kóleczko! Pohasamy, kawrasz wasza niedomyta!

Gdzieś całkiem blisko zajazgotała bateria „rzęchaczy”. Co tam się, do ciężkiej cholery, wyrabia?!

Błysk. I znowu ciemność. Stoją jak zamurowani, mordy wyliniałe. Tym lepiej! W stroboskopowym migotaniu światła masywny blat pojawia się w kolejnych fazach zataczanego kręgu. Jest coraz bliżej, tnie powietrze z radosnym furkotem i przechodzi przez postać Le-Brouda. I nic, nawet go nie telepnęło. Shatley ledwie zdążył się zdziwić — pędzące siłą bezwładu drewniane ramię zahaczyło właśnie o Kolartę. Minimalny opór — coś tam chrupnęło, zassało i postać defektanta skurczyła się w

ułamku sekundy. Na podłodze została skórzana kurtka, stos szmat i drewniane saboty. Tylko oderwana od tułowia głowa błysnęła łysiną i poleciała gdzieś w kąt. Za nią narzędzie zbrodni. Ściana rozdarła się, jakby była zrobiona z kartonu. Wypuszczona z rąk Shatleya ława zniknęła mu z oczu, zostawiając po sobie nie—foremną dziurę, przez którą momentalnie wlało się ciężkie, miodowe światło.

Le-Broud? Kontrolne spojrzenie wstecz. Ani śladu — wyparował, cwaniaczek. Czort z nim tańcował! Może jeszcze trafi się okazja podziękować za gościnę.

Na wszelki wypadek sięgnął po kurtkę Kolarty i naciągnął ją na własną

bluzę. Defektancy bojownicy mogliby być trochę zdziwieni, spotykając na swoich tyłach wesołka w uniformie Błękitnego Korpusu.

— Muzyka improwizowana na trąby, bomby i cztery świata strony — pomyślał Shatley, przechodząc przez dziurę w ścianie. Czuł się jak facet skaczący z zawiązanymi oczami z trampoliny. Być może trafi w wodę, o ile nikomu nie wpadnie do głowy jej wypompować albo, na przykład, przerobić basenu na lodowisko.

Po drugiej stronie był las. Cudacznie powyginane drzewa o grubych Pniach pokrytych różowawą łuską. Rosły w dużych odstępach, a ich gałęzie Splatały się kilka metrów nad ziemią, zamykając

przestrzeń baldachimem
ciemnobrązowych liści wielkości dłoni.
Wisiały tam setki tysięcy bursztynowych
łez i to właśnie one zalewały otoczenie
ciężkim, miodowym światłem. Drugie
tyle walało się pod nogami i
wystarczyło lekko je trącić, by wydobyć
brzękliwą melodię, przypominającą
szczebiot rozstrojonej mandoliny. Z
lewej poszły trzy solidne stęgnięcia.
Znowu „wydmuszki”.

— Zdrowo naparzają, chłopaki —
mruknął Shatley z uznaniem. — Tak
trzymać. Potrzeba solidnej zadymy,
żebym mógł stąd wyprysnąć.

Za jego plecami kartonowa budka
sama przerobiła się na makulaturę
Bursztynowe łzy muśnięte falą

uderzeniową wypełniły przestrzeń skargą która mogłaby głuchego przyprowadzić o dziwny rodzaj wzruszenia, graniczący z obłędem. Sztuczny wiatr potargał ciemnobrązowy baldachim, strącając blisko połowę wiszących tam owoców. Te, widać niedojrzałe, pękały przy zderzeniu z ziemią i nie tylko — kilka z nich trafiło w skurczoną sylwetkę uciekiniera, oblepiając jego głowę i ramiona zielonkawym śluzem. Miodowe światło nieco przygasło, a Shatley stracił resztki dobrego humoru.

— Nie cierpię kisielu — mamrotał, klucząc między drzewami i plując na wszystkie strony kwaśną breją, która ściekała mu po twarzy.

Z tyłu goniły go odgłosy detonacji,

świsnęło kilka zabłąkanych pocisków, ginąc w liściastym sklepieniu. Któryś zarył się w różowawym pniu — drzewo mlasnęło, poleciała łuskowata kora, a ze środka wypłynęła cuchnąca, biaława maź. Wyglądało to jak ropiejący wrzód w stanie pełnego rozkwitu.

Shatley biegł zakosami, uważnie obserwując teren. W pewnym momencie dostrzegł w przodzie poruszające się sylwetki — coś tam dłubały pochylone nisko nad ziemią. Na wszelki wypadek zwolnił i wtedy z góry skoczył na niego jakiś... nie, to nie był człowiek. Cholera wie co. Przekoziółkowali szczepieni w jeden podrygujący kłębek. Wąski, wydłużony pysk, rząd żółtych zębów, szponiaste łapy, drące skórzaną kurtkę...

Czyjś krótki okrzyk i to coś zostawiło Shatleya, wdrapując się błyskawicznie na powyginany pień łuskowca, zza którego wyszła sękata, pokrzywiona postać. Długie, przetłuszczone włosy zasłaniały twarz i tylko skośne, żółtawe ślepią świdrowały rozciągniętą na ziemi sylwetkę uciekiniera.

— Skąd jesteś?

— Łącznik od Le-Brouda — wypalił Shatley. Była to pierwsza rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

— Od Le-Brouda? Tutaj? — defektant jakby zawahał się. — Leziesz prosto na Bariere — podszedł bliżej i pokazał kierunek. — Sto metrów, a potem w prawo. Wstawaj,

poprowadzę... — w tej samej chwili zauważył przez rozdartą kurtkę fragment Błękitnej Gwiazdy. — Tyyy!!...

Shatley cisnął mu w oczy garść bursztynowych łez, a potem zerwał się i ulokował prawy but w okolicy podbrzusza przeciwnika. Defektant opadł na ziemię i został tam, zgięty w pół, jakby zjadł coś nieświeżego na obiad—Przenikacz leżał obok i czuł się dobrze. Wystarczyło go podnieść. Trzeba to było zrobić dość szybko, bo z pogiętego pnia skoczył brunatny pocisk i prezentując pełne uzębienie runął w stronę Shatleya.

Skłon, chwyt, trzask luzowanego bezpiecznika, odskok. Zwierzak z krótkim skowytem zatrzymał się obok

nieruchomego ciała. Chwila wahania — toczy dalej, czy zostanie na miejscu? Maksymalny kąt rażenia... Kawrasz, niech tylko spróbuje! Jeszcze się takie nie uległo, żeby było szybsze od światła. Jeszcze...

Między drzewami przemknęła samosterująca pchła wielkości sporego kangura. Była tak dzielna, jak tylko mogą być dzielne bezmózgie automaty. Miała wiele uroku i zadanie do wykonania. Spotkanie i uśmiercenie Shatleya nie było przewidziane w jej programie, więc nawet go nie zauważyła, podziękował za to ślepemu losowi i pobiegł w drugą stronę. Po stu krokach trafił na kilkumetrowy uskok terenu. Niżej, wąskim żlebem będącym w

dawnych czasach korytem trójszynowca, przebiegały skulone sylwetki defektanckich bojowników. Szykowali coś, co z grubsza mogło przypominać „gniazda tymczasowego oporu z możliwością natychmiastowego odskoku na z góry upatrzone pozycje strategiczne”. Sądząc po natężeniu nadciągającej nawałnicy, ten właśnie odskok był im najbardziej potrzebny.

— Powodzenia, brudasy — mruknął Shatley pod nosem. — Cokolwiek by się stało, nie liczcie na mnie. Jestem tu przejazdem.

Na wszelki wypadek sprawdził przenikacz — rubinowa kreska kolebała się niepokojąco blisko zera. Mało zabawne. Tym bardziej że jakiś

dowcipas właśnie postanowił odpalić „jarzeniowy”. Smugi rozgrzanego do białości powietrza uderzyły w niedokończone pozycje defektantów, zamieniając je w mało apetyczną breję. Jednocześnie Shatley dostrzegł kilkanaście pstrokatych mobil, przyskających przed regularną tyralierą ciężkich crawlerów Konsorcjum. Hannibal wprowadzał do akcji swoje słonie, a to oznaczało, że ma zwycięstwo w kieszeni albo jest z nim bardzo źle. Brakowało tylko fanfar, ale i tak nie byłoby z nich większego pożytku — ryk silników, wizz dartego powietrza i lawina potężnych detonacji tworzyły taki harmider, że Shatley nie słyszał nawet własnych myśli. Nie miał ich

zresztą zbyt wiele. Po prostu leżał wciśnięty w cudem jeszcze trzymający się kupy nasyp i czekał, aż jakaś przypadkowa „purchawka” celnym trafieniem rozwiąże wszystkie jego problemy. Skoro już tu jesteś, skoro już musisz tu być... O mend, przecież nie można tak leżeć bez końca!

Shatley zmusił się do podniesienia głowy — tylko po to, by przyjąć na twarz fontannę piachu zmieszanego z gryzącym dymem. Poleciał do tyłu jak szmaciana kukła, a wybuch przygniótł go zwałami przemielonej ziemi. Gramolił się niezdarnie, szczerząc jak idiota zęby i powtarzając w kółko: — spudłowali, znowu spudłowali... Dopiero widok szarżujących crawlerów, z których trzy

wspinały się właśnie na zrujnowany nasyp, otrzeźwił go na tyle, że zaczął biec w przeciwnym kierunku, klucząc między drzewami jak ścigane zwierzę. Słyszał za sobą monotonny aż do szaleństwa warkot silników i najgorsze było to, że mógł tylko uciekać. Tylko...

Gdzieś z boku wyskoczył mały pstrokaty motyl i zakręcił się w miejscu jak dziecinny bąk, ściągając na siebie uwagę dwóch crawlerów. Trzeci nie zmienił kierunku jazdy. Shatley minął właśnie ostatni powyginany pień łuskowca i trafił na pozbawiony drzew płaskowyż, poprzecinany zygzakowatym, rozgałęziającym się co kilkadziesiąt metrów wykopem. Śmieszna fortyfikacja była pusta — przynajmniej takie

sprawiała wrażenie. Czerniała ziemia, roztrzaskany kadłub pchły, popalone zwłoki paru defektantów. Idealne miejsce na piknik, zwłaszcza jeśli ktoś lubi pieczone.

Dno rowu było dosłownie zawałone zwęglonymi ciałami, przemieszanymi z najróżniejszym złomem. Shatley zmusił się, by zeskoczyć w sam środek tego pobojuwiska. Biegł z nisko pochyloną głową, depcząc od czasu do czasu niepotrzebne już nikomu ręce, nogi... Nieważne. Trzeba szybko znaleźć jakąś kryjówkę. Szybko, zanim te gnoje na górze zorientują się, gdzie zniknęła tropiona zwierzyna.

Lewa, prawa, lewa... płuca
dławione swądem spalenizny,

przymglony wzrok szukający choćby najmniejszej dziury, w uszach coraz bliższy warkot silnika. Kawrasz, przecież to niemożliwe, żeby nigdzie!... skręt, jakiś truposz tarasujący drogę — won ścierwo, dalej...

Dalej był już koniec. Zaklinowana na całej szerokości okopu pękata wieżyczka działka wibracyjnego załatwiała sprawę.

Shatley odwrócił się. Na wprost niego, w odległości jakichś dziesięciu metrów, zastopowała kanciasta bryła ciężkiego crawlera. Kolos wspierał się płozami na obydwu brzegach wykopu, łącząc je swym stalowym cielskim niczym monstrualnych rozmiarów kłamrą. Drgnęła jedna z anten na samym

szczyt, ażurowe oko odszukało wciśniętą w ziemię sylwetkę uciekiniera. Umilkł warkot silnika.

I cisza...

Sekunda ciszy to czasem więcej niż wieczność.

Sekunda niepewności to więcej niż wieczność w piekle.

— Zrób to, ty nadęty, zadowolony z siebie skurwielu — mamrotał Shatley.

— Zrób to, ty wytresowana małpo, ty bezmózga kreaturo w polowym mundurku. O mend, na co jeszcze czekasz? Przecież po to cię tam posadzono. Wal śmiało, tylko się nie obsmarkaj z radości...

Było mu na przemian zimno i gorąco. Zamiast nóg miał watę, zamiast żołądka

ciężki, beznadziejnie ciężki i oślizgły kamień, zamiast serca oszalałe ze strachu, dzikie zwierzę, które za wszelką cenę chciało się uwolnić z klatki żeber. Byłby upadł, gdyby nie wspierająca plecy kupa żelastwa, gdyby nie podtrzymujące go z obu stron ściany okopu. Musiał więc stać i patrzeć. I czekać.

A tam, w górze, ażurowe siatki mechanicznych ślepi przyglądały mu się z zaciekawieniem, analizowały sytuację, wymieniały ironiczne komentarze. Niemal widział załogę crawlera skupioną wokół monitorów, na których widniała jego przerażona gęba. Byli zadowoleni z siebie, może nawet dumni. — na pewno dobrze się bawili. Czyjeś

palce wynudzone zbyt długim
oczekiwałem postukiwały o brzeg
pulpitu ogniowego, tuż koło czerwonego
przycisku momentalnej śmierci. Ktoś
rzucił monetą (orzeł — zabić, reszka —
zostawić), ktoś inny pił wprost z
termosu lurowatą kawę, a kilka kropel
skąpało mu z dokładnie wygolonego
podbródka i splamiło waleczną pierś
ozdobioną błękitnym godłem
Konsorcjum. „Nic nie szkodzi, Chief-
crawman, to się zaraz wyczyści.” Miła,
familijna atmosfera, jaką potrafią
wytworzyć ludzie na odpowiednim
poziomie. A mówią, że jesteśmy
cywilizowani...

— Skurwysyńskie gady! —
wrzeszczał Shatley. — Nie wytrzymam

tego dłużej! Słyszycie?! Nie-wy-trzy-mam!!!

Twarz na monitorach była naprawdę zabawna, dobiegający z głośników krzyk również. Śmiali się z niego. Mówili: — kłamiesz. Mówili: — wytrzymasz, choćbyś miał czekać i tysiąc lat. Mówili: — zostawimy cię, bo tak zdecydował rzut monetą, ale jeszcze trochę chcemy sobie popatrzeć. I patrzyli, kiwali głowami, cmokali z ukontentowaniem, tręcali się łokciami aż do chwili, w której o stalowy pancerz zagrzechotały pierwsze pociski, a w kabynie niespodziewanie przygasły światła. Siły defektantów rozpoczęły gwałtowne kontrnatarcie.

Furkot nadlatujących oligopterów,

przechylna na jedną stronę, spowita obłokami tłustego dymu bryła crawlera, lawina huku i ognia...

To wszystko stało się tak nagle...

Była noc. Noc bez gwiazd. Gwiazdy nie chciały mieć z tym nic wspólnego. Ty też, ale ciebie nie pytano o zdanie.

Oślepiające smugi skondensowanego światła, odgłosy eksplozji, wycie katowanego powietrza i drżenie ziemi. Pozycje piętnastego baonu przypominały wnętrze rozbełtanego wulkanu. Pozycje piętnastego baonu prawie nie istniały. Istnieli jednak ludzie — ślepi, głusi, opętani strachem...

Szaleństwo.

Według rozkazu.

Wykonać.

A jakżeby inaczej?!

Defektanckie oligoptery atakowały jak rój rozjątrzonych os — kłuły ziemię żądłami plazmerów, zbierały nektar śmierci. Były niestrudzone. Odwalały dobrą robotę. Też miały rozkaz.

Taka idiotyczna gra, polegająca na tym, że ci w bordowych skarpetach tłuką się z tymi w zielonych papuciach.

Proszę bardzo — jakie to wszystko proste!

Zwykła noc. Noc bez gwiazd. I bez nadziei.

Wiłeś się jak przydeptany robak, błagając ziemię, by cię objęła, ukryła... Jak zwierzę darłeś pazurami oporną glinę, rozrzucałeś na boki i płakałeś z

wściekłości, bo przecież i tak spadała z powrotem w dół... Jak obłąkany wygrażałeś niebu, na którym roiło się od wrogich maszyn...

Nad ranem przyszła mgła, a zaraz za nią nadciągnęły oddziały defektantów. Pstrokate mobile otoczyły pobojuwisko i resztki piętnastego baonu spędzone w jedno miejsce — pod przezroczystą czapkę siłowego pola. Stał, tam w półtorametrowej warstwie lodowatej żelatyny. Od czasu do czasu kogoś zabierano, od czasu do czasu ktoś osuwał się w głąb półprzejrzystej brei od czasu do czasu Shatley przypominał sobie, że istnieje i wtedy trzęsło nim jeszcze bardziej. Koło południa pstrokate mobile zniknęły. Jeńcy ciągle

tkwili pod kloszem. Do wieczora dotrwała może połowa. Syty, nabrzmiący czerwienią krąg słońca osiadł ciężko na linii horyzontu, gdy pojawiły się szpice helgolarskiej armii i technicy w błękitnych mundurach wyłączyli wreszcie generatory pola. Pięćdziesiąt zidiociałych ze strachu i odrętwiałych z zimna manekinów układano na noszach i niesiono do sanitarnych spodków, a ci z medów, którzy byli przy Shatleyu, dziwnie kręcili nosami. On sam rechotał głupkowato, grzebał w spodniach i pokazywał wszystkim upaprane gównem ręce twierdząc, że lepiej już obsrać się samemu, niż pozwolić, by zrobili to inni. Chyba miał rację.

MIROŚLAW PIOTR

JABŁOŃSKI urodził się 26 maja 1955 roku w Zakopanem, mieszka w Krakowie. Ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej w roku 1981, a w latach 1984–1986 był słuchaczem Studium Scenariuszowego przy PWSFTiTV.

Zadebiutował w 1982 roku powieścią „*Kryptonim Psima*” (Iskry), która posłużyła Piotrowi Szulkinowi do scenariusza filmu „Ga, ga — chwała bohaterom”. Jego następne książki to: „*Posłaniec*” (Nasza Księgarnia, 1986,

wspólne z Andrzejem Drzewińskim), powieść „*Nieśmiertelny z Oxa*” (Glob, 1987), *Trzy dni Tygrysa*” (Iskry, 1987), „*Schron*” (Glob, 1987) oraz zbiór opowiadań „*Czas Wodnika*” (Iskry, 1990). Pojedyncze opowiadania drukowała „*Fantastyka*”, „*Przegląd Techniczny*”, „*Młody Technik*”, „*Pismo literacko-artystyczne*”.

Jak widać, dorobek to niemały jak na autora, który debiutował zaledwie przed 8 laty. Opowiadanie „*Duch Czasu*” jest obszernym fragmentem nie drukowanej powieści, która z chwilą ukazania się na rynku stanie się, moim zdaniem, curiosum w polskiej SF.

Po pierwszym czytaniu byłem zaskoczony swobodą, z jaką autor

porusza się wokół spraw, o których mówi się raczej oględnie, jakby z obawy, by nikogo nie obrazić.

Bezpośredniość, a przede wszystkim odrzucająca wszelkie konwencje obyczajowe swoboda językowa, to *novum* w rodzimej fantastyce. Język, którym operują bohaterowie, nadmiernie rozbudowany, wulgarny w potocznym rozumowaniu, przypomina bluźniercze dysputy. Jabłoński atakuje w nich i broni...

Akcja powieści zatytułowanej „*A w Pińczowie dnieje...*” toczy się w niedalekiej przyszłości na coraz bardziej gorącej Ziemi, na której z powodu owego upału i zmian klimatycznych giną kolejne gatunki zwierząt.

Główny bohater, Robert Crane z Biloxi, Missisipi, rozpoczynający właśnie Pięcioletni okres przymusowego bezrobocia, jest człowiekiem pełnym kompleksów, a jednocześnie ogarniętym manią ratowania zagrożonych w swym dalszym istnieniu białych niedźwiedzi polarnych (*thalarctos maritimus*).

Swoje posłannictwo widzi w akcie, mającym zwrócić oczy świata na ten problem — zamierza publicznie odbyć zoofilny stosunek z samicą wymierającego gatunku *thalarctos maritimus*. Wraz ze swymi przyjaciółmi — Jolandą Kucharski z Minnesoty, a wywodzącą swój ród ze środkowoeuropejskich wyżyn, Aronem

Feldsteinem z Jerozolimy oraz partnerami brydżowymi: Janem Kmitą z Pińczowa, jarlem Erykiem Johansenem z Grenlandii i Johnem Mortimerem Woldcokiem z Nowej Zelandii — Robert Crane wędruje przez czas i przestrzeń tropiąc Ducha Czasu, der Zeitgeist, odpowiedzialnego za taki a nie inny kształt historii i mającego w związku z tym na sumieniu nie tylko białe niedźwiedzie.

Niewątpliwie jest to tekst przeznaczony dla czytelnika dorosłego; jest w nim seks, religia, ekologia, sprawy bulwersujące od wieków filozofów i historyków. I chociaż mogłoby się komuś wydawać, że coś podobnego może stworzyć tylko chora

wyobraźnia, to trzeba sobie
uświadomić, że taka fantastyka istnieje,
jak choćby w prozie Farmera, żeby
szukać tylko w getcie SP I chyba dobrze,
że zawita pod nasze strzechy taka
zwariowana, ale nie jednoznaczna
fantastyka w rodzimym wydaniu.

Duch Czasu

W głowie Roberta zapaliło się czarne światło i mimo rozpaczliwych prób z jego strony nie dawało się wyłączyć. Płonęło intensywnym kirem, nie pozwalając Bobowi ani usnąć, ani nie spać, ani pograć się w niebycie, ani istnieć na jawie, i trwało to tak długo, aż pomyślał, że umarł, bo był ateistą i w związku z tym nie mógł liczyć ani na niebo, ani na piekło, ani na

czyścić, tylko na zupełną czerń. Nawet nie był to ów Wszechświat wszechświatów, który napawał go takim lękiem, gdy o nim na trzeźwo dumał.

Teraz nie myślał, nie było go, a kiedy przyszedł do siebie, to przekonał się, że żyje, że nie umarł i z tej radości dostał takiego kaca, katzenjammer vel kociokwik, że przez miesiąc kwiczał niczym samica gatunku thalarctos maritimus, rżnięta przez trzydzieści dni i nocy na jutlandzkich, wiecznie zielonych łąkach należących do relikтового króla. Po upływie tego czasu włączył się Kmita.

— Klin klinem? — zaproponował Bobowi, znajdującemu się ciągle jeszcze in articulo mortis.

— Non decet, przyjacielu — odparł Crane słabym głosem. — Wiem, że potores bibuli media de nocte falerni oderunt porrecta negantem pocula, pijący podnieceni falernem o północy już nie znoszą tego, kto odmawia podanego mu pucharu, ale nie przystoi, gdy wyruszam do Ziemi Świętej, do Wolnego Miasta Jerozolimy, w którym przebywa mój obrzezany przyjaciel Aron polny kamień, alias Podkładka. Zobaczę Ścianę Płaczu, jedyny ocalały fragment Drugiej Świątyni, odbudowanej i rozbudowanej przez Heroda I Wielkiego po niszczycielskich działaniach Nabuchodonozora i restauracyjnych Zerubabela, których to wysiłków podjął się Herod, by ugłaskać

nienawidzących go — jako poplecznika Rzymu i propagatora pogaństwa — Żydów. Był on mężem okrutnym, ale też niepospolitych talentów politycznych, bowiem dzięki przyjaźni z Markiem Antoniuszem został najpierw królem Judei, a po bitwie pod Akcjum na Morzu Jońskim, w której Antoniusz i Kleopatra dostali setne baty, zyskał łaski zwycięzcy Oktawiana, późniejszego Augusta.

Victoria ta, kładąc kres republice, uczyniła Oktawiana jedynym władcą Rzymu, w którym wcześniej Cicero popierał go swymi mowami, a ganił w filipikach rozwiązłego Marka Antoniusza; co czynił słusznie, gdyż ten triumvir dał się później wodzić za nos i

fiuta egipskiej kurtyzanie.

Niestety, Terra Sancta jest także świętą dla Arabów, którzy wierzą niezłomnie, iż skala, znana z ofiary Abrahama, jest tą samą, z której wniebowstąpienia doświadczył Mahomet, w związku z czym postawili tam ośmiokątny meczet Omara, Kubbet es-Sachra; a znów chrześcijanie mają obok swoją Golgotę. Czy więc w takim skondensowaniu świętości, walczących ze sobą o lepsze, może być spokój? Toż jest to świętość do trzeciej potęgi, świętsza od siebie samej.

— Well — powiedział Kmita. — Ty, niedowiarku, nie będziesz miał swego Damaszku. Fugas chrustas, Crane!

— Jestem zwolennikiem teologii śmierci Boga, czyli wyznawcą bezreligijnego, ateistycznego chrześcijaństwa Bonhoeffera, który postulował usunięcie roboczej hipotezy Boga z problematyki wiary, a zostawienie całej reszty tak jak jest, czyli był za etyczną interpretacją tradycyjnych pojęć biblijnych i całej dogmatyki Nowego Testamentu. Zauważ, iż zgadza się to doskonale żydowską anegdotą o tym, jak to uczeń w chederze zażądał od mełameda, by mu Torę w jednym zdaniu objaśnił.

„Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe — miał oświadczyć święty mąż. — Reszta to komentarze”.

Jest to najprostszą prawdą, której

atoli nie sposób w życie wprowadzić, bowiem funkcjonuje także druga szkoła filozoficzna, antagonistyczny nurt Kalego (i krowy czarno-białej, mięsno-mlecznej), według którego wartościowanie uczynków bywa zależne od tego, KTO komu coś złego uczynił. Myślę, że na miejscu przekonam się, jak jest w istocie, i który z wielkich Współczesnych prądów myśli ludzkiej zwycięża.

— Posiedzmy chwilę przed twoją wyprawą. To rosyjski zwyczaj, ale i my zawsze siedzimy. Nawet jeżeli nie wyjeżdżamy.

— Jesteś kazuistą, Kmita — powiedział Crane, siadając jednak posłusznie. — Kręcisz jak szewc

kopytem. Albo jak mój przyjaciel Carlos swoim Pepitem. Dasz wiarę? Spotkałem faceta, który miał kutasa długiego i w prążki, zupełnie jak equus grevyi czy też equus zebra, którą zabił i spopielił swym wykonanym z bambusa i liści palmowych myśliwcem ugandyjski pilot, późniejszy — bo post mortem — bohater narodowy. Jego przypalony nieco mózdzek, uwędzony w dymie bambusa arundinacea i liści musa sapientum, czyli przepysznego banana pizang, dostarczono w naturalnym naczyniu z wszelkimi honorami, należnymi poległemu na służbie obrońcy granic, do Kampali, po czym zjedzono podczas rytualnych tańców na centralnym placu miasta.

W ten sposób niezłomny duch dzielnego lotnika wcielił się w innych oblatywaczy bananowo–bambusowych myśliwców nurkujących, a szczególnie w pułkownika Nimongę, przełożonego poległego na polu chwały. Co prawda nie było to pole, a góra, dokładniej nawet góra Elgon, o wysokości czterech tysięcy trzystu dwudziestu jeden metrów nad poziom morza, znajdująca się na pograniczu kenijsko–ugandyjskim, ale miało to znaczenie o tyle, że z niewiadomych dla oficjalnych czynników ugandyjskich przyczyn, samolot rozbił się na kenijskim zboczu i w celu sprowadzenia gorącego dania do Kampali trzeba było wysłać spory korpus ekspedycyjny, który igni et ferro

utorował sobie drogę do doczesnych, bohaterskich szczątków. Po czym, szarpany przez równie jak on dzielnych obrońców granic kenijskich, wrócił zdziesiątkowany do stolicy tak szybko, że mózdzek nie zdążył nawet wystygnąć! Teraz więc bardzo była potrzebna wszystkim odwaga poległego lotnika—bohatera, bowiem hordy oburzonych naruszeniem umiłowanej granicy Kenijczyków stały pod miastem. Pułkownik Nimonga, naczelny dowódca Bambusowo—Bananowych Sił Powietrznych, w skrócie BBAF, zaproponował, by za sterami jego niezawodnych myśliwców usadzić konie (gdyż gdzieś wyczytał o podobnym podstępie, tylko nie pamiętał tytułu

dzieła), a poza tym doszedł do wniosku, iż pod względem doznań smakowych mózg konia equus, nie ustępuje w niczym mózgowi lotnika, homo sapiens. Przemysłny fortel nie udał się jednak, bowiem użyte podczas pierwszej akcji przeciwko odwiecznemu nieprzyjacielowi konie, którym nie wpojono odpowiedniej dawki dyscypliny, pozjadały bananowe liście poszycia płatów, przez co zmalała znacznie siła nośna na skrzydłach i eskadry pospadały na łeb na szyję i to — niestety — nie wroga.

W ten prosty sposób wytrzebiono ostatnie konie i wówczas została jeszcze na Ziemi tylko kobyła konia Przewalskiego, equus przewalskii,

przechowywana w jurcie przez jednego Mongoła i używana przez niego jako wierzchowiec, karmicielka, żona i kochanka; oraz koń mechaniczny, pseudo Pferdestärke, alias hors power, vel cheval-vapeur.

„Vide cui fide!” — zakrzyknął na to prezydent Ugandy, doktor Tonga-Tonga, do struchlałego pułkownika Nimongi, po czym kazał tego ostatniego położyć na pędach rosnącego obok pałacu prezydenckiego młodego bambusa, co wykiełkował na miejscu lotniczej hekatombi. Gdy pędy b. arundinacea pięknie się zazieleniły, a zdrajca Nimonga przestał drgać, ciało upieczono, pieczeń podzielono i rozdano na liściach banana pomiędzy rodzinę

prezydencką oraz dostojników państwowych i wyższych stopniem od marszałka dowódców wojskowych.

Nadworny kucharz prezydenta, człek podłej kondycji, bo biały i porwany za młodu z kuchni hotelu „Savoy” w Paryżu, rozebrał Nimongę tak: szynka dla prezydenta, kutas i jaja dla prezydentowej, uda w trzydziestu zgrabnych porcjach dla bliższej i dalszej rodziny prezydenta, która na ucztę nadeszła z pobliskiego lasu; żylakowate łydki dla wyższych urzędników ministerialnych; nerki i wątroba dla ministra wojny, wielkiego opoja; kocioł przyprawionych majerankiem, majorana hortensis, flaków Nimongi dla

obergeneralissimusa Morangi j jego licznej rodziny; skrzydełka i piersi Nimongi dla szesnastu córek doktora Tongi–Tongi; płucka na kwaśno dla generalissimów Polandy i Pilandy a reszta dla psów, co strzegły stolicy i nie pozwalały wejść do niej obcym wojskom. Natomiast mózg rzucono właśnie tym ostatnim, by Kenijczycy go zjedli, zarazili się zdradą i poszli oblegać swoje Nairobi, lecz i ten podstęp się nie udał.

Rozporządziwszy w ten sposób doczesnymi szczątkami Nimongi nadworny kucharz prezydenta, niejaki Jean–Paul Baumonte, ukrył zaoszczędzone resztki pułkownika, by je z zyskiem sprzedać na czarnym rynku,

jako cenioną przez wszystkich poddanych Tongi—Tongi koninę. Teraz staje się jasne, dlaczego takiej ekscytacji doznał bohaterski pilot na widok samotnego egzemplarza equus grevyi czy też equus zebra pasącego się na zboczach Elgonu, a także znanym staje się powód, dla którego zapędził się za nim aż na kenijską stronę, gdzie prawdopodobnie został zestrzelony z wyrzutni orzechów kokosowych ziemia—powietrze.

— Przy tobie jestem najczystszej wody weredykiem — oburzył się kazuista Kmita. — Łziesz jak pies, canis familiaris, i nawet nie wiesz, jaka jest średnia długość życia mieszkańców Kenii i Ugandy.

— Razem? — zainteresował się Bob. — To chyba będzie ze trzydzieści cztery lata, bo tam dwunastoletni chłopcy idą bronić granic, zapłodniwszy uprzednio swe dwunastoletnie siostry i koleżanki, które umierają potem podczas porodu. Statystykę kraju zawyża doktor Tonga–Tonga, absolwent Sorbony i — co jest solą w oku prezydenta — także pani prezydentowa, hora dożyła nieprzyzwoicie późnego wieku dwudziestu czterech lat, a więc Posunęła się znacznie, a mimo to nie ma najmniejszego zamiaru owdowić Tongi–Tongi. Prezydent ma swój plan — chciałby pojąć nową żonę, taką dwunastoletnią, bo od ponad dekady pożycia z panią prezydentowa znudziła

mu się ona i mocno zdewaluowała w gorącym klimacie; pragnęłby ją zatem spożyć w towarzystwie młodej małżonki na uczcie weselnej.

— Myślę — powiedział ostrożnie Kmita — że byłaby to pocieszająca wiadomość dla naszego przyjaciela jarla Erika Johansena z Angagssalik, gdyby przeniósł się w sawanny Afryki, uchodziłby tam za współczesnego Matuzalema, żyjącego 969 lat dziada Noego. Późny wiek, a co za tym idzie spora łykowatość, czyniłaby go niejadalnym w oczach tubylców i widzę tylko jeden szkopuł takiego rozwiązania — musiałyby z rzodkiewek, raphan sativus, szpinaku, spinacia oleracea, i kivi przerzucić się na banany, musa

sapientum, i młode pędy bambusa, bambusa arundinacea. Ale za to jakież luz psychiczny! Długość już tylko jego obecnego życia przekraczałaś sumę średnich dla Kenii i Ugandy, a byłaby dwukrotnie wyższa od każdej z nich.

— Well, Kmita — powiedział Crane. — Myślę, że skoro posiedziałem sobie przed drogą rosyjskim zwyczajem, to teraz możemy napić się strzemiennego!

— Avanti! — powiedziała mademoiselle Jolanda Kucharski, pojawiając się w polu zainteresowania Crane'a, któremu wydało się, że na jej ciele i sukience dostrzega niewyraźne ślady czarno-białych pasków.

— Widziałaś się z Carlosem? —

zapytał.

— Przelotnie.

Była to w istocie prawda, gdyż Carlos z Pepitem przelecieli ją kilkakroć w czasie kiedy Bob potykał się z herr Katzenjammerem na polach podwzgórza mózgowego. Po tej zwycięskiej walce Crane'owi pozostało jeszcze niewielkie drżenie rąk, spowodowane zaburzeniami w pracy ośrodka układu nerwowego, oraz zaczerwienione białka oczne. Dolegliwości te postanowił usunąć „klinem”.

— Na Odyna! — chuchnął Bob donośnie, odstawiając kieliszek. — Wódka, którą przysłał mi jarl Erik Johanson z Angmagssalik, pędzona przez

Eskimosów z resztek lodu polarnego i ptasiego gówna — nie wiem tylko, czy alk, alcidae, czy mew, laridae — smakuje tak jak jej nazwa: Polar Vodka IG, przy czym skrót IG nie oznacza bynajmniej Industrie Getrieb, a Ice-Guano. To mi przypomina, że koncern IG Farben, własność rodaków mego ojca, produkował między innymi cyklon B służący do dezynfekcji, dezynsekcji i deratyzacji, którym w ramach wniosku racjonalizatorskiego, zgłoszonego przez Heinricha Himmlera et consortes, truto obrzezanych rodaków mego przyjaciela Arona Feldsteina, alias Podkładki, mego współpracownika przy taśmie montażowej w zakładach w Bilox. On podkładał, a ja pchałem i tak żeśmy

pchali–podkładali i podkładali–pchali,
aż się z tego zrobiło jakieś takie
podpychadanie ogólne.

Poruszyliśmy tutaj sprawę ptactwa
morskiego, dlatego chciałbym powyższe
rozważania rozszerzyć o pingwiny,
sphenisciformes. Otóż ptaszyska te
występują, w przeciwieństwie do
białych niedźwiedzi, na Antarktydzie, na
wyspach oceanów południowej półkuli i
w Patagonii, co niewątpliwie musiał
obserwować wielki żeglarz James
Cook, kapitan Jego Królewskiej Mości.

Mało tego, taki pingwin
okularowiec, spheniscus demersus,
zamieszkiwał zachodnie wybrzeże
Afryki południowej, a aptenodytes
patagonica Ziemię Ognistą, wyspy

Kergulena i Falklandy.

Podczas pierwszej wyprawy, w 1773 roku, Cook dotarł w pobliże obecnego o antarktycznego wybrzeża Księżniczki Ranghildy; w czasie drugiej, po roku przekroczył siedemdziesiąty równoleżnik na późniejszym Morzu Amundsena, a w trakcie trzeciej, w kolejnym roku, opłynął Horn. Musiał więc widzieć pingwiny, a niedźwiedzi ani śladu. Wskazywałoby to, według teorii Crane'ów, ojca i syna, iż bieguny już przynajmniej raz zamieniły się rolami, i pingwiny — które jak dziś alki umiały wówczas latać — zabrały się z północnym biegunem na południe, zaś *thalarctos maritimus*, jako ciężki z natury i nielotny, pozostał na dupie w Arktyce.

Za teorią ową przemawia postępowanie Amundsena, który osiągnął biegun południowy (umówmy się dla wygody, iż nadal będziemy go tak nazywać, chociaż udowodniłem wam biało na białym, że to nie ma sensu) o cztery tygodnie wyprzedzając Scotta, co z żalości zamarzył wśród lodów w drodze powrotnej. A potem Roald chciał zdobyć biegun północny (z powyższym zastrzeżeniem), bo gdy mówił w domu przy kolacji, iż tak naprawdę to za jednym zamachem zaliczył oba, śmiano się z niego bezczelnie, jak to w rodzinie.

Rozeźlony ruszył więc na podbój na statku „Maud” (to z braku w tamtych czasach „Nautilusa” o atomowym napędzie), zaś później przelatywał nad

biegunem samolotem, by wreszcie wraz z Umberto Nabilem zawisnąć nad nim w sterowcu „Norge”. Wisieli tam jak dwa nietoperze, chiroptera, rękoskrzydło, wychyleni głowami w dół, i z tej pozycji patrząc znowu nie było żadnej różnicy pomiędzy biegunem północnym a południowym, na którym — jak ci ze szkoły wiadomo — ludzie do góry nogami chodzą.

Włoch i Norweg wypatrywali oczy, ale wówczas nie było tam jeszcze białych niedźwiedzi, których obecne terytorium kurczy się tak szybko, iż postanowiły, biegnąc truchtem wokół ziemskiej osi, przyśpieszyć nieco jej bieg.

— To już mówiłeś —

zaprotestowała Jolanda potrząsając
piersiami, by skierować rozmowę na
inne tory. — Chciałabym wiedzieć, czy
przydam ci się na coś w Jerozolimie?
Miałeś się nad tym zastanowić.

— Myślę, że tak — powiedział Bob,
gdy już byli w Wolnym Mieście. — Są
sprawy, których mężczyzna z mężczyzną
nie załatwi, choćby tamten był nawet
pijanym Norwegiem in duplo. Przy tym
zauważ, że Roald Amundsen należał do
tej samej narodowości, a więc moja
zbiorowa pederastia, tak niesłychanie
bulwersująca moją matkę, Ullę Crane,
de domo Nielsen, rasy czarno-białej,
mięsno-mlecznej, podyktowana była w
znacznym stopniu rozwijaniem teorii
dotyczącej losu polarnych niedźwiedzi z

Nordkappu.

Muszę tu zauważyć, iż zdenerwowanie mojej matki (reszta jak wyżej) nie wynika bynajmniej z faktu, iżby mój okazjonalny homoseksualizm miała za gorszące wyuzdanie albo za coś towarzysko niewłaściwego, a raczej z tej przyczyny, że za zboczeńców uważa wszystkich in globo, którzy jej jednej, jedynej nie pożądają. Jako ostatnia prawdziwa kobieta ma do tego prawo, tak uważa, i nie wyłącza z grona swych ewentualnych kochanków także i mnie, in spe, iż podobnie jak opuchłonogi król Edyp zajmę miejsce Lajosa Crane'a Starszego i będę ją ruchał. To logiczna konsekwencja przyjętego przez nią założenia. Jest więc a priori obrażona na

wszystkich krótko- i długochojców, którzy nie dosyć na tym, że nie zabawiają się z nią, to jeszcze tracą siły, spermę i czas na jakieś myszowate pizdule, na Norwegów z Nordkappu i na białe niedźwiedzie.

— Bobie Crane — powiedziała Jolanda, która leżąc na boku na hotelowym łóżku oparła się na łokciu, skutkiem czego piersi zjechały jej pod ramię, a Bobowi żołądek podjechał do gardła — jesteś wstrętnym pedałem zoofilem i kazirodcą! Czy mam coś dodać?

— Mówisz dokładnie niczym moja matka, niedoszła Jokasta. Jeżeli chodzi o mnie, to lubię jeszcze analizm heteroseksualny. Gustował w nim i

Tyberiusz Klaudiusz Nero, następca boskiego Oktawiana. Caius Iulius Caesar Octavianus — od 27 roku przed naszą erą także Augustus — spadkobierca wielkiego Cezara, zdobywca Rzymu i jeden z triunwirów w czasie, gdy przy pomocy list proskrypcyjnych pozbywano się wielu wrogów, w tym i sławnego Cyncerona, by za ich majątki uzyskać środki finansowe na walkę z Brutusem i jego poplecznikami; po Filippi władca Italii i prowincji zachodnich, a po Akcjum całego państwa, wobec braku męskiego potomka i za namową swojej małżonki Liwii zwrócił swe boskie i cesarskie spojrzenie na jej syna, którego uczynił wcześniej swym zięciem i którego

nienawidził serdecznie.

Miał i inne obiekty niechęci — troje dzieci byłego kolegi triumwira, Marka Antoniusza, spłodzonych z tą egipską dziwką, Kleopatą, wychowywała jego siostra Octavia, a i wcześniejszy pomiot wszetecznicy znad Nilu, Cezarion, pętał mu się jak duch ojca przed jowiszowym jego wzrokiem. Boski August nie wytrzymał zatem i kazał go wreszcie zgładzić, by mu ów nie psuł humoru swym kurewsko—cesarskim obliczem. Liwia — dzięki Kaliguli późniejsza boginka — bardzo orędowniła za Tyberiuszem u swego małżonka, bo miała zamiar rządzić w imieniu syna, tak jak nie udawało się jej to m nomine małżonka.

Oktawian nie chciał przystać na podsuwanego mu nachalnie kandydata, mając go za człowieka słabego charakteru, tchórza i rozpustnika, jednak z braku lepszego laku zgodził się najpierw przyjąć pasierba do współrządów, a w niejaki czas potem usynowił go. W nagrodę został otruty przez Liwie, swą boską żonkę, i Tyberius Claudius Nero rozpoczął kadłubowe rządy, kierowany światłymi radami mamusi, gotowej i jego otruć na najmniejszy znak nieposłuszeństwa.

Orgie u Tyberiusza nie były ani bardziej, ani mniej wyuzdane niż u innych cesarzy; z jego pałacu w Rzymie, a później z rezydencji na Capri, skąd sprawował rządy za pośrednictwem

swego faworyta, Sejana, wynoszono zwłoki niewolnic i niewolników, zamęczonych przez niego w miłosno-sadystycznych zabawach równie często, co za panowania innych władców, na przykład jego następcy Kaliguli czy późniejszego jeszcze Nerona; także samowola Tyberiuszowa nie wyrastała ponad przeciętność. Może wsławił się tym jedynie, że wprowadził procesy o obrazę majestatu, czyli siebie samego skazywał na wygnanie, śmierć i konfiskatę mienia wszystkich niepoważnych, a bogatych. Pałeczkę przejął po nim właśnie Nero Claudius Caesar wychowanek Seneki Młodszego i bezpośredni następca fujary Klaudiusza, co jako porządny chłop

trafił, oczywiście, na Messalinę. I tak oto jesteśmy w punkcie wyjścia mojej dygresji, a mianowicie przy stosunku analnym.

— Weź krem — powiedziała skromnie mademoiselle Jolanda.

Bob rączo spełnił jej polecenie i oglądając przepiękny revers de la medaille dziewczyny, pokrył jolandowy anus białą pianą filtru przeciwsłonecznego. A potem otworzył tylne wrota i wśliznął się w nią pomału, pomalutku, aż głośnym jękiem dała mu do zrozumienia, że najgorsze, ów karb żołądki, ma już za sobą. Mademoiselle Kucharski wyciągnęła do tyłu rękę, ujęła dłonią członek Boba i stopniowo, metodycznie, regulując posuw uściskiem

swych szczupłych palców, pozwalała mu zagłębić się w te nowe, zaklęte rewiry. Bob pożałował teraz, że podobnie jak Carlos na swoim Pepicie nie ma pomalowanych czarno–białych prążków rodem od spornej equus zebra, staranowanej myśliwcem z bambusa i palmowych liści na kenijskim zboczu góry Elgon, gdyż wygodniej byłoby mu śledzić postępy zagłębiania się w Jolandę Kucharski.

A ona cofnęła nagle rękę, bo brakło dla niej miejsca, i Crane już bez żadnych pasków—kutasków widział jak na dłoni, iż tkwi w dziewczynie po same uszy.

I wówczas Robertus Craneus Juvenis rozpoczął na tyłku słowiańskiej niewolnicy, sprowadzonej wraz z

jantarem z kraju odległych puszczy i zimnego morza, swój taniec, któremu zawdzięczał przydomek zadysty, czyli zadniego artysty. Rznął Jolandę długimi, posuwistymi ruchami, wychodząc z niej niemal cały, by tym gwałtowniej atakować ją swym karbem, co wbijał się w nią przy każdym pchnięciu niczym sęk podczas zjeżdżania okrakiem po nieheblowanej belce; a też i ona odpowiadała na to dźwiękiem, jaki wydaje z siebie pień soczystej, twardej sosny, *pinus silvestris*, gdy ją końmi z lasu przywiozą i jeszcze w środku żywą rzucą na traki.

Robertusowi Juvenisowi zdawało się, iż jego wspaniały, twardej karb zdolny jest teraz pośród skalnych

rozbryzgów granit drążyć, podczas gdy boskie jądra uderzały miękko ale i gwałtownie o rozwarty srom jolandowy, po którym spływał — niczym złota żywica — jej słodki, pachnący sok podniecenia, bólu i rozkoszy.

Bob czuł zbliżający się swój koniec, aż wytrysnął nagle na oślep, przed siebie, w głąb tajemniczych i mało zbadanych jaskiń, a wówczas splakana, krzycząca w bolesnej męce i ekstazie Jolanda uciekła spod niego tak gwałtownie, że Crane'owi zdawało się, że mu przy tym wyrwała genitalia. Krzyknął dziko, i to było najrozkoszniejsze. I siedzieli tak, zaczerwienionymi twarzami zwrócenii ku sobie, i trzymając się za własne

przyrodzenia jęczeli głucho niczym dwa wirujące, metalowe bąki. Za nimi szumiała klimatyzacja, starając się usunąć nadmiar ciepła wytworzonego w porubstwie przez rzymskiego patrycjusza i jego słowiańską niewolnicę.

Metalowe bąki wyczerpały wreszcie nagromadzoną w sobie przez posuwanie spiralnego pręta energię i Bob powiedział:

— Czy wiesz, jak się robi małe deseczki?

— Ja wiem — odezwał się Aron, włączywszy się w tym właśnie momencie, a może nawet nieco wcześniej. — Tak jak małe dziewczynki — rżnie się większe!

— Podglądałeś nas, ty obrzezany kutasie — stwierdził Crane. — Jesteś zwykłym, żydowskim, gołochujskim scoptofilem. Amen. A moja matka Ulla Crane, de domo Nielsen, nie lubi takich na równi z onanistami, bo taki sam ma z nich pożytek, jak z mojego Crane'a Dosyć Małego, czyli Craneusa Minusculusa.

— Rzekłeś, Cezarze. A teraz pozwól, bym ja, nędzny Żydek, twój rab i niewolnik na równi z tą, która na moich oczach według miłej jej sercu oraz dolnym kanałom zasady, że ein mai ist kein mai, chędożyłeś in duplo, i na dodatek in vim, czyli siłą oraz przemocą, wyjaśnił ci znaczenie obrzezania, a potem — jeżeli nadal

będziesz chciał zadawać się z Aronem
Feldsteinem, vel Baronem
Drecksteinem, alias Podkładką —
dozwól mi, o boski Robertusie
Craneusie Juvenisie Caesarze zaprosić
cię do niegodnego ciebie domu, byś w
łaskawości swej poznał moich
rodzicieli — tych psów rzezanych; oraz
moich braci i siostry; a także, byś
zobaczył resztki świątyni, postawionej
na miejscu tej Salomonowej, i wreszcie,
byś wyszedł z tego pieprzonego hotelu
na skwar uliczny, a mamy ze
sześćdziesiąt stopni w cieniu według z
dawna już niesłusznej skali pana
Celsjusza.

Ave Imperator! Bądź pozdrowiony
razem z tą, co ku twemu boskiemu

zadowoleniu daje ci od przodu i od tyłu!
Witam w tobie także spadkobiercę
Trzeciej Rzeszy, spadkobierczyni
Pierwszej Rzeszy Cesarstwa
Rzymskiego Narodu Niemieckiego, i jak
na apelplatzu podczas szwancparade
okazuję ci swój penis oraz wyjaśniam,
iż trzy są powody usuwania napletka: a
to względy tradycji, by zadość się stało
życzeniom przodków, co takimi samymi
narządami płodzili nas częściej w męce
i strachu niż w rozkoszy, a to higieny,
gdyż żyjąc w klimacie gorącym, pośród
piasków pustyń bogatych we wszelkie
drobne robactwo, mieszkając w
namiotach i śpiąc pospołu z
wielbłędami, camelidae, łącznie można
nabawić się obrzęku, bólu i zapalenia

cewki, tak że ropa ciecze z człowieka niczym mlecz. I wreszcie trzeci powód, wydedukowany przez czarnuchów z Mali, lud niejakich Dogonów, inaczej Habba, którzy dokonują tego obrzędu tak na chłopcach, jak i na dziewczętach. Wiedz, boski Caesarze, iż niemal cała czarna Afryka to obrzezańcy długochujcy, a ci Sudańczycy z okolic Bandiagara czynią to w myśl wyższych racy — uważają mianowicie, iż clitoris stanowi niepożądany element męski w kobiecym ciele, coś jak mały członek, który w sprzyjających po temu warunkach osiągać może całkiem przyzwoite (czy raczej nieprzyzwoite) rozmiary; zacych Dogoni amputują go. A znów napletek — przez podobieństwo

wyglądu i funkcji do warg sromowych większych — stanowi czynnik żeński, którego przyszły wojownik musi się bezwzględnie pozbyć. Z tego więc punktu widzenia jesteście oboje — i ty, boski Robertusie Craneusie i ty, niewolnico Jolando, służąca wszystkimi otworami swego ciała władcy świata — niemal hermafrodytami. Wasza europejsko—anglosaska kultura poszukiwała na to zupełnie innego lekarstwa, preferując wyraźnie orgazm vaginalny ponad łechtaczkowy, choć to znów bardzo zależy od mody. Wiele jednak kobiet dotkniętych tą przykrą dolegliwością, że ich pochwy były jako te od mieczy czy szabel — zupełnie nieczułe — nie miały radości inaczej,

niżby sobie same lub jedna drugiej ją sprawiły. I tu myślę o tych nieszczęśliwych kobietach spośród ludu sudańskiego Habba, które nie posiadając clitoris, nie miały też predyspozycji do vaginalnego orgazmu, iż nie było dla nich wyjścia.

— Ja — powiedziała mademoiselle Kucharski — przeżywam orgazm oralno–analno–waginalno–łechtaczkowy.

— Well — odezwał się Crane. — To rzeczywiście godne pochwały. Czy my musimy jednak dokądś wychodzić?

— Ten hotel ma najdroższą klimatyzację. Zrobicie jak uważacie, ale na waszym miejscu zainteresowałbym się ceną. Na to nie stać nawet

bezrobotnego.

— Czy tu się płaci zależnie od wydajności air-conditioning?

— U mnie zapłacicie połowę, no, powiedzmy: jedną trzecią, komfort ten sam. No i pogadać będzie można o białych niedźwiedziach.

— To mnie przekonuje. Mój przyjaciel Kmita powiedział mi, że w jego kraju także okazjonalnie występowały białe misie, przeważnie w nastawionych na turystykę podgórskich miastach na południu, stanowiąc atrakcję fotograficzno-erotyczną dla pańienek, a fotograficzno—familijną dla rodzin z dziećmi. Pisku i wrzasku było przy tym co niemiara, bowiem mięszem tego fenomenu przyrody i kultury był

zwykle młody góral pędzony siwuchą. Muszę przyznać, iż zapaliłem się do zbadania przyczyn powstania tego niezwykłego rytuału folklorystycznego na czterdziestym dziewiątym równoleżniku, niestety jednak owe fałszywe egzemplarze thalarctos maritimus jako pierwsze zastosowały się do teorii Craneów, ojca i syna, i wyginęły, a to dla tej przyczyny, że młody góral napędzany samogonką nadzwyczaj źle znosił wzrastającą na zewnątrz pokrowca temperaturę.

Niedźwiedziej powłoki a la kombinezon kosmiczny — szytej domowym sposobem ze skór polskich owiec górskich, zwanych wrzosówkami — nie dato się wyprodukować z dwóch

powodów: po pierwsze wymarły owce; a po drugie — poza dwoma wypadkami — rodacy Kmity nie latają w kosmos. Pierwszy incydent był — o ile wiem — za sprawą niejakiego Twardowskiego.

— Tertium non datur — powiedział Aron — możecie zostać w hotelu, albo przenieść się do mnie. Trzeciego wyjścia nie ma, bo bez opieki zginiecie tutaj z kretesem. Tańszy pensjonat nie wchodzi w rachubę, bo za mniejsze pieniądze musi mieć podłą klimatyzację i każdy jego pokój, zwany szumnie apartamentem, działa nie jak lodówka, ale piekarnik.

Boski Robertus Jiwenis Caesar podniósł dłoń, uciszając tokującego Żydkę na którym zrobiło to takie

wrażenie, jakby miał przed sobą równie boskiego Tyberiusza czy też jego gorliwego namiestnika, Piłata z Pontu, piątego procuratora Judei, cierpiącego na migrenę i pozbawionego zarówno cudownego Tylenolu, jak i dostępu do angielskiego czasopisma „Migraine News”.

Pontius Pilatus, którego siedzibą była Cezarea Nadmorska, zjeżdżał corocznie na żydowskie Święto Paschy do Jerozolimy, by własną osobą i podległymi jej kohortami wojsk rzymskich tłumić możliwe rozruchy i waśnie. Tak było przez ponad dziesięć lat, w czasie których siłą rozumu i swego zbrojnego ramienia czuwał nad opornymi poddanymi odległego i

boskiego Tyberiusza Claudiusa Nero, obrabiającego na Capri tyłki pięknych niewolnic oraz niewolników, sprowadzonych ku jego przyjemności ze wszystkich odległych krain do Stolicy Świata.

W tym to czasie Herod Antypas, tetrarcha Galilei i Perei, odurzony tańcem i urodą swej pasierbicy Salome, stał się zabójcą Jana Chrzciciela, co niepotrzebnie wtrącił nos w jego małżeńskie sprawy, by w 39 roku przyszło mu samemu położyć głowę pod topór gniewu Kaliguli.

Piłat Poncki po rzezi sprawionej Samarytanom na górze Garizim zapomniał z żalu wszystko, w tym i jakiegoś przybłądę Jeszuję, który

przyszedł z Galilei do Jeruszałaim podburzać lud w czasie święta, chciał zburzyć świątynię oraz negował w swym prostackim zadufaniu wiecznotrwałość władzy cesarskiej w tym szczególnie Tyberiuszowej; a pamiętał po swym odwołaniu z Judei jedynie tego wściekłego psa Kajfasza, co słał na niego nieustające skargi do Rzymu, przewożone przez Sejana na Capri.

— Słysz, Kajfo — powiedział Robertus Biloxus — że nie ma specjalnych powodów, dla których białe niedźwiedzie nie mogłyby występować w kraju mojego przyjaciela, Johna Mortimera Woldcoka, to jest w Nowej Zelandii. Jest ona bardziej wysunięta na południe, w stronę Antarktydy, niż

zachodnie wybrzeże południowej Afryki, gdzie dobrze się mają pingwiny okularo—ce, *spheniscus demersus*, a niemal tak samo położona jak Patagonia ze swym *aptenodytes patagonica* na czubku Ameryki Południowej. Jedynie zatem owej fatalnej nielotności *thalarctos maritimus* John Mortimer zawdzięcza, iż wśród Maorysów, merynosów i węży nie przechadzają się statecznie niedźwiedzie polarne. Myślę, że pewną przeszkodą jest także udowodniony przez bohaterów ruchu „Ostatni Mohikanin” fakt braku zainteresowania misiów owocami kivi jako środkiem spożywczym. John Mortimer Woldcok jest moim przyjacielem i partnerem do brydża, nie

polecam mu zatem sprowadzenia na zarybek pary gatunku thalarctos maritimus, by nie skończyła się to tak, jak w wiecznie zielonej Jutlandii, skąd wywodzi się moja matka Ulla Crane, de domo Nielsen, poddana reliktownego króla.

Kajfasz namyślał się w kącie swego pokoju skubiąc koźlą, kręconą rudą bródki spoglądając w roztargnieniu na Jolandę, głaszczącą od niechcienia swoją różową clitoris. Widać po nim było, że chętnie by jej w tym pomógł.

— Jesteś poganinem, Robercie z Biloxi, synu pieprzonych anabaptystów, znawco Bonehoffera, obecny biseksie i przyszły sodomito! Rzekłem! Jako poganin nienawidzisz nas, Żydów,

mających silną religię i jednego, centralnego Boga, dzięki czemu nie rozpraszamy swych sił na pomniejsze bóstwa i bóstewka. Mamy jedną świątynię, a wspomniani przez ciebie Samarytanie, których twój duchowy praszczur wyrznął w pień, byli jeszcze bardziej ortodyksyjni od nas i ze Starego Testamentu uznawali tylko Pięcioksiąg. Dzisiaj te psy mieszkają w okolicy Nablusu i Jaffy, ponieważ Dżebel et-Tor, ich święta góra w Samarii, napawa ich od czasów Piłata zbytnim lękiem.

Naszą świątynię zbudował król Salomon prawie tysiąc lat przed objęciem władzy w Rzymie przez Kaligulę, Kajusza Juliusza Caesara, syna Germanika i Agrypiny Starszej, którego

naczelnym zawołaniem było: „Oderint, dum metuant; niechaj nienawidzą, byle by się bali!”, a stanęła ona na wzgórzu Moria, na świętej skale, na której patriarcha Abraham ofiarował swego syna, Izaaka, Bogu.

Świątynię wznieśli budowniczo wie tyryjscy z cedrów libańskich, których wyschnięte kikuty straszą dzisiaj na zboczach góry Kurnat as-Sauda, a składała się ona z przedsionka, po którym następował hechal — miejsce święte, i dewir — zupełne sanktuarium. W owym najświętszym miejscu spoczywała Arka Przymierza, natomiast przed świątynią stały dwie kolumny z brązu, zwane Jachin i Booz — Trwałość i Siła; a na dziedzińcu znajdował się

ołtarz do całopalenia. Bogatego wystroju wnętrza nie będę ci opisywał, możesz to sobie, niedowiarku, przeczytać w Biblii twoich anabaptystów, w Księdze Królewskiej.

Ponad sześć wieków przed ostatecznym zburzeniem świątyni przez Rzymian, zniszczył ją Nabuchodonozor, co przyłazł tutaj z występnego Babilonu, a odbudował Zerubabel, ksiązę Judy. Nawet Herod I Wielki, ojciec Antypasa, przyłożył do tego dzieła swą grzeszną rękę, pragnąc w ten sposób zjednać sobie nienawidzących go Żydów.

A teraz powiedz mi, Robertusie z Biloxi, czyż wygląd dzisiejszego świata nie wskazuje na to, że zamknięte przez wielkiego władcę Salomona duchy,

zalakowane w butelkach dziny i zakłęci
w lampach geniusze, opieczętowani jego
królewskim pierścieniem z
wygrawerowanymi urokami i wrzuceni
do Worzą Czerwonego, wydostają się na
świat, gdy lak i siła tajemniczych
wersów zetlała przez wieki? A może to
dawne wojny swymi minami
głębinowymi i pociskami raketowymi
porozbijały flasze, uwalniając w ten
prymitywny sposób demony, które
ulatniają się do gorącej atmosfery, by ją
jeszcze bardziej podgrzać na szkodę
twoją, Woldcoka, jarla Erika i białych
niedźwiedzi?

— W jednym masz rację, obrzezany
Kajfo, w tym mianowicie, że stanie się
istotnie sodomitą na krótki czas,

wystarczający na zadanie się z samica thalarctos maritimus, przy czym chciałbym, by odbyło się to przy świadkach. Jak wiesz, moje zbliżenie z Norwegiem z Nordkappu in duplo było podyktowane chęcią zaznania choćby namiastki tego czynu, gdyż jednocześnie rżnąć i będąc rżniętym czułem się jak we wspólnych objęciach białego niedźwiedzia i Roalda Amundsena, który pierwszy dotarł do Bieguna Południowego, a potem posprzeczał się z Nobilem o to, któremu z nich przypada większa zasługa za przelot nad Północnym.

Gdy dwadzieścia lat wcześniej wielki Roald na 47-tonowym, starym kutrze „Gjøa” jako pierwszy człowiek

pokonał Przejście Północno–Zachodnie od Grenlandii (na której w Angmagssali mieszka mój przyjaciel jarl Erik Johanson) do Cieśniny Beringa (przez którą Indianie przewędrowali z Azji do Ameryki), to nie musiał z nikim kłócić się o ojcostwo tego sukcesu, choć to jedynie mater semper certa. Ale nie tobie ani też twemu teściowi, Annaszowi, sądzić o tym, wam, którzyście ocalili Barabasza, a skazali — wraz z całym Sanhedrynem — Jezusę Ha–Nazri.

— To powinno było pozostać wewnętrzną sprawą nas, Żydów. Gdybyś ty, poganinie, psie rzymski, nie wmieszał się do sprawy, ukręcilibyśmy jej łeb — i jemu — bez żadnego

rozgłosu! A tak narobiło się zamieszania, chodzenia od Annasza do Kajfasza, skarg na Barabasa, który od razu po uwolnieniu zaczął pić z radości po cudownym ocaleniu, i rozbijać się; a także począł się swąd wokół śmierci prawowiernego Judasza z Kariotu, co powodowany niepokojem o los narodu i religii pomógł w ujęciu mąciciela i burzyciela starego porządku.

Badaliśmy Galilejczyka i na taką okoliczność, czy nie jest nasłanym przez Rzym prowokatorem, mającym rozniecić rozruchy i podnieść bunt, byś ty, Poncjuszu z Biloxi, mógł wkroczyć ze swymi zbrojnymi kohortami do znienawidzonego Jeruszałaim i utopić je we krwi, nie obawiając się za to

Tyberiuszowego gniewu, który spadł na ciebie po masakrze Samarytan na górze Dżebel et-Tor.

Jeszua, włóczęga i żebrak, tak samo mocno występował jednak przeciwko nam, co tobie, i dopiero twoje upieranie się przy ułaskawieniu go wzbudziło w nas najpierw podejrzenie, a potem pewność, iż ratować w ten sposób pragniesz przekupionego przez was agenta, któremu nie udało się doprowadzić — dzięki naszej czujności i obywatelskiej postawie dzielnego Judy Iszkarioty — intrygi do spodziewanego przez Rzym końca. Najpierw więc starałeś się ocalić jego życie, a potem — gdy Sanhedryn moimi ustami uwolnił Barabasa — bałeś się dłużej nalegać,

że to będzie zbyt widoczne i nazbyt wyraźnie twe fałszywe karty odsłoni. Przystałeś zatem, zrazu niechętnie, na śmierć waszego człowieka, bo i cóż wam było — tobie i Wielkiemu Rzymowi — po jednym nie dosyć zręcznym prowokatorze, co nie umiał uczciwie zarobić na swoje pieniądze?! Lepiej go nawet było w tej sytuacji stracić naszymi rękami, by swą obrzydliwą, mogącą zachwiać Tyberiuszowym tronem tajemnicę, zabrał do grobu i w ten sposób uwolnił się od widma hydry niedyskrecji.

Jednak przyszła na ciebie, czy raczej na was, zemsta — wasz agent miał klasną siatkę potrzebnych mu ludzi, miał uczniów pomocnych w krecich

knowaniach, którzy nie wtajemniczeni przez niego w cel działania, brali jego słowa mające obalić nasz porządek rzeczy za dobrą monetę. Nie płacił im innymi pieniędzmi niżli słowami i obietnicami, co było mądrym z jego strony pociągnięciem, skoro do ubóstwa i pokory nawoływał. Zapadły im one głęboko w umysł, bo Jezua był dobrym demagogiem, i obróciły się przeciwko wam. Jako męczennika czcili jego pamięć i zamordowali w związku z tym Iszkariotę, a potem stworzyli najpierw mit, by jeszcze później pozwolić mu się przerodzić w religię, która rozsadziła wasze imperium i zniszczyła je, a w nieśmiertelnym Rzymie zapuściła najgłębsze korzenie — właśnie tam,

skąd wyszła jako prowokacja i gdzie potem była tępiona niczym chwast. Wyrwaliście jej głowę i rzucaliście lwom na pożarcie, lecz ona odrastała z korzeni ukrytych pod kamieniami ulic, rozsadzała bruki i budynki, drobne korzonki obalały kolumny jowiszowych, apollińskich i jońskich świątyń, aż te legły z głuchym łomotem w gruzach, przywalając sobą pogańskie ołtarze i was — ich czcicieli!

Stało się to z twojego powodu, Pilatusie, bo zamiast przyzwolić na zabicie Judy, należało raczej zgładzić wszystkich pozostałych agentów Jezui, by nie roznieśli jego zarazy (którą poprzez uszy wsączył im w krew) po świecie. A tak nieśmiertelne Caesarstwo

Rzymskie legło w ponad cztery wieki później, przysypując was swymi szczątkami. Qui gladio ferit, gladio perit! Nie mieliście już nic więcej do roboty, jak położyć się w ich marmurowych grobowcach i umrzeć, wyrzeźbiwszy na nich uprzednio ku przestrodze żywych taki napis: „Qui hic minxerit aut cacaverit, habeat deos superos et inferos iratos, kto tu naszczy albo nasra, na tego niechaj spadnie gniew nieba i piekieł!”

Drobna prowokacja nieudolnego urzędnika rzymskiego, piątego procuratora Judei, namiestnika Tyberiuszowego, stała się największym humbugiem w historii! Nie za masakrę urządzoną Samarytanom — w końcu nie

pierwszą ani ostatnią, uczynioną ludziom przez ludzi na Ziemi — powinien cię być odwołać Caesar, ale za to, żeś na czas nie połapał się w niebezpieczeństwie niesionym przez plotkę. Kłamstwo pół miasta obleci, nim prawda wdzieje buty — mówią Czesi spod Czeskich Budziejowic, piwowarzy z zakładów „Budvar”, mieszkańcy miasta, w którym raz, w 38 nie wziął tromfowy as. I ty przekonałeś się o tym dosadnie.

Za panowania Kaliguli, Caiusa Iuliusa Caesara, popełniłeś w Rzymie samobójstwo, a złe duchy twoje ciało wrzuciły do Tybru a potem do Rodanu, aż w końcu spoczęło ono na dnie jeziora na Mont Pilate w Szwajcarii, na koczach której to góry również pasą się czarno—

białe krowy rasy Sucharda, z dzwonkami pod szyją, z cieleco—głupimi wyrazami pysków — ty byś powiedział, naturalnie, że podobnymi do wyrazu twarzy twojej matki, Ulli Crane, de domo Nielsen — i z wymionami pełnymi pysznej, gorącej czekolady.

— Moja matka — powiedziała mademoiselle Jolanda Kucharski — wała być katoliczką, mój pierwszy chłopak był protestantem kalwinem, następny Żydem, potem miałam baptystę, mormona, anabaptystę, muzułmanina i tybetańskiego mnicha—dezertera, ale wszyscy oni powiedzieliby, bluźnisz, Kajfaszu Drecksteinie, zięciu Annasza, ty, który w obawie o interesy, o swój geszeft, skazałeś Jezusę na męki.

— Sposób był rzymski — powiedział Aron — krzyżowanie było bardzo popularnym w basenie Morza Śródziemnego, Mediteranien Sea, środkiem zadawania męki i śmierci jeszcze przed sprawą Davidsona. Często krzyżowano także zwierzęta, w tym lwy i niedźwiedzie, tyle tylko, iż nie polarne. Wikingowie miewali ponoć kontakty z Rzymianami, wątpię jednak, by na swych długich lecz wąskich łodziach przywozili je im w podarku inaczej niż w postaci skór. Ale poza tym wierzę, oczywiście, iż twoja vagina jest może najbardziej ekumeniczna wśród wszystkich innych. A co na to nasz ateista?

— Wiem, że nie ma rasy ludzkiej na

świecie, która by nie korzystała z gościnności jolandowych otworów. Do tego dochodzi jeszcze sporny penis equus grevyi czy equus zebra, długi, pomalowany w prążki, wabiący się Pepito. Nic zresztą nie poradzę na to, że tyle jest ludzi i poglądów na świecie — taki na przykład aztecki bóg wojny i słońca, a zarazem opiekun stolicy Azteków — dumnego i wielkiego miasta Tenochtitlan — Huitzilopochtli miał swego świętego ptaka kolibra, a cestura bombus. Ptaszek maleńki i piękny, a Huitzilopochtli składano krwawe ofiary z ludzi. Jak to pogodzić?

— A ty, Robertusie Craneusie Juvenisie, czyż nie oglądałeś krwawych igrzysk i walk gladiatorów? Nie

znajdowałaś aby w tym widoku przyjemności tym większej, że to ku twojej osobistej czci krew się lała? Wszystko na świecie ewoluuje ku wyższym formom, także religia, która od postaci prymitywnych jak animizm, fetyszym, manizm, magizm czy totemizm przechodzi do bar dziej skomplikowanych i rozbudowanych — politeizmu, henoteizmu i monoteizmu. Podczas więc gdy ty, Caesarze, z trudem przedzieras się od pogańskiego politeizmu do równie pogańskiego henoteizmu, to ja, Żyd przez ciebie i Poncjusza Piłata pogardzany, jestem wyznawcą religii monoteistycznej i z głową przykrytą tałesem studiuję w synagodze Torę. Dzieje się to

równoległe z twoim bałwochwalstwem i pod twą władzą — rzymskie legiony stały przecież w całym znanym świecie — od Albionu przez dolinę Renu do Afryki i Persji. Ty byłeś mi panem, a mimo to ja przetrwałem, zaś wykarmiony mlekiem wilczycy, canis lupus, Rzym upadł pod ciosem rybiego ogona. Twój Rzym, w którym barłoczyłeś z niewolnicami, tarzając się w zbrodniczej rozpuście, mordując i trując swych wrogów oraz nieprzyjaciół.

Ty Robertus Craneus Juvenis, jesteś kwintesencją Tyberiusza, następcy Oktawiana Augusta, zwycięzcy spod Filippi i Akcjum, którego miesiąc właśnie mamy, oraz Kajusza Juliusza Caesara zwanego Kaligulą, wariata i

zbożca rojącego sobie, iż jest samym Jowiszem, w związku z czym żył ze swoją siostrą Druzyllą, zapłodnił ją, po czym rozciął i zeżarł ich wspólne, by mu potem wyskoczyło z czaszki na wzór Ateny; dostał jednak niestrawności i większych bólów głowy zagrzewających go do nowych szaleństw i zbrodni, i Claudiusa Drususa Germanicusa Caesara, zwanego wjeronem, adoptowanego przez tego fujarę Klaudiusza, ucznia Seneki, który pod wpływem faworyta Tigellina kazał zabić swego przyrodniego brata Brytanika, swoją matkę i żonę Oktawie; a według Swetoniusza kazał także podpalić Rzym i zginął jak tchórz, wzdychając „Qualis artifex pereo, cóż za artysta ginie we

mnie!”

— Bardziej przemawia do mnie — odezwała się znowu mademoiselle Jolanda — umierający Platon, który przypomniał zgromadzonym u jego łoża uczniom, iż jest winny koguta Asklepiosowi.

„A nie zapomnijcie go oddać, powiedział boski mąż zamykając oczy.”

Dał tym wyraz swej filozofii czterech cnót, rządzących działaniem trzech części duszy ludzkiej — a to częścią rozumną, impulsywną i pożądliwą, nad którymi ład utrzymuje sprawiedliwość. Dlatego powiedział o Szerokoplecym Cicero (nim go listy proskrypcyjne triumwirów objęły) w swych „Rozmowach tuskulańskich” —

Lepiej z Platonem zbłądzić, niż z pitagorejczykami mieć rację!

— Można też inaczej — powiedział Aron — lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć. „Quinctili Vare, legiones redde!” — zawołał Caesar August na wieść, że mu ten dureń Warrus wytrącił trzy legiony w starciu z Germanami w Lesie Teutoburskim, przez co Caius Iulius Caesar Octavianus Augustus musiał ograniczyć swe apetyty do granicy Renu, znad którego pochodzi twój ojciec, Crane Starszy.

Praszczur Craneusa Seniora, wódz Arminiusz, wyciął w pień niezwyciężonych Rzymian, aż łąki pomiędzy Ems i Lippe spłynęły krwią, a obie rzeki zabarwiły się na czerwono. A

trzeba wam wiedzieć, iż jeden legion liczył sześć tysięcy żołnierzy, czyli sześćdziesiąt centurii, a dziesięć kohort. Za czym germańscy wojowie wybili osiemnaście tysięcy legionistów, napełniwszy lasy i rzeki ich ścierwem, tak że wilki, canis lupus, z obżarstwa brzuchy ciągnęły po ziemi, a niedźwiedzie, ursidae, zasypiały w biały dzień na oczach germańskich wieśniaków, rozleniwione nadmiarem wysokobiałkolego pokarmu.

A niedźwiedzie były wówczas wielkie jak domy, albo domy tak małe jak niedźwiedzie; ale że i ludzie byli mniejszego wzrostu, przeto nikomu to nie Przeszkadzało we wchodzeniu do chałupy i miało tylko tę niedogodność,

że gdy miś ryknął przez sen, kiedy go niedźwiedzie koszmary z przejedzenia „leczyły, to cała osada kmieca robiła w zgrzebne portki ze strachu; z czego fetor był taki, że stojące na drugim brzegu centurie zatykały nosy, a Piłat z Pontu, Jeździec Złotej Włóczni, dostawał nagłej migreny.

Zaś działo się to wszystko w Galii Zaalpejskiej, zwanej Transalpiną albo Ulterioem, która w niejaki czas potem, niewielki, gdy z punktu widzenia paleontologii spojrzeć, dała światu wiekopomne dzieła — cesarski hymn niemiecki „Heil dir im Siegenkranz” z 1793 roku i szwajcarski hymn narodowy „Rufst du, mein Vaterland” z 1811. Jeszcze później sprawy posunęły się

rzeńsko naprzód i śpiewano tam „Deutschland, Deutschland über alles”; stosowano zasadę „ein Volk, ein Reich, ein Führer” lub „Kinder, Kirche und Kirche”, by ruszyć na wschód, „Drang nach Osten” pod sztandarem z zawołaniem „Gott mit uns”!

Ciekawe, że pod wezwaniem naszego Boga i waszego Chrystusa największe zbrodnie się dokonywały, jakby mordercy potrzebowali sankcji i autorytetów ostatecznych, dla swych równie kategorycznych rozstrzygnięć. Weźmy choćby wyprawy krzyżowe, które tu, do Jerozolimy szły bój o Święty wasz Grób toczyć, a po drodze — wyposażone w odpusty i błogosławieństwa papieskie — grabiły,

pały, gwałciły oraz mordowały, mając i tak zapewnione zbawienie wieczne.

— I wyście nie lepsi. Wszak stoi w Talmudzie, że każdy Żyd wejdzie do Raju. Kropka.

— Nie przerywaj. Wracam do krucjat. Urban II, który rozdał krzyże na synodzie w Clermont, ani przypuszczał, że pierwsza krucjata zostanie rozproszona i przetrzebiona po drodze, a niedobitki będą zniesione przez Turków. Nie sądził także, chociaż z definicji nieomylny, iż przez dwa wieki będzie się włóczył po basenie Morza Śródziemnego wywołany przezeń upiór — duch wojny, pożogi i krwawych jatek. Był to zapewne jeden ze złośliwych dżinów, zapieczętowanych

przez króla Salomona w glinianych naczyniach wrzuconych do Morza Czerwonego, który po wyzwoleniu z ciasnoty palcem zabełtał ludziom rozum w głowach, by się wyrzynali w pień z okrzykami miłości bożej na ustach.

La illaha illa Llahu! — wołali Saraceni — Nie ma Boga nad Allaha!

Po czym pod Damaszkiem sprawili krwawą łaźnię Konradowi III i Ludwikowi VII. W czterdzieści lat później Saladyn zdobył Jerozolimę i znów ruszyli zbrojni mężowie do Azji, a był to sam kwiat rycerstwa europejskiego, chłopcy mocarne, w blachy zakute, o cześć rycerską dbałe nad podziw, kłótniwe, drażliwe i zazdrosne niczym dziewice na wydaniu.

Toteż miast bić niewiernych, intrygowali przeciw sobie wzajem, tego jedli, tego pili, pojedynkowali się w szrankach, okrywając się chwałą niezwycięzonych, zamachy na się czynili — a wszystko to na własnym podwórku, na złość Saladynowi i ku większej chlubie Świętego Kościoła i pokornego sługi jego na Ziemi, Grzegorza VIII, co ich był tu zagnał.

Aż zmarł z tego wszystkiego dobry cesarz Rudobrody, a swawolny Dick Lion—Heart wracając do Anglii poślubił najpierw Beregarię Nawarską, a później spędził kilka lat w lochu — z początku u Leopolda, margrafa austriackiego na zamku Durnstein w Wachau, a potem rok w twierdzy

cesarza Henryka VI, skąd wykupił się za olbrzymie kwoty. Rok nie wyrok, jak posiadają, toteż wylądował wreszcie na ojczystym brzegu, pobił swego brata fana bez Ziemi, który dał ludzkości Wielką Kartę Swobód, Magna Charta Libertatum; a zaraz potem ruszył do Francji odbijać utracone posiadłości; i tam zmarł na skutek rany odniesionej w potyczce.

A Saladyn pozostał w Jerozolimie, za czym ruszyła kolejna wyprawa, co nie dotarła do Egiptu, tylko na spółkę z chciwymi weneccjanami zdobyła, splądrowała, spustoszyła i obrabowała stolicę Cesarstwa Bizantyjskiego, Konstantynopol, gwałcąc i mordując do woli oraz dzieląc się jego bajecznymi

skarbami.

Powiem ci tylko jeszcze o jednej krucjacie, o wyprawie dziecięcej, w której bezgrzeszność małolatów miała pokonać złych Saracenów, wyposażonych w ostre szable z damasceńskiej stali, jako że im do Damaszku było blisko. Wstąpił do piekieł, po drodze mu było — można powiedzieć o tej ekspedycji — bowiem miał przekroczyć bramy raj, poprowadzeni przez pasterza i wizjonera, Stefana z Cloyes, młodzi ludzie dotarli do Marsylii, skąd ich trzydziestotysięczna armia została przewieziona nie do Ziemi Świętej, jak pragnęli, ale do północnej Afryki, i tam sprzedana Maurom w niewolę.

Było jeszcze pięć krucjat, z których jedna okazała się wizytą kurtuazyjną i dyplomatyczną dla omówienia warunków zawieszenia broni, dwie poszły na Egipt, główny ośrodek potęgi islamu, a jedna na Tunis. Ostatnią wyprawę poprowadził późniejszy król Edward I, który odniósł oszałamiający sukces militarny — udało mu się wylądować w Akrze i wycofać stamtąd po zawarciu rozejmu. Królestwo Jerozolimskie przestało rychłe istnieć i wyprawy krzyżowe do Ziemi Świętej, Terra Sancta, skończyły się.

— Dulce et decorum est pro patria mori — skonkludowała Jolanda — ale jednocześnie Q.B.F.F.F.Q.S.P.R.

— Co mówisz, nieczysta?

— Quod bonum, felix, faustum fortunatumque sit populo Romano, czyli słodko jest umrzeć za ojczyznę, byle to było dla szczęścia, dobra i pomyślności narodu rzymskiego!

— Niebezpieczne poglądy. Podobnie uważał wódz Trzeciej Rzeszy, spadkobierczyni Pierwszej Rzeszy Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, z której wywodzi się ojciec obecnego tutaj mieszkańca krowy mięsno–mlecznej, czarno–białej i kutasa złamanego. Heil Hitler! Führer uważał, że dla innych to sama rozkosz, gdy się im flaki bagnetami wypruwa, granatami urywa ręce i nogi, zgniata gąsienicami na miazgę i na dodatek pali jeszcze żywym ogniem, byle to się działo dla

chwały jego imienia i dobra Tysiącletniej Rzeszy. Drei mai hoch! Przekonanie Führera było tak mocne, iż widząc Jasno, że do opanowania świata i praktycznego wdrożenia idei „Ein Volk, ein Reich, ein Führer” potrzebne mu będą zastępy nowych wojowników na miejsce tych spalonych, zgniecionych, rozerwanych i zdrelowanych, czyli odflaczonych, rzucił pomysł „Lebensbornu”, źródła życia, a więc specjalnych zarodowych ośrodków, w których szczególnie wybrane, czyste rasowo i przebadane kobiety niemieckie, podobne z wyglądu do mademoiselle Jolandy lub do młodej Ulli Nielsen, miały być zapłodnione przez równie drobiazgowo

sprawdzonych nordyków z Waffen SS, oraz z innych, mniej elitarnych formacji, urlopowanych w tym celu z frontu, by w krótkim spazmie wytchnienia od walki dali początek idealnemu człowiekowi.

Wylęgarnie nowej ludzkości powstały i miały opracowany cały program wychowania przyszłych żołnierzy od kołyski po hełm i karabin tak, by duch narodowosocjalistyczny, wyssany z mlekiem matki, umocnił się i stał ostrym niczym Excalibur... Szczęśliwymi prokreatorami new brave world mogli też być członkowie ludów podbitych, w tym nawet Słowianie, pod warunkiem jednak, że wykażą się nordyckimi cechami antropologicznymi i aryjskością do kilkunastu pokoleń

wstecz.

— Czy te kobiety mogły odmówić rodzenia dzieci spłodzonych z jakimś obcym SS–manem, Holendrem czy Ukraińcem? — zainteresowała się niespodzianie Jolanda.

— W zasadzie tak, z tym zastrzeżeniem, by ich prawdziwy wybrany pochodził z odpowiedniego kręgu rasowego. Wszakże one nie protestowały, wiele z nich zgłosiło się ochotniczo do wykonania zadania matkowania nowej ludzkości, bowiem niemieckie, prawdziwie niemieckie kobiety, były może nawet bardziej zdyscyplinowane i zwariowane na punkcie swego Führera, niż ich mężowie.

Rasowa matka, podobnie jak rasowa suka, mogła urodzić jedno, najwyżej dwoje uznanych za prawdziwie „czyste” dzieci, które odłączano od niej i wychowywano na koszt państwa na aseptycznych Aryjczyków; zaś kobiety opuszczały ośrodek „Lebensborn e.V.” wracając bądź do domu, bądź — częściej jeszcze — wędrując do tak zwanych Himmelskommand. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, iż pierwszą siedzibą centrali „Lebensborn, eingetragener Verein”, „Źródło Życia, stowarzyszenie zarejestrowane”, miejscem, w którym spotykali się ojcowie chrzestni nowej ludzkości z Himmlerem na czele, był dom przy Poschingerstrasse 1 w Monachium, który

należał przez dwadzieścia lat do laureata literackiej nagrody Nobla, Tomasza Manna.

W dalszych latach budynek okazał się zbyt szczupły jak na potrzeby rozrastającej się prężnie organizacji i centralę przeniesiono do kamienic przy Herzog Max Strasse 3–7, w samym centrum miasta, w pobliżu dworca głównego, der Hauptbahnhof; a dom Tomasza Manna zaczął pełnić rolę Begattungsheimu, a więc chatki—kopulatki.

— Wenn die Soldaten durch die Stadt marschieren, öffnen die Mädchen die Fenster und die Tiiren — zanuciła dwuznacznie mademoiselle Kucharski, pozostawiając domysłowi unter— i

übermensch, jakie to drzwi i okna otwierają dziewczęta przed wojskiem.

— Mój przyjaciel Kmita cytuje jeszcze taki ustęp podobnego dzieła: „Jedzie, jedzie wojsko bryczką, by rozprawić się z prawiczką”. Niestety, nie znam dlaczego ciągu — SS-Obersturnführer Robert Nielsen—Crane rozłożył ręce w przepaszającym geście.

— Dalej łatwo sobie wyobrazić. Pamiętniki Fanny Hill precyzują to dość jasno. Zresztą memuary Jolandy Kucharski, gdy powstaną, przeniosą sobą tamtą głębię tematu i ostrością spojrzenia. Na przykład teraz — głaskanie clitoris w towarzystwie funkcjonariusza NO, Nazi Organization, i ungefangene Arona Drecksteina,

któremu w każdej chwili grozi śmierć. Choćby z ręki Dirlewangera, który ze strzykawką w pogotowiu czaić się może za zasłoną. Myślę, że widok konwulsji i agonii w znakomity sposób mógłby podnieść jakość orgazmu naszej rozmówczyni.

— Kombinujesz jak koń pod górę, rzezańcu! — powiedziała Jolanda, której sama rozmowa udoskonaliła szczytowanie do tego stopnia, że miast sapnąć cichutko, wzorem pierwszej rozbieranej randki z Bobem, miauknęła niczym kotka, felis domestica, wyruchana za kominem. — Nie podoba ci się moje towarzystwo, aryjki blond piersiastej, co takim przerażeniem napawała SS-Obersturmführera Roberta

Nielsena przez wzgląd na cyce—donice jego matki, zanim nie posmakował cinepimastii, jakiej nie mógł zaznać ze swymi myszowatymi pizdulami, ani tym bardziej z dwoma pijanymi Norwegami z Nordkappu (choć przez nich przybliżył się do samicy thalarctos maritimus i spełnienia swojego celu), a nie masz nic przeciwko przebywaniu razem ze zbrodniarzem wojennym.

— My, Żydzi, jesteśmy zaprawieni w godzeniu sprzeczności. W Argentynie, na przykład, żyją obok siebie kolejne fale emigracji niemieckiej — Żydów zbiegłych przed terrorem, antyfaszytów, którzy wyjechali przed wojną oraz zbrodniarzy wojennych, co woleli przybyć w jakiś czas za nimi, niż stanąć

przed trybunałem w Norymberdze. Wszyscy ci ludzie mówią po niemiecku i kultywują tradycje starego kraju ojczystego, das Vaterland. Jak myślisz — kto z nich jest lepszym Niemcem — niemiecki Żyd, niemiecki antyfaszysta czy niemiecki nazista?

— Wolałbym wiedzieć, co oni wszyscy robią dla lasów Ameryki Południowej, które kiedyś, na początku wieku, pokrywały cały kontynent, w latach pięćdziesiątych już tylko trzydzieści procent jego powierzchni, a niedługo puszcza amazońska, wypalana oraz polewana z hydrantów herbicydami, skurczy się do wielkości podmiejskiego lasku, po którego asfaltowych lejkach przechadzać się

będą w niedzielne przedpołudnia starsi panowie z laseczkami i mamusie z dziećmi dyszącymi jak wyrzucone na brzeg ryby. Rezerwuar tlenowy Ziemi przestanie istnieć, a my podusimy się w rozpalonym i rozrzedzonym powietrzu, w którym nie będą w stanie latać nawet kolibry tak małe jak furczek ozdobny, *lophornis magnifica*, *ramphocorn microrhynchum*, jakie na własne oczy zobaczył Jeronimo de Aguilar, Ferdynand Cortes i jego konkwistadorzy.

Zapoczątkowany przez nich rabunek trwa do dzisiaj, jako że interesować ich ptaki i zwierzyzna oraz lasy nieprzebrane nie inaczej, niżli w postaci żywej spizarni i magazynu materiałów

budowlanych; a poszukiwali wyłącznie trzech rzeczy: złota, złota i jeszcze raz złota! A cokolwiek znaleźli lub — Co gorsza — czegokolwiek nie znaleźli, to i tak obracało się przeciwko India—nom. Nie narabowali tyle złota ile potrzebowali, a wymagali go nieskończenie dużo, by ich zupełnie niereliktowy król, don Carlos I, będący jednocześnie jako Karol V cesarzem rzymsko—niemieckim (znów to samo!), a także dziedzicem — po tatusiu, Filipie I, i mamusi, Joannie Obłąkanej — trzech dynastii, a to: habsburskiej, burgundzkiej i bastylsko—aragońskiej, mógł marzyć o odrodzeniu monarchii uniwersalnej. Jest już w tym jakieś przeznaczenie, że podobnie paneuropeistyczne dążenia nie

dają się zrealizować (jedynie w Azji Czyngiz Chan uporał się z tym znakomicie, gdyż rządził największym obszarem w znanej nam historii), i don Carlos — pomimo świetnych zwycięstw w wojnie z Francją, jak choćby pod Pawią w Roku Pańskim 1525 — nie potrafił złamać potęgi odwiecznego i naturalnego wroga, i musiał zadowolić się jedynie umocnieniem panowania Hiszpanii we Włoszech.

Po niepowodzeniach w wojnie szmalkaldzkiej, której celem było przywrócenie autorytetu cesarskiego w Niemczech, dobry don Carlos abdykował, co nastąpiło już po śmierci zapomnianego Cortesa, i kłopot sprawowania władzy w Hiszpanii, Italii

i Niderlandach pozostawił synowi, Filipowi II.

Jak z tego widać, złota w koloniach zamorskich było za mało, by zaspokoić apetyty i ambicje europejskich władców, za to konkwistadorzy znaleźli za Wielką Wodą ziemię i niewolników do pracy na niej, znaleźli kawę, coffea; kakao; tytoń, nicotiana; i choroby weneryczne, które wymienili na ospę wietrzną i katolicyzm szczepiony igni et ferro.

Quod erat faciendum — jak mawiał pater Bartolomeo de Olmedo, duchowy nauczyciel Fernando AWareza de Toledo, krewnego księcia Alby. — Co trzeba było uczynić.

— Kto ma owce, robi co chce —

powiedział Podkładka. —
Konkwistadorzy mieli lepsze racje,
lepszego Boga, a przede wszystkim —
lepszą broń, dzięki której ich racje i ich
Bóg mogły stanąć ponad krwiożerczym
bożkiem Huitzilopochtli, któremu ofiary
z ludzi składano na szczytach teokalli.
Europejczycy mogli zatem stanąć na
karkach Indian i przygiąć je do ziemi, by
dla nich, panów, stworzonych na obraz i
podobieństwo zwycięskiego Boga,
pracowali niewierni

— Nie wiem, kto kogo stworzył —
zaprotestował Robertus Craneus
Juvenis. — Mnie się wydaje, że
człowiek jest prawdziwym kreatorem,
bo wymyślił sobie Boga na swój obraz i
podobieństwo oraz obdarzył go

wszelkimi swoimi zaletami i ułomnościami. Słysz, Kajfo, że twój Bóg jest zawistny zazdrosny, mściwy i pamiętliwy jak wszyscy diabli. Jak się na kogo zawezmie, to rzadko mu odpuści, chyba żeby — tak jak w sprawie Hioba — poklask zyskać i strachem zdobyć nowych wyznawców, a w starych obawę umocnić. Żeby nie było nieustraszonych.

Jeszua nie był rzymskim prowokatorem, a Piłat z Pontu, Jeździec Złotej Włóczni, ocalić pragnął go dla was. Tak, dla was, rzezany niedowiarku. Pilatus rozumiał doskonale, o co chodzi chudemu obdartusowi z Nazarethu; i pojął, że ludziom znudził się już ten stary, okrutny Bóg, i że Jeszua wymyślił

sobie nowe królestwo boże, królestwo łaski i przebaczenia, które postaci dać ludziom, zawłaszczając dla siebie w ułatwiającym tę propagandę celu imię boskiego syna. To był filozof uświadamiający sobie ową tajemnicę Wszelkiej religii, która pochodząc od człowieka dąży do skonstruowania i skomponowania bóstwa — a nie vice versa. Zatem, wierząc, iż zna mechanizmy tego procesu, podjął się zbudować jej kontynuację, jako że Stary Zakon, przewidując nadejście Mesjasza, stworzył po temu sposobność. W tamtych czasach filozofowie byli jednocześnie praktykami, na własnej skórze sprawdzającymi trafność swych teorii, a nie na grzbietach mas.

Prawdopodobnie Jezua od początku liczył się z możliwością marnego swego końca, gdyż jako człowiek inteligentny musiał zarówno znać losy innych reformatorów, jak i domyślać się możliwych następstw głoszenia tak odmiennej idei; skutków obruszonych nań, przerażonych i zawistnych jak on sam czcicieli starego Boga.

Robił to dla was, nie dla Rzymu, w którego mury zapuścił później korzenie tak mocno, że wyrósł z nich Piotrowy tron. Gdybyś, Kajfo, nie ukrzyżował Jezui, ty byłbyś chrześcijaninem, a papież miałby swą stolicę w Bet Lehem, albo w Jerozolimie, której stara, otoczona murami część miasta stanowi niezwykle, nie spotykany nigdzie indziej

na Ziemi zlepek przenikających się i walczących kultur. Są tu niemal wszystkie wyznania współczesnego świata — spotykają się na co dzień katolicy księża i mnisi oraz brodaci patriarchowie kościoła greckiego, wyjeżdżający z wąskich uliczek dzielnicy armeńskiej ogromnymi mercedesami i pędzący obok surowych, ascetycznych zborów luterańskich, patrzących swymi witrażami na wieże minaretów, z wiszącymi na nich byle jak głośnikami, przez które muezzini pięć razy dziennie zwołują wiernych mahometan na modlitwę do meczetu, drąc się przy tym wniebogłosy na żydowską stronę, by w szabas zakłócić spokój swych odwiecznych wrogów, w

ciszy i skupieniu modlących się pod Kotel Hamaarawi, Zachodnią Ścianą Świątyni Jerozolimskiej Terra Sancta, Ziemia Święta.

— Święta, święta i po świętach! Zamiast zgłębiać mechanizmy powstania religii, Jezua Ha-Nazri lepiej by począł, poznając sprężyny, rządzące polityką i psychiką władców. Wtedy zrozumiałby na pewno, że nikomu nie jest Potrzebne jego królestwo łaski i przebaczenia, a już szczególnie nie Sanhedrynowi, ani nie Tyberiuszowi Claudiuszowi Nero, który w odległym Rzymie czy na Capri niczego tak nie nienawidził w przerwach pomiędzy kolejnymi orgiami, jak właśnie dobra i sprawiedliwości!

Cóż począłby on, wielki Caesar, gdyby nie wolno mu było mordować niecnie i niewolników w szalone noce krwawej rozpusty, podczas których orgazm zastępowała śmierć, a fallus — rozpalony do czerwoności pilum centuriona? Czy zdziecinniały starzec, któremu nałożnice wyssały mózg wraz ze spermą i rdzeniem kręgowym, miał nagle ubrać szatę pokutną oraz przyjąć domniemanego syna znieawidzonego przez siebie żydowskiego boga? Nie, on chciał zniszczyć naszą wiarę i przysłał nam prowokatora, fałszywego mesjasza, by osłabić nas i w rezultacie wygubić. Czym bylibyśmy bowiem bez naszej religii, pozwalającej przetrwać nam wszystkich władców świata? Czyż

zniszczenie jej, tej potężnej, scalającej nas siły, nie było celem wszystkich namiestników rzymskich od Heroda I Wielkiego aż po ciebie, Pilcie z Pontu?

— Ja, Pontius Pilatus, Jeździec Złotej Włóczni, wiem najlepiej, kim byś, a kim nie był przybłąda z Nazarethu. Zauważ, Kajfo, że rozmawiał z nim długo, i poznałem jego poglądy oraz zamiary, bowiem był to człek szczery i niezdolny do fałszu. Mówił otwarcie o ożywiającym go pomyśle i pragnieniu, bo jego filozofia zasadzać się miała na absolutnej prawdzie.

Quid est veritas? zapytałem, ale on stał twardo przy swoim mówiąc, iż nie kłamie, gdyż w sensie duchowym jest

istotnie synem Boga, albowiem ludzie, którzy tego zaborczego okrutnika na swój obraz i podobieństwo wy—koncypowali podczas zimnych, pustynnych nocy, zostawili jednak — znając swe ułomności i pragnąc doskonałości — pewną furtkę oraz nadzieję: oto przyjdzie odkupiciel i da świadectwo prawdzie! Przeto on, filozof miłujący tych parszywych ludzi, przeniknąwszy swą myślą tajemnicę boskiego pochodzenia, postanowił dać im królestwo jasności i rozumienia wszystkiego tak jak on, czyli sercem. Chciał tego dla was i miał prawo mienić się boskim synem.

A wyście nie tyle, że mu nie uwierzyli, co raczej przestraszyliście się

tego dobra okropnego, tej jasności odsłaniającej wasze łajdactwa i frymarczenie dotychczasowym Bogiem, i tej miłości, do której nie byliście zdolni. Jezua przyszedł zbyt wcześnie i przeszkodził wam w interesach, w ukochanym geschefcie! Człowiek niby pragnie sacrum, ale w istocie nie chce go, i tylko poprzez wyrażane głośno pragnienie uspokaja własne sumienie, gdyż w zupełności wystarcza mu i kontentuje go profanum.

Zatem okrzyknęliśmy Jezusę Ha-Nazri, filozofa naiwnego, fałszywym zbawicielem i burzycielem ustalonego porządku, rewolucjonistą przeklętym — jakkolwiek naprawdę był on tym, na którego czekaliście, modląc się w

duchu, by nigdy nie przyszedł. Jako głosiciel królestwa bożego na ziemi był więc prawdziwym mesjaszem, bez względu na to, że nie stanowił krwi z krwi, a kości z kości waszego Boga, że Duchem Świętym była jego myśl filozoficzna, i że narodził się zwyczajnie z ojca i matki.

Zbyt literalnie traktowaliście swe Pismo Święte, nie abstrakcyjnie, i mimo iż gardziliście nami, poganami, to wyobrażaliście sobie swego Zbawiciela na kształt istoty poczętej podczas miłosnych uścisków Ledy z łabędziem!

Ja, Piłat z Pontu, piąty procurator Judei, nie chciałem jego śmierci przewidując, że legenda o nim może więcej Rzymowi zła uczynić, niż on

sam, żywy i starzejący się wraz z jego wiecznymi murami, ale nie przewidziałem tego, co się stało — że myśl jego te mury obali, a wy i tak zostanieie przy swoim! Widać bardzo jesteście przywiązani do swego okrutnego Boga; tak mocno, że nawet nie przyjęliście do wiadomości zesłanego przezeń Odkupiciela, choćby i ów był samozwańcem. Nie dojrzeliście, nie dorośliście do wyższej formy religii, która ewoluuje jak wszystko na świecie, i choć ty mnie, rzezańcu, swoim monoteizmem w oczy kłujesz i nade mnie się wywyższasz z tej racji, to nie masz jej, boś zaskorupiał w swoich poglądach i cofasz się wraz ze swym Bogiem w nicość.

— Gott mit uns, chciał pan powiedzieć, herr Obersturmführer SS. Oczywiście ten prawdziwy herr Gott, na którego mieliście monopol potwierdzony napisem na klamrach waszych pasów głównych, którymi to rzemieniami i sprzączkami rozczinaliście nam usta i rozbijaliście głowy. By nam to lepiej doszło do świadomości. Jawohl, herr Obersturmführer, unser Gott ist kein Gott. Sie haben recht, natürlich!

— Gefangene Dreckstein!

— Hier!

— Jaki masz numer, gówniany kamieniu?

— 11765, za pańskim pozwoleniem, herr Obersturmführer.

— Gut. Czy widzisz tę kobietę obok mnie? Co o niej powiesz?

— Jest śliczna, za pańskim pozwoleniem, herr...

— Śliczna? Na co ty sobie pozwalasz!? Na estetyczną ocenę übermenscha, czy raczej oberkurwy?! Ja cię nauczę, kozia mordo! To prawdziwa Aryjka, której pochodzenie zostało sprawdzone do szesnastego pokolenia wstecz i nie znaleziono w nim ani śladu waszej zafajdanej krwi żydowskiej! Ona ma być dla ciebie jak Matka Boska i Leda razem wzięte, gdyż ona da początek nowej rasie ludzi, ludzi równych bogom, którzy będą panować nad całym światem. Jest ona tak doskonałym tworem aryjsko–nordyckim,

że nawet sam Adolf Hitler, którego babka była Żydówką, nie miałby jej prawa zapłodnić. Jej wizerunek będzie umieszczony w naszych narodowosocjalistycznych ołtarzach, a nasza narodowosocjalistyczna trójca święta będzie czwórca — przechodzimy bowiem z modelu dwa plus jeden na dwa plus dwa — prokreacji prostej.

Kłękaj, parchu, i módl się do niej, a właściwie do nas, gdyż będziemy kopulowali na twoich kaprawych oczach. Spotkał cię wielki zaszczyt, Dreckstein, widzisz bowiem, jak powstaje nowa ludzkość, dla której musimy Czyścić pole z różnych niedojebków podobnych tobie, z komunistów, z tych śmierdzących i

brudnych Słowian, z Murzynów, Turków i Arabów! I ja, SS—obersturmführer Robert Nielsen—Crane, dołożę do tego swoją cegiełkę; swoje plemniki, wstrzyknięte w vaginę Jolandy Czystejaryjki, zapuszczą kocenie i dadzą nordycki owoc w dalekiej Azji, gdzie stworzymy imperium większe od Temudżynowego — imperium, w którym będziemy mieli i białe niedźwiedzie, thalarctos maritimus, i tygrysy, panthera tigris, i delfiny, delphinidae; a ponad tym wszystkim panować będzie homo nordicus, który zdobędzie dla siebie te przestrzenie przy pomocy Wunderwaffe, wyprodukowanej przez naszych niemieckich uczonych, najgenialniejszych na świecie. Amen.

Co ty na to, Podkładka?

— Mam widzenie, za pańskim pozwoleniem, herr Obersturmführer!

— Domyślam się! Widzisz, jak rżnę Jolandę i ślina kapie ci aż na twoją kozią brodę! Ale nic z tego, psi synu, nie zbecześcisz swym obrzezanym kutasem naszej boskiej, narodowosocjalistycznej cipy, tego móździerza i tygla, w którym ubije się, ukreći i wytopi nową ludzkość, rasę panów! Możesz tylko patrzeć i dławić się z żądy, a my będziemy spółkować przez trzydzieści dni i nocy, niczym dwa polarne niedźwiedzie na wiecznie zielonych, jutlandzkich łąkach, należących do relikutowego króla. Masz szczęście — widzisz profanum, które staje się

sacrum.

— Nie, herr Obersturmführer. Za pańskim pozwoleniem, a chyba raczej wbrew niemu, jawi mi się, iż cudowną broń wynajdą Amerykanie, którzy ramię w ramię z komunistami wygrają wojnę i pokonają Niemcy, będące potem w połowie komunistyczne, a w połowie wyruchane przez Turków. Arabów i jugo-Słowian. I to od tyłu. A my, Żydzi, będziemy mieli własne państwo w Palestynie. Amen.

— Dreckstein! Dreckstein! Ty skurwysynu! — zapiał SS-Obersturmführer Robert Nielsen—Crane spadając z wrażenia z narodowosocjalistycznej świętej piczy i drapiąc ją wiszącym na jego aryjskich

jądrach Żelaznym Krzyżem — Zjesz własne gówno i własnego kutasa, zanim łaskawie

pozwołę ci poprosić o śmierć!

— Nic na to nie poradzę, herr Obersturmführer! Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, a ja nawet nie jestem u siebie. Tak zresztą jak ta pańska paryżanka z Pińczowa, której vaginę pragnie pan umieścić na sztandarach zamiast Hakenkreuza.

— A może z Czeskich Budziejowic, leżących przy ujściu Malsy do Wełtawy? Wyobraź sobie, że tam raz, w trzydziestym ósmym, nie wziął tromfowy as! A wiesz dlaczego? Bo naszym wspaniałym wojskom wystarczyło tyle czasu na zajęcie całego kraju, ile

czterem graczom z Czeskich Budziejowic potrzeba było do rozdania kart, licytacji i wist! To się nazywa Blitzkrieg co, Dreckstein! Był, co prawda, jeden pepik, który już dawno wcześniej widywał w Wełtawie czarne jaszczury, ale nie przeżył on owego 38 roku, więc i ty uważaj na to, co dostrzegasz.

— Teraz widzę, że na starej piczy młodzież się ćwiczy — powiedział Aron, zwracając uwagę Crane'a na hotelowego pikolaka, który przyniósłszy oszronione butelki wody mineralnej zapomniał się tak dalece, iż nie otworzywszy ich lazył na czworakach w swym szamerowanym złotem uniformie na mademoiselle Jolandę.

— Daj mu kopa! — poradził Feldstein — To Arab, który nie ma żadnego poszanowania dla narodowosocjalistycznych świętości, tylko chce rznąć wszystko, co się rusza.

Bob złapał szczeniaka za kark swoim mocniejszym, podobnym do chwytaka robota przemysłowego prawym ramieniem, i otworzywszy boyem drzwi zastosował się do rady Arona. Z cichym łoskotem złotych guzików o stopnie pikolak zniknął poniżej podestu schodów pożarowych.

— Dobra robota — pochwalił Podkładka. — To co, przeprowadzacie się do mnie?

Powiódł przy tym znaczącym wzrokiem za Jolandą, która przeszła do

łazienki.

— Należałoby się zastanowić — powiedział profesor Robert Cranestein z uniwersytetu Princeton, New Jersey — ile kalorii ciepła dostało się do atmosfery na skutek ochłodzenia dwóch butelek wody mineralnej? Zakładając, iż miały one wcześniej temperaturę otoczenia, tak zwaną „pokojową”, czyli jakieś pięćdziesiąt stopni według z dawna niesłusznej skali pana Celsjusza, a także iż ciepło właściwe szkła i wody jest porównywalne, dochodzę do wniosku, iż oziębienie litra wody do temperatury sześciu stopni powoduje wyprodukowanie ponad czterdziestu tysięcy kalorii, które uwolnione do atmosfery spowodują dalsze

pustynnienie, stepowacenie, wysychanie, parowanie i opadanie igieł z drzew tajgi syberyjskiej, gdzie śnieg pojawia się czasem jako anomalia pogodowa w rodzinnej okolicy Dziadka Mroza.

— Zostaw więc te dwie butelki, albo najlepiej wystaw je za okno. Niech odbiorą owe cztery kilokalorie, a potem wypij dla ochłody wodę o temperaturze trzystu dwudziestu kelwinów! Na zdrowie!

— Nie uczynię tego, bowiem do ich schłodzenia zużyto pewną ilość energii, której wyprodukowanie pociągnęło za sobą kolejny wydatek cieplny, a więc byłoby to z mojej strony czyste marnotrawstwo. To błędne koło, *circulus vitiosus*. Aby je przerwać,

należałoby od dzisiaj zacząć obchodzić się bez lodówek, bez air-conditioning, bez silników spalinowych nieprzerwanie produkujących ciepło i podgrzewających atmosferę — słowem bez chłodzenia wiecie i ogrzewania w zimie. Chociaż zimy tak naprawdę już nie ma i nawet mój przyjaciel jarl Erik Johanson z Angmagssalik tapla się wraz z niedźwiedziami i psami husky w ciepławej wodzie, płynącej z wiecznych lodowców. Wodą ową zamierza ogrzewać inspekty z rzodkiewkami, raphanus sativus, i w ten sposób jeszcze trochę wydłużyć sobie średnią życia do matuzalemowego wieku pięćdziesięciu i pięciu lat.

Zważ przy tym, iż nie od samych

rzodkiewek to zależy, gdyż niedźwiedzie Warne nadal nie stały się jaroszami i chętnie zeżarłyby jarła Erika wraz z jego psami husky oraz saniami, jako że jarl Johanson — jak większość ludzi — posiada tę cenną w oczach misiów właściwość, iż przerabia w swym wnętrzu białko roślinne na zwierzęce, bardzo przez thalarctosy maritimusy podane.

— Ty również masz tę zaletę — zauważył Aron. — Cały jesteś niesymetrycznie zbudowanym pojemnikiem wysokogatunkowych polipeptydów i twój zoofilny stosunek z niedźwiedzicą polarną może skończyć się kolacją we dwoje, albo też zeżarty zostaniesz, zanim jeszcze rozpoczniesz

grę wstę pną! A twoje niżej opuszczone
prawe jądro stanie się smakowitą
przekąska Sam wiesz, iż zapraszając
panienkę na rozbieraną randkę, trzeba ją
na, pierw nakarmić i napoić — najlepiej
w blasku świec i w drogiej restauracji
— a dopiero później można liczyć na
rewanż z jej strony.

— Zrobię wszystko, jak
powiedziałem! — zdenerwował się Bob
— Obiecałem to mojej matce, Ulli
Crane, de domo Nielsen, która już z
wielkim trudem przełknęła pijanego
marynarza z Nordkappu in duplo, i mam
na dzieję, iż udławi się białą misicą. To
postanowione.

Mademoiselle Kucharski wyszła z
łazienki i zaczęła pakować swoje

szmatki.

— Wyjeżdżasz? — zainteresował się Bob, który nie miał ochoty na towarzystwo istniejącej na pewno gdzieś w zanadrzu feldsteinowego domu siostry Arona lub Samarytanki z Nablusu.

— Przeprowadzamy się do Podkładki — powiedziała Jolanda — Jestem równie biegła w rachunkach jak ty i policzyłam, iż każda kaloria ciepła wy ssana z naszego apartamentu i wyemitowana na zewnątrz przez hotelowy klimatyzację jest dwa koma siedemdziesiąt trzy raza droższa niż w domu Arona. Ubierz więc coś na swojego Craneusa Minusculusa, jako że wszędzie wokół rozpościera się Holy

Land, i chodźmy.

Jolandowy boy zniósł ich walizki na podjazd „Sonesty” i zniknął tak szybko, że Crane nie zdążyłby mu dokopać ani dać napiwku, gdyby chciał te uczynić. Było jednak tak gorąco, że ani pikolak, ani Bob nie myśleli o niczym — tego ostatniego nie zajmowały nawet białe niedźwiedzie, jego przyjaciele, Pińczów, Czeskie Budziejowice czy Nowy Amsterdam. Pomyślał natomiast o krwawym księciu Albie, bo upał był tak wielki, iż Crane’owi zaczęło się majaczyć, że jest flamandzkim protestantem płonącym na stosie rozpalonym własnoręcznie przez szlachetnie urodzonego Fernando Alvare za de Toledo.

Miał kolldraeger Claes zamieszkały w Damme syna Sowizdrzała i miał Karol V, cesarz rzymsko–niemiecki i król hiszpański, syna Filipa II. Syn węglarza miał swego przyjaciela, poczciwca Jagnuszka, i miał Filip II swą prawą rękę, Fernando de Toledo księcia Alby. I stało się tak, że Filip II, kontynuując politykę świętej pamięci tatusia, don Carlosa (syna Filipa I Pięknego, co u niejakiemu Hieronimowi van Aken z niderlandzkiego miasta Hertogenbosch obrazy dla swej szlachetnej przyjemności zamawiał), postanowił umocnić katolicyzm i absolutyzm na tych i tak puszczających pod ręką inkwizycji ziemiach. Miał zatem już wcześniej mistrz Bosch wokół siebie

możliwości do znakomitych studiów dla swych przerażających tryptyków, bowiem stosy płonęły i za cesarza Maksymiliana, i za Karola V; a i kołem łamano i ćwiartowano, i pasy darto, i w smole pławiono. Mnożyły się procesy czarownic, które poddawano rozmaitym próbom i torturom, jako to picie wrzącym oleju lub — co równie przyjemne — ołowiu; wyjmowanie przedmiotów rozmaitych z tychże cieczy czy też rozciąganie podejrzanych, aż im członki ze stawów wychodziły, i to na stałe, czyniąc ich kalekami.

Dominikanie setnie w tym miłym chrystusowemu sercu procederze sekundowali władzy cesarskiej, uwijając się między ludem w swoich

biało—czarnych — niczym krowia sierść — habitach. Słuchali święci mężowie, co w trawie piszczy, a tam, pomiędzy węglarzami, marynarzami, chłopami, rzemieślnikami wrzał gniew i zbierała się głucha nienawiść. Aż doszło do powstania i zmierzył się syn elaesowy z synem karolowym, i stanął pocziwiec Jagnuszek przeciwko bezlitosnemu Ferdynandowi de Toledo, i krew się polała, czego już ani dumny konkwistador Cortes, ani skromny mistrz malarski Hieronim van Aken nie widzieli, gdyż obaj zmarli wcześniej, nie znając się, choć byli ludźmi niepospolitymi, współczesnymi sobie i poddanymi jednego władcy.

Robert Crane skwierczał sobie na

stosie słonecznym na podjeździe czterogwiazdkowej „Sonesty” w daremnym oczekiwaniu zapowiedzianej i zamówionej przez pikolaka taksówki. Prawdopodobnie boy zemścił się na nim w ten sposób i Bob nabierał przekonania, iż za życia nie dotrze do domu Feldsteinów, tak jak Dürer — według Abisha — nie dojechał nigdy do Genewy. Współczesny Boschowi i Cranachowi, od którego Crane Starszy wywodził fałszywie swój ród, popierał Albrecht idee reformacji i Lutra osobiście, choć w przeciwieństwie do Cranacha nie był przyjacielem doktora Marcina o bystrym umyśle i ciężkich rysach twarzy; ani jego zażywej małżonki, Katarzyny z domu Bohra,

wypisz wymaluj podobnej do Ulli Crane, de domo Nielsen.

Gotującym się mózgiem Bob począł się zastanawiać, czy żona reformatora mogła mieć w młodości coś wspólnego z owocami byliny solanum tuberosum, gdy w końcu podjechała taksówka spowita w obłok drgającego od gorąca powietrza. Wsiadając do niej nieodwołalnie doszedł do wniosku, iż wystawienie za okno dwóch butelek wody mineralnej, by te odebrały z powietrza należne im cztery kilokalorie ciepła, było poronionym pomysłem, w żaden sposób nie przynoszącym ulgi białym niedźwiedzim polarnym, thalarctos maritimus, drepczącym na tę intencję wokół osi bieguna ziemskiego.

Nie mogło to również w niczym pomóc krewetkom, natantia, zdychającym masowo nad brzegami wysychających mórz. Jako Robertusa Biloxusa, miłośnika odmiany alfeusz, alpheus ruber, interesował go szczególnie los owych skorupiaków hodowanych w Zatoce Barataria, czterdzieści mil od Nowego Orleanu, którą archipelagi — wbrew nazwie niewidocznych na mapie wysp — Grand i Grand Terre oddzielały od wód tajemniczej Zatoki Meksykańskiej.

Dwie butelki zimnej wody mineralnej wrzucone — czy też lepiej — wylane do zatoki, nie mogły w zasadniczy sposób zmienić jej niekorzystnego bilansu cieplnego i

przynieść ulgi raczkom, które pomimo posiadania dziesięciu odnóży nie kwapiły się do wspomżenia niedźwiedzi w ich polarnych wysiłkach, zmierzających do przyśpieszenia ruchu wirowego ziemi.

Wprost przeciwnie — kula ziemską, die Erdkugel, obracała się wciąż wolniej i opieszalej, zwiększając swą masę o kosmiczne pyły ściągane przez zachłanną grawitację z mroźnych przestworzy — sterany globus nie wiruje bowiem w idealnej pustce, a w deszczu mikrometeorytów, cząstek wodoru, helu, jakichś zdefektowanych atomów ciężkich pierwiastków, pośród wolnych protonów i elektronów daremnie poszukujących się w

niezmierzonych przestrzeniach
wszechświata, wśród porwanych jak
pajęczyna linii sił pola magnetycznego
Słońca i opadających piór upadłych
aniołów. Wszystko to gargantuicznie
głodna grawitacja ściąga na
powierzchnię Ziemi, nie zdając sobie
sprawy, jak każdy chciwiec, że się tym
udławi. Że ani niedźwiedzie polarne
popychające oś ziemską, ani pszczoły,
apidae, machające zawzięcie i
rozpaczliwie nadpalonymi przez słońce
skrzydełkami, ani w końcu krewetki —
gdy już zechcą ruszyć swe tyłki i
pomaszerować do pomocy thalarctosom
maritimusom, i taplając się w letniej
wodzie zaścielającej lody Arktyki
zaczną łaskotać misie w pięty, by te

przyśpieszyły swój marsz — nie uratują Ziemi, gdy ta — obzarta do nieprzytomności — stanie w swym pędzie i wystawi twarz do słońca. Ocalałe życie, skupione wzdłuż terminatorów, będzie łapać ostatnie kęsy rozrzedzonego, parującego i uciekającego w przestrzeń kosmiczną powietrza. Za czym nastąpi koniec świata, amen.

W taksówce, w której Bob zaczął natychmiast szczekać zębami, gdyż przeskok termiczny był tak wielki, zauważył jak krople potu na twarzy i szyi jolandowej zbierają się w dwa małe strumyczki łączące się i znikające pomiędzy wydatnymi piersiami, po czym jej podniecający brzuch ukazuje się,

niczym wywoływana fotografia, spod przyklejającej się do niego sukienki. Mademoiselle Kucharski nie zwykła nosić bielizny, za wyjątkiem trzech, czterech dni raz na miesiąc, przeto widok stawał się coraz bardziej interesujący i Crane gapił się na to usiłując powstrzymać wstrząsające nim dreszcze. Air-conditioning w samochodzie działało jednak sprawnie i zanim dojechali na miejsce, fotografia zbladła i całkiem wyschła, tracąc swój obraz jak wypłowieły na nagrobnej płycie dagerotyp.

Obieg ciepłno-wodny przedstawiał się więc jak następuje — wodę mineralną ze źródła nalano do butelki, butelkę schłodzono, Bob i Jolanda

krachelkę wypili, po czym ta — wypocona efektownie — wyparowała, a klimatyzacja usunęła parę na zewnątrz; opar wznosząc się pod niebiosa powinien skropić się na niewiadomej, lecz ściśle warunkami termicznymi i barycznymi określonej wysokości, spaść w postaci deszczu, wsiąknąć w glebę, by wydobyto go potem w postaci wody mineralnej przyniesionej przez hotelowego boya w oszronionej ekscytująco butelce. Tak to wyglądać miało w teorii, lecz ponieważ aurea praxis, sterilis theoria, przeto wyparowana woda podziewała się gdzieś bezpowrotnie, porywana prawdopodobnie przez wiatr słoneczny i nikt od dawna nie widział deszczu; co

prostą jak highway drogą prowadziło do wyschnięcia rzek.

Z nieba spadały tylko pióra upadłych aniołów, bowiem było ich coraz więcej w tych nerwowych czasach. Archanioł Gabriel, trzymając miecz ognisty w lewej garści, prawą degradował dezertarów, targając za skrzydła, pierze wokół latało. Byli co prawda i tacy, którzy podając się za ornitologów rozpoznawali owe szczątki jako należące do legendarnego ptaka Feniksa żyjącego niedaleko Jerozolimy, bo w Etiopii, i odradzającego się co kilkaset lat z popiołów. Teraz, zdaniem wspomnianych uczonych, Feniks przeżył okres pierzenia się po kolejnym zmartwychwstaniu, które miało być

szóstym od czasów Senusereta I, w 1900 roku przed naszą erą. Po raz drugi ptaszysko odżyć miało za panowania w Egipcie Amasisa II w 556 roku, później w 266 roku za Ptolemeusza II z dynastii Lagidów, której ostatnią przedstawicielką była Kleopatra; dalej za Tyberiusza Klaudiusza Nero w 34 roku już naszej ery, i wreszcie za Konstantyna Wielkiego w 334 roku.

Feniksolodzy nie potrafili wytłumaczyć owej nieregularności odradzania się z popiołów inaczej, niż twierdząc, iż tak naprawdę istnieją co najmniej trzy święte, słoneczne ptaszki—ogniwaszki, a to zmartwychwstające co lat 500, 1460 i 15000; w związku z czym bałagan panował w feniksologii

zupełnie nadzwyczajny. Obecne narodziny ptaka, za Robertusa Biloxusa, jeszcze bardziej pomieszały szyki uczonym.

— Pisarze monastyczni — powiedział Robert Crane, wkraczając do ciasnego mieszkania Feldsteinów w Starej Jerozolimie — nazywali Feniksem Chrystusa.

Po czym zamilkł, gdyż wydało mu się, iż właśnie jest naocznym świadkiem odrodzenia się świętego ptaka — Aron usiłujący na cześć przybyłych włączyć piecyk gazowy stanął w aureoli ognia niczym Eliasz zastanawiający się, czy ma wsiąść do rydwanu słonecznego. Zaczem nastąpił huk, ogień zgasł, wóz płomienisty wyrwawszy rurę i kawałek

przymocowanej do niej ściany znikł za oknem, a Jolandzie podmuch zadął sukienkę powyżej pępka.

— Przepraszam — powiedział poblady nieco Podkładka, traktujący incydent jako znak boży. — Chciałem dla was zagrzać ciulentę, potrawę szabasową, ale jak widzieliście sami, zrobić tego nie można. Dziś jest właśnie sobota, ortodoksyjni Żydzi w owym dniu niczego nie robią, nie wolno im jeździć samochodami, za nic płacić, gotować ani nawet iść do kina. Ortodoksyjny Żyd może — a raczej musi — modlić się. Nie jestem ortodoksem, ale w Jerozolimie wszystko zdarzyć się może. Vide latający piecyk gazowy. Dawniej mieliśmy w domu piec kuchenny,

kaflowy, z szabaśnikiem jak się Patrzy. Ów szabaśnik Bóg po to nam dał, byśmy w piątek nagotowawszy, trzymali w nim jadło, które dzięki temu przez sobotę było ciepłe i zdatne do jedzenia. Choć jeśli ktoś nie chciał z tego dobrodziejstwa korzystać, mógł pościć do woli, zyskując tym większą miłość bożą. Tak i my uczynimy, gdyż nasz posiłek odleciał w zaświaty.

— Raczej za ścianę — sprostowała Jolanda Trzeźwomyśląca. — Być może klimatyzacja jest u ciebie istotnie dwa koma siedemdziesiąt trzy razy tańsza od hotelowej, ale dzięki tej dziurze jakby nieco mniej skuteczna. Czy dzisiaj jacyś świątobliwi mężowie przyjdą usunąć awarię, zamurować ścianę i wstawić

okno? Upał robi się tutaj taki jak w twoim szabaśniku!

— Wyłączę gaz, zamkniemy drzwi do kuchni, która nie będzie nam do jutra potrzebna, i jakoś przetrwamy. Chodźcie, poznacie moją rodzinę.

Jolanda i Bob poznali rodziców Podkładki, mamełe i tatełe, tych psów rzezanych, a także dwóch braci i trzy siostry. Z okna przyjrzeni się Ścianie Płaczu, ostatniemu zachowanemu fragmentowi Drugiej Świątyni, postawionej na miejscu tej Salomonowej. Do zabytku owego przylegała szklana czy pleksiglasowa weranda, klimatyzowana, co pozwalało wiernym modlić się tam w nakryciach głowy pomimo panującego

wszechwładnie upału.

— Well — powiedział Bob. — Myślę, że na dzisiaj starczy zwiedzania Jako syn praktykujących anabaptystów powinienem chyba przejść przez Via Dolorosa, ale podejrzewam, że — znajdując się w arabskiej części miasta nie jest klimatyzowana. Zresztą głupio jakoś zakładać air-conditioning na drodze krzyżowej, zwłaszcza że turystyka zdechła przed laty z upału jak wieloryb, cetacea, na piasku.

— Ani nam, ani Arabom nie byłoby niezręcznie. Jeżeli mogą oni sprzedawać na pamiątkę korony cierniowe, wypisz wymaluj jakby zdjęte z głowy waszego Jezui, to co im tam po Via Dolorosa? Ich świętością jest Złoty Meczet, Dome

of the Rock, a...

Podkładce przerwał łoskot wrywający z zawiasów drzwi do kuchni. Pocisk raketowy z ręcznej wyrzutni przemknął milczkiem przez przedpokój wybił dziurę w ścianie i zniknął w mroku klatki schodowej.

— Co to? — Jolanda powiodła wzrokiem wzdłuż domniemanego dalszego toru lotu skrzydlatej bomby.

— Dżihad, święta wojna, nakładająca obowiązek rozpowszechniania wiary islamskiej za pomocą oręża — wyjaśnił spokojnie Aron. — Widać mój piecyk zaniósło aż na tereny arabskie, gdzie został potraktowany jako nowa broń gazowo—szabasowa. Odwet nastąpił

błyskawicznie i jakiś nieznany mi muzułmanin otrzymał właśnie tytuł ghazi — bohatera walki o triumf Allaha nad światem. Ów anonimowy zwycięzca niewiernych nie wie nawet że nabawił nas kolejnej niewygody — musimy jeszcze bardziej się ścieśnić odcinając następne zdehermetyzowane, czy też zdeklimatyzowane, pomieszczenie.

— Aj, aj — odezwał się Tatele. — Czy my znów będziemy spali przy otwartych drzwiach, Aron?

— Może wrócimy do hotelu, mister Tatele? — zainteresował się Bob. — W pańskim mieszkaniu zaczyna być gorąco i dosłownie, i w przenośni. Sądzę, iż nie ma tu nawet dwóch butelek chłodnej wody mineralnej, bowiem wraży pocisk

przeszedł na wylot przez lodówkę, dokładnie pomiędzy półką z koszernym mięsem a tą z naczyniami mlecznymi. Szczęściem dla was była z rakietą przeciwpancerna, która nie napotkawszy godnej siebie przeszkody (trudno bowiem za takową uznać niemal pustą — nie wymawiając! — lodówkę z cienkiej blachy), nie eksplodowała, gdyż w przeciwnym wypadku nastąpiłoby przemieszanie potraw mięsnych z mlecznymi, co odbyłoby się z wyraźną szkodą dla zbawienia pańskiej rodziny. Dixi.

— Edo, ergo sum — zauważył melancholijnie tatele, po czym nie bacząc świętą sobotę, rzucił się do ratowania zapasów — Aj, aj! Tyle

dobra miałyby się zmarnować?! Niedoczekanie ich! Tego na pewno nie chciałby i Jahwe, więc mi wybaczy w swej nieskończonej wielkoduszności, że w szabes biorę się do pracy. Jestem tylko simplex servus Dei, prosty sługa boży, chrześcijaninie, co znasz łacinę, i w bóżnicy zajmuję odległe miejsce od Aron ha-Kodesz, choć kiedyś, jako szaliach cibur, wysłannik gminy, prowadziłem nabożeństwa; ale wiedz, że każdy Żyd uważa się za poufałego Bogu i za jego domownika. Ratując więc własne zapasy ocalam jednocześnie spiżarnię Jahwe, a temu On przeciwny być nie może.

— Jestem ateistą, biseksem i przyszłym sodomitą, ponieważ mam

szczerzy zamiar wyruchać na stojaka, za piątaka, samicę gatunku thalarctos maritimus — sprostował Crane. — I chciałbym panu przypomnieć, mister Tatele, iż Talmud poleca, by szczególnie uważać, aby nie urazić cudzoziemców; przeto Święta Księga zakazuje przypominać im o obcym pochodzeniu, a nawróconym grzesznikom wypominać ich dawne winy. W ogóle przestępstwa słowne, onaat dewarim, uważa się za cięższe niż uszczerbki oraz szkody spowodowane w sprawach materialnych, czyli niżli onaat mamon.

— Aj, aj! — cmoknął z podziwem tatele Feldstein. — Słowa twoje, synu, są mądre jakby wyszły z ust samego rabina Jerozolimy, który idzie zaraz za

tym z Krakowa, i obiecuję ci, iż przez tydzień w synagodze będę zmawiał kaddisz za twą pomyślność. Co tam jeden kaddisz, trzy zmówię, ja i moi synowie, aby stary Jahwe dobrze usłyszał i zrozumiał, o kogo mi chodzi.

Podobnie jak ty brzydzę się genewat daat, czyli oszustwem, i dotrzymam słowa. Muszę ci przy tym w zaufaniu wyznać, że nasz Bóg posunął się bacznie, nie słyszy już wszystkich próśb, jakie do niego kierujemy i — co gorsza! — nie spełnia ich. Nawet mezuzą przybitą do drzwi, mającą poświęcić dom, zapewnić błogosławieństwo i przypominać o stałej obecności Jahwe, nie ma już takiej skuteczności jak drzewiej. Vide raketowy pocisk ppanc,

który przewiercił drzwi wejściowe, jakby zupełnie nie chroniło ich słowo boże. Ale jak mówi modlitwa: „Alejnu leszabeach la—Adon hakol, winniśmy wychwalać Pana wszystkiego!” Amen!

Milcząca mamełe, zawinięta w srebrno—czarną szatę i przypominająca w to stroju lakierowane wieko od trumny, przyszła z pomocą mężowi, wystawiając z przestrelonej lodówki osmalone od podmuchu odrzutu rakiety naczynia.

— Pana i Ojca naszego — uzupełniła mamełe tak zdecydowanie, jakby gwóźdź wbiła w ową pokrywę.

— Sprawa ojcostwa jest zawsze bardzo pokrętna — ziewnęła mademoiselle Jolanda Kucharski. — Juz

starożytni twierdzili, że tylko mater senin certa. Nie chciałabym spłycać mistycznego zagadnienia i sprowadzać religii do płaskiej trywialności stosunków męsko–damskich, ale tacy Trobriandczycy na przykład, lud papuasko–melanezyjski z koralowego archipelagu Wysp Trobrianda, położonego na północny wschód od Nowej Gwinei, są zupełnie nieświadomi wpływu mężczyzny na fakt poczęcia dziecka. Ojca określa się tam słowem tomakava, czyli obcy. Kraina ta byłaby edenem mężczyzn, arkadią bez alimentów i innych niepotrzebnych a komplikujących życie zobowiązań, gdyby nie istnienie zakorzenionej mocno instytucji małżeństwa a co za tym idzie

matrylinearnego sposobu spadkobrania, przekazywania rang i tytułów czy godności dziedzicznych, oraz magii.

Dla dziecka osobą ważniejszą od ojca—tomakavy staje się brat matki kadagu, a wieś wuja — jego własną wioską, czyli kada. Związki dziecka z fizycznym ojcem w miarę jego rośnięcia i dojrzewania rozluźniają się coraz bardziej — młody człowiek ma inny znak totemiczny, a wszelkiego rodzaju obowiązki, ograniczenia i racje godności osobistej łączą go z klanem rodzinnym matki, odgradzając od ojca.

Ojciec to jedynie nuptus uxori suae, „mąż matki” oraz opiekun, który w miarę upływu czasu traci na znaczeniu i ma z dnia na dzień mniejszy zakres władzy

„rodzicielskiej”. Także sam tomakava, nie będąc świadom swojej rzeczywistej roli w powstaniu dziecka, coraz mniej interesuje się swoim—nie—swoim potomstwem. Myślę, że coś podobnego zachodzi pomiędzy wami a Jahwe — wraz ze starzeniem się czasu zarzuca On słuchanie waszych modlitw, przestaje spełniać zawarte w nich prośby i wyłącza się z uczestnictwa w waszym życiu, bo tak naprawdę jest On tomakavą, obcym, co na poty nieświadomie tchnął w was życie, potem z musu opiekował się wami w czasach niemowlęctwa i raczkowania narodu, a jeszcze później założył ręce na obwisłym brzuchu i powiedział: „Dość! Teraz idźcie do brata waszej matki!”

Wasza matka to wiara, a jej brat to islam lub chrześcijaństwo. A wyście, jak zwykle, nie usłuchali.

— Aj, jak pani źle mówi, jak pani źle mówi! — mamele była tak oburzona, że przez nieuwagę wrzuciła kotlet cielőcy do mleka i odruchowo oblizwała palce. — Jesteśmy narodem wybranym i ten psubrat Locke wraz z Tolandem, Tindalem i — tfu! tfu! — Wolterem, nie zmienił tego! Bóg nas wybrał i doświadczył, byśmy zasłużyli na jego miłość. Cierpieliśmy...

— Łatwiej jest cierpieć, niż pracować. Na ten przykład wy handlowa liście według tej zasady, iż lepsze deko geszeftu, niż kilo roboty.

— W myśl Talmudu — powiedział

Aron — grzeszną jest rzeczą wejść do sklepu i pytać o cenę jakiegoś artykułu, będąc z góry przekonanym, że się go nie kupi. Pismo Święte wyklucza także wszelkie rodzaje fałszu, podstępu i nieuczciwych praktyk w interesach; wymaga natomiast skrupulatności oraz sumiennego wypełniania obowiązków, tak przez sprzedającego, jak i nabywającego. Czyż zatem handel to nie cierpienie? Każdy z synów Izraela oscyluje ciągle pomiędzy Scyllą chęci szybkiego dorobienia się a Charybdą Talmudu i własnego sumienia.

Ale ponieważ judaizm, nasza religia, uznaje możliwość swobodnego wyboru grzechu jako nieuniknionego następstwa posiadania wolnej woli, przeto

wyjaśnienie stosunku pomiędzy owym przewinieniem a cierpieniem, jako karą, pozostawia on do oceny sprawiedliwej oraz niezbadanej woli Boga.

Rabbi Janaj powiedział: „Nie jest w naszej mocy wyjaśnić pomyślność moegodziwych, ani cierpienia sprawiedliwych”. Zresztą grzech jest potrzebny, konieczny nawet; bez niego nie byłoby postępu — zło jest bowiem równie silnym motorem dziejów co dobro. Vide konkwista, która nie z pragnienia uszczęśliwienia obcych ludów się wzięła, i nie z chęci poprawienia bytu własnych poddanych don Carlosa, ale z chciwości nieposkromionej i niedostatku mamony w szkatule. Pozostając, dla uproszczenia

rozważań, przy założeniu, że grzech — jako odstępstwo od narzuconych nam norm — jest zawsze i wszędzie złem, można wysnuć wniosek o dziejotwórczym znaczeniu niegodziwości w rozwoju ludzkości. Pod warunkiem jednak, iż podobnie jak w fizycznej III zasadzie dynamiki Newtona, dla przeciwwagi do głosu dojdzie dobro; jako reakcja.

Zauważ — gdyby nasz pradziad Adam nie zgrzeszył w raju, gdyby usłuchał był Boga i nie zezarł wiadomego jabłka marki „Goldstar” z drzewa malus pumila, i gdyby prababka Ewa nie otworzyła przed nim swego polowego ołtarzyka, i gdyby nie połączyli się oboje z równą zajadłością

co dwa kopulujące niedźwiedzie polarne, thalarctos maritimus, na wiecznie zielonych łąkach relikтового Boga, to dziś wiecznie młody Adaś i wiecznie młoda Ewka przechadzaliby się ścieżkami Edenu. I nic więcej nie stałoby się. Zło, które dokonało się za sprawą węża (ja twierdzę, iż namówionego przez Jahwe, któremu jako Bogu nijak było pchnąć tę sprawę osobiście) skierowało świat na nowe tory.

Ludzie, dwoje ludzi, utraciło dar nieśmiertelności i wiecznego zdrowia, na rzecz powstania milionów chorych, zgorzkniałych i śmiertelnych, ale ciągle do czegoś dążących. Popelniona przewina, ciężąca nad ludzkością,

popycha ją do odkupienia grzechu poprzez działanie. Duch dziejów, der Geschichtgeist, rządzący historią człowieka, krzepko dzierży w garści wodze i o co: hetta! powie i zrobi — to zło się dzieje; a co: wista! — to się ludzkość ku dobremu natęża — przez co też historia tak meandruje niczym pijak od płota do płota, miast prosto do przodu rwać. To się zatrzyma dla odbycia wojny czy kampanii, to znów poskoczy w drugą stronę, gdzie jakiś suchotnik dzieło wiekopomne czy wynalazek na poddaszu kleci, który się znów na wojence przyda. I tak to leci dziesięcioleciami, stuleciami, tysiącleciami i eonami.

A więc nic bez zła, które się z

grzechu pierwotnego poczęło. Bóg nie ustanawiałby zakazów, gdyby się z ich złamaniem nie liczył. Przecież żadna mu frajda była dwojgiem posłusznych manekinów rządzić, przeto pokazał czego im nie wolno, a potem schował się w niebie, zasiadł przy peryskopie i kikując czekał, co też się będzie robiło? A i nie bez tego, żeby nie pokusi) trochę, bo skoro my na Jego obraz i podobieństwo (albo jako ty twierdzisz — vice versa), to i w Nim musiało tkwić nieco psotnej ciekawości, jakież to jest owo nowe Jego dzieło? Jak kto dynamit wymyśli, to go chce czym prędzej wybuchnąć, jak koła zębate, to palec w tryby pcha, jak wieczne pióro to wiecznie donosy pisze na tych, co

długopis w pocie czoła i z mozołem
wykombinowali jemu na złość; tak i On.
To nie Szatan wcielił się w węża, ale
szatańska część Boga, ta, z którą sam
walczył, bo był dwoisty jak wszystko,
czego się tknął. No i dopiął, bo był
dwoisty jak wszystko, czego się tknął.
No i dopiął swego — poszturchał,
postraszył, pokusił swoje pacynki, bo
mu się już cknęło, że tak nic, tylko toto
po ogrodzie łązi, owocami się napycha,
klombów nie depcze, zieleń szanuje, psa
nie kopnie, lwu kłów nie wybije, a i
samicy, co mu ją dał, nie wychędoży jak
przystało pierwszemu człowiekowi na
Ziemi.

I gdy tak dobry Bóg wpychał paluchy
w tryby i wpychał, to wreszcie

zadziałało! Toż się Bożysko uradowało i dalejże udawać wkurzonego, bo w swej dwoistości i trochę zły był, że jednak stworzył coś niedoskonałego, co poszło na lep jego pokus i pękło; i dalejże Archaniola Gabriela z mieczem ognistym na dół posyłać, by rozpędził tałatajstwo na cztery wiatry!

— Es wird nicht so heiss gegessen, wie es gekocht wird — powiedział do siebie i do Boga Adam. — Nie tak gorące się je, jak ugotowano; co w wolnym tłumaczeniu brzmi bardziej adekwatnie do miejsca i sytuacji: nie taki diabeł straszny, jak go malują!

I poszedł Adaś czynić zło, by później mógł robić dobro. Z filozoficznego więc punktu widzenia,

mademoiselle Kucharski, pojawienie się Chrystusa i Mahometa — czy to osobiste stawiennictwo ich obu na ziemi, czy tylko per procura, jako mitów — spowodowało wiele nieszczęść; więcej zła niż dobra przyniosły ich nauki. Wystarczy przypatrzeć się wojnom religijnym. Nadmieniałem już o krucjatach, a można by jeszcze dużo powiedzieć o kontrreformacji i Świętej Inkwizycji oraz o Fernando Alvarezie de Toledo, księciu Alba, który we krwi utopił Niderlandy, tak żywo interesujące naszego przyjaciela.

De Toledo doprowadził do ruiny gospodarczej podległe mu prowincje, których był namiestnikiem, czym ucieszył serdecznie swego protektora,

Filipa II. Król był bowiem kamiennego serca i nie kochał nikogo, będąc doskonale świadom, iż nikt jego nie miłuje; na dodatek był melancholikiem, czy melankolikiem nawet, i flegmatykiem, a nadmiar pracy — gdyż całą ogromną monarchię pragnął na barkach jedynie o własnych siłach dźwigać, czemu też podołać nie był zdolen — trawił jego wątłe z natury ciało. Radosne twarze budziły we władcy obrzydzenie, nienawidził niderlandzkich kupców za zbytek i bogactwo, a szlachty za wesołość i śmiałe słowa; za fantazję, wigor i jowialność, której ani nie podzielał, ani nie rozumiał. Nic też mu miłszym być nie mogło, jak upadek zasobnej krainy,

niż głód i płacz, choroby i śmierć.

Jakkolwiek za czasów cesarza Karola V inkwizycja papieska pogrzebała żywcem, spaliła na stosach, powiesiła oraz zamęczyła na różne wyszukane sposoby sto tysięcy chrześcijan, to Filipowi i tego było mało — postanowił Oprowadzić w Niderlandach okrutniejszą jeszcze od papieskiej inkwizycję hiszpańską. Według jej edyktów palić odtąd miano wszelkich heretyków, jeżeli nie odżegnają się od swej wiary, a jeśli staną się odszczepieńcami — Mieszać jedynie. Kobiety i dziewczęta grzebane być miały za życia, a kat zobowiązany był tańczyć na ich ciałach. Nie sprecyzowano jedynie, jaki to taniec

choreograficznie będzie najspodobniejszy dla Czerwonego Księcia i najmiłszy sercu chrystusowemu. Jak więc widzicie, trudno imię „Jezus” czy „Mahomet” wymieniać, by ktoś za to nie wziął po pysku.

— Kiedy Poncjusz Piłat, w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika, wyszedł wczesnym rankiem czternastego dnia miesiąca nisan pod krytą kolumnadę łączącą oba skrzydła pałacu Heroda I Wielkiego — powiedział Robert Johannowicz Cranow — z grubsza przynajmniej było wiadomo, kto oberwie po gębie.

Jeruzalaim, zwane po arabsku Al-Kuds, już wrzało, nadchodziło przecież

wraz z pierwszą pełnią wiosenną święto Paschy: pierwotnie czczone stryżeniem owiec i ofiarą z jagnięcia, a po osiedleniu się Żydów w Palestynie będące dniem zbioru jęczmienia i daru z pierwszego praśnego placka, Chag ha-Macot; i to z powodu rok rocznie wybuchających podczas jego siedem dni trwających obchodów zamieszek i niepokoju Pontius Pilatus zjeżdżał z Cezarei Nadmorskiej do znienawidzonego miasta.

Twórca kontynuacji starej religii, architekt nowego, innego Boga, czekał na namiestnika Tyberiuszowego, Jeźdźca Złotej Włóczni, wodza z Galii Zaalpejskiej, by mu wyłożył zasady swych nauk. Czekał, bo nie miał innego

wyjścia. Nie został tu zaproszony, lecz przywleczony pod strażą i rzucony na posadzkę pałacu. Mimo to czuł się dosyć pewnie, chociaż wiedział, jak bardzo Piłat nienawidzi Żydów. Broniło go — tak mniemał — nowe wyznanie, będące przymierzem łaski i miłosierdzia.

Kilku przyjaciół czy uczniów, którzy chodzili za nim krok w krok, ale nie przestąpili, rzecz jasna, bramy pałacu Heroda, a to dla odczuwanej do tego nieprzepartej niechęci, zapamiętywało jego słowa, lecz Jezua wiedział, że pierwszy jego przyjaciel jako pierwszy wypaczy prawdę; dlatego powtarzał sobie w myślach wszystko, co wygarnie Piłatowi, gdyż z obecności skryby wywnioskował, że rozmowa będzie

notowana. Gdyby, nie daj Boże, coś złego mu się przytrafiło, to przynajmniej w ten pośredni sposób nauka jego trafi kiedyś do ludzi.

Czas oczekiwania na Procuratora zapełnił sobie wymyślając możliwe pytania namiestnika Caesara Tyberiusa Claudiusa Nero oraz przygotowując proste i błyskotliwe odpowiedzi na nie, tak by Piłatowi w pięty poszło.

Jak zwykle w takim momencie, Pontius Pilatus pytał o coś zupełnie innego. Było gorąco jak teraz, a słońce wznosiło się wciąż wyżej i wyżej. Namiestnik pocił się w swoim płaszczu, a Jezua mełł w głowie odpowiedź na pierwsze spośród wymyślonych przez siebie pytań.

— Dlaczego ty się nie pocisz? — zagadnął Piłat i miało to w równym stopniu rozładować atmosferę, co późniejszy utrwalony przez film i telewizję gest częstowania podłym papierosem przez śledczego na moment przed tym, jak przesłuchiwanemu zaczną wyłamywać palce czy zdzierać paznokcie.

— Moje królestwo jest nie z tego świata — odparł Jezua Ha-Nazri. Właściwego pytania w ogóle nie dosłyszał i Piłat doszedł do wniosku, że ma przed sobą wioskowego przygłupa, szaleńca cierpiącego na manię religijną. Gdzież to on się urodził? W jakimś Bet Lehem czy innej judejskiej dziurze. Jako namiestnik tych przeklętych ziem (och,

gdybyż zwyciężył wówczas w Galii, nie znalazłby się tu nigdy!) miał o nim jak najgorsze zdanie — z musu wiedział, że to miejsce śmierci Racheli, żony Jakubowej i matki tego przekłętego plemienia, która wcale nie była takim jagnięciem, jak to sugerować miało jej hebrajskie imię. Bet Lehem to także miasto Dawidowe, miasto ich króla, a teraz i ten włóczęga przychodzi stamtąd z królestwem nie z tej ziemi. Bodajby go Jowisz poraził! Quod avertat Deus!

— Czy to prawda — zapytał Piłat z Pontu ocierając czoło połą płaszczą, stroną o kolorze krwawnika — że podczas wesela w mieście Kefar–Kana zamieniłeś sześć stągwi wody w wino i to tak przedniej jakości, jakby sam

Belial porwał je z caesarskich piwnic na Capri? A możeś je istotnie ukradł, ty i twoi przyjaciele? W takim razie do zarzutu o podburzanie spokojnego ludu przeciwko Sanhedrynowi i o głoszenie obrazoburczych poglądów dojdzie jeszcze sprawa o zabór mienia prywatnego, ale i caesarskiego! To dałoby się podciągnąć pod sabotaż na szkodę Rzymu i działanie na korzyść wrogów Imperium. A to już gardłowa rzecz, gdyż zagrożona w ten sposób została racja stanu.

Pomyśl, Jezua, wszak nie możesz odmówić boskiemu Tyberiuszowi Klaudiuszowi Neronowi prawa do używania wina dla jego szlachetnej przyjemności, co? *Vina bibunt homines,*

animalia cetera fonte. Znasz łacinę, więc chociaż uważasz naszego wielkiego imperatora za bydlę, to jednak zgodzić się musisz, iż jest gadziną w ludzkim ciełe. Item niemożliwe jest jego funkcjonowanie, podejmowanie dalekosiężnych decyzyj, rządzenie wielkim mocarstwem oraz każdym jego obywatelem z osobna — tak mną, jak i tobą — bez zasięgnięcia rady, opinii i pomocy w kielichu.

Czas wypoczynku od spraw państwowych również bez wina obejść się nie może. *Vina parant animos faciuntque caloribus aptos, cura fugit multo diluiturque mero*, powiada poeta Owidiusz i ma całkowitą rację.

A zatem odpowiedz: czy kierując się

chęcią szkodzenia cesarstwu
rzymskiemu, a jego boskiemu władcy w
szczególności, ukradłeś — sam lub ze
wspólnikami sześć beczek wina,
będących prywatną własnością
niejakiego Tyberiusa Claudiusa Nero,
obywatela rzymskiego czasowo
zameldowanego Capri, z zawodu,
pochodzenia i wykształcenia cesarza?
Jeśli tak, przyznaj się szczerze, wyjaw
imiona i adresy swych plugawych
towarzyszy, a kara twoja zostanie
złagodzona. Przez wspólników
rozumiem także i piwnicznych
cesarskich, którzy przekupieni (jak
mniemam) wydali wam wino. Trzeba
ich zgładzić, by zatamować jego
przeciek. Interesuje mnie również

sposób transportu beczek z Capri do Palestyny. Mój nos mówi mi, że brały w tym udział te psy fenickie, które cholera nosi po całym świecie. Gadaj, Jeszua!

Czy on się upił? — zastanowił się przesłuchiwany — I czy słońce paląc jego dyniastą głowę doprowadziło go do obłądu, mieszając wino i krew, tak że słyszy jeno łomot pulsu, dudniący niczym kroki centurionów po posadzce pałacu herodowego? Nie powinien pić od rana, i to w taki upał, bo ma już swoje lata i zużył się mocno w służbie cesarskiej, więc Herzschlag trafić go może na moich oczach i ja temu winien będę przed światem i historią, iż Piąty Procurator Judei odejdzie w zaświaty po srebrzystym promieniu podczas

pełnienia obowiązków służbowych. Mnie będą przyszłe pokolenia winić o spowodowanie śmierci Piłata z Pontu. Trzeba zatem ostrożnie! Już widzę, że przeliczyłem się, że zbyt wysoko ceniłem jego umysł i inteligencję mniemając, iż będziemy rozmawiać jak filozof z filozofem; tymczasem namiestnik ma mnie za pospolitego złodziejaska lub jarmarcznego sztukmistrza i kuglarza, który posługując się szalbierstwem, albo i przekupstwem, mami maluczkich. A gody kananejskie nie sprowadzały się przecież do opilstwa, choćby i najlepszym winem, falernem z cesarskich piwnic. A to istotnie było wyśmienite. Ale nie o wino tam szło, ani nie to jest ważne, czy je

sobie przywłaszczyłem, czy z wody uczyniłem. Nie o to powinien mnie pytać Procurator. Czy mam mu zatem powiedzieć o co, czy też odpowiadać po prostu według własnego scenariusza na te kwestie, jakie sam wymyśliłem, by w formie tak lubianych przez Rzymian dialogów dać mu wykładnię nowej wiary?

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ urodził się 13 września 1964 roku. Kształcono go na polonistę na Uniwersytecie Warszawskim. Fantastykę czyta od dawna, zaś od ośmiu lat uprawia ją czynnie jako autor, publicysta i redaktor. To pierwsze jest jego zajęciem umiłowanym, trawi na nim żmudne godziny, działalność publicystyczną traktuje jako doraźny sposób rozładowywania dręczących go furii, a praca redakcyjna pozwala mu zarobić na życie. Kilka lat stażował w miesięczniku „Fantastyka”, obecnie pełni obowiązki

redaktora naczelnego konkurencyjnego „Fenixa”, a poza tym współpracuje z wydawnictwem AMBER, gdzie robi za specjalistę od horrorów.

Napisał już kilka książek, ale mimo że uważa się go za sztandarową postać IV generacji, wydawcy go nie rozpieszczają. Ukazał się tylko młodzięńczy zbiorek opowiadań „*Władca szczurów*” (Alfa, 1987) i powieść fantasy „*Skarby stolinów*” (KAW, 1990). Około dwunastu opowiadań wydrukował w prasie, między innymi w miesięczniku „Fantastyka”.

Opowiadanie, które Rafał przysłał do antologii, najdłuższe w niniejszym zbiorze, uderza aktualnością

poruszanych w nim spraw, ale nic dziwnego, zostało ukończone w sierpniu tego roku, w okresie gdy cała Polska mówiła o aborcji, religii w szkole i wielu innych tematach, o które autor zahacza w „*Drodze na Zaleszczyki*”. Cieszy mnie, że nowa polska fantastyka nie buja w obłokach i nie zwraca się do gwiazd, lecz stąpa po Ziemi, poruszając aktualne tematy i próbując odpowiedzieć na dręczące nas wszystkich pytanie. Oddajmy jednak głos Rafałowi:

„Tekst, którym na zaproszenie do antologii pozwalam sobie zareagować, nie ma nikogo bulwersować ani szokować, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze, w dzisiejszym zepsutym do

szpiku kości świecie nie pozostało już nic, co by mogło taki efekt wywołać, a po drugie, nigdy nie zdarzyło mi się nagiąć swojej pisaniny do światłych zaleceń p.t. redaktorów, uwzględniać ich życzliwych rad ani przejmować się jakimikolwiek wymogami drukowalności, wyjąwszy ściśle literackie kryteria warsztatowe; stąd nie znajduję żadnej tematyki, którą zawsze bym chciał poruszyć, a dotąd tego robić nie mogłem. Jedynym, na co liczę, jest to, że zdołam czytelników nie znudzić — a daj Boże jeszcze otworzyć im na to i owo oczy”.

Szosa na Zaleszczyki

*„Wiedźcie albowiem, że ktokolwiek
uwielbia niewiastę, zaiste uwielbia
szatana, czyniąc Bogiem
nieprawego
demoną.”*

Malfre Ermengaud

Puste ulice

Z czym kojarzy się zazwyczaj słowo „ucieczka”? Pisk opon, smarujących na asfalcie smoliste ślady, karkołomne poślizgi na wirażach, urywane poszczekiwania policyjnych krótkofalówek, rozwijane w poprzek szosy kolczatki... Na pewno nie z tymi spokojnymi, lekkimi ruchami kierownicy, którymi prowadzi Rafał swoją srebrzystą toyotę sikhu płatanina

wąskich, osiedlowych uliczek, pełnych brudu i pijaków. Ogromny wóz sunie miarowo poprzez wilgotną noc, która oblepia Warszawę śliskim kożuchem i spowija rtęciowe latarnie kokonami szarej mgły. Silnik szumi cicho, prawie niedosłyszalnie, kropelki brudu osiadają na przedniej szybie, gdzie niezmordowanie rozmazują je wycieraczki. Siedzimy w głębokich, miękkich fotelach, pogrążeni w milczącej zadumie. Rafał wpatruje się w drogę, Magda, na tylnym siedzeniu, przygląda się oknom mijanych bloków, w których tańczy błękitna poświata telewizorów. Nie wiem, nad czym się zastawiają. Ja nie potrafię skupić myśli na niczym poza tym, że się boję.

Wolałbym jazgot silników, ujadanie radiowozów i skowyt nadwerężanych hamulców. Jakikolwiek hałas, który mógłby zagłuszyć mój strach. Ale to nie jest gangsterski film. Cisza, spokój zamglonych, opustoszałych ulic. Nie ma do kogo strzelać, nikt za nami nie jedzie, żaden tajniak nie ukrywa się w mijanej bramie. Gdzieś, nie wiem gdzie, czuwa w swej sieci czarny pająk. Nie widać go. Za to on widzi wszystko i wszystkich. Nitkami pajęczyn spływają pokwitowania przelewów i wyciągi z kont, mandaty za przekroczenie prędkości, rachunki za prąd, gaz i benzynę, za wóz i przewóz, za pastę z jaj w przydrożnym barze i za przejechanie rogatek autostrady.

I dlatego właśnie czuję strach. Strach przed dusznym, gęstym powietrzem, przed zasnutym niebem, które nigdy nie nabiera w tym kraju błękitnej barwy, przed lepkiemi niciami czarnego pająka, ciągnącymi od ekranów, głośników, szpalt gazet, sięgającymi wnętrzości spowijającymi szarym oplotem mózgi. Nikt w nie nie wierzy. Ja też nie wierzyłem.

Samochód wytacza się na rzęsiście oświetloną mglistym blaskiem dwupasmówkę, przejeżdża przez nią i zanurza się w cieniu topoli, którymi obsadzono przed laty ulicę.

— Przez Powsin? — mówię, byle tylko cokolwiek wreszcie powiedzieć. Dobrze wiem, dokąd jedziemy:

Nowoursynowską do Kabat, stamtąd wyboistą polną drogą, żeby wreszcie wynurzyć się z przeredzonego lasu gdzieś pomiędzy Powsinem a Jeziorną, omijając w ten sposób patrol drogówki, stojący zazwyczaj w Wilanowie. Rafał uśmiecha się lekko, kącikami ust, nie odrywając oczu od przedniej szyby.

— Przez Krymską, Kociołską, przez Gnomów i przez Dziewic, przez Mysią, Addis—Abebska i Łukasza z Błazewic... — odpowiada. Cały on. Chodząca księga cytatów. Po trzeciej pięćdziesiątce otwiera się na stronie z dawno już dla wszystkich umarłą poezją.

Ale tym razem Rafał nie pił, jak nigdy, chociaż oczy lśnią mu niczym po dopalaczu. „To będzie najlepszy numer

w moim życiorysie.” Tak powiedział. I chyba, jak zwykle, wiedział, co mówi.

Najlepszy numer w życiorysie. Dla niego to tylko tyle. To mu wystarcza. Nie potrzebuje alkoholu.

Studio wyborcze „Ludziom — radość, miastom — zieleń, światu — pokój!” Złote litery hasła zadrżały na ekranie, jakby miały zamiar wylecieć mi z niego prosto w twarz. Trwały jeszcze przez moment, w końcu rozplynęły się. Jeszcze przez sekundę z monitorów wdzięczyła się do mnie i milionów innych dziewczyna, trzymająca we wzniesionej ręce biały kwiat, symbol Ruchu Wyzwolenia. Puściła do widzów oko, uśmiechnęła się uwodzicielsko i zniknęła.

Zaczęła się reklama glebogryzarek spółki ROLPOLEX GmbH.

— Minuta — oznajmił jeden z ukrytych za ścianą ekranów techników.

— Włączać — rzucił ze swego miejsca Rafał. Siedział wyciągnięty w fotelu, z nogami skrzyżowanymi niedbale w kostkach, trzymając w lewym ręku swoją fajkę, z której unosiła się ku niewidocznemu w półmroku sufitowi smużka błękitnego dymu. Sądzę, że jeżeli ktokolwiek na świecie znał Rafała naprawdę dobrze, to były to właśnie jego fajki. Traktował je z pietyzmem starego kolekcjonera i czułością młodego ojca; zresztą sam kiedyś mówił, że fajka nasiąka swoim właścicielem. Twierdził, że ma takie,

które przepalał, gdy życie mu się podle układało i teraz, kiedy którąś z nich zapali, od razu mu się robi gorzko w gębie. I takie, przy których dobrze mu się myśli albo wesoło spędza czas. Jeżeli to prawda, to najwięcej musiał mieć takich, przy których brało go obrzydzenie do rodaków. W każdym razie to się u niego dawało zaobserwować najłatwiej. Do reszty dokopywałem się długo, pół roku w Biurze Wyborczym i jeszcze te parę miesięcy w Wydziale Propagandy. I chociaż pod koniec nasze kontakty mocno się zacieśniły, do częstowania dopalaczem włącznie, na pewno mógłby mnie jeszcze niejednym zaskoczyć.

Wtedy jednak, w trakcie debaty,

miałem go po prostu za faceta robiącego forszę. I cholernie imponował mi luz, z jakim podchodził do spraw zawodowych. Siedział sobie spokojnie i palił fajkę, podczas gdy ja cały trząłem się i pocilem pod tymi wszystkimi kablami, przyssanymi do moich skroni, krtani i karku.

— Trzydzieści sekund — odezwał się znowu technik, gdy glebogryzarki ROLPOLEXU GmbH wjechały na ekranie w zachodzące słońce. Główny ekran wypełniała przy akompaniamencie dychawicznych trąbek stylizowana mapa Europy, rosnąca z wolna, aż w końcu został z niej tylko zajmujący cały obraz kontur Polski. Z miejsca, gdzie powinna być Warszawa, zrobiła się szczelina

biało—czerwonej urny, w którą wleciała karta do głosowania, potem zamigotał nad nią seledynowy pytajnik, wreszcie cały ten kicz zbladł i rozmył się, ustępując miejsca napisowi: STUDIO WYBORCZE.

— Wchodź — rzucił zza moich pleców Rafał, niepotrzebnie, bo właśnie wciskałem wilgotną od potu dłońią rozjarzony czerwono taster w rogu pulpitu. Chwilę potem przeszedł mnie ten charakterystyczny dreszcz, idący od karku do opuszek palców, poczułem mrowienie skóry i lodowate ciarki na plecach. Kilka sekund; dwa odległe o kilkaset metrów systemy nerwowe spięły się w jeden obwód, nad którym, koncentrując się do granic możliwości i

podkręcając gałki wzmacniacza, uzyskiwałem z wolna panowanie.

Siedziałem w studio na Woronicza, miałem pod powiekami jego mglisty, powidokowy obraz, i jednocześnie widziałem to studio znacznie wyraźniej przed sobą, na głównym ekranie. W głębi długi, biały stół, za nim uczestnicy debaty, obok podwyższenie dla prezentera, na prawo i lewo zbiegające się w perspektywie, amfiteatralne siedzenia dla publiczności. Publiką wypełniała też gęsto miejsca naprzeciwko stołu, usadzona w półkole na dostawionych krzesłach. Na ekranie widać było u dołu ich ciasno upchane potylice, na tle których poleciały od razu w białej kontrze numery telefonów.

Dołka siedziała trzecia od lewej, między gościem z obkomu a zadymiarzem. Bała się: natłok beładnych myśli w głowie, puchnąca w przelyku kula, ssanie w żoładku. Ogólnie — trema granicząca z paniką. To było u niej normalne. Sięgnąłem do suwaków i pokręteł, wyciszając kobiecy lęk i rozbieganie myśli. Uspokoila się łatwo. Kobietami w ogóle łatwo się steruje.

Prezenter zaczął od standardowych powitań, od przypomnienia, że mianowicie, jak państwo doskonale wiedzą, jesteśmy w swoim własnym domu i właśnie za dwa dni mamy w tym swoim własnym wybory, i niektórzy już wiedzą, na kogo będą głosować, ale większość jeszcze się waha, więc dla tej

większości, co się waha, dzisiaj w Studiu Wyborczym przedstawiciele, ele —mele, i tak dalej — z pięć minut. Pewnie czuł, że jak się potem całe to bractwo rozgada, to on już nie będzie miał nic do dodania i chciał sobie odbić zawczasu. W końcu zaczął prezentować gości, kiwających sztywno głowami w kierunku kamery: pan Leonard Ćwiencik z Sojuszu na Rzecz Dostatniej Wsi, pan Zbigniew Nowina—Fornalczyk z Polskiego Zjednoczonego Komitetu Obywatelskiego, pani Dolores Skiba z Europejskiego Ruchu Wyzwolenia, pan Arkadiusz Głomb z Robotniczo—Chłopskiej Rewolucji Zadymokratycznej... Dałem sobie spokój z tym drętwym kiwaniem głową,

zamiast tego zmusiłem Dolkę do lekkiego poruszenia spadającą na oczy grzywką i delikatnego uśmiechu; na tyle delikatnego, by wzbudzając sympatię oglądających program mężczyzn, nie ściągnął na nią od razu odruchowej niechęci asystujących im przed telewizorami kobiet.

Zrobiła to bezbłędnie.

W końcu ten gigantyczny strumień szmalu, który pompowano w prowincjonalną kampanię wyborczą z zachodu, a z którego podobnie jak wszyscy w okolicy starałem się wyrwać, ile się tylko da, dla siebie, nie szedł na marne. Wszystko, co dało się zrobić elektroniką, operacjami neurocybotycznymi i innymi rzeczami, o

których przeciętny rodak miał takie mniej więcej pojęcie, jak o rozkoszach codziennej kąpieli, zostało zrobione doskonale. Reszta zależała od wynajętych dla Ruchu Wyzwolenia mózgów. Głównie mózgu Rafała. Mój, mogę się teraz pocieszać, miał w tym wszystkim znikomy udział.

Kamera cofnęła się, dając panoramę studia. Przyglądałem się uważnie Dolce. Sympatyczna blondynka o pociągłej twarzy i lekko pofalowanych włosach. Mogłaby wspaniale uprzyjemnić i upiększyć komuś życie, gdyby oczywiście nie przyszło jej do tego ptasiego, babskiego mózdzku zostać partyjną aktywistką. Okazała się świetnym odbiornikiem i z tego względu

należała do aktywistek najbardziej eksponowanych; zapewne także ze względu na swój wygląd. „Buzia aniołka i oczy ladacznicy”, jak swego czasu określił Rafał swoje wymagania wobec dziewczyn, które miały być ogrywane na masówkach i w telewizji dla potrzeb kampanii wyborczej. Trzeba przyznać, że pasowała do tego określenia idealnie. Raz jeden pindy zastosowały się ściśle do poleceń szefa Biura Wyborczego.

W żadnym calu i absolutnie niczym nie przypominała Magdy. Ale, oczywiście, jak każdemu zakochanemu idiocie, przywodziła mi na myśl właśnie tę moją jedyną dziewczynę na świecie. I kiedy pół mojego mózgu zajęte było wysłuchiwaniami pierwszych,

stereotypowych prezentacji gości w studiu, drugie pół gryzło się tą naszą zwariowaną miłością.

Miłość

Boże mój, ile razy przysięgałem sobie, że będę delikatny i cierpliwy. Ile razy starałem się sobie samemu wytłumaczyć, jak sprawy stoją i z której strony jest chleb posmarowany. I zawsze się to kończyło tak samo; to coś, co we mnie siedziało, rozpychało się coraz bardziej, nie pozostawiając miejsca dla tych spokojnych, powtarzanych z dala od niej tłumaczeń, od środka wzbierało

gorąco, palce zaczynały się same z siebie robić coraz bardziej nachalne... I w końcu zdejmowałem jej bluzkę, potem uwalniałem piersi od stanika, wtulałem w nie twarz, zsuwając ten skrawek do niczego nie potrzebnej, pół przezrzystej bieli coraz niżej, centymetr po centymetrze z jej opuszczonych bezbronne ramion. Skóra Magdy lśniła w słabej poświacie lampy niczym polerowane złoto, a ja muskałem wargami te złociste, jedwabiste zbocza, falujące od gorącego oddechu, wtulałem usta w poddające się miękko szczyty wzgórz. Oplatałem ją mocno ramionami, kiedy próbowała się rozpaczliwie cofnąć; drżała cała i chciałem wierzyć, że to z podniecenia, że moje pocałunki

coś w niej rozpalają. Łudziłem się tym, wmawiałem to sobie, nie chcąc wiedzieć tego, z czego przecież doskonale sobie zdawałem sprawę: że Magda po prostu się męczy, że w środku szarpie się między tym, czego może by i chciała, między mną a swoimi zasadami, których absolutnie nie potrafiła złamać. Zawsze było tak samo: te moje niezręczne, rozbezczelnione paluchy zjeżdżały coraz natarczywiej w dół, po napiętym brzuchu ku zbiegowi zaciśniętych czujnie ud, wciskały się pod krawędź opinającego talię materiału, pod cienki jak westchnienie płatek, okrywający gęstwę delikatnych włosów...

Wtedy wyszarpywała się z jękiem,

sposzczywający w wąwozie pomiędzy
piersiami medalik roziskrzył się
pochwyconym refleksem światła tuż
przed moimi oczami, jak ognisty miecz
w ręku archanioła.

— Nie, proszę, nie, — szeptała
błagalnie, kuląc się z przyciśniętymi do
piersi rękami. — Proszę, nie zmuszaj
mnie... czy naprawdę nie potrafisz
poczekać?

Siedziała do mnie tyłem, światło
obrysowywało miodowym połyskiem jej
ramiona, spływało po gładkiej skórze
pleców. A ja dyszałem ciężko, czując
się jak granat z odpalonym zapalnikiem,
gotowało się we mnie i sam nie wiem,
czego tam było więcej: wściekłości,
goryczy, bolesnego niezaspokożenia czy

rezygnacji. Aż w końcu uświadamiałem sobie, że Magda płacze. Wtedy cała ta kotłowniana uchodziła ze mnie, jakby ktoś odkręcił wentyl, i zostawał tylko wstręt, tylko niechęć do samego siebie, że znowu ją zraniłem, że tak to wszystko beznadziejnie wygląda. I żal. Za czym? Że nie przypominała żadnej z tych wijących się pod spoconymi cielskami i jęczących rozkosznie pańienek z pornosów? Ale czy kochałbym ją tak bardzo, gdyby je przypominała? Gładziłem ją po plecach i przeproszałem, zapewniałem, że wytrzymam, wiedząc doskonale, że i tak nie dotrzymam słowa. Chociaż nie, w końcu zacząłem dotrzymywać.

— Chcę być z tobą. Kocham cię.

Naprawdę — mówiła potem, gdy jej oczy już schły, gdy siedzieliśmy przytuleni do siebie, ufnie, spokojnie i bez żadnych seksualnych podtekstów. — Wiem, że ci ciężko. Dlaczego to tak długo trwa?

— Wiesz dobrze, dlaczego.

— Ta twoja praca...

Nie mówiłem jej zbyt wiele o swojej pracy, nie pytała o to, ale i tak się domyślała.

— I kiedy z tym wreszcie skończysz?

— Najszybciej, jak będę mógł — odpowiadałem, wierząc głęboko w swoje słowa. — Na razie nie mogę. Nie mam gdzie pójść.

Człowiek do wynajęcia.

To był cały problem: naprawdę nie miałem gdzie pójść. Do obkomu? W stanie wojennym byłem za mały klajniak, żeby teraz opowiadać, jak to mi komuniści grozili palcem i jak z nimi przez całe życie zajadle walczyłem. Zresztą wtedy, gdy szukałem roboty, hołubiłem jeszcze w duszy jakieś resztki młodzięcej wiary w demokrację, więc zasadniczo towarzystwo mi niezbyt

odpowiadało. Do socjalistów mnie nie ciągnęło, przypadkiem miałem nieszczęście czasem widywać klasę robotniczą z bliska i to wzdychanie do jej chamowatej tężyzny, uprawiane przez okularników z Uniwersytetu, jakoś mnie zawsze śmieszyło. Na zadymiarza byłem już za stary, w Boga ani Ojczyznę nie wierzyłem, a między chłopkami z tą ich wieśniaczą, tępą pazernością, że niech się świat zawali, niech w niebie grzmi i pierdzi, a oni muszą mieć swoje dotacje do „litry mleka”, czułbym się jak idiota.

Mogłem, oczywiście, startować na niezależnego dziennikarza, to znaczy takiego, który daje ciała raz tym, raz tamtym, zależnie od układu. Ale żeby się sprzedawać, trzeba mieć jakieś

nazwisko, jakąś tam grupę naiwnych ciotek, które na tyle lubią moją buzię, że zawsze uwierzą w to, co powiem lub napiszę. A ja byłem szczawikiem świeżo po studiach.

Więc w końcu trafiłem do pind. Właściwie przypadkiem. Okazało się, że jest okazja pokazać, co się umie, no i płaciły, że daj Boże każdemu. Całe moje szczęście, że trafiłem tam na Rafała, bo jeszcze bym w tę ich nadchodzącą rajską epokę wiekuistej szczęśliwości uwierzył.

Szef wyleczył mnie z tego bardzo szybko. „Żadna sztuka przekonać ludzi do czegoś, co jest słuszne i mądre. Zabawa polega na tym, żeby wepchnąć im stertę głupot tak, by kupili je jak

swoje, z rozdziawionymi gębami, i byli szczęśliwi, że dostąpili objawienia. I to jest dopiero warte grzechu. Tak wykręcić kota ogonem, żeby hołotę przekonać na amen: jest tak, inaczej być nie może. A tego nie zrobisz, jeżeli sam będziesz wierzył w te głupoty, które wygadujesz.”

On sam, oczywiście, nie próbował ukrywać, że cała ideologia Ruchu Wyzwolenia bawi go serdecznie, doprowadzając tym aktywistki do furii. A jednocześnie upychał ją w niesamowity sposób, gdzie się tylko dało, pocił się nad tym bardziej niż najbardziej fanatyczne podwładne pani Bernadetty. Naprawdę, długo nie mogłem pojąć, dlaczego to robi,

Dolores Skiba

— Stoimy na progu nowego tysiąclecia — powiedziała Dołka, gdy wreszcie przyszła jej kolej. — I nasza partia stara się myśleć przede wszystkim o tym, co nas czeka. Rozpamiętywanie przeszłości zostawiamy innym. Ludzkość dokonała w ostatnich dziesięcioleciach niewyobrażalnego postępu technologicznego i cywilizacyjnego, nasz kraj w niedługim czasie

doświadczy go w tym samym stopniu, co pozostałe. Ale za tym postępem muszą jeszcze pójść zmiany w mentalności ludzkiej, które pozwolą z niego korzystać wszystkim, nie, jak dotąd, tylko wybranym. Wierzymy, że zbliża się nowa epoka: epoka świata bez granic, bez zbrojeń, bez głodu i przemocy. Obowiązkiem wszystkich ludzi dobrej woli jest przyśpieszyć nadejście tej epoki. Nie jesteśmy ruchem tylko kobiecym, jak się nas często przedstawia. Jesteśmy ruchem walczącym o lepsze czasy i lepsze życie dla wszystkich. Oczywiście uważamy, że ta nowa epoka dużo będzie miała do zawdzięczenia kobietom, liczymy na ich energię i pracowitość. Dotąd zawsze nas

ograniczano i spychano w dół, odsuwając od decyzji. Ten czas minął. Potrafimy wziąć swój los we własne ręce i urządzić świat lepiej, niż to zrobili mężczyźni, nie pytając nas o zdanie.

Myślę, że w świetle tego rozumieją państwo, dlaczego nie uważamy się za partię polską. Jesteśmy ruchem ponadnarodowym i w tych wyborach występujemy jako polski oddział Europejskiego Ruchu Wyzwolenia tylko ze względów organizacyjnych. Granice muszą zniknąć, a Polska — stać się pełnoprawnym uczestnikiem europejskiej wspólnoty. Będziemy do tego dążyć. Nie jesteśmy żadną lewicą ani prawicą, te archaiczne pojęcia nie

pasują do dzisiejszych czasów. Jesteśmy ruchem, który postawił sobie za cel całkowitą zmianę świata, który walczy o nowy, naprawdę szczęśliwy, XXI wiek. Liczymy na poparcie nie tylko kobiet, które szczególnie powinny się zaangażować w jego budowę, ale wszystkich ludzi myślących z troską o przyszłości swojej i całego świata.

Nieźle, co? Zwłaszcza z tym „pełnoprawnym uczestnictwem w europejskiej wspólnocie”. Wiadomo, jak każdy to rozumie — że będzie zarabiał jak Niemiec, opieprzając się dalej jak Polak. W dodatku nie wykorzystałem czasu, zostały mi pełne dwie minuty. Ta zwięzłość, na tle innych, musiała mieć dla widzów

swoją cenę.

Oczywiście pindom zupełnie się słowa Dołki nie spodobały. Trzy należące do nich monitory zaczęły natychmiast pulsować znakami przynaglenia. Nawet nie musiałem na nie patrzeć: nie powiedziałem o Upokarzającym Rozrodzie, nie dość zaakcentowałem, iż kobiety jako wyzyskiwana dotąd i niewolona klasa społeczna są jedyną grupą uprawnioną do kierowania przejściem w szczęśliwszy etap w dziejach ludzkości, w ogóle pominąłem milczeniem szereg najistotniejszych dla nich i najweselszych dla normalnego człowieka punktów programu. I to w decydującej o wszystkim debacie

telewizyjnej, na dwa dni przed wyborami. Pindy były ze mnie bardzo niezadowolone. Ja sam — dokładnie odwrotnie.

Pindy

Właściwie nie powinienem nazywać kierownictwa ruchu w ten sposób, w końcu pracowałem dla nich i teoretycznie im podlegałem. Teoretycznie, bo w praktyce tylko Rafałowi, a on z kolei bezpośrednio Radzie Europejskiej. Ale w końcu jakoś je trzeba było nazywać. Oficjalne „Ruch Wyzwolenia” było zbyt nadęte i za długie, nawet po obcięciu przed rokiem

ostatniego słowa „Kobiet”. One same próbowały określenia „Ruch Dwudziestego Pierwszego Wieku”, które przyprawiło Rafała o konwulsyjny skurcz twarzoszczęki. Nie lubił nachalnej, chamskiej propagandy. Uważał, że wszystko, co człowiek robi, powinno być sztuką; zwłaszcza robienie bliźnim wody z mózgow.

Mass media ukuły termin „ruch feministyczno—ekologiczny”, oddający genezę ugrupowania, ale zbyt toporny i nieporęczny. Przeciwnicy starali się wylansować „neolewicę”. Ta nazwa była chyba w sumie najbliższa istoty rzeczy, więc zwalczaliśmy ją na wszelkie możliwe sposoby, zresztą skutecznie — po wyborach całkowicie

wyszła z użycia.

Przeciętny człowiek na ogół nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważną rzeczą jest nazwa. Dobra nazwa to połowa sukcesu, jeśli nie więcej. Wbija się w pamięć, wczepia w myśli i zawsze od razu kieruje je we właściwą stronę. Określenie „pindy” używane było tylko w prywatnym gronie pracowników Biura Wyborczego.

Upokarzający Rozród

Te trzy monitory w lewym górnym rogu oddano pindom chyba tylko po, żeby poprawić im samopoczucie. Dla mnie były zupełnie bezużyteczne. Liczyła się cała reszta, otaczająca wianuszkami główny ekran, na którym leciał obraz z telewizji. Spływały na nie dane z terminali zespołów specjalistycznych, które Biuro Wyborcze montowało przez dobre pół roku. To była moja przewaga

w debacie, karta, którą miałem do wygrania. Żaden człowiek nie może się znać jednocześnie na polityce, ekonomii, stosunkach społecznych i diabli wiedzą czym jeszcze, o co zawsze może zostać zahaczony. Siedziałem o pół kilometra od studia, z którego nadawali program, a za ścianami i w rozrzuconych po całym mieście pokojach przegrzewały się scalaki komputerów oraz zwoje mózgowe pracujących dla nas speców. Na każdy tekst, który leciał ze studia, miałem z miejsca pięć kontrargumentów i przewidywane kontr-kontrargumenty, po jakie mógł sięgnąć przeciwnik, razem ze stosownymi kontr-kontr-kontrargumentami. Przebiegałem tylko wzrokiem po ekranach, zbierając, co

akurat było potrzebne, i pakując w formie krótkich, zwięzłych wtrętów pomiędzy przemowy zacierzewionych polityków.

Niewykluczone, że kiedyś, dawno temu, tak zwane dyskusje miały sens. W czasach, gdy ludzie mówili oraz wiedzieli niewiele i przywiązywali wagę do tego, czy mają akurat rację, czy nie. Potem świat zrobił się duży, ciasny, pełen przekrzykujących się filozofów, proroków oraz ekspertów, z których żaden nie zgadzał się z drugim. Naprodukowali oni tyle sprzecznych ze sobą teorii i dowodów na wszystko, że z miejsca zaczęło to przekraczać zdolności pojmowania przeciętnego człowieka. Słuszność nie ma w tym

wszystkim najmniejszego znaczenia. Chodzi o to, bo poruszać się w tej gęstwie na tyle sprawnie, by umieć zawsze sprawić wrażenie, że się tę słuszność ma. Najprostszy sposób to najpierw przegrzać człowiekowi mózgowie, zmusić adwersarza do zarzucenia słuchaczy taką stertą statystyk, cytatów, faktów i uczonych teorii, żeby zgłupieli i zdali sobie sprawę, iż to nie na ich głowy; a potem zniecka walnąć ich między ślepią czymś, co wyda się proste i tak oczywiste, że chwycą się tego z ulgą — a jednak jestem mądry i wszystko rozumiem. Dobry dziennikarz przekona ludzi do wszystkiego. Myślę, że się tego nauczyłem.

Wiedziałem w każdym razie, że przede wszystkim ludzie potrzebują czegoś prostego, na swoją miarę. Nie wolno zmuszać ich do wysiłku umysłowego i ogarniania jakichkolwiek złożoności. Tak naprawdę, człowiek potrzebuje przede wszystkim wiary. Wiary w to, że pojmuje świat i jest po właściwej stronie. Coś nieskomplikowanego: wszystko przez Żydów. Albo przez czarownice. Albo przez krwiopijcze klasy wyzyskujące. Bez tego męczy się i czuje zagubiony. I kiedy wreszcie złapie coś, co pozwoli mu uwolnić się od uciążliwego kombinowania, przerzucić ten wysiłek na swoich przedstawicieli i oddać im się duszą i ciałem, jest szczęśliwy. A kto

nie chce być szczęśliwym?

A zresztą człowiek jest bydłem stadnym. Im większe stado, tym mu w nim lepiej i tym pilniej będzie się starał nie odstawać. Więc trzeba tylko sprawić wrażenie, że wszyscy tak właśnie sądzą.

Cały problem polega jedynie na zgromadzeniu pewnej masy krytycznej zwolenników, potem leci już samo. Oczywiście to, co robiliśmy w Biurze Wyborczym, to był dopiero początek. Rafał twierdził, że obiecujący. Mieliliśmy wszystkie atuty w ręku: ideologia pind była prosta jak konstrukcja cepa, tłumaczyła wszystko złą, samczą brutalnością i agresją, obiecywała raj kobiecej łagodności i wrażliwości, w dodatku była to ideologia nowa. I

przychodziła w momencie, gdy kilka innych straciło już blask, a tak zwany ogół rozglądał się niecierpliwie za czymś, czym mógłby zwolnić się z męczącej odpowiedzialności za swoje czasy, by poświęcić całą energię codziennym sprawom. „Na razie jeszcze to ludzi śmieszy” — mówił Rafał. „— Ale nie przejmujcie się, panowie, bolszewików też nikt nie traktował poważnie. Cała ta ideologia jest śmieszna, dopóki głosi ją kilka nawiedzonych wariatek. Naszym zadaniem jest teraz zadbać, żeby wszyscy byli tym bombardowani od rana do wieczora. Jeżeli zrobimy to umiejętnie, za kilka lat będzie hołotę śmieszyło, kiedy ktoś przypadkiem

powie coś normalnie.”

Wtedy, przed wyborami, było jeszcze do tego bardzo daleko. Dlatego musiałem uważać, co mówię, i pilnować, by Dołka nie wyskoczyła sama z siebie z jakąś pindowską frazeologią. Dlatego właśnie trzy monitory w lewym górnym rogu bez przerwy rozjarzały się na czerwono, a w gabinecie na końcu korytarza urywał się telefon, na drugim końcu którego dyszała z wściekłości Bernadetta Wsadzaj. Głupie fanatyczki nie miały o niczym zielonego pojęcia, chciały wszystkiego naraz, pewne, że każda baba w Polsce jak je usłyszy dozna olśnienia, a każdy facet pokiwa smętnie głową i powie: „Mają rację, spapraliśmy robotę, teraz

ty powalcz ze światem, a ja idę do garów”.

Naturalnie w trakcie debaty nie miałem czasu na takie rozmyślania. To już była rutyna, zresztą zwijałem się jak w ukropie. Pierwsza godzina wystarczyła obkomowcom, dewotom, ludowcom, socjalistom, liberałom i wszystkim innym, żeby zrobić z siebie kompletnych idiotów, obrzucić się nawzajem taką stertą zarzutów, pretensji i szczytnych haseł, zaryć tak głęboko w duperelnych szczegółach, że w końcu każdemu widzowi musiało się od tego zagotować pod stropem. Jakieś trzy kwadranse zbierałem punkty, wyłapując postrzępione wątki i dolepiając im zgrabne, zwięzłe pointy. Kiedy sześciu

ludzi długo i mądrze udowadnia ci, że ich zdaniem powinieneś lepiej zarabiać, a siódmy potem powtórzy to w dwóch zdaniach, całą zasługę postulowania dla ciebie lepszych zarobków przypiszesz w duszy temu ostatniemu. To drobny, prosty chwyt, ale nasza robota zasadzała się właśnie na stosowaniu setek takich drobnych, prostych i skutecznych chwytów.

Potem, wyłapawszy już ogólny układ sił, zacząłem szykować się do ataku. Dołki cały czas nikt nie zaczepiał. Zabrałem się do łamania dobrych obyczajów i wypominania poszczególnym partiom ich spektakularnych potknięć oraz udowodnionych świństw; całą listę

przygotowałem sobie jeszcze przed debatą. Za każdym razem Dołka miała przy tym milczące poparcie wszystkich pozostałych, zadowolonych, że oto słodka idiotka z nie liczącej się partii mówi na głos coś, co dyskredytuje konkurentów, a czego im samym powiedzieć by nie wypadało, bo przecież chodzili na te same rauty i przyjęcia, byli tym samym towarzystwem, co i raz cementowanym dodatkowo mniej lub bardziej doraźnymi sojuszami i koalicjami. Za późno połapali się, że słodka idiotka ma haka na każdego; nie dałem im czasu na reakcję. W siedemdziesiątej minucie uznałem, że czas rzucić Dolkę do frontalnej szarży. Już nie na ten czy inny

punkt programu, nie na tę czy inną partię, ale na całość ich układu, na polityczny pieprznik, jaki zdążyli przez te paręnaście lat zrobić w kraju. „Mam wrażenie, że panowie świetnie się bawicie. Być może chcecie sukcesami w tej przepychance udowodnić sobie swoją własną męskość, choć osobiście uważam, że są lepsze sposoby (uśmieszek). Ale przeciętny Polak powinien zastanowić się, ile go te wasze zabawy kosztują...”

Z wolna zaczęli się łapać, że muszą odpowiedzieć; Dołka posunęła się za daleko, trzeba było ją teraz szybko zdyskredytować i unieważnić w ten sposób jej słowa. To był z ich strony błąd, lepszy efekt dałoby zbycie baby

wyniosłym milczeniem. Zamiast tego sypnęły się ataki — improwizowane naprędce, niespójne, z którymi dobrze umiałem sobie poradzić. Ale w końcu oni nie siedzieli spokojnie z dala od studia, mając pod ręką wszelkie potrzebne informacje, a za plecami szefa, mogącego w razie czego wyciągnąć z tarapatów. W efekcie zrobili dokładnie to, o co mi chodziło: poddając Dolkę koncentrycznemu ostrzałowi uczynili z niej główną postać debaty, skupili na niej całą uwagę wyborców. Zostało jeszcze jedno, najważniejsze — wydostać się spod gradu zarzutów jako zwycięzca. Spociałem się znowu, już nie ze zdenerwowania, ale z wysiłku,

odbijając kolejne pytania.

— To nie jest prawda. Pan celowo przeinacza nasze słowa. Nie zwalczamy żadnej religii, mogę to stwierdzić z całą stanowczością. Przeżycie religijne jest prywatną, wręcz intymną sprawą, do której każdy ma prawo i którą zawsze należy uszanować. Uważamy tylko, że nic powinno się tego przeżycia narzucać ani czynić z niego ideologii. A zwłaszcza, że nie należy tego, co ma swoje miejsce w kościele, przenosić do życia publicznego ani dostosowywać norm społecznych do zasad jakiejś jednej, konkretnej religii, która nigdy nie jest akceptowana przez wszystkich.

— Dobrze, że pan poruszył ten temat. To doskonały przykład, jak

kurczowe trzymanie się anachronicznych nakazów sprzed tysiącleci może hamować zmiany, będące oczywistym wymogiem rozwoju cywilizacyjnego. Proszę sobie uświadomić dwie rzeczy: ludzkość zniszczyła swoje naturalne środowisko, zmieniła je całkowicie. A zarazem zdołała opanować inżynierię genetyczną do stopnia umożliwiającego jej kontrolowanie populacji, czyli zaradzenie skutkom zmiany środowiska. Światu grożą klęski przeludnienia i głodu. My, w Polsce, żyjemy na terenie największego skażenia w całej Europie. Czy panowie wiecie, ile rodzi się u nas dzieci kalekich, potworków niezdolnych do życia? (Rzut oka na monitor. Po tym musieli zamknąć gęby.) Pan uważa, że

oczywiście powinny się urodzić i męczyć, stanowiąc nieznośny ciężar dla rodziców i całego społeczeństwa, bo tak będzie „humanitarnie”. A jedyny powód, dla którego tak ma być, to że tak było zawsze i archaiczne zasady z czasów koczowniczych plemion, przeganiających kozy i wielbłądy pomiędzy Egiptem a Babilonem.

— Ależ oczywiście, że już dzisiaj jesteśmy w stanie to wiedzieć! (znowu monitor — zwięzłe, przekonujące streszczenie osiągnięć światowej nauki.) Panowie próbujecie wmówić, że humanitarne jest to, co jest zgodne z naturą. To nonsens! Natura to okrucieństwo, to pożeranie słabszych przez silniejszych, dżungla. Wszystko,

co w człowieku najlepsze, jest zaprzeczeniem natury. Natura nie liczy się z cierpieniem, działa na zasadzie wielkiej liczby — niech się urodzi milion dzieci, to nic, że połowa umrze, a z pozostałych część okaże się jednostkami patologicznymi. Weszliśmy w XXI wiek. Gdyby przyjąć taki styl myślenia jak panowie, to wszyscy powinniśmy siedzieć dotąd w jaskiniach.

— Rola mężczyzny także się w ostatnich dziesięcioleciach zmieniła. Nie ma żadnego powodu, dla którego kobieta ma być dłużej skazaną na podtrzymywanie gatunku kosztem siebie samej i swojego życia. Najwyższy czas, żeby przestała być przeznaczoną do

rozrodu samicą, a stała się pełnoprawnym człowiekiem. I tu jest, przy okazji, odpowiedź na pytanie widza, które cytował pan prowadzący: Ruch Wyzwolenia od fizjologii. Od tej zwierzęcej fizjologii, która sprawiła, że historia ludzkości jest nieprzerwanym splotem zbrodni i nieustającym pożeraniem słabszych przez silniejszych.

Zwijiałem się tak z pół godziny, przy czym głównie chodziło o aborcję i religię, dwa punkty programu pind, które budziły najwięcej sprzeciwów. I na które Dołka, jak wszystkie aktywistki, reagowała niczym pies Pawłowa. Aż miałem w oczach mroczki od wysiłku, musiałem ją cały czas trzymać na maksymalnym wzmocnieniu, żeby nie

dostała piany na pysku i nie wyskoczyła z jakimś „upokarzającym rozrodem” czy inną pindowską nowomową.

Czekałem na jakieś naprawdę dobre pytanie. Liczyłem na nie w ostatniej godzinie, przy telefonach od widzów. Ale trafiło się nieco wcześniej, przy pytaniach z sali. Ostrzyżona pod donicę starucha, poczerwieniała i zapluwająca się z podniecenia. Zdaje się, że należała do stałych bywalców cotygodniowego Studia Wyborczego. Wiedziałem, że to to, co trzeba, już po jej pierwszych słowach, w których nazwała Dolkę „żydowską esesmanką”.

Zmusiłem dziewczynę do gorzkiego, pełnego rezygnacji uśmiechu i bezradnego rozłożenia rąk.

— No cóż — oznajmiła ponuro. — Zdemaskowała nas pani. Oczywiście, jesteśmy ludobójczym spiskiem, śnimy po nocach o zdemoralizowaniu i biologicznej eksterminacji narodu będącego ostoją Prawdziwej Wiary, a całym tym interesem rządzą Żyd, Czarownica i Diabeł we własnej osobie. Niestety, czułam, że to się tak skończy, i że Prawdziwi Polacy bezbłędnie rozszyfrują nasze rzeczywiste zamiary!

Niemal słyszałem ten chóralny wybuch śmiechu przed tysiącami telewizorów. I właśnie w tej chwili zacząłem rozumieć Rafała.

Rafał

Tak, właśnie wtedy poczułem pierwszy raz, jak może uskrzydlić i upoić poczucie, że ma się władzę nad myślami hołoty. Posmakowałem tego. A to jest jak narkotyk. Uświadamiasz sobie, że nie jesteś jednym z tych szarych, przeciętnych pętaków, snujących się po świecie z nosami przy ziemi i węszących za forszą, gorzałą i bolcowaniem. Możesz wleźć im do

mózgów, sprawić, że będą rechotać z tego, co każesz im uważać za śmieszne, i całym sercem bronić każdego kitu, jaki im wciśniesz.

Można poczuć się Bogiem. A to jest cholernie przyjemne uczucie. Zdarzało mi się to potem wiele razy: na różnych przyjęciach, od przypadkowo spotkanych ludzi, słyszałem nagle swoje własne słowa. Swoje, rodzone farmazony, które łyknęli bezwiednie gdzieś w druku albo na fonii i powtarzali je z zachwytem, zadowoleni, że mają przed sobą kogoś, komu mogą czym prędzej przekazać objawienie, umożliwić mu dołączenie do grupy tych lepszych, mądrych, co to wszystko dobrze wiedzą. Niektórzy potrafili mnie

przekonywać, że jest jak jest, postęp ma swoją cenę, konieczność, trudno, tak zawzięcie, że gdybym sam nie wymyślał ich argumentów, to chyba bym uwierzył.

Zacząłem przyglądać się uważniej szefowi. Niewiele o nim wtedy wiedziałem. Wysoki, dość wątlej budowy (nigdy nie nosił koszul z krótkim rękawem, a najchętniej luźne marynarki, mocno podwatowane w ramionach), z resztkami włosów, gdzieś między trzydziestką a czterdziestką — bliżej tej drugiej. Okulary, pożółkłe od tytoniu zęby, z lekka obwisłe podgardle i grube wargi, na których zawsze gościł ironiczny, jakby drwiący grymas. Mówił zazwyczaj krótkimi zdaniami, jakby wypluwał słowa, które trzymane w

ustach przejmowały go obrzydzeniem. Najchętniej zresztą cytował; Bóg jeden wie, kiedy się zdążył tyle naczytać i jakim sposobem to wszystko pamiętał. Plotka głosiła, że swego czasu próbował pisać, ale dla kawiarnianego światka literatury ta jego pisanina była zbyt skomercjalizowana i niepoważna, a dla publiki zbyt trudna. W każdym razie musiał sobie dać z tym spokój dość dawno, bo poruszał się w polityce ze zręcznością i swobodą świadczącą, iż siedzi w tym już od lat.

Co jeszcze? Pił. Pił w sposób dla nikogo nie zauważalny; wydawało się, że ten luźny, pełen lekceważenia sposób bycia jest jego normalną cechą, a nie efektem niewielkiej, lecz stale

uzupełnianej w zaciszu gabinetu dawki alkoholu, krążącej mu w żyłach. O tych, jak je nazywał, dopalaczach dowiedziałem się tylko dlatego, że w pewnym momencie przestał się przede mną z tym kryć. W ogóle, co dotarło do mnie z pewnym opóźnieniem, traktował mnie wyjątkowo. Jak ulubionego ucznia.

W stosunku do innych wyraźnie dbał, by zrobić na nich wrażenie gościa akurat takiego, za jakiego chciał uchodzić. Do końca nie udało mi się dowiedzieć niczego o jego życiu prywatnym, a tym bardziej zdobyć się na odwagę, żeby go o to zapytać. Tego, co szeptały sobie na ucho co poniektóre sekretarki, traktować poważnie nie sposób, chociaż fakt, że wszystkie kobiety, zarówno w Biurze

Wyborczym, jak i w Wydziale Propagandy, sprawiały wrażenie, jakby dobrano je wyłącznie na wygląd. To zresztą do niego pasowało: świat jest podły, ale niech przynajmniej będzie ładny.

Być może w tych babskich pogaduchach było coś z prawdy, a może panienki tylko kompensowały sobie niespełnione zachcianki. Mimo nieszczególnie w sumie efektownej postury potrafił sobie radzić z babami, miał gadane jak mało kto. Z drugiej strony sprawiał wrażenie człowieka, któremu najwięcej radości dawało samo doprowadzenie niewiasty do stanu rozgotowania na miękko. Oczywiście nie wiem na ten temat nic pewnego.

Gdzieś po wyborach zorientowałem się, że Rafała po prostu bawi wodzenie głupszych od siebie za nos. Bawi to może nawet za mało powiedziane. Nawrócenie rodaków na ideologię pind i sprawienie, by rzucili się pod ich przewodem budować nową, rajską epokę, musiał uważać za najlepsze z możliwych udowodnienie swojej wyższości nad hołotą. Ja osobiście nie miałbym zresztą co do niej wątpliwości. Można się tylko było zastanawiać, dlaczego facet z takim łbem został w tym zasyfionym kraju.

Oczywiście, później miało się okazać, że wszystko to jest bardziej skomplikowane, niż myślałem.

Trzy istotne przyczyny

Pierwszą okazję, by dowiedzieć się o szefie czegoś więcej, miałem, gdy oznajmiłem nieopatrznie, że zamierzam pracować dla pind tylko do wyborów.

— Nie wygłupiaj się, miody człowieku — rzekł z irytacją. — To nie jest rwanie truskawek czy inna praca sezonowa.

Pokiwałem głową, uznawszy w duchu, że najlepiej będzie odłożyć

sprawę na później. Ale nie dał się tym zbyć.

— A właściwie dlaczego? Masz gdzieś lepsze widoki?

— Nie, nie o to chodzi. Chcę... chcę się ożenić.

Zbaraniał.

— Ożenić się? W kościele, tak? Z organami, świecami, kobiercem i zapłakanymi mamusiami? A potem mieć dzieci?

— Tak, w kościele. Taki mam układ.

— Układ — powtórzył i przeciągnął dłonią po wysokim, sięgającym aż potylicy czole. — Z tą brunetką... Magdą, tak? Sympatyczna laseczka, owszem. Ale żeby się od razu żenić? Myślisz, że jak was ksiądz

pobłogosławi to wam będzie lepiej wychodzić w łóżku, czy jak? A może ona ci bez tego nie chce dać?

Przez moment miałem ochotę rzucić się na szefa z pięściami; powstrzymała mnie myśl, iż pokazałbym mu w ten sposób, że przypadkiem trafił w sedno.

Roześmiał się nagle.

— Przewodnicząca chyba by pękła, gdyby to słyszała! Ożenić się i mieć dzieci! Cholera, fizjologia jest nie do zwalczania. No, ale pęknięcie tej larwy nie jest aż tyle warte, żebym tracił na to konto najlepiej się zapowiadającego pracownika — spoważniał gwałtownie.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Musisz jakoś przekonać swoją niewiastę, żeby żyła z tobą na kocią

łapę.

— Niemożliwe?

— Z trzech przyczyn. Dwie są mniej ważne, trzecia zasadnicza. Pierwsza to ty. Małżeństwo to piękna, stara tradycja i nie ma sensu robić z niej szopki. Ten układ, skądinąd prawidłowy, polega na tym, że bierzesz kobietę pod swoją opiekę i stajesz się za nią odpowiedzialny. Nie chciałbym cię urazić, Alek, ale na ile cię znam, nie można ci powierzyć nawet morskiej świnki. Zwłaszcza że po odejściu stąd byłbyś wszędzie spalony. Chyba że myślisz zostać utrzymankiem własnej żony. To częste. Tak zwany związek partnerski — westchnął ciężko. — Przykro przyznawać pindom rację, ale

niestety, męczyzna to zwierzę wymierające. Cywilizacja techniczna i jej regulacje społeczne wykończyły go na amen. W dzisiejszych podłych czasach nie ma już facetów, którzy zostawiali babę przy dzieciach, a sami szli z maczugą na mamuty albo z pożyczonymi pieniędzmi zakładać biznes. Zastąpił ich zniewieściały niedojda, bezwolny, nieodpowiedzialny, któremu ze wszystkich męskich atrybutów zostały tylko jaja.

Czasami potrafił być ujmująco uprzejmy.

— Druga przyczyna to ja. Nie po to cię uczę tej roboty, żebyś ją rzucał, bo się akurat masz fantazję żenić.

— A trzecia?

— Układ. Układ, w który wlałeś i z którego, do ciężkiej cholery, powinieneś sobie zdawać sprawę. Podpisałeś kupę papierów, wiesz o Dolce i innych, znasz mnóstwo spraw będących wyłączną własnością pind. Założmy, że jednak uznasz się za odpowiedni materiał na ojca rodziny i że ja cię puszczę. Ale pindy nie przejdą nad tym do porządku dziennego. Za dużo wiesz. Zdaj sobie sprawę, że wszedłeś już w dorosłe życie. Chyba, że chcesz przysporzyć światu jeszcze jedną zapłakaną wdowę.

Problem z szefem polegał na tym, że nigdy nie było wiadomo, kiedy mówi poważnie, a kiedy kpi sobie z człowieka w żywe oczy. Uznałem, naturalnie, że tym razem to drugie.

— Nie chcę o tym słyszeć —
oznajmił. Umówmy się, że masz czas do
wyborów. Jak przez te parę miesięcy ci
nie przejdzie, zgłoś się, wyjaśnię ci
szczegóły sprawy. A teraz — pokazał mi
dyskretnie drzwi gabinetu — wybacz,
ale mam dużo pracy. Ty zresztą też.

Most

Do Góry Kalwarii droga była czysta, jeśli nie liczyć pijanego chłopca na nieoświetlonym traktorze pod Kawęczynem. Rafał wymanewrował w ostatniej chwili. Nawet nie zaklął. Normalne przyjemności nocnej jazdy bocznymi drogami — lepiej władować się na jakąś furmankę, niż na patrol. Nie mówiąc już o wjazdach na międzynarodowe szosy, przez które nie

ma możliwości prześliznąć się niepostrzeżenie, bez pokazania prawa jazdy i karty wozu, których numery natychmiast zostałyby zanotowane w pamięci komputera.

Przejeżdżamy przez senną, zasyfioną miejscinę, skręcając na Warkę. Ale Rafał nie trzyma się tej drogi długo. Zaraz za jednostką wojskową odbija w lewo, w kierunku Wisły.

W ciemności przed nami, zanim jeszcze zdołały ją rozproszyć światła reflektorów, widać dwa czerwone punkciki. Bariera, zsunięta dla wygody na pobocze. Obok, tuż koło wjazdu na most, zaparkowany radiowóz. Zwalniamy.

Znowu ten strach. Obracam się.

Magda śpi, pół siedząc, pół leżąc na miękkim, tylnym siedzeniu. Słaba poświata wewnątrz samochodu czyni jej odrzuconą na oparcie twarz niemal kredowobiałą.

Powinna spać, po tym wszystkim. Nabierać sił. Bóg jeden wie, jak bardzo będzie ich potrzebować. Przez myśl przemyka obraz małego mieszkanka Magdy w bloku na Kabatach, kiedy wróciłem tam następnego dnia po przewiezieniu jej do willi Rafała. Prosiła jeszcze o parę rzeczy. Znalazłem je bez trudu. Wszystko leżało na wierzchu.

Wybite z zawiasów drzwi, wywalone szuflady, rozrzucone książki, rozbite szyby regałów. Lampka, która

przyświecała naszym czułym szeptom, stłuczona i rzucona na podłogę, w kłęb poszarpanych papierów, ubrań, podartych narzut i zasłon. Szczątki roztrzaskanego o ścianę krzyża, potłuczone szkiełko obrazka, nad którym ktoś pastwił się metodycznie drąc na strzępy smutną twarz Matki Boskiej.

To nie byli gliniarze. Oni po prostu pracują, wykonują swój zawód, który ich ani ziębi, ani grzeje. Nie chciałyby się im z taką furią i wściekłością demolować mieszkania, w którym nie było niczego, co musieliby znaleźć. A jeżeli, to załatwiliby sprawę do końca, zostawiając kogoś, kto by mnie zwinął. Nasze dzielne ochotniczki, seksowne, przeszkolone w samoobronie laleczki,

szczęśliwe, że jakaś swołocz zakapowała im nierejestrowaną i że mogą własnymi pazurami powalczyć trochę z zabobonami i klerykalnym ciemnogrodem. Każda krowa na pewno wierzy święcie, że właśnie ten ciemnogród odpowiada za wszystko, co jej się w życiu nie udało.

Nie mówiłem o tym Magdzie.

Wyciągam rękę ponad oparciem fotela i budzę ją delikatnym uściskiem dłoni. Lepiej tak, wyrwana nagle ze snu mogłaby coś palnąć. Patrzy na mnie, od razu z całą przytomnością. Siada, podciąga okrywający nogi koc, tak, aby zakryć jego rąbkiem zaokrąglony brzuch. Kiwam lekko głową, wciąż ściskając jej palce — nie bój się. Nie bój się, dobry

jestem. Sam mam pełne portki.

Rafał na szczęście nie. Hamuje przy znudzonym gliniarzu, od razu opuszczając boczną szybę, i zanim ten zdążył porządnie zasalutować, podaje mu prawo jazdy oraz swoją legitymację w białej, cielejącej skórcie.

— Dobry wieczór — mówi. — Światła, kierunkowskazy?

— Nie, nie — mamrocze gliniarz. — Wie pan, to tak... eee, kontrola dokumentów.

— Słusznie, słusznie — rzuca Rafał tonem, którego zwykła używać na zebraniach pani przewodnicząca. Gliniarz przygląda się przez chwilę legitymacji, spod daszka czapki lustrując pobieżnie wnętrze toyoty.

Zgodnie z obowiązującą procedurą powinni teraz zażądać karty wozu, sprawdzić numery samochodu, wrócić do radiowozu, narażając się na przykre słowa od drzemiącego tam zmiennika, wpisać to wszystko w komputer i sprawdzić, czy samochód nie jest kradziony albo poszukiwany. A przy okazji zostawić gdzieś ślad, że tego a tego, o tej a tej, w tym a tym miejscu ten właśnie wóz z tym właśnie kierowcą przejeżdżał przez most, na którym wskutek ogólnie znanego zacofania tej części wspólnego europejskiego domu nie postawiono dotąd normalnych, półautomatycznych rogatek.

Kupa roboty. A czy facet w takiej gablocie, z taką legitymacją w garści,

wygląda na złodzieja samochodów albo poszukiwanego? Jakaś fisza, wiezie panienkę, jak nic jakąś aktywistkę. Pewnie jadą gdzieś w Polskę tłumaczyć narodowi, że zarządzenia władz to smutna konieczność i nie ma co próbować rozrób. Mnóstwo się teraz kręci różnych działaczy i agitatorów.

Zresztą gliniarzowi wszystko to zwisa nacią. Bo to niby mógł wiedzieć, jak brał tę robotę, co się w kraju porobi?

Oddaje papiery i wykonuje dwoma palcami jakiś dziwaczny ruch koło czapki, pokazując, by jechać dalej. Toyota prześlizguje się zgrabnie po żelaznej pajęczynie, rozpiętej nad lśniąca głęboką czernią taflą cuchnącej

wody.

— W złych razach szabla a rezolucja to grunt — Rafał uśmiecha się delikatnie kącikami ust. — Opatrzność czuwa. Nie nade mną, oczywiście. Nad wami.

— Miałeś rację — mówię. — Moim gratem byśmy tak łatwo nie przejechali.

Krzywi tylko usta, jakby fakt, że miał rację, był zbyt oczywisty, by w ogóle o nim wspominać. Pewnie tak. Powiedziałem to tylko dlatego, że strasznie mi się teraz chce gadać. Bolesny ucisk ulotnił się z żołądka, pozostawiając błogie odprężenie, graniczące z euforią. Mam ochotę rozprawiać z ożywieniem, opowiadać kawały i śmiać się z nich samemu, tym głośniejsz, im są głupsze.

Tylko o czym tu gadać, skoro wszyscy troje już wszystko dobrze wiemy?

Rafał obraca się na chwilę.

— Niech pani śpi — mówi do Magdy. — Teraz mamy spokój aż do Lublina.

Kiwa tylko głową. Po chwili jej śnieżnobiała twarz znowu odchyła się na oparcie siedzenia. Wstyd się przyznać, ale ja bym teraz nie zasnął w żaden cudowny sposób.

Z ust Rafała przez długi czas nie schodzi ten lekki półuśmieszek. Obraca się jeszcze raz, przez moment patrzy ciepło na zasypiającą Magdę, jak na biedne, zagubione dziecko, któremu trzeba pomóc.

Magda

Tak naprawdę Magda wcale nie przypomina zbłąkanego dziecka. Nigdy nie przypominała. Tylko z pozoru — w środku jest twarda jak pień starego drzewa. Kto jak kto, ale ja to wiem. Cholera, na dobrą sprawę to ona powinna się mną opiekować, a nie odwrotnie.

Może właśnie to tak mnie do niej przykuło? Właściwie nigdy się potem

nie wie, na czym polegał ten czar, co go sprawiło. Nie kocha się za coś ani dla czegoś. Po prostu to przychodzi, jak dar od Boga albo przekleństwo losu. A może nieuchronny efekt biologii i chemii.

Z początku wydawało mi się, że Magda robi wszystko, by sobie utrudnić życie. Tak to przynajmniej wyglądało. Spotykaliśmy się często na uczelni. Mówiła niedużo, nie chichotała, nie udzielała się towarzysko. Zawsze wymawiała się brakiem wolnego czasu. W ten sposób zarobiła sobie na opinię zarozumiałego kujona, patrzącego na wszystkich z góry. Niektóre z dziewczyn sugerowały niedwuznacznie, że Magda preferuje własną płeć i żaden z kolegów

nie mógł w takich sytuacjach zaprzeczyć pod słowem honoru. W ogóle dziewczyny wygadywały o niej niestworzone historie. Baby z reguły są jeszcze bardziej od facetów bezlitosne dla takich, co odstają od stada.

Zbliżyliśmy się jakoś tak przypadkiem. Może korciło mnie wyzwanie, a może przyszła mi do głowy z braku innych możliwości — z moim talentem do niewiast nie mogłem się uskarżać, że zajmują mi zbyt wiele czasu — w każdym razie zaczęliśmy się spotykać. Sam nie zauważyłem, kiedy wsiąknęłem beznadziejnie. Wcale nie była wyniosła, potrafiła się śmiać i cieszyć wspanialej niż ktokolwiek inny. Ale tylko przy mnie. W towarzystwie

natychmiast milkła i straszyla się: ja wiedziałem, że po prostu boi się innych ludzi, a raczej boi się, by nie spotkała ich z jej strony jakaś przykrość. Ale inni tego nie wiedzieli i ta jej ochronna skorupka drażniła ich, prowokowała niechęć, a to z kolei czyniło Magdę jeszcze bardziej nieufną. Wiele czasu zmarnowałem na próby oswojenia jej z towarzystwem, w końcu wyszło na to, że najlepiej czuliśmy się sami ze sobą. Doszły do mnie słuchy, że stałem się zarozumiały.

Zastanawiałem się często, jakim cudem właściwie mnie samemu udało się przez tę nieufność przebić. Może ze względu na moją wrodzoną pierdołowatość. Gdy próbowałem się

do niej pierwszy raz dobrać i pierwszy raz poczułem, jak sztywnieje pod moim dotykiem, pomyślałem sobie: nic, poczekamy, jakąś się ułoży. Gdybym był zdolny do podjęcia męskiej decyzji, albo przynajmniej przewidział, ile się przez jej niepodjęcie namęczę, zwałbym z krzykiem. A potem już tylko brnąłem coraz głębiej w sytuację bez wyjścia. Kochałem ją. Chciałem jej. Ale nie potrafiłem zmusić się, by okazać jakąkolwiek stanowczość, może ze strachu, żeby nie stracić i tego, co już miałem, a bez czego — zacząłem to sobie uświadamiać — męczyłbym się jeszcze bardziej.

Od pierwszego razu wiedziałem, że to nie jest oziębłość, że włazi pomiędzy

nas ktoś, z kim nie mam szans się mierzyć. Magda była bardzo wierząca. Nie potrafiłem znaleźć na to kontrargumentu.

Z początku i tak by nie było jak: u mnie zgredzi, u niej ciotka. Ta ciotka robiła pod siebie ze starości, nie kojarzyła nic, i gdyby nie Magda dawno już znalazłaby się na swoim miejscu, to znaczy w państwowej umieralni. Odwdzięczała jej się bluzgając od najgorszych, wzywając policję (znali ją na wszystkich komisariatach) oraz sąsiadów na ratunek, że ta kurwa zamyka ją w domu, okrada i w nocy posypuje ekstra—proszkiem, żeby szybciej umarła. Raz tam nieopatrznie wlażłem i ciotka, oczywiście, z właściwą swemu

wiekowi przenikliwością odkryła sens spisku: jej dręczycielka sprowadziła sobie fagasa, któremu sprzeda mieszkanie. Żeby się zemścić, narobiła Magdzie do torebki.

Potem już nie próbowałem do niej przychodzić. „To jest mój krzyż” — uśmiechała się gorzko. — „Przepraszam, ale poradzę sobie sama”. Nie wiem, dlaczego niby jej, w końcu to była dla Magdy jakaś dziesiąta woda po kisielu. I może jestem skurwiel, ale kiedy ta stara cholera wreszcie walnęła w kalendarz, że szczęścia schlałem się jak robaczek świętojański. Pogrzebowi i obsługa cmentarza nigdy nie widzieli równie tryskającego radością klienta jak ja, kiedy pomagałem Magdzie załatwiać

niekończące się formalności i użerać się z hienami.

A może widzieli. Problem mieszkaniowy ma na ludzi fatalny wpływ, jak stwierdził przy okazji Rafał.

Radość była przedwczesna. Dawno już zdecydowałem się ożenić, ale kiedy kochaną ciocię wreszcie szlag trafił, przeszkodą okazała się żałoba. A potem udało mi się złapać robotę u pind. To była jakaś szansa ustawienia się w życiu, nie chciałem jej zmarnować.

A jednego z drugim nie szło pogodzić.

Rozstanie nie wchodziło w grę, ślub też, wariant najbardziej oczywisty — odłożenie formalności na później — w ogóle nie nadawał się do rozpatrzenia.

Czułem, że jak to potrwa dłużej, to wreszcie mnie rozsadzi.

Robota

Na szczęście dla swojej stabilności psychicznej mam od Bozi jeden dar: głębokie wewnętrzne przekonanie, że wszystko się zawsze w końcu jakoś ułoży i byle nie myśleć o kłopotach, to i one o człowieku zapomną. Żeby więc zająć czymś szare komórki, młóciłem robotę z tak wściekłą kurwicą, że po paru tygodniach stałem się obiektem wzmożonego zainteresowania ze strony

szefa. Przeskoczyłem na pierwszą samodzielną sprawę — ten proces pind przeciwko kobiecie, która nie chciała wykrobać dziecka, chociaż lekarze przewidywali, że może urodzić się chore. Oczywiście nie ja sprawę nakręcałem, nie ja wnosiłem kolejne odwołania do kolejnych instancji, oddalających pozew z braku znamion przestępstwa, ani nie sprowadzałem postępowych idiotek z Wąbrzeźna, Włoch i Niemiec, żeby manifestować święte oburzenie pod sądami. Robiłem rozgłos wokół sprawy, łapałem dojścia do dziennikarzy, sondowałem układy, znajdując optymalne sposoby wpływania na nich, kupowałem różnych utytułowanych kretynów i pisałem dla

nich mądre wystąpienia. Ta pinda, która rozebrała się na fasadzie Sądu Najwyższego, to też był mój pomysł. Uważam, że z fachowego punktu widzenia świetny, obleciała wszystkie europejskie telewizje i okładki czasopism, a stamtąd rykoszetem powtórzyła to samo w kraju. Całą sprawę zgasilem potem na polecenie szefa w trzy dni, pojęcia nie mam, czy to dziecko urodziło się w końcu zdrowe, ale smrodek poszedł w naród, robiąc dyskretne tło pod kampanię wyborczą.

Rafałowi rozegranie sprawy przypadło do gustu. Tym sposobem wpakowałem się w potrzask, jakbym miał jeszcze nie dość poplątany życiorys. No, powiedzmy, że

wpakowała mnie własna pazerność z jednej a drobna pomyłka szefa w ocenie moich motywacji z drugiej strony. Najpierw było parę rozmów, potem dwa tygodnie testów i szkolenia aż w końcu zaczęła się prawdziwa robota i zarabianie prawdziwych pieniędzy.

„Pojeździsz sobie na aktywistkach” — rzucił Rafał. Chodziło naturalnie o Dolkę i pozostałe egzemplarze. Tak to się u nas nazywało: „jeździsz jutro na Ance”, „w tym tygodniu jeździmy na zmianę”. Nie wiem, kto wymyślił ten patent, ale działał bezbłędnie. Panienki zrobiły się wyszczerkane i cwane jak jasna cholera. Osobiście wiedziałem o trzech, ale pewnie było ich więcej. Nas też było tylko kilku, z dość zrozumiałych

względów. Zresztą, nie musieliśmy przecież wspomagać ich babskiego mózgowia bez przerwy. Kiedy nie występowały publicznie, odpowiadał za nie wydział wewnętrzny Ruchu. Mówiło się „ochrona”, co miało wszelkie znamiona prawdopodobieństwa — bądź co bądź w ramach gonienia Europy przykre przygody zdarzające się ludziom zaangażowanym w politykę zaczęły u nas powoli wchodzić w stałą praktykę — ale bardziej chodziło tu o pilnowanie. Ktokolwiek się tym zajmował, babsztylę pani przewodniczącej na pewno miały u niego tyle samo do gadania, co u nas.

Chociaż może nie — raz zdarzyła im się fuszerka niemalże popisowa. I to

właśnie zaraz po debacie. Jakiś klient siedzący nocą nad sobotnio—niedzielnym wydaniem „Życia Warszawy” wpadł na pomysł, żeby podzwonić po programie na prywatne telefony uczestników — cholera go wie, skąd miał numery — i skłonić ich do krótkiego podsumowania dyskusji oraz zwięzłej oceny sytuacji, po kilka zdań na pierwszą stronę. Dołka zachowała się jak słodka idiotka, którą zresztą była, wyjąwszy okresy aktywowania neurowszczepów. Naplotła, że przekonała się po raz kolejny, iż w krytycznych sytuacjach nigdy nie zawodzi jej natchnienie, bo ożywia ją duch wielkiej misji, to znaczy wyzwolenia świata w ogóle a Polski w

szczegółności od samczej agresji, brutalności i podłości, czego wyzyskiwane kobiety dokonają, jak się wezmą w kupę i zrobią kobiecą rewolucję, i ta chwila się zbliża, i będzie raj i kwiatki w każdym wazonie, amen. Litościwy gryziپیórek zrobił z tej sieczki na łamach parę zgrabnych zdaneł o niczym, w sumie nic wielkiego się nie stało, ale mogło; o całej tej rozmowie dowiedzieliśmy się dopiero z gazety. Rafał rozpromienił się jak stary alkoholik na widok oszronionej flaszki, po czym natychmiast rzucił się dzwonić do Berlina i robić obciach pani Wsadzaj. Sądzę że z niezłym skutkiem. Naturalnie wiedział, że to nie jej wina, ale nie mógł przepuścić takiej okazji do

zegrania się na babie za jej nalot na nas
zaraz po debacie.

Bernadetta Wsadzaj

W ogóle szef Biura Wyborczego i przewodnicząca polskiego oddziału Europejskiego Ruchu Wyzwolenia nienawidzili się z całej duszy; tak jak mogą się nienawidzić tylko cynik i fanatyczka, robiący z krańcowo odmiennych powodów dokładnie to samo. Nie obrzucali się obelgami, rzecz jasna, a gdy dochodziło do wymiany przeciwstawnych zdań, odbywała się

ona w tonie żmijowatej uprzejmości. Ale i tak każdy doskonale wiedział, że pani Bernadetta oddałaby pół tego, co jej jeszcze zostało z życia, żeby Rafała i wszystkich samców, których sobie dobrał do współpracy, trafił najjaśniejszy szlag.

Przed debatą miałem szczęście nie znać Bernadetty Wsadzaj osobiście. Wiedziałem o niej mniej więcej tyle samo, co wszyscy. Żyła sobie babina trzydzieści parę lat, wyrabiając wierszówkę w różnych szmatławcach, zaliczając parę rozwodów i nie mogąc się zrealizować. Aż pewnego dnia przeczytała sobie Margaret Mead czy czegoś w tym stylu i doznała Objawienia. Zrozumiała wszystko i od

tego czasu nie potrzebowała już do szczęścia niczego prócz szerzenia swej wiary.

Najbardziej przerażające było w tej kobiecie to, z jak niesamowitą konsekwencją potrafiła do tej wiary dopasować absolutnie wszystko. Żadnych wątpliwości, żadnych rozterek, stuprocentowa impregnacja na wszelką argumentację. Do tego natura wyposażyła ją w upór inflanckiej kobyły oraz niewątpliwy talent organizacyjny. Kiedy wylano ją z „Solidarności”, która właśnie krzepła w przytulne struktury i rozmaite ciotki rewolucji przestawały jej być potrzebne, zaangażowała się w ruch feministyczny. I to tak, że wkrótce zaczęła przyprawiać swoje szefowe o

niejaki niepokój. Ówczesne polskie feministki to było towarzystwo raczej kontemplacyjne i nieruchawe, więc pani Bernadetta i jej coraz liczniejsze, równie energiczne współpracowniczki, zaczęły po prostu rozsadzać dotychczasowy układ. Przypuszczam, że ostateczne utracenie ustawy o zakazie aborcji było w dużej mierze jej osobistą zasługą. Na pewno w każdym razie zasłużyła się dla połączenia z zielonymi, czy raczej dla ich przyłączenia, i dla wejścia w strukturę europejską. A właściwie dopiero podłączenie się pod zachód spowodowało masowy przyływ zwolenniczek i, czego do końca nie potrafię pojąć, zwolenników. Na stanowisko przewodniczącej polskiego

oddziału nie miała, praktycznie rzecz biorąc, kontrkandydatur.

Mapa Polski

Wparowała do gabinetu Rafała, gdy siedzieliśmy tam po debacie. Sami, bo swoją sekretarkę Rafał odesłał już do domu. Dochodziłem powoli do siebie — właściwie już doszedłem, ale udawałem znacznie bardziej zmęczonego niż w rzeczywistości. Mieliśmy do pogadania o dalszej współpracy i po prostu bałem się tej rozmowy, toteż kiedy w sekretariacie rozległy się kroki, a po

chwili w drzwiach pojawiła się pani przewodnicząca, w pierwszej chwili powitałem ją jak zbawienie.

Zamknęła za sobą starannie drzwi i wbiła w Rafała lodowate spojrzenie.

— Tym razem pan przesadził — wycedziła. — Zdecydowanie. Nie zamierzam tego tolerować.

— O, pani przewodnicząca! — uśmiechnął się szeroko. — Kto by się spodziewał! Proszę spocząć, cóż panią sprowadza o tak niezwykłej porze?

— Niech pan przestanie błąznować.

— To żadne błąznowanie. Po prostu uprzejmość. Może istotnie nie na miejscu — usadził się za biurkiem i spojrzał na mnie. — No cóż, porozmawiamy jutro. Wybaczysz.

Skinąłem skwapliwie głową, próbując skorzystać z okazji i czym prędzej zwać z gabinetu.

— Chwileczkę — osadziła mnie przewodnicząca. — To on wspomaga! Dolores w czasie dyskusji, prawda? — nie czekając na potwierdzenie ruszyła do ataku. — Dlaczego pozwolił pan sobie ignorować nasze sugestie? Jakim prawem? No, słucham?

Zwężone wściekłością szparki w makijażu, nakładanym chyba murarską kielnią, kipiały tak świętym oburzeniem, że aż odruchowo przycisnąłem się do oparcia fotela.

— No, wie pani — zacząłem niepewnie. — Miałem dziesięć monitorów. Wybierałem rzeczy

najpotrzebniejsze w dyskusji...

— To ja odpowiadam za moich pracowników — poratował mnie Rafał.

— Czy ma pani jakieś pretensje?

— Doskonale pan o tym wie! Tchórzostwo, kapitulancтво i wypaczanie ideologii naszego ruchu w oczach społeczeństwa! Robicie to już od dłuższego czasu, ale ta debata... Nie wolno wam stwarzać pozorów naszej zgodności z klerykałami ani traktować tak lekko kwestii rozrodu, rozumie pan? Zabraniam tego!

Uśmiechnął się szeroko pod lawiną decybeli.

— Pani wybaczy, ale podlegam bezpośrednio Radzie Europejskiej. Może pani, naturalnie, wystąpić o

zwolnienie mnie.

Jakby nie wiedział, że robiła to z regularnością zegarka.

— Sądzę, że gdyby Rada była dokładnie poinformowana o pańskich poczynaniach...

— Rada jest dokładnie o nich informowana i to przez wiele niezależnych od siebie osób. I w pełni je aprobuje — westchnął ciężko. — Zapewne tracę czas, ale chciałbym pani uświadomić, że to jest polityka.

— Polityka — prychnęła gniewnie — to wasza, samcza zabawa. My nie zajmujemy się polityką, my burzymy wasz, męski świat i budujemy nowy.

— Znakomicie. W takim razie, skoro się co do tego zgadzamy, proszę

zostawić politykę osobom bardziej kompetentnym. Jak pani dobrze wie, nie jestem wyznawcą. Jestem znawcą. Fachowcem. Wynajęto mnie do konkretnego celu: pozyskania dla pani ruchu jak największego elektoratu. W tej chwili możemy liczyć na co najmniej 25% głosów...

— Dwadzieścia pięć procent! Gdyby nie fałszował pan naszego programu, poparłaby nas każda kobieta w tym kraju! A to jest grubo ponad połowę!

— Oczywiście myli się pani. Dlaczego miałyby was poprzeć? Bo ją chcecie wyzwalać? A po co jej to? Normalna kobieta — zaakcentował mocno to „normalna” — wcale nie

potrzebuje przedstawicielstwa w parlamencie. Potrzebuje chłopca, który robi jej dobrze, przynosi do domu dużo pieniędzy, kupuje modne kiece i potrafi przekonująco łągać, że tylko ją jedną kocha. Może pani liczyć tylko na dziennikarki oraz podatną na wszelką demoralizację młodzież. Co ma pani do zaoferowania żonom i matkom, których ich stan wcale nie frustruje?

— One się przebudzą — cały czas stała przy drzwiach, wzbraniając się przed zajęciem któregoś z foteli naprzeciwko biurka. — Wszystkie kobiety uświadomią sobie swoją siłę. Już niedługo.

— W porządku. Na razie się nie przebudziły. Do pani należy

pozyskiwanie zapalonych bojowników sprawy. Ale o sukcesie nie decydują zapaleńcy. Decydują obojętni. Ci, którym wszystko zwisa aż do dna. To należy do mnie: sprawić, by milcząca większość przyjmowała działalność pani fanatyczek jeżeli nie za aprobatą, to przynajmniej biernie. Dobrze pani wie, że właśnie z tego powodu Rada Europejska wybrała na miejsce zadania pierwszego ciosu właśnie Polskę, chociaż na zachodzie ma znacznie większy stan posiadania. Tutaj ludzie są tak rozbici i ogłupiali, pozbawieni silnej, naturalnej elity, że połkną wszystko. Nawet kontrolę urodzeń. Wszystko, co kojarzy im się z zachodem i nowoczesnością.

Przewodnicząca przekonała się chyba wreszcie, że nie zdoła Rafała zabić ani nawet speszyć wzrokiem. Przysiadła między fotelami na stoliku do kawy. Nie było w tym goście śladu rezygnacji.

— Niech pan mówi dalej. To interesujące.

— Panią w każdym razie powinno interesować — skinął głową. — Hołotę trzeba urabiać stopniowo, powoli. Podrzucać jedno hasło po drugim, bo hołota ma to do siebie, że z natury obawia się wszelkich zbyt daleko idących nowości. Nie wszystko naraz. I nie wszystkim naraz. Najpierw pozyskać, nazwijmy to, inteligencję, potem stopniowo obezwładniać

ciemniaków. Ta ideologia, która ma sankcjonować waszą działalność, niesie w sobie ogromną siłę. Jest w stanie powtórzyć sukcesy socjalistów. Tłumaczy wszystko, zwięźle jak amen, i nie pozostawia żadnej obrony, żadnej możliwości odwołania się do innego systemu pojęć. Potrzeba pięciu, sześciu lat, żeby przestawić na nią całe społeczeństwo. Najmądrzejszych się przekupi, nieco głupszych nawróci albo skłoni do udzielenia wystarczającego poparcia, pozwalając im zostawić sobie różne „ale” do okłamywania samych siebie — Rafał spoglądał w zamyśleniu na blat biurka. — Ale do tego jeszcze daleko. Na razie trzeba lawirować. Kościół, na przykład. Fundamentalna

sprawa. Jasne, że nie można pogodzić katolicyzmu z mordowaniem dzieci — uniósł lekko dłoń w kierunku przewodniczącej, która po tych słowach aż zasyczała. — Dobrze, dobrze, nie jesteśmy przed kamerą. W każdym razie Kościół musimy rozbić. Tylko że to trzeba przygotować. Starcie sprowokowane już teraz, tak jak pani chce, mogłoby się skończyć porażką. Trzeba najpierw rozkruszyć podstawy siły Kościoła, skompromitować i ośmieszyć kler, odwołać się do ludzkich zawiści, wygodnictwa i rozkoszy, jaką daje motłochowi obalenie autorytetów...

— Nie pierwszy raz mówi pan tak, jakby sympatyzował z tym

ciemnogrodem.

— Ja z nikim nie sympatyzuję. I staram się nie poddawać żadnym emocjom. Natomiast trochę się znam na religii, a zwłaszcza na historii Kościoła. To szczególna instytucja. Nic jej tak nie umacnia jak otwarte ataki i prześladowania. I odwrotnie, kiedy zostawić ją we względnym spokoju, traci wyznawców błyskawicznie. Katolicyzm to bardzo trudna religia, bardzo wiele wymaga. Zdecydowanie zbyt wiele, jak na przeciętnego człowieka. Jego siła jest u nas tylko dziedzictwem po komunizmie. Wie pani, skąd się wzięła? Stąd, że czerwoni zdołali uprościć katolicyzm do jednego, łatwo zapadającego w pamięć hasła:

prowadzić świętą wojnę z niewiernymi. Chodzić na procesje, zawodzić nabożne pienia i czuć się częścią wojującej o słuszną sprawę masy. Nasz, polski Bóg siedzi w kościele, tam się chodzi go okadzać, i rodacy cholernie sobie nie życzą, żeby wściubiał nos w ich prywatne życie. Polski katolicyzm... To jest kolos na glinianych nogach. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby większość wyznawców dała nogę z ziejących nudą ceremonii i zabrała się do budowania weselszego świata, pełnego blichtru, seksu i kolorowych neonów. Ja wiem, jak to robić. Kpić ile wlezie z tych wszystkich kartek na sakramenty, z kościelnej biurokracji, z pazerności proboszczów. Montować

różne ruchy niby katolickie, rozmywające stanowisko religii. Ale atakować tego, co ludzie mają wbite w pamięć jako świętość, głównych haseł kultu, zwłaszcza maryjnego, nie wolno. Rozumie pani? W swoim czasie sami o nich zapomną. Nic na siłę. To będzie trwało.

Podniósł głowę, przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Siedziałem cicho jak trusia, bojąc się zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę.

— Tyle o strategii — podjął Rafał.
— Teraz taktyka: zgodnie z dalekosiężnymi planami, musimy w najbliższym czasie restytuować cenzurę i wyposażyć ją w szerokie pełnomocnictwa. Obkom, skoro przegra

w wyborach — a ma to jak w banku — i nie będzie miał szans upchać tam swoich ludzi, stanie na uszach, żeby do tego nie dopuścić. A pani jest za słaba, żeby przeprowadzić sprawę głosami swoich posłanek albo żeby zmontować wystarczający nacisk. Tego nie zrobimy bez błogosławieństwa z Miodowej. Dlatego właśnie, kolejna pani pretensja, kiedy trąbimy o zalewie pornografii, kładziemy nacisk nie na upokarzanie kobiety, bo panienkom za to, co robią, dobrze płacą, tylko na uprzedmiotowianie osoby ludzkiej i odzieranie jej z godności. Jest w programie sporo takich spraw, których nie przeprowadzi pani bez poparcia albo Kościoła, albo innych sił, które

kiedyś tam, w dalekim planie, zamierzamy rozwalić. Proszę się pocieszyć, że kiedyś będzie pani miała nadwiślańską część wspólnego europejskiego domu do dyspozycji swojej i swoich wariatek z wałkami. Mniemam, że zbierze pani ich dość, żeby przy obojętności ogółu zdołać zrealizować każdy babski kaprys, jaki wam przyjdzie do głowy. Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki na przykład ruskie nie pozbierają się do kupy i nie zechcą restytuować Imperium... Choć jest szansa, że wcześniej zachłysną się zachodnim stylem życia. W każdym razie ma pani na parę lat swoją robotę. A dusze Polaków — zakładając, że to zdegenerowane bydło coś takiego ma —

musi pani zostawić mnie. Niech się pani z tym pogodzi, to nasza współpraca będzie się układać pomyślnie i bez zgrzytów.

Bernadetta Wsadzaj siedziała dłuższą chwilę bez ruchu; widać było, jak tłumiona wściekłość rozdyma powoli jej przywiedłe cielsko, podchodząc do oczu. Wreszcie plasnęła energicznie pulchną łapą o stół i — dziwna rzecz, spodziewałem się wrzasku — zarechotała szyderczo.

— Już się pan obsadził we władzach ruchu, co? Na długie lata, jak słyszę?

— Po co się czarować? Skoro przybiegła tu pani osobiście, to znaczy, że moja nominacja na szefa Wydziału Propagandy wyszła ze sfery plotek i

stała się ciałem. A pani zamierzała mi przedstawić swoje warunki, pod którymi skłonna jest się na to zgodzić, zanim się dowiem, że rzecz została już przesądzona. Bardzo dobrze, jest okazja ustalić pewne sprawy na przyszłość, i właśnie to robimy.

Nie dała po sobie poznać zawodu. Przeciwnie, wyglądała, jakby Rafał bawił ją serdecznie.

— Oczywiście, może się pani nie zgodzić. Skoro uważa pani, że Rada Europejska to banda głupków, podejmujących niesłuszne decyzje...

Cios na punkt, jak mawiają bokserzy. Dwie ostatnie rzeczy, jakie by pani Bernadetta mogła podważać, to nieomyślność Rady, wiodącej ludzkość

ku rajskiemu szczęściu nowej epoki, oraz całkowita nieprzydatność Rafała dla Ruchu Wyzwolenia. Przez chwilę miałem wrażenie, że zdołał ją bardzo zgrabnie złapać w pułapkę.

Ale z ludźmi tego pokroju jest to absolutnie niewykonalne.

— Nie, wcale nie sędzę, żeby Rada się myliła. Wręcz przeciwnie. Dopiero teraz jestem w stanie zrozumieć jej mądrość. Zbiorową mądrość mas kobiecych, które przestawią porządek świata z głowy na nogi. Panu się pewnie wydaje, że jest nie wiadomo jak sprytny, że może wodzić wszystkich za nos, naginać prawdę do swoich doraźnych, politycznych gier i puchnąć w poczuciu samczej siły, nadymać się

swoją urojoną wielkością. Dobrze, niech pan tak myśli — pokiwała głową z szatańskim błyskiem w oku. — Niech pan w to wierzy. Nam to nie zaszkodzi. Takie zarozumiałe, zadufane w sobie samce są już i tak skazane i nic ich nie uratuje. Wasz czas się skończył, idziecie na śmietnik historii. My wychowamy innych mężczyzn, prostych i szlachetnych jak kobiety, rozumiejących ich siłę i znajdujących w nich oparcie. Ale póki jeszcze są takie... egzemplarze, niedobitki jak pan, dopóki zachowały zdolność do swoich matactw i oszustw, do swojej brutalnej agresywności — posłużą nam. Po prostu ich używamy dla naszej sprawy. Może pan to przyjąć do wiadomości albo nie, nic to nie zmienia.

Wyżyłujemy z nich wszystko, dopóki będą nam potrzebne...

— A potem zlikwidujemy... — dodał grobowym głosem Rafał.

— Nie śmiałabym się z tego na pańskim miejscu — rzuciła i podniosła się energicznie. — A panu — dodała pod moim adresem — radzę dobrze pomyśleć. I nie starać się ślepo naśladować swojego szefa. Nie winie pana za poprowadzenie debaty, ma pan jeszcze czas na naukę. Egzamin może się odwlec, ale na pewno nastąpi.

— Klimakteryjne babsko — westchnął Rafał po długiej chwili, kiedy przebrzmiało już trzaśnięcie drzwi. Wyciągnął z biurka butelkę „Ballantine’a” i zażył kieliszek.

Dokładnie tak: zażył, beznamiętnie, jakby było to mycie zębów. Nalał sobie drugą porcję i schował butelkę, nie proponując mi niczego najdrobniejszym nawet gestem.

— Ciekawe, w jaki sposób one będą mordować — zastanawiał się na głos, wyciągnąwszy się na fotelu i sącząc powoli zawartość kieliszka. — Rozumiesz — popatrzył na mnie — każdy obłąd wypracowuje swój charakterystyczny sposób zabijania. Torquemada palił na stosie, Niemcy, naród praktyczny, wymyślili komory gazowe i cały drobiazgowo rozpracowany przemysł wykańczania jak największej liczby ludzi jak najmniejszym kosztem. Odwrotnie niż

komuniści: ci kochali ręczną robotę. Lubili każdemu skazańcowi z osobna pakować dziewięć gram ołowiu w łeb. Czuć, jak ofiara się szamocze, napawać się jej strachem, słyszeć jęk. I układać parę tysięcy trupów jednego przy drugim. — Zmrużył oczy, spoglądając w ścianę i uśmiechając się zimno. W zestawieniu z tym, co mówił, dawało to dziwny efekt. — Pindom chyba najbliżej byłoby właśnie do tego. Nasuwa się wbijanie obcasika prosto w serce. Nie, to zbyt niewygodne. W potylicę. O, tu — sięgnął palcami ku resztkę swoich włosów. — Ten punkt, dokładnie.

Wydawało mi się to absurdem. Bernadetta Wsadzaj, jej stuknięte ochotniczki i wizje z najlepszych

czasów NKWD. Takie skojarzenie nie mieściło mi się w głowie. Czegóż wymagać od hołoty?

— No, gdyby ona miała takie możliwości... — zacząłem.

Spojrzał na mnie niedopitym, mętnym wzrokiem człowieka, który na nic nie liczy, niczego się nie spodziewa i nic go nie dziwi.

— Ona będzie kiedyś miała takie możliwości — w jego głosie stanowczość mieszała się z rezygnacją. — Ona albo jakaś jej następczyni, bo babsko trochę za bardzo w to wszystko wierzy, może się zrobić w którymś momencie niewygodne. Powinieneś, kurwa, wreszcie zrozumieć, że ten zreformowany feminizm to naprawdę

potęgą. Niech się tylko upowszechni. Usprawiedliwi absolutnie wszystko. Co im przeciwstawisz? Boga i miłość bliźniego? Nie boisz się, że cię ludziska wyśmieją?

Nie, zdecydowanie nie odważyłbym się mówić o Bogu. Bałbym się, że mnie ludziska wyśmieją.

Ten trzeci

Magda, ona potrafiła mówić o Bogu tak swobodnie, jak zazwyczaj dziewczyny rozprawiają o fasonach kiecek albo o tym, kto z kim. Najdziwniejsze było, że wystarczały jej do tego zupełnie normalne słowa. I kiedy w naszej rozmowie pojawiał się Bóg — a zdarzało się to często — nie ciągnął za sobą dymu kadzielnic, szelestu katechizmowych frazesów ani

pogłosu odklepywanych pośpiesznie zdrowasiek.

— Ty nie wierzysz w Boga, prawda? — zapytała kiedyś. Niedaleko jej mieszkania, pomiędzy dwoma osiedlami, zachował się cudem żałosny strzęp lasu, oszczędzonego dziwnym zrządzeniem losu przez budowniczych blokowisk i stacji manewrowej metra. Na jego skraju pozostał pochylony, przegniły krzyż, z zębatym, blaszanym daszkiem nad wychłostaną deszczami figurą Chrystusa, strzegący nieistniejącej już polnej drogi. Przystawała tam często podczas naszych spacerów. Wtulała twarz w kołnierz i przyglądała się w zadumie zeschniętym kwiatom, wetkniętym do brudnego słoika po majonezie.

— Nie — odpowiedziałem, przypatrując się splekanym belkom. Gdyby sformułowała to: „Ty wierzysz w Boga, prawda?” też bym się z nią pewnie zgodził. A zaraz potem przestraszyłem się, że te słowa się jej nie spodobają, i dodałem szybko: — Nie wiem, właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

To nie jest rzecz, nad którą trzeba się zastanawiać. Każdy ma tę chwilę, kiedy on zwraca się wprost do niego. I wtedy mówi się „tak” albo „nie”. Widocznie jeszcze tej chwili nie miałeś.

— A ty?

Pokręciła tylko przecząco głową.

— Ale wiem, co powiem.

Ciekawe, jakby zareagowała, gdyby

mogła wiedzieć, że wpatrując się w ukrzyżowaną, poszarzałą od starości figurkę, myślałem: „Odwal się wreszcie. Przestań się wciskać między nas i pozwól jej normalnie iść ze mną do łóżka”.

Nie wiem, od kiedy ten krzyż tam stał. Wiem do kiedy. Po debacie i nalocie przewodniczącej, to była już naprawdę głucha noc, pojechałem do Magdy. Pojechałem, bo wcześniej wydzwaniała do mnie wielokrotnie, żeby w końcu rzucić mi w słuchawce: „Muszę się z tobą zobaczyć. Bardzo cię potrzebuję... naprawdę, bardzo cię potrzebuję”. Tyle. Nic więcej nie chciała mówić przez telefon.

Zaparkowałem swoje toczydło pod

blokiem i poszedłem na górę, pełen sprzecznych uczuć. Fakt, że w końcu nie rozmawiałem z Rafałem, jednocześnie przynosił mi ulgę i wzmacniał obawę. W wersji dla Magdy nadal rzucałem robotę u pind, żeby się z nią ożenić, a w wersji dla Rafała, skoro nie poruszyłem tego tematu od paru miesięcy, było oczywiste, że zostaję. Cały czas nie miałem pomysłu, jak z tego wybrnąć. W dodatku trochę mnie niepokoiło tak nagłe wezwanie Magdy. A z drugiej strony, w głębi duszy żywiłem nadzieję, że to „bardzo cię potrzebuję” może oznaczać jakiś gwałtowny przyływ namiętności, która zdołała wreszcie skruszyć jej zasady. Oczywiście, nie miałem żadnych podstaw, by na to

liczyć, ale pomarzyć zawsze miło.

Mina Magdy, gdy otworzyła drzwi, wyleczyła mnie z tych rojeń od razu. Jej głębokie, ciemne oczy lśniły jak zeszlifowane diamenty. Przytuliła się do mnie takim ruchem, jakim wycieńczony pływak chwyta się nabrzeża basenu.

— Jesteś... — głos miała drżący, jakby zaraz miał się załamać. — Nareszcie...

— Co się stało, kochanie? Co jest?

Była ubrana, pościel leżała nietknięta pod kocem. Usiadła zmęczonym ruchem i wpatrywała się we mnie długą chwilę.

— Będę miała syna — oznajmiła mi wreszcie.

Bardzo słabo przypominam sobie, co

działo się potem. Jak przez mgłę. Poczujęm, że robi mi się duszno, że zapadam się w jakąś studnię, w której dudni tylko potężnym echem łomot mojego serca i z daleka, spotęgowany pogłosem, dochodzi jej głos: „Jestem w ciąży”.

Potem już nic. Dotarłem do dna studni i pogrążyłem się w beznadziejnej, zwierzęcej wściekłości. Coś krzychałem, rzucałem się po mieszkaniu; bardzo możliwe, że ją uderzyłem, nie pamiętam. Przypominam sobie tylko łzy w jej oczach i jednocześnie płonący w nich ogień, gdy krzychała: „Nie okłamałam cię! Nigdy nie było innego mężczyzny, jestem dziewicą! Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć!?” Nie

chciałem jej słuchać, ale w końcu do mnie dotarło: nie puściła się, nie zrobiła ze mnie durnia jakiego świat nie widział. Gorzej. Padło jej na mózg. Zwariowała od tych ciągłych modlitw, od opiekowania się latami kopniętą staruchą, od siedzenia samej w domu, z dala od ludzi i tego byłem pewien — seksualnego niewyżycia. Z wściekłości opadłem jeszcze niżej, w lepki, zwierzęcy strach, jaki budzi w człowieku obłąd, kiedy nagle spojrzy mu w oczy. Wyleciałem na schody, ścigany szlochem Magdy, zdaje się, że potknąłem się na nich, rozwalając sobie kolano, ale nic nie poczułem. Ocknąłem się w momencie, gdy rozwalałem ten krzyż koło jej domu, tłukąc wyrwaną z

ziemi kłoda w pobliskie drzewa i z furją rozszczepiając ją na coraz drobniejsze drzazgi, wyjąc przy tym jak zupełny szaleniec. Zostawiłem roztrzaskany krzyż, wróciłem do samochodu i w żaden sposób nie mogłem trafić kluczykiem w stacyjkę. W końcu rzuciłem nim o podłogę, oparłem głowę na kierownicy i, kurwa, poryczałem się jak pięciolatek. Łkałem, wijąc się, tłukąc pięściami w deskę rozdzielczą, drapiąc obicia. Dzięki Bogu, że był środek nocy i że nikt oprócz niego tego nie widział.

Owoce

Zbudził mnie świergot telefonu, założonego przed paroma tygodniami. Był ten najgorszy moment poranka, kiedy człowiek wciąż jeszcze jest pijany, a jednocześnie odczuwa już kaca w całej jego miażdżącej potędze. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie stoi aparat, a w oczach zbyt mi się mgliło, żebym mógł go znaleźć. Ale sygnał wwiercał mi się natrętnie w zalegający pod

czaszką szlam, przyprawiając o mdłości i ból wszystkich nerwów.

Zwlokłem się z tapczanu i zacząłem podążać chwiejnie za krążącym po mieszkaniu elektronicznym świergotem. Duży pokój. Potknąłem się o wieżę stereo. Stolik telewizora i magnetowidu. Nie tu. Regał. Sypnęły się książki i kasety. Tu też nie. W przedpokoju zaplątałem się w rzucony na podłogę płaszcz. Zajrzałem do trzeciego pokoju, gabinetu do pracy. W przyszłości, jak się w myślach przymierzałem, pokoju dla dziecka. Tfu. Nie pamiętać.

Jest. Zostawiłem go na blacie, między tosterem a kuchenką mikrofalową. W momencie gdy wyciągałem rękę, dźwięk umilkł.

Zastygłem rozciągnięty na kuchennym blacie, jego chłód przyniósł ulgę twarzy, w jakiś dziwny sposób powstrzymując chęć wymiotów. Pan wydartego z wrogiego chaosu królestwa. Trzy pokoje, kuchnia i kłopot, kolorowy telewizor, tęgie skoble w drzwiach. Na dole jeszcze samochód. W pół roku. Od zera. Nie sprzedałem się tanio.

Telefon odezwał się znowu. Osunąłem się na podłogę, ściągając za sobą aparat. Ktoś podmienił go w nocy na kawał ołowiu. Łatwiej było opuścić głowę niemal do ziemi, niż podnieść słuchawkę do ucha.

Rafał. Kierownictwo pionu w Wydziale Propagandy. Biorę? Jasne, biorę. Tak. Zgoda. Omówimy szczegóły.

— Są już wstępne wyniki wyborów. Trzydzieści siedem i sześć dziesiątych procenta przy pięćdziesięciu ośmiu procentach frekwencji. — Nawet w tym stanie dotarło do mnie, że jego głos wcale nie brzmi triumfująco. — Ponad jedna trzecia mandatów. Polska to wszystko hołota, tylko im złota, złota... Westchnął ciężko. Może nie aż tyle co ja, ale on także pił tej nocy.

Pytania

Teraz wydaje się to tak odległe, jakby upłynęły całe lata. A przecież to tylko kilka miesięcy. Aż trudno uwierzyć, że tak szybko to wszystko poszło. Zerkam na tylne siedzenie. Magda wciąż śpi. Dla niej te kilka miesięcy było znacznie trudniejsze. Zwłaszcza odkąd zaczęły się rejestracje i całe to polowanie. I odkąd jej brzuch zaczął być zauważalny.

Za oknami migają widmowe, ciemne kontury chat jakiejś kolejnej wioski, w świetle lamp przewijała się pod kołami smolisto—czarna wstęga szosy.

— Może ja poprowadzę — rzucam półgłosem do Rafała.

Uśmiecha się, kręcąc przecząco głową.

— Nie ma potrzeby. Lubię powozić. Zresztą, za łatwo się zamyślasz. To już prawie Krasnobród.

— Ale jeżeli chcesz od razu wracać...

— Betka. Psia wachta, tuż przed świtem. Zakład o wszystkie pieniądze, że nie będzie żadnego patrolu. Rano muszę pojawić się o zwykłej godzinie w biurze, żeby nikt nie miał podejrzeń.

Sekretarki naturalnie zauważą, że jestem trochę wypluty, ale pomyślą, że korzystałem z tego, że jeszcze mogę. I że są jeszcze jakieś niewiasty, które nie zdążyły się wyzwolić. Ktoś doniesie, ale nie powinno to wzbudzić szczególnej uwagi. Ty masz oficjalnie delegację do końca miesiąca na kongres w Belgii. Nawet jeżeli ktoś się w końcu połapie, będziecie już daleko. — RzUCA w moją stronę przenikliwe spojrzenie znad kierownicy. — Powinieneś się trochę zdrzemnąć. Tak jak ona.

— Nie potrafię.

— Widzę. Pytania?

Kiwam głową,

— Największe przekleństwo człowieka. Jak raz zaczną męczyć, nie

ma sposobu. Nic za darmo, hołocie to nie doskwiera. Które najważniejsze?

Zastanawiam się. Żebym to ja wiedział.

— Dlaczego akurat ja?

Dobiega mnie jego cichy chichot.

— To akurat mogę ci wyjaśnić. Bo jesteś pierdoła boża. W całym tego słowa znaczeniu. Przepraszam, ale trochę ci zdążyłem poznać. Wsadzić ci kij w dupę i można wymachiwać tobą jak kukiełką. Nigdy nie miałaś nawet na tyle własnej woli, żeby porządnie nagrzeszyć. A zresztą Bóg musi korzystać z takiego materiału, jaki akurat jest pod ręką. A tacy jak ty są świetnym materiałem. Dla obu stron.

Milczę. Pewnie znowu ma rację.

Się porobiło

A może nie ma. W końcu w wydziale udzielałem się naprawdę ostro.

Rafał oczywiście nie wziął do pracy ani jednej baby. Ściągnął część ludzi z dotychczasowego Biura Wyborczego, część była nowa. Funkcji niektórych z tych nowych długo nie potrafiłem zrozumieć. Na przykład prosiaczkowaty blondynek o wyłupiastych oczach, drętwy i zupełnie pozbawiony

wyobraźni językoznawca, wydał mi się w pierwszej chwili człowiekiem doskonale zbędnym. Siedział ze swoimi ludźmi przy komputerach i opracowywał systemy łączliwości wyrazów, dystrybucji przymiotników albo inne tego typu rzeczy. Z jakimi określeniami łączyć słowo „kobieta”, albo „dziecko”, jakie są wskazane synonimy, według kolejności od najbardziej stosownych do najmniej. Wydawało mi się to głupią robotą, dopóki nie przekonałem się na własne oczy, jak zabójczo wygląda tekst przepuszczony przez ich komputer.

Bardziej sensownie wyglądał mi gość od filmów, książek, wideoklipów i temu podobnych. Może dlatego, że jego robota łączyła się dość ściśle z moją.

Chodziło, z grubsza biorąc, o robienie należytej reklamy wokół niektórych rzeczy, a udupianie innych. Oficjalnie nie miał nad tymi sprawami żadnej władzy. Ot, prywatne kontakty. W praktyce decydował, co będzie na polskim rynku kulturotwórczym hitem, a co skończy żywot po tygodniu wyświetlania, albo w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy, wdeptane w glebę przez recenzentów i olane przez pośredników. Do mnie należało sprowadzanie wylansowanych przez niego twórców do Polski. Na Dolce jeździłem coraz rzadziej, zresztą wkrótce awansowała na rzecznika prasowego i przyjął ją ktoś, do kogo przewodnicząca miała większe zaufanie.

Zamiast tego robiłem różnym kretynom z zachodu odpowiednie nagłośnienie oraz podtykałem im teksty. „Śledzimy bardzo uważnie wasz kraj i jesteśmy dla was pełni (pełne) podziwu” — leciały na Okęciu słowa do podetkniętych mikrofonów. „Rozpaliliście tu płomień, który ogarnie cały świat, płomień bezkrwawej rewolucji. Dzisiejsza Polska znalazła się w czołówce narodów świata. Jestem bardzo szczęśliwy (szczęśliwa) że mogłem (mogłam) ją odwiedzić.”

Właściwie było to dowartościowanie rodaków prostym odcinaniem kuponów od tego, co Ruch Wyzwolenia zdołał sobie załatwić na zachodzie. Jego siła przejawiała się tam

bowiem w sposób dość szczególny. Nie miał liczących się przedstawicielstw w parlamentach, rządach ani lokalnych władzach. Całą parę — powiedzmy raczej: cały szmalec — puścił w co innego i w efekcie rządził niepodzielnie wideoklipami, powieściami sensacyjnymi, serialami oraz wywiadami udzielanymi przez wszystkie możliwe gwiazdy. Kto zostanie Miss Uniwersum albo otrzyma literacką nagrodę Nobla, ustalano w Radzie Europejskiej.

Rafał wyrażał się o tej strategii z największym uznaniem. W ogóle bardzo sobie cenił Radę Europejską, twierdząc zresztą, że żadnej z reprezentujących ją oficjalnie osób nie można podejrzewać

nawet o dziesiątą część tego rozumu, który dostrzegał w działalności Ruchu. „Trzeba dobrze w tę robotę wejść, żeby docenić łeb tego, kto tym wszystkim kręci” — powiedział mi kiedyś. — „Tysiące szczegółów, z pozoru zupełnych drobiazgów, które łączą się systematycznie w pajęczynę oplatającą absolutnie wszystko. To idzie na full, na całość, i to tak przebiegle, że przeciwnicy nawet nie zauważają, jak tracą kolejne pola. Weź choćby przyłączenie zielonych. Zieloni, rozumiesz, to byli zawsze tacy niedojrzali czerwoni, niby tam kwiatki i inne pierdułki, a grali dla komunistów. W pewnym momencie zostali do wzięcia, mając wyrobiony monopol na

najbardziej chwytliwe hasła — w końcu kto nie chce pokoju i czystego powietrza? Nie wiem, jak inni mogli przegapić taką okazję. Albo rozegranie sprawy właśnie przez Polskę. Trzeba mieć jakiś kraj, który można przedstawić jako zakątek przyszłego raju, stawiać za wzór i być pewnym w nim oparcia. A gdzie łatwiej przejąć władzę, niż w takiej ni to Europie, ni to Azji? W kraju, gdzie społeczeństwo praktycznie pozbawione jest jakiegokolwiek elity, bo czego nie wybili ruskie i Niemcy, czego nie wykończyli czerwoni, pakując wszędzie półmózgów z awansu, to spieprzyło przy pierwszej okazji na zachód; a ta resztką nie ma wpływu, bo komuna rozwydrzyła wszelki motłoch,

solidarność go jeszcze rozbuchała, wrywając sobie z rąk głosy, i nie ma w Polsce większej zbrodni niż ucziwie zarabiać więcej niż pan robot. Ta sama robota na zachodzie miałyby niesamowity opór. Tam są wieloletnie tradycje, zastałe układy. A u nas sprzedasz każdy kit. I przy tym, zauważ, oficjalnie to jednak jest Europa, i faktycznie — jest to jej najbardziej zatruta i wyniszczona ekologicznie część. Niesamowity łeb” — pokręcił przy tym głową. — „Chciałbym kiedyś tego faceta spotkać.”

Tydzień po wyborach zaczął się kryzys rządowy. Był nieuchronny, proporcje w sejmie rozłożyły się zbyt równo, żeby którekolwiek z ugrupowań

mogło działać na własną rękę. Sprawa zaczęła się ślimaczyć, tydzień, drugi... Ludziska zrobili się wkurwione. My w tym czasie montowaliśmy obraz kompletnej anarchii i bezhołowia, budząc w ludziach i tak zresztą nieobcą im od dawna tęsknotę za jakimś mężem opatrnościowym, który by ten cały burdel wziął za pysk. W końcu skłonni się stali kupić na to stanowisko nawet najbardziej absurdalną osobę. Sprawa dojrzała. Mąż się zjawił. Jak się okazało, była nim kobieta. Nasza stara znajoma, Bernadetta Wsadzaj.

Pomogły jej w tym ochotniczki, na spółkę z Ogólnopolskim Komitetem Protestacyjnym Fizycznych Niewykwalifikowanych. Ci ostatni w

parę dni po wyborach, korzystając z ogólnego zamętu, władowali się do Urzędu Rady Ministrów i ogłosili tam strajk okupacyjny, żądając zagwarantowania statusu społecznego i finansowego fizolom, stałego zasiłku dla rezygnujących z podejmowania pracy w wysokości 110% średniej krajowej, i czegoś tam jeszcze. Całą imprezę zorganizowali zadymiarze, sfrustrowani miażdżącą klęską w wyborach i zawsze podatni na wszelkie, umiejętnie podsuwane sugestie. Oflagowali cały ginach na biało–czerwono, wystawili w oknach obrazy z Matką Boską i śpiewali, co tylko umieli śpiewać — hymn, Rotę, Boże coś Polskę, Międzynarodówkę — jak leciało. Po

czterech dniach odwiedziła ich policja i zapytała uprzejmie, czy ewentualnie mogliby sobie pójść, ponieważ wprawdzie obecnie nie ma żadnego rządu, ale daj Boże niedługo będzie, a wtedy zajmowana przez nich powierzchnia lokalowa stanie się potrzebna. Ponieważ jednak fizyczni odmówili, policjanci zatknęli kciuki za pasy i wycofali się na z góry upatrzone pozycje. Fizyczni, uradowani sukcesem, wezwali wszystkich zagrożonych redukcjami niewykwalifikowanych, by przybywali łączyć się z nimi w proteście i śpiewali dalej. Dziewiątego dnia zaszczyił ich swą wizytą marszałek sejmu, powtórzył jeszcze bardziej pokornie tę samą prośbę i otrzymał tę

samą odpowiedź. Po jego wyjeździe fizycy podbili stawkę do 120% średniej krajowej i stanowczo zażądali zaprzestania wprowadzania nowoczesnych technologii, które pozbawiały ich pracy, grożąc, że zaczną odcinać w miastach dopływ wody, gazu i prądu do mieszkań. Rafał oderwał nas od bieżących zajęć i rzucił do organizowania w okupowanym gmachu mszy polowej dla protestujących.

Na szczęście w Polsce jest bardzo wielu księży, a jak gdzieś jest bardzo wielu ludzi, to zawsze można wśród nich znaleźć idiotę. Nam zajęło to dwa dni. Wprawdzie zastrzegł się, że udzieli fizykom duszpasterskiej posługi po to, by mediować i apelować o rozsądek, ale

mediowanie i apelowanie nie zostały starannie zarejestrowane przez TV i wyemitowane w niedzielny wieczór, natomiast duszpasterska posługa tak, doprowadzając najczęściej nawet myślących rodaków do furii.

I kiedy następnego dnia o świcie wpadło do okupowanego gmachu oburzone społeczeństwo w postaci ochotniczek, pindy stały się najbardziej uwielbianą partią w kraju. W godzinę niemal cały budynek był czysty. W pół godziny potem ochotniczki sforsowały drzwi ubikacji, w której zabarykadowało się śpiewając patriotyczne pieśni kierownictwo strajku okupacyjnego, i bez większych ceregieli dokonało jego defenestracji. Po

następnych pięciu minutach cały budynek zaroił się od ekip telewizyjnych, filmujących skutki dokonanych przez fizjologów dewastacji i skrupulatnie podliczających koszty całej afery w przeliczaniu na mózg statystycznego mieszkańca.

Rafał uśmieł się jak norka.

— Komuchy nazwaliby to sprawiedliwością dziejową. Pindy wzięły na klasie robotniczej odwet za batalion Boczkariowej — po czym z właściwą sobie energią zaczął przyduszać informacje o prawdziwym przebiegu wydarzeń, kładąc nacisk na bohaterstwo wątplych, słabych kobitek, które sprzeciwiły się pogrążeniu naszego wspólnego domu w chaosie i

anarchii.

Pani Bernadetta spuchła z dumy.

— Kobiety udowodniły, że potrafią przyjąć odpowiedzialność za ład i porządek. Nie zrobiłyśmy tego po raz ostatni. Chcemy żyć lepiej, godniej i dostatniej, bez względu na to, czy się to panom spodoba, czy nie — po czym przyjęła z rąk prezydenta, równie jak jego poddani wymęczonego tym całym bajzlem, misję stworzenia nowego, koalicyjnego rządu.

Ja pomyślałem sobie tylko, że kiedyś ten naród robił powstania, brał jedną szarżę najeżony armatami wawóz i bronił Westerplatte, a teraz potrafi tylko nałożyć biało-czerwone opaski, zabarykadować się w sraczu i zawodzić

pieśni, których już całkiem nie rozumie. Po czym poszedłem na wódkę.

Naród, jak to naród — stwierdził, że się porobiło i cierpliwie czekał, co będzie dalej.

Dalej bezkrwawa rewolucja ruszyła jak z kopyta. Całe pakiety ustaw za jednym zamachem. Po części cudzych, przeprowadzonych w ramach układu z partiami koalicyjnymi, po części naszych, to znaczy pind. Chaos i anarchia zniknęły z mass–mediów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ich miejsce zajęła biologiczna degradacja, długofalowe skutki Czarnobyla i zasiarczonego powietrza, żałosny stan opieki zdrowotnej, plus tematy stałe — nabijanie się ze zmurszałych wartości

życia rodzinnego, kościelnej biurokracji oraz tłamszonych przez wiecznie pijanych małżonków bab–garkotłuków, płodnych jak królice. A także — sam nie wiem, dlaczego — lamente nad fatalnie zaniedbaną obronnością kraju naszej części wspólnego europejskiego domu.

W trzeciej z kolei paczce ustaw znalazł się obowiązek rejestracji i szczególnej opieki zdrowotnej nad kobietami ciężarnymi.

W piątej rozbudowanie resortu zdrowia o służby prewencyjnych badań płodowych. Zorganizowano je w oparciu o zagranicznych specjalistów tak sprawnie, jak to się chyba w tym kraju nie zdarzyło od czasów budowy Gniezna.

W ósmej poszerzenie ich uprawnień i wyszczególnienie przysługujących im sankcji.

— Wszyscy wiemy, jak bolesne to posunięcie dla każdej polskiej kobiety i dla całego naszego narodu. Ale wiemy też, do jakiego stopnia stało się ono konieczne, jeśli w krótkim czasie liczba dzieci nieuleczalnie chorych nie ma przekroczyć liczby zdrowych — oznajmiła grobowo pani premier.

— Czy one, do cholery, powariowały? — wściekał się Rafał. — Rodziły bachory tyle tysięcy, mogą jeszcze parę lat poczekać. Czego się tak śpieszą? Jakby chciały wszystko popsuć!

Ja starałem się niczego nie komentować, tylko z tą samą

wściekłością, z jaką rozwalilem krzyż na Kabatach, realizowałem aktualne zadania. A w wolnych chwilach katowałem swoją wątrobę, starając się ze wszystkich sił raz na zawsze zapomnieć o Magdzie. Czasami prawie mi się udawało, parę razy zdołałem nawet wyciągnąć na bolcowanie jedną z sekretarek. Czasami natomiast natchodziła mnie myśl, że zachowałem się jak ostatni skurwysyn. W końcu świr — choroba jak każda inna, tylko że się na nią nie umiera, wariatka czy nie, znajdowała się pod moją opieką. Ale nie miałem na to siły. Nie miałem też siły, żeby wytłumaczyć sobie, że nic mnie ona nie obchodzi.

Kończyło się to z reguły tak unyżną

chandną, że nic, tylko walić łbem w ścianę, kolejnym okresem katowania wątroby i jeszcze gorliwszym szykowaniem gruntu pod przygotowywane do wprowadzenia w życie prawa.

Wreszcie w akompaniamencie jazgotu prasy, radia i telewizji sejm uchwalił, senat zatwierdził a prezydent podpisał ustawę „o częściowym ograniczeniu wolności rodzicielskiej w uzasadnionych przypadkach”. Czyli, mówiąc prościej, o obowiązkowym skrobaniu dzieci wskazanych przez służbę prewencyjnych badań płodowych. Stosowane przez nią kryteria zdawały się nie bardzo trzymać kupy — w każdym razie do

najważniejszych należały dane o rodzicach i środowisku, całe specjalistyczne „badania” pobłyskującą aparaturą robiły pic dla prostaczków. Nasz gramatyk wprowadził do swojego komputera zasadę, by o zabiegach płodowych pisać zawsze „nieliczne”.

Pani premier wygłosiła płomienne przemówienie. Udowodniła jak dwa a dwa cztery, że nic się nie da poradzić, to i tak najbardziej humanitarne wyjście z możliwych, oraz zapowiedziała stanowczy odpór ciemnocie i klerykalizmowi, które nie chcą przyjąć do wiadomości rzeczy koniecznych.

Rafał i ja nie powiedzieliśmy nic. Było to bowiem nazajutrz po naradzie, na której pani Bernadecie udało się po

raz pierwszy wyprowadzić Rafała z równowagi.

Bezkrwawa rewolucja

Regulamin wymagał, aby raz na dwa tygodnie szef Wydziału Propagandy zasiadał na parę godzin w jednej sali z kierownikami pionów. Nazywało się to naradą kierownictwa. Przewodnicząca Ruchu miała z urzędu prawo uczestnictwa w tych posiedzeniach i nie opuszczała ani jednej, nawet po objęciu funkcji państwowych. Prawdopodobnie licząc na to, że zdoła wreszcie

zatriumfować nad szefem wydziału w oczach jego podwładnych. Nigdy jej się to nie udało, mąciła jednak niesamowicie, przeciągając te ceremonie ku czci świętego Biurokracego do granic możliwości.

Rafał znalazł na to metodę; wszystkie istotne sprawy załatwiał z nami na bieżąco, w codziennych rozmowach. Narady stały się w ten sposób czczą formalnością, suchym referowaniem planów na najbliższe dwa tygodnie, wyliczaniem, gdzie i kiedy jakieś koło postępowej młodzieży zorganizuje kolejną międzynarodową sesję poświęconą walce z zacofaniem, daniu odporu siłom konserwy oraz uświadomieniu światu nieuchronności

obyczajowych i politycznych przemian. Albo ile to bohaterskich kobiet podda się wkrótce dobrowolnej sterylizacji, raz na zawsze uwalniając się do upokarzającego Rozrodu. Albo jaka to kolejna sławna pisarka zachwyci się Polską i jej marszem w awangardzie narodów świata. Albo jakie to kolejne fakty będziemy mieli do wepchnięcia motłochowi, by przekonać go, że powodzi mu się już prawie tak, jak na zachodzie, a będzie jeszcze lepiej. Nuda.

Tego dnia pani Bernadetta siedziała cały czas cicho, ze zmijowatym uśmiechem, świadczącym, że coś ukrywa w rękawie. Obok mnie kierownik pionu młodzieżowego

rysował w notesie biegnącą świnie, co stanowiło jego ulubione zajęcie na naradach. Cieniował ją długo starannymi, gęstymi pociągnięciami długopisu, cyzelując pracowicie podkręcony fantazyjnie ogon. Gdy zabrał się do niesionego w świńskim ryju kwiatu, przewodnicząca zabrała głos.

— Mam panom do zakomunikowania kilka istotnych spraw. Stają przed wami nowe zadania. Rada Europejska wyznaczyła nowe cele, których realizacja jest sprawą priorytetową i bardzo pilną — oznajmiła, kładąc nacisk na ostatnie słowa. Od razu zrobiło się ciekawiej. Mój sąsiad odłożył długopis, pozostawiając narysowany do połowy kwiatostan, a gramatyk oderwał skryte

za grubymi szklami oczy od schowanego dyskretnie w stercie notatek skryptu.

— Nie przypominam sobie, żebym dostał jakieś nowe wytyczne od Rady — rzucił spokojnie Rafał, rozpierając się wygodnie w fotelu i skupiając całą uwagę na wydobywaniu ze swej fajki coraz to gęstszych kłębow dymu.

— Dotrą do pana w stosownym czasie. Ze względu jednak na wagę spraw uważam za stosowne przedstawić zamierzenia Rady już teraz. Szkoda czasu, by to odkładać.

To, co streszczała przez następnych parę minut, mnie osobiście niewiele wzruszyło. W końcu miałem pełny luz człowieka, który dostaje do zrobienia konkretne detale, a całości ogarniać nie

musi ani za nią nie odpowiada. Od tego miałem szefa. W miarę jednak, jak mówiła, twarz Rafała ściągała się coraz bardziej, a jego oczy zwężały się, aż zaczęły przypominać cienkie, z lekka tylko podpuchnięte i podsinione szparki.

— Rada oszalała — stwierdził wreszcie sucho w ciszy, która zapadła po słowach przewodniczącej.

— Słucham? — kąciki wypacykowanych warg podjechały delikatnie do góry. — Pan, zdaje się, uważa się za mądrzejszego?

— W każdym razie uważam, że przedstawione przez panią decyzje po pewnym czasie zniszczą wszystko, co dotąd udało mi się osiągnąć. Jest za wcześnie. Rozumie pani? Za wcześnie.

Tutejszy ludek jeszcze nie dojrzał do zaakceptowania takich posunięć. Będą protesty, zamieszki. Nie obejdzie się bez użycia siły. Trzeba się będzie w coraz większym stopniu opierać na fanatykach, którzy zamiast umiejętnie wygaszać i usypiać spory, zaczną je podsycać. Zamiast odciągać ludzi od religii, zaczniemy popychać ich do niej i przysparzać Kościołowi świętych męczenników. W efekcie...

— Do pana wciąż jeszcze chyba nie dotarło, że to jest rewolucja. Nie obejdzie się, prędzej czy później, bez ofiar, a przeciwników tak czy owak trzeba będzie zmusić do posłuszeństwa siłą. Mamy w tej chwili dość siły. I żadnych powodów, by czekać.

— Rewolucje mają krótki żywot. Zastanawiała się pani kiedyś, co załatwiło komunistów? Mogę pani powiedzieć: bezmyślna pogoń za doraźnymi efektami. Nowy układ społeczny musi się długo utrwałać, krzepnąć, nowej ideologii trzeba dać czas na takie wrośnięcie ludziom w mózgi, żeby już nie potrafili jej wyrwać. Żeby obezwładnić wszystkie grupy, trzeba ten proces prowadzić stopniowo. Inteligencja — powiedział to w wyraźnym cudzysłowie — jest już w zasadzie nasza. Najwyżej trochę powzdycha. Ale prosty, głupi polski robot czy chłop jest uodporniony na Wszelką argumentację, nie da się go szybko przerobić żadną propagandą.

Potrzeba przyzwyczajenia. Niższe grupy społeczne charakteryzują się ogromną inercją. — Pociągnął nerwowo kilkakrotnie fajkę. — Można ich nie brać pod uwagę rozpatrując sprawę tylko na ten moment. Rzecz w tym, że ja staram się myśleć perspektywicznie i obliczać sprawy na dłużej niż rok czy dwa naprzód. I Rada powinna postępować tak samo. Jeśli dla przymusu aborcji posłużymy się siłą, proces wchłaniania niższych grup zostanie raz na zawsze udaremniony. To nic, że chwilowo się ugną i że jeszcze przez czas jakiś będzie pani święcić kolejne sukcesy. Zostanie nam tłum zaciętych w nieufności, wiedzących swoje ciemniaków, broniący się przed

nami coraz większą podatnością na obrzędowość religijną. Aż w pewnym momencie, w odpowiedniej chwili, ktoś poderwie ich przeciwko nam i użyje do swoich celów. I tak się to wszystko skończy.

Odłożył fajkę na stół i uśmiechnął się gorzko do przewodniczącej.

— Żal patrzeć, jak głupota i fanatyzm biorą górę nad zdrowym wyrachowaniem. Do diabła, jak gdyby głównym celem ruchu nie było zbudowanie trwałego, wygodnego układu, tylko niedopuszczenie do rodzenia się w tym kraju dzieci.

— To zabrzmiało jak rezygnacja z pełnionej funkcji — w jej twarzy nie było ani śladu rozgoryczenia.

— Próżne nadzieje. Dałem jedynie wyraz swojemu rozczarowaniu, sądziłem, że Rada wykaże się większym rozumem.

Przewodnicząca długą chwilę mierzyła go wzrokiem, wreszcie oznajmiła sucho:

— Panie Rafale, nam chyba przestaje być ze sobą po drodze.

Te słowa i ten ton na posiedzeniach zarządu Ruchu musiały budzić panikę.

— Jest pan amoralnym cynikiem. Człowiekiem nie potrafiącym ogarnąć naszej idei i sensu ogarniających świat przemian. Mówiłam już panu kiedyś, że przyjdzie taka chwila, gdy przestaną nam być potrzebni drobni krętacze...

— Tylko nie drobni — przerwał jej.

— ...drobni krętacze, nawet tak zręczni jak pan. — Przerwała na moment, jakby chciała podkreślić efektowną pauzą ostatni cios. — Myślę, że ten człowiek, który nazwał pana „dzieckiem Urbana” miał dużo racji.

Musiła w coś trafić. Pochylił się w jej stronę i wycedził z wściekłością:

— A pani jest ograniczoną, zaciętrzewioną dewotką feminizmu. Nawet sobie pani nie zdaje sprawy z tego, co naprawdę robi i dla kogo. Z dwojga złego wolę cyników. Przynajmniej wiedzą, czego chcą, i zazwyczaj osiągają cel. Fanatycy różnią się od nich tym, że w końcu oni też kładą głowę pod własnoręcznie zbudowaną gilotynę.

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie wręcz z furją. Przewodnicząca skwitowała to drwiącym uśmiechem. Nagle jakby oklapł, sięgnął po fajkę i zaczął nabijać tytoniem.

— Porozumiem się z radą — rzucił.

— Oczywiście. Ma pan do tego prawo.

Powinna na tym skończyć, ale widocznie chciała się jeszcze nacieszyć sukcesem. Potoczyła po nas wzrokiem.

— Ta dyskusja nie była potrzebna — oświadczyła. — Panowie jesteście zobowiązani wykonywać polecenia. Bez względu na to, kto akurat pośredniczy między wami a Radą. Czy też mają panowie jakieś zastrzeżenia? — zatrzymała wzrok na mnie. — Pan?

Zdawało mi się, że chce pan coś powiedzieć?

— Nie mam nic do powiedzenia — odparłem, zresztą zgodnie z prawdą. — Mnie osobiście nic nie dziwi. Nawet dziewczice zachodzące w ciążę.

Nie wiem, po co ani dlaczego to powiedziałem. W każdym razie reakcja była zaskakująca. Twarz pani Bernadetty zmieniła się w jednej chwili. Przypominała psa Pawłowa, który nagle usłyszał dzwonek.

— Co? — wyrzuciła z siebie zmienionym głosem.

Kątem oka dostrzegłem, jak Rafał gwałtownie wbija we mnie wściekłe spojrzenie, poruszając bezgłośnie ustami: „stul mordę!”. Rozejrzałem się

niepewnie.

— No... — zacząłem — taki dowcip. Może nie najlepszy. Przepraszam, ale jestem dziś zmęczony.

Zapadła nienaturalna cisza.

— Dobrze. Myślę, że na tym poprzestaniemy — oznajmił Rafał. — Chyba że są jeszcze jakieś pytania?

Pająk

Zdołałem tylko wrócić do swojego gabinetu, aby dowiedzieć się, że mnie do siebie wzywa. Siedział za biurkiem, tuląc we wnętrzu dłoni kieliszek. Napełnił i bez słowa podał mi drugi.

— Co ci strzeliło do łba z tymi dziewczycami w ciąży?

Próbowałem powtórzyć, że tak mi się po prostu powiedziało.

— Nie rób ze mnie durnia —

zirytował się. — Gdzieś to słyszał?

— Nie wiem, tak jakoś... Czy ja coś powiedziałem, no, nie tego?

— Cholera wie — wzruszył ramionami. — Czysta ciekawość. Pindy jakoś dziwnie reagują na takie rzeczy. A zwłaszcza wydział wewnętrzny. — Odstawił pusty kieliszek na blat. — Żeby ich jasny szlag! O takiej sprawie dowiaduję się dosłownie w przeddzień, i to od niej! Baba jest sprytniejsza niż myślałem.

Zachowałem taktyczne milczenie. SzeF również przeżuwał coś przez chwilę w ciszy. Potem gwałtownie poderwał głowę, jakby go olśniło

— Ta twoja Magda? — ni to zapytał, ni to oznajmił. — Wcale jej nie

kłułeś, co? Prawda, chciałeś się żenić! Słuchaj, Alek, trudno się w tym wszystkim połapać, ale to może być klucz. Jak cholera. No gadajżesz, do kurwy nędzy!

Miałem ochotę wyparować albo schować się we własnych butach.

— No dobrze — przyznałem wreszcie. — Zgadł szef. Zwariowało się dziewczynie, czy to moja wina? Zawsze za dużo latała po kościołach, no i w końcu ją naszły mistyczne odjazdy... Zresztą nie widziałem jej już od paru miesięcy.

Podniósł się energicznie i zaczął przechadzać po gabinecie.

— Od ilu miesięcy?

— Ze cztery.

— To już powinno być widać? Mam nadzieję, że się nie dała zarejestrować? Zgłupiałem.

— Szefie — zacząłem bezradnie. — Szef poważnie... że ona mogła naprawdę zajść z... Wierzy szef w coś takiego?

— Nie wierzę — zatrzymał się, oparł lewą rękę o regał i jednym ruchem opróżnił kieliszek. — Pewnie, że nie wierzę. Takie rzeczy nie zdarzają się od dwóch tysięcy lat.

Odstawił szkło, po czym przetarł mocno twarz rękami i kilkakrotnie potrząsnął głową.

— Kurwa mać! Kurwa mać! — powtórzył. — Ale to wreszcie wszystko tłumaczy. Wszystko. Zbyt oczywiste,

żeby na to wpaść, nawet patrząc codziennie pindom na ręce.

— Co tłumaczy? — zapytałem zdezorientowany.

— Ten obłęd ze skrobaniem dzieci, „upokarzający rozród”... że zamiast dalej iść metodycznie krok po kroku, Rada nagle głupieje i zaczyna pchać przymusową aborcję, jakby się im paliło w majtkach.

Nic nie rozumiałem. Nie, to nieprawda: już rozumiałem, tylko nie byłem w stanie tego przyjąć do wiadomości.

— Mogę zapalić? — odezwałem się bezradnie.

— A pal, kurwa. — Znowu zatopił się w myślach, wędrując po gabinecie.

— No dobrze — zaczął wreszcie. —

Wymyśliliśmy do tego kupę argumentów nie do zbicia, pindy na swój własny użytek drugie tyle, ale sprawa była wyraźnie założona z góry. Cały czas mi to nie grało, cholera. Cała reszta tak, wyzwalenie kobiet, proszę bardzo, hasło dobre jak każde inne... Stara metoda, biedni przeciwko bogatym, głupi przeciwko mądrym, czemuż by nie kobiety przeciwko mężczyznom; byle dać pretekst do rozpętania obłędu i wyjechać na nim na sam szczyt. Ta sprawa z przymusową aborcją wydawała mi się niepotrzebnie doklejona, w końcu nikt im nie zabrania wykańczać dzieciaków, kiedy tylko mają na to ochotę... A teraz patrz —

przysiadł na krawędzi biurka i zaczął mi tłumaczyć z ożywieniem: — Załóżmy, że wiesz o zbliżających się narodzinach gościa, który ma cię wgłębić. Wiesz mniej więcej gdzie i kiedy, ale szczegółów nie znasz. Nie możesz do tego dopuścić. Co się narzuca?

— Rachunek prawdopodobieństwa.

— Właśnie. Różnąc jak popadnie, im więcej, tym większa szansa, że przy okazji trafisz tego właściwego. Stara historia, do cholery. Ale wiadomo, że ta akurat matka sama z siebie dziecka nie zabije. Trzeba ją zmusić. Oczyszczenie populacji to genialny pretekst. Użycie do tego feministek wręcz się narzucało. Ale w końcu on ma niesamowity łeb i wciąż się uczy.

— Szefie — niemal jęknąłem. — Co mi szef próbuje udowodnić?

— Że mam unikalną szansę wyciąć najlepszy numer w swoim życiorysie. Albo się tak wygłupić, że nie daj Boże... — znowu pokręcił głową. — Nie, cholera, to trzeba najpierw sprawdzić. To czy ona naprawdę... Miałem kiedyś jednego znajomego skrobacza, może nie zakapuje.

Zaczął przerzucać papiery, potem kartki wydobytego spośród nich notesu. Wziął telefon, podumał nad nim chwilę i odstawił go na miejsce.

— Do bani — stwierdził. Zbieraj się. Pojedziemy po nią od razu. Siedziałem w jego toyocie, ciągle zastanawiając się, czy to Magda

zwariowała, czy on, czy w ogóle wszyscy.

— To się wszystko nie trzyma kupy — próbowałem beznadziejnie przekonać samego siebie.

— Przeciwnie. To się dopiero teraz trzyma kupy. W końcu kto inny potrafiłby coś takiego zmontować? Zauważ, jak on się uczy. Za każdym powtórzeniem poprawia poprzednie błędy. Komunizm był już prawie doskonały.

— Szefie — podjąłem ostatnią, rozpaczliwą próbę. — Przecież, na litość boską, żadnego Diabła nie ma! Boga zresztą też, do cholery!

— Jasne — skinął spokojnie głową. — A dziewice nie rodzą dzieci.

Oraz to, że cię nie opuszczę

Ktoś musiał nadać sprawę. Może osobiście pani Wsadzaj? A może któryś z kolegów wydziału zamieścił dziwaczny incydent z narady w swym rutynowym donosie, który dolazł do wydziału wewnętrznego i wywołał tam zainteresowanie? Rafał musiał to przeczuć. Bezpośrednio od tego swojego znajomego łapiducha zawiózł Magdę do

siebie. Duża willa, za miastem, z dala od innych. Przekonał nas, że to najlepsze wyjście. Następnego dnia pojechałem na Kabaty po jej rzeczy.

— Gorzej niż myślałem — stropił się Rafał. Wewnętrzny, jak nic. Musicie stąd wiać.

— Dokąd? — trzęsły mi się ręce. — Na zachód?

— Zgłupiałeś, Żadnej szansy. Cholera, to nie będzie proste. On na pewno to przewidział. W końcu w dobie komputerów nietrudno mieć pełną kontrolę nad tym, kto wyjeżdża, a kto przyjeżdża. Można załatwić sprawę gdzieś na boku, bez rozgłosu. — Trzeba będzie to zrobić tak, żebyście zniknęli niepostrzeżenie. — Poklepał mnie po

ramieniu. — Dwa dni. Tyle potrzebuję, żeby coś zmontować.

Pokiwałem bezradnie głową.

— Chodzi o jakieś miejsce, gdzie cywilizacja nie raczyła jeszcze dotrzeć w całej pełni. Może Bliski Wschód. Na pewno najpierw na Ukrainę i potem dalej.

— I to się da zrobić?

Przytaknął uspokajająco gestem.

— Nie musi wiedzieć, że to już. Nie musi wiązać twojego wyskoku na naradzie z czymkolwiek więcej, niż że po prostu obito ci się coś takiego o uszy. Pewnie w ogóle o nim nie wie. Ma swoich ludzi, a oni się myślą, jak to ludzie. Maca na ślepo. Myślę, że macie szansę.

Roześmiał się nagle.

— Wszystko się, cholera, ciągle powtarza. Kierunek na Zaleszczyki. W tym kraju, zdaje się, to stała droga, kiedy raczy się tu pojawić nasz aktualny szef.

Nie widziałem w tym nic wesołego.

— Idź do niej — rzucił, kierując się ku schodom do garażu.

— I tak się dzielnie dziewczyna trzyma, ale powinieneś przy niej być. — Zawahał się, ściągał ze stołu niedopity kieliszek i swoim zwyczajem zażył beznamiętnie jego zawartość. Whisky spłynęła mu do brzucha, poruszając jakiś ukryty mechanizm. Chodząca księga cytatów otwarła się z szelestem.

— A kiedy przyszło uciekać (niósł dziecko, o którym wiedział, że nie jego)

i najcięższy koszyk — powiedział ani do siebie, ani do mnie. — Zdaje się, że zostałeś wybrany. Mam nadzieję, że mi nie przyniesiesz wstydu.

Wybrany. Chyba do tego, żeby zawsze mną ktoś kręcił. Magda, pindy, Rafał, a teraz Bóg we własnej osobie. Nie miał kogo wybrać. Może zresztą naprawdę nie miał.

Nie mogła znać moich myśli. A przecież to, co powiedziała, brzmiało dokładnie jak odpowiedź na nie.

— Wiedziałam, że do mnie wrócisz. — Przytuliła się ufnie. Kochałem ją. Cóż mogłem poradzić; może to chemia, może przekleństwo losu, a może dar od Boga. Delikatnie przeciągnąłem palcami po jej brzuchu, po dziecku, o którym

wiedziałem, że nie jest moje; i nie potrafiłem oprzeć się wzruszeniu, mimo bolesnej świadomości, że poderwał mi tę moją dziewczynę na świecie ktoś, z kim nie miałem nawet cienia szansy się mierzyć. Ale przynajmniej mogłem się pocieszyć, że, cholera, od razu wiedziałem, co dobre.

— Skąd to mogłaś wiedzieć?

— Skoro byłeś ze mną tak długo...

To znaczy, że Bóg wybrał właśnie ciebie, prawda? Ty możesz tego nie rozumieć, ja też, ale On wie, co jest w człowieku naprawdę. I do czego, kiedy przyjdzie na to pora, okaże się zdolny.

No dobrze. Powiedzmy. Ale dlaczego Rafał zrobił to, co dla nas zrobił?

Ludzie jak my

— Dlaczego właściwie pan to wszystko robi? — pyta Magda. Nie śpi już. Dojeżdżamy. Nie spisał nas żaden patrol, nie dogonił żaden pościg, nie zarejestrowała zaspana obsługa roгатki. Dojeżdżamy. Przecież musieliśmy dojechać. Nie powinienem mieć co do tego żadnych wątpliwości, tak jak Magda.

— Po prostu z wyrachowania —

odpowiada Rafał.

Magda kręci głową.

— Pan wie, że to nieprawda. Panem kieruje co innego.

— Tak? Co na przykład?

— Nienawiść. Tak przynajmniej sędzę po tym, co opowiadał Alek. Nienawidzi pan ludzi. A już swoich rodaków zwłaszcza.

— A, chodzi pani o moją pracę? — robi minę „może — może”. — Coś w tym jest. Ale, wybaczy pani to słowo, za co właściwie skurwysynów lubić? Stada głupiego bydła.

— Czy trzeba koniecznie mieć powód? Może powinno się ich kochać jakby na kredyt, w nadziei, że kiedyś na to zasłużą?

— Pani mówi zupełnie o czym innym. O miłości bliźniego. W porządku, bliźniego mogę kochać. Ale tłum, stada... Nie, zdecydowanie nie. Z reguły zresztą ma taki los, na jaki sobie zasłużyło. Marzy tylko o tym, żeby móc po kimś deptać, kogo nienawidzić, dać upust wszystkim swoim zwierzęcym instynktom. Co zrobili murzyni w RPA, jak tylko przestali dostawać wycisk od Afrykanerów? Zaczęli się sami wyrzynać nawzajem. Albo narody byłego ZSRR?

— Rozumiem. „Trzeba dopiero uświadomić sobie, na jak bezgraniczną pogardę zasługuje człowiek, żeby móc się stać prawdziwym bolszewikiem. Czy to jest pańskie wyznanie wiary?

Nic zważając na fakt, iż właśnie wychodzimy z zakrętu, Rafał obraca się i długą chwilę przygląda Magdzie, jakby zdumiony, że kobieta przemówiła ludzkim głosem. Ona odpowiada mu tym swoim gorzkim, smutnym uśmiechem.

W końcu kieruje spojrzenie z powrotem na drogę. Z trudem udaje mi się powstrzymać westchnienie ulgi.

— Włodzimierz Iljicz nie jest moim idolem, jeśli o to pani chodzi. Chociaż mam duży szacunek dla jego umiejętności fachowych. A co do wyznania wiary... Tak się składa, że ja straciłem wiarę, i to dość dawno.

— To chyba najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć.

— Nie sędzę. Najgorzej jest wtedy,

gdy ktoś taki, kto stracił wiarę, stara się rozpaczliwie znaleźć sobie jakąś nową. Tego szczęśliwie zdołałem uniknąć.

— A te dzieci? Przecież ustawa weszła już w życie. Setki tysięcy dzieci zamordowanych, zanim zdążyły się urodzić. Nie ciąży to panu na sumieniu?

— Czemu miałyby akurat mnie szczególnie ciążyć? — odpowiada z irytacją. — Co roku od lat skrobie się w tym kraju tysiące dzieci. Co za różnica, czy kobiety robią to na własną odpowiedzialność, czy mają pretekst, żeby się z tej odpowiedzialności zwolnić? Pewnie, że to zbrodnia. I co z tego? Cała historia ludzkości to jedna wielka zbrodnia. Ciągłe mordowanie jednych grup przez inne, z odpowiednią

ideologiczną podkładką albo bez niej. Czy to ja tak urządziłem? Czy mam jakikolwiek wpływ na to, że tak zwana ludzkość raz na jakiś czas dostaje obłądu i pławi się we krwi niewiernych, heretyków, elementów rasowo niepożądanych albo wrogów klasowych? Czy jestem w stanie to zmienić? I dlaczego miałbym marnować życie na beznadziejną walkę z tym, że tak zawsze było, jest i będzie?

— Może na tym polega sens naszego życia. Na podejmowaniu tej beznadziejnej próby?

— Może. Ja osobiście widzę go gdzie indziej. Życie, proszę pani, to pisanie powieści. Musi być wartka, pełna fabularnych zwrotów, mieć

nastrój, smak i odpowiednią ilość wszystkiego: i głębszych przemyśleń, i momentów, i liryzmu. Mniej więcej wiem, w którą stronę zmierza moja powieść. I jak się skończy. Mogę to pani obiecać, że będę umierał jak imć Samuel Łaszczyk, Strażnik Koronny, śmiejąc się w kułak i niewiele dbając o rachunek, który mi wystawią u świętego Piotra. Na pewno będzie spory, ale chyba zmieści się w granicach normy. Zresztą, nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Dlaczego?

— Więc może dlatego, że noszę pod sercem tego, który przyjdzie to wszystko zmienić?

Magda nie może z tylnego siedzenia widzieć jego twarzy. Może to i lepiej.

— Nie chciałbym się wyrażać, co zmieni. Znowu da się zamordować i jeszcze dostarczy ludziom kolejnego powodu do tępienia innych: że w niego nie wierzą. Ale cóż, gra musi się toczyć. Nie mam ambicji ograbiać jej ani wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Staram się tylko nie nudzić. I na razie mi się to udaje.

— A to, że nam pan pomógł? Też tylko po to, żeby się nie nudzić?

— Przyzna pani, że świetny, zaskakujący zwrot akcji. W końcu nikt nigdy do końca nie wie, dla kogo gra. I czy jest gdzieś powiedziane, że nie można grać po obu stronach? Zdaje się, że święty Ignacy Loyola nie przewidział takiego wariantu. Ale to był

prostoduszny człowiek.

— Więc woli pan tam wrócić?

— I dalej robić te straszne rzeczy.

Domyślam się, jak to pani ocenia. Ale dawno już przestałem się zastanawiać nad swoją moralnością.

Magda zaprzecza ruchem głowy.

— Staram się nie sądzić innych.

— Albowiem tak jest nakazane w piśmie. To mnie zawsze intrygowało: jakim cudem dobro jeszcze istnieje, stosując tak nieskuteczne metody?

— Widać z jego punktu widzenia nie są nieskuteczne.

— Zapewne. Nigdy nie czułem chęci do zaglądania Bogu w rękawy.

— Myślę, że powinienes pojechać z nami — odzywam się. — Pindom już

niedługo nie będziesz potrzebny. Teraz przyszedł czas na chamską, nachalną propagandę. A to nie jest twój styl.

— Czegoś cię jednak nauczyłem — śmieje się i ze śmiechem uderza w deskę rozdzielczą wozu. — Cholera, to jednak jest skuteczne. W końcu zabrał mi najlepszego ucznia, w parę minut, bez problemu... a ja męczyłem się prawie rok, żeby z ciebie zrobić takiego samego skurwiela jak ja sam. A tobie z kolei wyjął dziewczynę. I żaden nie ma pretensji. Coś w tym musi być. Coś, czego nie rozumiem.

— Myślę... — próbuję znowu.

— To nie myśl — ucina sucho. — To z kolei nie jest w twoim stylu. Dobrze wiem, co dalej będzie, i

zaręczam ci, że wszystko zostało
wkalkulowane w koszta imprezy. Za
parę miesięcy pani Wsadzaj dostanie
orgazmu, mogąc mi zakomunikować, że
Rada wyznaczyła mi zaszczytną misję
redaktorzenia w „Wyzwolonej Kobiecie
Ostrołęckiej” albo czymś takim. Później
będzie parę lat bujnego rozkwitu Ruchu,
a potem zacznie się on sypać. Pani
Wsadzaj dawno już będzie nieaktualna,
gdy ja okażę się czołowym
bojownikiem, zasłużonym dla obrony
kraju przed rozwydrzonymi,
zbrodniczymi babami. — Przerywa na
moment, wpatrując się w drogę. — Za
czasów mojej młodości obalano
komunizm. Teraz to już na pewno miał
być raj. A kto go obalał? Sami byli

komuniści. Tacy, co naprawdę z tym kurestwem walczyli, albo już dawno gryźli ziemię, albo im tak przygięto karki, że się przestali liczyć, albo od razu przy rozdawaniu kart wydymano ich jak świerszczy, bo mieli skrupuły i starali się grać uczciwie. Cóż poradzić, szlachetnych może czeka nagroda w niebie, ale tu, na ziemi, liczą się tylko mendy. Bo zawsze przydają się obu stronom. Więc nie próbujcie mnie, z łaski swojej, nawracać.

Zwalnia, podjeżdżając pod biało—czerwone barierki uśpionego o tej porze przejścia granicznego.

— Pindy mnie jeszcze popamiętają. A wiecie za co? Zablokowały wznowienie Sienkiewicza. Że niby

propaguje samczą brutalność i przedmiotowe traktowanie kobiet — staje i gasi silnik, po czym ogląda się na Magdę. — Obiecała pani nie sądzić — przypomina.

— Nawet nie próbuję.

Kicz

Rzeńskie poranne powietrze. Zabieram plecaki i domykam pokrywę bagażnika. Srebrzysty wóz stoi na podjeździe, cichy, spokojny, jakby odpoczywał. Wreszcie Rafał wraca.

— Paszporty są w zasadzie w porządku, ale starajcie się ich jak najmniej używać. W każdym razie nie tam, gdzie można sprawdzić numery w komputerze. Ma się jeszcze znajomych

— dodaje, jakby się chwalił. — Celnik nie będzie robił kłopotów. Pół godziny stąd jest podobno stacja kolei. Kraj jeszcze trochę niespokojny i dziki, ale z bożą pomocą powinniście sobie dać radę.

Uśmiecha się po swojemu, jakby z drwiną. Całuje Magdę w policzek, potem ściska mi rękę.

— Mój Boże, co za kicz — mówi jeszcze z niesmakiem, patrząc gdzieś ponad naszymi głowami, i zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, odwraca się gwałtownie, wsiada do toyoty i wykręca na szerokim podjeździe. Jakby się bał, że padnie jakieś słowo, na które nie zdoła znaleźć błyskotliwej riposty.

Patrzę za samochodem, aż znika za

zakrętem drogi. Potem ruszam za Magdą. Już po tamtej stronie zatrzymuję się, przypominając sobie jego ostatnie słowa. Ponad postrzępioną ścianą lasu rozlewa się słoneczną plamą na szarym niebie brzask.

Rzeczywiście. Kicz pierwszorzędny.

— Nu, prohodyte, prohodyte — popędza nas ukraiński strażnik, rozglądając się na boki.

Przerzucam sobie plecak Magdy przez lewe przedramię, prawą ręką obejmuję ją lekko w pasie. Jeszcze przez chwilę opiera głowę na moim barku, patrzę na jej słodką twarz, na głębokie, zawsze odrobinę wilgotne oczy. I przez moment czuję się tak, jakby to wznoszące się nad lasem słońce

ekspłodowało mi w piersiach.

Ruszamy powoli skrajem drogi.

Przed siebie.